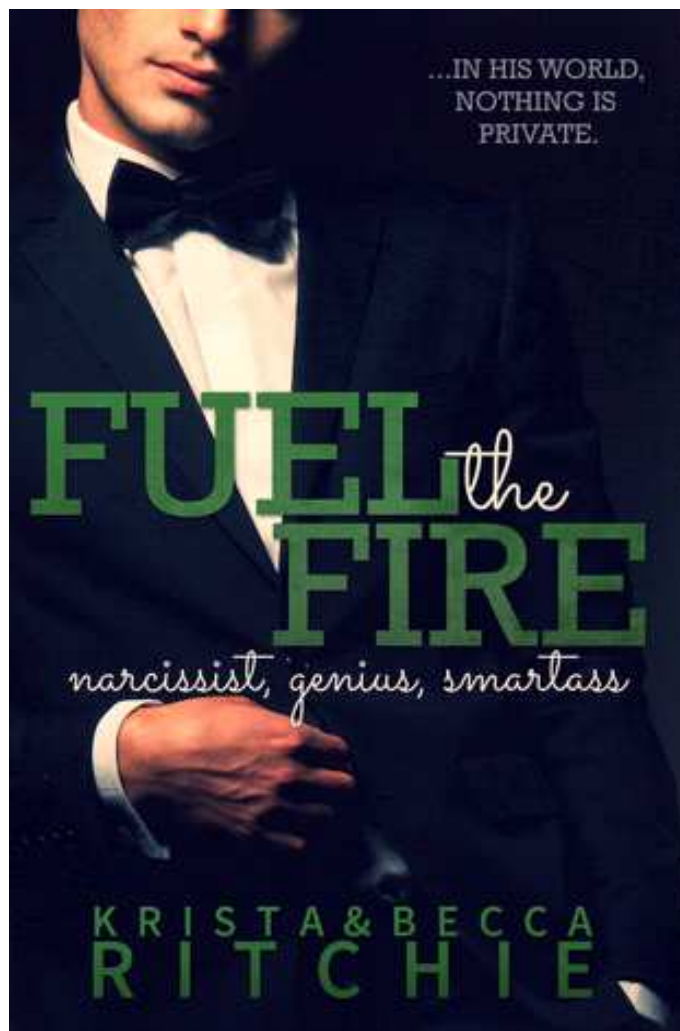


Fuel the Fire (Addicted 03.1, Calloway Sisters 03)

Krista & Becca Ritchie



Nieoficjalne tłumaczenie **waydale**

Korekta **Vynn**.

Tłumaczenie w całości należy do autora książki, jako jego prawa autorskie. Tłumaczenie jest tylko i wyłącznie materiałem marketingowym, służącym do promocji autora. Tłumaczenie nie służy do otrzymania korzyści materialnych.

Proszę o nie udostępnianie tłumaczenia.

## [Prolog]

*Connor Cobalt*

- Nazwisko? – Kobieta siedząca za biurkiem przejrzała białe kartki przewiązane czerwonym sznurkiem.

- Richard Connor Cobalt. – Posłałem jej życzliwy uśmiech.

Wyciągnęła odpowiedni identyfikator.

- Witam na tegorocznym Model UN, Richardzie. Powodzenia. – Jej ostatnie zdanie, będące nic nieznaczącym pożegnaniem, przekuło pewną część mojego umysłu, wywołując irytację.

*Powodzenia.*

Lubiłem mieć kontrolę nad własnym losem. A powodzenie oznaczało, że jej nie miałem. Iż musiałbym pozwolić komuś gorszemu zdecydować o *moim* wyniku. Rozumiałem, że niektórzy sędziowie są stronnicy, a większość pewnie zdołałbym przechytrzyć. Lecz prześciganie ludzi było moją specjalnością. Nie walczyłem z automatem do gier czy komputerem.

Ludzie byli plastyczni. Ludzie byli przewidywalni.

Pokonam sędziów. Wygram.

Zamiast okazać rozdrażnienie, posłałem jej kolejny odprężony uśmiech i założyłem sznurek na szyję. Patrzyła na mnie, jak na nastolatka próbującego odgrywać rolę dorosłego. Właśnie to spojrzenie zalazło mi za skórę, wyraz twarzy mówiący, że jestem mały i nic nie warty, ponieważ miałem tylko piętnaście lat.

- Powinna pani zapamiętać moje imię – powiedziałem.

Roześmiała się niepewnie.

- Spróbuję, ale jest was wielu.

- A jednak tylko ja będę wygrywać w każdym roku.

Jej niepewność jeszcze bardziej wzrosła, jakby zastanawiała się „*dobrze cię usłyszałam? Miałaś na myśli to, co myślę?*”

Spojrzałem przelotnie na jej laminowany identyfikator, po czym wskazałem z roztargnieniem na jej stos kartek.

- Dwudziesty siódmy identyfikator jest nie na miejscu. Rolland jest przed Rose. – Znowu się uśmiechnąłem. – Powodzenia, Marianne. Będzie pani go potrzebować.

Byłem palantem.

Dupkiem.

Zarozumiałym, aroganckim sukinsynem.

Ale dla mnie nie było nic bardziej frustrującego, bardziej irytującego, niż bycie uznanym za niegodnego przez sam fakt, iż byłem młodszy. Moje myśli oraz idee nie miały większego znaczenia dla większości dorosłych. Znalezienie kogoś, kto naprawdę by mnie wysłuchał, jako równego sobie, było niemal niemożliwe. Byłem jedynie „dzieciakiem” – inteligentnym dzieciakiem, ale nie takim, żeby moje myśli były ważniejsze od ich.

Nigdy nie odezwę się z wyższością do niemowlęcia w taki sposób, w jaki ludzie odzywają się do mnie – piętnastolatka.

Wiedziałem, że zyskam szacunek z wiekiem. Musiałem *czekać* przez jakąś absurdalną oś czasową stworzoną przez społeczeństwo. *Bzdura*, myślałem. Życie było bzdurą i jedynym sposobem, żeby mnie nie irytowało było, żebym bawił się według jego zasad.

Zatem robiłem tak już zawsze.

Gapiała się na mnie z otwartymi ustami, nie wiedząc, co rzec.

Pomachałem jej na pożegnanie i uśmiechnąłem się szeroko, idąc korytarzem lobby, przytrzymując na ramieniu skórzaną torbę.

Po wpisaniu się na listę skierowałem się do wind. Hotel oddzielił pewną liczbę pięter przeznaczoną dla uczestników. Szkoła z internatem Faust dla Chłopców zajmuje szóste piętro razem z trzema innymi prywatnymi szkołami.

Konkurenci od czternastu do osiemnastu lat jeździli szklanymi windami z czystej nudy albo naprawdę mieli jakiś cel, tak jak ja.

Z windy wyszli faceci w ciemnopomarańczowych marynarkach. Zająłem ich miejsce i nacisnąłem guzik szóstego piętra, kuśiło mnie, żeby od razu nacisnąć na „zamknąć drzwi”. Ale czekałem, patrząc na zbliżające się dwie dziewczyny. Wyższa ze lśniącymi, brązowymi włosami miała takie piekielne oczy, które wydawały mi się niezycliwe, ostre i płomienne. Nieważne, w którym kierunku się obróciła. Jej usta poruszały się w zawrotnym tempie i gestykulowała gniewnie rękami.

Nie słyszałem jej, panował zbyt wielki hałas od ludzi zapelniających hotel.

Przyglądałem się z daleka dziewczynom. Nie miały identyfikatorów, więc jeszcze się nie zapisały. Obie miały na sobie granatowe, szkockie spódnice oraz białe koszulki z kołnierzykami. Spostrzegłem haftowane emblematy wzdłuż kieszeni na piersi: Dalton Academy.

Nie miałem żadnych uprzedzeń do tej koedukacyjnej, prywatnej szkoły. W zeszłym roku ich pobiliśmy. I jeszcze rok przedtem. Przypuszczam, że w tym roku będzie tak samo.

- *Nie* odpuszczę. To cholerny absurd, Lydia – przeklęła wyższa z dziewczyn. Weszły do windy, dziewczyna była zbyt wkurzona, żeby zdać sobie sprawę, iż musi wcisnąć guzik, a ja byłem zbyt zaciekawiony, żeby przerywać.

- Kierownik miał rację – odparła Lydia z rezygnacją. Miała smukłą sylwetkę, piegi i długiego, rudego warkocza.

Druga dziewczyna położyła ręce na biodrach, gotując się ze złości. Zabierała całe powietrze z windy swoimi ciężkimi wdechami.

Obrzuciłem ją długim spojrzeniem: czarne szpilki, ciemnoczerwona szminka, lśniący, brązowy kucyk i te despotyczne żółtozielone oczy, które wypalały dziury w szkłe. Dzieliłem windę z porywczą burzą z piorunami, której nie zamierzałem uspokajać. Zawsze pragnąłem zostać wciągnięty w szaleństwo, choćby na chwilę, aby uciąć przyziemne, zwykłe chwile mojej egzystencji.

- Jego argument był taki, że trzy *dziewczyny* zmieszczą się w królewskim łożu, ale trzej *chłopcy* nie. Zatem musimy wziąć gorszy pokój, kiedy kierownictwo zarezerwowało dwa razy taki sam pokój. Rozumiesz, jakie to absurdalne?

- Ale to prawda. Chłopcy są od nas więksi. – Lydia wzruszyła ramionami.

Zamknęły się drzwi windy i zaczęliśmy wznosić się do góry.

- Śpimy w tym apartamencie, który został nam przydzielony – odparowała tamta. – *Oni* mogą wziąć mniejszy pokój.

- Nie zgodzą się – powiedziała Lydia.

- Po prostu nie chcesz się z nimi kłócić – odpowiedziała. – Jeżeli chcesz milczeć, proszę bardzo, ale nie pozwolę wygrać chłopakom z Fausta. Połowa z nich myśli, że sika złotem, a druga połowa obnosi się ze sobą, jakby stworzyli ziemię i niebo.

Opuściłem głowę, żeby ukryć uśmiech. Należałem do tej drugiej połowy.

Ciągnęła dalej, prostując się jeszcze bardziej.

- Mają tak nadęte głowy, że będę *wiwatować*, kiedy ktoś im je zetnie.

Ledwo mogłem pohamować śmiech. Wpatrywałem się w sufit, uśmiechając się coraz szerzej.

Nigdy nie słyszałem takiej dziewczyny.

Nigdy w życiu.

Usłyszałem większość szczegółów, żeby zrozumieć sytuację. Kierownictwo zarezerwowało ten sam apartament dla Dalton i Fausta, a teraz kazali komuś się przenieść.

Lydia złagodziła głos.

- Chłopcy z Fausta nie bez powodu są straszni. Sebastian mówił, że każdego roku wygrywają Wybitną Delegację.

- Każdego roku, kiedy *nas* tutaj nie było – odparła dziewczyna.

To zmusiło mnie do odzewu.

- Nie sądzę, że się poznaliśmy. – Obróciłem się do nich i dziewczyny zmieniły postawy, nareszcie zwracając uwagę na trzecią osobę w windzie.

Obie przyjrzały się mojej górującej posturze. W wieku piętnastu lat miałem metr osiemdziesiąt dwa wzrostu i nadal rosłem. Miałem idealnie ułożone brązowe włosy, unosiłem brew w drwiącym zastanowieniu i byłem ubrany w czarną marynarkę ze szkarłatnym krawatem.

Strój Fausta.

Dziewczynie zadrgały nozdrza, szczególnie kiedy spojrzała na mój identyfikator. Małym druczkiem było napisane *Szkoła z internatem Fausta dla Chłopców* tuż pod *Richard Connor Cobalt*.

Lydia zbladła.

Najpierw do niej wyciągnąłem rękę.

- Miło cię poznać.

Uścisnęła ją, dłoń miała spoconą i słabą.

Gdy obróciłem się do drugiej dziewczyny, skrzyżowała ręce na piersiach i postukała obcasem o podłogę. Czekałem, aż się przedstawi. Chciałem poznać jej imię, i to bardzo. Choćby tylko nazwisko.

Powiedziałem:

- Jesteś moją największą konkurencją. – Miałem nadzieję, że ten komplement ją złagodzi. Nie miałem jeszcze pojęcia czy mówiłem prawdę, czy nie. Pozostawała spięta i drzwi zaczęły się otwierać na szóstym piętrze, *moim* piętrze.

Nie odpowiedziała. Przepchnęła się obok mnie do wyjścia.

Lydia pobięła za koleżanką.

- Rose – zawołała.

Wyszedłem na korytarz z szerszym uśmiechem, a Rose spojrzała przez ramię ze wściekłym spojrzeniem, wiedząc, że Lydia właśnie wyjawiała coś, czego odmówiła mi Rose. Nie musiałem sprawdzać po raz kolejny mojej karty pokojowej. Miałem pokój 643, jeden z apartamentów z tarasem, który wyglądał na kawiarnię oraz dziedziniec pośrodku hotelu.

Przez ułamek sekundy myślałem, że może mnie też przydzielono do podwójnie zarezerwowanego pokoju. Taka szansa była mikroskopijna, ale prawdopodobna.

Gdy tylko zobaczyłem Dillona i Henry'ego czekających pod drzwiami 643 z kolejną dziewczyną z Dalton – wszyscy patrzyli na siebie wilkiem – zorientowałem się, że mnie także dotyczy ta awantura.

- Kierownictwo dało wam nowy pokój. – Rose okłamała Dillona, podając elektryczną kartę jasnowłosemu szesnastolatkowi.

Kiedy tylko podszedłem, zmarszczyła brwi w konsternacji.

- Koleś. – Dillon szturchnął mnie w ramię. – Zarezerwowali nam pokój razem z tymi dziewczynami z Dalton.

Nie oderwałem spojrzenia od Rose.

- Słyszałem. – Wziąłem kartę od Dillona i oddałem Rose.

Na jej twarzy wystąpiło olśnienie.

To był także mój apartament. I nikt nigdy nie odbierał mi tego, co moje. Chyba, że sam bym to oddał, a nie dam jej ot, tak tego pokoju. Nie chciałem cisnąć się w tym samym łóżku z Dillonem i Henrym. Chciałem salonu, dodatkowego biurka, kanapy, więcej cichej przestrzeni do nauki.

Ale tego pragnęła także Rose.

- Po prostu zamieńcie się z nami. – Rose próbowała tego sposobu. – Tak byłoby życzliwie.

- Dlaczego? – zapytałem. – Bo jesteś dziewczyną?

Zmrużyła oczy.

- Richard.

- Rose.

Wydała z siebie ciche warknięcie.

- Co za to chcesz?

Uniosłem brwi. *Uważaj, Rose*, to była moja pierwsza myśl. Wiedziałem, że miała czternaście lat, a jeżeli to był jej pierwszy raz w tym konkursie, to może, tylko *może* była skłonna zrobić wszystko, żeby wygrać.

Może była taka sama, jak ja.

- Zagrajmy w coś – powiedziałem, upuszczając na podłogę moją torbę. – Zwycięzca weźmie apartament. Przegrany bierze mniejszy pokój.

- Mniejszy pokój? – Usłyszałem za sobą fuknięcie Henry’ego, który zorientował się, że Rose chciała zrobić go w zamianę.

- W co? – Jej głos był cały z lodu.

- Quiz z wiedzy ogólnej. – Przez następne dziesięć minut ustalaliśmy detale. Cała nasza szóstka spisała kategorie na kawałkach papieru i wrzuciła je do czapki baseballowej Dillona. Tylko Rose i ja będziemy ze sobą konkurować. Dillon i Henry dobrze wiedzieli, że mam wyższe IQ od nich. A obie dziewczyny, Lydia i Anna, od razu wskazały Rose. Czy bały się stanąć przeciwko mnie, czy może była bystrzejsza od nich, tego jeszcze nie wiedziałem.

- Kto zaczyna? – zapytał Dillon, trzymając czapkę.

Rose otworzyła czerwoną torebkę trzymaną w zgięciu ramienia i wyciągnęła ćwierćdolarówkę. – Rzucimy monetą. – Wybrała reszkę i przegrałem z szansą. Ale nie przegram z niczym innym.

Wylosowała kartkę z czapki.

- Mitologia egipska. – Według naszych zasad mieliśmy tworzyć pytania bez korzystania z materiałów źródłowych.

Zastanawiałem się czy zdoła to zrobić.

Czekałem. I spojrzała na mnie ostrzejszym wzrokiem.

- Bóg mądrości i nauki – rzuciła.

Moje usta zadrżały w uśmiechu.

- Thot.

Wiedziała, że mam rację, ale i tak stała wyprostowana, nie poddając się.

- Poprawnie? – Dillon zapytał Henry’ego, który siedział na podłodze z otwartym laptopem.

- Tak – odparł Henry, śmiejąc się ze zdziwieniem.

Dillon poklepał mnie po barku.

- Dobra robota, Cobalt. Tak trzymaj.

Zadałem jej pytanie z tej samej kategorii.

- Żona Amenhotepa IV? – Patrzyłem jak się zastanawia. Mogłem zatrzymać się w tym miejscu, zakłopotać ją taką małą informacją, szybko zakończyć grę. Albo mógłbym ją przetestować, naprawdę zobaczyć ile wiedziała.

Chciałem to przedłużyć.

Więc dodałem:

- Macocha Tutanchamona, znana z prób zmiany politeistycznej religii na mono...
- Nefertiti – przerwała mi.

Miała rację.

Teraz moja kolej na wybranie przypadkowej kategorii. Odczytałem ją na głos.

- Terminy medyczne.

Jej klatka piersiowa uniosła się i opadła w ciężkim oddechu.

Nie potrafiłem ukryć rosnącego uśmiechu.

- Szybki oddech.
- Tachypnoe – odparowała. – Przestań się szczerzyć.
- Teraz nie lubi uśmiechów.
- Nie wszystkich.
- Więc tylko mojego? – zapytałem.
- *Głównie twojego.* – Tak jakby mówiła „*nie myśl sobie, że jesteś taki wyjątkowy*”.

Potarłem sobie wargi, hamując śmiech.

- A jaki jest mój?

Spiorunowała mnie spojrzeniem.

- Jakbyś już mnie pokonał. Jakby udało ci się dobrać do mojej spódnicy. Jakbyś był władcą każdego wolnego kraju i każdego wolnego człowieka. Mam kontynuować?

- Bardzo proszę – odparłem rozbawiony. – Zastanawiałem się nad czym jeszcze władam. Nad każdym wolnym zwierzęciem? Czy tylko tymi w zoo?

- Ooo – zawołała nasza widownia. Zebrało się wokół nas więcej uczniów, nie tylko z Fausta i Dalton, ale innych szkół. Ściskali się w korytarzu, żeby przyglądać się naszej grze.

Zignorowała mnie, zadając pytanie.

- Nienormalny wzrost tkanki spowodowany niekontrolowanym i szybkim mnożeniem się komórek.

- Guz.
- Znany także, jako *ty* – zripostowała.
- Ooo – zawołał ponownie tłum.



Wybuchłem śmiechem. A to jedynie spięło ją od nowa. Praktycznie czytałem z jej wściekłych oczu mówiących *zamknij się*.

Minęło piętnaście minut i oboje zadawaliśmy coraz trudniejsze pytania. W jakiś sposób się do siebie zbliżyliśmy, dzieliło nas tylko parę metrów, kiedy wyrzucaliśmy z siebie pytania i odpowiedzi dotyczące gwiazdozbiorów, kompozytorów, estetycznych teorii, filozofii i amerykańskiej historii.

Była o wiele mądrzejsza, niż początkowo sądziłem. Być może była to nawet najbystrzejsza konkurentka, jaką napotkałem w okresie dojrzewania. Lubiła tak samo fakty i przypadkową wiedzę, jak ja.

- Twoja kolej, Richardzie. – Wypowiedziała moje pierwsze imię ze *złośliwością*, wlewając jad do każdej literki, jakby mordowała sylaby. Nie zależało mi na poprawianiu jej, powiedzeniu, iż wszyscy nazywają mnie Connorem. Byłem oczarowany jej pasją, więc nie zamierzałem jej zatrzymywać. Ani na chwilę.

Spojrzałem na mój skrawek papieru. Był zapisany schludnym, precyzyjnym pismem. To musiał być jej charakter pisma. – Postaci ze sztuk Szekspira.

Próbowała powstrzymać uśmiech.

A więc lubiła Szekspira. – Falstaff. – Podałem postać, teraz musiała nazwać sztukę.

Odparła bez zawahania:

- *Wesołe kumoszki z Windsoru, Henryk IV cz. 1 i Henryk IV cz. 2*. – Szybko zadała mi pytanie. Nie czekaliśmy już na Henry'ego, który potwierdzi odpowiedzi, ponieważ wiedzieliśmy, że są poprawne. – Ariel?

- *Burza*. – Przypuszczałem, że to jej ulubiona sztuka.

Wyciągnęła następną kartkę.

- Kolebka starożytnych cywilizacji.

Staralem się nie chełpić, skoro była już wkurzona. To ja zapisałem tę kategorię.

Wzięła głęboki wdech i spojrzała w sufit, szukając w głowie jakiegoś faktu.

- Mezopotamia... od 1800 do 1686 roku przed Chrystusem. – Jej głos był cichszy, bardziej niepewny w tej kategorii, niż innych.

- Stara Babilonia – odpowiedziałem tym samym ścisłym tonem. Przez chwilę czułem się, jakbyśmy byli sami w tym korytarzu. Spojrzeliśmy sobie w oczy i dostrzegłem w jej spojrzeniu porażkę zanim jeszcze zadałem pytanie. W tym temacie nie była pewna siebie.

Czekałem z pytaniem. Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której słychać było tylko stukanie palców Henry'ego o klawiaturę.

- Poprawnie – powiedział Henry.

Wszyscy chłopcy z Fausta bili brawo. Dziewczyny i faceci z Dalton szeptali pomiędzy sobą i próbowali zachęcać Rose.

Bardziej chciałem ją podbudować, niż powalić, ale lubiłem także wygrywać. I nie zamierzałem przegrać tej gry.

- Kreta, od 3000 do 1100 roku przed Chrystusem.

Po minucie zmarszczyła czoło i potrząsnęła głową.

- Nie wiem. – Każde słowo brzmiało nieodpowiednio, wychodząc z jej ust.

- Okres minojski – oświadczyłem.

Wszyscy za nią jęknęli na głos. Wszyscy za mną wiwatowali.

Próbowałem wyciszyć ich głosy, żebyśmy zostali tylko we dwójkę. Pragnąłem więcej czasu, może nawet w cztery oczy. Chciałem porozmawiać. Chciałem ją odkryć. W tej chwili chciałem tyle rzeczy, iż mój umysł pobiegł w pięciu kierunkach naraz. Byłem przytłoczony.

Bardziej, niż kiedykolwiek.

- Gratuluję! – powiedziała głośno, żebym usłyszał ją ponad aplauzem i jękami zawodu. Wepchnęła mi w pierś elektroniczną kartę. Myślałem, że będzie bardziej walczyć. Spróbowałbym innego sposobu, innej drogi, aby uzyskać to, czego pragnąłem.

- I tyle? – zapytałem, pochylając do niej głowę, żeby dosłyszała.

- Wygrałeś sprawiedliwie. Ale ja pobiję cię *sprawiedliwie* w tym tygodniu. – Nie zamierzała zawierać umowy, wymiany, czegoś *więcej*. Nie poddawała się. Grała według zasad, kiedy ja zawsze szukałem luk.

Zdałem sobie sprawę, że Rose nie była moim wiernym odbiciem. Była kompletnie kimś innym.

- Jeszcze mnie zobaczysz – zorientowałem się. Jeżeli była taka bystra, to będę ją widywał na turniejach naukowych. Widywałbym ją jeszcze częściej, gdybym zaprosił ją na randkę, ale to nie było tak pociągające, jak bycie jej konkurentem. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Więc musisz mi kupić torebki na rzygi. – Zlustrowała mnie wzrokiem. Zawsze byłem sprawny fizycznie i wydawałem się dokładnie taki, jak się ubierałem: zamożny, kulturalny, porządny, bogaty. Elitarny uczeń szkoły z internatem, palant.

- Zawsze wymiotujesz na facetów, którzy ci się podobają – zapytałem – czy tylko na mnie?

Sporunowała mnie spojrzeniem.

- Im bardziej domagasz się komplementów, tym bardziej chcę na ciebie rzygnąć.

- A więc tylko na mnie.

Warknęła.

Uśmiechnąłem się.

Nasi koledzy zaczęli odciągać nas w kierunku dwóch innych pokoi hotelowych. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo byłem znudzony życiem. Jak przyziemne wydawało się moje otoczenie. Jaki stałem się niekwestionowany.

Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z tych rzeczy.

Dopóki jej nie poznałem.

**JEDENAŚCIE LAT PÓŹNIEJ**

Rose Cobalt

*Sluchaj instrukcji swojego męża, Rose Cobalt.*

Kto, no *kto* skazał mnie na ten wieczór? Ty, Rose. Czuję gorzki posmak w ustach. Jestem częściowo odpowiedzialna, przyznaję. Nie dałam mu prowadzić. Myślałam, że jeśli będę siedzieć za kółkiem, to powie mi, gdzie jedziemy.

Zamiast tego daje mi najkrótsze wskazówki. Jadę na ślepo, jestem zdana na niego.

*Sluchaj instrukcji Connora Cobalta, poza sypialnią.* Wolałabym utopić się w gorącej, gotującej się magmie.

- Skręć w lewo za światłami – mówi Connor, przykładając palce do ust. Dostrzegam jego zadowolony uśmiezek oświetlony niebieskim blaskiem deski rozdzielczej.

Korci mnie, żeby zrobić na odwrót i skręcić gwałtownie w *prawo*, ale gdziekolwiek jedziemy, to pragnę być tam tak samo mocno, co on. Końcowy wynik – w który jestem wtajemniczona – znaczy dla mnie więcej, niż rozpoczęcie nowej rywalizacji z mężem. Dlatego chowam przytłaczającą dumę i skręcam escaladem w lewo.

Czuję jak się chełpi.

- Im bardziej szczerzysz się, jakbyśmy mieli przeżyć szybki numer w obrzydliwej publicznej toalecie, tym bardziej moje jajniki usychają i *umierają* – mówię mu. – Więc pomyśl o tym, że niszczysz wszystkie nasze przysze dzieci, Richard.

Opiera ramię na moim zagłówku.

- Jestem tak niezwykle, że sam mój uśmiech czyni cię bezpłodną?

- Obrażałam cię – odpieram, rzucając mu przelotne spojrzenie.

Unosi brew z coraz większą satysfakcją.

- To był częściowo komplement i mylne stwierdzenie.

Prycham.

- Mylne?

- Nielogiczne, irracjonalne, bezsensowne...

- *Wiem*, co znaczy mylne. Po prostu chcę ci odciąć język za wykorzystanie tego słowa przeciwko mnie. – Być może ma rację. Nie jest to racjonalne stwierdzenie, ale mam nadzieję, że moje jajniki pozostaną po mojej stronie, a nie stanowczo po jego.

- Zapominasz, że wykorzystuję swój język dla twojej przyjemności... skręć w prawo.

Skręcam kierownicę w prawo.

- Nie potrzebuję twojego języka – odparowuję. – Mam inne środki do zaspokojenia siebie. – Chociaż masturbacja nie jest tak przyjemna, ale unikam kolejnych komplementów wobec mężczyzny, który odnajduje je w obelgach.

Uderza palcami o zagłówek.

- Czy te środki potrzebują do działania baterii?

Rzucam mu ostre spojrzenie, nie zaprzeczając.

Muska kciukiem mój policzek, a ja trochę się rozluźniam.

- Twojemu argumentowi brakuje dowodu, kochanie. Na tym skrzyżowaniu skręć w lewo.

Powoli się zatrzymuję, czerwone światło oświetla prawie pustą drogę. Jest godzina dwudziesta druga w święto dziękczynienia, wszyscy zajadają się ciastem w rodzinnych domach, a nie włączają się po podmiejskich ulicach Filadelfii z powodu dziwacznej misji.

- Gdzie jedziemy? – pytam po raz czwarty.

- Na parking – odpowiada znowu.

- Już minęłam takich trzydzieści. – Wskazuję na pusty parking przy słabo oświetlonej stacji benzynowej. – Ten nie spełnia wymagań?

- *Określony* parking – poprawia się Connor. Taki, którego adres musiał wpisać w Google na telefonie, który ścisną w ręce. – Już prawie jesteśmy. Myślisz, że twoje jajniki wytrzymają?

- Zamierzasz zapłodnić mnie na tym parkingu? – Piorunuję go spojrzeniem, obracając się do niego, kiedy czekamy na zielone światło. Ma na sobie niebieską koszulę i marynarkę idealnie dopasowaną do jego sylwetki metr dziewięćdziesiąt trzy. Connor Cobalt ma tyle samo klasy, co arogancji. Obie te cechy mnie przyciągają.

Obie irytują.

Jestem paradoksem. I może właśnie dlatego mnie kocha.

- Zamierzam zapłodnić cię jeszcze siedem razy – oświadcza – ale nie dziś. – Bierze w ręce moją twarz i przesuwając kciukiem po mojej wardze w wolnym, miarowym geście.

Moja klatka piersiowa unosi się i opada w płytkim oddechu, szczególnie kiedy patrzy na moje usta. Pragnie ośmiorga dzieci. *Imperium*. Już mamy jedno dziecko, ale istnieją warunki, o których nie rozmawialiśmy jeszcze w pełni, czy chcemy więcej dzieci. Ale innym razem. Innego dnia. Mamy zbyt wiele kryzysów, żeby rozpocząć nowy.

- Za bardzo ci się to podoba – mówię trochę ciszej, niż zamierzałam. Nie jestem nawet pewna, do czego się odnoszę: do naszego proponowanego imperium, do jego kontrolowania naszym przeznaczeniem czy może do tego, że mnie podnieca?

- To tobie brakuje tchu – odpira spokojnie Connor, ale słyszę w jego głosie humor. Po ponad dwuletnim małżeństwie poznałam subtelność jego tonów. Albo postanowił zsunąć dla mnie trochę fasadę. Lubię myśleć, że chodzi o to, i o to.

Ale wątpię czy kiedykolwiek się tego dowiem.

- Zielone – mówi, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

Odwracam głowę i zabiera rękę. Jadę do „gdziekolwiek, do diabła, mnie prowadzi” – a to mój najmniej ulubiony cel.

Po kolejnych pięciu minutach każe mi zwolnić i skręcić prosto na parking. Zdejmuję stopę z gazu i samochód toczy się do przodu.

- W tym miejscu. – Wskazuje przed nami.

Wjeżdżam na parking i rozglądam się po otoczeniu: witryna zamkniętego sklepu, mrok, budynek jest równie ciemny, co bezgwiezdne niebo.

Parkuję samochód w trzecim rzędzie i wyłączam silnik, moje ściśnięte serce obija się o żebra. Wokół nas panuje cisza, rzeczywistość naszych decyzji zaczyna w końcu do mnie docierać.

Connor przygląda mi się, nic nie mówiąc. Może myśli, że się wycofam.

Nie wycofam.

Rozumiem dla kogo i czego to robimy.

- Zróbmy to szybko. – Odpinam pas i obracam się twarzą do niego. – Zanim ktoś się zorientuje, że nas nie ma. – Wyślizgnęliśmy się z domu moich rodziców po szarlotce. Wsadziłam moją półroczną córkę w ramiona mojej matki i zostawiłam ją tam na parę godzin. Tamto było trudniejsze, niż to będzie.

Spinam lśniące włosy w kucyka, wydając głośny trzask gumką i skupiam się na Connorze siedzącym obok. Marszczy brwi, na jego czole widnieją zmarszczki, jego radość zniknęła razem z moją.

Wykrzywiam kręgosłup w sztywnych dziewięćdziesięciu stopniach i z trudem rozkładam skrzyżowane kostki.

- Co teraz? – pytam, choć jestem pewna, co wydarzy się następnie.

- Chcesz instrukcji? – Rzuca mi znaczące spojrzenie mówiące „*klóciłaś się ze mną przez ostatnie pół godziny, bo ci je dawałem*”.

W moich oczach płonie ogień.

- Kiedy chodzi o twojego penisa, to tak, chciałabym dostać instrukcje. – Jeszcze nie zdobyłam mistrzostwa w robieniu mu loda i cała ta sytuacja przyprawia mnie o niespokojny rumieniec, którego prawie nigdy nie noszę.

Robienie mu loda na publicznym parkingu – nigdy nie wyobrażałam sobie, że zrobię coś tak szczeniackiego. Ale kiedy chodzi o ochronę moich bliskich, moja lista *tego nie zrobię* dramatycznie się skraca.

Odpina swój pas.

- Oprzyj się o drzwi i rozłóż nogi. – Wytrzeszczam oczy w zdziwieniu.

- Co?

- Oprzyj się o drzwi...

- Usłyszałam za pierwszym razem – odparowuję. – Ja tylko... - Muszę czytać pomiędzy jego słowami. *Rozłóż nogi*. Oszołomiona potrząsam głową.

Tłumaczenie: *Nie będziesz mi obciążać, kochanie.*

Czeka aż zaakceptuję tę zamianę.

Waham się tylko dlatego, iż lubię postępować według reguł.

- Connor, kazali mi zrobić ci loda. – Gdybyśmy naprawdę tego chcieli, to mogłabym chociaż *udawać*, że to robię. Musimy tylko zachowywać się, jakbyśmy to robili blisko okien.

Przysuwa się do mnie i sięga w dół, łapiąc mnie za kostkę. Zsuwa moje czarne, dwunastocentymetrowe szpilki nim zdążę zaprotestować. A potem kładzie moje stopy na siedzeniu, więc jestem zmuszona do oparcia się o drzwi, tak jak wcześniej prosił. I tak potrzebuję oparcia, bo moje tętno przyspieszyło na jego silne, pewne ruchy.

Nie puszczając moich kostek, rozkłada mi nogi. Obciążam brzeg plisowanej czarnej sukienki, ukrywając przed nim koronkowe, czarne majtki – ale co ważniejsze, ukrywając je przed kimkolwiek na zewnątrz.

W jego niebieskich oczach widnieje zdeterminowane spojrzenie, ambicja i pewność siebie, które są mocniejsze i lepsze od klapsa w tyłek.

Kłęka na siedzeniu i sięga pod moją sukienkę, dotykając palcami majtek.

- Connor – ostrzegam. Myślę tylko: jeżeli zrobimy to źle, nie według ich upodobań, to schrzanimy wszystko w pierwszy dzień.

- Ils jouent notre jeu. On ne joue pas le leur. – *Oni grają w naszą grę, a nie na odwrót.* Dodaje po francusku: - Ensemble. – *Razem.*



Zrobimy to razem albo wcale.

Jestem bardziej w nim zakochana, zdobywając świat u jego boku, niż będąc jego konkurentką. Był gotów dołączyć do mojej drużyny, kiedy tylko skończyłam liceum, ale ja to zastopowałam, wybierając inny college od niego. Nie byłam gotowa na bycie kimś więcej. Pozostaliśmy rywalami. On nie chciał czekać na mój strój akademicki, na wejście w życie dorosłe, dlatego kiedy nadarzyła się okazja, zaprosił mnie na randkę.

Chodziliśmy ze sobą. Wzięliśmy ślub.

Mamy dziecko.

Razem jesteśmy niepowstrzymani. Nie mówi przeze mnie pycha, to czysta prawda.

Kiwam głową, czując przyływ siły.

- Ensemble. – *Razem.*

Całuje moją kostkę, kiedy unosi mi nogę, zsuwając ze mnie majtki. Wciąż ciągnę za sukienkę, bo widać mi część pośladków. Choć nie jestem pewna ile można dostrzec przez okna.

Connor kładzie majtki na desce rozdzielczej, po czym nakrywa dłonią moją rękę, zasłaniając więcej mojego ciała. Zarzuca sobie na bark moją lewą nogę, pochylając się nad środkową konsolą.

Szepcze:

- Oprzyj się i zamknij oczy.

Słucham się, chociaż nie jestem w sypialni, ale to jest sypialniana aktywność. I wolałabym nie być tą u władzy.

Opieram się o drzwi samochodu i przymykam powieki, starając się nie myśleć o osobie, która czai się na zewnątrz.

Connor łapie mnie za biodra i przysuwa bliżej do siebie, żebym lepiej ułożyła plecy i teraz opieram się o klamkę tylko barkami.

W tej cichej chwili gdzieś w pobliżu rozbrzmiewa klakson i gwałtownie otwieram oczy. Próbuję się wyprostować i spojrzeć przez przednią szybę.

Connor chwyta moją twarz, obracając do siebie.

- Skoncentruj się na mnie. A może wolałabyś possać mi kutasa?

Piorunuję go spojrzeniem.

- Czy *ty* chciałbyś się zamienić? – wyzywam, chociaż *w żaden sposób* nie chcę zostać sfotografowana z głową nad jego spodniami. Nie, jeśli istnieje alternatywa.

Jego głowa w moim kroczu. To apróbuję.

- Wiesz, co uważam za lekko drażniące? – pyta spokojnym, opanowanym tonem, ale słyszę napięcie jego słów, jakby irytacja, ukryta emocja, zaciskała pięść na każdej sylabie.

- Swój głos – ripostuję.

Hamuje uśmiech.

- Odpowiadanie pytaniem na pytanie. – Nadal ściska mocno moją szczękę. Moje ciało całkowicie należy do niego. – Tak odpowiadasz na pytanie, Rose.

Słucham uważnie.

- Nie – mówi – nie chcę się z tobą zamieniać. Oni wierzą, że jesteśmy marionetkami. Pokażemy im sznurki, ale *zawsze* będziemy poruszać się według własnych zasad. – Milknie, po raz kolejny wpatrując się w moje usta. – Ale przede wszystkim ty sądzisz, że mój język jest zbędny. – Przybliżyła do mnie twarz i oddycham ciężko, kiedy szepcze: - Zapamiętasz, Rose, dlaczego jest *absolutnie* niezbędny.

Czuję jak się zaciskam.

- Teraz zamknij oczy – rozkazuje.

Teraz nie mam problemu ze słuchaniem go, tłumiąc całe otoczenie – a przynajmniej wyobraźnię, która robi więcej złego, niż dobrego.

Znowu zamykam oczy, a kiedy opuszcza głowę pomiędzy moje nogi, zsuwa rękę z mojej szczęki na szyję. Poddusza mnie z odpowiednią ilością siły. *O Boże*. Jego język i wargi całują mój żar – dygoczę i zaciskam rękę na skórzanym siedzeniu, uderzając potylicą o szybę, wbijając barki w klamkę.

- Proszę – krzyczę nisko, czując jak poprawia uchwyt na mojej szyi, ściskając troszkę mocniej, żebym nie mogła mówić. Robi mi się lekko... *Boże, tak*.

Wrażliwość, z którą posługuje się językiem – to lepsze, niż wszystkie moje zabawki. Wstrząsa każdym nerwem i rozpala moje wnętrze, wywołując rumieńce. Słyszę tylko moje urywane oddechy w ciszy auta.

Otwieram oczy. Tylko po to, żeby ujrzeć jego głowę pomiędzy moimi nogami. Jedną rękę trzyma pod moją sukienką, ściskając mój tyłek. A drugie ramię rozciąga się na moim ciele, gdy pozbawia mnie tlenu.

To ramię podnieca mnie równo mocno, co wszystko inne, zaciskam palce u stóp. *Connor...*

Łapię za jego przedramię i dotykam dużej dłoni oplatającej większość mojego gardła. A wtedy jego komórka rozbrzmiewa przy skrzyni biegów, grożąc upadkiem pod siedzenie.

Zabiera rękę z moich pośladków, żeby po nią sięgnąć, ale nie przestaje mnie zadowalać, w moim gardle narasta drugi krzyk, kiedy natrafia na odpowiedni nerw.

Podaje mi telefon, przypominając mi, że jesteśmy tu drużyną. Rozluźnia palce na mojej szyi, tylko troszkę, żebym mogła się skupić. Trzymam nisko komórkę i odblokowuję ekran jego hasłem: 0610.

Przyszła wiadomość.

*Gdzie się podzialiście z Rose, do diabła?* – Loren

Próbuję stłumić grymas, nie cierpiąc myśli o Lorenie Hale'u, kiedy jestem w taki sposób z Connorem. Właściwie jakiegokolwiek o nim myślenie znajduje się równie nisko na mojej liście rzeczy do zrobienia, co podpalenie samej siebie. (Podpalenie mieści się wyżej.)

Choć nie jest to zbyt prawidłowe, biorąc pod uwagę, że jesteśmy nowymi współnikami. Nigdy nie sądziłam, że coś takiego się zdarzy. Nie jestem całkowicie z tego zadowolona, ale nie jestem też rozczarowana. Nie licząc Connora, moja relacja z Lorenem jest najbardziej skomplikowaną w moim życiu.

Nim zdążę powiedzieć Connorowi o wiadomości, przychodzi następna.

A tym razem trudno mi odczytać słowa. Connor niespodziewanie wypełnia mnie palcami i wyginam plecy w łuk, przechylając głowę na bok, zaciskam powieki, zbyt wiele zwiększonych emocji zalewa mnie gorąca, elektryczną falą. W tej chwili moje ciało należy do niego. Mógłby zrobić ze mną cokolwiek by chciał, a ja chętnie bym mu na to pozwoliła.

- Proszę – błagam. Kiedyś nie cierpiałam dźwięku mojego głosu, kiedy byłam z nim w łóżku. To jaki był słaby i pożądlivy, lecz teraz uwielbiam fakt, iż mogę oddać się komuś w taki sposób. Ja też mam prawo być bezbronna.

Wsuwa głębiej palce, jednocześnie przesuwając językiem po mojej lechtaczce. Ścisną moje gardło i dosięgam oślepiającego orgazmu, rozchylając usta. Nie wydaję żadnego dźwięku, jestem zbyt zdyszana, żeby choćby jęknąć. Unoszę biodra i spinam mięśnie. Pozostawia we mnie palce, kiedy zaciskam się wokół nich.

Connor podnosi głowę, przyglądając się jak łapię oddech, na jego twarzy widać jego własne pragnienie. Patrzy na mnie, jakby wolał przelecieć mnie w naszym domu, niż wracać do moich rodziców. Gdybyśmy nie mieli takich odpowiedzialności, jak przyjaciół i córki, to może byłoby to możliwe.

Ale podoba mi się nasze życie. Poza paroma dużymi zagięciami, które musimy wygładzić zanim Jane osiągnie pewien wiek. Zanim postanowimy mieć więcej dzieci.

To rodzaje zagięć, które mają ostateczne terminy. Jeżeli w końcu ich nie wyprasujemy, to będzie dla nas koniec. Rodzina Cobaltów będzie składać się jedynie z Jane, Connora i mnie.

Chcę, żeby Jane miała siostrę, bardziej niż cokolwiek innego. Najlepsze części mojego dzieciństwa dotyczyły Lily, Daisy i Poppy. I nie mogę sobie wyobrazić, żeby ona dorastała bez rodzeństwa.

Connor patrzy na mnie, jakby odczytywał moje najskrytsze myśli, z szacunkiem i zaintrygowaniem. Dotykam jego dłoni na mojej szyi i splata ze mną palce.

Siada na kolanach.

Znowu sprawdzam jego telefon.

*Co wy, kurwa, robicie? Samantha właśnie otworzyła albumy ze zdjęciami. Będziemy tu tkwić przez następne jebane trzy godziny, jeżeli nie wrócicie.* – Ryke

- Chyba jesteśmy potrzebni.

- Zawsze jesteśmy potrzebni – stwierdza, ciągnąc mnie za ramię, żebym usiadła prosto. Jego usta znajdują się blisko mojej szyi. – Jesteśmy najstarsi, najmądrzejsi i najbardziej odpowiedzialni z naszych współlokatorów.

Obracam głowę, żeby wyzwać go od zarozumialca i może zauważyć, że jego ego dusi mnie bardziej, niż jego ręka.

Gdy tylko odwracam się w jego kierunku, całuje mnie, nie długo, ale wystarczająco, żeby obelga wyparowała. Przygryza lekko moją wargę przed odsunięciem.

Przełykam ślinę i kiedy czuję ścisk w kroczu, nagle coś sobie przypominam. Nie mam na sobie majtek. A siedzę na skórzanym siedzeniu. *Moim* skórzanym siedzeniu. Jestem podniecona, mokra i... odsuwam się od niego i zabieram majtki z deski rozdzielczej. Próbuję ocenić szkodę, którą wyrządziłam mojemu ślicznemu siedzeniu i jakie to będzie dla mnie obrzydliwe, żebym siedziała tutaj podczas drogi powrotnej.

- Nie jesteś taka mokra, Rose – odzywa się.

Trzepię go po piersi.

- Zamknij się...

Znowu chwyta mnie za rękę i bierze sobie na kolana, żebym spojrzała na siedzenie. Zero plam, ale zastanawiam się czy powinnam dać skórę do odpowiedniego...

- Jutro oddam samochód do czyszczenia – mówi mi Connor, łagodząc mój niepokój. Potakuję i zakłada mi na nogi majtki, ubierając mnie. Wyciąga rękę i otwiera drzwi od strony pasażera, po czym wysiada, sadzając mnie na *swoim* miejscu. Gdy obchodzi samochód do strony kierowcy, jego telefon wibruje w mojej dłoni.

*Mam zdjęcie. Jutro je zobaczycie.* – WA

Rozluźniam się.

- Zaakceptowali zamianę.

Connor słyszy mnie, kiedy zamyka drzwi i unosi lekko kącik ust. Był przekonany, że nie będą mieli problemu. Jego pewność, co do życia i własnych decyzji jest niebywała.

Odpala auto z jeszcze szerszym uśmiechem.

- „Wyglądaj jako kwiat niewinny, ale niechaj pod kwiatem tym wąż się ukrywa”.

Przechylałam do niego głowę.

- Makbet. – Ten cytat z Szekspira jest mi bardzo znajomy.

Znowu nosi ten miliardowy uśmiech. Wygraliśmy dzisiaj pierwszą rundę o wiele większej rozgrywki. Przynajmniej tak się wydaje.

Pod koniec dnia wciąż jesteśmy w łóżku z mediami. I nikt o tym nie wie, prócz Connora i mnie.

Ludzie zwracają się do Connora, żeby naprawił ich problemy, żeby rozwiązał sprawy większe od nich, a on zwykle odmawia. Jeżeli nie ma w tym dla niego korzyści, to nie widzi sensu, by pomagać, by ryzykować.

Ale nastąpił jeden wyjątek.

Widziałam jak to się działo. Tamtego dnia. Wiele tygodni temu. Connor wszedł do naszej sypialni i powiedział, że musiał zakopać pewien artykuł. Powiedział, że jedynym na to sposobem było zawarcie umowy z prasą. Ja i on. Jeśli co jakiś czas będziemy karmić brukowce skandalicznymi zdjęciami albo nagłówkami, to oni nigdy nie wydrukują tego jednego zniesławiającego artykułu.

- Artykuł o Jane? – zapytałam, patrząc wściekle. Byłam gotowa zrobić piekło w biurach *Celebrity Crush*, pomaszerować do Nowego Jorku, wytknąć palcem dziennikarza, wrzeszczeć i krzyżeć. Nawet wzięłam już torebkę z mojej toaletki.

Connor mnie zatrzymał i doskonale odczytałam jego wzrok.

Nie chodziło o naszą córkę.

Artykuł był o kimś innym. Wyjaśnił, że *Celebrity Crush* zamierzało wydać historię o synu Lily i Lorena, mojej siostry i szwagra. Że prasa zamierzała uznać ich test na ojcostwo za fałszywy, podając czekoladowe, ciemnobrązowe włosy Maximoffa za dowód bycia synem Ryke'a. Ryke'a, przyrodniego brata Lorena.

Lo ma jasnobrązowe włosy. Kolor włosów jego biologicznej matki. Nie ciemnobrązowe, odcień, który dzielą Ryke, ich ojciec, a teraz i Moffy.

Ten artykuł to naciąganie, fałszywe twierdzenie. Ale potrzęsnałby światem Lily i Lorena. Po tak długiej walce zasługują na zwycięstwo.

Ich syn zasługuje, żeby *nigdy* nie wątpić w swoje pochodzenie.

- Muszę pomóc Lo – powiedział wtedy Connor, marszcząc brwi na własne słowa. Wiedział. Wiedział, że to co robi naprawdę nie pasuje do jego charakteru. Ponieważ oto był mężczyzna, który zawsze waży cenę okazji. To w żaden sposób nie przynosiło mu korzyści. Właściwie to go kosztowało.

I po raz pierwszy, pewnie w całym jego życiu, wybiera cenę, która nie przyniesie mu żadnej nagrody.

- Wiesz, kiedy poprosiłeś mnie, żebym zrobiła to razem z tobą? – odzywam się cicho, kiedy wiezie nas do mojego rodzinnego domu.

Kiwa raz głową.

- Chyba zakochałam się w tobie od nowa – przyznaję. Sama wybrałabym coś takiego. Bez chwili zawahania, żeby ochronić ludzi, których kocham. Kilka lat temu Connor roześmiałby się na te słowa.

Miłość. Nie miała dla niego żadnego znaczenia.

Teraz prowadziła jego wyborami.

*Connor Cobalt*

- Już widzę, że nie ma gustu w ubraniach – stwierdza Rose, gdy nasza półroczna córka siedzi prosto między jej nogami. – Położyłam przed nią tę torebkę od Chanel i brzydki słomiany kapelusz, a ona wybrała brzydki słomiany kapelusz.

Wycieram ręcznikiem włosy, przed chwilą wyszedłem spod prysznicy. Na naszym łóżku z baldachimem Jane siedzi w słomianym kapeluszu, który zasłania jej wielkie niebieskie oczy, a zachwycony uśmiech rozciąga miękkie policzki. Czuję jak sam zaczynam się uśmiechać.

Zastanawiałem się czy będę czuć się osłabiony przez dziecko, niczym zakochany głupiec o miękkim sercu – tych emocji nie okazała mi moja matka. Ale nigdy tak nie było. Kocham Jane i czuję się na tyle silny, żeby prznosić dla niej góry, rozstąpić wodę i przekopać się przez skałę.

Rose przeszywa mnie wzrokiem.

- Cieszę się, że uważasz to za zabawne.

- Uważam was obie za piękne. – Rozkładałam mokry ręcznik na krześle. – Zabawny jest jedynie fakt, iż przeprowadziłaś na naszej córce eksperyment, żeby sprawdzić czy lubi Chanel.

- Byłam ciekawa. – Rose przekłada sobie przez ramię mokre włosy. Wzięła prysznic przede mną. Nie śpimy od czwartej rano.

Po pierwsze, Jane płakała i nie mogła spać. Nic zaskakującego, nawet po sześciu miesiącach.

Po drugie, oboje czekamy, aż nasza późnowieczorna aktywność ukaże się na stronie *Celebrity Crush*. Rose trzyma obok siebie otwartego laptopa i co minutę odświeża stronę.

Zakładam czarne spodnie od garnituru.

- Wybrała słomiany kapelusz przez frędzle.

Rose przygląda się kapeluszu na głowie Jane, jasnożółtej kokardce i zwisającemu, jasnozielonemu frędzlowi.

- Ale torebka Chanel ma złoty zatrzask i jest ładniejsza.

- To po części opinia, nie fakt, kochanie.

Posyła mi spojrzenie, po czym dotyka palców u stóp Jane, która chichocze i bełkocze. Jane próbuje podnieść głowę do Rose, ale kapelusz opada niżej na jej oczy. Gdy zapinam srebrny zegarek na nadgarstku, obserwuję uśmiech Rose, który produkuje tylko dla Jane.

Chwytam się rzadkości w życiu, oryginalnych fragmentów, które otwierają okna na duszę człowieka. Szczery, *ciepły* uśmiech Rose jest rzadkością. To nic stałego. I nie chciałbym, żeby takie było. To przejmujący, nagły zwrot, który zadaje mi mocny cios. Gdyby działo się to często, to nie miałyby tego samego efektu. Już nie było unikalne.

Dziecko, *nasze* dziecko, otwiera w nas rzeczy, które oboje trzymaliśmy w zamknięciu. Dla mnie miłość. Dla niej ciepło. Samolubnie pragnę następnego. Samolubnie zrujnowałbym moją reputację, żeby ochronić każde moje dziecko.

Dla mnie to kwita.

Rose mówi do Jane normalnym tonem.

- Wiedziałam, że nie wyrzuciłam tego kapelusza bez powodu. Możesz go zatrzymać, gremlinku. – Całuje ją w policzek, a Jane prawie mówi coś, co brzmi jak *ja-ja*.

- Czego potrzeba? – pytam, stając w nogach łóżka, zachwycony tą sceną. Nie rozwijam pytania, bo już wcześniej pytałem o to samo.

Rose wpatruje się w pościel, zbierając myśli.

- Trzeba wygładzić parę zagięć zanim pomyślimy o kolejnych dzieciach. – Zawsze tak mówi. To wyuczona formułka. I zawsze mówi *zagięcia* zamiast nazwać rzeczy po imieniu.

Nie poruszę tematu naszych seks taśm. Zostawię to na inny raz. Są prawie poza moją kontrolą – ledwo potrafię przyznać to sam sobie.

Ale drugie „zagięcie” – możemy je wygładzić. Razem.

- Boisz się, że zabieramy Jane decyzję o tym czy chce być w mediach, czy nie. Mimowolnie będzie pojawiać się w czasopiśmie w okresie dojrzewania, ponieważ jest za młoda, żeby powiedzieć „tak” czy „nie”. W doskonałym świecie chciałabyś zaczekać na jej zgodę, żeby zostać wepchniętą w takie centrum uwagi.

Rose przytula mocniej Jane.

- To nie zależy tylko od nas, Connor. – Zaciska zęby. – W zeszłym tygodniu byłam na zakupach z Daisy i podszedł do mnie jakiś dupek z aparatem, i... - Jej oczy płoną i przetyka ciężko ślinę.

Marszczę brwi, czując skręt żołądka na jej urwane zdanie.

- Nie słyszałem tej historii.

- Bo ledwo mogę ją powtórzyć bez wymiotów.

Siadam na brzegu materaca i kładę rękę na jej zgiętym kolanie. Nie chcę wyciągać nielogicznych wniosków. Gdyby ją dotknął, Rose pozwałaby go do sądu. Jednak moja głowa dudni, jakby zalewała ją woda.



Wciąga mocno powietrze.

- Powiedział, że kupił sobie dom parę mil od naszego osiedla i powiedział – cytuję – „Będę w pobliżu w każdej chwili życia Jane. Pewnie dopóki nie wyjedzie na studia.” Ja... - Potrząsa głową. – To obrzydliwe i nie mogę przestać myśleć, że odebraliśmy jej pewną wolność. Jeżeli przynosimy dzieci na taki świat, to nie jestem pewna czy bezpiecznie jest mieć kolejne.

To co zaraz powiem na pewno ją wkurzy. Ale muszę.

- Nie można cofnąć czasu i wrócić do tego, co było. – Wtapienie się w tło, ignorowanie prasy, wszyscy próbowaliśmy tego przez wiele miesięcy. Ostatecznie jeszcze bardziej nas pozarli, uważając za interesujące wszystkie części naszego życia: urodziny, urlopy, obiady w Filadelfii, cięższe, nowe fryzury, wypadek samochodowy. Wszystko.

- A więc to ja nas w to wciągnęłam? – pyta, biorąc na siebie większą winę, niż sądziłem. – Reality show sprawiło, że staliśmy się popularniejsi, do takiego punktu, że teraz ludzie pragną wiedzieć o nas wszystko.

- Pomogło także ludziom ujrzeć Lily i Lo w lepszym świetle. Stali się *kochani*, Rose. Dwójka ludzi, która bardziej potrzebowała tego uczucia, niż którekolwiek z nas. – Nie dodaję, że reality show wzmocniło także sukces mojej firmy. Ten fakt łączy się ze złą sławą seks taśm, oba zadziałały korzystnie na mój diamentowy biznes: oddział Cobalt Inc.

Poprawia w zamyśleniu słomiany kapelusz Jane, a jej oczy zaczynają płonąć.

- Nie widzę rozwiązania. Paparazzi będą podążać za Jane do przedszkola, szkoły podstawowej, gimnazjum, a ona będzie się zastanawiać dlaczego obcy panowie chowają się w krzakach, dlaczego ją śledzą i dlaczego to jest w porządku. Co jej powiemy? – Rose parska pokonanym śmiechem i unosi klapę kapelusza. – „Przykro mi, Jane, tak po prostu jest”.

Jane składa dłonie i wydaje dźwięk, który można porównać do *ma-ma*, ale nie całkiem.

- Nie – mówię nagle, przesuwając się bliżej do Rose, a pomiędzy nami siedzi Jane. – Nie tak będzie. – Przyszłość mojej rodziny jest zagrożona, a nie jestem typem człowieka, który wypuści coś takiego w ocean i poczeka, w którą stronę popłynie.

Pragnę wielu rzeczy. Pierwsze czego pragnę, to ochronić moje dziewczyny. Potem pragnę więcej dzieci. Ostatecznie pragnę, żeby moja rodzina czuła się bezpieczna, kochana i kompletna. Muszę sprawić, żeby Rose poczuła spokój, gdy tymczasem będziemy chronić naszą córkę przed uwagą mediów.

Ale robimy już coś takiego dla Moffy’ego, tworząc plotki i poruszając prasę, a w zamian powstrzymujemy plotkę przed wyjściem na okładkę *Celebrity Crush*. To część umowy, którą zawarliśmy z brukowcami, ale my także możemy wziąć sprawy w swoje ręce.

- Możemy zrobić dla Jane to, co robimy teraz dla Moffy’ego.

Rose słucha uważnie.

- Jane stanie się interesująca, kiedy nic innego nie będzie się dziać w naszym życiu. Stanie się centrum uwagi, kiedy my przestaniemy nim być.

Rose szybko to przemyśla.

- Chcesz podsylać im jeszcze więcej tematów, żeby odwrócili uwagę od Jane i skupiali się tylko na tych nagłówkach, które my stworzymy?

Potakuję.

- Jeżeli nie możemy opuścić mediów, Rose, to musimy skierować je na nas, nie na naszą córkę.

Rose zastanawia się nad tym przez chwilę.

- A co jeśli dorośnie i przeczyta te fałszywe artykuły o swoich rodzicach, tematy, które *my* stworzyliśmy?

- Co jeśli dorośnie i przeczyta o sobie? Musisz wybrać, Rose. – Łapię ją za rękę, splatając nasze palce. Pamiętam, kiedy Jonathan Hale powiedział mi, że nie mogę nic zrobić, by pomóc Lo. Pogodził się z faktem, że jego syn znowu zostanie zmieszany z błotem, teraz razem z jego wnukiem. Nie miał czym się targować. Ale ja miałem. I dalej mam.

Nie tylko Lo tkwi w centrum zainteresowania. Zatem postawiłem mój status celebryty na stole Andrei DelaCorte, nowej redaktor *Celebrity Crush*.

Andrea powiedziała, że jeśli chcę, aby artykuł o Moffym zniknął, potrzebuję czegoś o tym samym kalibrze, żeby go zastąpić.

Zatem uprawiałem seks oralny z Rose na publicznym parkingu, skontaktowałem się z fotografem *Celebrity Crush* i teraz są jedynym czasopismem, który posiada tę historię. Nie tylko o takim zdjęciu mieliśmy dać im znać. Żeby wyrównać rachunki, musimy zrobić jeszcze kilka.

Nadal mogę wykorzystać tę siłę, sławę, którą posiadamy, żeby odwrócić uwagę od Jane. Musimy się tylko upewnić, że nasze historie będą bardziej godne opublikowania. A żeby to zrobić być może będziemy musieli wywołać ekstremalne sytuacje – robić rzeczy, które nie leżą w naszej naturze. Zagrać w inny rodzaj gry. Nieznajomą dla Rose, ale bardzo znajomą dla mnie.

Rose bierze Jane na kolana, zdejmując jej słomiany kapelusz. Przesuwa palcami po policzku Jane.

- Zaslługujesz na wybór, prawda?

Zgodzi się na mój plan.

- Potrzebujemy ograniczonego czasu, żeby to przetestować – mówi. – Nie możemy robić tego w nieskończoność, jeśli nie podziała.

- Sześć miesięcy – odpieram. – Jeżeli zobaczymy postęp i nie będzie pojawiać się tak często w mediach, będziemy robić to tak długo, jak będzie trzeba. I będziemy mieć więcej dzieci. Jeśli nie będzie żadnego postępu albo nie wystarczająco, przestaniemy. – Nie dokańczam reszty, ale ona robi to za mnie.

- I będziemy mieć tylko Jane.

Muszę potaknąć. Muszę się z tym zgodzić. Do tej pory otwarcie mówiła o dzieciach, a jeżeli taki jest jej warunek, to muszę pójść na kompromis z tym, czego pragnę. Następne pół roku będzie dla mnie najważniejsze – w całym moim życiu.

Pochyliam się i całuję ją mocno w usta, wsuwając rękę w jej włosy. Jane gaworzy między nami i Rose odrywa się pierwsza, kiedy Jane zaciska paluszki na czarnym szlafroku Rose.

- Wkrótce zaczniesz mówić – mówię Rose. – Może wypowie jedno pełne słowo.

- Mam nadzieję – odpiera Rose.

Biorę Jane na rękę, a ona chichocze radośnie, szukając oczami czegoś do złapania. Jestem bez koszulki, nie mam długich włosów jak Rose, ale skupia się na moim zegarku, próbując schwytać go w palce.

Jane jest wyjątkowo uważna na otoczenie, tym bardziej jak rośnie. Chwyta się określonych zabawek dla pocieszenia, płacze, kiedy zmienia scenerię albo podchodzi do niej nieznajomy. Ma okropny sen. Ale według mojej zmarłej matki, ja też nie mogłem spać. Katarina mawiała, że to oznaka pięknego umysłu w ciągłej pracy.

Przytulam Jane do torsu, kiedy bada mój zegarek, jej oczy mają jaśniejszy odcień błękitu od mojego.

- Jaki cytat przychodzi ci do głowy, kiedy na nią patrzysz? – pyta mnie Rose.

Recytuję ten, który pierwszy przychodzi mi na myśl.

- „Nigdy nie możemy przestać tęsknić i marzyć, kiedy żyjemy w pełni.” – Uśmiecham się do Jane. – „Są pewne rzeczy, które są dla nas piękne oraz dobre i musimy być ich głodni.”

- George Eliot. – Poprawnie odgaduje cytat. – *Młyn nad Flossą*.

- Bardzo dobrze. Znowu bym cię pocałował, ale jestem zajęty. – Odpinam zegarek i pozwalam Jane przytulić go do siebie.

- Pocałunek to nie jest odpowiednia nagroda. – Próbuje wyglądać na zirytowaną, ale jej uśmiech znowu się pojawia i odgania jakiegokolwiek mroczne spojrzenia. – Przestań tak na mnie patrzeć.

- A więc przestać się tak uśmiechać – żartuję z uśmiechem.

Próbuje zacisnąć wargi w cienką linię.

Zwracam się do Jane.

- Twoja matka najwyraźniej nie woli pocałunków. Lubi inne nienazywane rzeczy.

Czuję, że Rose mi się przygląda, nie słuchając moich słów. I niespodziewanie mówi:

- Kochasz ją.

- Mówisz to trzy razy dziennie, co jest definicją nadmierności.

- Po prostu nie sądziłam, że tak będzie.

- Ja też nie. – To szczerą, gorzką prawdą. Miłość do wielu ludzi oznacza bezinteresowność, a ja zwykle robię tylko to, co leży w moim najlepszym interesie.

Zawsze widziałem dzieci, jako większe wyzwanie. Nie miało dla mnie znaczenia to czy będę je kochał. Rose sprawiła, iż zdałem sobie sprawę, że miłość jest konieczna, nawet jeśli kosztowna. Tak czy inaczej... niemożliwym byłoby, żebym nie zaryzykował życia dla Jane i oddał wszystko, co cenię. Zrobiłbym to wszystko.

Muskam kciukiem miękkie policzki Jane i uśmiecha się, jakby otworzył się przed nią wszechświat.

- Bardzo łatwo cię pokochać.

Całuję ją w czoło i sadzam na łóżku przy Rose. Wstaję, żeby założyć szarą koszulę, a Rose ziewa w rękę, po czym na nowo odświeża komputer.

- Zrobię nam kawę – mówię.

Potakuje wpatrzona w laptopa. Widzę po jej sztywnych barkach, że artykuł jeszcze się nie pojawił. Nie odpręży się, dopóki nie zostanie opublikowany.

Zaplanowaliśmy o wiele większy eksperyment, niż to czy Jane Eleanor Cobalt lubi Chanel. Następne sześć miesięcy będzie testem z wynikiem, który zmieni całe nasze życie.

I zaczyna się właśnie dzisiaj.

*Connor Cobalt*

Gdy włączam ekspres do kawy w przestrzennej kuchni ze stali, drzwi piwnicy uderzają z trzaskiem o ścianę. Spodziewam się, że do kuchni wpadnie nieogolony, wulgarny, metr dziewięćdziesiąt jeden współlokator, z którym mieszkam – już prawie rok – w ponurej tyradzie.

Zamiast tego widzę długie brązowe włosy.

Zostawiam otwartą szafkę, porzucając poszukiwanie kubków do kawy i opieram się o granitowy blat. Patrzę jak Daisy przechodzi chwiejnie przez próg z zaszklonymi, ciemnymi oczami. Jestem średnio zatroskany. W skali dziesięciu dałbym jej 4.5 punktów.

Jeżeli zbliży się do noży, ta cyfra podskoczy do ośmiu.

Ale teraz wygląda dość dobrze. Przeifarbowała włosy na naturalny kolor, a na jej policzku widnieje długa blizna po zamieszkach w Paryżu. Po raz pierwszy widzę chodzącą we śnie Daisy Calloway, ale wątpię, żeby pierwszy raz miało to miejsce. Ostatnie miesiące nie były przyjemne dla najmłodszej siostry Rose.

Daisy chwieje się lekko przy skórzanych stołkach. Drzwi salonu są zamknięte, więc wydaje mi się, że utknie ze mną w kuchni. Czuję podziw, że udało jej się otworzyć drzwi piwnicy. Jej ociężałe powieki opadają ze zmęczeniem, próbując otworzyć się w pełni.

- Daisy – wołam.

Podnosi głowę, ale patrzy obok mnie.

Interesujące. Sięgam za siebie i łapię dwa kubki, kiedy kawa się robi.

- Chcesz poznać sekret?

Wciąż patrzy nieprzytomnie, wyglądając na nieznacznie poruszoną. Byłoby to upiorne, gdyby przerażały mnie zaburzenia umysłowe, ale nic w tym stylu. Ich efekt jest straszny dla niej, nie dla mnie.

Odstawiam kubki na blat.

- Gdy miałem siedemnaście lat, znalazłem kogoś atrakcyjnego w Fauście, mojej szkole z internatem dla chłopców. – Przerzywam, żeby ocenić jej poziom przytomności.

Przysuwa się bliżej do barku przede mną, oddziela nas blat, ale ona wciąż nie jest świadoma otoczenia.

- Theo Balentine był pionkiem – mówię, pocierając usta w zamyśleniu. – Ale interesującym pionkiem, który palił za dużo trawki i cytował za dużo Thoreau. Był inteligentny na swój własny sposób i nie ukrywał tego, kim był. To mi się w nim podobało.

Chwieje się i wpada na stołek. Omija mnie zielonymi oczami.

- Więc przeleciałem go – rzucam nonszalancko – Dosłownie. Rose przyłapała mnie, kiedy wychodziłem z nim z łazienki podczas krajowej konferencji Model UN. Właśnie mu obciągnąłem, a Rose zdawała się tym nie przejmować. – Uśmiecham się na to wspomnienie. – Znała mnie na tyle dobrze, że nie musiałem się tłumaczyć. Zaakceptowała mnie takiego, jakim byłem. – Opuszczam rękę na blat. – Mój okres z tym facetem trwał miesiąc. Znudził mi się.

Daisy zdaje się leciutko świadoma, mruga oczami. Ale to może tylko mój strach – że będzie wiedzieć. Moje tętno przyspiesza. Jednak kontynuuję, jakbym potrzebował powiedzieć o tym komuś innemu.

- Minęły lata, a on jakimś sposobem zdobył pozycję w Hale Co., asystenta dyrektora marketingu. Jakimś sposobem nasz krótki, wspólnie spędzony czas w Fauście dotarł do uszu Jonathana Hale'a. A moje życie stało się pieprzonym bałaganem plotek i faktów, którymi ojciec Lorena może nade mną wymachiwać.

Nie martwię się Jonathanem, nie tak naprawdę. Jest jak szczekający pies, który grozi, ale wie lepiej, żeby nie gryźć. Nie stworzy przeciwko mnie żadnego spisku. Jego relacja z synem została zagrożona, a Jonathan nie może sobie pozwolić, żeby stracić coś takiego.

Ekspres do kawy pipeczy i Daisy odsuwa się do tyłu, milcząc i nie mrugając. Stoję nieruchomo, jakby zaraz miała odpowiedzieć ostrymi słowami, przed którymi będę musiał się bronić. Po chwili mruga raz powiekami, niemrawo i nieobecnie.

- Dzięki, że mnie nie oceniasz – mówię. – Zawsze wiedziałem, że jesteś jedną z tych dobrych. – Gdy obracam się do ekspresu, słyszę szybkie kroki bosych stóp na schodach piwnicy. Spinam się i zaczynam nalewać kawę do kubka.

- Kurwa – przeklina Ryke. Dwudziestosześcioletni chłopak Daisy wpada do kuchni, mając na sobie jedynie parę szarych bokserów, co oznacza, że wyskoczył z łóżka.

Dopiero szósta rano, więc nie dziwię się, że wciąż spał i obudził się, nie widząc przy sobie Daisy.

Jego zwięzione oczy chwilowo przenoszą się na mnie.

- Po prostu sobie, kurwa, stoisz? – Udaje mu się cicho warknąć te słowa.

- Nie interesuje mnie budzenie lunatyków – odpowiadam spokojnie. Daisy miała w historii wiele ataków paniki i wybudzanie jej z takiego typu snu zwiększa prawdopodobieństwo takiego ataku. Sądzę, że Ryke to rozumie. Jest wystarczająco bystry.

Ryke ignoruje mnie i delikatnie kładzie ręce na jej barkach, odsuwając ją od baru, o który wciąż uderza. Ona prowadzi go bardziej, niż on ją i wchodzi głębiej do kuchni, blisko otwartej przestrzeni, gdzie ja stoję.

Opada na parkiet. Ryke kuca w chwili, kiedy Daisy leci do przodu, zapadając w głębszy sen. Łapie ją i łagodnie kładzie jej głowę na podłodze, po czym wstaje.

- Mogłeś zrobić coś *takiego* – mówi mi.

- Woląłem popatrzeć, jak ty to robisz. Teraz jestem całkowicie pewien, że nie zdarzyło się to pierwszy raz.

Przezesuje sobie potargane brązowe włosy z rosnącym rozdrażnieniem.

- Mogłeś cholernie zapytać jak normalny człowiek. – Wciąż mówi ściszym tonem, kiedy ja postanawiam mówić normalnie. Nie chodzi o to, że nie zależy mi na Daisy. Po prostu nie sądzę, żeby zmiana tonu głosu cokolwiek zmieniła.

Nalewam kawy do drugiego kubka.

- Gdzie w tym zabawa?

- To jebanie poważne.

- Je le sais, mon ami. – *Wiem, przyjacielu.*

Wypuszcza ciężki wydech.

Ciężko było zbudować jakąkolwiek relację z Rykiem, która nie dotyczyła jego brata czy siostry Rose. Nasze osobowości zderzają się ze sobą. On jest agresywny. Ja spokojny. On wtrąca się w nie swoje sprawy. Ja trzymam się z daleka. On kocha całym swoim sercem. Ja kocham oszczędnie, z umiarem albo wcale.

Nie rozumiem go w pełni, tak jak on nie rozumie w pełni mnie. Rzadko kiedy otwieramy się przed sobą w rozmowach innych niż o Lo i Daisy, dlatego nie mam pojęcia, iloma językami włada, czy nadal rozmawia z matką, czy planuje karierę poza wspinaczką.

Ze wszystkich ludzi w moim życiu, o nim wiem najmniej.

To lekko irytujące.

Sprawia to, że chcę go dręczyć, dopóki nie da mi czegoś więcej, ale nie jestem w nastroju, żeby wybudzać wzburzoną bestię.

- Musi znaleźć sobie nowego terapeutę – mówię mu.

Napina barki, ale nie przybiera defensywy.

- Lubi swoją terapeutkę.

- Lubienie to nie to samo, co posiadanie skutecznego terapeuty – odpowiadam. – Nie jest wcale zdrowsza i ma za dużo problemów, żeby być zadowoloną. – Rose i ja wciąż słyszymy to samo od Daisy: *Czuję się dobrze*. Kiedy Ryke mówi: *dalej to samo*.

Takie informacje są irytujące dla ludzi, którzy lubią szczegóły.

Ryke potrząsa głową sfrustrowany.

Podaję mu kawę, wiedząc, że pije czarną. Bierze kubek i znajduję kolejny, żeby nalać napój Rose.

- To nie takie, kurwa, proste – mówi. – Ona potrzebuje stabilności, a nie chodzenia po przypadkowych terapeutach, żeby znaleźć odpowiedniego. – Oddycha gniewnie. – A co jeśli trafi na takiego gównianego terapeutę, co Lily?

- Nigdy nie poleciłem tego terapeuty Lily, tylko jej rodzice. – Milknę, zdając sobie sprawę jak mogę uzyskać więcej szczegółów i równocześnie pomóc siostrze Rose. – Daisy może zobaczyć się z moim terapeutą. Znam Fredericka od lat i jest prawie tak samo mądry, co ja.

Ryke spogląda na Daisy, która obraca się na brzuch, wciąż śpiąc.

- Co to za terapeuta?

- Frederick zna się na wszystkim. – Omijam to pytanie. – Będzie umiał zająć się jej problemami. – Przyjmie ją bez wahania. Po pierwsze dlatego, że stać ją na niego. Po drugie dlatego, że jej sprawa jest skomplikowana.

Szczęka Ryke'a twardnieje, zaciska palce na kubku.

- Ufasz mi? – pytam. Chcę dla Daisy tego, co najlepsze. Poza Jonathanem Halem, to Ryke najczęściej kwestionuje moje motywy.

- Czuję, że mną jebanie manipulujesz, Cobalt.

Bo manipuluję. Częściowo. Chcę więcej informacji o Daisy, które być może poda mi Frederick.

- Chcę tego, co najlepsze dla siostry Rose – mówię, a to tylko część prawdy.

Ryke potakuje, jakby próbował mi uwierzyć.

- Będziesz musiał porozmawiać o tym z Daisy. To nie moja decyzja.

Ja też kiwam głową. Ryke i ja zawsze się rano spotykamy, ale zwykle wtedy, kiedy ja idę do pracy, a on na wspinaczkę. Nigdy się do siebie nie odzywamy. Daisy leżąca na podłodze pomiędzy naszymi stopami zmusiła nas do komunikacji o szóstej rano.

W powietrzu przeciąga się sznurek napiętej ciszy.

On popija kawę.

Ja biorę łyk swojej.

- Miewałem lepsze konwersacje z jąkającą się papugą, którą miał Frederick, choć nie była tak inteligentna, jak ty.



Ryke przetrawia moje stwierdzenie szybciej, niż większość ludzi.

- Na pewno uwielbiałeś słuchać powtarzanych własnych, pieprzonych słów.

Uśmiecham się przy następnym łyku kawy, przypominając sobie wysoki skrzek ptaka i jak zajęło mu pięć minut powtórzenie jednego cholernego zdania.

- Jestem narcyzem, nie masochistą. – Myślę chwilę. – Może gdyby papuga się nie jękała...

Ryke śmieje się pod nosem i kręci głową.

A więc pytam:

- Stresujesz się operacją? – Nie lubi rozmawiać na ten temat, szczególnie ze mną, ale jestem ciekawy. W styczniu czeka go przeszczep wątroby, aby pomóc przeżyć ojcu. Jonathan Hale zrujnował sobie własną wątrobę po dekadach nadużywania alkoholu. Jego syn najlepiej pasuje na dawcę.

Ta operacja to akt bezinteresowności, ponieważ:

a] Ryke nie lubi Jonathana

b] Ryke będzie wracał do zdrowia przez sześć tygodni i...

c] Tylko jeśli nie będzie żadnych komplikacji. Osobiście nigdy nie widziałem Ryke'a przykutego do łóżka czy też dostającego polecenie odpoczywania.

To nie leży w jego naturze.

Ryke wzrusza ramionami.

- Chcę tylko, żeby było już po wszystkim, do chuja.

- Omójboże! Omójboże! – Lily wbiega z salonu do kuchni, mając na sobie czarną bluzę Halway Comics sięgającą do ud. Daisy jakimś sposobem nadal śpi, ale Ryke przygląda się jej uważnie, ignorując żonę swojego brata, która rzuca się do nas, jakby była na ważnej misji.

Lily trzyma w ręce tablet, wymachując nim na wszystkie strony, jakby nikt nie zauważył jego obecności.

Od razu sięgam po moją komórkę... którą zostawiłem w sypialni. Zwykle zawsze mam ją przy sobie, ale nie spodziewałem się, że spędzę tyle czasu w kuchni.

Lily przeważnie skupia się na mnie, ignorując przy tym Ryke'a i po paru sekundach przypadkiem wpada na jego nagą pierś. Kiedy podnosi głowę, obrzuca spojrzeniem jego rozneglizowane ciało, zdając sobie sprawę, że stoi w samej bieliźnie. Po czym spogląda na swój własny ubiór.

Serio, tylko ja jestem tutaj odpowiednio ubrany. Nie jestem zaskoczony.

Na jej policzkach wykwitają dwa ciemnoczerwone rumieńce.

- *Omójbóże*. – Tym razem brzmi na zażenowaną. – Dlaczego nie masz na sobie ciuchów?

- Zwierzęta zwykle ich nie noszą – odpowiadam pierwszy.

Ryke pokazuje mi środkowy palec w tym samym czasie, co Daisy podrywa się spanikowana, nie rozpoznając otoczenia. Ryke prędko klęka przed swoją dziewczyną, kładąc ręce na jej twarzy, żeby skoncentrowała się na czymś znajomym.

- O, cholera. – Lily nie wie czy ma pobiec na pomoc siostrze, obawiając się, że pogorszy sytuację. Wyraźnie widzę jej wyrzuty sumienia na widok stresu i dezorientacji Daisy, czoło jej młodszej siostry jest zroszone potem.

- Dais – szepcze Ryke. – Jesteś w naszej kuchni. Nie stało się nic, kurwa, złego, przyrzekam.

Daisy mruga parę razy, próbując słuchać i nie wpaść w atak paniki.

Kładę rękę na plecach Lily, prowadząc ją z powrotem do salonu. Niemal potyka się o własne stopy, lekko zamroczona.

- On uspokoi Daisy – mówię. – My nie wiemy, co się stało, ale on tak. – Wolałbym, żeby Lily wierzyła, że ktoś inny jest po jej stronie, żeby nikt nie wywoływał u niej poczucia winy za to małe wydarzenie.

Lily potakuje parę razy, skupiając się na drzwiach przed nami.

- Dobry pomysł. – Oblizuje spierzchnięte usta. – Nie powinniśmy jej przytłaczać.

Gdy wchodzimy do salonu, zamykam za nami drzwi, nie zabrałem ze sobą kawy. Mieszkanie z dwoma innymi parami sprawiło, że życie na pewno nie jest przewidywalne. Nie mogę narzekać.

- Umm... - Lily powiększa pomiędzy nami przestrzeń. Obciąża brzeg bluzy, ściskając chude nogi, może bardziej z nawyku, niż podniecenia. To seksoholiczka, ale nigdy nie przyznała, żeby była mną podniecona – ani raczej nigdy nie miało to miejsca.

Wiem już, że przyszła tutaj z powodu artykułu, ponieważ czekałem, aż zostanie opublikowany. Jeżeli Rose i ja zamierzamy zająć się tym sami, to Lily nie może być świadoma tego faktu.

- Przykleiłem na mojej limuzynie naklejkę Teamu Raisy – mówię jej. Przez ostatni rok walczy o Raisy, wspierając związek Ryke'a i Daisy, tak jak my wszyscy. Lo również. Ludzie są bardziej pro-Raisy, niż kiedyś. Dorastanie Daisy też pomogło.

- Nie chodzi o Raisy, ale dziękuję. – Kiwa głową z wdzięcznością i wpycha mi do rąk tablet. – Żeby było jasne, szukałam w Internecie wyprzedaży Czarnego Piątku, wcale nie przeglądałam strony *Celebrity Crush*. Ale sądzę, że powinienesz to zobaczyć przed Rose.

Jestem pewien, że Rose już widziała artykuł i przeczytała go z tuzin razy. Utrzymuję pusty wyraz twarzy i lustruję spojrzeniem ekran otwarty na *People*, gdzie został skopiowany oryginalny artykuł. Klikam na link, który prowadzi mnie na *Celebrity Crush*.

Nagłówek: *TYLKO U NAS! Connor Cobalt Przyłapany Na Igraszkach Z Rose Calloway W Miejscu Publicznym*

Drży mi mięsień w szczęce. Użyli jej panińskiego nazwiska. Rozumiem, że była sławna zanim za mnie wyszła, ale podoba mi się świadomość, że jest Rose Cobalt, bo tak wybrała. To co opublikowali jest niedokładne.

Celowo pozwalam sobie na ukazanie irytacji. Już rozmawialiśmy z Rose o tym, co powiemy na obronę. Muszę wyglądać na zdegustowanego, zszokowanego i krótko zaniepokojonego. Wszystkie normalne emocje, które towarzyszyłyby tej nienormalnej dla nas sytuacji.

- Wyglądasz na zdenerwowanego – zauważa Lily. – Czy to prawdziwe? Nie, żebym osądzała. – Podnosi ręce. – Byłam na tym samym miejscu wiele razy, ale nigdy mnie nie fotografowano... - Jej oczy rozjaśniają się na myśl, że Rose i ja przebiliśmy jej seksualne eskapady. – To dziwne.

- Część, w której uprawiałem seks oralny z moją żoną, czy w której robiłem to w miejscu publicznym? – pytam spokojnie.

Lily jeszcze bardziej się rumieni.

- Uch... i to, i to? Nie, czekaj. To zła odpowiedź, co nie?

Uśmiecham się.

- Nie ma tu złej odpowiedzi. To opinia, a ja lubię słuchać twoich.

Rozluźnia się i wskazuje na tablet.

- Czytałeś już?

Potrząsam głową, najpierw skupiając się na fotografii. Uwiecznili Rose w trakcie orgazmu, jej zamknięte oczy, rozchylone wargi i moją rękę ściskającą jej szyję. Jej długie nogi wystają poza ramkę, ale widać pomiędzy nimi moją głowę, a na desce rozdzielczej jej majtki. To wszystko. Cienie i mrok ukrywają większość jej twarzy, na tyle, żeby kwestionować autentyczność zdjęcia. Tak jak właśnie zrobiła to Lily.

Nazwisko fotografa jest zapisane małym druczkiem na dole: Walter Aimes.

Czytam kawałki artykułu, omijając fakty i koncentrując się na opiniach. *Po wydaniu już czterech seks taśm, wydaje się, że Connor i Rose starają się przebić najbardziej znaną seksualną parę celebrytów: Lorena Hale'a & Lily Calloway.*

*Czy to będzie zatarg LiLo-Coballoway? To prawdopodobne! Wewnętrzne źródło rodziny powiedziało Celebrity Crush:*

- *Obie siostry mają noworodki i zasadniczo walczą o popularność w mediach.*

*Gdy one walczą o „miejsce pupilka” wśród fanów, my spodziewamy się więcej skandalicznych zdjęć, dzikich nocy i szokujących wydarzeń od sióstr Calloway i ich mężczyzn. Trzymajcie oczy otwarte!*

A więc tak to przekręcają.

- Więęę... - Lily przeciąga słowo. – Wiem, że to trochę niezręczne...

- Dla mnie nie – mówię, oddając jej tablet.

Przytula tablet do piersi i patrzy na mnie spod przymrużonych powiek, daremnie próbując zwęzić oczy.

- Czy to moc kujonowatych gwiazd?

Rozumiem prawie wszystkich, ale Lily i Lo rzucają takimi odniesieniami, które trudno mi rozpoznać.

- Nie znam odniesień do fandomu – przypominam.

Otwiera szeroko oczy i patrzy przez ramię, jakby ktoś odezwał się za nią. Po chwili odchrząkuje i prostuje się, wydając się wyższa o pół cala.

- Nie chciałam tego powiedzieć. *Chciałam* zapytać, jakim cudem nie czujesz przez to zażenowania? – Podnosi tablet. – Ja byłabym zawstydzona. Rose może być zawstydzona i martwię się o jej reakcję, kiedy przeczyta ten artykuł.

- Nie będzie zawstydzona, tylko wkurzona – odpieram. – A ja osobiście nigdy w życiu nie czułem wstydu. I nie zacznę czuć go teraz.

Jej usta niemal znowu formułują te same słowa: *moc kujonowatych gwiazd*. A wszyscy myślą, że to ja jestem dziwny.

- Jestem zbyt pewny siebie. Niektórzy nazywają to arogancją. Ja nazywam to czterema punktami uroku i sześcioma punktami szacunku do samego siebie. Wierzę, że jestem lepszy od wszystkich i wszystkiego, co mnie otacza. W jaki sposób plankton może sprawić, żeby rekin się zawstydził? Właściwa odpowiedź: nie może.

Lily bardziej mruży oczy, wczytując się w moje słowa.

- Nie nazywaj jej planktonem, do chuja – odparowuje za mną Ryke.

Obracam się bokiem, zauważając Ryke obejmującego ramieniem Daisy, która popija Ziff: River Rush.

- Nie martw się, nie pominąłem was – mówię. – Wszystkich nazwałem planktonem, w tym ciebie i ciebie.

Ryke wygląda, jakby chciał mnie walnąć, pewnie za to, że teraz to Daisy nazwałem mikroskopijnym organizmem. Powinien się cieszyć, że jest tym samym organizmem, co jego dziewczyna.

- Poza Rose, prawda? – pyta Daisy z uśmiechem, teraz nie jest już taka blada.

Zamierzam się zgodzić, że Rose jest równa ze mną, kiedy na górze słysząc trzask drzwi. Rozbrzmiewają stłumione głosy i opuszczam bok Lily, żeby podejść do schodów. Idzie tuż za mną razem z Rykiem i Daisy.

- Myślisz, że chciałem ujrzeć to zdjęcie? Modlę się do Boga, bym mógł zapomnieć to, co właśnie widziałem. – Ostry głos należy do męża Lily, szwagra Rose i mojego najlepszego przyjaciela.

Pod tytułem Lorena mogłoby być także *wróg Rose*, dlatego wbiegam na górę po dwa schodki naraz.

*Connor Cobalt*

- O czym oni mówią, do cholery? – Ryke pyta nikogo konkretnie.

- Connor... uch, zrobił coś Rose – próbuje wyjaśnić Lily. Wskazuje w stronę swojego krocza. A kiedy widzi, że spoglądam na nią przez ramię, cała się czerwieni. – Nie *mojej* pochwie, żeby było jasne. Wiecie, jej pochwie. – Lily marszczy nos. – W mojej głowie ta rozmowa poszła o wiele lepiej.

- I wyraźniej – dodaję.

Ryke nie przestaje kręcić głową.

- Jestem kurewsko skonsternowany.

- Connor depilował woskiem Rose – zgaduje Daisy z głupkowskim uśmiechem. – Albo oczekujecie drugiego dziecka. – Porusza brwiami.

Ja wyginam swoją.

- Ktoś czuje się lepiej.

- Niewątpliwie. – Robi ukłon. Ryke podnosi ją bardzo szybko i przerzuca sobie przez ramię. Ona wybucha śmiechem, zwieszając głowę przy jego tyłku. – Najlepszy widok – duma.

Staję w połowie drogi, kiedy mam wyraźny widok na Rose i Lo. Oboje trzymają swoje dzieci, ich spojrzenia są wściekłe, a postury dziwnie otwarte jak dwójkę ludzi, którzy się nienawidzą.

Zaczynam się uśmiechać. Ich sprzeczki są zabawne przez trzy czwarte czasu. Ta jedna czwarta, podczas której jedno z nich poniża to drugie zawsze mnie niepokoi.

- Och, a więc ktoś *zmusił* cię, żebyś spojrzał na stronę brukowca z nagłówkiem „*Connor na igraszkach z Rose?*” Czy to był Moffy? Daj mi zobaczyć, jak twój pięciomiesięczny syn cię dusi. Wybuchnę śmiechem. – Gdyby nie trzymała Jane, to pewnie skrzyżowałyby ramiona w triumfie. Zamiast tego unosi podbródek.

- Co, do chuja? – odzywa się pode mną Ryke. Rose i Lo są zbyt zaangażowani rozmową, żeby dostrzec naszą czwórkę na schodach, Ryke i Daisy wciąż są na dole.

- Aleś ty zabawna – odpięra ironicznie Lo. – Mogę się założyć, że Connor śmiał się w twoje krocze.

Rose gotuje się ze złości, jej barki są sztywne i spięte. Wchodzę po dwóch ostatnich stopniach ze znikającym uśmiechem. Rose podchodzi do Lo, ale on ma jeszcze coś do powiedzenia, chce spróbować cofnąć tamto zdanie.

- Rose, *aktywnie* unikałem twoich seks taśm od lat...

- Co udowadnia moją rację, że *aktywnie* patrzyłeś na to zdjęcie!

Lo ściska w jednej ręce komórkę, drugą przytrzymując na boku syna.

- Nie wiem dlaczego wydzierasz się na mnie – mówi. – To ty jeździłaś przez trzy przekłete godziny w święto dziękczynienia, żeby zostać zjedzoną. – Krzywi się na własne słowa i nawet mówi bezgłośnie *kurwa*. Stara się nie rzucać w nią werbalnymi obelgami, co doceniam. Ale w tym właśnie jest dobry i to jest jego utrwalony odruch.

Rose celuje palcem w jego twarz.

- Wydzieram się, bo *Celebrity Crush* zrobiło mi zdjęcie podczas orgazmu i opublikowało na swojej pieprzonej stronie. Czy możesz choć przez jedną sekundę mi współczuć?

Lo zaciska zęby, podnosząc Moffy'ego wyżej. Jest jedynie w dresowych spodniach, jego kości policzkowe są zaostrome, włosy krótsze po bokach, gęste na górze. Jego syn ma na sobie niebieskie śpioszki i wyciąga rączki do Lily, ale zamarła jeden stopień pode mną, nie chcąc wtrącać się w kłótnię Lo i Rose.

- Ciężko współczuć, kiedy wyszłaś zrobić sobie sweter na drutach i postanowiłaś nie mówić nikomu o swoich planach. To nic takiego, wiesz, żadne z nas się o was nie martwiło. Nikogo to, kurwa, nie obchodziło...

Czuję opadające kąciki ust. Rose i ja zawsze mamy na wszystkich oko, i nigdy nie przyszło mi na myśl, że będą się denerwować, jeśli się wymkniemy. Myślałem, że to zlekceważą, wyśmieją i zażartują. Kiedy wróciliśmy do domu jej rodziców, Lily podbiegła do Rose i przytuliła mocno, gdy Rose stała sztywno zszokowana.

Wszyscy sądzili, że mieliśmy wypadek samochodowy.

- Już tłumaczyliśmy – mówi Rose. – Wychodząc, myśleliśmy, że nie będzie nas pięć minut, ale wszystkie sklepy były pozamykane, a potrzebowałam koronki do sukienki Jane, nie *włókno*. Nie chciałam wychodzić dzisiaj i mierzyć się z tłumami w Czarny Piątek.

- Chwila – mówi Ryke, bardziej do mnie, niż kogokolwiek innego. Ostrożnie stawia Daisy na podłodze i jego głos nareszcie przykuwa uwagę Rose i Lo. – Mówicie mi, kurwa, że wymknęliście się zeszłej nocy na szybki numer na parkingu?

- Stosunkowo mówiąc – odpieram.

Ryke'owi drgają nozdrza.

- Wydzwaniałem po sześciu jebanych szpitalach, a wy sobie dogadaliście? – Daisy obejmuje go w pasie w pocieszającym uścisku.

- Nie – burczy Rose.

- To naprawdę wyszło poza temat – stwierdzam.

Słyszę mruknięcie Ryke'a:

- Niewiarygodne. – Zwykle miałbym dla niego inną odpowiedź, ale skoro to o wiele inny scenariusz, ze mną i Rose pośrodku, to daję spokój.

Lo podnosi Moffy'ego do ucha, jego synek koncentruje się teraz na nim. Błady, ciemnowłosy chłopczyk dotyka żuchwy Lo i przykładą usta do policzka ojca. Lo potakuje w drwiącym olśnieniu.

- To prawda, mały. Wśród nas są kłamcy.

Dla mnie to bardziej zabawne, niż martwiące. A przynajmniej na razie. Jane mamrocze coś w ramionach Rose, a na jej głowie leży słomiany kapelusz zasłaniający cienkie, rzadkie kosmyki brązowych włosów.

- Powiedziała, że ty się mylisz, a ja mam rację – odparowuje Rose.

Pocieram usta, próbując ukryć uśmiech.

- Po prostu powiedz to na głos, Rose – mówi Lo. – Wyszłaś. Żeby. Sobie. Dogodzić.

Czekam, aż Rose zaakceptuje tę częściową prawdę, jako całą historię, ale zwykle nie taką prawdę głosi. *Zrobiliśmy to dla ciebie*, to właśnie tkwi na końcu jej języka. Ale pewne rzeczy muszą pozostać sekretem. Dla poprawy Lily i Lo oraz prostoty tego całego procesu. Rose i ja nie chcemy mieć w tej sprawie czterech innych opinii. Łatwiej jest tworzyć plany bez nich.

Rose bierze ostry wdech, znowu unosi brodę i mówi:

- Dobra. Wyszłam, żeby sobie dogodzić. Czujesz się lepiej, Lorenie?

- No. – Teraz przenosi na mnie bursztynowe oczy. – Jeżeli potrzebowałeś prywatnej lokalizacji, żeby bzykać się z żoną, mogłem cię pokierować do domku dziewczyn Calloway. Na tyłach. Idealne miejsce.

Nie potrafię ukryć rosnącego uśmiechu.

- Więc dlaczego nigdy mnie nie zaprosiłeś, kochanie?

- Moje drzwi są zawsze otwarte. – Aluzja jest oczywista.

Przechylałam głowę w zamyśleniu. Był czas, kiedy naprawdę sądziłem, że Lo mnie nie zrozumie, może nawet będzie zachowywał się wobec mnie inaczej, jeśli opowiem mu o moich doświadczeniach z mężczyznami. Mam naturalną, niezaprzeczalną obawę, iż relacje, które rozwinąłem, jakimś sposobem zamienią się splecione, niepewne więzi zawierające chłodne traktowanie oraz ostrożne spojrzenia. Wszystko przez dawne romanse i krótkie związki, które nie mają wpływu na to, co robię teraz z moją żoną, przyjaciółmi i dzieckiem.

Niedawno wyznałem Lorenowi prawdę. To druga osoba w moim życiu, która o tym wie.



Nawet się nie wzdrygnął. Wątpię czy o tym wie, ale to jak zachowuje się teraz wobec mnie – jakby nic się nie zmieniło, jakby nasze żartobliwe docinki miały takie same skojarzenia, co chciałem – sprawiło, że szanuję go jeszcze bardziej.

- Na pewno zapukam – mówię Lo.

- Wolę, jak się do mnie dzwoni, skarbie.

- Jeszcze lepiej.

Lily podnosi rękę.

- Zgadzam się z Lo. Domek jest dobrą alternatywą. – Kiwa parę razy głową.

- Ja też – wtrąca Daisy z dołu schodów.

Lily uśmiecha się szerzej na świadomość, że ktoś też tam już był.

- Kiedy ty... z tobą? – Wskazuje pomiędzy Rykiem i Daisy.

Ryke naprawdę próbuje złagodzić minę dla Lily, jego grymas niezadowolenia prawie znika. Ale to na nic.

- A z kim, kurwa, innym?

- Mogę wyliczyć paru bękartów – rzuca Lo, obrzydzony na myśl o byłych chłopakach Daisy. Lecz jego użycie słowa „bękart” sprawia, że wszyscy na niego patrzą, ja też. – Nie *mnie*. – Krzywi się. – Co jest z wami nie tak, do cholery?

- A więc mówimy o metaforycznych bękartach – mówię nonszalancko.

Ryke zaciska powieki.

- Jak ja was wszystkich cholernie nienawidzę... oprócz ciebie. – Kładzie rękę na głowie Daisy. Ona znowu się o niego opiera.

Lo schodzi na dół do Lily. Mówi do brata:

- Wkurzasz się tylko dlatego, że wspomniałem byłych Daisy.

Daisy mówi coś bezgłośnie do Lily, a potem do Rose. Nasza trójka, faceci, ignoruje je.

Dodają:

- A jeśli cofniesz się trochę w czasie, Ryke, to ty zapytałeś o „innego”, z którym mogła się przespać. Więc tak naprawdę powinieneś teraz nienawidzić siebie, ale nie radzę takiego podejścia.

- Nie, jestem całkiem pewien, że cię kurewsko nienawidzę, Cobalt. – Wiem, że to nieprawda po jego odprężonym tonie.

Rose stuka stopą.

- Zatem skończyliśmy?

Lily bierze Moffy'ego od Lo, dziecko przytula się do jej ramienia.

- Chyba tak – mówi Lily.

Wchodzę po schodach w kierunku Rose.

- Ale tak na serio – dodaje Lo. Czuję na plecach jego wzrok. – Następnym razem, kiedy znikniecie, nawet żeby się obściskować: co pewnie musi być dla was wydarzeniem raz do roku, po prostu... dajcie nam znać, gdzie się wybieracie, dobra?

Nie jestem przyzwyczajony, żeby ta przemowa była skierowana do mnie. Zwykle to Ryke mówi coś takiego Lo: *uważajcie, mówcie nam gdzie idziecie, nie uciekajcie, żeby się przelecieć, nie mówiąc nic nikomu.*

Rozumiem ich troskę. Udało nam się opuścić strzeżone sąsiedztwo Calloway'ów bez bycia śledzonym przez paparazzi, a to rzadkie. Mogli za nami jechać. Mogliśmy mieć stłuczkę. Skasować auto. Zginąć.

Wszystko jest możliwe, a Rose i ja nie zdołaliśmy się jeszcze zgodzić, co do tego, kto powinien zostać chrzestnymi Jane, jeśli coś się nam stanie.

- Napiszemy do was następnym razem, kiedy będziemy się spóźniać – zapewniam go. Lo kiwa głową w podziękowaniu, a kiedy docieram do Rose, ona wypala we mnie dziury.

- Nie mów tego – szepcze. Jane ciągnie za wyschnięte włosy Rose i wkłada sobie kosmyk do ust. Rose znowu umyje włosy bez względu na wszystko, więc pozwala Jane na zabawę.

Ściszam głos.

- Nawet o tym nie pomyślałam. Poradziłaś sobie. – *W okłamaniu Lo.* Nie mogę dodać reszty na głos. – Ale zawsze można się poprawić, chyba że jest się mną.

Wywraca oczami i odpowiada szeptem, niemal warcząc:

- Przykro mi, nie uczyłam się oszukiwania w liceum.

Przybliżam się do niej, Jane tkwi pomiędzy nami.

- Szkoda, że nie byłaś chłopcem. Mogłabyś chodzić do Fausta, a wtedy mógłbym pomagać ci w nauce.

Jej żółtozielone oczy lustrują moje ciało.

- Ilu miałbyś pupilków?

- Seulement vous – szepczę. *Tylko ciebie.*

Nigdy nie wzięłam nikogo pod swoje skrzydło w Fauście. Gdyby to nie była szkoła dla samych chłopców albo gdyby naprawdę zostałyaby mężczyzną, żeby móc do niej chodzić,

wziąłbym ją w każdy sposób. Mimo wszystko cieszę się z obecnego obrotu spraw. Cieszę się, że przez kilka lat byliśmy przeciwnikami zanim staliśmy się kimś więcej. Niczego bym nie zmienił. Uwielbiam każdą część mojego życia, to jak je przeżyłem i jedyne czego żałuję, to tego, że nie pozwoliłem sobie pokochać Rose szybciej. A może po prostu tego, że w to nie wierzyłem.

Gładzę kciukiem kark Rose i zaczyna coraz bardziej się rozluźniać. Głowa Jane opada, kiedy zasypia w ramionach matki.

Gdy uczestniczyliśmy w reality show, Rose poprosiła, żebym grał według jej zasad. Mieliśmy być sobą, bez udawania. Nawet kiedy tego chcieli od nas producenci – nawet kiedy pokazywali nas tak, jak chcieli – zawsze mieliśmy być sobą.

Teraz proszę Rose, żeby grała według moich zasad.

Żeby szukać luk, żeby iść manipulacyjnymi, oszukańczymi drogami, żeby zrobić wszystko, by osiągnąć cel. Proszę ją o kłamanie, wyginanie się na boki i mieszczanie się w ciasne pudełka. O zmianę, żeby dopasować się do czyichś potrzeb.

To niełatwe dla kogoś, kto podąża za zasadami, dla kogoś z silną, ognistą osobowością. Nie cierpię ją o to prosić, ale potrzebuję Rose po mojej stronie.

Nie potrafię zrobić tego sam.

- Cobalt – woła Ryke.

Obracam głowę i widzę, że u podnóża schodów Ryke wpatruje się we mnie ze zmarszczonym czołem, zaciskając mocno szczękę. Daisy wtula się w jego klatkę piersiową, stojąc do nas plecami. A więc jest sam w swoich myślach.

Oto prosty fakt.

Ryke nie potrafi zachowywać się inaczej.

Jest moim przeciwieństwem. Ja umiem się zmienić. By być kimś gorszym, kimś łatwiejszym do przełknięcia. Ryke oddaje ci się tak, jakby oddawał butelkę piasku albo worek ostrych odłamków. *Przeżuj i przełknij*, mówi. *Zajmę się tobą, jeśli będziesz krwawić.*

Sens w tym, że Ryke nie może pomóc Rose i mnie. Uczyniłby to tak cholernie oczywistym, że specjalnie pozujemy dla prasy. Zasadniczo nosiłby na czole napis „*Jestem w łóżku z mediami*”.

Potrzebuję w mojej drużynie ludzi, którzy to ułatwią, a nie utrudnią.

On jest kajdanami, ciężarem, kosztem, bez którego się obejść.

Więc kiedy stoi tam, patrząc na mnie wilkiem, jakbym kłamał, martwię się, że zrujnuje coś, co na pewno by wspierał. Dla brata zrobiłby wszystko. Ale tego nie może. Nie leży to w jego umiejętnościach. *Wybacz, Ryke.*

*Sadzam cię na ławce rezerwowych.*

- Tak? – odpowiadam, wywołując na twarzy konsternację, choć wcale jej nie czuję.

Waha się, marszcząc brwi.

- Nieważne... - Potrząsa głową i szepcze coś do ucha Daisy. Ona potakuje i opuszczają salon, wchodząc do kuchni.

Rose patrzy za nimi i mówi cicho:

- On jest za mądry.

Pomiędzy związkiem mediów z Jane i Moffym, naszymi seks taśmami i Rykiem, on jest moim najmniejszym zmartwieniem.

- Pamiętaj, nie jest mądrzejszy od nas.

Nikt nie jest.

## Rose Cobalt

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam – orientuję się z lekkim przerażeniem. Stoję sztywno w wielkiej łazience ubrana jedynie w białą koszulę Connora i białe majtki. Brałam pod uwagę zrobienie tej głupiej, przegłupiej rzeczy w naszej mniejszej łazience na górze, ale wyobraziłam sobie bałagan, smród i postanowiłam, że lepiej nie. Ta wielka była pusta odkąd Connor i ja zmieniliśmy pokoje, decydując się na drugie piętro, żeby być bliżej pokoiku Jane i bardziej zaangażowanymi w domowe sprawy.

- Nic jeszcze nie zrobiłaś – mówi Connor, przeglądając nonszalancko maleńką instrukcję.  
– I daleko temu do głupoty.

Chodzę w tę i z powrotem przed podwójnymi, marmurowymi umywalkami, nieumyślnie gładząc się po długich brązowych włosach. Przy kranie stoi wybielacz, oksydant i toner, chemikalia, których nigdy nie zamierzałam użyć na swoich włosach, ani razu. Nawet, kiedy matka nakłaniała mnie do pasemek, gdy były „popularne wśród dziewcząt w moim wieku” na początku nowego tysiąclecia.

Connor nagle odrzuca instrukcje na blat.

Zamieram.

- Czytałeś je przez dwie sekundy. Przysięgam na Boga, jeśli tylko przeleciałeś po nich wzrokiem, wrzucę cię do wody rojącej się od rekinów.

- Myślę, że lepiej by ci poszło, gdybyś przysięgała na mnie, a nie powietrze. – Odkręca nakrętkę wybielacza w proszku, unosząc kąciki ust.

Nie cierpię tego uśmiechu. Ale też kocham. Warczę, mając dosyć niezdecydowania mojego mózgu na temat mężczyzny, którego kocham nienawidzić. Zastanawiam się nad zabranie mu wybielacza, ale on już miesza proszek z oksydantem w plastikowej misce.

Zamiast tego sięgam po instrukcję, ale Connor mnie uprzedza, łapiąc małą książeczkę i chowa do kieszeni granatowych spodnek, nic więcej na sobie nie ma. Nie zamierzam zwracać uwagi na sześcio... nie, *ośmiopak* przede mną, który jest zarówno pociągający, jak i wstrętny. To niesprawiedliwe, że ktoś tak inteligentny jak Connor Cobalt jest także tak wysportowany. Wszystko to jest celowe. Ćwiczy ciężko, żeby osiągnąć swój wygląd, żeby być tak ułożonym na zewnątrz, jak wewnątrz.

- Przeczytałem instrukcje – mówi, podtrzymując mój wzrok. – Są jasne i proste, Rose. Nie ma absolutnie żadnej możliwości, żeby zrobić to źle.

Ufam mu.

Bardziej, niż komukolwiek na tym świecie ufam Connorowi. Ale...

- Nie jesteś fryzjerem, Richard. Chyba, że przegapiłam część, w której Faust nauczał wszystkich chłopców, jak zrobić sobie trwałą. – Czułabym mniej stresu, gdybym mogła wejść do salonu i zapłacić za delikatne, doświadczony dłonie profesjonalisty. Zamiast tego przez trzy ostatnie dni musiałam odżywiać włosy w obawie, że to domowe farbowanie zniszczy włosy, które wychowywałam przez wiele lat, jak pieprzone dziecko.

Connor odczytuje moją wściekłą, niespokojną minę.

- Ile razy chodziłaś do salonu, a na zewnątrz nie czekali paparazzi?

*Nigdy.* Piorunuję go spojrzeniem.

- Mogłam przyprowadzić stylistę do domu.

- A ile razy stylistę podał cynk prasie?

*Cztery razy.* Wyjawili mój strój na przyjęcie dobroczynne gazecie *Style Now*... Jeden z czterech stylistów robił też zdjęcia bez mojej wiedzy. Nikomu nie mogę ufać i nie trafiłam jeszcze na stylistę na tyle honorowego, żeby wciągnąć go w naszą obecną sytuację z *Celebrity Crush*.

Gdy tak wielu ludzi zamienia się w paparazzi z własnymi komórkami, zrobienie wyjątkowego zdjęcia jest niesamowicie trudne. Dlatego pragnie ich Andrea. Dlatego muszę przełknąć strach i zrobić to w staromodny, niebezpieczny sposób – żeby tylko mieć pewność, że Walter Aimes pstryknie swoją fotkę i *Celebrity Crush* będzie mieć piękny nagłówek o moim brzydkim kolorze włosów.

*Jane i Moffy są więcej warci od twoich włosów,* powtarzam sobie tę mantrę. Akceptuję tę sytuację – że musi się to wydarzyć – kiedy tylko zakłada plastikowe rękawiczki.

- Nie nanieś tego na moje ręce albo skórę – przypominam, chwytając za brzeg blatu i obracam się do umywalki. Toksyczny zapach już skręca mi żołądek, bo wiem, że wkrótce znajdzie się w moich włosach i na skórze głowy. Dlatego to jemu przydzieliłam ciężką część tego procesu.

Staje za mną, jest ode mnie o wiele wyższy, kiedy nie mam na sobie szpilek.

- Jestem doskonale świadom twoich preferencji – mówi, trzymając w ręce miskę. – Na ich pierwszym miejscu znajduje się moje imię.

Patrzę na niego w lustrze, moje oczy są niczym baseny ognia.

- Możesz sobie pomarzyć.

- Nie marzę o rzeczach, które są rzeczywistością – odpiera z większym uśmiechem. Przypuszczam, że moja riposta była słaba w porównaniu, zbyt łatwo zniknęła w jego zarozumiałej aurze. Obwiniam wybielacz i jego bliskość, jego klatka piersiowa prawie dotyka moich pleców.

Jeszcze jeden krok i poczuję za sobą jego biodra. Jego umięśnione ramiona zawsze wydają się większe i bardziej wyrzeźbione bez koszuli: idealne w garniturze, niezbyt potężne i idealne bez garnitur, niezbyt smukłe. Za mną stoi za dużo perfekcyjności – to irytujące.

- Cofnij się – rozkazuję.

Przechyla leciutko głowę i unosi brew.

- Słucham?

- Jeden. Krok. Do. Tyłu – mówię stanowczo.

- Nie – odmawia.

- Nie potrafię myśleć, kiedy jesteś tak blisko – przyznaję. Ostatecznie to ja zbliżam się do umywalki, przyciskając do niej nogi i brzuch.

- Teraz w ogóle nie musisz myśleć. Zamknij oczy.

Uparcie trzymam otwarte oczy, patrząc na niego wściekle przez lustro. W jego ciemnoniebieskich oczach iskrzy się pożądanie na moje ostre spojrzenie, często pokazuje mi tę seksualną tęsknotę. Nie odrywając ode mnie wzroku, ściąga zębami jedną rękawiczkę i daje mi klapsa w tyłek. Wypuszczam gwałtownie oddech, rozkoszny dreszcz przebiega po moich sztywnych kończynach. Wsuwa dużą dłoń pod moje majtki, łagodząc pieczenie.

Tym razem chętnie zamykam oczy, pozwalając, żeby przejął nade mną kontrolę. Pewne lęki zaczynają zniknąć, nawet kiedy nakłada zimną mieszankę wybielacza na kawałek moich włosów. Drugą rękę trzyma pod moją koszulą i majtkami. Podoba mi się, jak trzyma mnie za pośladki, ale i tak ściskam blat białymi knykami.

- Jak wygląda? – pytam.

- Jak nieskończone – odpiera. – Licz od dwustu do zera, a może do tej pory będzie po wszystkim. – Słyszę uśmiezek w jego głosie.

- Marzę o zamordowaniu twojego uśmiechu – mówię.

- Twoje marzenie najwyraźniej się nie spełniło.

Ignoruję ten irytujący komentarz.

- Pocięłabym go na kawałki i sprzedała temu, kto zaoferowałby najwięcej.

- Więc planujesz czerpać zyski z mojego ciała? – Przysuwa się do przodu, tak blisko, że napiera na mnie erekcją. *O Boże...*

- Lepiej skupiaj się na moich włosach, a nie na tyłku – mówię zbyt zestresowana, żeby spojrzeć na jego postępek.

- Jestem mistrzem w wielozadaniowości – przypomina. – Koncentrowanie się na wszystkich częściach twojego ciała jest dla mnie stosunkowo łatwe.

Powiedziałabym, że próbuję mnie udobruchać, ale jestem pewna, że jest na tyle zdolny, żeby osiągnąć obie te rzeczy.

- Którą część mojego ciała byś zamordował? – Mój chłodny ton głosu wyzywa go do odpowiedzi.

- Nie zamordowałbym żadnej części – odpiera – i na pewno bym jej nie sprzedał. – Zaskakuje mnie. Niemal tracę równowagę, ale przenosi rękę z mojego tyłka na nagie biodro, obejmując mnie w talii, która trochę urosła odkąd urodziłam Jane, teraz mam więcej kształtów.

- Nawet języka? – Muszę go drażnić. Samą siebie drażnię przynajmniej trzy razy dziennie.

- Chcesz, żebym sprzedał twój język innemu mężczyźnie? – pyta. – Żeby mógł przeprowadzić tę rozmowę przede mną?

Nie. Nie chcę tego. Bardzo wątpię, żeby innego mężczyznę bawiły te dziwaczne, „*czy rzuciłbyś się na miecz i kapał w krowim mleku*” typy pytań, którymi zawsze rzucam w Connora. A on zawsze się uśmiecha, analizuje je i odrzuca z powrotem do mnie.

Czuję kroplę zimna na szyi i sztywnieję...

- Nic się nie stało – zapewnia mnie szybko. – Nie masz nic na skórze.

Przełykam ciężko ślinę i wciągam ostro wdech. Wlewa się we mnie więcej pewności siebie, kiedy ściska mnie mocniej w pasie.

- Wolałbyś kochać się we krwi kozy czy odciąć mi język? – Zadaję to pytanie, jakbym była bliska sięgnięcia po ostrze i odegrania tych hipotez.

Wyczuwam, że jeszcze bardziej twardnieje.

- Przeleciałbym cię w krwi kozy. Nigdy nie odciąłbym ci języka.

- Podzieliłbyś się mną? – Czuję sztywniejące mięśnie i skręt żołądka, zaciskam palce jeszcze mocniej na blacie na myśl o tym, że ktoś mógłby podawać mnie z rąk do rąk. Pragnę tkwić tylko w jego uścisku, ale pojęcie należenia w całości do *niego* w obliczu innych mężczyzn, wybudza we mnie zakazane części.

- Nigdy nie byłem dobry w dzieleniu się – mówi mi nisko. – W osiągnięciach i tytułach, a już na pewno nigdy nie chciałbym dzielić się tobą. – Czuję jak skręca mi włosy i przypina kosmyki na czubku głowy.



Teraz otwieram oczy, na każdym kosmyku jest równomiernie nałożony krem, nic nie wychodzi poza linię włosów. Poskręcana masa oksydantu i włosów ciąży mi na głowie, ale trzymam szyję prosto.

- Pół godziny – mówi. – A potem wymyję ci włosy. – Zabiera ręce z mojej talii i wrzuca przemoczone rękawiczki do pustej, plastikowej miski. Obejmuje ramionami moje ciało, żeby sięgnąć do umywalki i więzi mnie w tej pozycji, kiedy myje ręce. Spoglądam na godzinę na jego zegarku.

Wciąż na mnie patrzy, jakby nie skończył jeszcze się ze mną bawić.

Ja nie skończyłam mówić.

- A co z trójkątem? – testuję go, pewnie zadając to pytanie.

Ciekawe czy wyobraża sobie ten pokręcony obraz innego mężczyzny z nami. Po zakręceniu kranu i wytarciu dłoni w ręcznik, obejmuje mnie w talii, przyciągając mnie tak mocno do torsu, że jestem obolała w kroczu i ledwo utrzymuję uchwyt na krawędzi blatu.

Trzymam głowę z daleka od niego, nie chcąc pobrudzić go wybielaczem. Mimo wszystko, jego głos brzmi blisko mojego ucha.

- Ten mężczyzna nie miałby z nami szans w łóżku. Nie pozwoliłbym mu, żeby się do ciebie zbliżył, nie dotknąłby cię i na pewno nie przeleciał. – Przeciąga palcami po miękkiej skórze moich ud, chwytając mnie między nogami i drażni się ze mną kciukiem, który wykonuje okrężne ruchy na koronce majtek.

Moja klatka piersiowa unosi się i opada ciężko.

- Co jeśli weźmie mnie od przodu? – Mój głos jest pokryty lodem.

Connor obraca mnie przodem do siebie, wbijam plecy w krawędź blatu, a on podnosi mi nogę, sprawiając, że jego wzwód jest na równym poziomie z moimi majtkami. Przywiera do mnie tak mocno i szybko, że mogłabym błagać na głos, aby znaleźć się z nim naga w łóżku.

Jednak tego nie robię. Mój umysł szybko się ogarnia. Łapię się jego umięśnionych bicepsów, a on zbliża usta do mojego ucha, szepcząc:

- Obróciłbym cię. – Bierze w ręce moje pośladki, jakby chciał mnie przelecieć w taki sposób, w tej chwili, wielokrotnie. W kółko. – *Comme ça. – O tak.*

Jestem tak niewiarygodnie mokra.

Chwytam go za nadgarstek, żeby się zatrzymał.

- Teraz może odpiąć mi biustonosz – odpieram, potrafiąc spojrzeć mu w oczy. – Przegrałeś.

To jedno słowo sprawia, że w jego szczęce drży mięsień, tak subtelnie, że prawie nie zauważam. Odpowiada, nie ruszając się.

- Zawładnąłbym tobą w łóżku, Rose, tak bardzo, że jakikolwiek inny mężczyzna uciekłby w rozpacz. – Wierzę mu. – Bez satysfakcji, bez rozkoszy. – Lustruje mnie wzrokiem, a moje piersi niemal odpinają parę guzików przy głębokich wdechach. – Z obolałymi jajami, kutasem błagającym...

Ktoś puka do drzwi.

- Jeżeli gracie w łazience w Scrabble, to osiągnęliście nowy poziom dziwności – mówi Loren.

- Puść mnie – szepczę do Connora, uderzając go w ramię.

Jeszcze tego nie robi.

- Będziemy gotowi za godzinę – woła do Lo.

Wszyscy wybieramy się do najbliższej sali ze ścianą wspinaczkową, jako sposób uczczenia Ryke'a zanim podda się operacji po Bożym Narodzeniu, święta będą już za dwa tygodnie. Tam też Walter Aimes ma nam zrobić zdjęcia, czego nie wiedzą moje siostry ani ich partnerzy.

Lo mówi przez drewniane drzwi. – Willow przyszła wcześniej do dzieci, więc idziemy teraz.

Otwieram szeroko oczy w przerażeniu. *Teraz.* Moje włosy. Wyciągam rękę, podświadomie chcąc dotknąć głowy. Connor szybko puszcza moją nogę i łapie mnie za nadgarstki tuż przed dotknięciem obrzydliwej mazi.

Serce podeszło mi do gardła.

- Prawie...

- Nic nie zrobiłaś – mówi, przybierając poważny wyraz twarzy. Stałam się bardziej, niż lekko obsesyjno-kompulsywna od czasu ciąży i porodu Jane. Bardzo stresujące sytuacje działają na małe części mojej osobowości i koncentruję się na tym, co nie trzeba.

- Otwierajcie. – Loren znowu puka do drzwi. – Co to za smród? – Urywa. – Czy to wybielacz? – Nienawidzę wężu Lorena Hale'a. To też chcę zamordować.

Connor mówi bezgłośnie „zachowaj spokój”.

– Zawsze jestem spokojna – burczę, a to oświadczenie jest wyraźnie nieprawdziwe. To najgorsza riposta, której użyłam w tym tygodniu.

Zaczyna się uśmiechać, idąc tyłem do drzwi.

- Musisz popracować nad grą aktorską, kochanie.

Prawda.

Za parę sekund moja gra aktorska znowu będzie przetestowana. Modłę się do kogoś tam u góry, żeby dał mi siłę i sukces, ale wciąż słyszę w głowie głos Connora: „*Powinnaś się modlić tylko do mnie*”. Jego egomania zaćmiewa mój osąd i zdrowy rozsądek.

Ale, o dziwo, nadal się cieszę, że należy do mojej drużyny.

Nie zrobię tego sama.

*Connor Cobalt*

Lo kładzie rękę na drzwiach łazienki, otwierając je szerzej, by lepiej dostrzec Rose.

- Jezu Chryste. – Obrzuca wzrokiem jej włosy i produkty stojące na blacie. – Masz kryzys wieku średniego?

- Chciałam coś zmienić – odpiera obronnie Rose. Pod mieszanką białego oksydantu i wybielacza, jej włosy zaczynają przybierać ciemnopomarańczowy kolor. Niektóre kosmyki są nawet jaśniejsze.

- Pomyślałaś, że blondynki mają fajniej? – Lo wchodzi do łazienki za mną.

- Nie – mówi gniewnie Rose. – Jako blondynka mogę wykastrować cię tak samo, jak szatynka. – Posyła mu ironiczny uśmiech.

On odwzajemnia się tym samym.

- Twoja idea zabawy jest popieprzona.

Nagle w progu stają dwie inne osoby. Lily stoi zdyszana w legginsach i prostej, workowatej, czarnej bluzce. Daisy stoi obok w podobnym stroju, tyle że ma krótszą koszulkę z napisem *dzika w sercu* i jej nie brakuje tchu.

Lily trzyma się za bok.

- Jesteście gotowi? Ochroniarze czekają i robią się trochę marudni. – Staje jak wryta, wytrzeszczając oczy na włosy Rose. – Co dooo...

Daisy przyklada ręce do ust, otwierając szeroko oczy.

- Ona... – Lily nie potrafi znaleźć słów.

Lo jej pomaga.

- Straciła rozum.

- Jest blondynką. – Lily udaje się samej ułożyć zdanie.

- Wow – mamrocze Daisy, wciąż zszokowana.

Lo przytula do siebie Lily i nawet całuje ją w policzek. Jest zbyt skoncentrowana na Rose, żeby to zauważyć, co oznacza, że to większa sprawa dla sióstr Calloway, niż sądziłem.

- Kolor włosów jest tymczasowy – mówię. – Zawsze można go zmienić. – Potrzebuję, żeby to poszło gładko... ze względu na Moffy'ego i Jane.

- Ale Rose nigdy wcześniej nie farbowała włosów. – Daisy wyjaśnia coś, o czym już wiem.

- Rose – zaczyna Lily – powiedziałaś, że prędzej obdrzesz kota ze skóry, niż zostaniesz blondynką.

Ona odwraca się z zimnymi oczami.

- Może to zrobiłam. – Jej głos jest pusty i chłodny, ale to nie jest jej najlepsza gra aktorska.

- Dobra, przerażasz mnie – mówi Lily. – Nigdy nie sądziłam, że to się wydarzy. – Jej głos się łamie.

Lo marszczy brwi, patrząc na swoją żonę.

- Czy ty płaczesz?

Lily ociera oczy.

Rose próbuje się nie rozplakać.

Daisy wygląda na zdenerwowaną.

Nie przewidziałem tego. Nie mogłem przewidzieć.

- Po prostu – odzywa się Lily – w życiu można liczyć na tak mało rzeczy i jedną z nich są włosy Rose.

- Jezu Chryste – marudzi Lo.

- To prawda – potakuje Daisy.

Nie wiedziałem, że jej włosy są takie wyjątkowe dla jej sióstr.

- Chciała je zmienić – mówię im. – Nie możecie jej wspierać?

Lily marszczy brwi w większej dezorientacji.

- Naprawdę chciałaś zmienić włosy, Rose?

Daisy wciąż potrząsa głową.

- To nie wydaje się właściwe, co nie?

Rose bierze ostrzejszy wdech i prostuje się, wchodząc do gry.

- Nazywajcie to jak chcecie – odpowiada – kryzysem wieku średniego albo zmianą scenerii, po prostu poczułam się impulsywnie, destrukcyjnie i... - Jej nozdrza drgają. Unosi wysoko podbródek. – I zrobiłam to, co chciałam. Więc *proszę*. – Gdybyśmy byli sami, przeleciałbym ją.

- Więc proszę? – Lo rzuca jej kolejne spojrzenie, jakby jej ciało zostało porwane przez fikcyjne stworzenia. – Czy ty nie czesałaś sobie włosów trzysta razy dziennie?

- Nadal mogę czesać włosy, nawet jeśli są blond i ta absurdałna częstotliwość jest plotką, którą jedna z was – wskazuje pomiędzy Daisy i Lily – wymyśliła za moimi plecami.

Lily marszczy nos.

- Mogłam to być ja.

Daisy patrzy w sufit.

- Albo ja.

- I chyba mówiłyśmy o stu razach, prawda? – Lily pyta Daisy i dodaje bezgłośnie „*kiedy to było?*”

Daisy wzrusza ramionami i potrząsa głową.

- W Nowy Rok? – szepcze.

Rose pstryka palcami.

- Skupić się.

Lily i Daisy obracają się z powrotem do siostry, obie prostują się niczym jej służące albo żołnierze, kiedy tak naprawdę to są kochające, pełne podziwu młodsze siostry. Widzę w nich dlaczego Rose chciałaby czegoś takiego dla Jane. Ja też tego pragnę, pewnego dnia. O to właśnie walczymy.

- Jestem teraz blondynką – mówi dumnie Rose. – Pogódźcie się z tym.

Uśmiecham się.

- Królowa Rose przemówiła – żartuje Lo.

- Wymyję włosy Rose, a wtedy możemy wychodzić – ogłaszam wszystkim.

Lily kiwa głową, rzucając kolejne spojrzenie Rose przed wyjściem. Daisy idzie za nią.

Loren podchodzi do drzwi, ale nie wychodzi. Zamiast tego do środka wchodzi ktoś inny. Pocieram usta, ściągając brwi z frustracją. Gdy spotykam spojrzenie Rose, posyła mi zadowolony uśmiezek, który ja zawsze kieruję do niej. Chełpi się moim podenerwowaniem.

Prawie odwracam się w stronę blatu, bo wzwód staje mi jeszcze bardziej. Gdy potrzebuję jednej pieprzonej sekundy, tracę pięć więcej. Czas rzadko jest po mojej stronie.

Ryke wchodzi głębiej do łazienki, trzymając limonkowe buty Nike'a za jaskrawoniebieskie sznurówki. Zatrzymuje się nagle i opada mu szczęka na widok Rose.

- Co, do chuja.

Rose zakłada ramiona na klatce piersiowej, naciągając koszulę, przez co niestety odpina parę guzików, ale nie jest tego świadoma. Powstrzymuję się przed ściśnięciem palcami nasady nosa.

Gestykuuję pomiędzy nimi dłońią.

- Rose postanowiła pofarbować włosy. Ze wszystkich wydarzeń, które razem przeżyliśmy, to jest naprawdę przyziemne.

- Cholernie dziwne – mamrocze Ryke, zatrzymując spojrzenie na jej piersiach.

Po spaczonym wyobrażeniu, które Rose miała o tym, że miałbym dzielić się nią z innym mężczyzną – co naprawdę mnie nie cieszy – nie jestem w nastroju na błędzące męskie spojrzenie. Niemal chcę stanąć przed nią, co bardziej by ją wkurzyło, niż pomogło sytuacji.

Lo uderza brata po głowie zanim zdązę się poruszyć.

- Ja pierdolę, dajcie mi to przetrawić – mówi Ryke, pocierając się po głowie.

- Co przetrawić? – pytam. – Włosy czy piersi Rose. Wiesz, że kobiety je mają, prawda? Czy dopiero teraz odkrywasz podstawową anatomię człowieka?

Ryke pokazuje mi środkowy palec.

- O, jak dobrze, wie gdzie ma palce – drocę się. Rose zaczyna zapinać sobie koszulę.

- Pieprz się – przeklina on.

- Nie, ty się pieprz. – Napinam mięśnie twarzy. Zdecydowanie nie jestem w nastroju.

Ryke podnosi teraz ręce, rozumiejąc, że nie żartuję.

- Słuchaj, gówno mnie obchodzi, co ktokolwiek robi ze swoimi włosami. Chciałem tylko dać te buty Rose. – Kiwa do niej głową. – Wiem, że nie wypożyczysz butów do wspinaczki ani nie założysz żadnego używanego obuwia, ale Daisy miała zapasową parę. Domyślam się, że skoro jest twoją siostrą, to coś innego. Powiedziała, że macie podobny rozmiar. – Nadal trzyma w palcach sznurówki.

Nie są to buty do wspinaczki, ale smukłe tenisówki z porządną podeszwą, przyzwoita zamiana.

Rose wypala w nich dziurę, jakby ją obraziły.

- Co to ma być?

Ja pierwszy odpowiadam:

- Tenisówki. Trampki. Buty do biegania. W mojej opinii istnieje dla nich nadmiar bezcelowych nazw.

Gdy przenosi na mnie spojrzenie, ma zmrużone oczy. Uśmiecham się, jakkolwiek resztką irytacji zaczyna zamieniać się w lepsze uczucia, które mi się podobają.

- *Twoje* opinie są bezcelowe – odparowuje.

- A twoje stronnicze. Chcesz to ciągnąć?

Lo wtrąca:

- Błagam, nie.

Po dłuższej chwili Rose odrywa ode mnie spojrzenie, skupiając się na Ryke’u.

- Możesz zostawić to coś pod drzwiami.

Lo szturcha łokciem Ryke’a.

- Jesteś zwykłym chłopem w ich królestwie, brachu. Nie bierz tego do siebie.

Rose marszczy brwi.

- Wiesz, co znaczy „chłop”?

Lo wywraca oczami.

- Jezu, nie jestem idiotą. Może wyrzucili mnie ze studiów, ale potrafię liczyć do stu, mnożyć i dzielić.

- Graniczysz z geniuszem – przekomarzam się.

Lo puszcza oko.

- Wiedziałem, że przez cały ten czas bałeś się, że cię pobiję.

- Dobrze sobie radzisz ze słowami – mówię szczerze. – Większość ludzi powinno się ciebie bać. – Nie jestem większością, ale to prawda. Gdy zdobędzie pewność siebie, powinien być nie do zatrzymania.

Lo zastanawia się nad moim stwierdzeniem i kiwa głową, słysząc szczerłość w moim głosie.

Ryke powraca do tematu.

- Musisz je założyć, Rose. Zostawię je tu, ale nie możesz pokazać się w samochodzie albo na sali gimnastycznej w obcasach.

Rose wzdycha ciężko.

- A jeśli...

- Nie – mówi stanowczo Ryke.



Rose patrzy na niego wilkiem.

- Jesteś do kitu.

- Ile ty masz lat? – wtrąca Lo.

Rose pokazuje mu środkowy palec.

Uśmiecham się szeroko.

- Jestem tutaj najstarszy...

Rose przerywa mi zanim skończę zdanie.

- Ja też mam dwadzieścia sześć lat.

- I ja. – Ryke kładzie buty przy drzwiach.

Patrzemy na Lo, który ma tylko dwadzieścia pięć lat.

- No co? – rzuca gniewnie. – Macie we trójkę jakiś klub starszaków? – Trochę tak. Przez cały czas rozmawiamy o Lo, Lily i Daisy. W tej chwili nikt nic nie mówi i przeszywa nas wzrokiem. – Żartowałem.

- Założę tenisówki. – Rose kieruje rozmowę w innym kierunku.

- Dziękuję. – Ryke stuka we framugę, wychodząc.

Lo idzie tyłem do drzwi.

- Dziesięć minut? Będziecie wtedy gotowi?

Potrzebuję więcej, ale wyraźnie straciliśmy czas.

- Piętnaście – poprawiam. – Spotkamy się na dole.

Lo potakuje i kiedy znika w wielkiej sypialni, zamykam za nim drzwi na klucz.

\*\*\*

Rose natychmiast obraca się do umywalki, uderzając paznokciami o marmurowy blat. Staję za nią, gryzący wybielacz piecze jej oczy. Podejrzewam, że pali też skórę jej głowy, ale nie będzie narzekać na ból, dopóki nie będzie mieć oparzenia trzeciego stopnia.

Kiedy góruję nad nią, przyglądając się jej włosom, ona mówi:

- Ogłusz mnie.

Kładę rękę na blacie przy jej talii, moje zdezorientowanie popycha mnie do niej, chociaż powinno być na odwrót. Jej oczy strzelają piorunami przez lustro. Nie jestem pewien czy dobrze ją usłyszałem, dlatego odpieram:

- Parlez clairement. – *Mów wyraźnie.*

Oblizuje czerwone usta.

- *Oceń* mnie – mówi powoli – z występu.

To brzmi bardziej jak Rose.

- Daję ci piątkę z minusem. Miałaś problem z siostrami.

Zakłada ramiona na piersiach, znowu rozpinając guziki, nie ma na sobie biustonosza i tym razem zauważam jej twardniejące sutki. Przysuwam się bliżej do jej pośladków. Sztywnieje, widzę wyraźnie jej kości obojczykowe.

Jej zimny głos nie zmienia temperatury.

- A ja daję ci jedynkę. – Nic nowego.

Wciąż mnie dzisiaj oblewa – w wyzwaniach, które na pewno bym wygrał w jakichkolwiek okolicznościach.

- Próbujesz mnie rozdrażnić, kochanie? – To zwykle moja robota.

- Mówię prawdę.

Brzmi, jak ja. To są moje słowa. Szybko rozkładam jej nogi stopą. Wydusza z siebie odgłos rozkoszy i chwytam ją za pośladki pod koszulą, przykładając usta do jej ucha. – Popelniasz teraz plagiat.

Ten jeden komentarz wzbudza w niej gniew, nie w taki sposób, jaki lubię. Obraca się do mnie, zmuszając, żebym puścił jej tyłek. Wbijają plecy w krawędź blatu. Osaczam ją przebiegłe ramionami, żeby odkręcić kran.

- A więc teraz masz monopol na prawdę? – Kładzie dłonie na moim nagim torsie, jako wściekle ostrzeżenie. – *Nigdy* nie popełniłam plagiatu. Nie możesz zastrzegać sobie prawa do faktów.

Ironicznie, to wszystko jest prawdą.

- Dlaczego przegrałem? – pytam.

Podnosi rękę, żeby podrapać się po włosach i szybko łapię ją za nadgarstek. Wypuszcza krótki oddech, mówiąc:

- Naprawdę przekląłeś Ryke'a. Wyszedłeś z roli, Connor.

Przecież to nie zagroziło bezpośrednio naszemu planowi.

- Byłem sobą – stwierdzam. Twierdzi, że to była prawdziwa reakcja, emocjonalna.

- Nie możesz być sobą – upomina mnie. – O to w tym chodzi. Odgrywamy role, jesteśmy pożywką dla mediów, jesteśmy sprośni i skandaliczni dla publiki. Jesteśmy kimś innym. Ty mnie tego nauczyłeś.

*Ty mnie tego nauczyłeś.* Ona nauczyła mnie bycia prawdziwym. Ja nauczyłem jej bycia fałszywą.

Chciałbym czuć dumę z tego powodu, ale nic z tego. Nie chcę już o tym mówić.

- Pochyl się – rzucam. – Oczy ci łzawią.

Obraca się do mnie tyłem, pochylając i wsadzając głowę do umywalki, a ja zakładam nowe rękawiczki, nie odsuwając się od niej i myję jej włosy jedną ręką. Masuję jej głowę, spłukując wybielacz. Próbuje ścisnąć nogi, ale trzymam pomiędzy nimi stopę.

Uchyła powieki.

- Nie otwieraj oczu – rozkazuję, obawiając się, że wleci do nich wybielacz i woda.

Niechętnie je zamyka.

- Boli mnie szyja. – Próbuje poruszyć barkami.

Wolną ręką obracam leciutko jej głowę, żeby nie wpatrywała się prosto we wnętrze umywalki.

- Lepiej?

- Mmmhm. – Odpręża się przy masażu głowy. Gdy wybielacz jest prawie w całości spłukany, zauważam, że jej kolor włosów nie jest blond, a przynajmniej jeszcze nie. Mieliśmy zostawić wybielacz na dłużej, bo kosmyki są płowe, koloru rdzy.

Rose powie, że są pomarańczowe.

Jest piękna bez względu na kolor włosów, nieważne czy nie miałyby ich wcale, ale będzie wkurzona. Potrzebuję tylko, żeby jej włosy ładnie pachniały, bo inaczej będzie czuć dyskomfort. Kiedy wybielacz zostaje spłukany, ściągam rękawiczkę i namydlam jej głowę szamponem, a jej ciało jeszcze bardziej się rozluźnia.

Mój penis był wystarczająco cierpliwy. Przeciągam suchą, czystą ręką po jej majtkach. Po czym je zrywam.

Otwiera gwałtownie oczy.

- Connor.

- Zamknij oczy.

Słucha się, częściowo dlatego, że szampon zaczyna spływać z jej czoła na nos. Ścieram mydło i nie przestaję masować skóry jej głowy, spłukując resztkę mydlin.

Przesuwam palcami pomiędzy jej udami.

- Stałaś tutaj tak cholernie mokra?

Oddycha płytko.

- Connor...

Wsadzam w nią dwa palce, a ona szuka jakiegoś oparcia. Kieruję jej dłonie na blat, żeby mogła chwycić się marmuru. Z jej nadgarstków spływa woda, kiedy znowu wsuwam rękę w jej włosy.

Nachylam się bardziej do Rose, napierając na jej pośladki twardym kutasem i muskam wargami jej ucho, owiewając je gorącym oddechem.

- Lepiej przygotuj się na coś większego.

Zaciska mocno powieki i sięga po moją dłoń pomiędzy jej udami.

- Czekaj...

Zabieram palce i kładę jej rękę z *powrotem* na pieprzonej umywalce.

- Jeśli masz coś ważnego do powiedzenia, to mów teraz, inaczej zaraz w ciebie wejść. – Chwytam mocniej jej głowę, przez co przetyka głośno ślinę w podnieceniu.

- Zakręć wodę – prosi.

Zakręcam kran, aby mogła się skupić na nas, a nie obawiać utopienia. Potem szybko obracam ją do siebie, opierając jej plecy o umywalkę. Łapię jej twarz mocną dłonią i całuję w usta.

- C'est tout? – *Coś jeszcze?*

Wypuszcza kolejny oddech.

- Ne soyez pas gentil. – *Nie bądź delikatny.*

Nie pamiętam nawet ostatniego razu, kiedy taki byłem.

- Nie zamierzałem. – Opuszczam spodenki oraz bokserki, nareszcie wolny. Pewnymi, twardymi ruchami obejmuję się jej nogą wysoko w pasie, a ona odchyła głowę, którą wspieram drugą ręką. Potem łapię za mój wzwód i wchodzę w nią cały.

Rose krzyczy cicho, odrywając plecy od blatu. Przytrzymuję jej ciało w miejscu i wbijam się w nią głębokimi, prędkimi ruchami, bo potrzebuję szybko to zrobić.

Moje ciało rozgrzewa się razem z jej. Napieram mocniej.

- Cholera – woła Rose z dygoczącymi nogami. Nie umie złapać tchu, otwiera szeroko usta. Wydaję pomruk, kiedy zaciska się wokół mojego penisa.

Odpinam jej koszulę, odkrywając klatkę piersiową, jej piersi są większe i pełniejsze, niż przed ciążą. To jeszcze bardziej mnie podnieca i całuję jej sutek, po czym gryzę. Jęczy i wydaje z siebie odgłos brzmiaący na „tak”. Całuję jej pierś i łapię za jej kształtniejszą talię, wbijając się głębiej.

- Connor – sapie.

Patrzę jak mój długi, pulsujący penis znika pomiędzy jej nogami. Bez końca. W kobiecie, którą kocham. W matce mojego dziecka. W członkini mojej drużyny i równej mi osobie. Uśmiech rozciąga moje wargi. Jeszcze jedno pchnięcie i oblewa mnie oślepiające doznanie, ją także.

Rose drży i przyspiesza jej tętno. Niemal czuję walenie jej serca.

- O Boże – mamrocze.

Prostuję się i patrzę na nią spod uniesionej brwi.

Wciąż ma zamknięte oczy.

Daję jej klapsa w pośladki.

Jęczy po raz kolejny.

- Muszę znaleźć nowy sposób, żeby cię karcnąć. Za bardzo ci się to podoba. – Ściskam jej tyłek, który chciałbym kiedyś przelecieć. Innym razem, wiem.

Podpiera się na łokciach, częściowo nadal znajdując się w moim władaniu.

- Szczerze – dyszy – nie jestem pewna, co powiedziałam.

Powoli się z niej wysuwam, a ona wydaje duszący się odgłos. Pocieram jej lechtaczkę.

- Znowu podziękowałaś Bogu.

- To eufemizm.

- Irytujący eufemizm, skoro to ja doprowadzam cię do orgazmu.

Oblizuje wargi.

- Chciałam ci dać szóstkę z plusem za seks, ale obniżam ocenę do piątki.

- Nie podobają mi się twoje metody oceniania.

- Mnie nie podoba się twoja twarz. – Przesuwa wzrokiem po moich rysach z czystym pożądaniem.

- Może powinnaś to powiedzieć bez wyglądanania, jakbyś chciała, żeby znalazły się w tobie moje dwadzieścia trzy centymetry.

- Może to nie ciebie w sobie pragnę.

Unoszę brwi i zatrzymuję rękę – to oświadczenie jest tak wielkim kłamstwem, że trudno jest zareagować negatywnie.

- Miałaś mnóstwo innych okazji. – I nie skorzystała z żadnej, kiedy byliśmy młodszy. Teoretycznie mówiąc, czekała na mnie. Gdybym był bardziej moralny, sądzę, że czułbym się winny, iż nie oddałem tej samej przysługi. Ale seks nie był dla mnie uczuciowy.

- Co gdybym skorzystała z tych okazji? – pyta z powagą.

Stawiam jej nogi na podłodze.

- Kochałbym cię tak samo, ale samolubnie cieszę się, że tego nie zrobiłaś.

- Bo teraz możesz mieć mnie całą – stwierdza. Nigdy nie oszukiwałem w sprawie swojego narcyzmu. Nie jest to maska ani złuda. Naprawdę czuję się uprawniony do większości rzeczy, a kiedy je mam, to dobrze się nimi opiekuję, dopóki mi się nie znudzą. Potem znajduję sobie nową zabawkę.

Jednakże nigdy nie znudzę się Rose. A więc wziąłem z nią ślub i w tym sensie jestem moralny. Jestem oddany osobie, którą szczerze kocham, a nie komuś, kogo chwilowo lubiłem.

- Tak, mam całą ciebie – odpowiadam – ale, Rose, jestem z tobą poślubiony. Nigdy nie porównuję mojego doświadczenia z twoim brakiem doświadczenia i nie myślę, że jesteś ode mnie gorsza. Zawsze jesteś i *zawsze* będziesz mi równa.

Kiwa głową.

- Wierzę ci.

Zakładam mokry kosmyk włosów za jej ucho. Trzęsie się, czując wilgotne włosy na barkach. Skupiając myśli z powrotem na swoich włosach, jest bardziej świadoma tego, że są pofarbowane. Patrzy mi w oczy, oceniając moją reakcję na ten nowy kolor zanim sama spojrzy.

Jestem całkowicie beznamiętny, jej włosy właściwie są bardziej miedziane, niż rdzawe.

- Powiedz mi – mówi, przełykając z trudem ślinę.

Unoszę jej podbródek palcami, szepcząc:

- „To, co zowiem różą, pod inną nazwą równieby pachniało.”

Trzepie mnie po ramieniu, rozpoznając cytat z *Romea i Julii* Szekspira.

Nie umiem ukryć uśmiechu.

- To popularny eufemizm, Rose. – Przyciągam ją bliżej do siebie, rzucając krótkie spojrzenie w jej rozchyloną koszulę. Zastłania się dłońmi. Przytulam ją, kiedy ona trzyma ramiona przy sobie, co jest dla nas normalne.

- To irytujący, popularny eufemizm, Richardzie – odpiera, a jej usta niemal drżą w uśmiechu.

- Czy to uśmiech?

- Nie – mówi. – Nienawistny grymas.

- Jeśli mamy przechrzcić wszystkie społeczne konstrukcje myślowe, to nazywam tę umywalkę stołem, a sufit podłogą.

- Jesteś okropnie drażniący.

- A ty olśniewająca.

Na jej twarzy pojawia się prawdziwy uśmiech i obejmuję jej policzek, muskając kciukiem czerwone wargi.

- Mam mówić dalej? – szepczę nisko. Niestety nie mamy wystarczająco czasu. Pragnę go z nią więcej. Zawsze.

Potrząsa głową i bierze wdech, bardziej pewna siebie.

- Mogę wrócić do naturalnego koloru w przyszłym tygodniu, prawda?

- Szybciej – odpieram. – Po zrobieniu zdjęcia możesz iść do salonu, kiedy tylko zechcesz.

- Ale *Celebrity Crush*...

- Rose – mówię cicho. – Oni chcą tylko zdjęcie. – Andrea zasugerowała tydzień, odcinek czasu dla odmienionego wyglądu Rose. Powinna zadowolić się światową reakcją po jednym dniu. Będzie o wiele większa niż wstrząs siostr Rose.

Po kolejnym cichym momencie Rose odwraca się do lustra i trzymam ją w ramionach, patrząc jak jej oczy się zwięzają. Spina ramiona i drgają jej nozdrza.

- Są cholernie pomarańczowe – przeklina, chcąc chwycić instrukcję. Tym razem pozwalam, żeby ją przejrzała.

- Zrobiłem wszystko dobrze, oprócz krótszego oczekiwania – wyjaśniam. – Nie mieliśmy czasu i wybielacz zaczynał cię piec.

- Nic mi nie było. – Fuka jednak, dobrze wiedząc, że było inaczej. Wrzuca instrukcję do kosza na śmieci i dotyka włosów. – Przestań się uśmiechać.

- Nie uśmiecham się – odpieram spokojnie.

- I muszę założyć tenisówki. I wspinać się po ścianie. – Przyciska rękę do czoła. Całuję tą dłoń, a potem jej skroń.

- Ensemble – mruczę. *Razem*. – Nadejdzie i mój czas.

To może być dla niej trudne, ale niedługo jeden z tych scenariuszy wróci bumerangiem do mnie.



## Rose Cobalt

Philly Rocks! to siłownia z kiepską nazwą, która zawiera strome, różnokolorowe pochyłości ze sznurami, uprężkami oraz mniej więcej zagrożenie i fatum. Doskonałą nazwą byłoby Philly Die! Albo Philly Nieszczęście & Piekło Bo Nie Mogę Mieć Na Sobie Dwunastocentymetrowych Szpilek!

Co gorsza: obok mnie rozgrzewają się moje dwie siostry, które gapią się na moje pomarańczowe włosy, które spięłam w wysokiego kucyka. Nikt jeszcze nie rzucił w moim kierunku obelgą i zdaję sobie sprawę, że mój morderczy wzrok mówiący *„przejadę cię i cofnę dla poprawki”* zamknął wszystkim buzie. Lo poprosił tylko, żebym założyła czapkę, szybko dodając wyjaśnienie: *„paparazzi pojedą za nami, jeśli zobaczą twoje włosy, a wszyscy chcemy mieć dzisiaj prywatność”*.

Gdyby tylko wiedział.

Posłuchałam, chowając włosy pod jedną z czapek baseballowych Connora, ale przy wejściu na siłownię musiałam ją zdjąć. Wynajęliśmy Philly Rocks! – w pobliżu nie było żadnego przyjęcia urodzinowego ani instruktorów. Ryke ma pozwolenie kierownictwa, żeby nas uczyć.

Connor już poinformował Waltera o miejscu naszego pobytu, a więc plan jest w toku. Podświadomie oglądam się przez ramię na wysokie okna siłowni, leciutko zaciemnione od środka. Ciekawe czy będzie musiał zaczekać ze zrobieniem zdjęcia, dopóki nie wyjdziemy na dwór.

Jeżeli tylko na zewnątrz nie pojawi się brygada fotografów, Walter dostanie swoje ekskluzywne zdjęcie. Plotki o Moffym nie wyjdą na światło dzienne. Wszystko będzie dobrze.

- Ziemia do Rose. – Daisy macha mi ręką przed twarzą.

Otrząsam się z rozmyślań, siedząc z rękami za sobą. Pieprzyć rozciąganie.

- Wyobrażałam sobie, że ta ściana zostaje pochłonięta płomieniami. Kto ma zapalniczki? – Patrzę na Lily.

Lily próbuje wyglądać surowo, siadając prosto.

- Dzisiaj chodzi o Ryke'a. Nie możemy spalić jego ukochanego miejsca.

Prycham.

- Jego ukochane miejsce znajduje się pomiędzy nogami naszej siostry.

Daisy znowu macha ręką.

- Siedzę tuż obok.

- Wiem, chciałam, żebyś to usłyszała – mówię szorstko, przyglądając się moim czarnym, matowym paznokciom, zapamiętując ich piękno, skoro do końca tego dnia zostaną zniszczone.

Daisy związuje brązowe włosy w niedbałego koka.

- Ale Lily ma rację.

- Tak? – Lily uśmiecha się szeroko.

- Zdecydowanie. – Daisy szturcha ją z radośniejszym uśmiechem. – Przez ostatnie tygodnie pogoda była paskudna i naprawdę zrobił się nerwowy. – Ma na myśli, że Ryke nie mógł wspiąć się po prawdziwych skałach.

Wzdycham.

- Dobra – poddaję się. – Może tym nadrobimy za okropne prezenty świąteczne, które dla niego mamy. – Spędziliśmy cztery godziny w centrum handlowym, otoczeni naszymi ochroniarzami i śledzeni przez zachwyconych fanów oraz fotografów. To była męka, w dużej mierze przez nasze niezdecydowanie. Zwykle kupujemy Ryke'owi sprzęt do wspinaczki na święta i urodziny, ale w tym roku wydawało się to bezduszne, biorąc pod uwagę jego operację w styczniu.

Kupiłam mu porządną maszynkę do golenia, ale jestem pewna, że już taką ma, ponieważ zawsze utrzymuje schludny zarost. Zapytałam Connora, co mu kupił, a on powiedział tylko „mam dla niego prezent od roku”.

Od roku.

Nie chciał wyjaśnić tej drażniącej odpowiedzi.

Mój telefon pipczy i kiedy podnoszę go z wykładziny, zauważam naszych mężczyzn pod ścianą siłowni, rozmawiają między sobą. Patrzę na ekran komórki.

Powiadomienia z Twittera:

**@callowayforever:** *Czy to naprawdę Connor się z Tobą zabawiał? @RoseCCobalt*

Tak. Uprawiamy seks, chociaż niektórzy ludzie wierzą, że jesteśmy zimni i nieczuli, i tak jak powiedział Lo – obściskujemy się raz do roku. Powstrzymuję się przed odpowiedzią, zwłaszcza na negatywne komentarze. Nasz publicysta powiedział: przybieranie ofensywy to wasza najgorsza opinia. Stawanie w swojej obronie z wyprostowanym kręgosłupem i obnażonymi pazurami nie jest dozwolone w mediach społecznych, a przynajmniej nie dla mnie.

To trudne.

Korci mnie, żeby nacisnąć „odpowiedz”, ale przechodzę na kolejne powiadomienie.

**@liloloverallday:** *Czy Ty w ogóle kochasz Connora Cobalta? Nigdy tego nie okazujesz. On zasługuje na kogoś, kto chce go całować. @RoseCCobalt*

Boże. Ta osoba zapewne odnosi się do chwili, kiedy odmówiłam mu pocałunku w centrum handlowym. Nikt nie słyszał jak cytował Plato z najbardziej zadowolonym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widziałam. To nie zasługiwało na pocałunek czy uścisk, i dobrze o tym wiedział.

**@rachele4beauty:** *@RoseCCobalt, ale z Ciebie zdzira! Najpierw porno, a teraz seks oralny w miejscu publicznym. Serio?*

Tak, serio.

**@camibrat8:** *@RoseCCobalt nie jest pieprzonym wzorem dla kobiet. Mam dosyć słuchania, jak ludzie ją tak nazywają. Jest tępym, obrzydliwym śmieciem.*

Staram się nie przejmować tymi słowami. Siedząc sztywno, czytam kolejnego tweeta.

**@\_GoodWitchh:** *fuj @RoseCCobalt*

Prawie się uśmiecham na ironię „dobrej wiedźmy” piszącej do mnie „fuj”.

W mojej dłoni wibruje telefon. *Wszystko dobrze?* – Connor

Podnoszę głowę. Wciąż rozmawia z Lo i Rykiem po drugiej stronie pomieszczenia, ale poświęca chwilę, żeby napisać do mnie wiadomość.

*Ludzie nie są rozbawieni naszą dziękczynną aktywnością.* Wysyłam i patrzę jak spokojnie czyta wiadomość, po czym odpisuje. Gdy jego palce przestają się ruszać, mój telefon wibruje.

*Na wypadek, jeśli zapomniałaś, trzy czwarte tego, co mówią o nas ludzie jest niepoprawne, przesadzone albo omyłne.* – Connor

Ma rację. Choć nie odpiszę mu tego. *Mam doskonałą pamięć. Niczego nie zapominam.*

*Zatem pamiętasz, kiedy miałaś czternaście lat...* - Connor

Mój uśmiech znika i zauważam, że jego usta wyginają się w triumfie. –

- Nawet się nie waż – mruczę pod nosem.

- Czy ty piszesz teraz z Connorem? – pyta Lily, obracając głowę najpierw do mnie, potem do niego.

Nie odpowiadam. Pojawia się następna wiadomość.

*...Faust pokonał Dalton w Model UN i chciałem uścisnąć Twoją rękę, żebyś mogła mi pogratulować po tym jak z Tobą zwyciężyłem. A Ty naprawdę to zrobiłaś.* – Connor

- Totalnie ze sobą piszą – śmieje się Daisy.

Podnoszę do niej rękę, pisząc:

*Pamiętam również, że próbowałam tak mocno ścisnąć Twoją rękę, żeby połamać Ci palce. Wysyłam.*

- To ważne... - Komórka znowu wibruje.

*Pamiętam, że nie osiągnęłaś celu. – Connor*

Prycham, rozchylając usta. Zabiję go. W najbardziej uprzejmy sposób. Zaciskam wargi, sunąc palcami po klawiaturze. *Pamiętam, że dzisiaj nie zaliczysz.* Wygrywam. Gdy podnoszę spojrzenie na Connora, on nadal się szczyrzy, jakby był bardzo daleki do straty tego, czego pragnie.

Niech go szlag.

Kiedy miałam czternaście lat, byłam pewna, że pobiję go na Model UN, ale nie byłam wtedy taka bystra. Nasza rywalizacja zmusiła mnie do cięższej pracy. A gdy miałam siedemnaście lat, Dalton prawie wygrał po remisie, ale częściowo myślę, że w tamtym roku Connor był wytrącony z równowagi.

Przylapałam go, jak wychodził z łazienki z innym facetem – ich język ciała mówił więcej, niż pragnąłby tego Connor. Nie sądzę, że chciał, abym ujrzała skryte części jego życia. Ale tamtego dnia została uniesiona kurtyna. Powiedział do mnie cztery słowa. Tylko cztery.

*Nie patrzę na pleć.*

A kiedy ocenił moją reakcję – kiwnięcie głowy i łagodne spojrzenie – odszedł. Nigdy nie pytałam o więcej. Zrozumiałam, że patrzył na świat w inny sposób, rozbierał zawilosci oraz absurdalności społeczeństwa do nagiej prostoty. Żeby czuć pociąg do kogoś nie przez wzgląd na pleć, ale dlatego, że czujesz więź, a tym samym, w pewien sposób, czujesz coś więcej.

Dzięki temu zdałam sobie sprawę, ile jeszcze miałam dostrzec w Connorze, ile prawd miałam odkryć. I pragnęłam dostać od niego jeszcze jeden kawałek, *prawdziwy* kawałek.

Istniał powód, dla którego się ukrywał. Tamtego dnia dowiedziałam się, że świat być może nie jest gotowy zaakceptować Connora, a to ogromna strata.

Ale mam każdą jego prawdziwą cząstkę. Każdą cząstkę, którą kocham. Chociaż świat może go nie rozumieć, ja tak.

Widzę nową wiadomość.

*Nie możesz pamiętać czegoś, co jeszcze się nie wydarzyło. – Connor*

Tłumaczenie: *Wygrywam. Ty przegrywasz, Rose.*

Strzelista ściana wspinaczkowa oświetlona wachlarzem przyprawiających o mdłości kolorów przypieczętowała mój los dużo wcześniej, niż Connor Cobalt. Znam moje słabości i wszystko, co wymaga zdjęcia szpilek znajduje się na samym szczycie tej listy.

*Connor Cobalt*

Gdy chowam komórkę do kieszeni, Lo przykłada swój telefon do ucha. Zestresowany kładzie rękę na głowie.

- Jak to się wycofali?

Opieram się ramieniem o ściankę, kiedy Ryke przestaje rozplątywać dwie uprząże, oboje koncentrujemy się na jego bracie.

- Zawsze pokazujemy reklamy na GBA – odpira Lo. – Daniel mówił, że ta stacja ma najwyższy procent oglądalności przez kobiety. Nie damy reklam dziecięcego szamponu na FOX albo ESPN. – Lo pociera oczy i najpierw spotyka spojrzenie Ryke’a.

Ryke mówi bezgłośnie „rozłącz się”.

Lo potrząsa głową.

- Nic mi nie jest – mówi do niego cicho.

Ich relacja ma się lepiej, niż kiedykolwiek. Widzę to równie dobrze, jak wszyscy inni. Lo spędza więcej czasu z Rykiem i komentarze kierowane do jego brata nie są już nienawistne ani dogryzające, tak jak kiedyś.

Kilka lat zajęło dwóm odseparowanym braciom znalezienie wspólnego miejsca i gdybym był bardziej empatyczny, to pewnie bym się wzruszył.

Lo jęczy.

- To nie powinno się zdarzyć!

Ryke zagryza zęby, zapewne uważając, że z jego bratem nie jest w porządku, ale dobrze sobie radzi zważywszy na naturę jego pracy. Ja też prowadzę wielomiliardową korporację. Dla mnie jest to stosunkowo łatwe. Czasami średnio skomplikowane, lecz rzadko kiedy ciężkie. Dla normalnej osoby byłoby to stresujące, trudne. Dla leczącego się alkoholika, może być to coś, co popchnie go do drinka.

Lo chodzi przede mną tam i z powrotem, mając na sobie czarne dresy i szarą koszulkę. Jego włosy są modne, ale kiedy po raz pierwszy spotkałem go na studiach, fryzura na krótsze boki i dłuższą górę nie była popularna. Zapewne zasługuje za to na uznanie.

Obrzucam spojrzeniem jego zastrzone rysy i śmiertelny wzrok.

To ktoś, z kim nigdy nie nawiązałbym kontaktu w college’u, chyba że mógłby mi się przydać. Jednak nigdy tak naprawdę go nie potrzebowałem. Nie miałem powodu, żeby go wykorzystać. Chociaż siedemnastoletni ja powiedziałby: „Dobrze, znalazłeś bogatego gnojka z kontaktami. Potrzebowałeś go. Wykorzystałeś. Teraz daj mu odejść.”

W wieku dwudziestu sześciu lat jestem bardziej świadom tego, co oznaczają dla mnie pewni ludzie – poza końcowymi wynikami, celami oraz zyskami. Moje życie jest nudne bez Lorena Hale'a. Jeżeli go wypuszczę, to będę szukać kogoś takiego jak on – złośliwego, ufego, wrażliwego i cynicznego – i uświadomię sobie, że Lo istnieje sam, jako wyjątkowy człowiek bez duplikatu. Podobają mi się jego najmroczniejsze cechy, tak samo jak najjaśniejsze i nie opuszczę go tylko po to, by znaleźć kogoś z lepszym pożytkiem.

Jeżeli ostatecznie mnie to zrani, to poradzę sobie z konsekwencjami. Jego przyjaźń jest tyle dla mnie warta.

Lo przykłada rękę do czoła.

- Ile cholernych wtop wydarzy się w ciągu trzech godzin? ...to było pytanie retoryczne. Daj Marka do przeklętego telefonu.

Ryke drapie się po nieogolonej szczęce, próbując nie ruszać się z miejsca. Jego naturalną reakcją byłoby przerwanie Lo, danie bratu luzu od tej pracy. Wypróbowuje nową taktykę: bycie wspierającym, nie traktowanie Lo jak kruchego, łamliwego osobnika.

To wzmocniło jego brata bardziej, niż Ryke zdaje sobie z tego sprawę.

Pod koniec dnia Ryke może być przezorny, ale nie sprawi, że Lo będzie czuć się gorszy. Łatwo jest Lo patrzeć na Ryke'a i zastanawiać się czy jego starszy brat wyróżniałby się w tej samej pozycji, w którą on będzie brnął. Ale jeszcze nie brnie.

Lo obraca głowę i przyłapuje Ryke'a, który patrzy z jeszcze większą braterską troską. Moja jest skryta.

Lo pokazuje Ryke'owi środkowy palec, rozmawiając.

- Dlaczego, u diabła, nasz dyrektor do spraw marketingu jest na urlopie? – Potrząsa głową. – Kim jest jego asystent?

Sztywnieję, jeszcze raz spoglądając na mój telefon. Rose nie odpisała. Po drugiej stronie pomieszczenia trzyma komórkę uniesioną wysoko nad głową, podczas gdy Daisy i Lily próbują ją powalić, żeby zabrać telefon, a Rose odgania je ręką.

Moje usta zaczynają się unosić.

- No to niech Theo zadzwoni do GBA i to wyjaśni – mówi Lo, powoli się zatrzymując.

Staram się nie koncentrować na tym imieniu. Nie rozmawiałem z Theo od lat i nie chciałyby tego zmieniać.

- Jeżeli stacja nie będzie odbierać, atakujcie ich wiadomościami do skutku. – Lo urywa, jego głos jest mniej spięty. – Naprawdę to doceniam. Miejmy tylko nadzieję, że Theo to załatwi zanim wróci Mark. – Lo rozłącza się i kiwa mi głową. – Powiedz mi, że twój personel wydzwania do ciebie ze sprawami, które powinni załatwiać sami.

- Codziennie – odpieram swobodnie.

Dziewczyny podnoszą się i kierują w naszą stronę. Rose oświadcza:

- Jeżeli chcecie przeczytać moje wiadomości, to musimy zamienić się komórkami i ja przeczytam wasze. – Wskazuje na swoje siostry, po czym staje parę metrów ode mnie. Kładzie ręce na biodrach w zwycięskim geście.

Daisy i Lily patrzą po sobie pytająco, kiedy Ryke, Lo i ja przyglądamy im się. Wolałbym, żeby nikt nie czytał osobistych wiadomości, które wysyłam mojej żonie, ale jestem na tyle zaciekawiony, by dokonać takiej zamiany, tak jak zrobiłaby to Rose.

Lily waha się.

- Nie mam nic do ukrycia.

Lo wzrusza ramionami obok mnie.

- Dlaczego mam do niej pisać, kiedy ciągle jesteśmy razem?

Daisy obraca telefonem w dłoni, wyraźnie nie chcąc go oddawać.

- No nie wiem.

Ryke stoi sztywno, widocznie czując to samo, co jego dziewczyna.

- Zacznijmy się, kurwa, wspinać. – W końcu rozplata uprząż i podaje po jednej każdemu z nas. Nie chcę tak łatwo odpuszczać tę rozmowę, ale moja żona najeża się na wzmiankę o wspinaczce i wolałbym tego nie przedłużać.

Lo odkłada swoją uprząż i pomaga Lily, kucając i rozszerzając pętle, żeby mogła w nie wejść. Rose rzuciła swoją uprząż na podłogę i wyciąga z torebki butelkę środka odkażającego do rąk. Obserwuję jak wyciska płyn na dłonie, kiedy zakładam sprzęt.

Ryke rzuca uprząż do Daisy.

- Chcesz zacząć pierwsza, słońce? Możesz mi pomóc zademonstrować.

Rose wtrąca:

- Nie powinniśmy tylko patrzeć jak się wspinasz? – Przeszępuje z nogi na nogę, zestresowana tą sytuacją. Ma na sobie spodnie od jogi i starą bluzkę Princeton, nigdy nie widziałem jej w takim stroju i żeby zaznaczyć tę zmianę, zaczyna gładzić swojego miedzianego kucyka. Jakby samym dotykiem mogła go przywrócić do naturalnego koloru.

Zbliżam się do niej, kiedy Ryke odpowiada:

- Robię się znudzony ścianką wspinaczkową w porównaniu z prawdziwą górą. Lepiej będzie, kiedy wy będziecie się wspinać, a ja zabezpieczać. Ale jeśli nie chcesz tego robić, Rose, to nie musisz.



Rose jest uparta i lojalna. Gdyby jej siostry miały przejść przez ogień, to byłaby tuż obok nich, znosząc cierpienie. Nawet jakby miała szansę się wycofać, nie zrobiłaby tego. Solidarność, koleżeństwo – one znaczą wszystko dla Rose i przez lata katalitycznych momentów, Ryke stał się wielką częścią naszej rodziny.

Więc nie jestem zaskoczony następną deklaracją Rose.

- Nie, zrobię to. – Kiwa parę razy głową.

Lily wydaje dźwięk łączący jęk i zażenowane sapnięcie. Przenosimy na nią spojrzenia, jej policzki są szkarłatne. Lo trzyma ręce na pasach jej uprzęży. Najwyraźniej właśnie je zacisnął, nakładając nacisk na jej krocze.

- Nic nie zrobiłam! – ogłasza, wymachując dłońmi, jakby zastanawiała się nad skuleniem i zakryciem twarzy. Lo pochyla się i szepcze jej do ucha.

Nic nowego.

Po zaciśnięciu własnej uprzęży, klękam i biorę w ręce sprzęt Rose. To nie pierwszy raz, kiedy uczestniczę we wspinaczce z asekuracją na wędkę na siłowni. Ryke, Lo i ja robiliśmy to mnóstwo razy, żeby zmienić rutynę treningów. Rozumiem konieczność zatrząskiwania karabinków, zarówno przekręcanych, jak i wkręcanych, i jestem dobrze zaznajomiony z ósemkowym węzłem i podstawami zabezpieczania. Jedyne Lily i Rose nigdy wcześniej się nie wspinały i potrzebują więcej instrukcji, niż reszta z nas.

Ale Rose nie będzie się dziś wspinać.

Odwracając się do wszystkich plecami, łamię dwie plastikowe klamry: jedną w pasie i jedną w pętli na lewą nogę. Wstając, podaję uprzęż Rose.

- Zepsuta – mówię jej.

Marszczy brwi, przyglądając się uprzęży.

- Co? Gdzie?

- Są połamane. – Pokazuję jej klamry. A ona wypuszcza głęboki wydech i podnosi spojrzenie na sufit.

- Czy ty teraz dziękujesz Bogu? – pytam.

Potrząsa mi przed twarzą uprzężą.

- Coś takiego ludzie nazywają losem, Richard.

Coś takiego nazwałbym większą siłą. Mną. I sobą. Z przyjemnością ogłosiłbym ten sukces na głos, ale nie mogę. Uparłaby się na wspinaczkę, gdybym to ja stał za tym czynem.

- Ja nazywam to zepsutą uprzężą – odpieram.

- Co jest zepsute? – Ryke podchodzi, trzymając w ręce sznur przypięty do szczytu ścianki.

Rose podaje mu uprząż.

- No, nie możesz tego ubrać.

Rose niemal wzrasta o cztery cale po tym fakcie.

- Z tyłu mamy więcej...

- Nie – przerywa mu. – Los przekazał mi, że nie mogę się wspinać. Wiem, że to brzmi śmiesznie, ale zepsuta uprząż była znakiem, że nie powinnam tego robić.

Ryke przytakuje.

- Mój przyjaciel Sully też jest przesądny, kiedy się wspina.

- Czemu? – pytam. Rzadko mówi o Adamie Sullym, swoim przyjacielu, z którym spotyka się na całym świecie, najczęściej w krajach Południowej Ameryki, żeby wspinać się po górach. Nigdy go nie widziałem. Ryke oddziela od nas tę część swego życia.

- Lubi całować swoje karabinki przed wyjściem z pieprzonego domu i trzy razy okrąża swoim Jeepem parking.

Ledwo mogę ukryć grymas. To brzmi dziecinnie i bezcelowo, i na pewno zmusiłaby mnie do tego Rose. A ja zdecydowanie bym to dla niej zrobił.

- Masz dziwnych przyjaciół – mówię mu.

- Wiem – odpiera Ryke, patrząc mi prosto w oczy.

Nazwał mnie swoim przyjacielem. To rzadki dzień.

Rose macha do nas.

- Możecie sami sobie to załatwić. Ja będę patrzeć stamtąd. – Kieruje się dumnym krokiem do drewnianej ławki zwróconej do tej szczególnej ścianki, raz jeszcze jest pełna pewności siebie. Poprzez nagłą radość rzuca kilka ukradkowych spojrzeń na przyciemnione okna, szukając Waltera Aimesa, fotografa, który miał po kryjomu zrobić ekskluzywne zdjęcie włosów Rose.

Nasza reszta podchodzi bliżej do ścianki, żeby patrzeć jak Ryke i Daisy demonstrują wspinaczkę Lily. Mój telefon wibruje i sprawdzam wiadomość.

*Ile wczoraj spałaś? Masz mniej energii, niż wczoraj, więcej, tyle samo?* – Frederick

Ta wiadomość nie była przeznaczona dla mnie. Rzucam krótkie spojrzenie Daisy, która jest już w połowie drogi na szczyt ścianki.

*Najwidoczniej Ty nie spałeś zbyt dobrze.* Wysyłam wiadomość do mojego terapeuty, który jest w kontakcie z Daisy. W zeszłym tygodniu miała pierwszą sesję i wygląda na to, że go polubiła.

- Czy to ma być łatwe? – pyta Lily, patrząc jak Daisy sięga szczytu i wymachuje dzwonkiem. Lily potrząsa gorączkowo głową i wtula się w pierś Lo.

- Dasz sobie radę, skarbie. – Lo całuje ją w policzek.

Kolejna wiadomość rozbrzmiewa w mojej komórce.

*Udawaj, że tego nie widziałeś.* – Frederick

Odpisuję: *Tylko jeśli podasz mi jej odpowiedzi.*

*Nie. Już zrobiłem Ci przysługę, biorąc Twojego kota.* – Frederick

Mój uśmiech znika. Nie mogliśmy trzymać Sadie przy noworodkach, kiedy ma skłonności do zazdrości i lubi drapać, więc tymczasowo dałem ją Frederickowi.

Piszę: *Ja zrobiłem Ci przysługę, kierując do Ciebie Daisy.* Rozmawiałem o najmłodszej siostrze Rose podczas sesji z Frederickiem więcej niż parę razy i jego zainteresowanie wzrosło. Lubi skomplikowane osobowości i zaburzenia. Frederick nie jest stuprocentowym altruistą. Kieruje nim wiedza. Dlatego lubię go, jako przyjaciela, chociaż płacę za jego towarzystwo.

*Według Twoich podliczeń jesteśmy kwita. Nie jestem Ci nic winien. I nie powinieneś zawierać ze mną umów, Connor. Już to przerabialiśmy.* – Frederick

Nie wolno mi manipulować moim terapeutą, chociaż jest to niewiarygodnie kuszące, według jego reguł. Szanuję to, ale to nie znaczy, że nie próbowałem tego obejść.

*Porozmawiamy później.* Wysyłam wiadomość i odpisuje jeszcze szybciej.

*W poniedziałek.* – Frederick

Chowam komórkę do kieszeni, gdy Lily podchodzi do ścianki. Daisy jest już na dole i pokazuje siostrze uniesione kciuki. Lily obraca się, idąc tyłem i celuje w nas groźnie palcem. To łagodny gest w porównaniu z tymi, do których przywykłem.

- Nie śmieście się ze mnie. Mam bardzo mało siły w górnej części ciała.

- Nikt nie będzie się z ciebie śmiał, do chuja – mówi jej Ryke.

Bierze głęboki wdech i podciąga się na pierwszą skałę, chwytając za nią. Stawia buty na kamień znajdujący się jakieś dwie stopy nad podłogą. To następny ruch okazuje się trudny. Musi wykorzystać siłę ramion, żeby unieść się wyżej. Trudzi się, zaciska koniuszki palców na nowej skale, ale jej noga jest za daleko od fioletowego punktu oparcia. Ilekroć próbuje się podnieść, unosi się zaledwie parę centymetrów.

Po czterech nieudanych próbach, Lo podchodzi do ścianki i kładzie ręce na jej pośladkach, podnosząc ją z łatwością.

- Lo Omójboże – mamrocze ona, głośniejsz niż pewnie zamierzała. Ale to działa. Dosięga do wyższej skały, teraz ma podparcie i jej ciało znajduje się o kolejne dwie stopy wyżej.

Lo nie może już jej pomóc.

- Uhhh... - Lily rozgląda się szeroko otwartymi oczami, wiedząc, że dalej nie da już rady. Jej nogi zaczynają dygotać razem z ramionami i przypominam sobie, że ma lęk wysokości.

*Brrrrring!* Odgłos dzwonka wydobywa się z komórki Daisy. Unosi ją do góry.

- Gratulacje, zabiłaś w dzwonek, Lil! – woła do niej.

Lily wypuszcza oddech pełen ulgi.

- Okej... teraz jak mam zejść?

- Tak jak Daisy – wyjaśnia Ryke. – Skacz, utrzymam twój ciężar.

- Znajdujesz się tylko cztery stopy nad ziemią – przypominam. – Jeżeli potrzebujesz odniesienia, twój mąż jest wyższy.

- Ona wie jak wygląda odległość czterech stóp, Richard – odzywa się Rose z ławki.

- I przyrzekam, że stąd wygląda gorzej – mówi Lily, biorąc kolejny wdech. Zamyka oczy i skacze do tyłu. Gdy ląduje na podłodze, dramatycznie pada na kolana i całuje matę.

Wszyscy się na nią gapimy, kiedy się podnosi.

Jej łokcie się czerwienią.

- Zawsze chciałam to zrobić – mówi, kiwając głową i biegnie w ramiona Lo. On przytula ją bez pytania, opuszczając dłonie na jej tyłek i ściska go, jakby nikt nie patrzył.

Przez następne pół godziny zamieniamy się na ściance. Daisy chce się ścigać, więc mierzę jej czas na swoim zegarku. Rose podchodzi nawet, żeby popatrzeć jak się wspinam. Zwykle droczyłbym się z nią, że gapi się na mój tyłek, ale wciąż przemywa dłonie środkiem odkażającym albo gładzi się po włosach.

Na koniec Daisy i Lily podchodzą do siostry, zauważając jej stres. Chciałbym porozmawiać z nią na osobności, ale Rose lubi towarzystwo swoich sióstr, dlatego nie zabieram im czasu.

Daisy szturcha biodrem Rose.

- Hej, chcesz się zamienić telefonami?

- Dais – woła Ryke z cieniem ostrożności.

- Nie chcę oglądać zdjęć penisa, które wysłałeś mojej siostrze, więc nie padnij na zawał – wtrąca Rose, niespokojnie przeczesując sobie kucyka.

- Kurewsko zabawne – mruczy pod nosem.

Dziewczyny kierują się do szatni i poza zasięg słuchu, a Lo, Ryke i ja zostajemy, żeby pozbierać sprzęt.

*Connor Cobalt*

Gdy dziewczyny opuszczają główne pomieszczenie ze ścianką wspinaczkową, przyglądam się niespokojnej minie Ryke'a i wyginam brew.

Patrzy na mnie z ukosa.

- Nie patrz tak na mnie.

- Wysyłasz sprośne wiadomości? – pytam. Rose wcześniej żartowała, ale to może być prawdziwa teoria.

- To moja cholerna dziewczyna. – Rzuca szóstą uprząż na stertę i podaje mi do zwinięcia jeden z długich sznurów.

Po prostu nie mogę sobie wyobrazić jego brudnych smsów, tak jak pewnie on nie może sobie wyobrazić moich wiadomości z Rose.

Lo opiera się o ścianę obok nas, nie wykazując chęci pomocy.

- Ludzie mogą się włamać do komórki, wiesz.

- Przecież nie wysłałem zdjęć, na których jestem cały nagi.

Wtrącam się:

- To oświadczenie sugeruje, że już kiedyś wysyłałeś zdjęcia z nagimi częściami ciała.

Ryke przeczesuje sobie włosy.

- Nikt cię, kurwa, nie prosił, żebyś wtrącał się do tej rozmowy, Cobalt.

Nie czuję się urażony przez tę słabą ripostę. Po pierwsze, teoretycznie to ja zacząłem rozmowę, pytając go czy wysyła sprośne wiadomości. A po drugie, jego relacja z Lo nigdy nie sprawiła, bym poczuł się gorszy czy zazdrosny. Nigdy nie porównuję ze sobą ważnych związków, tak jak robi to Ryke. Ja porównuję korzyści i zyski.

- Ci z nas, którzy posiadają IQ w percentylu .01 mają zaproszenie do wszystkich rozmów – odpieram. – Wiem, że nie jesteś w to wtajemniczony, więc nie denerwuj się. Istnieją geniusze. Istnieją racjonalni ludzie. Istnieją idioci. No i istnieje ty.

Ryke śmieje się pod nosem.

- Chciałbym wiedzieć jakim cudem nie dostawałeś po ryju w liceum. – Zanim zdążę odpowiedzieć, dodaje: - I tym razem mówię poważnie. Gdybyś powiedział coś takiego w mojej szkole, kolesie by ci nie odpuścili. – Na jego twarzy pojawia się nieuzasadniona troska. Chyba po raz pierwszy zapytał o tą część mojej przeszłości.

Zaczynam okręcać sznur wokół ramienia, żeby go nie zaplątać. Lo drapie się po szyi, odrywając od ścianki i zbliża się do brata. Teraz oboje na mnie patrzą.

To coś nowego.

- Ryke i ja rozmawialiśmy kiedyś... - Lo szuka właściwych słów, ale musi zwrócić się do starszego brata, żeby dokończyć. To też jest rzadkie.

Marszczę czoło.

- Wyszedłeś niemal bez jebanego szwanku z zamieszek w Paryżu – mówi Ryke. – Dlaczego?

Lo dodaje:

- Widziałem jak unikałeś ciosów, jakby to była bułka z masłem.

W przeciwieństwie do Ryke'a, ja nie mam trudności w rozmawianiu o głębszych częściach mojej historii. On zamienia się w mur, im bardziej ktoś zagłębia się w jego przeszłości, ale ja zamykam się tylko wtedy, kiedy to kosztuje moją reputację albo gdy ktoś szuka u mnie emocjonalnej reakcji. Fakty są łatwe. Proste.

Zawiązuję końcówkę sznura i wrzucam do kosza z innymi.

- Bardzo mi pochlebia wasza troska, ale nigdy mnie nie dręczono. Byłem – nie potrafię ukryć uśmiechu – powszechnie lubiany przez większość uczniów Fausta i prawie nikt mnie nie nienawidził. Potrzebowałem pewnych ludzi, zatem byłem dla nich skrupulatnie miły. Nigdy nie rozmawiałem z nimi tak, jak rozmawiam z wami.

- Dzięki ci za to – mamrocze Ryke, ale jest bardziej rozluźniony. Obawiał się, że moja przeszłość była tak udręczona, jak jego brata. Nie była. Lo miał w życiu więcej przeciwności, niż ja. Wierzył, że jest bezwartościowy, ponieważ codziennie słyszał to od własnego ojca i musiał odnaleźć pewność siebie, która została mu wyrwana.

Ja nigdy swojej nie straciłem.

Patrzę pomiędzy nimi: na Ryke'a z potarganymi włosami i ponurą miną; na Lo z zaostrzoną zuchwą i przeszywającymi bursztynowymi oczami. W ich towarzystwie jestem odmieńcem – elegancki, z faktycznie ułożonymi włosami – ale ironia jest taka, że ich wnętrza są prawdopodobnie cieplejsze od mojego.

- Co do walki – wyjaśniam – brałem szermierkę, taekwondo i jiu-jitsu, jako rekreacyjne zajęcia podczas nauki w Fauście.

- Niech zgadnę – przekomarza się Lo – klub szachów był pełen.

- Nie pełen – odpieram. – Za łatwy.

Dzwoni telefon Lo i spogląda na ekran.

- Muszę odebrać. – Podchodzi do pustej recepcji.

Ryke zostaje przy moim boku. Pamiętam, że miał problem ze znalezieniem Daisy prezentu świątecznego w centrum handlowym. Twierdził, że nigdy nie musiał kupować dziewczynie tyle prezentów i jest to trudniejsze, kiedy ona ma już wszystko, czego zapagnie.

- Czy Daisy lubi jedwab? – pytam.

Ryke napina szczękę, marszcząc brwi w irytacji i ostrzeżeniu. Pomyśleć można, że zapytałem czy lubi seks analny.

- Żebyś jej podarował – tłumaczę. – Bieliznę.

Jego ciemne, przeszywające spojrzenie mówi: *nigdy tego nie powtarzaj*.

- Jesteś przeuroczy.

- Ta? Ja nie gadam o fetyszach twojej żony.

Znowu przekrzywiam głowę.

- Daisy ma fetysz do jedwabiu? – Ledwo mogę utrzymać opanowanie, moje usta się unoszą.

- Spieprzaj – mówi Ryke. – Czy nie powinieneś mnie dzisiaj świętować?

- Zostawiłem swoją ekscytację w limuzynie – odpieram. – Możesz mi ją przynieść.

- Może skończysz z dwuznacznymi komplementami i pieprzonymi obelgami? – Ryke kuca, żeby podnieść sześć uprząży. – Czy proszę za dużo?

- Prosisz o wiele – odpowiadam szczerze.

Ryke kończy układanie sprzętu i oboje przyglądamy się Lo, który stoi przy biurku recepcji. Gestykuje gorączkowo rękami, rozmawiając przez telefon.

- Wszystko z nim w porządku, prawda? – pyta nagle Ryke.

Cobalt Inc. znajduje się pięć minut jazdy od Hale Co. i widzę go częściej w tygodniu, niż Ryke. Wiedziałbym, gdyby walczył ze stresem.

- Myślę, że radzi sobie dobrze. Lepiej niż przewidywałem. – Cieszę się, że byłem w błędzie. Myślałem, że nie poradzi sobie w pierwszym tygodniu.

Lo nie jest tą samą osobą, którą poznałem na studiach. Jest o wiele silniejszy od tamtego faceta.

Ryke obraca się plecami do Lo, a w jego surowym nastawieniu pojawia się powaga.

- Jeżeli coś mi się stanie... - Odchrząkuje. – Zajmiesz się nimi?

Ma na myśli Lo i Daisy. Czeka, aż się zgodzę.



- Żywi dawcy niemal nigdy nie umierają podczas operacji przeszczepu. – Nie powinien się tym przejmować.

- Connor – mówi – nie chcę twoich pierdolonych faktów. Chcę tylko, żebyś powiedział, że... - Potrząsa głową, przeczesując gęste włosy, jakby to była frustrująca prośba, a przynajmniej proszenie o to *mnie*. – Pieprzyć to. – Prostuje się, patrząc przez przyciemnione okno na pusty parking, nie licząc escalade Rose.

Z jakiegoś powodu wciąż wyobrażam sobie grupkę nastolatków z plakatami mówiącymi „*Ożeń się ze mną, Ryke’u Meadowsie!*” Jest popularny wśród młodszych dziewcząt, ponieważ Daisy ma tylko dziewiętnaście lat. Ale tylko Walter Aimes, fotograf *Celebrity Crush*, powinien widzieć, gdzie dziś się znajdujemy. W innym wypadku Rose przefarbowała włosy na marne.

Nagle mówię:

- Coś ci obiecuję. A ja zawsze dotrzymuję obietnic.

Ryke zwraca się do mnie.

- Tak?

Kiwam głową.

- Umrzesz podczas *wspinaczki*, wtedy się nimi zajmę. Oboje wiemy, że nie umrzesz podczas tej operacji i nie umrzesz w żaden inny sposób, niż przez swoje zajęcia. – Im dłużej wspina się free solo, tym bardziej skraca sobie życie. Jego długowieczność jest w jego rękach i Ryke wierzący, że zależy to od kogokolwiek innego, to jakiś absurd.

Jeżeli tak bardzo boi się opuścić swoich bliskich, to może powinien zacząć zastanawiać się nad swoim hobby.

- Jesteś wrzodem na moim tyłku – mówi lekko, kierując się do szatni, w której znajdują się dziewczyny.

Idę za nim.

- Niemożliwe – odpieram – nigdy nie byłem w pobliżu twojego tyłka.

Pokazuje mi środkowy palec, to jego normalna reakcja. Nasza przyjaźń może być dziwna, ale przynajmniej mogę ją taką nazywać.

Rose Cobalt

Odległy dzwonek telefonu wdziera się do mojego uśpionego umysłu, pulsujący hałas narasta, kiedy zaczynam budzić się z martwego snu. Mrużę oczy w ciemnym pokoju, niebieski blask zegarka na stoliku nocnym pokazuje 3:42. Moja komórka jednocześnie wibruje i dzwoni na drewnie.

Sięgam po nią po omacku, obracając się na bok. Ramię Connora zsuwa się z mojej talii. Kto dzwoni do mnie o tej porze, do diabła? Chcę zamordować tę osobę, ale jestem zbyt zmęczona, żeby wymyślić sprytne sposoby na odegranie zemsty.

- Rose? – szepcze Connor, także się budząc. Podpiera się na łokciu i przeczesuje rozczochrane włosy.

Odblokowuję komórkę i odbieram zanim zdolałam rozróżnić słowa na ekranie.

- Halo? – odzywam się cicho, ziewając w ramię. Przyciskam kołdrę mocniej do piersi, moje sutki niemal wyzierają spod czarnej, jedwabnej halki. Przecież i tak nie zobaczy mnie osoba po drugiej stronie połączenia, ale jestem zbyt zaspana, żeby zdać sobie z tego sprawę.

- Rose, coś ty zrobiła?

O Boże. Niech ktoś mnie zabije.

- Matko – mówię zimno, przyciskając dwa palce do czoła i zaciskam powieki. Uchylam je po głębszym wdechu.

Connor siada wygodniej przy zagłówku i bierze swój telefon z drugiego stoliczka.

- Przefarbowałaś włosy – mówi zirytowana tymi newsami. – *Przefarbowałaś włosy na pomarańcz*, nie mówiąc mi o tym. Nawet nie skonsultowałaś się z publicystami przed wyjściem do ludzi. Sama to sobie zrobiłaś?

- Gdzie to przeczytałaś? – Półprzytomnie opieram się obok Connora i spoglądam mu przez ramię. Przegląda stronę *Celebrity Crush*.

- W Internecie – praktycznie wypluwa. – Słyszałaś, co mówiłam?

Gryzę się w język, po czym odpieram powoli:

- Słyszałam, matko.

Connor wchodzi w artykuł wrzucony jakieś pięć minut temu z nagłówkiem: *Nowy Kolor Włosów Rose Calloway! [Ekskluzywne zdjęcia]*. Z mojej piersi zaczyna znikać ciężar. Pięć wyraźnych fotek pokazuje mnie wychodzącą z Philly Rocks! razem z siostrami, Connorem,

Rykiem i Lo. Walter Aimes zbliżył obiektyw na moje włosy zaczesane w wysokiego kucyka. Nic wyjątkowego, poza faktem, iż wygląda to tak, jakby na mojej głowie zdechł lis.

- Nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć – mówię do niej. – I dlaczego jeszcze nie śpisz?  
– Czuję się staro, zadając takie pytanie własnej matce. Connor przygląda mi się uważnie i szepczę do niego: - Jestem stara?

Jego usta unoszą się w kącikach.

- Nie, kochanie. Wciąż jesteśmy młodzi.

- Dobrze – mówię, przykładając telefon z powrotem do ucha. Matka odpowiada mi bełkotem palących sylab, których nie chcę przetrwać o trzeciej nad ranem. Potem nie będę mogła zasnąć przez ból brzucha.

Wyłapuję końcówkę. - ...Tori ma jutro wolny termin. Już do niej napisałam i powiedziała, że może przyjąć cię w południe.

- Napisałaś do swojej fryzjerki w środku nocy? – *Daj kobiecie pospać.*

- Przyjaźnimy się – mówi, jakby to nie było nic takiego, nieznacznie się uspokaja. – Dotrzesz do niej?

- Okej – zgadzam się. – W południe u Tori, opuszczę lunch w pracy. – Gdyby dzisiejszej nocy *Celebrity Crush* nie odniosło swego zwycięstwa, to mogłabym się z nią sprzeczać.

Pokazuję gestem Connorowi, żeby spał dalej, ale chwytam moją dłoń w powietrzu i spleta ze mną palce. Zamierzam pożegnać się z mamą, kiedy dodaje:

- Przykro mi z powodu domu, Rose. Chciałam zadzwonić wcześniej. Myśleliśmy z ojcem, że przyjmą twoją ofertę.

Odrywam plecy od zagłówka.

- Że co? – Od razu przełączam połączenie na tryb głośnomówiący. – Agent nieruchomości wcale do mnie nie dzwonił.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście.

- To bardzo nieprofesjonalne z ich strony. – Moja matka znowu zaczyna gotować się ze złości, nie podając mi żadnych szczegółów. Uderzam w powietrze, jakbym atakowała ludzi, którzy ukradli mi ten dom. Próbowałam kupić posiadłość niedaleko stąd od początku listopada. Znajduje się na ukos od nas i ma doskonałą liczbę sypialni oraz łazienek dla jednej z moich sióstr albo dla mnie, kiedy nasze rodziny się powiększą.

Mam świadomość, że nie możemy żyć wiecznie wszyscy w tym samym domu. Nadejdzie pora, kiedy będziemy musieli się rozdzielić i mam nadzieję, że ta separacja nie będzie obejmować kilkuset kilometrów.

Ta sama ulica wydawała się bardziej idealna.

- Gdzie to usłyszałaś? – pyta nagle Connor, marszcząc brwi z konsternacją. Razem złożyliśmy ofertę. To była góra pieniędzy i nie sądziłam, że ktokolwiek wykupi przed nami ten dom.

Głos mojej matki przybiera wysoki i dziwacznie pogodny ton.

- Connor, jak się masz? Spodobał ci się kolor włosów Rose?

Moje piorunujące spojrzenie mogłoby wypalić dziury w człowieku, a jednak Connor ani drgnie. Sypia w tym samym łóżku z wulkanem, który z przyjemnością spaliłby wszystko wokoło mnie, w tym jego, a jemu to pasuje. Co jest nie tak z moim mężem?

Jest opanowany, kiedy odpowiada:

- Mam się dobrze, Samantha. Nie pragnę aprobaty Rose, co do zmian w moim ciele, więc nie oczekuję, że będzie pragnęła aprobaty ode mnie.

Dobra odpowiedź.

Moja matka chwilę milczy.

- Ale jej włosy są paskudne.

- Matko! – krzyczę.

- Jeżeli ja nie mogę powiedzieć ci prawdy, to kto inny to zrobi? – odparowuje.

„Zabierz ją ode mnie” mówię bezgłośnie do Connora przez ściśnięte zęby.

Próbuje powstrzymać śmiech. To nie jest zabawne. Znowu pyta spokojnie:

- Kto podał ci te informacje na temat domu? Agent się z tobą skontaktował?

- Nie, Olivia Barnes. Ona dowiedziała się od Lindy, która dowiedziała się od Tammy, której bogaty znajomy powrócił do Filadelfii. Powiedziała, że Rose go zna.

Bogaty znajomy.

Wrócił do Filadelfii.

Znam go.

Otwieram szeroko usta.

- Sebastian.

Connor praktycznie przewraca oczami na tą myśl. Ona jest najbardziej rozsądna. Sebastian był moim najlepszym przyjacielem w liceum i tylko on chodził ze mną do Princeton. Rozstaliśmy się na ostatnim roku, kiedy próbował zniszczyć mój związek z Connorem i pomóc Lily w ściąganiu na egzaminach.

Nie rozmawiałam z nim od ponad trzech lat.

- Zadzwoń rano do pani Ross i przekonam się czy to on – mówi matka. – Ostatnio został zatrudniony przez Patricka Nubella w ekipie Public Relations. – Nubell Cookies znajduje się w Filadelfii.

Zrzucam z ciała niebieską kołdrę.

- Mam nadzieję, że udławi się Nubell Cookie i wyrzyga na siebie.

- Rose – karci mnie mama.

Wstaję z łóżka, chwytając z szarego fotela Queen Anne mój jedwabny szlafrok.

- Nie ujdzie mu to na sucho. Pewnie usłyszał o tym, że chcę ten dom i celowo przebił naszą ofertę.

- Olivia powiedziała, że prawnik tego mężczyzny już załatwił całą sprawę. Nie możesz nic zrobić.

- Nie obchodzi mnie, co ci powiedziała Olivia Barnes. – Wkładam ręce do rękawów. Czuję się katastroficznie. Niczym tornado dewastujące miasto, roztrzaskujące szkło na lewo i prawo. – Nie będę czekać, aż rano do niego zadzwonisz.

- Porozmawiamy jutro, Samantho. – Connor szybko się rozłącza, kiedy zawiążę szlafrok i kieruję się marszem do drzwi. Wyprzedza mnie, ubrany jedynie w granatowe dresy i blokuje mi wyjście, rozkładając ramiona. Jest o wiele większy ode mnie. Góruje nade mną, jakby mógł udaremnić moją misję. Nie. Stoi mi na drodze. Muszę przejść.

- Odejdź – mówię stanowczo.

- Myśl logicznie.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie. – Popycham go w pierś.

Ani drgnie.

- Richard – warczę.

- Rose – odpiera. – Dopiero podpisał umowę. Jeszcze się nie wprowadził. Zapukasz do pustego budynku.

- No to daj mi zapukać do pustego budynku, *potem* pojedę do domu jego rodziców i zapukam do *tamtych* drzwi. Jest tutaj albo tam. Wiem to.

- Skąd? – pyta Connor, jego ciemnoniebieskie oczy skupiają się tylko na mnie. – Skąd możesz to wiedzieć, Rose?

- Bo tak czuję. – Słyszę jak nierozsądnie brzmi mój głos, ale instynkt każe mi popędzić na drugą stronę ulicy. W tej chwili. Muszę się z nim skonfrontować.

- Oboje pragnęliśmy tego domu, ale to nie jest koniec wszystkiego. Są inne dzielnice...

Przechodzę mu pod ramieniem. Chwyta mnie w tali, przykładając usta do mojego ucha.

- C'est le milieu de la nuit. – *Jest środek nocy.*

- Doskonale. Będę miała satysfakcję obudzenia jego zdradliwego tyłka. – Próbuję mu się wyrwać.

Ściska moje przedramiona, przyszpilając do swojego torsu.

- Jest zima, a ty masz na sobie jedwab.

- Moja furia wystarczająco mnie rozgrzewa, dziękuję. – Wrywam się z jego ramion, przeważnie dlatego, że nareszcie mnie puszcza, być może orientuje się, że tego potrzebuję. Muszę go zobaczyć.

Pędzę szybko korytarzem. Connor idzie za mną. Nie chcę słuchać o innych dzielnicach, które znajdują się dwadzieścia kilometrów stąd. Miałam długoterminowy plan. *Wszyscy* mieliśmy długoterminowy plan. Razem o tym pomyśleliśmy, tuż po Halloween. A Sebastian zniszczył naszą przyszłość, żeby zrobić nam na złość.

Walczyliśmy, żeby pozostać w tym ogrodzonym sąsiedztwie, żeby stało się dla nas bezpieczne i znajduje się tutaj jedynie dziesięć domów, tylko cztery na tej ulicy. Szansa, że kolejny pójdzie na sprzedaż w przeciągu następnych dziesięciu lat jest mała.

Tak powiedział nam ten zdradliwy agent nieruchomości.

- W piekle znajduje się zimne miejsce dla zdrajców.

Connor dotrzymuje mi tempa, omijając wszystkie drzwi w korytarzu. Czekam, aż skomentuje, iż „piekło” nie istnieje w jego przekonaniach, ale zamiast tego mówi:

- Będziesz tego żałować.

*Mam nadzieję, że nie.*

- Jeśli spróbujesz mnie zatrzymać, wbiję ci pomiędzy oczy sopla. – W moim poskręcany sercu wzrasta poczucie winy za ten komentarz, który wcale nie różni się od reszty. Nie mam pojęcia dlaczego tak jest, ale nie pozwalam mojemu umysłowi rozważać jego największych zakamarków.

- Twoje teatralne groźby nie przerażają mnie – odpiera – więc spróbuj jeszcze raz.

Nie próbuję. Zbiegam wściekle po schodach, z moich uszu wylatuje para. Nie przestaję myśleć o agencji nieruchomości i Sebastianie, ich twarze znajdują się na wielkiej, czerwonej tarczy. Rzucam w nie strzałkami w szybkiej, brutalnej serii. Mój umysł to ponure, udreżone miejsce. Ten poziom furii niemal mnie przeraża, dygoczą mi ramiona. Chyba jestem bardziej przestraszona, niż rozgniewana.

Obawiam się utraty wszystkiego, co razem zbudowaliśmy. Obawiam się zniszczonych planów, które muszą pozostać całe.

Przełykam skałę, zakładając klapki Lily przy drzwiach wejściowych, które są o dwa rozmiary za małe. Wystają mi pięty. Wpisuję kod bezpieczeństwa, wiele razy nie udaje mi się wbić odpowiednich cyfr.

- Jesteś przekonana, że los nie każe ci zawrócić? – drwi Connor, opierając się ramieniem o drzwi i przyglądając się mojej wrogości z mieszaną troską i arogancją.

System bezpieczeństwa pipczy i mruga na zielono.

- Widzisz. – Wskazuję na maszynę.

- Widzę, że potrzebowałaś siedmiu prób, by zrobić coś, co zwykle robisz za pierwszym razem.

Podnoszę rękę do jego twarzy i otwieram drzwi. Zimowe chłód chwilowo pozbawia mnie tchu, ale maszeruję przed siebie, dom jest widoczny, ale potrzeba do niego pięciominutowego spaceru. Naprzeciwko naszego domu znajduje się pusta przestrzeń, miły widok, a na ukos jest najbliższa posiadłość: szary kamień z białym obramowaniem okien, koliste żywopłoty okalają długi podjazd.

Przepięknie.

- Trzęsiesz się – odzywa się Connor, a przez jego zwykle spokojny głos przedziera się niepokój.

- Z furii.

Uderza w nas powiew wiatru, a na mojej szyi pojawia się gęsia skórka. Dygoczę, zastanawiając się czy dzisiejszej nocy wszechświat jest przeciwko mnie, czy ze mną. Już nie wiem.

Connor sięga po moją dłoń. Boję się, że zamierza zaciągnąć mnie z powrotem do naszego domu, ale zamiast tego chowa ją w swoich rękach, pocierając. Tarcie rozgrzewa moją skórę.

Pełnia księżycza rzuca więcej blasku, niż lampy uliczne i w ciągu paru minut pokonujemy podjazd i wspinamy się po kamiennych schodach.

Connor rozgląda się wkoło.

- Nie widzę samochodu.

- Może być w garażu. – Zastanawiam się nad walnięciem pięścią w czarne drzwi, użyciem srebrnej kołatki w kształcie orła czy wciśnięciem dzwonka. Decyduję się na najgłośniejszą opcję i przyciskam kilka razy brzęczyk, dzwonek jest wyraźnie słyszalny przez grube drewno.

Mijają sekundy, serce trzepocze mi w piersi, a wtem przez okno widać zapalające się światło.

- Jest w domu – oświadczam.

Connor natychmiast popycha mnie za siebie i nim zdążę cokolwiek powiedzieć, rozbrzmiewają ciężkie kroki i otwierają się drzwi.

Krew spływa mi z głowy, kolor opuszcza twarz. Przerażenie i inne pomieszane, spanikowane oraz rozsierdzone uczucia wirują we mnie w zawrotnej prędkości.

To nie jest Sebastian.

Tylko ktoś o wiele gorszy.



Rose Cobalt

- Zamierzałem zaprosić was jutro na winko, ale oboje po prostu musieliście od razu mnie zobaczyć, nieprawdaż? – Scott Van Wright opiera nagie ramię o framugę drzwi, ubrany jedynie w białe spodnie pidżamy od Ralphi Laurena. Samo obrzucenie spojrzeniem jego rys: idiotycznego uśmiechu, ciemnoblond włosów rozdzielonych na boki i kilkudniowego zarostu na szczęce i nad górną wargą – wywierca ogromne dziury w moim brzuchu, po czym zapełnia je kwasem.

Mój umysł pożera jego słowa i wypluwa. Rzucam się na niego, gotowa wyrwać mu serce i deptać ten narząd, dopóki sprawiedliwości *nareszcie* nie będzie zadość.

Gdy tylko mijam Connora, ten łapie mnie w pasie, przyciskając do swojej klatki piersiowej i trzyma mocno, żebym nie mogła wbiec do domu Scotta i uwolnić tłumionej wściekłości.

- Lepiej znajdź dla niej smycz – mówi Scott, nawet się nie poruszył. – Tak naprawdę jesteś już w połowie drogi. – Przenosi spojrzenie na moją nagą szyję, subtelnie napomykając o brylantowej obroży, którą czasami noszę w łóżku, tylko wtedy, kiedy kochamy się z Connorem. To wielkie przypomnienie, że oszukał mnie podczas reality show. Producent wykonawczy *Księżniczek Filadelfii*, Scott Van Wright, posiada niezliczoną liczbę naszych seks taśm i co jakiś czas sprzedaje je dla zysku dystrybutorom pornografii.

Nie było możliwości, żebyśmy wygrali ten proces, zatem Connor wykorzystał ten rozgłos w swojej firmie i próbowałam oszukać samą siebie wiarą, że wygraliśmy – że moje życie prywatne, które mogli wszyscy ujrzeć, nie ma żadnego efektu na moim stanie psychicznym. Uciekałam od horroru tych wydarzeń od dwóch i pół roku, ostatniego razu, kiedy widziałam Scotta i dzisiejsze spotkanie twarzą w twarz przywołuje cały ten ból.

- Mam nadzieję, że umrzesz – warczę przez ściśnięte zęby, moje oczy pieką i wzbiera się w nich pogardliwa nienawiść. Nie planuję dla niego żadnej dramatycznej śmierci. Nieważne jak; chcę tylko, żeby zniknął z mojego życia, sprzed mojej twarzy, z mojego świata, z daleka od moich sióstr, córki i domu.

Scott krzywi się drwiąco.

- A ja myślałem, że byliśmy starymi przyjaciółmi, Rose.

Connor obejmuje ramieniem moje obojczyki, przyciskając mocniej do swojego ciała, teraz nie jest to już klatka, stałam się częścią niego, jakbyśmy dzielili ten sam gniew, nawet jeśli mój jest bardziej widoczny.

Connor odzywa się przerażająco spokojnym głosem:

- W tej części mówię ci, żebyś zaczął mówić jak normalny człowiek, omijając bełkot. I w tej części tłumaczysz, że nie potrafisz... że nie jesteś zdolny do rozmowy na tym samym zrozumiałym poziomie, co my, ponieważ lubisz dramatyczność. Ponieważ wolałbyś sikać naokoło siebie i walić się po cholernej piersi, niż sięgnąć wyższego miejsca, w którym my stoimy, górując nad tobą.

Kretyński uśmiech Scotta zaczyna znikać.

Connor dodaje:

- Skoro już wyciąłem pięć minut bezcelowej rozmowy, powiedz mi dlaczego tutaj, kurwa, jesteś.

- Wcale się nie zmieniłeś. – Scott krzyżuje ramiona, ale nie odrywa się od framugi drzwi. Dostrzegam za nim górę kartonów blisko wielkich schodów i czarnej balustrady.

- Tyle, że teraz jestem dwadzieścia sześć lat mądrzejszy od ciebie. – Connor nie jest choćby trochę rozbawiony. Czuję jak przyciska mocniej palce do mojego ramienia, trzymając mnie blisko.

Rozmowa o wieku przypomina mi, że Scott ma teraz trzydzieści jeden lat. Nosi zde gustowany wyraz twarzy, jakby Connor wepchnął mu coś obrzydliwego do ust. Założę się, że mam taką samą minę. Znoszenie obecności Scotta budzi odrazę w każdej części mego ciała. Nie jestem pewna ile jeszcze zdołam tutaj stać bez rzucenia się naprzód i rozdrapania mu twarzy.

- Odkładając bzdury na bok – mówi Scott – nie przepadam za żadnym z was. – Kiwa głową do Connora. – Jesteś największym kutasem, jakiego *kiedykolwiek* spotkałem, a miałem przyjemność poznać mnóstwo dystygowanych ludzi. – Jego obrzydliwe oczy padają na mnie. – A ty jesteś najbardziej nadętą suką, do jakiej *kiedykolwiek* musiałem udawać miłość. – Nim zdołam rzucić w niego obelgą, dodaje: - Ale nie jestem tutaj, żeby się z wami kłócić. Jestem tutaj, żeby z *wami pracować*.

Moje nozdrza drgają.

- Nie pracowałabym z tobą, nawet gdyby był to klucz ratujący moje życie. – Umarłabym. Bez wątplenia prędzej bym umarła, niż włączyła Scotta do mojej drużyny.

Ignoruje moje oświadczenie.

- Sporo się zmieniło od *Księżniczek Filadelfii*. – Waha się chwilę, ostrożnie dobierając słowa. Przenosi spojrzenie na kamienne schody. Zimowe powietrze otula mnie ciaśniej, niż ramiona Connora, podnosząc włoski na moim karku.

Zastanawiam się czy chodzi mu o seks taśmy, czy odnosi się do mojej córki.

- Nie na tyle, żebyśmy kiedykolwiek ciebie potrzebowali – mówi mu Connor. – Więc wytłumacz mi dlaczego *nas* potrzebujesz. – A więc siedzimy na miejscu kierowcy. Kładę rękę na dłoni Connora, która opiera się na moim barku, wciąż obejmuje mnie ramieniem.

- Nie oszukuj się – odpiera. – Mógłbym sprzedać następną seks taśmę i dostać za nią półtora miliona.

- Tylko tyle? – Connor unosi brwi. – To nawet nie jest ułamek ceny tej posiadłości. I czy nie kupiłeś sobie jachtu wartego czterdzieści milionów?

Usta Scotta rozciągają się w sztywnym uśmiechu.

- Mam kosztowne gusta.

Potrzebuje więcej kasy, najwyraźniej więcej, niż dają mu sprzedawane seks taśmy.

- Na szczęście to nie ja wydałem pieniądze na ten dom, tylko GBA.

Skręca mnie w żołądku. Global Broadcasting Association posiada prawa do wszystkiego, co kiedykolwiek nagramy w krajowej telewizji. Emitowali *Księżniczki Filadelfii* w godzinach największej oglądalności i mieli wysokie wskaźniki, a odkąd moja siostra i ja byliśmy w ciąży, ciągle wydzwaniali do Lily, Lorena, Connora i mnie – żeby nagrać nowy sezon.

Z naszymi dziećmi.

- Wszyscy możemy odnieść sukces. Zatrudnię was w *Księżniczkach Filadelfii*, przydzielę wam nowiutkiego producenta wykonawczego, a GBA da mi wysoką pozycję w telewizji. Już nigdy nie będę musiał was widzieć.

- Chcesz, żebyśmy pomogli twojej karierze? – pryham. GBA rzuca nam błotem w twarz dla większej oglądalności. Kiedyś byli telewizją na pierwszym miejscu sprzyjającą kobietom, ale kiedy nasze reality show zeszło z anteny, ABC ich przebiło.

- Nie ma w tym dla nas żadnej korzyści – mówi do niego Connor.

- Odsprzedam wam prawa do seks taśm – odpiera Scott. Moje serce gubi rytm. – GBA oferuje mi coś długoterminowego, dzięki czemu utrzymam swój styl życia. Taśmy nie są już tak bardzo dochodowe.

- A ile ci zostało? – pyta Connor, podążając bardzo rozsądną ścieżką, kiedy ja dorysowuję Scottowi diabelskie rogi i drzę gwałtownie.

Choć chciałabym odzyskać te seks taśmy, to nigdy kosztem mojej córki. Nie wystawię Jane inwazyjnym kamerom na nieokreślony odcinek czasu.

- Ta informacja jest tylko dla mnie – mówi Scott, prostując się w drzwiach. – Będę stał wam na drodze, dopóki się nie zgodzicie. Chcę, żeby wasza córka stanęła przed kamerą, tak jak i inne bachory, które wyrzucicie na ten świat.

Rzucam się do przodu i Connor ściska mnie mocniej. Zaczynam krzyczeć, zdzierając gardło. Wykrzykuję profanacje i przekleństwa, mój głos opływa poważnymi groźbami.

- *Nigdy jej nie dostaniesz!*

Connor prowadzi mnie po schodkach, żeby odejść, ale chwytam za żelazną balustradę, nie jestem gotowa.

- Ty sukinsynu – krzyczę. – Możesz odebrać moje pieprzone życie, ale im nigdy tego nie zrobisz!

Scott przygląda się beznamiętnie, moje serce wylewa się na kamienną podłogę, kiedy tak bardzo chciałam zgnieść tutaj jego serce.

- Rose – szepcze Connor do mojego ucha.

- Nie – dyszę. Musi wiedzieć, że dłużej nie będziemy tego znosić, że jakimś sposobem go zniszczymy zanim on zrujnuje wszystko, co zbudowaliśmy. On jest chaosem i chcę, żeby zniknął.

- Connor! – woła Loren. Biegnie szybko w górę kolistego podjazdu, Ryke jest przy jego boku, oboje mają na sobie jedynie spodnie dresowe, nie marnowali czasu na ciuchy. Daleko za nimi drugie piętro naszego domu jest rozświetlone. Chociaż moją głowę zalewają te brutalne emocje, wnioskuję, że bracia musieli usłyszeć jak wychodzimy i zobaczyli nas przez okno przy sąsiednim domu.

Potem pobiegli za nami, kiedy moje krzyki przecięły noc.

Scott parska słabym śmiechem.

- Gdzie pozostała dwójka: dziwka i gorąca laska? – Rozkłada ramiona. – Równie dobrze możemy zrobić z tego spotkanie po latach.

- Pierdol się – warczy Ryke, zanim zdołam rozpętać piekło. Próbuję wbiec po schodach, ale Connor ściąga mnie na dół, gdzie stoi dwójka mężczyzn.

Scott znowu się śmieje i wywraca oczami do nieba.

- Nie chcę znowu się z tobą mierzyć, uwierz mi.

Niespodziewanie czuję na ramionach długi, wełniany płaszcz, który umieścił tam Ryke. Przyniósł mi mój płaszcz? Wkładam ramiona do rękawów, jakby podarował mi zbroję bitewną.

- Chodźmy – mówię gorączkowo, występując naprzód, nie do tyłu.

Connor znowu przyciąga mnie do siebie.

- Nie dzisiaj, Rose.

Gorące, wkurzone łzy zasłaniają mi widok.

- Nie możemy pozwolić, żeby tutaj został, Connor.

- Chwila... ten paskudny pojeb tutaj mieszka? – Lo celuje groźnie palcem w Scotta.

Ten uśmiecha się obrzydliwie.

- Witaj, sąsiedzie.

Ryke oddycha ciężko i potrząsa głową do Connora.

- Mówiłem, że dołożę pieniędzy, jeśli będziecie musieli przelicytować sprzedawcę.

- Nie wiedzieliśmy, że zamknęli sprawę – odpowiada Connor. – GBA wykupiło ten dom przed nami.

- GBA? – Lo stoi mrocznie sztywno, wpatrując się dłuższą chwilę w beton.

Obejmuję dłońmi balustradę, wciąż wypalając dziury w kalifornijskiej opaleniznie Scotta.

- To proste – mówi Scott do braci. – GBA pragnie drugiego sezonu *Księżniczki Filadelfii*, tym razem kręcącego się wokół waszych dzieciaków. Potrzebują was, a wy przez kilka lat odrzucaliście ich telefony. Teraz są gotowi podjąć większe działania. Ja jestem jednym z nich.

W powolnej fali ciemne, pogardliwie oczy Lo unoszą się z podjazdu i lądują morderczo na Scotcie.

- Pojmuję. GBA postanowiło zerwać każdy przeklęty kontrakt z Hale Co., bo nie dostali tego, co chcieli. O to tu chodzi, tak? Wszyscy zamierzacie skomplikować nam życie, dopóki nie postawię mojego syna w większym centrum uwagi.

Scott nie zaprzecza ich taktykom poniżej pasa.

- GBA znowu będzie współpracować z Hale Co., kiedy zacznie się nagrywanie programu.

- Ty skurwysynie! – Ryke wbiega po schodach i Connor puszcza mnie, żeby go odepchnąć. Ryke wymachuje wrogo ponad ramieniem Connora. – Trzymaj się z daleka od życia mojego brata, gnojku!

Aprobuję metody Ryke'a, nawet jeśli Connor rzuca mi spojrzenie rozkazujące pozostanie w miejscu, bym wróciła z nim do domu. W tej chwili postanawiam sprzymierzyć się z wrogo nastawionymi, brutalnymi ludźmi, który dzielą ten sam żar, co ja.

Scott przekrzywia głowę do Ryke'a.

- Wolałbyś, żebym pobawił się twoim życiem? Stacja z przyjemnością przywróciłaby cię do programu. *Gwałciciela* nieletnich. – Kłamstwa. Obrzydliwe, odrażające kłamstwa.

Ryke rzuca się i Connor po raz nie wiem który spycha go z kamiennych schodów. Zaczynam ściągać klapki.

Lo prze naprzód, teraz stoi obok mnie. Connor ma problem z zapanowaniem nad naszą trójką. Decyduje się zablokować Ryke'owi dostęp do czterech schodków i puszcza Lorena, i mnie.

Moje urywane, ciężkie oddechy tworzą parę w zimnym powietrzu i rzucam kłapkami w głowę Scotta. Jednego blokuje przedramieniem, ale druga gumowa podeszwa uderza go w policzek. Prawie się śmieje, kiedy wbija odrażające oczy w moje ciało.

- Patrz na mnie – warczy Lo, zaciskając zęby, jego szczeka jest ostra jak brzytwa.

Scott odrywa spojrzenie od mojej twarzy i patrzy na Lo.

- Mam butelkę Jamesona...

- To twoja strata, że tutaj przyszedłeś – przerywa mu Lo. – Na koniec tego wszystkiego nasza czwórka zakopie cię tak szybko, że będziesz błagał o przekłętą łopatę. – Wchodzi na kolejny stopień, wyrównując się ze Scottem. – I nikt nie będzie wykopywać takiego bezwartościowego gnojka, jak ty.

Loren Hale właśnie zadeklarował wojnę.

Nie czeka na reakcję Scotta. Schodzi na dół i kładzie rękę na moim ramieniu, zmuszając do odwrócenia razem z nim.

- Zaczekaj – zaczynam.

- Nie – mówią jednocześnie Connor i Lo.

Przeszywam ich wzrokiem, moje nogi znowu drżą. Mogłabym zacisnąć ręce w pięści.

- Nie skończyłam, Richard.

- Wszyscy powiedzieliście dzisiaj więcej, niż to konieczne. – W szczęce Connora drgają mięśnie, jego barki są zeszywniałe. Jest wkurzony, nie na mnie, ale ma problem z ukrywaniem gniewu. Zdaję sobie sprawę, że chowa go po to, żeby powstrzymać naszą trójkę.

Ryke idzie powoli tyłem. Podobnie jak mnie, ciężko mu pozostawić tutaj takiego zadowolonego z siebie Scotta.

- Pozdrów ode mnie Daisy. – Scott uderza w kolejne wrażliwe miejsce dla Ryke'a i *mnie*. Obracam się, stojąc boso na brudnym podjeździe z furią w oczach. Connor łapie mnie w pasie. Lo kładzie rękę na barku Ryke'a.

Scott dodaje:

- Mogę się założyć, że gdybym napierał na nią mocniej, to by mnie przeleciała.

Ryke milczy, a na jego twarzy pojawia się najbardziej mroczny wyraz.

- Nie? Uważasz inaczej? – Scott znowu się uśmiecha. – Może o tym nie wiesz, ale Trent, mój wielki przyjaciel z L.A., przybył do Nowego Jorku, żeby sfotografować pewne modelki. Wydaje mi się, że Daisy skończyła wtedy osiemnastkę. Trent ją przeleciał. W tyłek.

Zamorduję go. Przysięgam na Boga, umrze z moich wściekłych rąk.

- Pierdol się, jebany *chuju!* – wrzeszczy Ryke, rzucając się w mocnym uchwycie Connora, który złapał go w ostatniej chwili.

Scott nareszcie zamyka drzwi, ostatnie, co widzę to jego zadowolony uśmiezek. Niesprawiedliwość tego wszystkiego zalewa czernią mój umysł.

- On zasługuje na śmierć – mówię, znowu czując wzbierające się łzy. – Zasługuje na wylądowanie w więzieniu i zgniecie.

Lo spogląda pomiędzy dwoma budynkami.

- Więc spróbujmy go tam wrzucić.

Connor ponownie puszcza Ryke'a, który ostatecznie kopie w reflektor w drodze powrotnej.

- Mimo, że nie cierpię Scotta – mówi Connor – nie zamierzam wpisywać do swojego życiorysu morderstwa.

- Chodziło mi o więzienie – odpiera Lo.

- Chodziło mi o morderstwo – wtrącam. Wątpię, że mogłabym zrealizować jakiegokolwiek przestępstwo, ale zawsze miałam wielkie myśli. Mój umysł tworzy ostateczności, podczas gdy Connor pozostaje w ograniczeniach rzeczywistości. Dlatego nie wrzeszczy do utraty głosu. Uważa, że to dla niego bezsensowne i szkodliwe. Wiedział, że krzyczenie na Scotta nie da żadnego pożytku, dlatego trzymał buzię na kłódkę.

Trzech niewiarygodnie wysokich mężczyzn patrzy na mnie z góry i dopiero teraz czuję wyschnięte ślady łez, kiedy uderza we mnie powiew wiatru. Nie płakałam ze smutku. Płakałam, ponieważ po raz kolejny poczułam się zbezczeszczone i tym razem została w to wciągnięta Jane.

- Wyobraźcie sobie świat – mówię im – w którym nasze dzieci dorastają bez prywatności, otoczone takimi ludźmi, jak on.

- To nie będzie nasz świat – mówi stanowczo Lo.

Czekam, aż Connor przytaknie. Kiedy tego nie robi, stoję pośrodku drogi, latarnia oblewa nas pomarańczowym światłem. W połowie drogi do naszego domu obracam się do mojego męża.

- Nie zamierzasz nic powiedzieć? – W oczy kłują mnie łzy. Obrzucam spojrzeniem jego męskie rysy twarzy i dostrzegam szczerzy, rzeczowy wyraz potępiający jakiegokolwiek fantastyczne, nielogiczne pojęcia, które wszyscy tworzymy, żeby się uspokoić.

Chciałabym, żeby dzisiaj skłamał. Chciałabym, aby mógł sprawić, bym poczuła, że mamy szansę zamiast zaserwować mi gorzką prawdę na złotym talerzu.

- Nie daję obietnic, których nie mogę dotrzymać – przypomina mi. – Nasze dzieci poznają okropnych ludzi, tak jak wszyscy inni. *Nie potrafię* zmienić dla nikogo świata, nawet dla siebie.

Jego wyznanie jest brutalne i uderza mocno w naszą trójkę. Cofamy się o krok, Ryke drapie się po nieogolonej szczęce. Wciągam gwałtownie powietrze i Lo wpatruje się udręczonym wzrokiem w bezgwiezdne niebo.

- Dlatego musimy się dostosować – odparowuję – i *udawać*, że wszystko jest w porządku. – Moja broda drży w obrzydzeniu. – Nienawidzę twojego świata.

- To świat, w którym żyjemy, do cholery – mówi chłodno. – To nie jest *mój* świat, tylko wszystkich.

Ryke zaczyna kręcić głową.

- Nie mogę mieć pieprzonego dziecka – uświadamia sobie.

Lo wypuszcza oddech, jego policzki są zarumienione z zimna.

- Nie gadaj bzdur. Pragniesz rodziny.

Ryke parska niskim śmiechem.

- Nigdy nie sprowadzę dziecka na taki świat, Lo. Nie mogę, kurwa... - Pociera usta i jeszcze raz przeklina pod nosem.

Wyciągnęłam taki sam wniosek. Nie mogę mieć więcej dzieci, jeżeli nie możemy zapewnić im bezpieczeństwa.

Ciemnoniebieskie oczy Connora przesuwają się po każdym z nas, stoimy w nierównym kręgu.

- Nie ochronimy naszych dzieci przed każdym złem na świecie, ale możemy ochronić je przed specyficzną grupą ludzi.

- Przed mediami – odpowiada Lo.

Connor potakuje. Kieruje spojrzenie na mnie, bezgłośnie przypominając mi o naszym planie. O naszym półrocznym teście.



Nie obwiniam nikogo o moje wybory, lecz wciąż wierzę, że nasze dzieci zasługują na ludzkie traktowanie, a nie jakby były małpkami w szklanej klatce. Nie powinny stracić podstawowych ludzkich praw, kiedy nie potrafią jeszcze mówić za siebie.

Paparazzi mogą śledzić nas, ale ich nie potrzebują. Nie muszą.

Connor przerywa ciszę.

- Pozwólcie, że przypomnę wam, jak to działa. – Wskazuje na Ryke'a. – Pójdiesz do więzienia, Scott wygra. – Patrzy na mnie. – Krzyczysz na niego, on uśmiecha się i wygrywa. – Przełykam ten kwaśny smak, gdy obraca się do Lo. – Zgadzasz się na drugi sezon, on wygrywa.

- Nie zrobimy nic, tak jak ostatnim razem – odpowiada spokojnie Lo – on wygrywa.

- Dajcie mi się nad tym zastanowić – mówi nam Connor. – Zajmę się Scottem, ale na razie nie dawajcie mu tego, czego pragnie. Lubi was podburzać i dzisiejsza noc była praktycznie jego mokrym snem, więc proszę, uspokójcie się. – Connor pociera usta i opuszcza rękę. – Wiecie jak Lily nazywa waszą trójkę, prawda?

Patrzymy po sobie z konsternacją. Wiedziałabym, gdyby miała dla nas przezwisko. To *moja* siostra.

- Mamrocze to pod nosem – dodaje Connor, kiedy milczymy. – Wybuchowa trójka.

Usta drgają mi w uśmiechu. Ryke wybucha śmiechem, co wywołuje śmiech Lo. Moja młodsza siostra potrafi być sprytna, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

A potem Connor składa deklarację.

- Tym razem Scott nie wygra. Obiecuję.

Wciągam mocno powietrze, który ma dziwny posmak strachu i pewności.

*Obiecuję.*

Tłumaczenie: *Tylko jedno z nas osiągnie sukces.*

*Connor Cobalt*

- To przez ciebie Rose przefarbowała się z powrotem na szatynkę? – pyta mnie paparazzi, kiedy zbliżam się do manhattańskiego wieżowca, trzymając w lewej ręce kawę. W drugiej trzymam Jane pod pośladkami, ona trzyma rączkę na moim ramieniu i rozgląda się zaciekawiona po otaczających nas ludziach.

Zauważam, że grupka trzech fotografów i jednego kamerzysty zapytała tylko o zeszłotygodniowy kolor włosów Rose, zero pytań o Jane.

Popijam kawę, kierując się prosto do obrotowych drzwi.

Ujmuje inaczej to pytanie.

- Podobał ci się nowy kolor Rose czy wolałeś ją, jako szatynkę?

- Mogłaby być łyśa, a i tak by mnie pociągała. – Przed przejściem przez drzwi naokoło błyskają flesze i Jane mruży serię odgłosów, patrząc na mnie szeroko otwartymi, wielkimi, niebieskimi oczami. Nim Rose wyszła do pracy, wybrała strój Jane: szaroniebieską sukienkę w kratę, rajstopki Dior koloru kości słoniowej i szarą opaskę, jej krótkie brązowe włosy sięgają do uszu.

Przekazaliśmy jej nasz wyszukany gust, skoro jest za młoda, żeby samodzielnie wybierać, ale gdy dorośnie, będzie wybierać to, co jej się spodoba.

Przyglądam się jej oczom, często zauważając w nich światło, którego nie posiadamy ani ja, ani Rose. Śmiech, niewinność, które chyba nigdy we mnie nie istniały. Nie przypominam sobie, żebym był kiedykolwiek radosny w dzieciństwie. Byłem wyrachowany. Bezpośredni i szczerzy.

Nie byłem światłem, tylko szarym oparem po dymie cygara.

Przed wejściem do windy, wrzucam kubek kawy do śmietnika i naciskam guzik na trzynaste piętro. Na chwilę okrywa nas cisza i Jane zaczyna się śmiać, klaszcząc w rączki. Dzieci śmieją się bez powodu. Śmieją się, ponieważ są żywe i w twoich ramionach.

To bezsensowne, lecz ten bezsensowny moment porusza moim sercem bardziej, niż mocny fakt.

- Jedziemy do góry, Jane – mówię jej, wskazując na sufit.

Chichocze i patrzy w górę, jej opaska zsuwa się do tyłu. Poprawiam ją i klepie się po głowce. Wypowiada słowo, które jest bardzo bliskie „da-da” i też wskazuje do góry. Gdy obraca do mnie głowę, zasłaniam oczy wolną ręką.

- Gdzie jest Jane?

Ona nabiera gwałtownie powietrza i zabieram rękę, a na jej twarzy ukazuje się najszerszy, najbardziej niewinny uśmiech. Bije brawo na mój powrót. Jeszcze raz skrywam oczy i jej sapnięcie wygina moje usta w szerszym uśmiechu.

- Gdzie jest Jane?

Opuszczam rękę.

- Tutaj.

Jane chichocze i dotyka swoich policzków, odkrywając własny obezwładniający uśmiech, który towarzyszy radości. Całuję ją w czoło i próbuje coś powiedzieć, ale kończy się na tym, że znowu gaworzy pewne sylaby i dźwięki.

- Pewnego dnia, Jane – szepczę – przewyższysz mnie na wszystkie sposoby. Mam taką nadzieję. – Myślę o kolejnych dzieciach, zamglonej przyszłości. – Mam nadzieję, że wszyscy to zrobicie.

Winda pipczy.

- Teraz zobaczymy się z Frederickiem. Ma pewne informacje, których potrzebuję na temat twojej cioci Daisy. Jak to brzmi?

Jane pokazuje na sufit i próbuje stworzyć słowo, które raz powiedziałem.

- Do góry – powtarzam, zawsze normalnym głosem. – Teraz idziemy prosto, Jane. – Pokazuję na korytarz. – Prosto przed siebie.

Jej oczy mrugają w konsternacji.

- Niedługo. – Uśmiecham się. – Niedługo zrozumiesz.

\*\*\*

Frederick zasiada na skórzanym fotelu dołączonym do kanapy, trzymając w ręce kubek kawy. Farbuje sobie siwe kosmyki przy skroniach, jest tuż po czterdziestce, ma kwadratową szczękę, a nos proporcjonalny do reszty rys twarzy, urodził się i wychował w Nowej Anglii. Mógł przypląć na Mayflower razem z Christopherem Jonesem i wskoczyć do wehikułu czasu, żeby dotrzeć do dnia obecnego, jeżeli wierzyło się w absurd.

Fioletowe cienie pod oczami Fredericka sugerują brak snu, a podręczniki i foldery z dokumentami górujące na jego biurku sugerują źródło.

- Przestań mnie analizować, Connor. Nie jestem pacjentem, tylko twoim terapeutą. – Popija kawę.

Na skórzanej poduszce obok mnie, Jane bawi się książeczką dla dzieci, tekstury i dźwiękowe guziczki skupiają jej uwagę.

- To może nie powinieneś prezentować się tak, jakbyś spał tylko dwie godziny, Rick – radzę. Przyglądam się ze swojego miejsca tytułom książek, większość jest o stresie pourazowym i depresji. – Jej przypadek jest dla ciebie aż tak ciężki?

- Jest skomplikowany... - Przyłapuje się na tym, co robi i szybko milknie. – Nie będziemy rozmawiać o Daisy.

Jeszcze się nie przełamał, ale w tej chwili jego zmęczenie daje mi przewagę.

- Co u ciebie nowego? – pyta, kładąc kostkę na udzie i opiera się o fotel.

Zwykle mówię Frederickowi wszystko. Jest etycznie zobowiązany dotrzymywać moich sekretów, ale wypowiedzenie imienia Scotta na głos tworzy trwałość, którą trudno przełknąć bez grymasu. Znajduje się po drugiej stronie ulicy od mojej żony, córki i czterech innych ludzi, którzy należą do epicentrum *mojego* świata.

Frederick zapełnia krótką ciszę.

- Dzisiaj znowu dzwonił do mnie Jonathan Hale. Nadal chce dostać listę osób, z którymi miałeś intymne kontakty oraz moje notatki i profesjonalną opinię na temat tego, czym jesteś.

Przechylałam głowę z ułamkiem irytacji.

- Czym jestem? – Uśmiecham się lekko. – Najwybitniejszym umysłem, którego wszechświat nigdy nie zrozumie, mądrzejszy od dziewięćdziesięciu dziewięciu kropka dziewięciu procent światowej populacji, bezwstydnie arogancki i mocno zmęczony środkami represyjnymi Jonathana, żeby mnie podważyć. – Kiwam głową Frederickowi. – Oto, czym jestem.

- Możesz nie uważać, że twoja seksualność jest ważna – mówi mi Frederick, wnioskując ten fakt z mojej przemowy – ale on tak, ludzie tak uważają i musisz to zaakceptować.

- Akceptuję – mówię spokojnie, poprawiając sukienkę Jane, która poderwała się do pasa.

- Gówno prawda – sprzeciwia się. – Nie można mówić w taki sposób, co ty bez odczuwania pasji do jakiejś rzeczy, Connor.

- A więc co powinienem zrobić, według twojej *profesjonalnej* opinii? Mam iść do Jonathana i porozmawiać z nim w cztery oczy, otworzyć serce przed człowiekiem, którego uważam za manipulanta posiadającego własne prawa? Myślisz, że zaczniesz mnie szanować, Rick? Myślisz, że mnie zrozumie?

- Już podjąłeś decyzję – mówi, słuchając tonu mojego głosu. – I nie sugerowałbym ci pójścia z czymkolwiek do Jonathana. Z tego, co mi powiedziałaś sędzę, że wykorzystałby te informacje przeciwko tobie. Po prostu nie rozumiem, dlaczego tak się uparł, żeby wyjawić twoje dawne związki.

*Ja rozumiem.*

- Obawia się, że mam emocjonalną władzę nad jego synem, coś co sam kiedyś posiadał. Czuje się zagrożony moją przyjaźnią z Lorenem, a kiedy teraz jego syn prowadzi jego firmę, martwi się, że będę miał więcej do powiedzenia w Hale Co., niż on. – I Jonathan pragnie więcej dowodów, którymi mógłby mnie szantażować, żebym przestał być siłą w życiu Lorena.

Nawet, jeśli jestem pozytywną siłą.

Ale posiadam więcej kart od Jonathana, więc jakkolwiek przygotowuje szantaż przeciwko mnie, to bezsensowna zagrywka. Jonathan Hale może sobie mieć pieniądze, ale znajduje się pode mną, to ludzki bezkręgowiec. Nie ma już kontroli nad Hale Co., przez co jest jeszcze dalej poza moją ligą.

Jestem zbyt powiązany z ludźmi, na których mu zależy – Lorenem Halem i Gregiem Calloway'em – żeby wykonał ruch przeciwko mnie. To samobójstwo. A Jonathan Hale posiada instynkt samozachowawczy.

Frederick bierze kolejny łyk kawy.

- Milczałeś, kiedy zapytałem wcześniej, więc zadam jeszcze raz to pytanie. Co nowego? I o tym chyba łatwiej jest rozmawiać.

Podwijam rękawy mojej białej koszuli, nad moją głową wieje gorące powietrze z wentylatora. Wciąż próbuję skonstruować na głos to pięcioliterowe imię.

Frederick siada prosto, opierając przedramiona na udach i obejmuje kubek. Obserwuje Jane, która próbuje przewrócić stronę w książce, ale gruba kartka wysuwa się z jej słabych paluszków. Obraca głowę i szuka u mnie pomocy. Pochylam się i przewracam jej stronę. Bełkocze.

- Nie ma za co – mówię z rosnącym uśmiechem.

Wydaje wysoki chichot i wraca do swojej książki.

- Rozwinięta, jak na swój wiek – zauważa Frederick.

- Minimalnie. Jest jakiś miesiąc naprzód, ale syn Lo próbuje jej dorównać. Myślę, że on pierwszy zacznie chodzić. – Przyglądałem się ich kamieniom milowym: mowie, zręczności, wiedzy, ruchliwości i kiedy Jane po raz pierwszy przewróciła się na brzuch na salonowym dywanie, Moffy patrzył i zrobił to samo. Widziałem, że próbuje wstać, tak jak ona. On posiada więcej siły w ruchach, a jest miesiąc młodszy.

Jestem dumny z tego dziecka, a nie jest nawet moje.

- Wydarzyło się coś z prasą? – pyta Frederick. Kiedy zaczyna zgadywać na ślepo, pokazuje swoje karty. Stresuje się z mojego powodu, wyciągając najgorsze wnioski, skoro nic nie mówię.

- Scott Van Wright wprowadził się do domu po drugiej stronie ulicy. – Odłączam się od tych słów i prezentuję mu fakty, zaangażowanie GBA i presję, żeby wznowić reality show.

Na koniec Frederick siedzi odchyłony, jakbym zadał mu mocny cios. Milczy pełną minutę, przetrawiając to wszystko.

- I? – pytam, potrzebując jego wskazówek. Jest prawie tak samo mądry, co ja i nie przychodziłbym tutaj, co tydzień, gdybym nie potrzebował przypomnienia o rzeczach tkwiących w mojej podświadomości, o emocjach schowanych w szufladach i faktach, które odkładam na bok.

- Myślę, że wiesz, co czujesz – odzywa się.

Jestem niewiarygodnie otępiały.

- Teraz nic nie czuję.

- Jesteś narcyzem – przypomina Frederick. – Trudno ci uwierzyć, że zawiodłeś w jakikolwiek sposób, dlatego każesz sobie wierzyć, iż osiągnąłeś sukces.

- Bo osiągnąłem – odpieram. – Moja firma...

- Jak ma się Rose? – pyta Frederick.

Znowu się zamykam, unieruchamiając ciało. Sądziłem, że Rose zdoła znieść seks taśmy, jeżeli je wykorzystamy dla własnego zysku, ale przez minione lata widziałem jak samo wspomnienie o nich osłabia jej determinację. Zapomniałem, że ona nie jest taka, jak ja.

- Moje pragnienia mają swoje konsekwencje. Nie mogłem wymazać seks taśm, więc skorzystałem z nich w inny sposób.

- Tak jak Scott – mówi Frederick. – To jedyny człowiek, który kiedykolwiek cię nabrał, Connor, i wrócił.

- Zaczynam zastanawiać się nad tymi spotkaniami, Rick. Nie płacę ci, żebyś oznajmiał mi rzeczy, które już wiem.

- Płacisz mi, żebym przypominał ci, że nie jesteś nieludzki i posiadasz uczucia.

Pocieram usta i patrzę chwilę na Jane, która przyciska guzik obok zdjęcia krowy. *Muuu!* Podnosi książeczkę do ucha na ten dźwięk, a ona wypada z jej uścisku, uderzając w poduszkę. Jednak ona nie przestaje się uśmiechać.

Chcę, żeby jej niewinność pozostała nietknięta tak długo, jak to możliwe. Myśl o tym, że Scott mógłby się choćby do niej zbliżyć wzburza moją krew, a myśl, że ktokolwiek mógłby zagrozić jej szczęściu – jest niewyobrażalna.

- Nie mogę krzyknąć i wrzeszczeć – oznajmiam Frederickowi. – Nie mogę bić się po piersi i oczekiwać, że Scott wyparuje.

Rose niemal straciła głos po krzyczeniu na Scotta tamtej nocy. Spędziła również godzinę na szorowaniu stóp w łazience – po chodzeniu bosy po drodze. Przestała dopiero wtedy, kiedy przygotowałem jej kąpiel i nałamię lampkę wina.

Muszę mądrze to rozegrać.

Przejeżdżam palcem po zadrapaniu w skórze kanapy.

- Uwielbiam prawie każdą grę, którą rozgrywam, nawet te ostatnie z Rose. – Artykuły *Celebrity Crush* mają swój urok, szczególnie kiedy panujemy nad ustawieniem, miejscem i czasem. – Ale sytuacja ze Scottem jest jak pacnięcie komara. Jest irytacją, bezmózgą ale nieugiętą i nie otrzymuję żadnej satysfakcji z tej gry, nie cierpię każdej jej pieprzonej części.

- Mógłbyś zapłacić mu więcej, niż oferuje GBA...

- Nie – przerywam mu. – Nie ma takiej opcji. Cokolwiek zrobię, nie będzie w tym *żadnej* korzyści dla Scotta. Kiedy wygram, to nie pozwolę, żeby on także wygrał.

Wyobrażam sobie pięcioletnią Jane, która spotyka Scotta Van Wrighta, kiedy wróci po raz kolejny, zbierając więcej kasy, szantażując nas po więcej i więcej.

- Muszę odseparować go od mojej rodziny.

- Niczego nie rób na szybko – radzi Frederick, przyglądając się mojej twarzy tak, jak ja robiłem wcześniej z nim. – Jesteś świeżym ojcem, głową wielkiej korporacji, nie wspominając sprawy z Jonathanem Halem, teraz Scottem i już leżysz w łóżku z mediami.

- Światowe problemy – żartuję.

Lekceważy ten komentarz.

- Tak w ogóle, jak twój związek z mediami działa na Jane?

- Wciąż za wcześnie, by stwierdzić. – Wracam myślami do chwili, kiedy nikt nie zadawał pytań na temat Jane, gdy wchodziłem do budynku. – Gdy jednak są inne istotne historie, kamery zwykle pozostają wycelowane we mnie. Gdy nie robimy nic w tygodniu, skupiają się na dzieciach, chwytając się czegokolwiek.

- To ryzykowne – stwierdza Frederick.

Uśmiecham się lekko.

- Wszystko jest ryzykiem.

- Więc zamierzasz szturchać bestię? – Głos ma opanowany, dzięki czemu wierzę, iż uważa to za przyzwoity pomysł, inaczej zaczęłby mnie karcieć „*jesteś tego pewien, Connor?*”.

Rozdrażnienie wciąż ściska mój głos.

- Lepiej szturchnąć bestię i pozwolić, żeby mnie pożarła, niż czekać aż zabierze się za moje dziecko.

Widząc moją irytację, zmienia temat.

- Dobrze sypiasz?

Po raz kolejny spoglądam na podręczniki na jego biurku.

- Zwykle pięć godzin. – Spokojnie mi starczą. – Ile godzin sypia Daisy?

- Mniej więcej tyle samo. – Jego mina twardnieje, kiedy uświadamia sobie, co mu się wymknęło. – Nie. – Celuje we mnie palcem i podnosi się z miejsca, kierując do biurka.

- Nie powiem nikomu tego, co mi przekażesz.

Ignoruje mnie, zabierając foldery z biurka i wsadzając do czarnych, metalowych szuflad.

- Mógłbym ci pomóc – oferuję. – Ona jest złożonym przypadkiem i kiedy w tym projekcie wezmą udział dwa umysły, nie jeden, może to być dla niej korzystne.

Frederick sztywnieje.

Do czegoś dochodzę.

- Współpracownicy często dyskutują o przypadku pacjenta.

- Nie jesteś moim współpracownikiem – odparowuje Frederick.

- Tylko dlatego, że uważam tę dziedzinę za nudną i mówiąc szczerze, mam zbyt wysokie wykształcenie na twoją robotę. – Po czym dodaje: - Mogłem zataić sprawę ze Scottem i zaproponować ci umowę, żeby wymienić się za informację o Daisy, ale zrobiłem szlachetną rzecz. A teraz mówisz mi, że szlachetność nie ma żadnych nagród. – *Może powinienem wrócić do niemoralnych taktyk.*

Frederick waha się chwilę, następnie ulega.

- Chcę przepisać jej lekarstwo... ale nie potrafię wybrać odpowiedniego, jeżeli nie jestem absolutnie pewien wszystkich jej symptomów i na co one wskazują. Dostawała pigułki, które leczą tylko część jej zaburzenia i pogarszają resztę jej problemów... - Opiera ręce na biurku i potrzasa głową. – Nie mogę stwierdzić bez całkowitej pewności czy ma zaburzenia afektywne dwubiegunowe, czy nie. – Nie potrafi rozpoznać czy jej euforia to rzeczywiście euforia.

- Po kilkuletnim przebywaniu w jej towarzystwie mogę ci powiedzieć, że jej przyipywy energii to przykrywka. To nie jest prawdziwe, Fredericku. To fasada. Ona nie jest dwubiegunowa.

Frederick nie jest tego taki pewien.



Zdaję sobie sprawę, że nie zaszedł jeszcze daleko w jej przypadek. Utknął na początku. Podnoszę się, biorąc Jane na rękę.

- Nie oglądaj jak skacze wkoło w telewizji – radzę. – Nie patrz na jej uśmiechy w czasopismach. Daisy wolałaby skłonić się do wiary, że nic jej nie jest, niż zrujnować nam dzień zmartwieniami, iż coś się z nią dzieje.

- A skąd o tym wiesz? – pyta, kiedy kieruję się do drzwi.

- Opanowałem sztukę ukrywania emocji. – Ona jest dobra, ale nie lepsza ode mnie.

*Connor Cobalt*

Na łóżku leży pomiędzy nami marmurowa szachownica. Po obu stronach stoją we właściwym porządku królowie, królowe, wieże, gońce, koniki i pionki, wszystkie koloru ciemnego grafitu oraz kości słoniowej, całość wygląda niczym pole wojenne.

Rozgrywki z Rose zawsze zdają się bitwami. Nigdy nie wyciągamy gier planszowych, żeby zająć sobie czymś czas. Gramy ze stawkami, żeby przegrana była przegrana, a wygrana wygrana. Gramy, żeby osiągnąć coś większego.

Dzisiejszego wieczora nie jest inaczej. Jeżeli jeden z naszych pionków zostanie przechwycony, musimy ściągnąć jedną część ubioru albo wyznać prawdę.

Zamierzam rozebrać ją do naga.

Ona zamierza obnażyć mnie na inne sposoby.

Po trzech usuniętych pionkach, ja nie mam na sobie koszuli, a ona wyznała dwie bezużyteczne prawdy na temat tańców z gimnazjum. Najwyraźniej żadne z nas nie uzyskuje tego, czego pragnie.

Przyciskam palce do ust, patrząc jak poprawia sobie pozycję na łóżku. Zawiązuje sobie mocniej węzeł czarnego, jedwabnego szlafroka, chowając białą, koronkową bieliznę, którą zakłada tylko, kiedy chce mi dokuczyć.

A to działa.

Wyobrażam sobie koronkowy, prześwitujący materiał, częściowo widoczne sutki, pełniejsze biodra, większe pośladki, bieliznę podkreślającą jej kształty i kobiecość. Gdybym nie lubił tak bardzo tej gry, to już dawno miałbym ją pod sobą.

Nad nami grzechocze kryształowy żyrandol, światło samo przygasza. Nie pierwszy raz dzieje się coś podobnego.

Ona podnosi wzrok, kiedy kryształki stukają o siebie.

- Dlaczego on musi pieprzyć moją młodszą siostrę na dachu?

- Z tego samego powodu, dla którego ty wolisz, żebym trzymał cię za gardło podczas seksu i z tego samego powodu, dla którego mnie się to podoba. – Urywam. – I od czasu do czasu trzeba wypuszczać psy na dwór.

Unosi kołnierzyk szlafroka wyżej na obojczykach, po czym zwraca się z powrotem do szachownicy, jeszcze bardziej zakrywając nagą skórę.

- Nowe zasady – mówię nagle.

Przenosi na mnie ogniste żółtozielone oczy, jakbym nie miał takiej władzy, żeby zmienić coś wcześniej ustalonego. „Zastanów się raz jeszcze, Rose.”

- Weźmiesz mój pionek – ciągnę – to powiem ci prawdę.

Zaciska usta, ale rozluźnia barki.

- Niech zgadnę, jeśli ty weźmiesz mój, to automatycznie *muszę* ściągnąć część ubrania. Bez dyskusji.

Uśmiecham się na jej rozgrzewające się spojrzenie.

- Ja też nie będę mógł dyskutować – przypominam. – W ten sposób oboje dostaniemy to, co chcemy. Ty będziesz naga. Ja obnażony. Oboje wygramy.

Parska krótkim, ironicznym śmiechem.

- Zawsze jest tylko jeden zwycięzca, Connor.

- Nie, jeśli grasz drużynowo.

- Szachy to nie gra drużynowa – odparowuje pod nosem, ale powoli łagodnie na ten pomysł. Przesuwa wzrokiem po moim brzuchu i zarysie bicepsów. – Co jeśli chcę cię nagiego? – Napięta cisza napręża moje mięśnie i spogląda mi w oczy ze śmiertelną siłą, trującą i piękną jednocześnie.

- Rozbiorę się z radością, poza rozgrywką.

Spina barki i przewraca oczami na widok mojego szerokiego uśmiechu.

- Kochanie – dodaje. – I tobie, i mnie znudziła się ta gra. Albo pozmieniamy zasady, albo znajdę inną grę. A nie jestem pewien czy ci się spodoba. – Chcę owinać sobie na pięści ten jedwabny pasek i zerwać z niej szlafrok. *Cierpliwości*. Mam cierpliwość. Mam jej więcej, niż większość mężczyzn. Dlatego jestem od nich lepszy.

Na jej policzkach występują rumieńce.

- Dobra. – Patrzy przelotnie na elektroniczną nianię stojącą na stoliku nocnym. – Za jakiś czas i tak będę musiała zajrzeć do Jane. Szybko nam pójdzie.

Kiedy chodzi o moją żonę, słowo „szybko” niezbyt mi się podoba. Każdy moment z Rose rozciągnąłbym do nieskończonego okresu czasu. Nawet wrogie, gorące chwile, kiedy stara się spalić świat i mnie. Uwielbiam je wszystkie.

Skoro zgodziła się na nowe zasady, nie kłócę się z nią na temat prędkości rozgrywki. Skupiam uwagę na szachownicy, jej kolana znajdują się niebezpiecznie blisko pionków koloru kości słoniowej, kiedy rozkłada nogi na boku. Siedzę naprzeciwko Rose, opierając łokieć na zgiętym kolanie i trzymam palce na szczęce w zastanowieniu.

Przemyślałem dziesięć kroków naprzód, ale przypuszczam – biorąc pod uwagę inne nasze rozgrywki – że ona przemyślała pięć więcej. Oboje jesteśmy mistrzami w szachach, ale nigdy nie braliśmy udziału w zawodach. Nigdy nie szukałem ani pragnąłem tytułu mistrza szachów.

Większość moich umiejętności wynika ze szkoły z internatem. Spędziłem prawie połowę życia w Fauście, matka wysyłała mnie tam od trzeciej do dwunastej klasy. Miałem siedem lat, kiedy rozpakowywałem swoją walizkę i mama klepała mnie po ramieniu na pożegnanie.

*„Zobaczmy się, kiedy będziesz mnie potrzebować”* powiedziała. *„Ale jeżeli jesteś chłopcem, którego znam, to ta chwila nigdy nie nadejdzie.”* Nie chciała, żebym się do niej przywiązywał, więc nie przywiązywałem.

Tamta szkoła z internatem stała się moimi rodzicami. Odnoszę się do Fausta częściej, niż do Katariny, częściej niż kiedykolwiek mówię o nieobecnym ojcu. Ta instytucja nauczyła mnie przetrwania. Podarowała mi więcej wiedzy, ale miejsce nie może cię przytulić czy kochać.

Pamiętam większość czasu spędzonego w Fauście, jak niejasne sny umieszczone w skali szarości. Zalewają się kolorem dopiero, kiedy po raz pierwszy poznaję Rose.

Szachy były pospolite. Zbieraliśmy się w piętnastoosobowych grupach w klasach starszych uczniów, rozpalając papierosy i uchylając okna w mrozach z temperaturą dziesięciu stopni poniżej zera. Rozpoczynaliśmy potajemne turnieje, wypijając kieliszek wódki po każdym zabranym pionku, a nawet po dwa jeśli nastąpił szach. Trzeba było poruszać się w ciągu dziesięciu sekund albo czekał cię kolejny kieliszek.

Wyglądaliśmy, jak pijani, uprzywilejowani geniusze – naćpani byciem na tyle bystrymi, by grać w grę, której nie rozumiała większość. I byliśmy wystarczająco znudzeni, żeby zmienić ją w coś radośniejszego, szczeniackiego.

Niektóre moje cechy nigdy się nie zmieniają.

Przesuwam wieżę na jej stronę. Kryje podekscytowanie za podejrzeniem, patrząc na mój bezbronny pionek. Znowu przykładam palce do zuchwy.

- W Fauście mieliśmy dziesięciosekundową regułę, kiedy graliśmy w szachy – mówię do niej.

- Pewnie stąd wyszła ta plotka. – Wciąż wbija spojrzenie w grafitowego bierka.

Prowokuje mnie słowami, a ja daję się nabrać.

- Jaka plotka?

- Że chłopcy z Fausta potrafią wytrwać w łóżku tylko dziesięć sekund. – Przenosi swojego gońca, atakując mojego ofiarnego pionka.

Unoszę leciutko brwi.

- A ja zdołałem obalić tę plotkę niezliczoną ilość razy, z tobą.

Podnosi rękę, żeby mnie uciszyć.

- To nie pora, żebyś obnosił się swoimi seksualnymi talentami.

Moje wargi wyginają się na to szczególne słowo: *talentami*.

Celuje we mnie palcem i nagle podnosi się na kolana, żeby przewyższać mnie wzrostem, podczas gdy ja pozostaję w tej samej zrelaksowanej pozycji.

- Nawet o tym nie myśl.

- Talent? – mówię na głos.

Warczy pod nosem.

- Nie pochwaliłam cię.

- „*Talent*” to komplement z definicji.

- To *nie był* komplement.

- No to skonsultujmy się z Merriam-Webster. – Nim zdąży zaprotestować, wchodzę w wyszukiwarkę w komórce i wyniki wywołują na mojej twarzy jeszcze większy uśmiech.

- Richard – mówi ostrzegawczo, nie cierpiąc faktu, że omylnie mnie pochwaliła. Uwielbiam tę sytuację tylko dlatego, że tak bardzo się wścieka.

- „*Wyjątkowa umiejętność, która pozwala osobie zrobić coś dobrze*” – odczytuję definicję. – Komplement.

Jej oczy płoną.

Wpatruję się w ekran z większym rozbawieniem na twarzy.

- A także „*ludzie, którzy są pociągający seksualnie*”.

Prycha.

- Wcale nie jest tak napisane.

Pokazuję jej telefon i wrywa mi go z dłoni, wpatrując się laserowym spojrzeniem w ekran.

- Rose Calloway Cobalt uważa mnie za pociągającego seksualnie – stwierdzam. – Gdybyś tylko nazwała mnie utalentowanym, kiedy miałaś czternaście lat.

Sztywnieje, lecz nie odrywa oczu od komórki, którą obejmuje w rękach.

- A co byś wtedy zrobił?

Czekam, aż na mnie spojrzy. Gdy to robi, widzę naszą historię wyłożoną, niczym starożytna mapa świata.

- Odwzajemniłbym komplement.

Wciąga głęboko powietrze, sprawiając, że wystają jej kości obojczykowe.

Mój uśmiech się poszerza, a nazwałaby go zarozumiałym. Dzięki temu natychmiast zauważa na jak zauroczoną wygląda. Lodowacieje i rzuca we mnie pobliską poduszką, ledwo omijając szachownicę.

Śmieję się, a wtedy rzuca we mnie kolejną poduszką z koralikami.

- Lepiej, żeby to nie była prawda, którą jesteś mi winien.

- Co było z tą nie tak? – pytam.

- Nie była prawdziwa.

- Była – odpieram.

- Powiedziałeś mi, że do siedemnastego roku życia nie uważałeś mnie za atrakcyjną.

Mój uśmiech znika. Najprawdziwsza prawda: Rose była dla mnie fascynująca od pierwszego spotkania, ale jeśli to przyznam, to zaakceptuję pojęcie miłości od pierwszego wejrzenia. Coś takiego jest absurdalne, omylne – stuprocentowo niewiarygodne. Więc musiałem mieć siedemnaście lat, kiedy po raz pierwszy poczułem przyciąganie do Rose. Wszystko inne to fantazja.

- Powiedz mi coś prawdziwego – naciska Rose. – I lepiej, żeby to było cholernie dobre.

Niekoniecznie wiem, czego ona chce. „*Coś od serca.*” Słyszę jej głos, kiedy o tym myślę. Moje serce może być anatomicznie takie same, jak jej, ale jest inne. Zawsze będę inny.

- Kocham twoje oczy – mówię.

Piorunuje mnie spojrzeniem.

- Wiem już o twojej dziwacznej obsesji na punkcie moich oczu. Nic nowego. *Oszukujesz.*  
– Podkreśla to słowo, wierząc, że wkurzy mnie tak bardzo, jak wkurza ją.

Pozostaję zadowolony i przekładam szarego pionka pomiędzy palcami, którego wziąłem piętnaście minut temu. I myślę o prawdzie. *Coś od serca.*

- Za pierwszym razem, kiedy uprawiałem seks – zaczynam – wytrzymałem o wiele dłużej, niż dziesięć sekund. Byłem w tym dobry.

- Nazywanie siebie bogiem seksu jest oceną osobistą, a nie prawdą, i już kiedyś trochę mi o tym opowiadałeś.

- A co o części, w której tego nie cierpiałem?

Sztywnieje, kładąc ręce płasko na udach.

- Nie cierpiałem pierwszego razu – powtarzam równie spokojnie. – W życiu istnieją monumentalne etapy, które ostatecznie podejmuje większość ludzi. Rozmawiamy. Chodzimy. Czujemy. Płaczymy. – Milknę na chwilę. – *Kochamy*. Pieprzymy się. I prędzej czy później umieramy. – Oblizuję usta i śmieję się łagodnie. – Seks był etapem. Praktycznym etapem. Miałem go uprawiać, ale nie miał żadnego znaczenia. Nie był ekscytujący. Fizycznie czułem przyjemność. Psychicznie był nijaki. Nie potrafiłem wymyślić, jak mam go polepszyć. Nie potrafiłem wymyślić, co zrobić inaczej, żeby zmienić coś przeciętnego w coś oślepiającego. Nie w wieku piętnastu lat. Dlatego go nie cierpiałem.

Jej umysł wiruje. Widzę obracające się trybiki w jej odległym spojrzeniu.

- Ominąłeś stan emocjonalny – szepcze.

- Seks nigdy nie był dla mnie emocjonalny, a przynajmniej przed tobą.

Rose przygląda mi się, jakby zastanawiając się czy mówię szczerze, czy tylko to, co chce usłyszeć. Lecz to bez wątpienia najszczerza prawda.

- Co jeszcze? – pyta, chcąc, żebym wylał z siebie więcej *uczuć*, nie tylko fakty. Teraz to rozumiem.

- Moja kolej. – Odrzucam jej pytanie i wracam do szachownicy.

Splata ramiona, śledząc gorącym spojrzeniem moje ruchy. Przesuwam mego pionka do szeregu z innymi, porzucając bardziej oczywisty ruch. Rose gra agresywnie w szachy, bardziej niż większość. Dwa ruchy później przechwytyję jej wieżę. Wzdycha sfrustrowana, patrząc ze zmarszczonymi brwiami na planszę, jakby mogła cofnąć czas i zmienić swój ostatni ruch.

- Szlafrok, kochanie. – Wskazuję na jej ubranie, które rozpaczliwie chcę, żeby zniknęło.

Wydaje kolejne ciężkie westchnienie. Zajął jej kilka lat, żeby czuła się przy mnie komfortowo. Zwalczyła te wszystkie obawy, więc ilekroć fuka, to dlatego, iż jest uparta, dumna, stąd też trudno jest jej mi ulec, nawet jeśli sprawia jej to przyjemność.

Rose, raczej z oburzeniem, ciągnie za pasek jedwabnego szlafroka. Być może celowo zachowuje się szorstko, mniej zmysłowo i powoli, żebym nie odczuwał zadowolenia. Erekcja byłaby dla mnie kolejnym bonusem. Zrzuca materiał z ramienia i jej wrogie nastawienie wywołuje pulsowanie w moim penisie, o wiele bardziej niż cokolwiek innego.

Szlafrok opada na materac, otaczając jej uda. Niemal muszę poprawić pozycję zgiętego kolana, moje mięśnie spinają się na jej białą bieliznę, jednoczęściową, niczym nieprzyzwoity strój kąpielowy. Koronka tworzy delikatne różyczki wzdłuż jej kości biodrowych, drucziany gorset podkreśla figurę w kształcie klepsydry. Małeńka, biała kokardka mieści się pomiędzy jej pełnymi piersiami podniesionymi w dwóch prześwitujących miseczkach, jej sutki już stwardniały.

Jej klatka piersiowa opada ciężej, niż wcześniej, diamentowy naszyjnik w kształcie łańki musi być zastąpiony skórą. Moje ramiona pragną przyciągnąć ją do torsu, mocno, szorstko i tak szybko, że każdy późniejszy moment będzie należał do mnie.

Odchrząkuje, karcąc mnie za tak długie gapienie się.

Rose składa się z tak wielu warstw piękna, że nawet ja miałbym trudności z dotknięciem każdej.

- Rozebrałaś mnie do bielizny. Gratuluję. – Pochyla się do szachownicy, jej dekolt prawie się do mnie wylewa.

Zaciskam palce na kolanie. Staram się opanować chęć odepchnięcia planszy na bok i rozłożenia jej nóg, chęć wzięcia ją szorstko w tej chwili.

- Twój pionek zginął – oświadczają. – Daj mi prawdę.

Marszczę czoło, odrywając wzrok od jej piersi. Ścisną w palcach mojego bierka, jej czerwony lakier do paznokci raz jeszcze bardziej porusza moim kutasem. *Cierpliwości.*

Rozprostowuję nogę, żeby rozluźnić naprężone mięśnie.

- Byłem dobry w seksie, ponieważ oglądałem porno. Uważałem je za przydatne.

- Ty i każdy inny nastolatek – mówi gniewnie. – To nie prawda, tylko fakt. – Jej uwaga szybko powraca do szachownicy, za szybko. Unika tematu wokół którego oboje często tańczymy. *Porno. Seks taśmy.*

Przypomina mi się rozmowa z Frederickiem, o tym jak bardzo te filmiki wpłynęły na Rose. O mojej niezdolności do wzięcia ich za porażkę. Scott może sobie mieć seks taśmy, ale ja mam firmę zarabiającą miliard dolarów i nowy biznes z brylantami.

W moim punkcie widzenia wygrałem.

Zaczynam zdawać sobie sprawę, że dla Rose jest to porażka.

- Ruszaj się – mówi do mnie.

- Co z moją prawdą?

Patrzy na mnie przelotnie, po czym znowu na planszę.

- Już mnie nie obchodzi.

*Mnie obchodzi.* Obchodzi mnie, jeśli czuje się skrzywdzona. Obchodzi mnie, jeśli jest smutna albo cierpi. Rose obchodzi mnie bardziej, niż kiedykolwiek jakakolwiek inna osoba.

Wskazuje na szachownicę.

- Kontynuuj, żebym mogła cię zmiażdżyć.



Podchwytyję jej spojrzenie.

- Co do seks taśm...

- Rusz się pionkiem – przerywa mi nagle – albo stracisz kolejkę.

- Nie takie są zasady – odpowiadam. – Powiem ci prawdę. – Może jeśli dam jej coś większego, to będzie bardziej otwarta wobec mnie na temat tych filmików. – Zacząłem eksperymentować w wieku dziewiętnastu lat, krępowanie i kajdanki. Docierałem do ostateczności, żeby czasami zobaczyć, co mi się podoba. Nigdy nie uczyła mnie żadna osoba. Po prostu wywnioskowałem, co podnieca mnie bardziej, niż wszystko inne.

- Co z drugą osobą? – pyta.

- Podobało się. Nie próbowałbym niczego na kimś, kto czułby się w tym niekomfortowo. Od zawsze zadowolam ludzi, nawet jeśli ja jestem niezadowolony, pamiętasz?

Przewraca oczami.

Uśmiecham się.

- Nie lubię, kiedy kobiety mówią do mnie „proszę pana”. Nigdy nie nazwę cię zdzirą. Najbardziej uwielbiam kontrolę, szczególnie nad kimś upartym.

- Zabawne – mówi chłodno, ale znowu odchrząkuje, tym razem w podnieceniu.

- I jak? – pytam, zastanawiając się czy moja prawda była na oczekiwanym poziomie.

Potakuje.

- Przyzwóicie. – Jej oczy łagodnieją, jakby chciała przekazać, że było nawet lepiej. – Twoja kolej.

Obrzucam spojrzeniem szachownicę i wykonuję głupi, mniej wykalkulowany ruch. Celowo przechwytyję jej gońca. Moje własne motywy przejęły chęć wygrania tej rozgrywki. Jej majtki przypięte do gorsetu, żeby stworzyć jednoczęściowy strój. Chcę, żeby to je najpierw ściągnęła. Wyobrażam sobie jak siedzi na łóżku, a pomiędzy jedwabną, niebieską pościelą, a jej ciałem nie ma nic.

Odpina zapięcia na biodrach i zaczyna ściągać górę.

- Najpierw majtki – rozkazuję.

Zamiera.

- Nie takie są zasady – powtarza moje wcześniejsze słowa.

Potrząsam głową, kiedy zsuwa ramiączka z ramion, po czym ściąga koronkowy gorset przez głowę.

- Jesteś uparta – mówię spokojnie. – Dzisiaj będzie cię to kosztować.

Przełyka ciężko ślinę, zapewne wyobrażając sobie, jak ją ukarzę. A po odrzuceniu gorsetu na bok, natychmiast zasłania piersi ramionami.

Ledwo zdążyłem spojrzeć na jej twarde sutki, a już zniknęły z widoku. Można było zobaczyć więcej, kiedy miała na sobie ten gorset.

Przekrzywiam głowę.

- Czy z twoimi piersiami jest coś nie tak?

Jej oczy płoną ogniem.

Mówię szybko nim mnie zgromi.

- Albo czujesz się skępowana, będąc przy mnie naga, ale to nie było problemem od kilku lat. Więc co się dzieje? – *Jest po prostu zawzięta. Znam prawdę, tak jak i ona.*

- Nienawidzę cię – mówi, opuszczając ramiona.

- Nie prosiłem, żeby kłamstwo towarzyszyło zdejmowaniu ubrań, ale miło z twojej strony, że oferujesz mi coś więcej.

- Nie ma możliwości, żebyś przegrał, prawda? – pyta niespodziewanie. – Zawsze przekręcisz wszystko tak, aby zdawało się, iż wygrywasz.

Jej pytanie utrudnia mi cieszenie się widokiem jej częściowo nagiego ciała.

- Je ne peux jamais perdre. – *Nigdy nie przegram.*

Podnosi dłoń do mojej twarzy, żeby znów mnie uciszyć.

- Jeszcze zobaczymy. – Bez chwili zawahania Rose wykonuje zwycięski ruch, w przeciwieństwie do mnie. Zabiera z planszy moją królową, jej konik znajduje się w polu rażenia mojego króla. Zaskakuje mnie to: tak bardzo nie chce ze mną rozmawiać o seks taśmach, że zaryzykuje grę.

Podnosi podbródek.

- Szach.

- Szczerze mówiąc – mówię, patrząc jej w oczy – mógłbym żyć z seks taśmami do końca życia i nigdy nie czuć cierpienia z powodu ich istnienia. Przez cały ten czas sprawiałaś, iż wierzyłem, że ty także to potrafisz, ale widzę, że to nieprawda.

Otwiera szeroko prawda.

- Wcale nie.

- Rose. – Wypowiadam jej imię tonem *znasz prawdę tak dobrze, jak ja.* – W noc, kiedy skonfrontowaliśmy się ze Scottem, ukazałaś swoje karty. – Wrzeszczała, jakby seks taśmy

wydarzyły się wczoraj, jakby nadal zadawały jej ból ponad wszystkim, przez co przeszliśmy.  
– I może przez cały czas o tym wiedziałem, ale chciałem wierzyć, że jesteś taka sama, jak ja.

Rose dygocze.

Sięgam przez planszę, żeby ją przytulić, ale napiera jedną ręką na mój nagi tors i pokazuje, że bym się nie ruszał.

- Nazywasz mnie słabą?

- Nie – odpieram. – Nazywam cię ludzką. Twoja reakcja jest normalna.

- Nazywasz mnie *normalną*. – Jej oczy płoną, ale twarz niemal roztrzaskuje, jakbym uderzył młotkiem w szkło.

- To nic złego – mówię.

- Z twoich ust to obelga.

Nie do wiary, że mam problemy z mową. Prędko próbuję znaleźć właściwe słowa.

- Jesteś mi równa – mówię powoli, żeby dotarły do niej te słowa.

- Gdybyś mógł mnie zabić, wiedząc, że odrodzę się z tym samym wyglądem, ale z twoją osobowością, zrobiłbyś to? – pyta.

- Nie – odpowiadam bez zawahania. – Chodzenie z moją podobizną byłoby bezcelowe. Znałbym każdy ruch, każde pragnienie, wszystko. Uwielbiam sposób, w jaki mnie polaryzujesz.

Odpręża się, kiwając głową.

- Wierzę ci. – Próbuje odetchnąć. Po o wiele dłuższej chwili ciszy, dodaje: - Ja także do tamtej nocy nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo nadal bolą mnie te seks taśmy. – Rose zakłada za ucho kosmyk włosów. – Najbardziej nienawidzę ich w kontekście ze Scottem. Nie miałam nic do powiedzenia w tym czy ludzie mogą walić sobie konia do mojego ciała, a *on* miał.

- Pragniesz sprawiedliwości – uświadamiam sobie. – Skoro wrócił, łatwiej nam będzie złapać go w pułapkę.

- Co mamy powiedzieć Jane? – pyta, zbaczając z kursu i prosząc, żebym za nią podążył.

Próbuję prześledzić ścieżki jej umysłu. Jane w odniesieniu do seks taśm.

- Powiemy jej, żeby ich nie oglądała i że nigdy nie chcieliśmy, żeby pojawiły się w sieci, ponieważ nie mieliśmy pojęcia, iż byliśmy filmowani we własnej sypialni. Powiemy jej prawdę. – Nieświadomie ściskam w pięści szarego pionka, który robi wcięcie w mojej dłoni.

- I wszystko będzie w porządku? – pyta niemal łamiącym się głosem Rose. – Co będzie, kiedy będzie mieć dziesięć lat, dwanaście albo piętnaście i zostanie wypuszczony kolejny filmik, który obejrzą wszyscy jej znajomi? Co jeśli będzie wyśmiewana i nie będzie posiadała naszej siły, żeby się z tym zmierzyć? *Nie* będzie w porządku, Connor.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy – deklaruję. Zawsze walczyłem o rzeczy, których pragnąłem. Nigdy nie siedziałem beczynnym, czekając na realizację moich marzeń. Znajdę sposób, żeby odzyskać prawa do reszty seks taśm. Teraz jest to bardziej konieczne, niż wcześniej.

Chcę odzyskać tę kontrolę przed dorośnięciem Jane. Nie zmienimy poprzednio wydanych filmików, ale może zanim urośnie, zostaną one dawno zapomniane.

- Twierdzi mężczyzna, który nigdy nie przegrywa – szepcze, unosząc leciutko usta.

Mój uśmiech dopasowuje się do jej.

- Moja kolej. – Patrzę jak jej barki rozluźniają się z tego sztywnego stanu, jest teraz bardziej spokojna i lekka. Obrzuca szachownicę szybkim spojrzeniem, wydając się pewna wyniku tej rozgrywki: zwycięstwo dla niej, przegrana dla mnie.

Mądry ruch: odsuwam mojego króla na bezpieczne miejsce.

Głupi: zabieram jej marnego pionka.

Wciąga głośno powietrze, gdy chwytam palcami jej marmurowego bierka i patrzę na ostatnią część jej ubioru.

Rose Cobalt

Zrobił to umyślnie.

Był to idiotyczny ruch, który pozbawił jego króla obrony.

- Szach mat – mówię pod nosem. Jego wzrok przesuwa się po moim ciele, pożerając każdy kształt. Nie jest to spojrzenie kogoś, kto właśnie przegrał grę. – *Przegrałeś.* – Podkreślam ten punkt, żeby poczuł ukłucie porażki.

- Mam to, co chciałem – odpiera. – Tak jak ty. – Na jego twarzy ukazuje się szeroki uśmiech. – Jak mówiłem, oboje jesteśmy zwycięzcami. – Connor nachyla się i łapie mnie za kostkę. Silnym, szybkim uchwytem przyciąga mnie bliżej swego ciała, opadam plecami na materac, a mój tyłek atakuje szachownicę, wokół mojego ciała rozsypują się pionki, w łokieć wbija się konik.

Mając teraz w zasięgu moje majtki, Connor ciągnie za materiał gwałtownym szarpnięciem, koronka wgryza się w moje ciało. Ten ruch wywołuje mrowienie na mojej skórze i silne pulsowanie w kroczu. Jeszcze raz ciągnie, tym razem zrywając cały materiał.

Piorunuję go wzrokiem.

- Drogie były.

Muska ustami moje ucho, przygryzając je.

- Et c'est inestimable. – *A to bezcenne.* Obejmuje moją twarz i całuje mnie mocno, jego dominacja przyciąga mnie bliżej do jego ciała. Tracę oddech, kiedy rozchyła mi wargi językiem, kiedy podnosi moje ciało z szachownicy. Wbijam paznokcie w jego umięśnione plecy, dla podpory.

Jego obezwładniająca pewność siebie wciąga mnie pod powierzchnię namiętności, moja głowa zostaje zalana pozornie spokojną, nieruchomą rzeką. Nie walczę, by wyjść na powierzchnię.

Całując mnie, zrzuca szachownicę z materaca, cała plansza spada z trzaskiem na podłogę. Otwieram oczy na ten donośny odgłos i zauważam, że nadal trzyma w ręce grafitowego króla. Podnosi mnie wyżej na łóżku, układając moją głowę na jasnoszarej poduszce.

Kłęka nade mną, w drugiej ręce ściskając moje majtki.

Koncentruję się na mojej porwanej bieliźnie.

- Można było to zrobić łatwiej. – Próbuję opanować urywany oddech.

Odsuwa czule włosy z mojej twarzy, po czym odpina mój naszyjnik, umieszczając delikatną biżuterię na stoliku nocnym. To sztuczka.

Connor Cobalt ma wiele cech w łóżku – czułość rzadko kiedy do nich należy.

- Gdybym chciał usłyszeć twoją opinię na temat zdjęcia tego – macha moimi rozerwanymi majtkami na jednym palcu – to bym o nią poprosił.

Próbuję zacisnąć nogi, czując pulsowanie w kroczu, ale on podtrzymuje je szeroko rozwarte kolanami.

- Jakież to uprzejme z twojej strony – odpowiadam z pustą złośliwością. Mój naturalny odruch to atak, nawet jeśli przez połowę czasu nie mam takiego zamiaru.

Opuszcza głowę, przygryzając zębami moją dolną wargę i szepcze mi nisko do ucha po francusku. Staram się przetłumaczyć aksamitne słowa, ale krew odpływa mi z głowy. Ścisną mój tyłek, jego dłoń jest duża i męska, po czym daje mi klapsa. W moim gardle urywa się głośnie sapnięcie.

- Lubisz to – stwierdza, podnosząc rękę do mojego policzka. Spodziewam się, że mnie chwyci, ale zamiast tego *delikatnie* gładzi mnie po skórze. – Szkoda, że byłaś dzisiaj uparta.

Mrużę oczy.

- Jestem uparta tylko dlatego, żeby twoje ego nie wyrosło jak grzyby po deszczu i nie udusiło każdej żywej rzeczy, w tym mnie.

Uśmiecha się, tym bardziej podkreślając, iż jest ego jest niepohamowane, niedające się poskromić i na skraju stłumienia *mnie*. Chciałabym, żeby Connor mnie nie podniecał, ale z drugiej strony cieszę się, że mnie podnieca. Boże, dlaczego nie mogę go nienawidzić bez kochania? Byłoby o wiele prościej.

Już zamierzam powalić go większą ilością słów, ale on jest szybszy. Zwija moje majtki i wkłada mi je do ust. Moja szyja płonie na to nowe doznanie i zaciskam palce u stóp, pragnąc poczuć przy sobie jego twarde ciało, jego szorstkie i energiczne ruchy, kiedy znajdzie się we mnie.

Schodzi z łóżka.

Sukinsyn.

Jestem bliska wyplucia majtek i podążenia za nim. Gdy tylko siadam, Connor wyciąga ramię i przyciska rękę do mojego obojczyka, popychając mnie z powrotem na materac.

- Zostań tutaj – rozkazuje. Odkopuje marmurową szachownicę w kierunku krzesła, pionki zlatują z dywanu na panele. Rozrzucone. W chaosie. Moje serce kołacze, a po szyi przechodzi gęsia skórka. Nienawidzę bałaganu, jak nagłej plagi chrząszczy i karaluchów. Włącza się we mnie potrzeba wytępienia, poczucia czystości.

- Patrz na żyrandol – instruuje, wyczuwając mój stres.

Wbijam wzrok w żyrandol, parę kryształków kołysze się od klimatyzatora. Mój umysł robi nura w dół, kiedy coś zimnego dotyka mojego brzucha. Opuszczam spojrzenie i widzę grafitowego króla nad pępkiem.

On chyba nie...

Connor, ubrany jedynie w granatowe dresy, kieruje się przez pokój.

- Jeśli po powrocie zobaczę, że poruszyłaś królem, będziesz w poważnych tarapatach, Rose.

Uroczo. Sprawdzian. Który na pewno zdam. Pewnie idzie do garderoby po kajdanki i skórzaną obrożę.

Zatrzymuje się przy naszej komodzie, pozerając ostrzejszym wzrokiem każdy centymetr mego ciała. Mój oddech pogłębia się, a zebra opadają i wznoszą, grożąc przewróceniem króla. *Kurwa*. Koncentruję się na tym głupim, małym królu i próbuję zmusić go do znieruchomienia samą siłą woli.

Przestaje się trząść.

- Jeszcze jedna rzecz zanim wyjdę. – Po raz kolejny lustruje mnie spojrzeniem. – Rozłóż nogi.

Nie ruszam się.

- *W tej chwili*. – Jego poważny ton jednocześnie skłania mnie do rozluźnienia mięśni, ale po chwili znowu sztywnieję, żeby zrobić mu na złość.

Chowam ten ułamek uporów i ostrożnie rozkładam nogi, obserwując króla, który pozostaje nieruchomy przy mojej precyzji.

- Bardziej.

Pragnę wypluć majtki i odparować mu coś *upartego*. Musiałam zwlekać za długo, a może Connor pragnie dotyku, ponieważ podchodzi do łóżka, łapie mnie za nogi i rozkłada tak, jak mu się podoba. Są oddalone od siebie tak bardzo, jak tylko mogą, obnażając moje wilgotne krocze.

Właściwie to nawet jęczę w przeklęty materiał bielizny. Naprawdę chcę, żeby we mnie wszedł, uderzał twardo, szybko, nieskończenie długo. To także zrobiłby doskonale. Ale odkłada na miejsce króla, który zsunął się z mojego brzucha i znowu odsuwa się od łóżka.

Jego nastawienie się zmienia, nie zwraca na mnie żadnej uwagi. Idzie... w kierunku drzwi sypialni.

Wychodzi. Mój głos jest stłumiony przez materiał, kiedy próbuję wykrzyknąć jego imię. Król dygocze i skupiam się, nie mogąc ani ruszyć, ani odezwać.

Nie odwraca się. Odblokowuje zamek w drzwiach i znika w korytarzu, zamykając je za sobą. Po drugiej stronie nie ma zamka, co oznacza, że każdy może tutaj wejść...

*Wypluj majtki, nie poruszając się. I wyrwij mu leń.* To mój pierwszy cel. Mogłabym oszukiwać i nigdy by się o tym nie dowiedział. Mogłabym wypluć majtki i odłożyć pionka na dokładnie to samo miejsce, jeśli zleci. Pozostawił mi władzę nad rękoma i nogami, ale *oszukiwanie...*

Nie mogłabym cieszyć się swym sukcesem, mając świadomość, że osiągnęłam go skrótami.

Bardzo ostrożnie podnoszę ręce i wyciągam bieliznę, nie odrywając wzroku od tego wrogiego, grafitowego króla. *Zniszczę cię.*

Gdy majtki znajdują się obok mnie, nie powstrzymując mnie już przed odzewem, wykorzystuję mój głos.

- Connor! CONNOR!

Nie słyszę na zewnątrz żadnego ruchu i znowu zauważam na podłodze rozsypane szachy. Przełykam ślinę i patrzę na żyrandol. Może to wszystko po to, aby pomóc mi w powściągnięciu nerwicy natręctw – a może to tylko część jego celu. Nie podoba mi się to.

Leżę kompletnie naga z rozłożonymi nogami. Na moim brzuchu leży pionek szachowy. I muszę wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz. Muszę go zobaczyć. Co jeżeli coś się stało z Jane? Co jeżeli to dlatego wyszedł?

Nie mogę po prostu tutaj leżeć i *czekać.*

Kręci mi się w głowie.

Niech go diabli wezmą. Zrzucam króla z brzucha i schodzę z łóżka. *Nie patrz na podłogę.* Po raz kolejny przełykam ciężko ślinę i biorę czarny szlafrok, zakładając go i kierując się marszem do drzwi.

Otwieram je na oścież, spodziewając się ujrzeć pusty korytarz i światło w pokoju dziecięcym, do którego Connor udał się zdradziecko beze mnie. Gdy obracam głowę w prawo, zauważam Connora opierającego się o ścianę. Spogląda na swój zegarek.

- Po prostu tu stoisz? – Otwieram szeroko usta. Gotuje mi się krew w żyłach, klatka piersiowa unosi w furii.

- Wytrzymałaś minutę.

Trzepię go po ramieniu i łapie mnie za nadgarstek, szybko przyciągając do swojego ciała. Muszę stanąć na palcach, moja twarz znajduje się bliżej jego, ale nadal nie jesteśmy sobie równi wzrostem.

Serce rzuca mi się w piersi.



- Mierzyłeś mi czas?

- Nie posłuchałaś mnie. – Jego druga ręka przesuwa się po moim nagim udzie i wyżej, być może żeby zobaczyć czy założyłam majtki. Oddech staje mi w gardle, kiedy muska palcami moją łechtaczkę.

- Ja nie... - *Mów normalnie, Rose.* – Nie wiedziałam ile cię nie będzie. Po prostu mnie tam zostawiłeś. – Warczę ostatnie pięć słów. Martwię się, że o mnie zapomni, że coś go zajmie i zostawi mnie przywiązaną albo w kompromitującej pozycji, w której znajdzie mnie ktoś inny. To nie pierwszy raz, kiedy mam problem, że zostawia mnie samą, gdy on idzie zajrzeć do Jane.

Chwyta moją szczękę silną dłonią, sunąc kciukiem po mojej dolnej wardze.

- Je reviendrais toujours a toi. – *Zawsze do ciebie wrócę.*

Mrugam, czując, że moja wściekłość maleje. *Zawsze do ciebie wrócę.*

Zdaję sobie sprawę, że o to chodziło w jego sprawdzianie. Całuje mnie, przeczesując palcami moje włosy i łapie mnie za tył głowy. Trochę się rozpływam, powoli zaczynając wierzyć i ufać, że on o mnie nie zapomni.

## Rose Cobalt

- Ona uwielbia tego pluszaka. *Nie* zgub go – instruuję po raz dziesiąty Ryke'a. W salonie Jane leży przy jego stopach, uderzając w różowy kocyk z falbankami grzechoczącą zabawką. Jej ulubiony wypchany lew zawsze znajduje się w zasięgu jej wzroku, a kiedy go gubi, zaczyna przeraźliwie wrzeszczeć, jakby nadchodził koniec świata.

Moffy czołga się w kierunku Jane ze swojego szeregu zabawek. Ryke łapie go w pasie i chłopczyk wybucha śmiechem, ubrany w śpioszki ze Spider-Manem. Próbuje dotknąć zarostu swojego wujka.

Ryke czuje się bardziej komfortowo ze swoim bratankiem, ponieważ Lily i Lo nie posiadają wydrukowanej listy zasad dotyczących radzenia sobie z ich dzieckiem. Sam mi to powiedział w zeszłym tygodniu, kiedy zapytałam dlaczego nigdy nie odwiedza Jane w jej pokoiku, ale ciągle siedzi u Moffy'ego.

Stukam obcasem, groźny odgłos jest stłumiony przez dywan.

Ryke nagle *rzuca* Maximoffem w powietrze, dziecko naprawdę wylatuje mu z rąk. Z moich oczu wystrzeliwuje szeroki, żarzący i gorączkowy laser. Ryke chwyta go w pasie i Moffy znowu śmieje się radośnie.

Moja szczęka dotyka ziemi. Chyba właśnie miałam zawał serca.

- Ryke – prawie wykrzykuję jego imię. Jane nie przeżyje z nim do jutra.

- Ta, kumam. Lew jest kurewsko ważny. – Kładzie Moffy'ego na podłodze, który ponownie kieruje się do Jane.

- Przysięgam na wszystkie świętości, jeśli jej pierwszym słowem będzie „kurwa”, uduszę cię we śnie.

Ryke wzdycha ciężko, spoglądając pomiędzy niemowlętami i mną.

- Już to przerabialiśmy. Jeżeli nie chcesz, żebym przeklinał przy twoim dziecku, to nie pozwalaj mi jej niańczyć, kurwa.

Nie ma takiej opcji. Tuż po narodzinach Jane i Moffy'ego, Lily i ja wzięłyśmy sobie wolne w pracy, żeby pobyć z naszymi dziećmi, ale kiedy są już trochę starsze musimy wrócić do naszych firm.

Halway Comics wprowadziło na rynek nowiuteńkiego superbohatera. Lo, dzięki swojemu bystremu oku i pasji, odkrył pisarza i artystę. Chociaż firma posiada już zespół marketingowy, Lily jest odpowiedzialna za promowanie nowego superbohatera poprzez Superheroes & Scones: kartonowymi wycinankami, bluzami, pudełkami na drugie śniadanie, zegarkami, figurkami i tym podobnymi.

To dla nich kluczowy okres. Ten superbohater może wprowadzić ich markę do stratosfery Marvela, DC i Image Comics. Albo może ich zawieść.

Wypożyczyłam władzę nad moim butikiem, Calloway Couture, zaufanym pracownikom, podczas gdy koncentruję się razem z Lorenem na Calloway Couture Babies, ta kolekcja należy teraz do Hale Co. Jedyna firma w zastoju to Cobalt Inc. – która osiągnęła wysoki zysk i nie potrzebuje już dalszego rozwoju.

Nasza polityka „bez nianiek” wciąż obowiązuje. Wymieniamy się w opiece nad dziećmi, kiedy pracujemy w domu. Ryke i Daisy oferują czasami swoje usługi i żałuję, że nie ma tutaj mojej najmłodszej siostry, która mogłaby pomóc swojemu chłopakowi i powstrzymała od rzucania dziećmi i innymi rzeczami w powietrzu.

Jest w Nowym Jorku na sesji terapeutycznej z Frederickiem.

Może zaczekam, aż wróci do domu...

Spoglądam na komórkę.

- Janie nic się przy mnie nie stanie – próbuje przekonać mnie Ryke. Siedzi na dywanie przed dwójką niemowlaków, a one wspinają się na jego kostki z uradowanymi uśmiechami. Connor i ja sprzeczamy się, co do jej rodziców chrzestnych: tak samo, jak Lily i Loren mają problem z wyborem. Nie chcą nam powiedzieć, ku komu się skłaniają i my również niczego jeszcze nie ogłosiliśmy.

Od samego początku skłaniam się ku Lily, mojej najbliższej siostrze.

Ale Connor ufa Ryke'owi. Ciągłe mi mówi, że Ryke bardziej nadaje się do opieki nad garstką dzieci. On nie da sobie rady z ósemką dzieci, jeżeli będziemy tyle mieć. Ryke to co innego.

Przypominam sobie pewność Connora, którą ma w Ryke'u. Koncentruję się na fakcie, że byłby skłonny zostawić z nim Jane na zawsze, gdybyśmy *zginęli*.

*Dobrze, Ryke. Powierzam ci moją córkę.* Tym razem bez żadnych list. Rozpaczliwie staram się przestać myśleć o tym, że będzie nią rzucał w powietrzu, jak piłeczką.

- Nie udawaj bohatera – mówię lodowatym tonem. – Jeżeli będziesz myślał, że coś jest nie tak, zadzwoń do mnie.

- Mam cię w szybkim wybieraniu numerów, Rose.

Kiwam raz głową i moje szpilki nareszcie odrywają się od dywanu. Potrzeba mi niewiarygodnej ilości siły, żeby powoli oddalić się do drzwi.

\*\*\*

Powinnam była zostać w domu.

Ta osobliwa myśl pojawia się w mojej głowie, kiedy Dyrektor do Spraw Jakości i Integralności Wyrobu w Hale Co. postanawia rozwdzić się nad kreowaniem marki Calloway Couture Babies, zamiast koncentrować się na swoim zakresie obowiązków.

Przebywanie z Jane to mniejszy ból głowy i milion razy więcej przyjemności, niż to coś.

- Zarząd dyrektorów podejmie ostateczną decyzję w sprawie nazwy marki – przypomina mi po raz dziesiąty James. – Powinnaś dać sobie z tym spokój, abyśmy mogli iść naprzód. Pracujemy na czas.

- Jestem tego świadoma. – CCB trafi na rynek w lecie i do tego czasu muszę zająć się metkami, reklamą, promowaniem i zadowoleniem osoby z największą władzą: prezesa tej firmy.

Lorena Hale'a.

Wolałabym skupić się wyłącznie na projektach, ale uwielbiam kontrolę przyznaną mi przez Lorena. Wyznaczył mnie dyrektorką działu dziecięcych ubrań. To nie jest po prostu kolekcja. To spółka zależna w olbrzymiej korporacji, nigdy nie byłam częścią czegoś takiego.

Przez kilka studenckich lat próbowałam sprzedać moje projekty wielkim korporacjom, takim jak H&M, nie zawsze odnosząc sukces i ostatecznie odpuściłam sobie to marzenie. Stres i niepewność doprowadzały mnie do szału i nie miały takiej samej wartości, co kiedyś.

Gdy nareszcie mam okazję ujrzeć moje ciuchy, które pojawią się na stałe w domach towarowych, to nie odrzucę wszystkich moich artystycznych przekonań.

James nie przestaje gadać i podnoszę rękę, przerywając mu w połowie zdania.

- Słyszałam już to wszystko od Dyrektora do Spraw Marketingu. – Aczkolwiek przez telefon, ponieważ przebywa na urlopie. – Więc jeżeli następne twoje słowa nie będą oryginalnym pomysłem albo myślą, wytnę ci jęzor.

Dwa razy starszy, popielatowłosy mężczyzna milknie. Poprawia sobie na nosie cienkie okulary ze srebrnymi oprawkami.

Stukam paznokciami o biurko.

- Lubię cię, James.

- A już by mnie pani nabrała, pani Cobalt. – Parska niepewnym, skrepowanym śmiechem.

Moja mina nie łagodnieje.

- Jesteś w moim biurze, siedzisz w jednym z moich krzeseł. – Pokazuję w miejsce, gdzie rezyduje jego tyłek, półtora metra od mojego biurka z mahoniu. – Ale jeśli wciąż będziesz tutaj przychodził, żeby powtarzać w kółko, iż firma pragnie wydrukować na metkach HC, a nie CCB, to nie wejdiesz za próg.

Nie cierpię bycia szefową suką. To banał, do którego naturalnie pasuję. Odsuwając moją zimną osobowość na bok, nie potrafię inaczej poradzić sobie z moimi pracownikami i tymi biznesmenami. Wszyscy patrzą na mnie, jak na dwudziestosześcioletnią *dziewczynkę*, która siedzi tutaj dzięki nepotyzmowi i złej sławie. Nie mogę pokonać osądu bez czasu i osiągnięć, pokazując, iż zasługuję na tę pozycję, ponieważ jestem inteligentna, pracowita i cholernie dobra w kreowaniu ubrań – nawet takich miniaturowych dla małych potworków.

Porusza się niespokojnie w miejscu. *Dobrze*. Czuję mały przebłysk wyrzutów sumienia, obcy i bardzo, *bardzo* nieproszony.

- Coś jeszcze? – pytam, ściskając długopis niczym sztylet, bieleją mi koniuszki palców. Czuję się jak Amazonka, gotowa z miejsca zaatakować wroga. Jedyne problemy: biedny James nie jest moim wrogiem. Należy do mojej drużyny, ale wcale tak nie czuję.

- W tej chwili nic – mamrocze James, po czym wstaje. Patrzę jak kieruje się do drzwi, gotowy opuścić moje biuro. Mogę się założyć, że pierwsze, co zrobi, to rozpuści o mnie plotkę. Jaka ze mnie paskudna suka. Jak to mój mąż pewnie nie zaspakaja mnie w domu.

Wczoraj usłyszałam takie komentarze w pokoju socjalnym, tuż przy mikrofalówce i automacie z Fizzle.

Jestem pewna, że dzisiejsze plotki będą bardziej kolorowe.

Kiedy James wychodzi, zauważam na zewnątrz kobiece ciało z uniesioną pięścią. Opuszcza ją i stara się o miły uśmiech, przez jedno ramię ma przerzucone rude włosy. Hannah to jedyna kobieta, z którą codziennie mam kontakt i zazwyczaj są to pobieżne komentarze albo częste „*Loren Hale chciałby widzieć się z panią w swoim biurze*”.

Próbuję przyzwycząć się do faktu, iż Loren ma asystentkę – kobietę z długimi, wysportowanymi nogami i piersiami podskakującymi przy każdym kroku. Gdybym nie znała poziomu oddania mojego szwagra wobec Lily i jego typu dziewczyny – chuderlawa z minimalnymi kształtami – to mogłabym się troszkę martwić o siostrę.

James wymija Hannah, nie ukrywając przelotnego spojrzenia w jej dekolt. Ściskam mocniej długopis, wyobrażając sobie, że wbijam końcówkę w jego gardło. Nie, żeby naprawdę to zrobiła.

Jeżeli Hannah zauważyła jego podejrzaną minę, nie daje po sobie tego znać. Podpiera się biodrem o framugę drzwi, ubrana w ładną zieloną bluzkę i ołówkową spódnicę z wysoką talią. Jednakże jej czółenka są za niskie, jak na mój osobisty gust.

- Loren Hale chciałby widzieć się z panią w swoim biurze – oznajmia.

Nie mogę powstrzymać teatralnego wywrócenia oczami.

- Mówię to po raz tysięczny, mógłby po prostu po mnie zadzwonić, zamiast marnować *twój* czas.

- Jestem jego asystentką, taka moja praca – odpowiada z wymuszonym uśmiechem. Rzadko ze sobą rozmawiamy, ale nigdy nie byłam typem przystępnej osoby. Tych kilkoro przyjaciół, których miałam w liceum najprawdopodobniej spotykało się ze mną ze względu na status. A może trzymali się ze mną, ponieważ mogli na mnie polegać: odpowiedzialnej, lojalnej koleżance. Wyciągałam o północy zapomniany podręcznik z szafki Sebastiana, dzwoniąc do woźnego, żeby mnie wpuścił i kolejne dziesięć minut spędzałam na dowiezieniu go do jego domu. Tylko po to, aby mógł wyuczyć się do sprawdzianu.

Byłam taką przyjaciółką.

Po zakończeniu szkoły większość kolegów wyjechało do Harvardu, Georgetown, Uniwersytetu Pensylwanii i Yale. Ja wybrałam Princeton.

Miałam mnóstwo znajomych w college'u, ale kiedy moja rodzina wpadła w szpony mediów, to albo nie chcieli mieć nic wspólnego z moją żalowaną, żądną sławy rodziną, albo codziennie zaczęli do mnie wydzwaniać, jakbyśmy każdego wieczoru malowali sobie paznokcie.

Musiałam wybrać pomiędzy byciem samą, a posiadaniem fałszywych przyjaciół.

Zatem wybrałam moje siostry.

I Connora, jak sądzę.

Gdzieś tam w świecie istnieją dziewczyny, które mnie uwielbiają – które niszczą magazyny plotkarskie, uważają mnie za inspirację. Chciałabym, żeby otaczały mnie takie dziewczyny. Tutejsze kobiety, te w korporacyjnej Ameryce, widzą sławę, jako próżność, jako wstrętą skazę naszego kraju.

Hannah patrzy na mnie teraz właśnie w taki sposób. Z cichą ciekawością i pogardą.

A szkoda. Obie jesteśmy przewyższane liczebnie przez mężczyzn – nie powinnyśmy nawiązać jakiejś więzi? Po latach nadal mam problem z tym, jak widzi mnie społeczeństwo. Czasami chciałabym to zmienić, ale z drugiej strony nie wiedziałabym nawet od czego zacząć.

Wychodzę za Hannah na korytarz, idąc obok niej.

- A więc jaka jest twoja wymarzona posada w tej firmie? – pytam, próbując przynajmniej coś zagadać. Może zostaniemy przyjaciółkami. To obrzydliwa, emocjonalna myśl. Którą chcę zamieść pod dywan. Już próbowałam się zaprzyjaźnić. Nigdy się nie udaje. Albo przychodzą do mnie dzięki przeznaczeniu, albo pozostają bez przyjaciół.

Mam w tej sprawie dwadzieścia sześć lat doświadczenia.

Patrzy na mnie bokiem. *Powinnaś była pozostawić to Przeznaczeniu, Rose.*

- Mam doskonale opłacaną pracę. Nie chcę być nigdzie indziej. – Zatrzymujemy się przed biurem Lorena, wszystkie ściany są ze szkła ze wspaniałym widokiem na Filadelfię.

- Nie chciałam cię obrazić. Nie ma nic zawstydzającego w byciu sekretarką. – Nie uginam się, chociaż zaczyna mrowić mnie skóra.

W jej oczach pojawia się więcej żaru.

- Jestem *asystentką prezesa* – mówi gniewnie. – I nie każdy może dotrzeć na szczyt przez łóżko.

Cała się jeżę. Nie wiem dlaczego bardziej nie cierpię kłótni z kobietami, niż z mężczyznami. Jeżeli jest sobie taka sama paskudna dziewczyna, która pluje we mnie jadem, to powinnam zaatakować ją tak samo, jak faceta. Równouprawienie dla wszystkich, prawda?

Waham się, ale nie na tyle długo, żeby zostało to zauważone.

- Nie możesz tak do mnie mówić – warczę, i tyle z bycia przyjaciółkami.

Staje prosto i wyciąga szyję, jest ode mnie wyższa o jakiś cal.

- Nie pracuję dla pani.

Część mnie czuje szok, że powiedziała coś takiego. Druga część pokrywa się lodem.

- Zadałam ci pytanie czy masz jakieś marzenia, ale widzę, że jedyne jakie masz, to bycie zwolnioną po dwóch tygodniach pracy. – Kątem oka widzę, że Loren wstaje zza swojego biurka, jego biznesowy strój nie jest tak wstrząsający, jak korporacyjna atmosfera, w której został postawiony. Dzięki Bogu, że nie zmienił swojego stylu: czarnego krawatu, czarnej koszuli i czarnych spodni od garnituru.

Tłumaczenie: *Nadal jest Lorenem Halem.*

Niepokój Lorena wzrasta, kiedy obserwuje jak sprzeczam się z jego sekret... *asystentką*. Próbuję wbić sobie to słowo do głowy.

Dodaję:

- I nie wiem dlaczego uważasz, że dostałam tutaj posadę przez seks...

Ma czelność mi przerwać.

- Co powiesz o seks taśmach? To dzięki nim jesteś sławna, prawda? Wszyscy wiedzą, że dostałaś tę robotę tylko dlatego, że masz fanów. W innym wypadku Hale Co. wybrałoby inną, bardziej *wykwalifikowaną* projektantkę.

Zaraz wyrwę jej kudły.

Lo otwiera szklane drzwi i staje pomiędzy nami zanim mój mózg zdąży wyteoretyzować jakiegokolwiek inne dramatyczne zakończenie tej sprzeczki.

- Drogie panie – odzywa się ostrym tonem, jak zwykle. Przenosi bursztynowe oczy z Hannah na mnie. – Co się tutaj dzieje?

- Ona obraziła moją pracę – mówi szybko Hannah, ubiegając mnie. Jakby skarżyła się tatusiowi. Pieprzyć to. Przepycham się obok Lorena i wchodzę do jego otwartego biura.

Omijam jego stolik do kawy, fioletowy storczyk, masę skórzanych kanap i foteli, i podchodzę do srebrnego biurka. Zajmuję czarny, skórzany fotel na czele, zyskując doskonały widok na Hannah wyrzucającą z siebie wszystkie drastyczne szczegóły naszej kłótni.

Nic nie słyszę zza szklanych ścian, ale gestykuluje gorączkowo dłońmi, wskazując na mnie.

Lo ani razu nie podąża za jej wymachującym palcem. Potakuje i potakuje, milcząc. Dziwnie jest widzieć go w pozycji przywódcy, a jeszcze dziwniej widzieć, że tak dobrze do niej pasuje.

Kiedy Hannah przestaje paplać, Lo wypowiada kilka słów, tylko parę, a ona kurczy się w sobie. Jej mina rzędzie i blednie skóra. Potem jego usta znowu się poruszają, precyzyjne i stanowczo. Ma w oczach to spojrzenie, które potrafi przywołać jedynie Loren Hale. Spojrzenie mówiące „*mam moc, żeby wymordować wszystko, co kiedykolwiek, kurwa, kochałeś*”.

Moje piorunujące spojrzenia są teatralne i często nie bierze się ich za poważną groźbę.

Jego są poważne.

Chwilę później Hannah wycofuje się i odchodzi, podczas gdy Lo obraca się i wchodzi do swojego biura.

- Zejdź z mojego fotela – rzuca.

Nietypowo kładę szpilki na szklanym blacie biurka. Moja czarna sukienka baskinka wystarczająco opina mnie w tyłku, że nie powinien nic zobaczyć.

- Wczoraj zrobiłeś to samo z moim biurkiem – mówię – więc niech będzie sprawiedliwie.

Zatrzymuje się w połowie biura, krzyżując ramiona na piersi.

- Nazwałaś ją sekretarką. – Na jego twarzy pojawia się uśmiech, i to nie ironiczny. – Szczerze sądziłem, iż powie, że zagroziłaś spaleniem jej włosów. Czy ktoś ukradł ci dziś rano miotłę?

- Wsadziłam ci ją do dupy, nie pamiętasz? Czy wciąż próbujesz o tym zapomnieć? – Przesuwam palcem po policzku, udając, że spływa po nim łza.

No i proszę. Posyła mi ten ironiczny półuśmiech.

- Twój mąż wyciągnął ją za mnie. Lubi mój tyłek.

Wywracam oczami.



- Rzygam na waszą przyjaźń. – Jest dla mnie za słodka. Te *komplementy*, którymi ciągle się wymieniają. Ugh.

- Rzygam na twoją bieliznę.

Otwieram szeroko oczy, w których iskrzy się ogień. *Nie*. Nic nie widzi pod sukienką. On unosi do mnie brwi.

- Loren – warczę. Na wszelki wypadek opuszczam stopy na podłogę.

Nie daję mi znać czy naprawdę coś widział. Mogę się założyć, że blefuje, ale nie będę tego testować.

Spoglądam na korytarz, gdzie kierownik popija kawę, trzymając w dłoni folder. Patrzy przelotnie w naszą stronę, po czym koncentruje się na drodze, najprawdopodobniej do swojego biura. Pytam Lo:

- Zwolniłeś ją? – Na mojej piersi ciąży ułamek poczucia winy.

- Nie. Powiedziałem, że musi nabyć grubszą skórę i jeśli nie będzie cię szanować, wtedy ją wywalę.

Przełykam skałę w gardle i kiwam głową.

- Więc dlaczego wezwałeś mnie tutaj, jak podrzędną służącą?

Przyciąga fotel przed swoje biurko, ale nie siada, tylko trzyma się oparcia.

- Poza tym, że chciałem dać ci posmak tego, jak czujemy się codziennie przez ciebie i Connora, muszę porozmawiać z tobą o dziale marketingu. Hale Co. chce, żeby kampania promocyjna rozpoczęła się długo przed letnim wprowadzeniem na rynek.

Rozbrzmiewa pukanie w jego szklane drzwi. Zerkam ponad jego ramieniem. Ścisną mnie w żołądku.

Loren odwraca się.

- Dlatego właśnie – mówi do mnie – chcę, abyś współpracowała z asystentem Dyrektora Działu Marketingu.

Wiedziałałam, że Theodore Balentine pracuje w Hale Co.

Wiedziałałam, że był jednym z marketingowych asystentów Marka.

Czy kiedykolwiek sądziłam, że stanę twarzą w twarz z byłym chłopakiem mojego męża?

Szczerze mówiąc, myślałam, że los będzie dla mnie miłszy.

*Rose Cobalt*

Gdzieś po dwóch miesiącach umawiania się ze sobą, zapytałam Connora o jego związek. Liczyłam na to, że zachowam jego niepewności niczym amunicję, skoro nigdy żadnych nie okazywał. Mogłam wykorzystać je przeciwko niemu, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Często prowokował mnie w ten sam sposób. Podczas gdy ja trzymałam buzię na kłódkę o wiele dłużej, on odpowiadał na moje pytania, nawet jeśli w podświadomości tak naprawdę nie chciałam tych odpowiedzi.

Te fakty przewiercają mi mózg.

Osiem lat temu na konferencji Model UN, zauważyłam wychodzącego z łazienki Connora, za nim szedł drugi facet, bez marynarki i identyfikatora.

Connor wytarł sobie dolną wargę, ich włosy były tak samo potargane, niechlujne; tak wyglądali ludzie po szybkim numerku.

Wywnioskowałam, że Connor zrobił mu loda.

Czego nie wiedziałam przez kilka lat: Theo Balentine i Connor chodzili ze sobą. Nie otwarcie. Stąd to spotkanie w hotelowej łazience. I to był inny związek od Caroline Haverford. Connor opisywał czas z nią spędzony, jako „jedenaście miesięcy i dwadzieścia dwa dni banalności i nudy”.

Czas spędzony z Theo opisywał „zabawą”.

Po moim kręgosłupie powinna prześlizgnąć się zazdrość, niczym wąż kierujący się do mego serca. Albo wściekłość. Jestem ogniem, gdzie mój mąż jest wodą. To naturalne, że powinnam płonąć w obecności jego byłego.

Ale nie czuję tych emocji.

Odczuwam triumf. Utrzymałam coś, czego Theo nie potrafił.

Connor jest mój.

Gdy Theo wchodzi głębiej do pokoju, wciągam wdech. Widziałam go wiele razy. Zawsze był częścią naukowych turniejów w Fauście i później w college’u, ale to pierwszy raz, kiedy widzę go, mając świadomość, iż jego łazienkowy numerki nie był jednym wydarzeniem.

Jest wyższy, niż zapamiętałam, bledszy, a wory pod oczami ciemniejsze. Przypomina ponurego złoczyńcę z orlim nosem i skołtunionymi, brązowymi włosami, a jego postawa sugeruje kreaturę czającą się w ocienionych kątach.

Wchodzi do biura Lorena ze zgarbionymi ramionami, skulony i skrępowany swoim wzrostem, trzymając ręce w kieszeniach. Idzie powoli do przodu, spoglądając na Lo, jakby chciał wyeksmitować się z tego pomieszczenia... w którym przebywam *ja*.

Nosi wymuskany i odpowiedni garnitur, ciemny i dopasowany do jego sylwetki. Skupiam się na jego włosach, zastanawiając czy celowo nie czesał potarganych kosmyków. Być może usłyszał, że się ze mną spotka, więc zrezygnował z grzebienia, aby wyglądać na wyluzowanego oraz uległego, przyjaźniejszego. Coś takiego uczyniłby Connor, żeby wydawać się innym niegroźny.

Ale zapominam, że Connor jest jedyny w swoim rodzaju. Manipulator i geniusz.

Theo to śmiertelnik w porównaniu.

Przysuwam się do biurka, otwarcie lustrując Theo kolejnym spojrzeniem, jakbym była zautomatyzowanym skanerem ciała na lotnisku. *Nie boję się ciebie*. Jego oczy odnajdują mój wzrok, mają barwę chmur burzowych. Los próbuje mi coś przekazać.

Uparcie ignoruję ten złowieszczy znak i prostuję plecy.

Lo puszcza krzesło i obraca się, dając mi lepszy widok na Theo i vice versa. W ciszy wzrasta niezręczne napięcie.

Zwracam krzesło w kierunku Lo.

- Dlaczego nie mogę pomówić z Markiem? Czy może jest zbyt zajęty, żeby zadzwonić do dyrektorki nowej, wielomiliardowej spółki zależnej Hale Co.? – Nie dodaję, iż Mark zignorował dziewięć z dziesięciu moich telefonów. Wolę, żeby to on wyglądał na niekompetentnego głupca, niż ja na wyrzutka.

Theo kołysze się na piętach i odpowiada przed Lo.

- To dlatego, że jest zbyt zajęty popijaniem koktajlów na swoim jachcie. – Wzrusza ramionami, jakby to nie było nic takiego. – Mark ma rodzinę, dzieci oraz wnuki i najwyraźniej od trzydziestu pięciu dni odbywają się urodziny najmłodszego członka jego rodziny. – Patrzy niepewnie na Lo, obawiając się, że powiedział za dużo przed prezesem Hale Co. – Pracowałbym równie ciężko, gdyby nie było go trzysta dni w roku. Naprawdę nie przeszkadzają mi te wszystkie nocki. Jestem singlem, więc... - Krzywi się lekko, drapiąc po głowie i rzuca mi przelotne spojrzenie zanim wbija wzrok w podłogę.

Co u diabła. Zabawa? Jakim cudem można mieć z nim zabawę?

Przypadkiem podaje mi osobiste informacje, popełniając błędy na lewo i prawo. Ktoś wrzucił mi do oceanu smutnego, małego gupika, który pływa przy moich ostrych jak brzytwa kłach. Chyba, że manipulacją każe mi sądzić, iż jest słabszy, niż naprawdę...

Opieram ręce na biurku.

- A więc te ciemne wory pod oczami nie są od zioła?

Zapytałam Connora o trzy fakty na temat Theo, na wypadek gdybym wpadła na niego w Hale Co. Pragnęłam artylerii i dał mi ją bez zawahania, bez żadnych emocji.

1] Theo zwykł palić mnóstwo zioła w Fauście, wypełniając dymem swój pokój akademicki i rozmontowując alarm przeciwpożarowy.

2] Theo uwielbiał poezję i sztukę. Nigdy nie miał pasji do świata korporacji, ale popchnęli go do niego rodzice.

3] Theo lubił być na dole.

Nie ucieszyła mnie wiedza o fackie trzecim, ale i tak sobie go zachowałam do późniejszego wykorzystania. Connor nie udzieliłby mi bezwartościowych informacji. Otworzyłby szafę pełną amunicji – mieczy, pistoletów i strzał – i zapytał, czego potrzebuję.

Na wzmiankę narkotyków Theo próbuje wygładzić sobie potargane włosy.

- Nie robię czegoś takiego... - Odchrząkuje, kaszląc w pięść. – To był... Faustowy nawyk. – Wypuszcza oddech ze spięciem i odwraca do Lo, może chce się przekonać czy właśnie pozbawił się pracy.

Lo patrzy tylko na mnie.

- Ty też go znasz? – Był świadom, iż Theo znał Connora ze szkoły z internatem i tyle.

- Trochę. – Poruszenie tematu relacji Theo z Connorem zapewni mu natychmiastowe zwolnienie. Opiekuńczość Lorena wobec mnie zatacza koło, niczym zaćmienie. Zawsze tam jest, czekając na zaciemnienie nieba.

Theo przygląda mi się ostrożnie, znacząco. Trzymam sznurek jego losu, który praktycznie błyszczy w moich rękach. Jego oczy koloru chmur burzowych są łagodne, to tornado, które nigdy nie dotyka ziemi, ale zwisa niepewnie przed wciągnięciem do nieba.

To gupik.

Zwracam się do Lo.

- Znamy się poprzez Model UN i Quiz Bowl. – Nie odcinam sznurka Theo. Znowu spoglądam na niego. – Byłeś ich kartą atutową w literaturze.

Potakuje, rozluźniając barki.

- I poezji.

- Huh – mówi Lo, niemal znudzony tą wiedzą. Dzwoni mu komórka i patrzy w ekran, kierując się do drzwi. – Theo zajmie się wszystkim, czego potrzebujesz, Rose. Wrócę za pół godziny. – Przykłada telefon do ucha, opuszczając biuro i znikając w korytarzu w poszukiwaniu prywatności.

Telefon jest albo od jego ojca, albo od Lily. Może od Ryke'a.

Theo po raz kolejny drapie się po głowie w zamyśleniu. Potem wskazuje na mnie.

- Zajmę się wszystkimi *marketingowymi* potrzebami. We wszystkich innych sprawach możesz zadzwonić do swojego asystenta. – To było dość asertywne. Milknie, kiwając się w swych mokasynach. – Skończyłem studia z wyróżnieniem w Yale. – Kiwa parę razy głową, rozglądając się po biurze, żeby uniknąć mojego spojrzenia.

Yale. Ugh.

Czemu nie mógł tam zostać i nie wchodzić do mojej stratosfery?

A ja skończyłam studia z wyróżnieniem w *Princeton*, co jest jak przebijanie się przez ruchome piaski z dwudziestokilogramowymi kajdanami. W porównaniu Yale jest jak zostanie wrzuconym do basenu z kamizelką ratunkową. College Connora jest łatwiejszy od tych dwóch, ale nie uczęszczał do Uniwersytetu Pensylwanii z przyczyn naukowych. Uczęszczał tam dla ludzi. Była tam odznaka dumy Ligii Bluszczowej, ale co najważniejsze, gromadziło się tam mnóstwo dzieci funduszy powierniczych, które musiał poznać. Ludzi takich, jak Patrick Nubell z Nubell Cookies. Albo Loren Hale. I moja siostra.

Po długiej chwili ciszy, Theo pokazuje na krzesło.

- Mogę?

- Jak najbardziej. – Macham mu ręką z przesłodzonym uśmiechem.

Przysuwa krzesło bliżej do biurka. Sztywnieję lekko, nie przewidując tego. Wyciągam długopis z kubka Hale Co., obracając nim w palcach. Connor kiedyś mówił mi małe rzeczy na temat Fausta, dopiero kiedy zaczęliśmy się umawiać. Powiedział, że wszyscy chłopcy gadali o licealnych dziewczynach z Dalton, Pavawich i Vorwell. Mówił, że plotki kręciły się wokół mnie, skoro często odszukiwał mnie podczas naukowych konferencji.

Powiedział, że niektóre plotki były nieprawdziwe. Inne prawdziwe. On wierzył tylko w te, które potwierdziłam.

Miałam jedynie nadzieję, że te plotki nie dotarły do Yale po skończeniu liceum. To byłoby fatalnie smutne.

Gdy Theo siada, wyciera lepkie ręce o spodnie.

W ile wierzy plotek? Mogę się założyć, że już ukształtował sobie moją osobę z biura i gazet plotkarskich, reality show i wszystkich innych resztek, które zostawiłam w dzieciństwie.

- Czy ja cię stresuję? – pytam wprost.

Parska śmiechem. – Tak. – Potakuje bardziej do siebie. – Tak jakby. Ty to... ty. – Nie jestem stuprocentowo pewna kontekstu jego odpowiedzi.

- Nie wiem, co to znaczy. – Próbuję naśladować Connora, utrzymując opanowany i nieczytelny głos, ale kończy się na tym, że wyrzucam z siebie szorstko słowa.

Otwiera usta i znowu je zamyka, przemyślając ten ruch. Wciąż nie patrzy mi w oczy.

- Nie hamuj się – mówię. – Gdybym chciała się ciebie pozbyć, powiedziałabym Lorenowi o twoim związku z moim mężem.

Theo gładzi kilka razy podłokietniki, zastanawiając się.

- Dziękuję ci za to. Ta praca... nie łatwo było na nią trafić. Hale Co. rządzi się nepotyzmem, a choć posiadam dużo inteligencji, brakuje mi kontaktów. – Milknie, nareszcie patrząc prosto na mnie. Lejek tornada spuszcza się pod linię chmur. – Connor zwykł mówić, że to coś tak złego, jak posiadanie średniej ocen 1.0.

- Obraził cię. – Zero zaskoczenia.

- On obraża wszystkich, ale pewnie o tym wiesz. – Znowu odchrząkuje.

- Przestań tak robić. – Przechodzą mnie dreszcze od tego dźwięku. – Chyba, że jesteś kotem.

- Słucham? – Marszczy brwi.

Wywracam oczami. On nie jest moim mężem, choćby minimalnie.

- Brzmisz, jakbyś wykaszliwał kłaczek, Theo.

Z jego policzków odpływa trochę krwi i zmienia pozycję, kładąc sobie na kolanie kostkę.

- Przepraszam.

- Nie hamuj się – przypominam. – Dlaczego cię stresuję?

- Ty... - Przygląda się mojej twarzy, pochłaniając moje płomienne spojrzenie. – Przez jakiś czas byłaś głównym tematem rozmów w Fauście. – Po raz kolejny milknie, zbyt długo.

Popędzam go machnięciem ręki.

Kiwa głową.

- Nigdy nie uważaliśmy Dalton za zagrożenie na Model UN, dopóki nie pojawiłaś się w ich drużynie. Prawie nas pobiliście i faceci nie mogli przestać gadać o tej jednej dziewczynie. – Odwraca wzrok, zbierając w sobie wspomnienia. – Dziedziczka imperium Fizzle miała więcej wiedzy, niż pięciu naszych. Wtedy wszyscy oczekiwali, że będziesz tępą. Byłaś dziewczyną. – Do cholery, tak, jestem dziewczyną. – Ubierałaś się tak, jakbyś potrzebowała pięciu godzin na przygotowanie. – Kocham modę. – I byłaś bogata. – To też.

Potrząsam głową.

- Tragiczne, że potrzeba było *mnie*, żebyście się wszyscy nauczyli, że dziewczyny mogą być kobiece i mądre. – Gdybym o tym wiedziała, to chyba wpadłabym do Fausta i powiesiła na korytarzach portrety kobiet, które mnie inspirowały. W tym Coco Chanel.

- Zgadzasz się – mówi.

- A więc stresujesz się, bo jestem pewną siebie kobietą.

Waha się, jakby chodziło o coś więcej.

- Były na twój temat plotki. – Kiedy pociera się po karku, podwija mu się rękaw, ukazując na wnętrzu nadgarstka tatuaż, być może początek większego wzoru.

- Na przykład?

- Dźgnęłaś lalkę nożyczkami i napisałaś na jej czole. – Mruży oczy, by przypomnieć sobie słowa. – Coś w stylu... „*nie zajmę się tym, dopóki... coś tam.*”

Pamiętam.

- Nie będę przejmować się martwymi przedmiotami, dopóki nie będą tego robić chłopcy – mówię mu.

- A więc to prawda?

- To tak. Nie wiem jakie inne plotki o mnie nawymyślaliście. – Jestem pewna, że niektóre są zbyt dramatyczne, nawet dla mnie.

Patrzy w sufit, jakby miał mu pomóc w myśleniu.

- Jedna mówiła, że jesteś uzależniona od kokainy. Zdawałaś się lekko... - Urywa na krótko, widząc moje piorunujące spojrzenie. - ...nerwowa.

- To jakiś absurd. – Nie mogę po prostu taka być. Muszę mieć uzależnienie od kokainy?

Potakuje.

- No i plotka o tym, że twój ojciec wrobił cię w zaaranżowany ślub, kiedy byłaś małą.

- Że co? – Nieruchomieję. Connor nigdy mi o niej nie powiedział.

- Z nikim się nie umawiałaś. Tak przynajmniej słyszeliśmy od chłopaków z Dalton, a to się rozniosło.

Ściągam brwi.

- Nikt nie pomyślał, że mogę być lesbijką? – To chyba mniej teatralny wniosek.

- Zawsze nosiłaś szpilki – odpiera.

Zaciskam zęby. Istnieje zbyt wiele stereotypów do wychwaszczenia.

- Mogłam być dumną lesbijką w szpilkach – odparowuję. – Jak na tak bystrych facetów, wszyscy jesteście irytująco durni. – Zatem w ich oczach byłam zbyt kobieca na lesbijkę, kolejny stereotyp.

- Nie wierzyłem w żadną z tych plotek – mówi. – Nie sądzę, żeby ktokolwiek korzystający z mózgu w nie wierzył, ale większość plotek to zwykle niepotwierdzone i okrutne pomówienia.

Nie jest taki okropny.

- To było dawno temu – dodaje, siadając prosto. – Licealne sprawy.

- W Yale...

- Jest inaczej – przerywa mi z niewielkim grymasem. – Ludzie, którym zależało na tyle, żeby znać cię z imienia widzieli cię, jako dziecko funduszu powierniczego, któremu oddaje się firmę ojca. Tam była... inna atmosfera. Faceci z Fausta mieli gdzieś, skąd pochodziłaś, obchodziło ich tylko to, gdzie skończyłaś. Jeżeli potrzebowałaś jednego kroku, żeby dotrzeć na szczyt czy ktoś inny pięćset, dla nas wszystkich to było to samo.

Przeskakuję pomiędzy gardzeniem, a wielbieniem chłopców z Fausta. Przywykłam do tej zagadki z miłością-nienawiścią, skoro jestem z taką poślubiona.

Oblizuje suche usta, cisza wzmacnia bardziej niekomfortowe napięcie.

- Porozmawiamy o marce?

- Za chwilę. – Nie zamierzam roztrwonić zdobytego z nim czasu, nawet jeśli moje zębra zaciskają się coraz bardziej na płucach, im dłużej jesteśmy w swoim towarzystwie. – Jaki był Connor w Fauście?

Nigdy nie miałam tych informacji od bezstronnego źródła. Ucieszy mnie choćby mały sekret z dzieciństwa. Ponieważ Connor nie ma rodzeństwa, faceci z którymi dorastał w Fauście są najbardziej bliscy bycia braćmi. Niestety to Theo jest pierwszym facetem, którego spotkałam poza collegem, w innym wypadku wybrałabym sobie kogoś innego.

Theo patrzy w moje dociekliwe oczy.

- Oglądałem może jeden odcinek *Księżniczki Filadelfii* i Connor potraktował prawie wszystkich protekcjonalnie w ciągu dziesięciu minut. Nikt się chyba tym nie przejął.

Connor został kiepsko pokazany w telewizji, ale nie wszystko było fałszywe. To pewnie nie było.

- W Fauście często taki bywał – ciągnie Theo – i był popularny. Nie dlatego, że miał powiązania i był bogaty w diabli, ale to również. Connor był kimś, przy kim chciało się przebywać, ponieważ mówił rzeczy, których wszyscy bali się wypowiedzieć. Wiedział, kiedy milczeć, a kiedy się odezwać i gdy mówił, to *tylko* jemu uchodziło na sucho nazywanie cię gorszym od siebie i sprawiał, że się potem uśmiechałaś. Tylko on mógł mówić takie rzeczy



bez bycia znienawidzonym. – Wzrusza ramionami. – Pod koniec dnia był po prostu sympatyczny.

Sympatyczny.

Jeśli był taki sympatyczny, to dlaczego zajęło mi tak długo polubienie go? „*Kochałaś mnie, Rose*” słyszę w głowie jego głos.

Klikam długopisem, przetrawiając to.

- Zdajesz sobie sprawę, że manipulował wami wszystkimi?

Theo przytakuje.

- No. Sam nam to mówił. Zawsze żartowaliśmy, że to typ osoby, która wyjaśniała jak wbije w ciebie nóż przed faktycznym dźgnięciem... a ty byś mu na to pozwoliła. Jakżeby inaczej. W pewnych okolicznościach pewnie nawet podały ci nóż, żebyś sama dźgnęła się w pierś, a ty byś to zrobiła.

Pozwoliliby Connorowi, żeby zabił ich hipotetycznie. Boże. Gdyby mógł to teraz usłyszeć, to myślę, że jego ego dosłownie pochłonęłoby układ planetarny.

Co interesuje mnie najbardziej – Theo nie powiedział nic o szantażu. Taktyki Connora są wyraźne, widoczne na tyle, iż człowiek orientuje się, co się dzieje, ale i tak to robi.

Taka siła jest przerażająca i gdyby Connor widział zemstę, jako coś więcej niż bezowocną, to bałabym się ilekroć ktoś by się mu naraził.

Wracam do tematu.

- A więc jesteś asystentem Marka. Podzielasz jego opinię na temat metek?

Bierze głęboki wdech.

- Jestem tu na rozdrożu. Mógłbym ci powiedzieć, że głupio jest dać na metkę HC. Że ludzie powiążą Hale Co. z pieluchami, produktami dziecięcymi i olejkami. Klienci z wyższej półki nie będą kupować ciuchów z taką samą etykietką, jak rzeczy, w które srają ich dzieci. Ale jeśli ci to powiem, to sprzeciwię się *mojemu* szefowi. Możesz mieć władzę, ale to Mark może mnie zwolnić.

Znowu klikam długopisem, myśląc. Theo zgadza się ze mną, ale za bardzo zależy mu na pracy, żeby stanąć po mojej stronie.

- Co gdybym mogła zagwarantować ci robotę? – oferuję. Na pewno po rozmowie z Lorenem mogłabym zmienić tytuł Theo, zapewniając mu miejsce w mojej drużynie. Potrzebuję drugiego głosu w moim narożniku, nawet jeśli tak przygaszonego, jak Theo. To już coś.

Na twarzy Theo pojawia się litość. Ściskam mocniej długopis. „*Nie patrz tak na mnie*” próbuję przetłumaczyć te słowa na gniewniejsze spojrzenie.

- To nie ma znaczenia. Przegrasz, Rose. – Szczerłość spowija jego głos. – Wszyscy wiedzą, że na metce powinno widnieć CCB. Ale nie dlatego zostaniesz przegłosowana. Jesteś w samym środku korporacji, którą od ponad trzydziestu lat zarządzają mizogini. Prędzej nadzieją się na swoje miecze, niż dadzą wygrać dwudziestosześcioletniej kobiecie.

Nie mogę w to uwierzyć, chociaż w głębi duszy wiem, że to prawda. Jonathan Hale może i nie mówi o mnie źle, ponieważ jestem córką jego najlepszego przyjaciela, ale słyszałam już jak ohydnie wypowiadał się o kobietach. Jednakże Jonathan nie prowadzi już tej firmy.

- Loren...

- Ma władzę, ale większość zarządu uważa go za młodego i niedoświadczonego. Potrzebuje czasu, żeby zbudować relacje zanim przekona do siebie większość. Wy dwoje... stoicie teraz w mniejszości. Dwoje przeciw czternastu. To sprawa beznadziejna.

- Skąd to wszystko wiesz? – pytam. Jest zwykłym asystentem.

- Wiele słyszę – mówi. – Ludzie często zapominają o mojej obecności. To przydatna cecha.

Jest cieniem. W swoich oczach i w życiu.

*To sprawa beznadziejna.* Nie mogę przewrócić się i zrezygnować. Zarząd chce, żebym się zamknęła i wykorzystała swoją twarz, jako chwyt marketingowy, wykorzystując status celebrytki. W sieci istnieją blogi poświęcone temu, w co się codziennie ubieram, a nawet strojom, które wybieram dla Jane. Paparazzi pomagają nam w tym wypadku, to ironiczne, że ta inwazyjność rozrasta nasze firmy, ale zagraża naszym dzieciom i prywatności. Gdzieś pomiędzy jest bezpieczna granica, którą nadal próbujemy odkryć.

Wyciągam pustą kartkę papieru z szuflady biurka Lorena. Nie będę bezgłośnym narzędziem dla tych ludzi. Loren zatrudnił mnie z doskonałą świadomością, kim jestem i jeśli reszta zarządu nie będzie mnie akceptować, szanować ani zgadzać się ze mną, to muszę spróbować w nowy sposób.

Rozwiązanie znajduje się gdzieś na skraju mojego mózgu. Uderzam długopisem w kartkę.

Co.

Mam.

Zrobić.

Zamykam na chwilę oczy.

- Dobrze się czujesz? – pyta Theo. Słyszę skrzypienie skóry pod jego tyłkiem, kiedy zmienia pozycję.

Unoszę palec. *Jedną sekundę*. Calloway Couture Babies: CCB. Hale Co: HC. Musi być jakiś kompromis...

Otwieram szeroko oczy i szybko przysuwam do siebie kartkę, zaczynając rysować. Theo przekrzywia szyję, próbując dostrzec mój rysunek ponad stosem folderów.

Kończę w parę sekund i obracam do niego kartkę. Odsuwam foldery pod monitor komputera Lo. Theo spogląda na prosty szkic: litery HC wstawione w środek litery B z CCB.

Jego mina pozostaje nieczytelna i przyspiesza mi tętno. Dostrzegam, że spogląda na długopis w kubku.

- Masz umiejętności artystyczne? – pytam, wyciągając mu długopis. Kładę go na kartce.  
– Ulepsz to. – Jestem dobra w rysowaniu. Mam mnóstwo szkicowników z licznymi projektami, ale nie jestem już zbyt dumna, żeby oddać zadanie komuś innemu.

Siada prosto, bardziej chętny, żeby dodać swoją wizję do mojej i zaczyna łączyć litery dłuższymi liniami, kursywą przypominającą pociągnięcia pędzlem. Umieszcza niżej HC, wyrównując z dolną kreską B. Po skończeniu obraca kartkę do mnie.

Pięknie. Jakimś cudem sprawił, że parę liter wygląda elegancko i cudacznie.

- Musisz dać to Markowi – instruuję. Jeżeli Mark to zaaprobuje, pokaże reszcie zarządu.  
– Powiedz mu to samo, co mnie. Nikt nie chce kupować ubrań z tą samą etykietą, w którą srają ich dzieci i powiedz, że mnie nie cierpisz. Że nigdy nie pozwolisz mi na posiadanie własnej metki, ale to... - wskazuję kartkę – będzie najlepsze rozwiązanie. Środkowy palec skierowany do mnie, ale sukces dla marki.

Theo odchyła się do tyłu po uderzeniu moich słów.

- I tak musisz otwarcie tym gardzić.

Nie jestem najlepszą aktorką. Leżenie w łóżku z mediami wystarczająco to udowodniło, ale staram się jak mogę.

- Zrobię cholerną awanturę. – Prostuję kręgosłup. – Jakim prawem wpychają HC do *mojej* marki. I teraz będzie pięć pieprzonych liter? Wszyscy twierdziliście, że trzy to za dużo, więc waszym rozwiązaniem jest dodanie jeszcze dwóch? Najgorszy pomysł, o jakim kiedykolwiek usłyszałam. Ktokolwiek to wymyślił powinien *splonąć*.

Przykłada palce do ust, na których ukazują się uśmiech.

- To szaleństwo – mówi, po czym śmieje się. – Teraz wiem... - Potrząsa głową, uświadamiając coś sobie.

Opuszczam lekko ramiona.

- Co wiesz?

Przenosi na mnie burzowe spojrzenie.

- Dlaczego się z tobą ożenił.

Sztywnieję.

- Kocha mnie – mówię odruchowo. Wierzę w każdą sylabę. Nigdy tego nie kwestionuję, ale znowu dostrzegam w jego oczach litość. Nie wierzy... może, że Connor mógłby kogokolwiek pokochać. Ale Theodore'owi Balentinowi powinno być głupio. Connor jest kimś więcej, niż kiedyś. Nauczył się zaakceptować w swoim życiu miłość i żyć nią, a *to* czyni z niego innego człowieka. Lepszego człowieka.

- Przesuwasz pionkami według swoich upodobań – tłumaczy. – Niewielu ludzi to potrafi i niewielu ludzi chce grać w tę grę. Jestem pewien, że on ceni w tobie ten aspekt.

Jedyną osobą, którą kwestionuję jest Theo. Czy naprawdę jest taki słaby, na jakiego wygląda? Jeżeli jest świadom, iż istnieje w ogóle jakaś gra – że ludzie manipulują i oszukują, że niektórzy z nas decydują się być węzami w trawie – to może on także jest podstępny.

Moje kończyny twardnieją, zachowuję ostrożność.

Chyba sama sobie mącą w głowie.

Albo on robi mi pranie mózgu.

Theo wstaje, trzymając w ręce kartkę.

- Dam to Markowi i za jednym zamachem oczernię twoje imię, jeśli tego chcesz.

- Chcę. – W moich żyłach płynie lodowata krew.

Kiwa głową i patrzę jak kieruje się do szklanych drzwi. Otwiera je, jest już praktycznie za progiem, kiedy zatrzymuje się i odwraca do mnie głowę.

- Chcę, byś wiedziała – mówi – że chociaż to wszystko jest całkiem niezręczne... mam nadzieję, że kiedyś się zaprzyjaźnimy.

W moim gardle staje kamień. Czy on mną manipuluje? Dlaczego tak się czuję? Może dlatego, że potrzebuję czegoś więcej, niż słów, żeby komuś zaufać. *Przyjaciele*. Trudno na nich trafić, a jeszcze trudniej uwierzyć, że są prawdziwi.

- Nie jestem pewna czy posiadasz odpowiednie cechy, by zostać moim przyjacielem – odpowiadam chłodno. Pragnę jedynie lojalności i część mnie uważa na niego tak, jak uważałabym na lejek tornada wirujący na niebie.

Bierze krótki wdech, potakuje i opuszcza biuro.

Nie całkiem się rozluźniam. Nagle drżą mi ręce i zajmuję swoje nerwy poprzez zorganizowanie zabałaganionego biurka Lo, układając mu alfabetycznie foldery. Staram się nie koncentrować na pewnym wspomnieniu, które wzmacnia tę sytuację, ale wlewa się do pustych przestrzeni mego umysłu.

Na moim ostatnim roku w college'u, jakiś czas po feriach wiosennych w Cancun, Connor i ja graliśmy w Scrabble na moim łóżku – mieliśmy przekrwione oczy, ale żadne z nas nie mogło zasnąć. Nie chciałam być sama, więc nie prosiłam go o wyjście. Przez całą noc graliśmy w gry planszowe. Seksoholizm Lily został upubliczniony tydzień wcześniej i nasze życia zmieniały się szybciej, niż mogliśmy to ogarnąć.

Connor miał mniej do stracenia od ataku kamer, od intruzywności i złej sławy, ale codziennie musiał wykonywać telefony. Ja próbowałam uratować moją firmę. On próbował ochronić coś innego. Wtedy nie wiedziałam, do kogo wydzwaniał i w jakiej sprawie.

Pamiętam utworzenie miernego słowa drewnianymi literkami: *Gwiazda*. Byłam zbyt wyczerpana, żeby myśleć prawidłowo.

- Dlaczego mnie nie zapytałaś? – zastanawiał się Connor, nie całkiem zainteresowany swoimi kostkami. Skupiał się wyłącznie na mnie.

- Twoje zagadki są jeszcze bardziej wnerwiające bez snu. – Czekałam, aż odparuje „kochasz moje zagadki”.

Zamiast tego zachował powagę. Ani cienia uśmiechu.

- Nie jesteś ciekawa, z kim rozmawiałem?

Przeszło mi to przez myśl więcej niż parę razy.

- Nie moja sprawa – odpowiedziałam szczerze. – Chyba, że mnie zdradzasz... - Zapłonęły mi oczy.

- Nie – powiedział. – Nigdy bym cię nie zdradził, Rose.

Nie chciałam wtrącać się w osobiste części jego życia bez jego zgody, i tego samego oczekiwałam od niego. Byliśmy ze sobą dopiero osiem miesięcy i kłamstwem byłoby stwierdzenie, że rozumiałam go w pełni. Rozumiałam tylko prawdziwe aspekty, które pozwalał mi ujrzeć.

Nadal ignorował planszę. Nie potrafiłam odczytać jego miny. Z perspektywy czasu sądzę, iż denerwował się poruszeniem tematu, którego nigdy nie omówiliśmy dogłębnie.

Wspomniałam:

- Nie jesteśmy ze sobą nawet rok. Jeżeli nie ma to wpływu na mnie, to nie jesteś zobowiązany mi o tym mówić, Connor. – Chciałam wiedzieć, ale nie zamierzałam wyciągać z niego siłą informacji. Nie, jeśli były osobiste. Nie, jeśli były tak głębokie. Zaczekałabym, tak jak czekałam aż Lily otworzy się na temat swojego seksoholizmu, nawet jeśli zajęło jej to kilka lat.

Oparł przedramię na zgiętym kolanie.

- Gdy będziemy małżeństwem, to może mieć na ciebie wpływ.

Prychnęłam.

- Masz urojenia, jeżeli sądzisz, że *kiedykolwiek* wyszłabym za ciebie za męża, Richard.

Prawie się uśmiechnął, ale wciąż ciążyła na nim prawda.

- Zatem za kilka lat, kiedy nadal będziemy razem, to może mieć na ciebie wpływ.

Przełknęłam z trudem ślinę.

- Chcę ci powiedzieć, do kogo dzwoniłem. Na wypadek, jeśli kiedykolwiek zostaniesz w to wciągnięta, chcę być z tobą kompletnie, całkowicie, wyczerpująco szczery, Rose.

Bałam się.

- Okej...

Podrzucił drewnianą kostkę w palcach, najpierw układając sobie odpowiednie słowa w myślach.

- Lokalizowałem wszystkich moich byłych.

Poczułam ścisk w piersi, ale pozwoliłam mu mówić przed wyciągnięciem irracjonalnych wniosków.

- Tylko facetów, z którymi byłem – powiedział na krótkim wydechu. Spojrzał na mnie, oceniając moją reakcję. Skinęłam głową, zachęcając go do kontynuowania. – Zapłaciłem im i podpisali umowę poufności. Nie mogłem ryzykować, że któryś z nich powie o mnie mediom. To mogłoby jeszcze bardziej skomplikować nasz związek i zaszkodzić... - Jego reputacji. Cobalt Inc. Nie miał pewności. Ja nie miałam pewności. W tamtym okresie Connor szczególnie rozmawiał ze mną o tej części swego życia i nie był gotów ogłaszać cokolwiek całemu światu. Nie przy nieznanych konsekwencjach wiszących mu nad głową.

Zatem ograniczył straty i zamiótł swoją przeszłość w ciemne kąty.

Cieszyłam się, że mi powiedział – że powierzył mi taką informację. To mówiło samo za siebie. Będę wspierać jego wybory.

- Okej – powiedziałam pewniej.

Wciąż się wahał.

- Jeden nie chciał podpisać, nieważne ile pieniędzy oferowałem i co powiedziałem.

Zamarłam.

- Kto?

- Theodore Balentine.

Pamiętałam go.

- Co on chce?

- Nic – odparł Connor. – Powiedział, że moralnie nie może mi tego zrobić. Nie chciał wsadzić mnie do szafy, nawet jeśli to ja zamykałem te drzwi. – Connor potrząsał głową. Był wkurzony, że pozostanie jeden niezawiązany sznurek. – Muszę zaufać, że nie wyjawি nic prasie.

- Jeżeli jego argumentacją jest moralność, to nie wyjawি.

- Ludzie się zmieniają – rzekł Connor, pozostawiając mnie z tymi trzema upiornymi słowami, po czym skoncentrował się na grze.

Nie mam pojęcia czy Theo zmienił się od tamtej pory. To bardzo prawdopodobne, że korporacyjna Ameryka miała na niego jakiś wpływ.

Więc nawet jeśli właśnie zachowywałam się, jak jego szefowa... to on ma całą władzę.

*Connor Cobalt*

Rose podpira sobie Jane na biodrze, przechadzając się po kuchni i zbierając tacę kubków. Wczesny początek bożonarodzeniowego poranka jest cichy, kiedy wszyscy nadal śpią o ósmej rano. Coś takiego podoba mi się bardziej niż spędzenie całego dnia i wieczoru w domu mojej teściowej, co było zarezerwowane na Wigilię.

Kończę przelewnie łyżką przetartych brzoskwini do różowej miski.

- Są trzy rzeczy, bez których nie można się obejść, Jane – mówi Rose, stawiając sześć kubków na drewnianej tacy. – Świetna para szpilek, strój według twojego upodobania i kawa. Chyba, że wolisz gorącą herbatę, to też może być.

- Już poprawiasz własną deklarację? – Trzymając miskę w dłoni, blokuję Rose drogę do ekspresu do kawy.

- Gdybym mogła, poprawiłabym twoją osobowość na pierwszej randce.

Uśmiecham się.

- A wtedy byś mnie zdegradowała. Powinnaś się cieszyć, że nie masz takiej władzy.

- Cieszę się, że mam władzę, żeby zrobić to. – Zasłania mi usta ręką, które unoszą się w kącikach. – Przestań się szczerzyć. – Nie przestaję i zabiera dłoń z warknięciem.

- Najwyraźniej twoja władza ma ograniczenia, kochanie.

Jane chichocze, łagodząc żar w oczach Rose szybciej niż zwykle.

- Właśnie – mówi Rose – tatuś lubi się chełpić. To jego najgorsza cecha.

- To sprawa dyskusyjna.

Rose prychna pod nosem i zanosz Jane do wysokiego krzeselka przy stole śniadaniowym. Oczywiście idę za nią. Jane gaworzy kilka sylab, sięgając po miskę w moich rękach. Wierzga małymi nóżkami. Stawiam przed nią miskę i początkowo przygląda się z ciekawością przetartym brzoskwiniom, jak zwykle. Zaczniemy ją karmić, kiedy oswoi się z tym, co je.

Rose obraca się do mnie, o wiele niższa w samych kapciach. Splata ramiona na jedwabnym szlafroku. Wykorzystuję okazję, żeby objąć ją w talii, przyciągając do torsu.

Pyta:

- Która angielska monarchini urodziła się w pobliżu Londynu, ale jej matka obok Madrytu? – Przenosi spojrzenie na moje usta. – Jeżeli odpowiesz nieprawidłowo, nie odezwę się do ciebie przez resztę dnia.



Sposób, w jaki ogłasza te zasady prawie mnie podnieca. Stawka jest dla mnie stosunkowo wysoka. Wiadomości bez odpowiedzi, odrzucone połączenia i odmowa przekomarzania się – to szczególna tortura, która pochodzi tylko od Rose. Wszystkich innych mógłbym ignorować.

Przez chwilę milczę, szybko przeczesując swoją wiedzę.

- Masz trzydzieści sekund. – Unosi podbródek, nie odrywając wzroku od moich warg.

*Chcesz, żebym ci odpowiedział czy mocno cię pocałował, Rose?* Pocieram własne usta, a jej spojrzenie podkręca moje pragnienie.

- Dziesięć sekund.

Odpowiedź wypada na przód mojego umysłu.

- Maria I Tudor.

Kiwa głową.

- Gratu...

Całuję ją mocno, przyciskając do swojego ciała i rozplata ramiona, kładąc dłonie na moim torsie... i rozdziela nas pchnięciem.

Oddycha płytko.

- Richard. – Jeszcze nie skończyła się ze mną bawić. Spróbuję zaczekać, tylko dlatego, że jestem ciekawy, co jeszcze ukrywa w rękawie. Zauważam, że trzyma mnie za rękę. Rose zdaje się tego nie widzieć i nie będę jej oświecać. Chcę trzymać jej dłoń. Zawsze.

- Tak? – pytam.

Spogląda na Jane. Nasza córka wkłada palec do brzoskwiń, a potem do buzi, smakując jedzenie miarowymi krokami. Rose podchodzi do blatu i podnosi cienką serwetkę, której wcześniej nie dostrzegłem.

Po czym podnosi ją do mojej twarzy.

Nie potrafię ukryć obezwładniającego uśmiechu. Na serwetce są zapisane schludnym pismem trzy imiona: *Królowna Śnieżka. Arielka. Roszpunka*. Obniżam jej rękę.

- Mam nienaganną pamięć i wyraźnie pamiętam jak trzy lata temu podałem ci trzech książąt z Disney'a, a ty wszczełaś klótnię.

Macha ręką.

- Zatem przyznaję ci prawo do klótni, ale i tak musisz odpowiedzieć, tak jak ja.

W tej grze Pieprzyć, Poślubić, Zabić jest zła odpowiedź. Zawsze jest taka, która sprawi, że zaczniemy kwestionować się bardziej niż zwykle. Gdy ją sprawdzam, mam wyobrażenie

jej odpowiedzi, a jeśli wybiera coś innego, mój umysł wchodzi na karuzelę zaintrygowania, pragnąc zrozumieć powód.

Wkłada mi do ręki długopis, nie chcąc, żebym powiedział to na głos. Nigdy tego nie robimy. Ta gra jest przeznaczona na wiadomości tekstowe i kartki. Tych zasad nie ruszaliśmy od lat.

Waham się przy imieniu Roszpunkki. Daisy miała takie długie i jasne włosy, a dziennikarze zbyt często porównywali ją do tej bajkowej postaci.

Rose o tym wie.

Ale Arielka? Szybko oceniam swoje decyzje i przy każdym imieniu w dokładnie takiej kolejności piszę: *Poślubić. Zabić. Pieprzyć.*

Oddaję jej serwetkę, a ona prześwietla ją wzrokiem.

- Dlaczego pieprzysz Roszpunkę? – Wygląda na przerażoną tą myślą.

- Bo nie chcę pieprzyć syreny.

- Wyrastają jej nogi.

- Opisujesz dojrzewanie *żaby*. – Kijanka powstaje z ogonem oraz wewnętrznymi skrzelami, a potem zaczyna formować nogi, ale nie muszę tego tłumaczyć Rose. – A ja i tak, dla nikogo nie jest to zaskakujące, nie przelecę płaza.

Parska śmiechem, próbując zasłonić usta, żeby ukryć istnienie potęgującego się dźwięku.

Ja też zaczynam się śmiać i splatam palce z Rose, opuszczając jej rękę, bym mógł ujrzeć jej uśmiech w pełni.

Jane chichocze za nami.

- Mama! – Jednocześnie odwracamy głowy w stronę naszej córki. Trzyma swoją maleńką miskę brzoskwiń nad głową.

- Do góry!

Jej pierwsze słowa.

Miska wysuwa się z jej uścisku, uderzając o podłogę i rozlewając brzoskwinie. Oceniam reakcję Rose na bałagan. Przyciska wolną rękę do ust.

- Słyszałeś ją? – pyta mnie, jej oczy są zalane emocjami.

Mój uśmiech robi się szerszy, bardziej przytłoczony faktem, iż ich wzajemna miłość przebiła wrodzony tik Rose, który włącza się na widok chaosu. Przytulam Rose do swojego boku.

- Słyszałem, kochanie.

Nie jestem nawet minimalnie religijny, lecz dzisiejszy dzień, ten osnuty szczęściem bożonarodzeniowy poranek z moimi dziewczynami, wydaje się tak duchowy, jak nigdy w moim życiu.

Rose Cobalt

- Moffy łapie za pudełko silnymi, dziecięcymi rączkami i z diabelską iskrą w oku – relacjonuje Daisy stojąca obok ponad dwumetrowej choinki udekorowanej złotymi kokardami i połyskującymi ozdobami.

Trzyma w rękach kamerę wideo, podczas gdy na jej skarpetach brzękają dzwonki przy każdym podskoku wokół przestronnego salonu wypełnionego duchem świąt: na gzymsie kominka wiszą skarpety, za oknami prószy śnieg, spod choinki wylewają się prezenty; opakowane precyzyjnie (przeze mnie) i na szybko (przez Lorena), a w powietrzu unosi się słodki zapach waniliowej kawy oraz ciasteczek.

Loren zapewne wierzy, że uwielbiam tradycje i świętowanie ze względu na kolejny dzień, kiedy mogę udekorować nasz dom, kolejny dzień na rozkazywanie innym i zorganizowanie wszystkiego według moich upodobań. Jestem perfekcjonistką, ale widok pochylego piernikowego domku i kiepsko skonstruowanego bałwana wcale mi nie przeszkadza. Przyjęcia zawsze znaczyły dla mnie coś innego. Każda bliska mi osoba będzie ze sobą. Co najważniejsze – moje siostry.

Reszta szczegółów to tylko dodatek.

- Diabelską? – Lily wytrzeszcza oczy przerażona. – On nie wygląda diabelsko. – Na miękkim, kremowym dywanie Lily spogląda na swoje dziecko posadzone między jej nogami. Moffy chwyta zachłannie za czerwone pudełko, nieświadom jego znaczenia.

Loren siedzi obok swojej żony i pomaga synowi rozedrzeć papier. Wszyscy są ubrani w różne typy pidżam. Moffy i Jane w świąteczne śpioszki. Daisy w legginsy w paski i biały podkoszulek z napisem: *Elfie, pokochasz mnie!* Lily w szare śpiochy ze wzorami śnieżynek z pomponami i kapturem. Lo i Ryke w czerwone oraz zielone, flanelowe spodnie. Ja: cały czarny zestaw. *Ale* mam stylowe, ozdobne czerwone kolczyki.

Tylko Connor w tym nie uczestniczy. Twierdzi, że z zasady. Ma na sobie szare, bawełniane spodnie i nie naciskam, żeby się przebrał. Kocham go z tymi jego dziwactwami i wszystkim innym.

- Moffy wygląda uroczo – przytakuje Lo. – Diabelskie dziecko siedzi na kolanach szatana.

I oczywiście obraca się do mnie.

Siedząc na kanapie, opiekuńczo przytulam do siebie Jane, Connor obejmuje mnie ramieniem.

- Zdajesz sobie sprawę, że to jest nagrywane, Loren? – Wykrzywiam się w uśmiechu. – Teraz twoja siostrzenica zobaczy, jaki z ciebie kutas.

- A teraz usłyszysz niewyparzoną gębę mamusi – odparowuje Lo, po czym klaszcze samemu sobie.

Ryke się dołącza, rozłożony na sofie z najbardziej potarganą fryzurą, jakby dopiero co wyszedł z łóżka. Daisy podała mu wcześniej czapkę Mikołaja, ale jest zbyt leniwy, aby ją założyć, więc czerwona, jedwabna czapka leży na jego torsie.

W końcu zauważa moje parzące spojrzenie i unosi obronnie rękę.

- Popieram pierdolone przekleństwa.

Daisy przeskakuje nad prezentem, niemal upuszczając kamerę – pewnie i tak wszystkim zakręci się w głowie od ruchliwego nagrania, żeby je obejrzeć.

- Mogę je zmontować... - zaczyna Daisy, ale milknie na widok mojego piorunującego spojrzenia.

- Nie chcę, żeby pierwsze święta Jane zostały *zmontowane*. – Chciałabym również, żeby film był normalnie nagrywany, ale nic nie mówię. Nie jestem taka jędzowata.

Daisy sapie głośno.

- Kto zasugerował coś takiego? Powinien zostać ukarany tuzinem czekoladowych ciasteczek.

Nie zmieniając wyluzowanej pozycji, Ryke pokazuje jej gestem, żeby się zbliżyła.

- Mogę dać ci coś lepszego, Calloway. – Staram się nie zagłębiać w tę oczywistą seksualną aluzję. Ich flirtowanie ma takie same ograniczenia, co ich osobowości. Oboje przedzierają się przez strefy zagrożenia i znaki *Nie ma wstępu*.

Daisy obraca do niego głowę.

- Ciasto?

- Coś lepszego od jebanego ciasta.

Udaje konsternację.

- Taka rzecz nie istnieje.

Pokazuje jej środkowy palec, po czym znowu przywołuje gestem. Daisy podchodzi do niego, unikając zdeptania wielu rozmaitych prezentów.

Patrzenie na nich razem przypomina mi, iż operacja Ryke'a odbędzie się za tydzień, dzień po urodzinach Connora. Przy tej strasznej pogodzie – zimnie, deszczu i śniegu – Ryke prawie wcale nie miał okazji na wspinaczkę od tamtego razu na siłowni. Która i tak nie jest dla niego lepsza od prawdziwych skał.

Gdy Daisy dociera do Ryke'a, on łapie ją za biodra i unosi lekko jej koszulkę, całując dół pleców. Daisy promienieje, uśmiech rozjaśnia wszystkie rysy jej twarzy. Nigdy nie widziałam Daisy tak radosnej, co jest w obecności Ryke'a. Mam tylko nadzieję, że ten stan potrwa bardzo długo, nawet bez niego.

- Cześć, Mikołaju. – Daisy szczerzy się w uśmiechu, powoli obracając.

On znowu unosi jej koszulkę i całuje miejsce pod pępkiem, co jest słodkie, ale także nieprzyzwoite, biorąc pod uwagę sytuację. Już przywykłam do obmacywania ze strony Lorena i Lily (które krzyczą tysiąc razy bardziej „zakryj oczy”), tak więc Ryke obsypujący pocałunkami ciało mojej młodszej siostry to nic takiego.

Żyję w dziwnym świecie i nie zamieniłabym tej atmosfery na żadną inną.

- No dobra – odzywa się Lo z dołu. – Zero bożonarodzeniowego flirtowania. – Moffy odpakował plastikową figurkę Spider-Mana przeznaczoną dla dzieci w jego wieku. – I czy możemy nie zwracać się do Ryke'a per Święty Mikołaju? Nie chcę dezorientować mojego syna.

- Zgadzam się z Lo – mówi Lily, kiwając stanowczo głową. – Nie jesteś Mikołajem. – Przykłada dłoń do ucha Lo, szepcząc do niego. Jestem niemal stuprocentowo pewna, że chodzi o jego zakaz *całkowitego* bożonarodzeniowego flirtowania.

- Pieprzcie się wszyscy – rzuca bez przekonania Ryke'a, następnie wsuwa głowę *pod* bluzkę mojej siostry i całuje jej... ugh, wiecie co? *Nie* chcę wiedzieć, czego dotyczą jego usta.

Connor nachyla się bliżej, podając mi naszą wspólną krzyżówkę zrobioną z dzisiejszej gazety. Ponieważ prawe ramię trzyma za moimi plecami, uzupełnił ją lewą dłonią, bo jest irytująco oburęczny. Jakby potrzebował kolejnego *talentu* w swoim arsenale. Obrzucam spojrzeniem krateczki, zamazany opis oraz hasło zapisane jego schludnym pismem: *Cudzołóstwo*.

Zamiast normalnej krzyżówki wybraliśmy zapełnianie krateczek słowami odnoszącymi się do naszych wybranych kategorii. Cudzołóstwo. Przysięgam, że Connor próbuje mnie podniecić albo wkurzyć.

Wypełnił dziewięć kratek słowem *akrofilia*.

Znaną także, jako fetysz pieprzenia się z kimś na wysokości. Na przykład w górach albo na dachu. Na myśl przychodzi także Ryke Meadows.

Posyłam Connorowi miażdżące spojrzenie, ale łaskocze stópkę Jane, przenosząc ją na swoje kolana, abym mogła się skoncentrować. Chcę użyć słowa *fellatio*, ale pozostałe osiem kratek ma w sobie „k” z *akrofilii*, co wszystko chrzani. Nie ma cholernego „k” w *fellatio*.

Mogłabym wpisać *jądra*, bo gdzie indziej mam pięć kratek, ale nie sądzę, by to pasowało do kategorii.

- Co do tej fikcyjnej postaci... - odzywa się Connor.

Lo przerywa mu:

- Będą wierzyć w Świętego Mikołaja, Wróżkę Zębuszkę, Zajączka Wielkanocnego i we wszystko inne, co dla ciebie jest pieprzoną bzdurą.

Nigdy nie przeprowadziliśmy wprost tej rozmowy, ale było wiele sytuacji, kiedy *prawie* się nadarzyła.

Zbyt długo przyciskam pióro do gazety, przez co atrament wsącza się w cienki papier i niemal plami mi pidżamę.

Ryke wyszedł już spod bluzki Daisy i ona siedzi mu na kolanach, wtulając się w jego ramiona. Wyłącza kamerę.

Pstrykam na nią palcami.

- Nie wyłączaj. *Niezmontowane*, pamiętasz? – Zbyt wielu ludzi montowało mi życie. Moje dzieci nie będą oglądać zmontowanej wersji.

Daisy włącza z powrotem kamerę.

- Nie rozumiem dlaczego Jane nie może znać prawdy, podczas gdy Moffy zna dziecięcą wersję. – W głowie mojej najmłodszej siostrzyczki istnieje szczęśliwe zakończenie dla każdego z osobna. A moje szerniałe serce rozumie aż za dobrze, iż szczęście *dla wszystkich* to okrutny mit.

Lo gniecie czerwony papier pakunkowy w kulkę.

- Bo Jane zrujnuje mu zabawę.

- I każdemu innemu, jebanemu dziecku w przedszkolu – dodaje Ryke. Kiwa głową Connorowi i mnie. – Wasza córka dosłownie będzie *tym* dzieciakiem, które pierdoli święta.

Ta sprawa nie była dla mnie ważna, nie na tyle, żeby poróżnić się z Connorem; dlatego moja opinia nie jest tak silna jak reszty.

- A jakie dokładnie masz doświadczenie świąt z dzieciństwa, Ryke? – pyta Connor. – W jaki sposób Mikołaj był dla ciebie wyjątkowy?

Ryke wzrusza ramionami.

- Tak jak dla każdego dzieciaka.

Jego odpowiedź jest zbyt niejasna, żeby zadowolić Connora.

- Opisz mi.

Ryke wzdycha sfrustrowany.

- Sam nie wiem. – Potrząsa głową, zamyślając się.

Jane upuszcza pluszowego lwa pod nogi Connora i próbuje zsunąć się po jego nodze, żeby dosięgnąć do zabawki. Pochyla się po nią, podając zwierzątko córce. Przytula je do siebie z takim zapałem, iż moje czarne serce prawie mięknie. Gładzę ją po główce. *Kocham cię z całego serca.*

- Co za elokwencja – rzuca Connor.

Ryke przeczesuje potargane włosy.

— Czy w Boże Narodzenie nie byliście tylko twoja mama i ty?

- Zakładam, że tak było u ciebie – odpira Connor, oboje zostali wychowani przez samotne matki. Myślałam, że odnajdą wspólny grunt przez to maleńkie podobieństwo, ale ono ledwo wzmocniło ich nierówną, lekko wygiętą relację. Wiem, że Connor ufa Ryke'owi. Wiem, że Ryke ufa Connorowi. Analizowanie cokolwiek więcej przyprawia mnie o nieproszoną, pulsującą migrenę.

- Ta – mówi Ryke – więc kiedy widziałem pod choinką prezent od Mikołaja, cholernie się ekscytowałem. Miałem poczucie, że... - Stara się odnaleźć odpowiednie słowa.

- Że ktoś inny się o ciebie troszczy – dopełnia Connor.

W pokoju nastaje ciężka cisza, kiedy Ryke nie zaprzecza temu faktowi.

Lo marszczy brwi, jakby właśnie zdawał sobie sprawę z prawdziwej samotności jego brata podczas świąt. Loren spędzał Boże Narodzenie z nami, Calloway'ami i swoim ojcem. Moja babcia – ze swoim ciągnącym się, czerstwym keksem i paskudnym chichotem hieny – uwielbiała Lorena i zawsze kupowała mu prezenty.

Jednego roku mogłam zepsuć mu Game Boy'a po tym jak porównał mnie do Angeliki z *Pełzaków*, a wtedy ogolił mojego Furby'ego, dowodząc, że był taką samą Angeliką, co ja.

- Więc dla ciebie święta też takie były? – pyta Ryke, zastanawiając się dlaczego Connor jest tak przeciwny Mikołajowi, skoro „niby” dzieli taką więź. Connor był po prostu mało precyzyjnym dupkiem, żeby Ryke wyznał więcej o sobie. Wiem na pewno, że pierwsze swoje święta spędził w Fauście. To i tak nie to samo, co spędzanie Bożego Narodzenia z rodziną.

- Nigdy nie obchodziłem świąt z moją matką – mówi Connor. – Uważała, że są bez sensu. Rozumiem, że fikcyjne istoty mogą polepszyć ci nastrój, ale nie powinniśmy stwarzać kłamstwa dla samej emocji. Jane będzie pocieszana świadomością, że Święty Mikołaj *nie jest* realny, a wszyscy inni żyją w fantazji. – Ceni sobie siłę, którą przekazała mu matka, gdzie zdolny jest patrzeć na świat z „prawdziwej” perspektywy.

Loren wzdycha.

- No weź, stary. Bycie dzieckiem oznacza wolność *wiary* w niemożliwe. Oznacza wiarę, że na świecie istnieją wróżki, czary i magia, a w jedenaste urodziny dostaniesz list z



Hogwartu. Oznacza myślenie, że twoje prezenty przybyły z warsztatu na Biegunie Północnym, a nie ze sklepu naprzeciwko. I Connor... - Na twarzy Lo pojawia się grymas. – Naprawdę mi przykro, że twoja mama ci to zabrała. Gdybyś miał chociaż wrażenie, jak to jest podczas dorastania, to wiedziałbyś jakie to wyjątkowe. Nie odbieraj tego Jane.

Wzdrygam się na myśl o odbieraniu czegokolwiek Jane. Naturalnie pragnę dać jej wszystko i jeszcze więcej – wszystko, czego ja nigdy nie miałam. Jak na przykład współczującą matkę, a nie taką kontrolującą i apodyktyczną.

Spoglądam na Connora, kiedy zastanawia się nad przemową Lo.

- Wiesz co – mówię – możemy się przekonać, kto pierwszy odkryje prawdę: Moffy czy Jane. – Może to go nakłoni, żeby utrzymać tę szaradę dla Jane, aby także mogła uwierzyć w magię.

Lily marszczy nos.

- Ale to złe.

- Przecież wymyślił to szatan – odpiera Lo, łagodząc część napięcia. Kieruje półśmiech w stronę kamery. – Jane, jeżeli oglądasz to parę lat później, wiedz, że mówię to z miłości. – Ledwo potrafi utrzymać poważną minę.

Biję brawo.

- Jesteś tak przekonujący, że moje serce zaczyna się rozmrażać.

- Masz serce? – odparowuje Lo.

- Czy ktoś podarował mi coś ostrego na święta? – pytam z groźnym błyskiem w oku.

Lo posyła wszystkim spojrzenie mówiące „*ktokolwiek dał jej broń, jest cholernie rąbnięty*”. Potem wraca wzrokiem do mnie.

- Trzymaj się z daleka od moich jaj.

- Masz jaja? – warczę, nie jestem tak dobra w sarkazmie, co on.

- Mylisz marzenia z rzeczywistością. Jeszcze ich nie obcięłaś.

Ryke przytula mocniej Daisy, oglądając wszystko przez ekran kamery.

- To najbardziej popierdolony film pierwszych świąt dzieci – mamrocze.

- Dobrze – odzywa się niespodziewanie Connor, uciszając cały pokój. Jane gaworzy parę miękkich sylab i unosi wzrok na swojego tatę. Następne słowa kieruje do niej: - Tu seras magnifiquement naive. – *Będziesz olśniewająco naiwna*. Wiem, że pogodził się z tą koncepcją, kiedy jego usta wyginają się w szczerym uśmiechu. Lo musiał go przekonać.

Daisy szepcze do Ryke'a:

- Czy to coś dobrego?

Mógłby wszystkim przetłumaczyć, ale zamiast wyłożyć słowo po słowie, on potakuje.

- Tak. Pozwoli im wierzyć.

- Dzięki, stary – mówi Lo, jego syn wydaje dźwięki podczas walenia swoją figurką o dywan.

Connor kiwa głową.

- Sądzę, że pozostały wam moje prezenty do odpakowania.

Daisy wstaje, żeby je rozdać, oddając kamerę Ryke'owi. Podczas gdy ona próbuje odnaleźć jego prezenty pod choinką, powracam do krzyżówki i znajduję jedenaście poziomych kratek z literką „p” po dwuliterowym słowie: *DP*.

Przychodzi mi do głowy prawie idealne słowo, ale jest trochę splamione przez swoją definicję – co może spowodować, że Connor uniesie brew w pytaniu „*co do cholery?*”.

- Utknęłaś? – pyta, spoglądając przez moje ramię na wielki kleks przy słowie *Cudzołóstwo* i zero postępu z mojej strony.

- Nie – odparowuję. Utknęłam? Zaraz to *on* utknie. Oblizuję dolną wargę i wypisuję precyzyjnie litery: s-k-o-p-t-o-f-i-l-i-a. *Skoptofilia*.

Fetysz oglądania erotycznych fotografii albo oglądania aktów seksualnych. Na przykład przez lustra. Albo seks taśmy.

Odczytuje moją nową odpowiedź, kiedy oddaję mu gazetę i zabieram Jane z jego kolan, przytulając ją nieelastycznymi, sztywnymi ramionami. Mój mały gremlinek nie przejmuje się, że jestem kiepska w uściskach – wciąż się uśmiecha. Nie mogłabym kochać jej jeszcze mocniej. Moje serce jest pełne.

Gdy rzucam ukradkowe spojrzenie Connorowi, ten unosi brwi w konsternacji i zaintrygowaniu. Nigdy nie oglądaliśmy ze sobą tych filmików. Do diabła, ledwo zdołaliśmy o nich *rozmawiać* dopóki nie wrócił Scott. Były toksyczną plamą w naszym związku, którą zakryliśmy dywanem zamiast usunąć wybielaczem.

Nareszcie zaczęliśmy ją zmywać.

Muska palcami moją szyję, pytając tym jednym elektrycznym dotykiem. Włosy stają mi dęba i nasze spojrzenia się spotykają. Nie wiem czy chcę je obejrzeć – czy nie poruszą czegoś gorszego. Nie mogę wiedzieć, bo nigdy nie próbowaliśmy.

Słyszę Lily szepczącą do Lo coś w stylu „*czytanie w myślach*” – co jest absurdalną, aczkolwiek uroczą myślą. Connor nie potrafi czytać mi w myślach, ale może potrafi odczytywać moje pragnienia i obawy. Potrafi to każdy, kto zna mnie wystarczająco dobrze, a jedynie Connor rozumie mnie najlepiej.

- Proszę bardzo. – Daisy kładzie obok mnie paczuszkę, ciężki kwadratowy przedmiot opakowany w jasnoniebieski papier. Odrzywamy od siebie spojrzenia.

Connor obrzuca wzrokiem krzyżówkę. - Powinniście otworzyć je równocześnie. – Już zaczyna coś pisać. Serio?

Daisy podaje ostatni prezent Ryke'owi i wszyscy zaczynamy rozpakowywać gładkie opakowania. Ja otwieram prezenty, jakbym zamierzała zachować papier pakunkowy na później, ale każdego roku ktoś (Loren Hale) wyrzuca mój stosik schludnie złożonego papieru. To bardzo niegrzeczne. Jego obrona jest zawsze taka sama: „*Ratuję cię przed chomikowaniem rzeczy*”.

Więc ja na końcu docieram do prezentu.

Wszyscy już wykrzykują swoje opinie.

- Co, do chuja? – pyta Ryke. Nie odpakował prezentu do końca, więc nie widzę, co dostał.

Lo śmieje się i patrzy na Connora.

- Jeżeli ci się nie podobało, skarbie, mogłeś po prostu powiedzieć. – Puste siodełko Moffy'ego zasłania mi cholerny prezent Lo.

- Huh? – Lily ściska swój ciężki zbiór *Opowieści z Narnii*.

Otwieram szeroko usta. Nie mógłby. Lily podarowała mu to na ostatnie Boże Narodzenie. Prosił nas wszystkich, żebyśmy dali mu prezenty, które nam się podobały. Wybraliśmy książki.

- Oddałeś prezenty? – pytam zdeglustowana.

Loren musi mieć obok siebie *Pieśń Lodu i Ognia*, stos pięciu książek. Daisy trzyma *Żelaznego króla* od Julie Kagawy, młodzieżową powieść o wróżkach, jak sądzę.

Nie skończyłam jeszcze odpakowywać mojego papieru, ale jestem pewna, że znajduje się pod nim klasyczna kopia *Burzy* Szekspira, mój zeszłoroczny prezent dla Connora.

- Otwórzcie je – mówi nieprzejęty Connor. Obraca piórem w lewej ręce.

Gdy nareszcie odkopuję *Burzę*, podnoszę okładkę. Na marginesach tkwią samoprzylepne kartki. Tuziny karteczek zapisane jego niebieskim pismem. Przekartkowuję książkę, czując szybszy rytm serca. Opatrzył ją przypisami.

Słowa Szekspira: „*Przysięgam, że nie chcę innego w życiu jak ty towarzysza.*”

Przypis Connora: „*Najprawdziwsza prawda.*”

Przykładając wargi do mojego ucha, szepcze:

- A teraz słuchaj słów z głębi mej duszy. – Czuję na policzku jego uśmiech.

Te słowa także są na tej stronie. Nie podkreślił ich, ale narysował strzałkę do zdania nad żółtą samoprzylepną kartką.

Coś pięknego. Moja ulubiona sztuka połączona z jego prawdziwymi myślami.

Podnoszę spojrzenie z książki na Lorena i Lily. Przeglądają żywo swoje egzemplarze, uśmiechając się szerzej z każdą nową stroną. Zauważam pismo na ich marginesach zamiast na karteczkach, tak jak jest u mnie.

- Twoja wersja jest klasyczna – wyjaśnia Connor. – Nie chciałem pisać na stronach. – Doskonale mnie zna.

- Dziękuję – mówię cicho. W tym momencie Jane ciągnie mnie za włosy. Od tego nagłego ruchu zderzam się głową z Connorem. *To jest znak.*

Dochodzi do siebie przede mną i przykłada rękę do mojego czoła, które przyjęło uderzenie i pobołewa.

- Popatrz, co się dzieje, kiedy mówię ci coś miłego – mówię Connorowi, nacisk jego dłoni powstrzymuje pulsowanie w czole. – Wszechświat się buntuje.

- Właśnie porównałaś naszą córkę z całym wszechświatem i to *ja* jestem zarozumiały? – Śmieje się krótko, badając guza na mojej głowie. – Nic ci nie będzie. Potrzebujesz lodu?

- Tak, na twoje ego.

- Moje ego nie jest uszkodzone. Musiałaś naprawdę mocno się uderzyć, jeżeli myślisz, że coś takiego może się stać. – Puszczą mi oko. *Puszczą mi oko.* Fuczę, piorunuję go spojrzeniem i szturcham palcem, licząc na to, że dźgnę go wymanikiowanym palcem.

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

- Tak?

- Czekaj, co on ci dał, do diabła? – Głośny, ostry głos Lo przerywa moją tyradę, który kieruje pytanie do starszego brata.

Dopiero teraz zauważam mały, skórzany dzienniczek w rękach Ryke'a. On naprawdę oszukiwał w zeszłym roku. Connor chciał się dowiedzieć więcej o nas wszystkich poprzez przeczytanie naszych ulubionych książek, a Ryke dał mu pusty dziennik – zasadniczo mówiąc mu „*pierdol się*”.

Nie mam pojęcia, co Connor zrobił z tym dziennikiem. Nie wie tego nikt prócz Ryke'a, który prawie go nie obejrzał.

- To samo, co ja mu dałem. – Ryke odchrząkuje cicho, co znaczy, że Connor coś tam jednak napisał, ale zamiast podzielić się tym z nami, wsuwa dziennik do tylnej kieszeni spodni, jakby to był pistolet.

- Dokładnie tam, gdzie uwielbiam moje prezenty. – Connor uśmiecha się.

Ryke pokazuje mu środkowy palec tuż *przed* obiektywem kamery.

- Twoje dzieci kiedyś będą tym zachwycone – mówi Lo.

Ryke posyła mu spojrzenie.

- Jakie dzieci?

Daisy zakłada kosmyk włosów za ucho i wstaje.

- Dolać komuś kawy? – Zbiera swój kubek i mój.

- Pójdę z tobą – odzywa się Lily, podnosząc się z podłogi. Znika w kuchni z Daisy, pozostawiając mnie z trójką mężczyzn.

Connor podaje mi krzyżówkę.

- C'est a votre tour. – *Twoja kolej.*

- Koles. – Ryke patrzy wilkiem na brata, kładąc kamerę na podłokietniku. – Rzuciłbym w ciebie pieprzoną poduszką, ale nie chcę trafić w twoje dziecko.

- Bitwa na poduszki, tak wcześnie? – przekomarza się Connor.

Nie udaje mu się przeciąć pieniającej się, intensywnej atmosfery.

- Powiedziałem „*kiedyś*” – odparowuje Lo. – Nie musisz się tak wściekać.

Ryke pociera oczy ze zmęczeniem.

- Przepraszam. Chodzi o to wszystko... operację... nie wiem, kurwa. – Musi się denerwować, bez względu na to czy powodzenie operacji jest wysokie, czy nie. Gdy będzie po wszystkim, poczuje się lepiej. Mam taką wiarę.

- Nie umierasz – mówi stanowczo Lo. – Dobra? Nie możesz umrzeć.

- Wszyscy umrzemy prędzej czy później – duma Connor.

Uderzam w niego gazetą, co nie jest tak satysfakcjonujące, jak szturchnięcie go paznokciem. On jedynie unosi brew. Ściągam brwi, patrząc na krzyżówkę.

Nowe słowo na papierze: *Osculate*

Ja...

Nie znam tego słowa. Powstrzymuję się przed sięgnięciem po telefon i szybkim sprawdzeniem w słowniku przy Connorze. *Osculate*. Mogę się założyć, że to slang odnoszący się do seksu analnego albo jakiejś perwersyjnej pozycji, o której nigdy wcześniej nie słyszałam.

„*Osculate*” powtarza mój mózg. Ciekawość bierze nade mną górę i łapię za komórkę, otwierając aplikację ze słownikiem. Kątem oka widzę, że Connor nosi na twarzy najbardziej zarozumiały i zadowolony z siebie uśmiešek. Wie, że jestem zbита z tropu.

- Lepiej, żeby to nie oznaczało seksu analnego – mruczę z napięciem pod nosem. Nie sądzę, bym była gotowa, żeby wsadził *cokolwiek* do mojego tyłka.

- Zobaczysz.

Prawie wzdrygam się na jego słowa. To coś gorszego. Co może być gorszego od seksu analnego?

Na ekranie pojawia się opis: 1] *[matematyka] krzywa albo powierzchnia dotykająca inną krzywą albo powierzchnię, posiadające wspólny punkt styczności.*

Że co?

2] *pocałunek*

Zamieram. *Pocałunek.*

- Łacińskie słowo dla pocałunku to *Osculum* – tłumaczy, po czym całuje czubek głowy Jane, uśmiechając się szeroko i patrząc na mnie.

Robię coś niezwykłego, niepodobnego do mnie, moje serce płonie. Gdy unosi głowę, to ja wykonuję pierwszy ruch i całuję *jego* w usta, czuję jego zdziwienie przez ułamek sekundy, nie na tyle długo, żebym zwątpiła w siebie. Jego szok znika, kiedy przygryza moją wargę, po czym on całuje *mnie* mocniej, bardziej...

Jane znowu ciągnie mnie za włosy, niespodziewanie nas rozdzielając. Próbuję zabrać jej rączkę i odwrócić jej uwagę lwem, a moją szyję pokrywa gorący rumieniec na milczenie Connora.

- Powiedz coś – szepczę do niego.

Bierze w ręce moją twarz, zmuszając, żebym na niego spojrzała. Gładzi kciukiem mój policzek, zatracam się w głębi jego błękitnych oczu.

- Wiem, że poślubiłem właściwą osobę, kiedy słowa podniecają cię tak bardzo jak mnie.

Wczytuję się w to głębiej, tak jak powinnam.

Tłumaczenie: „*Mógłbym być tylko z tobą, Rose*”.

Rose Cobalt

Sprzątając papiery pakunkowe po prezentach, dostrzegam Lily, która podejrzanie skrada się po schodach, oglądając się przez ramię, żeby sprawdzić czy ktoś ją obserwuje. Jakimś cudem nie zauważa moich świdrujących, zwężonych oczu.

Przez ostatni tydzień byłam zajęta odgrywaniem dwóch scen z Connorem dla *Celebrity Crush* – w jednej Connor całował mnie przy murze, tuż przed Lucky's Diner.

Niemal nigdy nie całujemy się w miejscach publicznych, więc to zdjęcie wylądowało na nagłówkach gazet.

Martwię się, że już nie jestem informowana o wszystkim, co się dzieje w życiach moich siostr. Connor, ubrany w spodnie khaki i granatowy sweter, niczego nie wyczuwa, kiedy mijają na schodach, skończył usypiać Jane w jej pokoju.

- To nie było dla ciebie dziwne? – pytam go.

Nawet się za nią nie ogląda.

- Twoja siostra zawsze jest według mnie dziwna – odpira. – Odzywa się wyrywkowo i używa takich słów, jak OTP i shipper. – Zanim zdążę przybrać ofensywę, dodaje: - Lubię dziwność. To lepsze niż normalność.

Odkładam worek ze śmieciami.

- Uważam, że coś kombinuje. – *I zamierzam dowiedzieć się co.* Maszeruję w stronę schodów, zdając sobie sprawę, że nie idzie za mną. Oglądam się za siebie i widzę, że stoi nonszalancko, chowając ręce w kieszeniach. On również zachowuje się podejrzliwie. – Idziesz ze mną?

- Aby sprawdzić, co knuje twoja siostra opierając się na jej dziwności? Nie sądzę.

Celuję w niego palcem.

- Pożalujesz, że tego nie zrobiłeś.

- Szczerze w to wątpię, kochanie.

Parskam zirytowanym śmiechem, po czym teatralnie przerzucam włosy przez ramię. Kroczę w górę schodów, determinacja napędza mój stanowczy krok. Czuję obserwującego mnie Connora, który czeka do mojego zniknięcia. Jego rezerwa mnie niepokoi. Jakbym naprawdę potrzebowała dwóch świątecznych tajemnic.

Postanawiam, że najpierw poślę moją siostrę, ufając bardziej Connorowi, ponieważ się z nim pieprzę i lepiej, aby wierzył, że moja pochwa wypędzi jego penisa, jeśli wyczuję choć cień zdrady.

Kiedy docieram na szczyt schodów, natychmiast zauważam Lily stojącą pod drzwiami *mojej* sypialni, przygryzającą paznokcie.

Przybliżyła głowę do szpary w drzwiach i szepcze-sycze:

- Pospiesz się.

Gdybym miała na sobie szpilki, to by mnie usłyszała. To czysty przypadek losu. Przechwalałabym się tym przed Connorem, ale nie ma go tutaj, oczywiście. Szybko wpadam w jej przestrzeń osobistą, a ona podskakuje, niemal wpadając na ścianę. Prędko odzyskuje równowagę.

- Rose!

- Kto jest w moim pokoju? Czy to Loren? – pytam, omijając ją z łatwością i kopniakiem otwieram drzwi. Lily próbuje złapać mnie za ramię, ale jestem kobiecym buldożerem, tratującym wszystko na swej drodze.

W moim pokoju nikogo nie ma, ale ktoś na chybił trafił wrzucił poduszki na łóżko, a szuflada toaletki jest do połowy otwarta. Aksamitny koc został przerzucony z szezlongu na pobliską sofę... która także stoi nie na swoim miejscu, przy fotelu Queen Anne.

Rzucam się do łazienki.

- Rose – woła Lily, próbując zrównać się z moim energicznym krokiem. – Musisz zabrać mnie do lekarza. Nie czuję się dobrze.

- Niezła próba, Lily – mówię. *Jestem na polowaniu.*

- Mówiłem ci, że to się, kurwa, nie uda! Rose potrafi wyczuć drapieżnika na kilometr! – krzyczy Loren z korytarza, co oznacza, że ktoś inny znajduje się w mojej łazience... albo szafie. Teraz kieruję się do szafy.

- Nie jestem drapieżnikiem – mówi mu Lily, odsuwając się ode mnie do swojego męża.

- Oczywiście, że nie, skarbie. – Jego głos łagodnieje dla mojej siostry.

Otwieram drzwi szafy. Ze wszystkich ludzi, to Ryke klęczy przy szerokiej półce szpilek, szukając za nimi. Odchrząkuję i podnosi się, nie próbując nawet ukryć faktu, że szperał w moich rzeczach.

- Co ty wyrabiasz? – Opieram ręce na biodrach.

Drapie się po nieogolonej szczęce.

- Szukałem czegoś.



Moje myśli płyną do seks taśm, do diamentowej obroży.

- Moich zabawek erotycznych?

- Ja pierdolę, nie. – Krzywi się, patrząc na wyjście za mną, jakby zamierzał odejść bez żadnej odpowiedzi.

Zamykam drzwi, więżąc nas oboje i pilnuję wyjścia.

- Gadaj.

Rusza do przodu, zatrzymując się stopę ode mnie i próbuje sięgnąć po klamkę.

- Odsuń się, Rose.

- To ty szperałeś w *moich* osobistych rzeczach.

- Czy ktoś mi pomoże?! – woła do swoich sprzymierzeńców po drugiej stronie.

Lily porusza klamką.

- Zamknięte!

Ryke znowu patrzy na mnie z góry. Nie użyje wobec mnie siły. Nigdy nie widziałam, żeby obchodził się brutalnie z kobietą, chyba że to w zabawie czy flirtach. A to nie wchodzi w żadną z tych kategorii.

- Wyznaj mi prawdę – mówię – a otworzę te drzwi. To nie takie trudne, prawda?

- Szukałem zapasów kokainy twojego męża – odpiera wprost. – Czy to chciałaś, kurwa, usłyszeć?

*Nie.*

Ogarnia mnie wstrząs po byciu przyłapaną zanim zdążę cokolwiek ukryć. Drugi artykuł *Celebrity Crush* z tego tygodnia skupiał się na tym, że Connor upuści mały woreczek białego proszku i zostanie sfotografowany, kiedy będzie go podnosił. To był cukier puder, ale Walter zrobił takie zdjęcie, że substancja była do własnego zinterpretowania.

Ryke odczytuje moją niespokojną minę.

- Do kurwy nędzy, Rose, czy ty bierzesz ją razem z nim?

- Nie. I zrobił to tylko jeden raz – kłamię, obracając się na pięcie i próbuję szybko odblokować drzwi. Trudno mi przekręcić klamkę, Ryke kładzie na mnie nacisk poprzez stanie zbyt blisko, a jego stanowisko nosi wiele wątpliwości.

- Jesteś pewna, że tylko jeden? – pyta.

- Tak, widziałam.

- Co jeśli ma pieprzony problem, Rose?

W końcu uwalniam się z szafy.

- *Wszyscy* tego kiedyś próbowaliście. On nie potrzebuje twojej troski. Ma dwadzieścia sześć lat.

- W nosie mam, nawet jeśli będzie miał pięćdziesiąt pięć lat – odszczekuje Ryke. – Martwimy się, do cholery. Oboje zachowujecie się nienormalnie...

- Wcale nie. – Zaczynam sprzątać mój zabałaganiony pokój, poprawiając poduszki, żeby nie były przewrócone na boki, zamykając przekrzywioną szufladę w stoliku nocnym. Lily i Lo stoją w progu drzwi, a on wsuwa rękę w jej spodnie od pidżamy.

Nie żartuję.

Pokoje. Istnieją pokoje na takie rzeczy (*nie* mój pokój), ale kiedy chodzi o droczenie się z Lily, to Lorena rzadko kiedy obchodzi miejsce.

- Jednego dnia przefarbowałam włosy na pomarańczowo – mówi Ryke. – To nie jest dla ciebie kurewsko dziwne?

- Na *blond* – poprawiam. – Włosy miały być blond.

Ten artykuł *Celebrity Crush* o moich włosach był paskudny. Napisali, że próbuję upodobnić się do Daisy, chwytając się młodości, odkąd urodziłam dziecko. Niektórzy ludzie wzięli to za załamanie nerwowe. *Raz* zmieniam kolor włosów i już tracę zmysły. Daisy może zmieniać włosy co dwa tygodnie i to jest jej wyrażanie samej siebie.

To niesprawiedliwe.

- Connor zrobił ci minetkę na pierdolonym parkingu.

Zatrzymuję się w połowie drogi do zasłon, które są źle ułożone. Obracam się do niego i stykamy się klatkami piersiowymi. Nie zamierzam pierwsza się odsuwać i niestety on także trzyma się swojego, a jego twarz staje się coraz mroczniejsza w wyrazie „*co się, kurwa, dzieje?*”.

- A ty robisz minetkę mojej najmłodszej, najcenniejszej siostrzyczce na naszym *dachu*. – Celuję palcem w jego pierś, licząc na to, że zrobi *jeden* krok w tył. Nie robi tego. – Mogłabym cię wykastrować za wymachiwanie kutasem w jej otoczeniu, wiesz. Jesteś w *moim* wieku. – Wyciągam na wierzch stare wydarzenia, żeby zgromić obecne.

Zaciska szczękę.

- Dziękuję, że mnie nie wykastrowałaś. – Czekam, aż doda „*lubię pieprzyć twoją siostrę*”, tylko po to aby mnie wkurzyć, ale zapominam, że to nie Loren. – I masz rację... to nie powinno być dziwne, że robicie rzeczy, które reszta z nas robi albo choć raz próbowała. Chyba żadne z nas nie pomyślało, że będziecie tacy... - Marszczy brwi, nie mogąc znaleźć słów.

- Szaleni – odpowiadam za niego.

- Ta.

Odwracam się z powrotem do zasłon. Wydaje mi się, że poszło mi naprawdę dobrze, nawet *bez* wsparcia Connora.

- Myślałam, że nie czytasz czasopism. – Zastanawiam się, jakim cudem przeczytał ten nagłówek. – I rzadko wierzysz w ich zawartość. Chyba, że naprawdę byłeś w trójkącie z Lily i swoim bratem?

- Kurwa, *nie*. – Idzie za mną do okien. – To Daisy pierwsza zobaczyła artykuł i zapytała mnie czy wiedziałem, że Connor bierze kokainę. Zapytałem Lorena, który zapytał Lily i wszyscy byliśmy zdezorientowani. Posłuchaj, nie chciałem w to, kurwa, uwierzyć, ale niektórych zdjęć nie da się wyrwać z kontekstu. Nie potrafiłem obrócić tego w inny sposób.

- Odbierał prochy dla znajomego. Co ty na to, Ryke? – Zatrzymuję się przy oknie, prostując elegancki, jasnoniebieski materiał pasujący do mojej pościeli.

- To prawda?

- Nie – odpieram – ale mogliście po prostu nas zapytać.

- Nałogowcy kłamią – odzywa się Lily spod drzwi, jej twarz jest zarumieniona po obmacywaniu przez Lorena. Teraz obejmuje ją w talii i szepcze jej do ucha.

Wyglądam zgięcie w zasłonie.

- Jedyną rzeczą, od której jest uzależniony Connor, jest jego własne, monstrualne ego. – Zerkam na chwilę przez okno, a ruch na zewnątrz sprawia, że muszę spojrzeć jeszcze raz. Czy to...? Przysuwam się tak blisko, że dotykam nogami ściany.

- Ludzie! – woła Daisy, wpadając do mojej sypialni z mokrymi włosami. Ryke odwraca się gwałtownie, cały się spinając, ale Daisy pędzi do przodu w doskonałym stanie. Przepycha się obok Lily i Lo. – Kiedy wyszłam spod prysznica – mówi szybko – wyrzałam przez okno i zobaczyłam...

- Co on robi? – Wypalam spojrzeniem dziury w oknie. Connor kroczy po świeżo odśnieżonej ulicy, mając na sobie czarny, zimowy płaszcz, a w ręku trzyma prezent owinięty niebieskim papierem.

Loren szturcha mnie ramieniem, próbując spojrzeć w dół.

- Mówił ci coś? – *Nie*. Lily wciska się pomiędzy nas, niemal przyciskając nos do szyby. Nie ma tutaj miejsca na całą naszą piątkę, dopóki Ryke nie bierze Daisy na barana, ściskając się po mojej prawej.

Connor kieruje się w stronę cudownego domu z kamienia z przystrzyżonym żywopłotem i kolistym podjazdem. Do domu Scotta.

- Lepiej, żeby miał dla Scotta trutkę dla szczurów – oświadczam. Dlaczego nie poprosił mnie, żebym do niego dołączyła? Przypominam sobie ostatni raz: kiedy nie potrafiłam ukryć emocji. Kiedy wszyscy straciliśmy panowanie. Wszyscy prócz niego.

- Założę się, że to padlina – zgaduje Lo. – Może zdechły pancernik. – Coś takiego zrobiłby Lo, żeby przerazić Scotta.

Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Connor naśladował poczynania Lo. Mam pustkę w głowie. Idzie w górę podjazdu do drzwi wejściowych Scotta.

Daisy przyciska ręce do szyby.

- Założę się, że to babeczka z napisem „*pieprz się*”.

Ryke ściska czule jej nogi i unosi na nią wzrok.

- Uroczo, Calloway.

Ich wymiana zdań znowu nakierowuje moje myśli na tamtą noc, kiedy Scott zasadził w naszych głowach wstrętne nasiona nieszczęścia.

- Daisy – zaczynam – spałaś kiedyś z facetem o imieniu Trent? – Zastanawiam się ile bzdur nawciskał nam Scott.

Daisy otwiera usta i po chwili zamyka, niespokojna, bo siedzi na barkach Ryke’a.

Ryke przeszywa *mnie* spojrzeniem. Ich związek jest zdecydowanie najbardziej prywatny w tym domu. Nie wiem ile sobie mówią ani co.

- Nie możesz jej o to pytać, Rose.

- To moja *siostra* – odparowuję.

- A moja pieprzona dziewczyna – mówi. – Nie musisz wiedzieć, z kim sypiała. – Zna prawdę. Zna prawdę *przede* mną. To takie pogmatwane.

Gdzie jest siostrzana lojalność? Próbuję odrzucić od siebie rzeczywistość: że wszystkie jesteśmy trochę bardziej związane ze swoimi mężczyznami niż ze sobą. *Tak miało być, Rose.* Wiem, ale i tak sądziłam, że będziemy mieć więcej czasu.

- To było naprawdę dawno temu i niewiele pamiętam – odpowiada w końcu Daisy. – Więc, hej, to chyba prawie się nie liczy, nie?

- Jak to nie pamiętasz? – Jestem gotowa zrzucić moją ochronną zbroję i cisnąć nią w siostrę. Loren i Lily także oderwali spojrzenia od okna, patrząc na Daisy. Jedyne Ryke wydaje się być w tym poinformowany.

- Wypiłam dużo szampana. To było po czymś związanym z modelingiem. Naprawdę to nic ważnego. – Zbywa to wzruszeniem ramion, przenosząc wzrok na okno. – Ej, on jest pod domem!

Jej odwrócenie uwagi działa. Po drugiej stronie ulicy Connor naciska dzwonek. Po chwili Scott otwiera drzwi. Nie rozpoznaję małych szczegółów, ale dostrzegam sławny uśmiezek Scotta, zadowolony i napuszony. Po szybkiej wymianie zdań spodziewam się, że Connor wepchnie mu prezent do rąk i odejdzie.

Zamiast tego Scott otwiera szerzej drzwi, wpuszczając Connora do środka. Ten kiwa głową i znika wewnątrz tego domu, za zamkniętymi drzwiami.

- Co, do diabła – mówi oszołomiony Lo.
- Connor pewnie mu grozi. – Lily kiwa parę razy głową.
- W jego pieprzonym domu? – Ryke potrząsa głową. – Nie jest taki głupi.

*Zawiera porozumienie, wnioskuję. W naszym domu rozbrzmiewa dzwonek, rozdzielając moje myśli. Nie widziałam, żeby ktokolwiek szedł naszym podjazdem. Każdy dźwięk, każda nowa zmiana wzbudza u mnie gęsią skórkę, przestawiając mój nastrój na *ostrożny* i *poważnie zaniepokojony*.*

Rose Cobalt

Pierwsza odrywam się od okna, rzucając się do odpowiedzi na dzwonek do drzwi.

Nie jestem jedyna.

Pędzę na oślep do schodów, próbując wyprzedzić Lo, który niesie Lily na barana. Idę szybko, prawie depczę mu po piętach. Ryke wciąż trzyma Daisy na barkach, idąc niefrasobliwym krokiem za nami.

- Ktoś dzwonił po mamę? – pyta Daisy, przeczesując palcami włosy Ryke’a.

- Nie – odpowiadamy wszyscy. To byłaby okropna niespodzianka: otworzyć drzwi w pośpiechu, żeby ujrzeć po drugiej stronie naszą matkę. Kocham ją, ale już spędziła wigilię na krytykowaniu moich prezentów dla Jane.

Po zbiegnięciu po schodach, Lo potyka się o ozdobnego, prawie metrowego Świętego Mikołaja, sprawiając, że Lily spadła z jego pleców i próbuje mnie teraz przegonić. Już ją ominęłam, pędząc przez foyer.

Chwytam za klamkę, trochę zdyszana. Gdy otwieram drzwi, gość akurat po raz kolejny naciska dzwonek.

Młody chłopak nieruchomieje, kiedy napotyka moje płonące spojrzenie i chowa pięści w czarnej bluzie z kapturem, niebieska, wełniana czapka z logo Dalton Academy okrywa jego brązowe włosy. *Doskonale* znam tego siedemnastolatka.

- Uch... - Rzuca spojrzenie na Lily, która próbuje precyzyjnie się obok mnie, aby powitać go z otwartymi ramionami. Uchylam drzwi tak, żebym tylko ja mieściła się w szparze.

- Rose – marudzi.

- Byłam tutaj pierwsza – mówię do niej, ale wciąż wbijam w niego groźne spojrzenie.

Garrison odchrząkuje nerwowo.

- Nie poznaliśmy się. – Wyciąga przed siebie dłoń w rękawiczce.

- Poznaliśmy. – Nie podaję mu ręki, grudniowy mróz odbiera mi czucie w palcach zaciskających się na framudze drzwi. – Ty i twoi koledzy popsikaliście czerwonym ponczem moją *nowonarodzoną* córkę i mnie z pistoletu na wodę. – Przed Halloween mieliśmy długotrwały zatarg z nastoletnimi sąsiadami. Skończyło się na tym, że wszyscy zostali ukarani za włamanie, wszyscy prócz Garrisona, który postanowił nie wpadać do naszego domu, tak jak jego znajomi.

W moim umyśle jego charakter jest splugawiony, dopóki nie przekonam się inaczej, ale pracuje jako kasjer w Superheroes & Scones, dzięki uprzejmości Lily i zrozumienia Lo dla złamanych, złośliwych nastolatków.

- To było głupie... przepraszam... - Przez chwilę przygryza spierzchniętą wargę. – Hej, jest tutaj Willow? Wiem, że to daleka kuzynka czy coś...

Chodzi mu o przyrodną siostrę Lorena, ale Willow musi kłamać na temat więzi z bratem, tak samo jak to robił Ryke. Nikt nie może się dowiedzieć, że mama Willow to tak naprawdę biologiczna matka Lo. Dowiedziałam się, że była nieletnia, miała zaledwie *szesnaście* lat, kiedy zaszła w ciążę z Lorenem.

Jonathan Hale poszedłby siedzieć za gwałt na nieletniej, ale jego synowie i ta kobieta kryją go od dekad. Willow mogłaby się uwolnić od tego wielkiego kłamstwa, wracając do swojego rodzinnego miasta Maine i zostając z matką. Poprzez wybranie Filadelfii i bycie częścią życia swojego przyrodniego brata, musi wmawiać wszystkim, że jest daleką kuzynką Hale'ów.

Nikt nie jest tym bardziej wkurzony od Ryke'a, ponieważ on także, jako nastolatek, musiał kłamać, co do rodzinnych relacji.

- Przyjdzie koło czternastej! – odpowiada z tyłu Lily.

- Lily – burczę, rozchylając leciutko drzwi. Pamiętam, że Lily mówiła coś o tym, że Willow chciała potem wpaść, żeby nie przeszkadzać. Chciałabym myśleć, że jesteśmy ze sobą zżyci, kiedy chodzi o więzy krwi, ale ona zna nas tylko z mediów. Dlatego postanowiła zamieszkać w apartamencie, a nie z nami. Ja bym się pewnie upierała, żeby tutaj zamieszkała, ale Lily i Lo nie są tak natarczywi jak ja.

Lily posyła mi surowe spojrzenie, które jest wyjątkowo komiczne u mojej kochającej siostry.

- Willow i Garrison pracują ze sobą.

Lo kładzie rękę na drzwiach, wrywając je z mojego uchwytu. Uderzają o drzwi i teraz widzi Garrisona w całości. Na szczęście przeszywa faceta mrocznym spojrzeniem.

- Współpracownik nie pokazuje się w bożonarodzeniowy poranek, szukając innego współpracownika.

Garrison skrobie butem zlodowaciały ganek.

- Czy ta wycieraczka ma pod spodem napis „witamy”? Nie potrafię odczytać pod tą ilością śniegu.

- Ale z niego śmieszek – mówię chłodno.

- Jesteś przerażająca, bez urazy. – Kaszle w rękawiczkę i ogląda się przez ramię. – Kazesz mi samemu się zaprosić, prawda?

- Tak.

Obrzuca nas wszystkich spojrzeniem, jego oddech tworzy w powietrzu obłoczki.

- Ja po prostu... chciałem jej powiedzieć, że jestem... - Parska niewyraźnym śmiechem, a jego oczy robią się czerwone. Zauważam w jego lewej ręce niezapalonego papierosa. – Nieważne, to cholernie durne... - Odwraca się, żeby odejść.

Łapię za kaptur jego bluzy, przyciągając go z powrotem.

- Co, do chuja? – Obraca się i rzuca mi znajome spojrzenie mówiące „w ogóle cię nie rozumiem. Jesteś poniekąd obłąkana. Co, do chuja.”

- Zapraszasz ją na bal maturalny? – pytam. – Bo to najbardziej żalosne zaproszenie, jakie w życiu słyszałam. Po pierwsze, to potrzebne ci są kwiaty.

- Nie zapraszam ją na żaden bal. – Jego głos lekko się trzęsie, a nos ma czerwony od mrozu. – Przyszedłem powiedzieć jej, że wyjeżdżam i chyba wam też chciałem to przekazać. – Kiwa głową do Lily i patrzy przelotnie na Lorena, nie podtrzymując jego spojrzenia.

- Jak to? – pyta Lily.

W tym momencie dostrzegam w oddali Connora, który wraca do naszego domu. Ściągam z wieszaka mój płaszcz i zakładam parę najbliższych botków: należą do *Daisy*, która na szczęście ma prawie ten sam rozmiar, co ja.

- Rodzice podarowali mi dziś rano jedyny prezent świąteczny: białą kopertę – mówi zgorzkniale. – Ja... oni wypisują mnie z Dalton i wysyłają do szkoły z internatem dla „właściwego ukierunkowania”, żebym skończył ostatni rok.

Omijam Garrisona na ganku, ręka mi zamarza, kiedy chwytam za balustradę, uważając, by nie poślizgnąć się na lodowatych stopniach.

- Gdzie ona jest? – pyta Lily.

Kieruję się w dół podjazdu, głos Garrisona rozmywa się w oddali.

- Północna część Nowego Jorku – odpiera – Szkoła z internatem Faust dla chłopców.

Po moim kręgosłupie przechodzi gęsia skórka. Zbliżam się do Connora przyspieszonym krokiem, spotykając się z nim przy skrzynce na listy, gdzie on trzyma ręce w kieszeniach płaszcza, nie dziwi go moja nagła obecność. Stoi wyprostowany, niewzruszony i niebojący się niczego, pomimo tego, że dopiero co rozmawiał z tym obmierzłym gryzoniem.

- Wszedłeś do jaskini lwa – odzywam się, czując boleść w gardle od czegoś więcej niż zimna.

Connor kręci głową.

- To my jesteśmy lwami, Rose. Nasza jaskinia znajduje się za tobą.



Drgają mi nozdrza. Twierdzi, że jesteśmy silniejsi i lepsi od Scotta, ale nie mogę zostawić *tego* za sobą.

- Jaką zawarłeś umowę? – Nie zgodziliśmy się na coś *takiego*. Nie przedyskutowaliśmy tego. Nie...

- Żadną.

Wbija się w moje myśli.

- Dałeś mu padlinę.

Wygina usta w rozbawionym uśmiechu.

- Nie jestem Lo.

Powinnam wiedzieć, co zrobił. To mój mąż, ale nie dostrzegam odpowiedzi, która dosłownie tkwi przede mną. Znowu zaczyna prószyć śnieg, pokrywając nasze włosy śnieżynkami i mocząc mój nos oraz policzki. Muszę zapytać wprost.

- Co zrobiłeś?

- Dałem mu butelkę kosztownego wina.

Ściągam brwi.

- Otrułeś go?

Uśmiecha się szerzej.

- Rose, kochanie, wróć na ziemię.

Opieram ręce na biodrach, mrużąc oczy.

- Po prostu *dałeś* mu butelkę wina? Co, że niby teraz jesteście przyjaciółmi... - Moja mina tężeje. – Nie, Connor. – To jest to, co on robi. Udaje przyjaźnię, a potem ucina je w kolanach, kiedy nie ma z nich już pożytku. – Nigdy nie uwierzy, że zostałeś jego przyjacielem.

Łapie mnie za zimną rękę.

- Scott nie jest bystry. Jest irytujący i przekonany o własnej nieomyślności. *Można* go zmanipulować. Nigdy wcześniej nie miałem na to szansy, nie w ograniczeniach reality show, ale teraz mogę to zrobić.

- I potrafisz *znieść* udawanie wobec niego życzliwości? – W moich oczach próbują zebrać się gorące łzy, żarliwe i obrzydzone samą tą myślą.

Connor unosi dłoń do mojej twarzy, jego niebieskie oczy są pewne, lecz spokojne, tak spokojne przy moim zapale. Chcę, żeby się złamał, wyzwolił swą furję i uspokoił moje wnetrzności, które zaczynają skręcać się w sobie, ale nie może... bo inaczej przegramy.

- Czuję, jakby robale łąziły mi po skórze. – Dygoczę. Pewnie śmiał się sztucznie ze Scottem, może nawet powiedział mu komplementy.

- Zatem wiesz jak ja się czuję. – Zdaje się taki opanowany, ale to wszystko znajduje się w środku: rzeczy, których nie mogę zobaczyć w jego głębi, jego zdegustowanie, że musiał się z nim zakolegować.

- Zniesiesz to? – pytam.

Potakuje.

- To nasza najlepsza szansa. – Po czym recytuje: - „Nie jest najgorzej, póki możemy mówić: *to jest najgorzej.*”

- Król Lear. – *Szekspir*. Próbuję go odepchnąć. – Właśnie zacytowałeś tragedię, Richardzie.

Nie chce mnie puścić, przytulając mnie mocniej.

- Potrzebuję cię – mówi niespodziewanie.

Zamieram.

- Co?

Wbija we mnie wzrok.

- Potrzebuję, żebyś wciąż patrzyła na mnie tak, jakbyś miała wypalić dziurę w moim sercu i potrzebuję, abyś mówiła mi, że kochasz prawdziwego mnie. Potrzebuję cię każdego dnia, Rose. W taki sposób to zniosę.

Bez wahania odpowiadam:

- Bien sur. – *Oczywiście.*

Nie potrafię sobie przypomnieć innej chwili, kiedy oboje byliśmy tak bardzo niepewni przyszłości. Tak jakbyśmy stali, ręka w rękę, na skraju ciemnego lasu pełnego żelaznych pułapek, drapieżników oraz ofiar. Czepiam się jedyne pewnika.

Razem wstępujemy do tej tragedii.

*Connor Cobalt*

Leżę w łóżku po godzinie jedenastej, przez okna sączą się promienie słoneczne. Ze wszystkich dni, to trzeciego stycznia próbuję przespać cały poranek, żeby wyciąć kawałek czasu. Zrobiłem tak rok temu i dzień w jakiś sposób stał się krótszy.

Obracam się na bok, Rose już dawno nie ma. Przesuwam palcami po pościeli, w której brakuje drugiego ciepłego ciała. Unoszę leciutko spojrzenie i krzywię się.

Lily siedzi na brzegu stołka toaletki obok drzwi, mając na sobie białą, futrzaną czapkę Wampy z *Gwiezdnych Wojen*, džinsy oraz koszulkę z niebieskim napisem Superheroes & Scones. To może być jedyny dzień, kiedy ubrała się szybciej ode mnie. Podnosi rękę i posyła mi zażenowany uśmiech.

- Cześć.

Siadam i poprawiam potargane włosy. Ona coś kombinuje.

- Co robisz, Lily? – Łapię za pościel, zamierzając wyjść z łóżka.

- Czeka-czeka-czeka! – bełkocze spanikowana. – Rose mówiła, że masz na sobie bieliznę, ale muszę to potwierdzić zanim wstaniesz. – A więc Rose bierze w tym udział. Lily papla dalej: - Nie chodzi tu głównie o mój seksoholizm, ale chcę uszanować męża mojej siostry w jego urodziny. – Kiwa głową z postanowieniem, po czym oblewa się rumieńcem. – Nie, żeby nie szanowała cię każdego innego dnia.

- Rozumiem, Lily. – Uśmiecham się trochę wymuszenie po wzmiance moich dwudziestych siódmych urodzin, to słowo natychmiast przestawia mój nastrój. – Dziękuję i nie martw się, jestem ubrany. – W granatowe, flanelowe spodnie.

Wypuszcza z siebie oddech, kiedy wstaję, po czym podrywa się na nogi, blokując drzwi.

Unoszę brwi.

- Przetrzymujesz mnie, jako zakładnika?

- Możesz wziąć prysznic – odpiera, nie zaprzeczając, że mnie pilnuje. – Właściwie to powinieneś dziś ubrać coś ładnego. – Nie przestaje kiwać głową. Po chwili dodaje: - Tylko... nikt nie chce powtórki z zeszłego roku.

Trzeciego stycznia zeszłego roku wszyscy postanowili zorganizować mi przyjęcie niespodziankę. Ja zaskoczyłem ich tym, że poleciałem na cały dzień do Ontario i wróciłem do domu nazajutrz. Tylko ja byłem z tego zadowolony i myślałem, że dostali nauczkę.

Nie mam problemu ze świętowaniem urodzin innych. Jeżeli mają dla nich znaczenie, w porządku, ale moje urodziny nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Mój wiek zawsze był

ograniczeniem. Powstrzymuje mnie przed szybszym postępowaniem naprzód. Mogłem prowadzić samochód w wieku dwunastu lat. Mogłem być świadomym wyborcą w wieku trzynastu lat. Przewyższałem wiedzą profesorów w wieku piętnastu lat. Nie lubię świętować mojego wieku – tej drażniącej, nieugiętej niedogodności, która jest równoległa z czasem.

Lily klaszcze w ręce.

- Zatem weź prysznic: beze mnie oczywiście. No wiesz, sam. Ja będę tutaj. W tej sypialni, a nie w pobliżu twojej nagości. – Teraz przybrała odcień pomidora.

Ciężko jest powstrzymać śmiech. Kieruję się do łazienki, tworząc sobie w głowie ucieczkę. Wyjdę tyłem, przez garaż.

- Gdzie jest Jane? – pytam.

- Z Rose.

Może zamierza odwiedzić ją do domu matki.

- Gdzie idziemy dziś wieczorem? – Próbuję zapytać wprost.

Lily otwiera usta, ale zaraz je zamyka. Patrzę, jak przymyka powieki, starając się zmrużyć oczy.

- Zadajesz za dużo pytań.

Otwieram drzwi łazienki.

- Co się stanie, jeśli opuszczę dom?

- Czekaj, już zamierzasz wyjść? – Przesłupuje nerwowo z nogi na nogę, jakby zachciało jej się siku. – Nie możesz wyjść, ale jeżeli to zrobisz, będę musiała użyć siły fizycznej. – Komiczne, kiedy mówi to dziewczyna w futrzanej czapce, która ma twarz i rogi. – I będę musiała także wezwać *wsparcie*.

Wsparcie?

W chwili, kiedy podkreśla to słowo, otwierają się drzwi i do sypialni wkraczają Ryke z Lorenem, obaj ubrani w zwykłe dzinsy i bluzki. Nie da się nie dostrzec kajdanek w rękach Ryke'a.

Wciąż stoję w połowie drogi do łazienki, ukrywając zirytowanie. –

-Jeżeli chcesz, żebym przykuł cię do mojego łóżka, trzeba tylko poprosić.

- Zabawne – mówi Ryke – ale one nie są dla mnie.

Lo jest lekko rozkojarzony przez swoją żonę, ciągnąc za klapy czapki Wampy i całuje ją w policzek. Ona szepcze do niego zażarcie, przypadkiem pokazując na mnie, nie jest to zbyt ukradkowy gest.

- Jesteś wcześniej, kochanie – żartuję, skupiając na sobie uwagę Lo. – Nigdy nie przykuwam cię przed południem.

Uśmiecha się.

- Dzisiaj to co innego, skarbie.

Potrząsam głową.

- Nie, dzisiejszy dzień jest taki sam jak każdy inny, dopóki wasza trójka nie zrobi z niego czegoś więcej.

- Oto jak będzie – mówi Lo. – Weźmiesz prysznic, ubierzesz się i nie będziesz nikomu mieszał w głowie w stylu Jedi. – Przy ostatniej prośbie spogląda na Lily, która aprobująco kiwa głową.

- Nie powiecie mi, co zaplanowała Rose, prawda?

- Nie ma mowy. – Gdyby był bliżej, to pewnie poklepałby mnie po ramieniu. Dzwoni mu telefon i sprawdza, kto to. – To mój asystent do spraw marketingu. – *Theo*. – Ryke, możesz...

- Zajmę się nim – odpowiada Ryke. – Odbierz. – Lo wychodzi razem z Lily i znowu skupiam się na srebrnych kajdankach Ryke'a.

- Zamierzasz przykuć mnie do prysznica?

Ryke patrzy na mnie niewzruszony.

- Jeśli będę, kurwa, musiał.

Cudownie.

Opieram się chęci, żeby przewrócić oczami – czego prawie nigdy nie robię. Wchodzę do łazienki i zaczynam ściągać ubrania, zostawiając szeroko otwarte drzwi. Mógłbym trochę sobie tutaj postać, ale Ryke celowo krzyżuje mi plany, wchodząc za mną do łazienki.

Wskakuje na blat, otwierając i zatraskując zamek kajdanek dołączonym kluczem.

- Nie siedź tam dłużej niż pół godziny, do cholery. Nie chcę tutaj być tak samo jak ty.

Ryke jest mięśniakiem: jedyną osobą, która mogłaby fizycznie zatrzymać mnie w Filadelfii, dlatego to on zastąpił Lily, jako mój nieoficjalny strażnik.

Jestem w areszcie domowym.

W dzień, kiedy zwykle sam opuszczam ten kraj.

Ściągam bokserki i podchodzę do szklanych drzwiczek kabiny prysznicowej.

- Nie byłem świadom, że psy znają się na czasie.

- Pierdol się – odpowiada ostrzej niż zwykle. Nie może tu chodzić o mały żarcik.

- Normalni ludzie nie wyklinają swoich przyjaciół solenizantów – zauważam, wchodząc pod prysznic, ciepła woda uderza w moje spięte ciało.

Odzywa się na tyle głośno, żebym go usłyszał.

- Normalni ludzie nie manipulują swoimi przyjaciółmi w Boże Narodzenie!

*Bingo.*

- Nie jestem normalny! – krzyczę przez tryskającą wodę, sunąc dłońmi po mokrych włosach.

Przez zaparowane szkło widzę sylwetkę Ryke'a, który potrząsa głową.

- Sprawileś, iż sądziłem, że miałaś taką samą relację ze swoją mamą, co ja z moją, żebym mógł ci, kurwa, opowiedzieć o moim dzieciństwie.

Zapytał mnie: „*Czy w Boże Narodzenie nie byliście tylko twoja mama i ty?*”

A ja odpowiedziałem: „*Zakładam, że tak było u ciebie*”. Nigdy nie potwierdziłem. Nigdy nie zaprzeczyłem. Nie odpowiedziałem na jego pytanie, dopóki on nie odpowiedział na moje.

- Musiałeś tylko wczytać się bardziej w moje słowa – wyjaśniam, podnosząc głos bez krzyczenia. – Wtedy zorientowałbyś się, że wcale ci nie przytaknałem. – Wcieram we włosy szampon.

- Czasami czuję, że celowo utrudniasz mi zaufanie tobie.

Nie mam takiego zamiaru, choć wiem, że taka jest konsekwencja wścibiania nosa w cudze życie. Oboje milczymy, kiedy dokańczam prysznic. Po zakręceniu wody, owijam się ręcznikiem w pasie i wychodzę. Podchodzę do umywalki, gdzie ciągle siedzi Ryke.

- Nie powiem ci, ile potrafię przeczytać stron – mówi, rzucając mi przelotne spojrzenie znad kajdanek. Mówi o swoim prezencie świątecznym. W pustym dzienniku, który podarował mi w zeszłym roku, napisałem mu fragmenty w kilku różnych językach.

Wyciskam pastę na szczoteczkę do zębów.

- Nie sądziłem inaczej. – Napisałem szczerą, prawdziwą wiadomość o nim, cechy, które podziwiam, ale nie uda mu się przeczytać tych, których nie rozumie, a przynajmniej nie bez pomocy elektronicznego słownika.

Zaczynam myć zęby.

- Kurewsko mnie dezorientujesz – mamrocze pod nosem. Myśli, że miałem jakiś ukryty motyw, dając mu ten dziennik. Nie miałem żadnego.

Płuczę sobie buzię i wypluwam wodę do umywalki.

- Mówi facet, który każe wszystkim wierzyć, że jest głupi, kiedy jest wprost przeciwnie.  
– Posługuje się różnymi językami. Głosuje w każdych wyborach. Założę się, że umie zacytować wielu autorów. Założę się, że rozumie odniesienia, których używamy razem z Rose. Ukrywa te cechy, jakby były przypomnieniem tego jak został wychowany. Jako „dziecko na tak”, które robiło wszystko, o co prosiła je matka.

„*Ucz się ciężko dla mnie.*” Tak, mamó.

„*Bądź atletą dla mnie.*” Tak, mamó.

„*Biegaj dla mnie.*” Tak, mamó.

„*Naucz się francuskiego dla mnie.*” Tak, mamó.

„*Nie mów nic dla mnie.*” Tak, mamó.

„*Kłam dla mnie.*” Tak, mamó.

„*Nikommu o mnie nie mów.*” Tak, mamó.

„Dziecko na tak” nie ma własnego zdania. „Dziecko na tak” nie ma głosu.

Nie jestem pewien, kiedy Ryke nareszcie powiedział coś swobodnie, ale wyraźnie widać, że nie cierpi wracać do tamtego miejsca. Wciąż widzę w nim resztki tamtego życia, gdy stara się otworzyć. Przywykł do milczenia na temat pewnych części swojego życia.

- Nie każę nikomu w nic wierzyć – odparowuje. – Po prostu nie dbam o to, żeby udowodnić im, że się mylą, do chuja.

- Jesteś tym, kim jesteś. – Odkładam szczoteczkę do pojemnika. – Przynajmniej masz pięcioro ludzi, którzy ciebie znoszą.

Pokazuje mi wulgarny gest, po czym podnosi kajdanki, jakby mówił „*już czas, Cobalt?*”.

Mrugam dwa razy.

- Chyba nie jesteś poważny.

- Lo powiedział, żebyś myślał o tym jak o urodzinowej karze. – Zeskakuje z blatu, cał niższy ode mnie.

- A dlaczego to jestem karany? – Wchodzę do mojej szafy, wyciągając czarne spodnie od garnituru i białą koszulę.

- Nie wiem, kurwa – mówi z głębi sypialni. – Może za bycie aroganckim palantem siedem dni w tygodniu. – Zakładam spodnie i zaczynam zapinać koszulę, kiedy dodaje: - Albo może za niepotrzebne utrudnianie świętowania urodzin.

Wracam do sypialni, kończąc zapinać koszulę. Ryke fizycznie blokuje drzwi. Próbuję zaplanować sobie ucieczkę. Nie biegam szybciej od Ryke'a. Był kapitanem swojej drużyny biegaczy w college'u. Nie jestem na tyle głupi, żeby próbować.

Z drugiej strony wolałbym spróbować wyjść niż nie robić nic i zostać skutym w kajdanki.

- Karzesz mnie za bycie sobą – mówię.

Podtrzymuje mój skupiony wzrok.

- Przynajmniej masz pięcioro ludzi, którzy ciebie znoszą.

Pięcioro ludzi, którzy kochają mnie tak mocno, że chcą świętować przyziemny, bezcelowy dzień na moją cześć. Biorę moją komórkę z komody i dzwonię do Daisy, przykładając słuchawkę do ucha.

- Musisz pójść za mną do kuchni – mówi Ryke. – Jeżeli zwiejesz, to nie mam pieprzonego problemu z tym, żeby cię powalić.

Unoszę brwi, kiedy komórka nawiązuje połączenie.

- Witaj, solenizancie – wita mnie Daisy, jakbyśmy byli w tym samym pokoju. Musi być w piwnicy albo kuchni.

- Zechciałabyś zabawić swojego chłopaka przez jakieś dziesięć, piętnaście minut?

Ryke potrząsa głową, mówiąc bezgłośnie „*nic z tego*”.

Daisy wydaje współczujący odgłos.

- Chciałabym, ale Rose kazała mi obiecać, że dzisiaj ci nie pomogę. Prawie zrobiła z tego przysięgę krwi... więc byłaby naprawdę wkurzona, gdybym wybrała ciebie ponad nią. Siostry przed chłopakami.

- Gdzie jest Rose? – pytam.

- Co mówiłeś? – Udaje konsternację. – Coś ci przerywa. – A wtedy głos innej osoby tworzy odgłos zakłócenia. *Lily*. – Wybacz, Connor, nie słyszę cię! – Daisy rozłącza się przede mną.

Chowam telefon do kieszeni i Ryke otwiera drzwi, pokazując, żebym poszedł za nim. Uświadamiam sobie, że jeśli chcę opuścić ten budynek, to nie ma innego wyjścia jak fizycznie pokonać Ryke'a.

Bez słowa idę za nim długim korytarzem. Gdy schodzimy na dół, postanawiam, że lepiej rzucić się do tylnych niż frontowych drzwi.

I tak prowadzi mnie do kuchni i kiedy próbuje do mnie sięgnąć, żeby przykuć mnie do pierdolonego, kuchennego *krzesła*, biegnę do tylnych drzwi.



- Connor! – krzyczy Ryke, pędząc za mną. Kiedy brakuje mi paru centymetrów do klamki, łapie mnie za biceps i odciąga do tyłu.

Swobodnie wysuwam się z jego uchwytu i wykręcam mu ramię za plecami, trzymając usta blisko jego ucha.

- Tu perdras cette lutte, mon ami. – *Przegrasz tę walkę, przyjacielu.*

A wtedy jego łokieć wbija się całą siłą w mój brzuch, to uderzenie pozbawia mnie tchu. Dostaję napadu ostrego kaszlu, przez co udaje mu się uwolnić. Słyszę *klik* jeszcze przed odczuciem zimnego metalu na nadgarstku. Szarpię ramieniem, ale zostałem przykuty do szczebla krzesła kuchennego. Mogę poruszać się na tyle, żeby znaleźć spinacz i odblokować kajdanki, ale nie kiedy Ryke Meadows jest moim ochroniarzem.

Mięśnie mojej szczęki napinają się bardziej niż zwykle. Myślałem, że jego serce jest zbyt miękkie, żeby zadać mi ból fizyczny.

Ryke opiera łokcie o blat baru kuchennego.

- Veux-tu dire la lutte que tu viens de perdre? – *Masz na myśli walkę, którą ty właśnie przegrałeś?*

Odpowiedział po francusku. A to rzadkość. Jeżeli mam utknąć w tej ogromnej kuchni przy sześćciosobowym, okrągłym stole, to równie dobrze mogę to wykorzystać. Dlatego przenoszę się na włoski.

- Conosco un segreto sulla tua fidanzata di cui nessuno e al corrente, nemmeno tu. – *Znam sekret o twojej dziewczynie, którego nie zna nikt inny, nawet ty.* To brzmi drwiąco i trochę dziecinnie, ale jestem w dziwnym nastroju.

Jego twarz ciemnieje, gdy ogarnia go troska.

- Stai mentendo. – *Kłamiesz.*

Zna włoski.

Nie potrafię ukryć uśmiechu. Próbuję niemieckiego.

- Ich luge zu meinem Nutzen. Natürlich. – *Kłamię dla własnej korzyści. Naturalnie.*

Prostuje się gwałtownie z niepokojem w zmrużonych oczach.

- Connor, ja nie żartuję, kurwa.

- Nie znasz niemieckiego – orientuję się.

Jego nozdrza drgają i potrząsa głową.

- Nie. Nie znam niemieckiego.

Rose i ja wolimy francuski, ale chwytam się tego faktu: języka, którego Ryke nie zrozumie, jeśli będziemy potrzebować prywatności. Choć jej niemiecki także nie jest doskonały.

W przeciwieństwie do Rose, miałem zamiłowanie do językoznawstwa w Fauście. Podobały mi się słowa, korzenie, struktury, podstawy. Prawie jak matematyka i odkrywanie jednego języka ułatwiało naukę innego.

- Connor...

- Kłamałem w sprawie Daisy – mówię. – Nie wiem niczego więcej od ciebie.

Wywraca oczami.

- Opuść. Tylko dlatego, że uderzyłem cię w twoje urodziny.

- Szczególne przywileje? – Nie potrafię udawać podekscytowania i próbuję podnieść ramię, co tylko sprawia, że krzesło szura po podłodze, a kajdanki brzękają. Zauważam pudełko ciasta w proszku na blacie obok tubki lukru czekoladowego i flakoników z ozdobami. Wszystko to jest miłe, ale nikt nie musi skupiać się tego dnia na mnie. To niepotrzebne. – Mogę dostać przynajmniej kartkę papieru i długopis?

Ryke rzuca mi dziwne spojrzenie.

- Po chuja?

- Napiszę list miłosny do żony – mówię beznamiętnie. Wciąż to samo spojrzenie. – Jako były student dziennikarstwa, przypuszczam, że rozumiesz pojęcie *pisania*. To proces, w którym zapisujesz swoje imię i nazwisko albo, w twoim przypadku: wulgaryzmy na powierzchni, w tym wypadku: na papierze. Wiesz, co to papier?

- Spierdalaj.

Z salonu dobiega echo stukających obcasów i do kuchni wchodzi Rose, zamykając za sobą drzwi. Od razu lustruję ją wzrokiem.

Ma na sobie czarne kwieciste kimono i prostą, czarną sukienkę z bawełny, którą czasami zakłada, kiedy robi sobie makijaż. Włosy zaczesła w eleganckiego kucyka, usta pomalowała na ciemnoczerwony odcień, a oczy są zbyt ciemno pomalowane jak na zwykłe wydarzenie.

Jest w trakcie przebierania się na coś. Gdy tylko mnie widzi, na jej ustach pojawia się uśmiech.

*Connor Cobalt*

- To nie jest śmieszne, kochanie. – Mój głos brzmi na zadowolony, ale poważny.

Wchodzi głębiej do kuchni.

- Śmieszne jest to, że twój odrzutowiec ma odlecieć do Hong Kongu za... - Spogląda na zegar kuchenki. – Trzy godziny.

- Chce dostać kartkę papieru i długopis, żeby napisać ci list – odzywa się Ryke, kierując się do drzwi piwnicy. – Możesz mi wysłać pierdolonego smsa, kiedy będziesz potrzebować, żebym wrócił?

Rose potakuje, ale nie odrywa ode mnie wzroku. Przyglądam się jak wyciąga kartkę i długopis bez pytania, przysuwa do mnie i siada po drugiej stronie stołu.

Zajmuję miejsce na krześle, do którego jestem przykuty.

- Możesz polecieć ze mną – mówię – jeżeli obiecasz nie wypowiadać słowa na „u”. Albo lepiej... - Przysuwam się bliżej do stołu. – Mogę wsadzić ci coś do buzi, więc nie będzie to nawet możliwe.

Jej policzki zabarwiają się na czerwono i pragnienie nakierowuje krew do mojego penisa.

Co ja bym dał, żeby nasze pozycje były odwrócone. Podnoszę zakuty nadgarstek.

- Uwolnij mnie, a coś uzgodnimy.

Rose odchyła się na krześle, krzyżując ramiona i kostki.

- Nie mogę. Mam plany na dzisiejszy wieczór i twoja ucieczka rodem z Kopciuszka w niczym nie pomoże.

- Czy tradycją nie jest to, abym na urodziny dostawał wszystko, czego pragnę? – *Czego nie chcę: iść do miasta z Rose albo wybrać się na jakąś romantyczną podróż w ten dzień.*

- Jest – zgadza się – ale nigdy nie rozważałeś urodzinowych tradycji. – Zaciska czerwone wargi, wygładzając szminkę.

Klikam długopisem.

- Nie ruszaj się, dopóki tego nie skończę – rozkazuję. – Możesz przynajmniej zrobić to?

Ściąga brwi, zwężając oczy.

- Mogę zrobić wiele rzeczy, Richard. Na przykład wydłubać ci łyżką gałki oczne albo zaszyć ci usta igłą i nicią.

- To drugie zdenerwowałyby nas oboje, więc nie polecam.

Obserwuje mnie, kiedy piszę na kartce.

- Jane teraz drzemie... - Jej głos jest daleki i zaciekawiony. – Co za ironia, że oboje jesteśmy uparci w nasze urodziny, ale z innych powodów.

Ona kocha swoje urodziny, tak jak kochałby narcyz – jak *ja* powinienem kochać. I uwielbiam poświęcać jej całą uwagę piątego sierpnia, rozpieszczając jej każdą potrzebę.

Podaję jej kartkę i długopis. Zapisałem trzy linijki: *Connor Cobalt w swoje urodziny, Connor Cobalt pracujący w biurze, Connor Cobalt wygrywający z tobą w szachach.*

Jej spojrzenie mogłoby zabić.

Moje podniecenie wzrasta na sile, czuję krew pulsującą w penisie i zmieniam pozycję, żeby spróbować zmniejszyć erekcję.

- Co jeśli nie odpowiem? – pyta na przekór. Patrzy przelotnie na moje usta.

- Dam ci klapsa pośrodku tej jebanej kuchni.

Czerwony rumieniec oblewa jej szyję, ale żółtozielone oczy przeszywają mnie jeszcze bardziej. Myślę przez chwilę, że zaryzykuje. Chciałaby, żebym rozłożył ją na tym stole i zabawił się z nią, ale waha się, wycofując do własnych myśli. Próbuje założyć za ucho zbłąkany kosmyk włosów, którego tam nie ma i na powrót koncentruje się na kartce.

Podnoszę się. Nogi krzesła szurają głośno, kiedy wyciągam ramię. Niech to szlag. Musiała dostrzec irytację i frustrację pojawiające się na mojej twarzy, ponieważ pisze szybciej.

Podnoszę drewniane krzesło jedną ręką i podchodzę bliżej do Rose. Opuszczam je szorstko obok niej. Podskakuje, posyłając mi trzecie wściekłe spojrzenie. Nie siadam, górując nad jej sylwetką. Jej pierś unosi się i opada ciężko, i po skończeniu odkłada długopis na bok.

- Już – oświadcza.

Czytam odpowiedzi ponad jej ramieniem. *ZABIĆ. ZABIĆ. ZABIĆ.*

Rose rzadko oszukuje. Pochylam się lekko i obejmuję ją w talii, po czym kopniakiem odsuwam spod niej krzesło. Nabiera gwałtownie powietrza, ale szybko przyciskam jej ciało do stołu, wbijając miednicę w jej pośladki. Jej urywany oddech to jedyny odgłos w ciszy kuchni.

Rozkładam jej ręce, a skutą dłonią ściskam mocno jej tyłek. Pragnę wbić się w nią, wpaść w bezustanne i twarde ruchy, aż oboje będziemy sięgać szczytu.

- Connor – mówi ostrzegawczo, rozglądając się po kuchni.

Wkładam długopis do jej ręki, żeby poprawiła swoje odpowiedzi i zniżam wargi do jej ucha.

- Pas de triche. – *Bez oszukiwania*. Daję jej mocnego klapsa i dygocze, ściskając długopis tak mocno, że zbieleły jej palce.

Oblizuje dolną wargę, rozchylając leciutko usta i zbiera się w sobie. Próbuję sięgnąć do przodu, żeby złapać jej twarz i obrócić do siebie, pocałować ją, ale moja ręka nadal jest uwięziona. Wykorzystuję tę chwilę, żeby przyłożyć usta do jej szyi i bardzo powoli ssę, sprawiając, że jej ciało drży, pragnąc więcej. Unoszę wargi do jej ucha, bardzo rozdrażniony tymi pieprzonymi kajdankami.

Nie jestem przyzwyczajony do jakichkolwiek ograniczeń.

- Gdzie jest klucz? – pytam.

Obraca głowę, żeby spojrzeć na mnie przez ramię.

- Nie uwolnię cię, Richard.

Nachylam się, napierając penisem na jej pośladki i kiedy ma odwróconą głowę, całuję ją mocno, aż z głębi jej gardła wydobywa się jęk. Odsuwam się na tyle, żeby powiedzieć:

- Wolałabyś, żebym połamiał krzesło?

W jej oczach iskrzy się ogień.

- Nie połamiesz mojego krzesła.

- *Naszego* krzesła – poprawiam ją. Razem jesteśmy właścicielami siedemdziesięciu pięciu procent mebli w tym domu. Wybrałem ten stół, ponieważ wygrałem rundkę Scrabble. Ona wybrała urządzenia kuchenne po pokonaniu mnie w Trivial Pursuit. Gry rozwiązują nasze różnice, gdy oboje nie chcemy się poddać.

Przenosi spojrzenie z krzesła na kajdanki. Zastanawiam się na czym jej bardziej zależy: na rzeczy materialnej czy dzisiejszych planach.

Spodziewam się, że stanie w obronie krzesła, ale zamiast tego obraca się z powrotem do stołu, skupiając na kartce. Nie odblokuje kajdanek, nawet kosztem naszych mebli.

W mojej kieszeni wibruje komórka. Pozostaję w tej samej pozycji i próbuję odebrać, ale mój nadgarstek zatrzymuje się gwałtownie w pasie. *Połamie to cholerne krzesło*. Muszę zabrać rękę, która nakrywa lewą dłoń Rose i przekładam telefon. Zauważam kto dzwoni i cały się spinam.

*SCOTT*

Niestety muszę odebrać.

- Cześć, stary – mówię, a to swobodne powitanie jest niczym sól na języku. Rose stuka długopisem o kartkę, wciąż zastanawiając się nad odpowiedziami.

- Wszystkiego najlepszego – mówi Scott, całkiem serdecznie. Zeszłego wieczoru spędziłem w jego domu trzy otępiające godziny. Dowiedziałem się trzech rzeczy.

1] Pije bez umiaru; jego ulubiony trunek: jasne ale.

2] Co pięć minut zarzuca jakimś nazwiskiem i szybko przyjmuje takie komplementy jak: „Nie wierzę, że go znasz. Dosłownie oddałbym życie, żeby poznać tego gościa.”

3] Może i nie ufa mi stuprocentowo, ale potrzebuje mnie. Mam większą przewagę od Scotta.

- Dzięki, dzięki – odpowiadam, pragnąc złapać za kucyka Rose i odchylić do siebie jej głowę. *Ale to przekłete krzesło.*

- Zaraz idę na spotkanie z producentem z GBA, masz dla mnie jakieś newsy?

Newsy.

- Lily bardziej myśli o drugim sezonie niż Rose – kłamię. Żadne z nas nigdy się na niego nie zgodzi, ale muszę go zwodzić troszkę dłużej, abym miał więcej czasu na zbudowanie pomiędzy nami zaufania. – Nie ugnie się tak szybko.

Rose obraca do mnie głowę i pyta bezgłośnie „Scott?”

Odpowiadam „*odpowiedz na pytania*”. Gra Pieprzyć, Poślubić, Zabić nie powinna być taka trudna. Nie napisała jeszcze ani jednej odpowiedzi.

Wzdycha ciężko, powracając do zadania.

- Może po prostu ją do tego zmusisz? – pyta Scott, dołączając do tego irytujący śmiech. – To twoja żona. Wiesz, co zadziała?

Zaciskam mocniej palce na komórce.

- Co takiego? – Słyszę swój opanowany głos, ale zgrzytam zębami.

- Dać jej z liścia, kiedy odmówi. – Chwila ciszy... po czym śmieje się ze swojego odrażającego żartu.

Obejmuję Rose opiekuńczo w talii. Parskam najkrótszym śmiechem, na jaki jest mnie stać, który nie brzmi sarkastycznie ani drwiąco.

- Zapamiętam – rzucam lekko. – Powodzenia. – Jeżeli ktoś w ogóle mnie zna, to po tym jednym słowie pozna, że udaję.

*Powodzenia.*

- Nawzajem. – Czekam aż pierwszy się rozłączy.

- Co powiedział? – pyta Rose.

- Ma spotkanie z GBA. Nic ważnego. – Chowam komórkę i gładzę ją po szyi, znowu pochylając się nad jej pośladkami.

Odkłada długopis.

- Skończone.

Po raz kolejny nakrywam dłonią jej rękę, przyciskając jej piersi do stołu.

- Zobaczmy, panno z najwyższym wyróżnieniem.

Nad „*Connor Cobalt pracujący w biurze*” napisała: *Zabić*.

Skreśliła „*Connor Cobalt wygrywający z tobą w szachy*” i napisała: „*Connor Cobalt grający z tobą w szachy*” – *Poślubić*

Małe oszustwo, ale nie całkiem. Zaakceptuję tę poprawkę, ale gdyby nasze pozycje były odwrócone, to nigdy nie pozwoliłaby mi na coś takiego.

I ostatnie... „*Connor Cobalt w jego urodziny*” – obok napisała *PIEPRZYĆ* dużymi literami. Niemal natychmiast mi staje i łapię za jeden szczebel krzesła, uderzając nim o podłogę. Rose wzdyga się, ale wolną ręką ściskam jej szczękę, nakierowując jej głowę do przodu, żeby nie patrzyła na zdziesiątkowanie jej pieprzonego krzesła.

Po dwóch kolejnych uderzeniach o podłogę nogi się łamią, a jedno mocne pociągnięcie później szczebel odrywa się od drewnianej ramy. Druga obręczka kajdanek zsuwa się ze szczebla i mam większą swobodę niż wcześniej.

Ciągnę za jej kucyk i spomiędzy jej warg wydobywa się sapnięcie. Znowu ją całuję, sunąc drugą ręką w górę jej uda.

Rozdzielam jej usta językiem, smakując ją, bawiąc się z nią, po czym puszczam jej włosy i popycham ją na stół.

- Connor – ostrzega, ale nie odrywa ode mnie spojrzenia, nie rozgląda się po pomieszczeniu. Próbuje się podnieść, ale zmuszam ją, żeby wróciła na miejsce, trzymając stanowczo rękę pomiędzy jej łopatkami.

Ściąga rękę ze stołu i stara się odepchnąć moją, która znajduje się pomiędzy jej nogami. Odtrącam ją i daję jej klapsa.

Wydaje okrzyk, który zmienia się w cichy jęk i mówi po chwili:

- Czeka... Connor, zaczekaj.

*To ci się spodoba, Rose.*

Gładzę miękką skórę jej uda, a ona *znowu* sięga po tę rękę. Robię to samo co wcześniej, dając jej kolejnego klapsa. Wykrztusza z siebie słowa:

- Connor, *zaczekaj*... musisz *zaczekać*...

Pochylam się do przodu, napierając na nią wzwodem i czuję jak jej nogi drżą w podnieceniu.

- Chcesz, żebym cię przeleciał – szepczę jej do ucha. – Ja chcę przelecieć ciebie. Oboje wygrywamy, Rose.

Oddycha płytko.

- Connor... - Jestem blisko jej krocza. – Nie! – Tym razem ściska mój nadgarstek, ale szybciej dociera do mnie panika w jej głosie. Natychmiast odsuwam się od żony i delikatnie obracam Rose. Czule kładę ręce na jej twarzy, prędko lustrując wzrokiem jej ciało, szukając jakichkolwiek znaków.

Kładzie dłonie na moim torsie, a jej powieki trzepoczą, jakbym już ją przeleciał. Ledwo się z nią zabawiałem.

- Rose? – mruczę.

Oblizuje usta.

- Mam plany. Nie możesz ich zrujnować. – O to tutaj chodzi? Dziwnie poprawia sobie bawełnianą sukienkę, ukrywając cokolwiek ma pod spodem.

Unoszę jedną z jej rąk, zamierzając pocałować jej wnętrze, ale zabiera ją i unosi podbródek, biorąc się w garść.

- Po prostu *zaczekaj* do wieczora – rzuca gniewnie.

Chwytam ją za rękę i kładę na swoim kroczu, twardej jak skała erekcji, która pragnie znaleźć się pomiędzy jej nogami.

- Nie mogę czekać, więc albo dojdę w twojej cipce, twoich ustach albo pod prysznicem. Chcesz wybierać?

Rzuca ostrożne spojrzenie przez ramię i szepcze:

- Idź do spiżarni.

Ponieważ niechętnie zbliża usta do mojego penisa, bo zawsze ma problem, żeby wziąć sobie mnie całego do buzi, domyślam się, że ostatecznie zgodziła się na seks, ale chce to zrobić w bardziej prywatnym miejscu. Prowadzę drogę do dość dużej spiżarni. Zamyka za nami drzwi i zapala światło.



Tak bardzo koncentruję się na jej penetrującym wzroku, że nie zauważam maleńkiego kluczyka w jej palcach, którym otwiera wolną obrączkę kajdanek. Orientuję się, co robi dopiero, kiedy przykuwa mnie do drucianej półki.

Wychodzi.

- Rose! – krzyczę.

Wraca bardzo szybko.

- Musiałam odłożyć klucz – mówi, przybliżając się. Odpina mi spodnie.

- Potrzebuję ręki...

- Potrzebujesz tylko jednej. Zrobię ci loda.

Nie ukrywam zaskoczenia.

- Co?

Piorunuje mnie spojrzeniem.

- Wiem, że nie jestem w tym dobra, ale nie będziemy się teraz kochać. I nie będziesz się masturbował w swoje urodziny. – Pada na kolana, zsuwając moje spodnie na kostki. Jej oczy nieznacznie łagodnieją. – Potrzebuję twojej pomocy.

Wolałbym jej pomóc niż tylko patrzeć.

- Zawsze cię poprowadzę, Rose.

Potakuje, ściągając mi bokserki. Długość mojego wzrodu przeraża ją w takiej pozycji. Łapię ją za nadgarstek i nakierowuję rękę na podstawę.

- Byłoby łatwiej, gdybyś mnie nie przykuła – mówię.

- Zatem to wyzwanie. Powinno być dla ciebie bardziej ekscytujące – odparowuje.

Bycie związanym nie jest typem wyzwania, które lubię.

- Nie bardziej ekscytujące, niż irytujące.

Ścisła mocniej mojego penisa i pomruk wspina się po moim gardle. Mówi:

- Choć raz chcę być z tobą w twoje urodziny.

- Zabrałbym cię do Hong Kongu. Otwórz buzię. – Kładę rękę na jej głowie, zamierzając kontrolować ruchy.

Unosi na mnie wzrok.

- Nie zabrałbyś.

Może ma rację. Nigdy wcześniej nie brałem pod uwagę takiej opcji.

- Pokażę ci dlaczego powinieneś pokochać dzisiejszy dzień.

- Zaczynając od robienia lodu? – pytam. Nie jest to u nas najbardziej niezwykła rzecz, ale nie jest także częsta.

Jej żółtozielone oczy przeszywają mnie na wskroś i po chwili rozchyła usta.

Rose Cobalt

*Jeśli się nie pośpieszysz, Connor wyrwie pierdoloną półkę ze ściany.* – Ryke

Po wydarzeniu w spiżarni, które chwilowo zadowoliło Connora i jeszcze bardziej mnie podnieciło, musiałam zostawić go tam przykutego. Jeżeli go puszczę, to zwieje i przegapi wieczór, który naprawdę mógłby mu się spodobać.

- Uciekł? – pyta Lily. – Patrzysz wściekle w telefon. - Jesteśmy w mojej sypialni, gdzie stawia dwa talerze z okoniem morskim i kabaczkami na eleganckim obrusie.

Daisy obchodzi ją, rozpalając świece.

- Ryke nie dałby mu uciec. – Wstawia się za swoim chłopakiem. Był bardzo pomocny w pilnowaniu mojego męża.

Connor nie jest fanem niespodzianek, ale ta jest stonowana. Tylko on. Tylko ja. Jeśli mu się nie spodoba, trudno, ale przynajmniej *czegoś* próbowałam.

Przygotowałamby bardziej ekstrawaganckie wydarzenie – cokolwiek poza tym domem – gdybym myślała, że się z tego ucieszy. Po poprzednich próbach robienia urodzinowych planów wiem, że nic by z tego nie wyszło. Pomijając kajdanki, reszta dnia skupia się na *jego* zadowoleniu.

Przygaszam światła na ścianie.

- Wciąż jest skuty. – Piszę wiadomość do Ryke'a – „*przyślij go tutaj za trzy minuty*”. W moich żyłach krąży adrenalina, martwię się trochę, że to wszystko odniesie odwrotny skutek. – Myślę, że to już wszystko – mówię do Daisy i Lily.

Moje siostry oceniają wygląd pokoju: intymną kolację dla dwojga, zmysłowe oświetlenie, w tle płyną nuty ulubionych kawałków klasycznego rocka Connora. Mam na sobie chyba najbardziej elegancką sukienkę, jaką kiedykolwiek zaprojektowałam, coś przeznaczonego na Oscary, a nie prostą kolację we własnej sypialni.

Ale pewne okazje zasługują na najdroższe wino, creme brulee na deser i tę niespotykaną, jedyną w swoim rodzaju sukienkę, którą powinno się powoli rozpinać.

Suknia podkreśla moją sylwetkę klepsydry, materiał jest niemal całkowicie przezroczysty w głębokim odcieniu merlot z kwiecistą aplikacją oraz połyskującym, kryształowym haftem. Posiadając długie, przezroczyste rękawy sukienka spełnia dwie moje potrzeby: wyrafinowane, lecz kompletnie zmysłowe. Pewne części mojego ciała są odsłonięte przez materiał, jakbym stała w zaparowanej kabinie prysznicowej, to iluzja bycia nagą, lecz nadal zakrytą.

- Będzie zachwycony – mówi Lily, kiwając pewnie głową, wciąż mając na głowie futrzaną czapę. Widzi, że się denerwuję.

Wyobrażam sobie wojnę, jeżeli jest wkurzony albo niezadowolony moimi staraniami. Być może obiorę za broń świecę.

- Miejmy taką nadzieję, bo nie kupiłam drugiej gaśnicy. – Poprawiam sobie kucyka. Jakimś cudem podczas Halloween zapaliła się bela siana. O dziwo, ja nie miałam udziału w tej destrukcji.

- Należę wody do paru wiader na dole – proponuje Daisy. Puszczą mi oko. – Tak na wszelki wypadek. – Kocham moje siostrzyczki, dzięki nim prawie się rozluźniłam. Nie powinnam się tak niepokoić. Czuję się, jakbym znowu miała czternaście lat, przygotowując się do zmiążdżenia Connora podczas Model UN, wkuwając w tamtym maleńkim pokoju hotelowym i przeglądając karty naukowe. Miałam najgorsze w życiu skurcze brzucha, bardziej na myśl, że znowu go zobaczę niż na to, że z nim przegram.

Z perspektywy czasu zastanawiam się czy to była moja forma motylków, a moje ciało świadomie odrzucało coś tak słodkiego i tkliwego.

Jeżeli tak, to właśnie napadły mnie motylki, które sprawiają, że chce mi się wymiotować. Jestem mężatką od dwóch i pół roku – pomyśleć można, że już dawno pozdychały.

W mojej ręce wibruje komórka.

*Idzie na górę.* – Ryke

- Musicie iść... dziękuję wam, ale sio. – Zbywam je machnięciem dłoni, szczególnie kiedy Lily próbuje do mnie podbiec na pożegnalny uścisk. Wzdrygam się na samą myśl.

- Mały uścisk? – pyta Lily, przyciskając do siebie palce, jakby nie wiedziała, co oznacza *mały*.

Daisy staje przy Lily.

- Będę odbiorcą uścisków Rose. – Otacza ramionami chudą sylwetkę Lily i ścisną ją o wiele mocniej niż kiedykolwiek zrobiłabym to ja. To cudowny uścisk, dlatego ja nie torturuję nikogo moimi sztywnymi ramionami.

Lily odwzajemnia uścisk Daisy z tą samą siostrzaną sympatią.

- Cóż za wspaniały uścisk, Rose. – Lily uśmiecha się. Dają im jeszcze pięć sekund, po czym rozdzielam je siłą, kładąc ręce na ich ramionach i kieruję je do drzwi. Ich uśmiechy są mile widziane *poza* moimi drzwiami.

Wychodzą w samą porę, pędząc do sypialni Lily i znikając mi z oczu. Tylko Connor wchodzi po schodach na górę. Zamykam drzwi nim ujrzy mój ubiór i rozglądam się po pokoju. Na komodzie i stoliku stoją rozpalone świece, zdobyłam jego ulubione zimowe jedzenie z ulubionej restauracji. W tle rozbrzmiewa jego ulubiona muzyka. No i ja, jego ulubiona osoba.

Wszystko jest idealnie.

Z jakiegoś powodu wywnioskowałam już, że nic mu się nie spodoba, więc kiedy otwiera drzwi, jestem tak mocno rozpalona jak płomień za mną.

Lustruje moją twarz i ciało jednym długim, pozbawionym wyrazu spojrzeniem i moje nogi wtapiają się w podłogę. Zmuszam się do wystąpienia do przodu i sięgam obok niego, zamykając drzwi. Przez cały czas przygląda mi się z góry, moje szpilki nie wyrównują naszej różnicy wzrostu.

Podnoszę podbródek, nasze ciała dzieli parę centymetrów. Kładzie rękę na moim biodrze, jego mocny uścisk posyła elektryczne wstrząsy do mojego krocza.

- Mylisz się – mówię stanowczo.

- Czyżby? – pyta.

Kiwam głową, nie zamierzając w tym ulec.

- Nie świętuję twojego wieku, Connor. Trzeci stycznia to dzień, kiedy świętuję twoje istnienie przez kolejny rok. Nie dbam czy masz siedemnaście, czy osiemdziesiąt lat. Jesteś tutaj i ja... - Komplement znajduje się na *czubku* mojego języka. Smakuje obco, ale znośnie.

Jego usta unoszą się w uśmiechu.

- Nie krępuj się, Rose. – Jego zadowolenie zwykle nakręca mnie do zrobienia na przekór, ale dzisiaj jest inaczej. Musi to zobaczyć.

- Jestem *wdzięczna* – podejmuję – że mam cię w swoim życiu i jeśli nie cierpisz tego wszystkiego, to już *nigdy* więcej tego nie spróbuję. Po tych urodzinach możesz spędzać każde kolejne sam, w innym kraju i nie będę ci zawracać głowy. – Nie potrafię odczytać jego stoickiej miny, nie tak jakbym tego chciała. Myślę, że może intymna kolacja wcale go nie przekonała, więc nakłaniam się do zrobienia czegoś niezwykłego. Sięgam do zamka znajdującego się na moich łopatkach, próbując się rozebrać.

Ściska mój nadgarstek, żeby mnie powstrzymać i jego ciemnoniebieskie oczy pierwsze biorą mnie w posiadanie, pełne spokoju i ostateczności. Z powrotem zapina sukienkę. Serce mi wali, krew szaleje i patrzę jak obchodzi stolik. Wciąż stojąc, zaczyna nalewać wina do lampek.

Celowo milczy, każąc mi zgadywać jego skrywane myśli. Gdyby tym gardził, już dawno by go tutaj nie było, więc czepiam się tego faktu i prostuję się z większą pewnością siebie. Wkraczam dalej do naszej jasnyniebiesko-szarej sypialni, zajmując miejsce na taborecie przy toalecie.

Nie jest zainteresowany jedzeniem. Tyle wydedukowałam.

Orientuję się, że stukam obcasem o panele, kiedy on popija wino. Przygląda mi się, kiedy powoli zwięzam oczy.

- Jeżeli twoje milczenie jest *moją* karą za skucie cię kajdankami – odzywam się – to powinieneś wiedzieć, że to bardziej nagroda. Twój głos rani moje uszy.

Wygina usta.

- Vous etes ravissante. – *Jesteś oszalamiająca*. Jego poważny ton ściska mnie za serce, raz jeszcze obrzuca spojrzeniem moją przejrzystą suknię, aby pokazać, iż ma na myśli więcej niż moje poprzednie przesadzanie. Potem Connor podnosi drugą lampkę. – Spędziłem ostatnie trzy godziny w spiżarni tylko z Rykiem, zatem miałem mnóstwo czasu, żeby zdecydować jaka będzie twoja kara. Milczenie nie jest wystarczająco satysfakcjonujące.

- Gdybym cię nie przykuła, wyjechałbyś – odpieram.

Nie zaprzecza. Staje przede mną, popijając swoje wino i wyciąga do mnie drugą lampkę. Sięgam po nią, lecz cofa ją do swojego torsu.

Patrzę gniewnie na jego szczeniacką taktykę.

Uśmiecha się szerzej, następnie po raz trzeci rozgląda się po pokoju, pozornie rozmyślając, ale widzę uśmiech w jego oczach.

- Powiedz o mnie coś miłego, a dam ci wino.

Chyba sprawdza jak daleko zajędzie ta sytuacja „komplementowania” w jego urodziny. Zamierzałam być dla niego dzisiaj miłsza, ze względu na świętowanie go. Ale trudno jest prawić komplementy człowiekowi, którego ego jest większe od tego pokoju.

- Niezły z ciebie kochanek – zaczynam, wymuszając napięty uśmiech.

Bierze łyk *mojego* wina. Ugh. – Stać cię na coś lepszego, panno z najwyższym wyróżnieniem.

Krzyżuję nogi w kostkach. Wysuwa stopę, żeby je rozdzielić, rozstawiając szeroko moje kolana. Unoszę klatkę piersiową w głębokim wydechu, jego dominacja jest tak wyraźna i nieugięta.

- Jesteś wysoki – rzucam.

Popija większą ilość z mojej lampki, konsumując niemal połowę. Kocham i jednocześnie nienawidzę tego narastającego, zarozumiałego uśmiešku. Kocham i jednocześnie nienawidzę jego urody: tego jak elegancko wygląda w czarnych spodniach i białej koszuli z doskonale ułożonymi włosami, tej gładkiej skóry z czarującymi oczami oraz samozadowolonym uśmiechem.

- Czekam. – Okręca lampkę w ręku, trzymając obie, ale skupia się tylko na mojej.

- Masz wielkiego penisa. – Zaciskam usta.

Śmieje się krótko.

- To fakt, kochanie. Nie tego od ciebie chcę. – Bierze czwarty łyk mojego wina.

Wypuszczam oddech.

- Jesteś wymagający, kiedy chcesz. – Już zbliża lampkę do swoich warg, ale mówię szybko. – I jesteś tak bystry i atrakcyjny; to staje się nieznośne – moje serce wali szybciej – że istnieje ktoś taki jak ty, że jesteś w *naszej* sypialni, że w ogóle dzielimy ze sobą sypialnię... to nierealne i najbardziej satysfakcjonujące życie, jakie mogłam sobie wymarzyć – szepczę. – Jestem tragicznie w tobie zakochana i nie chciałabym, żeby kiedykolwiek było inaczej.

Chwyta moją rękę i podrywa do góry. Patrzę jak przelewa swoje wino do mojej lampki, wypełniając ją do pełna i podaje mi ją. Odkłada pustą lampkę na toaletkę za mną, otaczająca nas cisza wywołuje coraz więcej napięcia. Biorę mały łyk, chociaż moje ciało i bez tego jest ciepłe i zarumienione.

Kładzie rękę na moich łądźwiach. Podtrzymuję jego wzrok, wyobrażając sobie, że znajdujemy się razem w sali balowej, stosownie ubrani i przygotowani do podbicia świata. Pyta:

- W jaki sposób działa czas w moje urodziny?

*Czas.*

- Jest plastyczny – szepczę. Nie ma żadnej karety gotowej zmienić się w dynię o północy. Przeciągnę ten wieczór do poranka.

Moje słowa zdają się go poruszyć, on pierwszy styka się ze mną ustami. Całuje mnie powoli, potem mocniej, rozciągając krótką chwilę, która rozgrzewa mój puls. Obraca mnie do toaletki i wyciąga z moich palców wino. Stawia lampkę na podłodze poza nasz zasięg. – Połóż dłonie na blacie – instruuje.

Odsuwam na bok kilka perfum Chanel i opieram ręce na drewnie, nadal prostując plecy.

Odchodzi na moment, czuję powoli opuszczające mnie jego ciepło. Przez lustro toaletki widzę, że wchodzi do szafy. Gdy wraca, trzyma parę przedmiotów: pasek, diamentową obrozę, krawat i oczywiście kajdanki. Z tego wszystkiego, to pasek martwi mnie najbardziej. Nigdy mnie żadnym nie uderzył i nieszczęśliwie jest to moją fantazją.

Posiadamy małe bicze, ale jeśli z nich korzysta, to tylko, żeby się ze mną podroczyć, nigdy mnie nie chłosta. Mój próg bólu pozostaje na *bólu* i nigdy nie skłania się ku przyjemności.

Dobrze o tym wie, ale ten pasek i tak powoduje niepokój.

- Connor – mówię – nie chcę zostać wychłostana.

Napiera nogami na moje, popychając mnie bardziej na drewnianą krawędź. Ta siła wsuwa taboret pod toaletkę.

- Wiem, Rose. – Wyciska jeden pocałunek na moim karku, moje tętno błaga o więcej.

Potem kładzie diamentową obrozę koło mojej dłoni i zamiast tego okręca wokół mojej szyi *pasek*, ciasno, ale nie żeby mnie udusić. Owija sobie na pięści jego koniec, ten widok jest bardziej podniecający niżbym kiedykolwiek przypuszczała, przez co napinam mięśnie nóg, a moje serce potyka się o siebie.

- Twoja kara – szepcze mi do ucha. Wtedy czuję na oczach miękki materiał jego krawata. Zawiązuje go za moją głowę. Jestem ślepa na jego ruchy, ale *czuję* jak powoli, tak strasznie powoli rozpina moją suknię, chłodne powietrze owiewa moje nagie plecy.

Zsuwa materiał z moich barków, odkrywając ramiona. Wyczuwam, że moje piersi zostały w pełni odsłonięte, a sutki twardnieją na dotyk jego dużych, męskich dłoni na mojej skórze. Może i nie mam na sobie biustonosza, ale mam majtki. Nigdy wcześniej takich nie nosiłam. Chciałam za jednym razem ale stchórzyłam i przebrałam się zanim je zobaczył.

Pomyślałam, że dzisiaj nadarzy się idealna okazja, skoro nie ma cholernej mowy, żebym jeszcze kiedyś je założyła. Ale teraz nie zobaczę nawet jego reakcji przez tę głupią przepaskę na oczach.

Unoszę ją do góry, kiedy szczypie mnie w sutek. Connor przyłapuje mnie w lustrze i daje mi tak mocnego klapsa, że lecę do przodu, wbijając kości biodrowe w drewnianą krawędź. Z mojego gardła wyrывa się sapnięcie i chyba jestem już wystarczająco mokra.

Zsuwa krawat na moje oczy.

- Nie dotykaj.

- Zaraz sobie to założę – odpieram, podnosząc opaskę na czubek głowy. *Muszę zobaczyć twoją reakcję na moje majtki, do cholery.*

Marszczy brwi, zaciekawiony moimi dziwnymi żądaniami. Zamyślony odpina koszulę i pochłania każdą krzywiznę jego wyrzeźbionych mięśni. Pozbywa się koszuli i znowu owija pasek na pięści. Niespodziewanie przenosi spojrzenie na mój tyłek. Wie, że musi skończyć mnie rozbierać.

A wtedy po raz kolejny widzę ciemność, krawat zasłania mi oczy.

- Connor...

- Jeśli chcesz negocjować, to musisz dać mi coś w zamian. Tak się dobija targu.

Musi być formalny. Chociaż zwykle ja też taka jestem. Przesuwa sukienkę w dół mojej talii, zasadniczo przekazując mi, iż mam pięć sekund na złożenie oferty.

- Jeżeli ściągniesz tę opaskę, ja... pozwolę, żebyś uderzył mnie paskiem. – Krzywię się, kiedy tylko te słowa opuszczają moje usta.

- Nie. – Odrzuca moją propozycję. Na pewno chce, żebym się przymknęła...



- Możesz zatkać mi buzie krawatem.

- Dobrze – zgadza się, ale nie zdejmuje krawatu. Zamiast tego opuszcza sukienkę na moje kostki. Przysięgam, że całe jego ciało się spina i natychmiast podnoszę opaskę na czoło, obserwując jego reakcję w lustrze.

Connor pociera usta, jakby chciał ukryć uśmiech, ale ten ogarnia całą jego twarz, narastając z każdą sekundą. Mam na sobie proste chłopięce szorty, ale na tyłku jest napis: *KOCHAM CONNORA COBALTA!*

Obok jego imienia jest nawet całus.

To największy komplement dla ega.

- Przestań się uśmiechać - mówię odruchowo. Fukam. – To znaczy... uśmiechaj się, śmieję, nabijaj... - Niespodziewanie zaciska krawat na moich ustach, aż zagryzam go zębami.

Muska ustami mój policzek.

- Widzisz, żebym się z ciebie nabijał?

Potrząsam głową i czuję na pośladkach jego rękę. O Boże. Przesuwa palcami po majtkach, tuż pomiędzy nogami. Próbuję utrzymać równowagę w sztywnych szpilkach.

- Wystąp z sukienki – rozkazuje, wbijając wzrok w mój tyłek. Jego narastające pożądanie jeszcze bardziej napędza moje. Ścisną odpowiednią część mojego ciała po czym daje mi klapsa. – Ruszaj się, Rose.

Krztuszę się wdechem i występuję z materiału. Nie odrzuca sukni na bok. Podnosi ją, jakby była kolejną z moich kończyn (mogłaby być) i ostrożnie układa na pobliskim krześle. Potem pochyła się i ściąga mi szpilki, które podpierają moje stopy w pewien sposób. Bez nich zawsze mam zwiększone orgazmy.

A potem skuwa mi nadgarstki.

- Chcesz zobaczyć jak cholernie jestem twardy, Rose? – pyta. *Tak.* Moja pierś porusza się w agresywnych ruchach. On ściąga czarne spodnie i bokserki, jego penis jest tak sztywny, iż praktycznie czuję się pełna zanim jeszcze we mnie wszedł.

Jestem taka mokra, że kiedy przez chwilę pociera moją lechtaczkę pod majtkami, ja już skręcam się od środka. Jego imię i moje krzyki są stłumione przez krawat. Gdy kręci mi się w głowie, on przyciąga do siebie moje biodra. Uderzam przedramionami o drewno, bardziej pochylona i rozkłada mi nogi, żeby mieć władzę nad moim tyłkiem, a przed sobą napis na moich majtkach.

Nachyla się do przodu, ciągnąc za pasek. Skóra wżyna się w moją tchawicę, powodując, że trzepoczą mi powieki. Jego erekcja napiera na mnie i pragnę, żeby w końcu się we mnie wsunął.

Jego ciepły oddech owiewa moje ucho.

- Przelecę moje imię na twoim tyłku. – Zamierza zatrzymać moje majtki tak długo jak to możliwe. Odsuwa materiał na bok, wystarczająco, żeby móc się wsunąć... i tak robi. Powoli. Tak powoli, że nacisk narasta niczym iskra pożerająca lont.

Jęczę i możliwe, że przypadkiem powiedziałam kilka razy „Boże”, ale niewyraźnie słychać przez krawat. *Connor*. Widzę w lustrze podniecenie na jego twarzy, kiedy koncentruje się na moim tyłku i ściska mnie z tą potrzebą, której pragnę w łóżku. Chcę być pożądana, a ten mężczyzna kompletnie, całkowicie mnie pożąda.

Jeszcze przed poruszeniem się i stworzeniem jakiegokolwiek tarcia, znowu opuszcza głowę do mojego policzka.

- Skoro czas jest plastyczny, to będzie trwać dopóki nie ujrzę jak dochodzisz tyle razy, że zemdlejesz.

Wydaję kolejny jęk, krew opuszcza moją głowę. Connor wbija się we mnie mocno. Krzyczę, próbując podeprzeć się na toalecie. Drapię paznokciami o drewnianą powierzchnię. Znowu się porusza i już jestem na skraju orgazmu. Jestem tak pełna niego, że ledwo mogę się ruszać.

Gryzie mnie w łopatkę, wszystkie te uczucia doprowadzają mnie do szału. Daje mi klapsa. Dusi mnie skórzanym paskiem. Ciągnie za włosy. Drażni się z każdą intymną partią mojego ciała, wbijając się we mnie od tyłu, a na moich pośladkach jest *wypisana* moja miłość do niego.

Dochodzę, praktycznie wrzeszcząc w krawat, zaciskając na nim zęby. On jest taki szybki, podnosi mnie na toaletkę i zrywa ze mnie majtki. Rozkłada mi nogi i znowu mnie pieprzy, a moje nadgarstki wciąż są skute. Zatrzymuje usta parę centymetrów nad moimi i pochyla się, żeby mnie pocałować. Poruszając się wewnątrz mnie, dalej, głębiej. Rozpęd i pulsowanie raz jeszcze wznosi mnie wyżej. Gdy mnie nie całuje, szepcze po francusku pomiędzy niskimi, rozkosznymi pomrukami, niektóre szepcze naprędce do mojego ucha.

Niczego nie potrafię przetłumaczyć, bo tak bardzo kręci mi się w głowie.

Ponownie zmieniamy pozycje, żeby miał dostęp do mojego tyłka i kucam na taborecie, układając przedramiona na drewnianym blacie. Ustawia się za mną, ściskając moje pośladki. Całe moje ciało jest paradoksalnie odrętwiałe i rozpalone. Wyciąga krawat z moich ust i daje mi klaps za klaps, a ukłucie bólu wzbiera się na wszystkim innym.

- Jak długo... - wykrztuszam. Nie dam rady dłużej. Intensywność wciąż wzrasta.

Przygryza moje ucho.

- Dopóki nie stracisz przytomności.

Czuję pulsowanie i zaciskanie, wszędzie jestem napięta.

- Connor!

Jęczy, słysząc mój podniecony okrzyk, ale nie jest nawet bliski końca. Gdy próbuję unieść powieki, klepie mnie po policzku, nie mocno, ale wystarczająco, żeby mnie przebudzić. Moje wargi robią się opuchnięte pod jego naciskiem. Całuję go i po raz kolejny wpadam w jego posiadanie.

\*\*\*

Bołą mnie pośladki po tych wszystkich klapsach. Jestem taka wyczerpana. Tylko o tym myślę, kiedy Connor bez wysiłku niesie mnie do naszej łazienki. Ledwo się go trzymam, ale poprawia mnie tak, żebym opierała głowę o jego nagi tors.

Connor wsadza mnie do wanny, która jest wypełniona ciepłą wodą. Moje obolałe mięśnie zaczynają się rozluźniać. Chyba nawet głośno westchnęłam. Uchylam powieki na tyle, żeby go widzieć. Klęczy obok wanny z ustami zaczerwienionymi po pocałunkach i skórą pokrytą cienką warstwą potu.

Gładzi mnie po włosach, delikatnie i troskliwie.

- Jak się czujesz?

Zastanawiam się, która godzina i kiedy zemdlalam.

- A jak myślisz? – Wiem, że odpowiadanie pytaniem na pytanie irytuje go, ale wymknęło mi się. I teoretycznie rzecz biorąc jego urodziny dosłownie przyszły i poszły, więc nie muszę już prawić mu bezmyślnych komplementów.

Uśmiecha się, także zdając sobie z tego sprawę.

Podnoszę kolano, na co moje mięśnie krzyczą w proteście. Krzywię się, a on pochyla się nad wanną i rozmasowuje moje udo pod wodą.

- Tenez-moi – szepczę. *Przytul mnie.*

Wciąż nagi wchodzi do wielkiej wanny i siada obok mnie. Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie, dopóki nie jestem w połowie rozłożona na jego ciele. Opieram policzek na jego obojczyku, słuchając jego spowalniającego tętna.

Po kilku minutach ciszy, podczas których Connor zajmuje się moimi obolałymi miejscami łagodniejszą dłonią, w końcu się odzywa:

- Dziękuję.

*Dziękuję.* Próbuję przetłumaczyć głębsze znaczenie tego słowa, ale zbyt długo miałam pieprzony umysł. Staram się nie zamykać oczu.

- To musiał być najlepszy seks w twoim życiu. – Dla mnie znajdował się w naszej pierwszej piątce.

- Nie chodzi o seks – odpowiada tak cicho, że prawie nie dosłyszałam.

- A o co?

- Wczoraj starałaś się mocniej niż kiedykolwiek, żeby mnie zadowolić i... - Milknie na chwilę, uświadamiając coś sobie. – Nigdy nie chciałem przegapić rzadkich chwil w życiu, a każdego roku w dzień moich urodzin uciekała mi taka chwila z tobą. – Dodaje łagodnie: - Było doskonale.

Zaczynam się uśmiechać, przytulając się do niego mocniej.

- Naprawdę w to wierzysz?

Potakuje ze szczerością wypisaną na twarzy, po czym całuje mnie w czoło, pozostawiając ciepły odcisk. Już prawie mam zamknięte oczy, kiedy szepcze:

- I, Rose?

- Tak? – szepczę.

- Ja też jestem w tobie tragicznie zakochany.

Rose Cobalt

- Nie mamy na to czasu – mówię znacząco, co spina jego mięśnie w irytacji. Siedzę okrakiem na Connorze Cobalcie na moim taborecie toaletki, bardziej u władzy i niepewna niż bym tego chciała. Jego na wpół twardy penis wbija się w moje krocze, dając mi znać, że jedno z nas dobrze się bawi.

Spogląda na swój zegarek.

- Mamy pół godziny.

Biorę pewny wdech i przybliżam się do niego. Rozkłada palce w moich włosach, przytrzymując mi głowę, kiedy opuszczam wargi na jego szyję. Jego duża ręka praktycznie pochłania cały tył mojej głowy. Jego stanowczy uścisk przypomina mi, że ma tutaj *trochę* kontroli. Nie wszystko zależy ode mnie.

To rozpala mnie od środka, ale nie wytępia faktu, że trzymam język na jego skórze. Całuję go łagodnie, nie wiedząc, co innego zrobić.

Nigdy wcześniej nie całowałam tutaj Connora, nie tak jak powinnam teraz.

Niepewnie przesuwam językiem po jego gardle. On masuje mi głowę, jakby mówił „*no dalej, kochanie*” w troskliwy, jednak zażarty sposób. Gdyby mógł sam sobie zrobić malinkę, to na pewno wolałby coś takiego od mojej niepewności i zażenowania.

- Mocniej – instruuje. Łapie kosmyk moich włosów i ciągnie. Nacisk chwilowo pozbawia mnie tchu.

Odrywam usta od jego skóry i wydaję z siebie sfrustrowany odgłos – przypominający zdychającą hienę.

- To głupi pomysł – narzekam. – Nastolatki robią sobie malinki. Głupie, idiotyczne, napędzane hormonami nastolatki.

Czuję się tak głupio i niepewnie ilekroć całuję go po szyi, moja pewność siebie maleje, jakby jakiś diabeł wysysał ją z mojej duszy. Nie cierpię takiego uczucia, dlatego zwykle unikam zadań, które stawiają mnie w tej sytuacji.

Ssanie jego szyi, dopóki nie zrobi się czerwona i posiniaczona zdecydowanie do nich należy.

- Właśnie nazwałaś Daisy głupią – mówi, unosząc brew. Ona ma dziewiętnaście lat. Jest nastolatką. I tak jak wszystkie moje siostry, nie ma absolutnie żadnego problemu z robieniem Ryke'owi ogromnych „rozkosznych” siniaków.

Ściągam brwi.

- Przestań przekręcać moje słowa. Moje zęby znajdują się w pobliżu twojej szyi.

- Zamierzasz mnie ugryźć? – pyta z powagą. – Proszę bardzo, Rose. – Wie, że tego nie zrobię, więc uśmiecha się szerzej, a ja mrużę oczy. Niczego nie pragnęłam bardziej jak zetrzeć ten uśmieszek z jego twarzy. Wiecie co...

Przyciskam rękę do jego ust; przynajmniej nie muszę na niego patrzeć. A wtedy *czuję* jak jego wargi unoszą się pod moją dłońią, ale nie zabieram jej.

- Ty powinienes zrobić mi malinkę – mówię. – Pomiedzy nami, to najwyraźniej na ciebie działa więcej hormonów. – Przesuwam się na jego kolanach, odnosząc się do erekcji, która na mnie napiera. Nie wspominam o tym jak zaczyna na mnie działać, pulsowanie w moim kroczu dorównuje rytmowi mojego serca.

Wydaje z siebie urwany odgłos, który próbuje ukryć. Kładzie dłonie na moich pośladkach, gdzie uniosła się moja czarna sukienka, odsłaniając nagie ciało. Zabieram rękę z jego ust, chcąc usłyszeć jego odpowiedź.

- Twojemu argumentowi brakuje dowodu, kochanie – mówi, przesuając rękę na moje udo. Łapię go za nadgarstek nim dotknie moich koronkowych majtek aby wywnioskować jaka jestem mokra.

Jestem mokra, okej. Ale wolałabym nie widzieć jego usatysfakcjonowanego uśmieszku. *Ja* jestem usatysfakcjonowana obecnością wzrodu. *Daj mi się tym nacieszyć.*

Po raz kolejny unosi brew, bardziej bojowo.

- Nie mamy czasu, żebyś zbierał dowody, wypytywał świadków i zwoływał ławę przysięgłych – odszczekuję. Powinniśmy niedługo być w szpitalu.

Trzy dni temu Ryke przeszedł operację przeszczepu wątroby dla swojego ojca. Zanim zabrano Ryke'a, ledwo co mówił. Powiedział tylko parę razy „*kocham cię*” do mojej najmłodszej siostry i raz do swojego brata.

Wszyscy wzięliśmy sobie wolne od pracy i zostaliśmy w poczekalni. Kilka godzin później dowiedzieliśmy się, że wszystko poszło dobrze pomiędzy dawcą oraz odbiorcą i nareszcie mogliśmy ujrzeć Ryke'a. Był półprzytomny i miał mdłości po znieczuleniu, ale był żywy i zdrowy, nadal wtrącał „*kurwa*” co drugie zdanie.

Ponieważ paparazzi praktycznie wystawili obóz przed szpitalem, pragnąc zdobyć zdjęcia naszej piątki, Connor i ja wymyśliliśmy strategię, żeby odwrócić jeszcze większą uwagę z Jane i Moffy'ego na nas.

Proste zadanie: Connor musi mieć zrobione zdjęcie z czerwonymi malinkami na szyi.

Jedyny problem: to ja muszę je zrobić.

- Użyjmy makijażu – proponuję nagle. Idealne rozwiązanie. Już prawie zrzucam nogę z jego kolan, ale zaciska ręce na moich biodrach.

- Być może media nie będą dbać o to czy to będzie prawdziwe – mówi – ale ludzie w sieci przyjrzą się zdjęciom i odkryją farsę.

Zaciskam wargi w cienką linię, czując wolniejsze bicie serca. Jak mam tego dokonać z pewnością siebie, nie czując się jak niedbała, napalona nastolatka?

Connor spogląda na mnie ciemnoniebieskimi oczami, po czym jednym szybkim ruchem podnosi mnie w ramionach, a ja wciąż oplatom go nogami w pasie. Myślę, że zamierza upuścić mnie na podłogę, powiedzieć „nic z tego”, ale zamiast tego zahacza kostką o taboret toaletki, przeciągając go na drugą stronę pokoju. Staje tuż przed ozdobnym, długim lustrem.

Ja pierdolę.

To będzie jeszcze gorsze.

Mój zaostrzony wzrok wypala dziury w jego czaszce, piętnując w jego mózgu wykrzykniki. Siada na stołku, nadal trzymając mnie na kolanach, jakbyśmy ciągle tutaj siedzieli. Bierze w dużą rękę mój podbródek.

- Ja zacznę – mówi. – Patrz i się ucz. – Te ostatnie słowa powinny brzmieć protekcjonalnie, ale tak nie jest. On mówi na serio.

I zdaję sobie sprawę, że Connor udziela mi korepetycji.

Związuje moje włosy w kucyka, przez chwilę patrząc mi w oczy. Myślę, że pozwoliłabym mu mnie nauczać także w nastoletnich latach, chociaż byliśmy przeciwnikami. Nie jestem pewna czy bym go słuchała ani czy byłabym uległą uczennicą, ale spróbowałabym.

Sunie kciukiem po mojej dolnej wardze, po czym nachyla się do mojej szyi i całuje miękką skórę. Skupiam się na lustrze, obserwując jego usta zamykające się na mojej skórze, jego wysuwającym się języku zanim zaczyna *mocno* ssać. Wymyka mi się niekontrolowany jęk, za którym podąża ostry wdech. Ściska palcami mój kark i przygryza zębami moją skórę.

Moje ciało wibruje od samego patrzenia.

Porusza się, jakby chciał sprawiać przyjemność, ciągle pewny siebie, ani głupi, ani nieudolny w tym zadaniu. To człowiek przyozdobiony pewnością siebie oraz władzą, które chce naśladować i przewyższyć.

Pochłaniam każde małe działanie, każde uniesienie jego głowy. Odliczam sekundy, kiedy ssie i chwilę, w której wbija zęby w moją skórę. Moje powieki trzepoczą, gdy obniża rękę i szczypie mnie w sutek.

Trzepię go po udzie.

- Próbuję się skoncentrować.

Uśmiecha się przy następnym pocałunku.

To trwa jeszcze kilka minut, aż w końcu podnosi głowę. Pociera kciukiem zaczerwieniające się miejsce na mojej skórze.

- Będziesz musiała to zakryć makijażem – radzi.

Przytakuję. To była jedynie demonstracja, a on był bardzo stanowczy, co do wykonywania jednakowych zadań, aby poruszyć media. „*Moja kolej*” powiedział z postanowieniem.

Wpatruje się w moje usta.

- Zobaczmy jaka z ciebie uczennica, panno z najwyższym wyróżnieniem. – Gładzi mnie po policzku kciukiem i rozchyłam usta, biorąc głęboki wdech. Wsuwa kciuka do mojej buzi i czuję pod sobą poruszenie. Dzięki temu mam większą pewność siebie.

Gdy wyciąga z moich ust mokry i lśniący kciuk, przysuwam się do przodu, przywierając do niego i przykładam wargi do jego szyi.

Powtarzam każdy jego ruch, próbując go przewyższyć. Kładę rękę na podstawie jego szyi, ściskając go i wbijam palce w jego skórę. Ocieram się zębami o gardło, ciągnąc za skórę.

On obserwuje moje precyzyjne ruchy w lustrze. Waham się tylko raz, kiedy odsuwa moje majtki, jego ręka ma własną misję pomiędzy naszymi ciałami.

- Nie przestawaj – rozkazuje.

Najpierw wypełniają mnie jego palce i zaciskam wokół niego uda. Potem czuję, że jego palce zastępuje coś większego, coś twardszego... sapię mu w szyję, gdy wsuwa we mnie penisa.

Trzyma mnie za głowę, zmuszając do trwania przy jego szyi.

- Rose – mówi surowo.

- To ty zszedłeś z tematu, Richard... - Krzyczę, kiedy porusza się do góry, ściskając moje biodra. Jak długo ssę mu szyję? Przez moją głowę przewijają się liczby, przekleństwa i jeszcze więcej wykrzykników.

*Ja pierdolę.*

- Mocniej – dyszę.

- Rose – mówi gniewnie, zwalniając ruchy.

Jestem niesamowita w wielozadaniowości, więc coś takiego teoretycznie powinno być w zasięgu moich rąk. Mamy mało czasu do wyjścia, dlatego próbuje upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Jednakże mój umysł wciąż się wyłącza przez nadchodzący orgazm.

- Nie mamy czasu – mówię nagle ochrypłym głosem.



Jego szczęka drga w zirytowanym geście. Nakierowuje moją twarz na swoją szyję.

- Rób, co czujesz, nie to, co widziałas. – Słucham i znowu zaczynam ssać, moje ciało jest rozgrzane i pełne wibracji. Orientuję się, że poruszam się na nim, ponieważ on siedzi nieruchomo, *potrzebując* tego tarcia pomiędzy nogami. Tym razem niczego nie kwestionuję, nie waham się.

A wtem on ponownie chwyta mnie za biodra, tak mocno, że zatrzymuję się i porusza miednicą w górę i dół, wbijając się we mnie twardymi, głębokimi falami. *Kurwa*.

Całuję go do tego ognistego, energicznego rytmu. Oboje łączymy się na całkiem innym poziomie, przeznaczonym jedynie dla dwóch osób, które uwielbiają razem wygrywać.

Ale ostrożna cząstka mnie zawsze będzie obawiać się dnia, kiedy oboje przegramy.

*Connor Cobalt*

Jadę windą razem z Lo. Dziewczyny jechały osobno, żeby odwiedzić Jane i Moffy'ego do Poppy. Żadne z nas nie brało pod uwagę zabierania siedmiomiesięczno i ośmiomiesięcznego dziecka do szpitala i na szczęście starsza siostra Poppy nie ma nic przeciwko niańczeniu przez parę godzin.

- Przeczytaj mi jego zamówienie – odzywa się Lo, przeglądając torbę na wynos z Lucky's Diner.

Obrzucam spojrzeniem wiadomość grupową pomiędzy Lo, Rykiem i mną.

*Frytki chili, jalapeno z serkiem i filadelfijski stek z cebulą, pieczarkami, papryką i serem cheddar.* – Ryke

*I jeżeli nadal mają quiche, to weźcie mi kawałek.* – Ryke

*No i dodatkową musztardę... i kanapkę Reuben. Mogę zachować sobie na jutro, jeżeli nadal będę w tej jebanej dziurze.* – Ryke

Czytam na głos jego prośby.

- ...quiche, dodatkowa musztarda i kanapka Reuben – kończę, wsuwając telefon do kieszeni spodni khaki. Ryke pożera więcej niż oferuje mu szpital, więc próbujemy to naprostować. Wykorzystałby jedzenie jako wymówkę, żeby wstać i pobiec do miejscowej knajpy, rozrywając sobie szwy.

Jednakże nie możemy nic poradzić na jego drugą potrzebę. Potrzebę wspinania się po górach, ćwiczeń, biegania.

- Kurwa – przeklina Lo, wyciągając opakowaną kanapkę, żeby zajrzeć głębiej do torby. – Mówiłeś im o dodatkowej musztardzie?

- Tak. – Pamiętam, że specjalnie prosiłem kasjera o więcej.

- Nie ma żadnej. – Jego szczeka się zaostrza i wrzuca kanapkę z powrotem, zwiijając torbę z frustracją.

- Nie zauważy. – Winda powoli unosi się do góry.

Lo wygląda dzisiaj młodziej w dżinsach i czarnej bluzce z dekoltem w serek.

- Może. – Przenosi na mnie wzrok, łądując na mojej szyi i po raz piąty dostrzega malinki. Czeka na jego skrzywioną minę.

No i jest.

Marszczy brwi i na jego twarzy pojawia się grymas.

- Wciąż wyobrażam sobie wsysającego się w ciebie takiego zrobotyzowanego sukuba, ponieważ Rose, którą znam... - potrząsa głową w niedowierzeniu – *nigdy* nie zrobiłaby nikomu malinki, czy to jej mąż, czy nie. – W jego bursztynowych oczach pojawia się niepokój, kiedy przez ułamek sekundy myśli, że mógłbym zdradzić żonę.

W swojej wyobraźni nie potrafi ujrzeć mnie z nikim innym oprócz niej, ale ma trudności z wyciągnięciem realistycznego wniosku. Dlatego sparował mnie z robotem.

- Potrafię być przekonujący – przypominam.

- Wiesz, przed tobą nie widziałem nawet, żeby Rose całowała się z kimś w miejscu publicznym.

- Lubi mieć prywatność. – Straciliśmy niemal większość, ale to co otwarcie pokazujemy prasie nie jest całkowicie prawdziwe. Prawdziwe jest to, co robimy w naszej sypialni, a jednak utraciliśmy część tych momentów przez seks taśmy. To skomplikowane życie, ale wiedziałem, że takie będzie.

Lo pokazuje na moją szyję.

- Zatem odrąbie ci jaja, że nie zakryłeś tego gówna. – Kiedy weszliśmy do szpitala zaatakowali nas paparazzi, więc doskonale wie, że pojawi się to w jakimś czasopiśmie. Bez względu na malinkę pojawi się o nas artykuł, ale ważne jest to, że będzie skupiał się na mnie, nie na dzieciach.

Bez naszej ingerencji mogliby napisać: „*Gdzie są Jane i Moffy? Czy Rose i Lily zaniedbują swoje dzieci? Dlaczego nigdzie ich nie widać?*”

Nie zawsze działa to po naszej myśli, ale dlatego to jest sprawdzian.

- Ochronię swoje jaja. Nie martw się, kochanie. – Puszczam mu oko.

Śmieje się, bardziej rozluźniony. Wychodzimy z windy i przechodzimy korytarzem, już wcześniej wpisaliśmy się na odwiedziny. Szybko odnajduję jego pokój, a kiedy otwieram drzwi przyłapujemy Ryke'a w kompromitującej sytuacji.

- Brachu! – woła Lo, przepychając się obok mnie.

Ryke leży na betonowej podłodze, robiąc pompki, a spod jego cienkiej, niebieskiej, szpitalnej koszuli wyzierają gołe pośladki.

- Spieprzaj – burczy Ryke, opuszczając ciężar ciała, a kiedy znowu się podnosi, naprężają się jego mięśnie ramion.

- Szczerze mówiąc, nie jestem wcale zaskoczony – wtrącam. – Myślałem, że będziemy musieli odwiedzić w drugi dzień schronisko. Latanie z gołym tyłkiem po pokoju nie jest takie złe.

Ryke przeszywa mnie wzrokiem przy następnym powtórzeniu, a obok niego stoi kropiółka.

- Pamiętasz ten raz, kiedy stałeś przykuty obok owoców w puszcze i bułek do hamburgerów?

Prawie pokazuję zirytowanie.

- Zabawne, że wspominasz o *bułkach*. – Patrę przelotnie na jego tyłek.

Ryke ma to w gdzieś. Tak naprawdę podnosi się na jednej ręce, a drugą pokazuje mi środkowy palec.

Dalej robi to, co chce. Jak zwykle.

Wchodzę głębiej do pokoju szpitalnego i siadam na twardym krześle przy łóżku. Zasłony otaczają drugie puste łóżko. Drugi pacjent, któremu usunięto pęcherzyk żółciowy, wyszedł wczoraj popołudniu – zatem Ryke nie naraża nikogo na swoje nagie ćwiczenia.

Lo kuca przed swoim bratem i macha torbą z Lucky's.

- Wyrzucę to przez przekłete okno, jeśli nie przestaniesz.

Ryke natychmiast zabiera torbę, podrywając się na nogi.

Lo klepie brata po ramieniu.

- Urocze skarpety.

Wybucham śmiechem. Ryke musi nosić białe, uciskowe pończochy, żeby pomóc w krążeniu krwi, ale jestem pewien, że jego ciągle opuszczanie łóżka wystarczająco temu pomaga.

- Pieprzcie się – mówi lekko Ryke. Siada na brzegu łóżka, przeszukując zawartość torby.

Lo zajmuje miejsce obok niego.

- Ale na serio, byłeś przytomny, kiedy lekarz powiedział, że możesz uszkodzić śledzioną i potrzebować drugiej operacji?

Ryke wrzuca frytkę do ust.

- Byłem przytomny i słyszałem także jak mówił, że podczas operacji nie uszkodzili żadnych cholernych organów. – Wyciąga garść serwetek z torby. – Nie mogę sam sobie uszkodzić śledziony. Chirurdzy musieliby ogromnie spieprzyć robotę trzy dni temu, a tego nie zrobili.

Odchylam się na krześle.

- Wciąż jest całkowicie dopuszczalne zakażenie.

Lo kiwa parę razy głową.

Ryke patrzy na mnie bykiem po czym zjada kolejną frytkę.

- Nic mi, kurwa, nie jest. Powinienem wyjść stąd dziś wieczorem...

- Nie – przerywa mu Lo, a jego oczy ciemnieją. – Masz tutaj przebywać co najmniej sześć dni. – Nigdy nie mieli tak odwróconych ról: gdzie to Ryke był inwalidą, a Loren tym zdrowym. Oboje nie radzą sobie dobrze w tej zamianie.

Aby zmniejszyć napięcie (a to robię najlepiej) mówię:

- Gdzieś w naszym domu krąży para wspólnych kajdanek. Z radością zrobię dobry uczynek i przykuję cię do twojego łóżka.

Ryke odwija swój filadelfijski, serowy stek.

- Co ty na to? Spieprzaj.

Cóż, próbowałem. Nigdy nie był skłonny do współpracy, gdy stawał się tematem rozmowy. Przywykł do radzenia sobie ze swoim życiem osobistym oraz słabościami w prywatności. Rozumiem, ale teraz ma ludzi, którym na nim zależy.

Już nie jest sam.

Lo drapie się po karku.

- Nie biegałeś, prawda?

Ryke zajada kanapkę, milcząc.

Lo wpatruje się zamyślony w podłogę, potrząsając parę razy głową i trzaskając knykciami. Ryke wyłapuje mój wzrok i unoszę brwi w geście „*musisz o tym mówić*”. Nie może zamykać się przed Lo, nie po tych wszystkich postępach w ich relacji.

Ryke popija butelkę wody.

- Raz próbowałem i pielęgniarki mnie powstrzymały.

- I dobrze – burczy Lo.

Ryke wkłada rękę głębiej do torby.

- Zapomnieliście o musztardzie?

Lo obraca się do mnie z miną, którą odczytuję jako „*co mówileś w windzie? Och, czekaj, myliłeś się*”.

Pomijam milczeniem nieścisłość z musztardą.

- W jaki dokładnie sposób powstrzymały cię te pielęgniarki? – Próbuję sobie to wyobrazić.

- Powiedziały, żebym się zatrzymał, no to się zatrzymałem, kurwa.
- A poklepały cię po główce i powiedziały „*dobry piesek*”?

Lo śmieje się.

Ryke patrzy na mnie wściekle.

- Jaką dostałeś nagrodę? Drapanie po brzuszku?
- Fajnie było, brachu? – dodaje Lo.

Ryke rzuca tłustą frytką z sosem chili we mnie, a potem Lo. Frytka pozostawia plamę na moim granatowym swetrze. Nie jestem szczególnie z tego zadowolony, ale znałem ryzyko droczenia się z nim. Ryke bardzo lubi coś rzucać, a przecież w jego otoczeniu leży jedzenie.

Ogląda się przez ramię na zamknięte drzwi i napręża ciało w powadze.

- Jak Daisy sypia w nocy? Pytałem ją parę razy, ale ona każe mi się nie martwić.

Lo patrzy na mnie, nie wiedząc, co powiedzieć. Daisy ma problem sama zasnąć przez zespół stresu pourazowego i pierwszej nocy o trzeciej nad ranem Rose poszła sprawdzić, co u niej. W sypialni Daisy, znajdującej się w piwnicy, były zapalone wszystkie światła. Rose mówiła, że nie spała, denerwowała się najmniejszymi dźwiękami, dlatego Rose sypia w jej łóżku, żeby dotrzymać jej towarzystwa.

Zeszłej nocy Lo i ja zbiegliśmy na dół o drugiej nad ranem, słysząc jej przerażone krzyki. Rose próbowała uspokoić młodszą siostrę, a Daisy twierdziła, że widziała w oknie mężczyznę.

Sprawdziliśmy i nikogo nie było na zewnątrz.

- Rose mówiła, że Daisy dużo się wierci – informuję, nie wiedząc czy mówić o reszcie. Myślę, że Daisy jest częścią powodu, dla którego chce dzisiaj wyjść. – Jadą tutaj, więc zobaczysz się z nią.

Ryke wygląda, jakby zrobiło mu się niedobrze. Przestaje jeść, kładąc kanapkę na kolanach.

- Rose potrafiła wyliczyć ile spała?

- Może cztery godziny. – *Albo mniej.* – Im częściej będzie widywać Fredericka, tym lepiej uda mu się odgadnąć jakich leków ona potrzebuje do snu.

Ryke kiwa parę razy głową i ktoś puka do drzwi tuż przed ich otwarciem. Spodziewam się dziewczyn, ale to dwie pielęgniarki ubrane w białe fartuchy: starsza kobieta z okularami zawieszonymi na szyi i młodszą, jasnowłosa dziewczyna – zapewne studentka.

- Co to ma być? – pyta starsza kobieta, przyglądając się ilości tłustego jedzenia.

- Same wartości odżywcze – odpowiada Lo z ironicznym uśmiechem.

- Jasne – prycha pielęgniarka, wciąż próbując zadecydować czy powinna zabrać jedzenie.

Młoda pielęgniarka skupia całą uwagę na Ryke'u, patrząc na niego zaciekawionym wzrokiem, który często widuję u fanów. Bierze jego kartę z ramy łóżka i przekartkowuje strony.

- Jego trawienie przebiega dobrze, nie ma problemów z jelitami, więc nie powinno mu zaszkodzić dodatkowe jedzenie.

- Bez jaj – rzuca Lo do brata. – Nie byłbym zaskoczony, gdyby ta mieszanka zamąciła ci w żołądku. – Pokazuje na chili i serowy stek. Ryke szturcha brata w ramię.

Czekam, aż starsza pielęgniarka okrzyczy studentkę za nieprzestrzeganie poufności i mówieniu o jego stanie zdrowia przed gośćmi. Kobieta nie odzywa się słowem, wstrzykując leki przeciwbólowe w kroplówkę Ryke'a.

- W porządku, możesz zatrzymać jedzenie – mówi. – Może przekonamy was, chłopcy, żebyście wy także coś nam podpisali? Mam siostrzenicę, która ma obsesję na punkcie *Księżniczek Filadelfii*.

Lo przejmuje kontrolę.

- Nie ma sprawy – odpowiada – dziewczyny też pewnie coś podpiszą.

- Naprawdę? – Jej twarz się rozjaśnia. – Jakie to słodkie z twojej strony.

Niemal wybucham śmiechem, ale zakrywam to życzliwym uśmiechem. Nie opisałbym Lorena słowem „słodki”.

Młodsza pielęgniarka odstawia kartę na miejsce.

- Myślicie, że show dostanie kiedyś drugi sezon?

Nim Ryke i Lo powiedzą „nie”, ubiegam ich, mówiąc:

- Zastanawiamy się nad tym.

Na jej twarzy rozciąga się uśmiech, którego nie potrafi powstrzymać. Widzę, że przygryza policzek, próbując się opanować.

- Byłoby wspaniale.

Ryke i Loren wyglądają na lekko wkurzonych i zirytowanych, rozumiejąc, że musimy utrzymać poziom tajemniczości. Scott musi sądzić, że wciąż myślimy o drugim sezonie, a wysyłanie zdecydowanego *nie* w świat, nawet poprzez maleńką plotkę, utrudni mi zdobycie jego zaufania.

- Potrzebujesz czegoś jeszcze, Ryke? – pyta młodsza pielęgniarka. – Boli cię coś?

Podnosi na nią wzrok i byłem w towarzystwie Ryke'a na tyle długo, żeby odczytać jego poziom zainteresowania dziewczynami. Odkąd jest w poważnym związku z Daisy, nigdy nie myślał o nikim innym.

- Czuję się cholernie fantastycznie, dlatego dzisiaj muszę stąd wyjść. – Nie odpłaca się jej taką samą uwagą, nawet nie posyła jej przypadkowych, mieszanych sygnałów. Ciągłe myśli o swojej dziewczynie.

- Wiesz, że to niemożliwe – odpowiada. Starsza pielęgniarka mija moje krzesło i wychodzi, jakby została wezwana gdzie indziej.

- Właśnie mu to mówiłem. – Lo przekręca swoją obrączkę. To nerwowy nawyk, oznaka, że ma ochotę się napić.

Ryke podąża za moim spojrzeniem i zauważa to samo. Wzdycha ciężko.

- A więc wydostanę się stąd za dwa dni?

- To możliwe. – Potakuje ona. – Musimy tylko obserwować twoje narządy. Jeżeli będziesz zachowywać ostrożność, to ani się obejrzysz, a będziesz w domu.

Ryke owija kanapkę w papier i chowa do torby.

- Niech będzie. – Odpuszcza sobie tę walkę dla swojego brata. O dziwo, jego miłość do Lo może go powstrzymać przed nabawieniem się zakażenia.

Gdyby moja matka jeszcze żyła i mogła to zobaczyć, pokazałbym jej to jako dowód: jak to miłość przynosi korzyści zdrowiu. Jest na tyle namacalna, że mogłaby ją zaakceptować, tak jak ja.

Gdy pielęgniarka wychodzi, Lo mówi:

- Wydawała się w twoim typie. – Słyszę ostrzeżenie w jego głosie.

Lo nie potrafi czytać z Ryke'a tak dobrze jak ja, dlatego muszą komunikować się słowami, aby uniknąć awantur. To nie jest dla nich łatwe, ale na szczęście poprawili się w wyrażaniu siebie.

Ryke odstawia torbę z jedzeniem na stolik.

- Kto?

- Nie zauważyłeś blond pielęgniarki?

- Więc myślisz, że dlatego, iż widziałeś mnie z jakimiś *trzema* blondynkami, to mój typ? – pyta Ryke, chwytając się lekko od leków przeciwbólowych. To zabawne.

Opieram kostkę na udzie, przyglądając się temu widowisku.



- On ma rację – mówię do Lo. – Mógłbym ci podać procent kobiet, z którymi się umawiał, opierając się na kolorze włosów i wskaźnik blondynek jest mały. Policzyłbym sobie, ale szczerze, niezbyt mi zależy.

Ryke przewraca oczami i jakimś sposobem wbija wzrok w moją szyję.

- Co to, kurwa, jest?

- Sądzę, że twój gatunek mówi na to *szczek szczek*.

Lo wybucha śmiechem.

Ryke jest zbyt naćpany, żeby mu zawtórować.

- Malinka – mówię. – I tak, to Rose mi ją zrobiła. I tak, zapomniałem ją ukryć przed wyjściem.

- Więc paparazzi cię widzieli? – Powoli kręci głową. – Zapomniałeś? *Ty*. – Celuje we mnie palcem.

Lo prycha, nie przestając się śmiać.

- Wiem, że naprawdę ciężko w to uwierzyć. – Bo to nieprawda. – Ale byłem spóźniony. Zasadniczo pokonał mnie czas. – Już raz się tak stało. Jego leki przeciwbólowe mogą być dziś po mojej stronie.

Jednak nadal wydaje się niedowierzać.

- Cała sprawa jest kurewsko dziwaczna.

Lo przytakuje.

- Czy Daisy nie przyłapano raz z malinką?

- Ale to była... - Zamierza powiedzieć „*ale to była Daisy. A to są Rose i Connor*”. Krzywi się na własne słowa. Niesprawiedliwym byłoby powiedzieć, że Rose nie może robić tego, co inne kobiety z samego faktu, iż stworzyła pozory, że jest spięta i nerwowa.

Jednak taka jest rzeczywistość. Kiedy zmieniasz naturę, ludzie zaczynają to kwestionować.

Ryke odpuszcza temat, obejmując brata ramieniem.

- Wiecie jaki jest mój typ? – Na jego wargach powoli pojawia się otumaniony uśmiech. – Daisy Calloway.

Wiedziałem o tym od początku.

Niektóre przyciąganie łatwiej jest zauważyć od innych. Ich jest pozornie bardzo widoczne, ale pociąg Rose do mnie i mój do niej jest słaby dla większości ludzi. Dlatego te artykuły są o wiele bardziej popularne.

Uśmiech Ryke'a zaczyna znikać, bo jej imię przywraca troskę sprzed ostatnich paru dni. Przeszukuje gęste włosy.

- Nie cierpię, kiedy mnie nie ma.

- Ta, ale dzieją się różne rzeczy, prawda? – odpira Lo. – Musisz pozwolić, żeby wymyśliła jak ma sobie radzić w niektóre samotne noce. – Milknie na chwilę. – Zostały ci dwa dni. Przynajmniej nie wyjechałeś na trzy cholerne miesiące.

Atmosfera trochę się zagęszcza. Gdy Loren wyjechał na odwyk, zostawił Lily na trzy miesiące, kiedy walczyła z własnym uzależnieniem.

Ryke patrzy w podłogę.

- Wiesz, co jest zabawne – mówi niskim i surowym tonem. – Kiedy opiekowałem się Lily w czasie twojej nieobecności, byłem dla niej tak kurewsko nieuprzejmy. – Warczy cicho. – Gdyby ktokolwiek zrobił coś takiego Daisy... - Potrząsa głową. – Jestem pieprzonym dupkiem.

Lo kładzie dłoń na jego barku.

- Witaj w przeklętym klubie.

- Z radością wycofam swoje członkostwo – mówię do nich.

Ryke wywraca oczami, a Lo śmieje się.

Napięcie zostaje przełamane, ale w podświadomości zastanawiam się ile jeszcze minie czasu zanim któryś z moich przyjaciół odkryje, co robimy z Rose dla mediów, kto to będzie i ile jeszcze głosów zacznie komplikować nasz świat.

Rose Cobalt

Sztywno wyprostowana przeglądam wystawę sztucznych penisów i wibratorów, po raz nie wiem który spoglądając niedyskretnie przez okna. *Zrób zdjęcie, Walter*. Moja komórka nie wibruje z potwierdzeniem wykonania zadania, dlatego muszę dłużej przechadzać się wzdłuż alejek.

Biorę skórzany bicz z wystawy dominy i obracam nim w kółko, czując się dzisiaj trochę destrukcyjnie. To nie jest mój pierwszy raz w sklepie erotycznym. Chodziłam do takich parę razy na studiach, kiedy nie ścigali mnie paparazzi, a jedynymi osobami, którym zależało na moich sprawach były wścibskie kobiety w kręgu społecznym mojej matki.

Zakupy internetowe mogą być bardziej dyskretne, ale lubię być dobrze poinformowana na temat moich wybranych produktów. Tutejsi pracownicy znają się lepiej ode mnie na zabawkach erotycznych. W okresie dojrzewania nigdy nie miałam blokad psychicznych na myśl o masturbacji, ale zawsze stawałam dęba na intymne stosunki z inną osobą.

- Super... no, stary. Po prostu daj przestrzeń Lily i Lo. Im bardziej na nich naciskasz, tym mniej prawdopodobne, że to zrobią. Porozmawiam z nimi w twoim imieniu, okej? – Nie przypomina to słów mojego męża, a jednak to jego głos. Stoi na końcu mojej alejki, trzymając komórkę przy uchu.

Obracam biczem z gorętszym spojrzeniem. Wyobrażam sobie Scotta po drugiej stronie połączenia Connora i w moim umyśle rozbiegają się małe sługusy z widelkami. Zdaję sobie sprawę, że Connor żyje w tej szaradzie częściowo z mojego powodu. On mógł żyć z seks taśmami, ja nie potrafię.

Jestem wdzięczna za kogoś takiego jak Connor, który jest chętny zrobić wszystko, co trzeba, żebym ja nie musiała. Ja nie potrafię udawać tak dobrze jak on. Gdybym znowu miała spotkać się ze Scottem, przeorałabym mu gębę.

Trzaskam biczem, który wydaje donośny odgłos.

Connor unosi brew, ale na jego twarzy pojawia się zirytowanie słowami Scotta. Doskonale to widzę, kiedy pociera sobie usta. Przybiera wesoły, życzliwy głos. –

- Pasuje mi golf w sobotę, tylko mnie nie wymęcz. Nie grałem od ponad roku. – Podnosi na mnie wzrok.

Mówię bezgłośnie „fuj”.

Uśmiecha się lekko.

- No to na razie. – Rozłącza się.

- Jacy dwaj królowie zajmują trony Wielkiej Brytanii i Francji na początku *Opowieści o dwóch miastach*? – pytam. – Masz minutę. – Po raz kolejny trzaskam biczem.

Jego wargi wciąż unoszą się do góry i powraca jego zwykła arogancja. Normalnie bym zadzwiała, ale kocham tę jego część, a już na pewno po tej sztucznej rozmowie. Cieszę się, widząc pojawiające się prawdziwe cechy.

- Jerzy III i Ludwik XVI – odpowiada poprawnie.

- Gratulację, oszczędziłeś sobie całej doby milczenia. – Przyglądam się długości bicza i przypadkiem spoglądam w okna.

Connor podchodzi do mnie, kładąc rękę na moich plecach. Jednym zmysłowym, gładkim ruchem całuje mnie w usta i przygryza mi dolną wargę. To byłoby cudowne – gdybym nie została wciągnięta przez własne myśli. Sztynnieję i zauważam, że kasjer przygląda nam się ze swojego stanowiska, regały są zbyt niskie, żeby nas ukryć.

- Odpręż się – szepcze Connor. Okazywanie uczuć w miejscu publicznym jest dla mnie trudne. Rozumiem, że to śmieszne, iż nie chcę całować się z własnym mężem w jakimś sklepie, kiedy nasze seks taśmy krążą po sieci, ale część z tego mogę zablokować.

To się dzieje teraz. Jestem tutaj.

- Sklep jest prawie pusty. – Widzi moje obawy. Connor zadzwonił wcześniej do kierownika, żeby pozbył się klientów w zamian za to, że jutro ich sklep zostanie wspomniany w artykule *Celebrity Crush*.

Zadziałało i musieliśmy zrezygnować z piątkowego obiadu, żeby uniknąć podejrzeń od Ryke'a, Lily, Lorena i Daisy. Nasi ochroniarze pilnują drzwi, więc nikt nam nie przeszkodzi.

Przerzucam gładkie brązowe włosy przez ramię i lekko oszołomiona przyglądam się biczowi.

- Wolisz mnie w taki sposób? – pytam. – Zawsze chciałeś, żebym była tak otwarcie uczuciowa?

Connor unosi mi podbródek i wbija we mnie szczere spojrzenie ciemnoniebieskich oczu.

- Nie – odpowiada. – Kocham cię taką, jaka jesteś. Nie chcę, żebyś się zmieniła, ale...

- Wiem – potakuję. Nie musi mówić więcej. To ostatnie obciążające zdjęcie, które musimy ustawić dla Waltera Aimesa i *Celebrity Crush*. Po tym kończymy z ekskluzywnymi zdjęciami, spłaciliśmy nasz dług. Teraz prasa nie wyda historii o wątpliwościach, co do testu na ojcostwo Moffy'ego.

Ale to nie jest dla nas całkowity koniec.

Nadal zamierzamy napędzać media poprzez odgrywanie różnych zachowań. Będziemy częściej obściskiwali się w miejscach publicznych. Częściej będziemy podrzucać woreczki

cukru pudru. To działa, dzięki czemu artykuły są skupione na naszym związku, a nie na dzieciach.

- Chcę, żeby Jane miała siostrę – szepczę. Opuściłabym moją strefę komfortu milion razy, żeby tylko podarować mojej córce lepsze życie. To musi zadziałać.

Connor przyciąga mnie do siebie, przytulając.

- J'en suis sur. – *Na pewno będzie ją mieć.*

Jego komórka wibruje razem z moją. Walter zrobił zdjęcie?

*Przesuńcie się bliżej regału po prawej stronie. Nie mam dobrego kąta.* – WA

Ugh. Connor łapie mnie za rękę i prowadzi. Przez cały ten czas ciągnę za sobą bicz po podłodze. Kupię go tylko dlatego, że go pobrudziłam, ale nie ma mowy, żeby Connor go na mnie użył.

Stajemy przy dużej ścianie pełnej różnokolorowych sztucznych penisów i wibratorów. Niektóre mają luksusowe marki, inne o wiele tańsze.

- Coś ci się spodobało? – pyta na wpół poważnie Connor.

*Nigdy* nie byłam z nim w sklepie dla dorosłych.

- To mi się podoba – kłamię zimnym tonem, wymachując biczem w pobliżu jego tyłka.

Zabiera mi go i piorunuję go wzrokiem.

- To było moje, Richard.

- A teraz jest moje – drażni się. Potem trzaska biczem, który wydaje o wiele głośniejszy odgłos, niczym wystrzał. Dostaję gęziej skórki, a moje nogi zmieniają się w galaretę. Trzyma ten bicz jakby był królem pieprzonego podziemia.

- Więc teraz jesteś złodziejem – odparowuję, musząc odchrząknąć. Nie powinien być taki atrakcyjny w sklepie erotycznym, a co bardziej irytuje: on o tym wie.

- Gdybyśmy nie byli małżeństwem, to tak, byłbym uważany za złodzieja. – Odwraca się do ściany zabawek.

Ściągam brwi. Zawsze musi być lepszy ode mnie. W końcu go pokonam, choć raz go zażenuję. Gra toczy się dalej. Obrzucam spojrzeniem ścianę i ściągam największe dildo, duże i grube, które ma odcień błękitu. Sam obwód wygląda niesamowicie nieszczęśliwie. Moja pochwa drży w ostrzeżeniu „*za cholere*”.

Patrzę na metkę: *koński penis*.

Przysięgam, że to prawda.

Obracam się do Connora. Nie jest ani trochę speszony.

- Dla ciebie – mówię z napiętym uśmiechem. Żartuję, tak myślę. Przełykam ciężko ślinę, kiedy jego uśmiech znika i patrzy na mnie bez wyrazu. Gdzieś w podświadomości zastanawiam się czy tęskni za czymś takim. Nie za nieprzyzwoicie dużymi penisami, ale ogólnie. Dodaję: - Jeśli potrzebujesz...

- Rose – przerywa mi. Patrzy przelotnie na kasjera i zniża głos. – Pamiętasz, kiedy ci powiedziałem, że kiedyś uprawiałem seks z dwóch powodów?

- Dla manipulacji i przyjemności – mówię pod nosem.

Nachyla się, muskając wargami mój policzek po czym wyznaje szeptem sekret.

- Gdy byłem na dole, to *zawsze* chodziło o manipulację. – Bierze w rękę moją szczękę. – Niczego mi przy tobie nie brakuje.

Wciągam mocno powietrze. Tłumaczenie: *spełniasz wszystkie moje potrzeby*.

Ze wszystkich miejsc na przeprowadzenie rozmowy od serca... to niesamowicie obrzydliwe, iż to musiało być to miejsce. Odkładałem dildo na miejsce, planując sobie kąpiel w wybielaczu i środku odkażającym po powrocie do domu.

- Nie krępuje cię seks – mówię. Orientuję się, że stoję na straconej pozycji, próbując wybić go tutaj z równowagi.

- Ani przez chwilę. – Czuje się tak bardzo komfortowo we własnej skórze, że prawie nim nie wstrząśnie. Ja też uważałam się za taką osobę, ale zbyt często byłam testowana. Mam ograniczenia i rzeczy, które mnie denerwują.

- Chcę ci coś pokazać – mówi.

Mój umysł wpada w wir, kiedy idę za nim, przybliżając się do niego, żeby ukraść mu bic. Poddaje się, rozluźniając mocny uchwyt na skórze. Czuję się potężna, trzymając go w dłoni, ale nie chcę na nikim go używać.

- Proszę, powiedz, że prowadzisz mnie do środka odkażającego.

- Wezmę z tobą prysznic, kiedy wrócimy do domu – odpiera. Nigdy nie sądziłam, że będę poślubiona z tym mężczyzną, nie wspominając o tym, że usłyszę jak swobodnie proponuje, że weźmie ze mną prysznic. Minęły już dwa lata, a dziewczyna, która martwiła się, że będzie *musiała* dominować w łóżku (a przynajmniej spodziewał się tego po niej każdy facet) całkowicie wyparowała.

Wciągam gwałtownie powietrze i zatrzymuję się przy półce z jadalną bielizną zrobioną z czarnej lukrecji. Podnoszę stringi z wystawy, ponieważ reszta znajduje się w pudełkach i trzymam je na jednym palcu, tłumiąc obrazek, w którym dotykały je inne brudne łapy.

- Możesz się ze mną kochać tylko wtedy, kiedy będę je miała na sobie. Będziesz musiał je zjeść – mówię beznamiętnie, patrząc na jego powracający uśmiešek. – *Albo* będziesz musiał uprawiać seks na grobie. Wybieraj.

Większość facetów nie miałoby nic przeciwko jadalnej bieliźnie, ale Connor nie cierpi lukrecji. Czarna lukrecja znajduje się na samej szczycie tej listy. Jednak druga opcja ma gorsze konsekwencje.

Odpowiada bez wahania:

- Przeleciałbym cię na grobie.

Patrzę na niego wściekle, wywiercając dziury w jego czole. Spodziewałam się innej odpowiedzi, zapominając, że nie zawsze wybiera to, co ja.

- To nieokazywanie szacunku i ohydne na wielu poziomach. – Wyobrażam sobie jaka prześladowałyby mnie okropna karma za profanowanie grobu.

- Nieokazywanie szacunku komu? – pyta Connor, opierając się o ścianę. – Martwi są martwi. Nie przejmują się, bo nie mają poczytalności, *żeby* się przejmować.

Zaciskam usta. Nie mogę podeprzeć się słowem „duchy”. Wykorzysta to przeciwko mnie na tysiąc kwaśnych sposobów. Próbuję zostawić ten temat, podchodząc do niego. Chwytam w pięści jego granatowy sweter, pod którym znajduje się biała koszula, jaki to uczniowski i wyrafinowany wygląd.

Podnoszę na niego płonące oczy, moje dziesięciocentymetrowe szpilki nie wystarczą, żebym zrównała się z nim wzrostem, ale pomagają. Recytuję cytat najbardziej zażartym tonem, na jaki mnie stać:

- „Tchórz, zanim umrze, kona wiele razy, walecznych jedna tylko śmierć spotyka”.

Wygląda na podnieconego, pochłania mnie wzrokiem.

- Szekspir – odpowiada. – *Juliusz Cezar*. – Kładzie ręce na moich policzkach, obracając mi głowę, aby mieć dostęp do ucha, a ten stanowczy gest przyspiesza moje tętno. – Dlaczego cytujesz jedną ze swoich mniej ulubionych sztuk? – Jest zaintrygowany. I napalony.

Władza, którą dzierżę rozpala mnie od środka.

- Wydawało się odpowiednie w tej chwili – wzdycham. – Mówimy o śmierci. – Przesuwam dłońmi po jego swetrze i popycham, tworząc pomiędzy nami parę centymetrów przestrzeni. – Dla twojej wiadomości, zostalibyśmy *zmiażdżeni* przez karmę, przeznaczenie i duchy, gdybyśmy uprawiali seks na jakimś grobie.

No i wspomniałam o duchach. Mam to gdzieś. On może nie wierzyć, ale ja tak. A w tym szczególnym scenariuszu to on pieprzy *mnie* na grobie.

Śmieje się, ukazując zęby w szerokim uśmiechu.

- Nie pokazuj tego zarozumiałego uśmiešku i nie mów, że one nie istnieją. To się nazywa wiara, której ty nie masz w ogóle.

- Mam wiarę – odpowiada – w siebie samego. – Prycham głośno. On mówi dalej: - I w ciebie. – No dobra. – I w naszych przyjaciół. W ludzi, których potrafię odczytać, zobaczyć i zrozumieć. Nie mam wiary w rzeczy nieuchwytnie i niewidoczne. – Opiera rękę na moich plecach, wznawiając nasz wcześniejszy spacer na lewą stronę sklepu i bliżej okna.

Zawiesza wzrok na półce tuż obok manekina ubranego w skórzane stringi i biustonosz z ćwiekami. Nie na manekinie skupia się jego uwaga.

Podążam za jego spojrzeniem.

Nie.

- *Nie* – mówię, potrząsając głową. – Wolałabym zostać pogrzebana żywcem z wężami. Albo lepiej... - Moja wyobraźnia ma własny umysł. – Ty możesz mnie pogrzebać, a potem pieprzyć się na moim grobie, a wtedy wrócę i będę dręczyć *ciebie*.

Marszczy brwi.

- Kto cię zabija w tym scenariuszu?

- Ja sama. Trucizną. Może wbijając nóż w serce. Albo topiąc się. Możliwości jest mnóstwo.

- Nie jesteś Julią ani Ofelią. – Zasadniczo twierdzi, że nie żyję w sztuce Szekspira. – I dla *twojej* wiadomości, Rose, hiperbole dotyczące twojego samobójstwa należą do moich najmniej ulubionych.

- Zatem ty możesz mnie zabić. – Stukam parę razy obcasem. – Może podpalając?

Patrzy na mnie twardo, a po tym rozbawionym uśmiechu nie ma ani śladu.

Staję prosto, pewność siebie podpira mnie niczym forteca.

- To ty mnie tutaj przyprowadziłeś, żeby coś udowodnić. – Pokazuję na półkę obok nas. – Myślałeś, że jak to przyjmę?

- Myślałem, że zagroziś mojemu kutasowi – odpowiada – a nie własnemu życiu.

Moje mury obronne zaczynają się kruszyć. Chyba rzeczywiście jest to dla mnie coś nowego. Zawsze myślę o przetrwaniu i sporadycznie o poświęceniu dla moich bliskich, a nie o rzucaniu się na żarzące się węgle bez żadnego powodu. O Boże, czy ja właśnie miałam napad złości? Taki dziwny, *hiperboliczny* napad złości?

Nie.

Mam dwadzieścia sześć lat.

Jestem silną, niezależną kobietą.



Lecz kiedy odwiedzasz sklep erotyczny razem z mężem, który prowadzi cię do działu analnego, to wolno ci mówić, co ci się podoba, do diabła.

Seks analny nigdy nie był dla mnie priorytetem. Byłam zaciekawiona, ale niezainteresowana. To zagadka, która intryguje Connora.

Wypuszczam oddech.

- Wiem, że każda dziewczyna ma inne przemyślenia na temat seksu analnego. – Myślę o moich siostrach, o faktach, które on dobrze zna, więc nie przeszkadza mi mówienie o nich, udowadniając moje uczucia. – Lily go *uwielbia*. Daisy nienawidzi, a Poppy nigdy nie próbowała. To nie czyni ze mnie Złotowłosej Seksu Analnego. On po prostu może *nie być dla mnie odpowiedni*.

Stara się ukryć uśmiech, ale jego usta unoszą się w kącikach. Czuję ogień w żyłach. *Prawie* łapię za zabawkę analną i rzucam nią w jego głowę. Hamuję się, przypominając sobie, że na zewnątrz stoi paparazzi.

Byłoby paskudnie, gdyby takie zdjęcie wylądowało na pierwszej stronie *Celebrity Crush*, a nagłówek głosiłby: *Rose Cobalt atakuje męża zabawką erotyczną!!!*

- Jeśli się zaśmiejesz – grożę – wyrwę ci język, upiekę na grillu, po czym nakarmię nim jakąkolwiek leśną istotę, która wpadnie na nasze podwórko.

Uśmiecha się, ale nie śmieje.

- Doceniam, że skierowałaś do mnie taką hiperbolę. – Znowu opiera się ramieniem o ścianę. – Co do twojej analogii... - Pociera usta, prawie wybuchając śmiechem.

Celuję w niego palcem.

- Oddawaj język.

- Wieczorem, kochanie – przekomarza się. – Ale statystycznie mówiąc, masz takie samo prawdopodobieństwo polubienia tego albo zniechęcenia, jak wszyscy inni. Musisz po prostu spróbować.

Spróbować.

To jest najstraszniejsze.

Nigdy nie chciałam tego robić, ale widzę, że on chce. Wiem, że może mi się spodobać. Lily za bardzo za tym szaleje, żeby było takie okropne.

Connor dostaje wiadomość na komórce i ja także.

*Mam zdjęcie. Dziękuję.* – WA

Koniec.

Jestem zaskoczona przyływem rozczarowania, zgarbieniem ramion. Jeśli usunąć nieczystość tego wydarzenia, to było całkiem fajnie. Dowiedziałam się o nim parę rzeczy, a on parę o mnie. Chociaż jesteśmy małżeństwem, odkrywanie siebie nawzajem nigdy się nie kończy.

- Oceń mnie – mówię do niego, zastanawiając się jak poszła moja gra.

- Cztery z plusem.

Wywracam oczami.

- Przestań oglądać się przez ramię i patrzeć na okna. – Na szczęście nie będziemy już nic dawać bezpośrednio *Celebrity Crush*. Podoba mi się, że mamy większą władzę nad tym, co się wydarzy.

Trzaskam moim biczem. Był niebezpiecznie blisko niego, kompletnie przypadkowo i czuję szarpnięcie w sercu. Upuszczam bicz na podłogę, ale on jest niezbitcie opanowany, niewzruszony. Podnosi go i znowu przyciąga mnie do siebie.

- A jaka jest moja ocena? – pyta.

- Pała – mówię to, co zawsze.

- Bez uprzedzeń – dodaje.

Nie jestem skłonna do ugięcia. Nie może mnie pokonać.

- Obiektywna *pała*.

Całuje mnie w czubek nosa. Pocałunek jest lekki i daleki od szorstkości, której pragnę. On o tym wie.

- Już nigdy więcej tego nie rób. – Krzywię się.

- Bądź szczerą.

Prycham.

- Dobra. Dałabym ci piątkę. Zadowolony, Richard?

- Niezmiernie. – Tym razem, kiedy mnie całuje, łapie mnie za tył głowy i rozchyła moje wargi w fali pozbawionej tchu. *Jesteśmy w miejscu publicznym*, przypominam sobie ten raz.

To mnie mrozi. On nie obniża mi oceny, ale ja bym to zrobiła.

W tej chwili zasługuję na brzydką tróję.

Rose Cobalt

- *Natychmiast* przyjeżdżaj do Hale Co.. – Zwykle potulny głos Theo nabrał ostrości, kłując mnie w ucho, do którego zbyt mocno przyciskam telefon. Nie jestem w nastroju, żeby słuchać czyichkolwiek rozkazów, szczególnie o dziesiątej rano w sobotę. Ale niepokoi mnie jego nagła zmiana zachowania.

Odsuwam komórkę, mrużąc oczy.

- Chyba zapominasz, kto jest szefem w tej relacji.

Gdy to wypowiadam, Connor wychodzi z łazienki, opierając się o framugę w samym ręczniku. Po jego torsie i brzuchu spływają kropelki wody. Późno wstaliśmy, ponieważ Jane nie dawała nam spać przez większość nocy, wyjął w niebogłosy. Nie zmienił się fakt, że rzuciłabym się dla niej przed pędzący samochód, ale liczę na to, że taka sytuacja więcej się nie powtórzy.

Connor pokazuje na mój telefon, pytając bezgłośnie „*Theo?*”.

Potakuję, włączając tryb głośnomówiący.

- Posłuchaj, jestem wyczerpany – mówi Theo. – Wczoraj wieczorem rada zgodziła się na to, czego chciałaś, a dzisiaj wszystko to pójdzie na marne.

*Zaakceptowali nowe metki CCB.* To zwycięstwo, którego nie mogę jeszcze świętować. Mój umysł działa na najwyższych obrotach.

- Co masz na myśli? – Orientuję się, że dotykam mojego szafirowego naszyjnika, podobnie jak moja matka trzymałaby teraz swoje perły. Od razu nieruchomieję, czując gorzki posmak w ustach. *Nie jesteś taka jak ona, Rose.* Wyglądam sobie lekką, czarną spódnicę i podwijam rękawy białego swetra, niespodziewanie czując gorąco.

- Ty i Connor zostaliście sfotografowani w sklepie dla dorosłych. Od samego rana to zdjęcie widnieje na okładkach wszystkich gazet. Jeden ze starszych członków rady chce zmienić swój głos. Już wezwał swojego asystenta, żeby poszedł do twojego biura i zniszczył umowę leżącą na twoim biurku. – Nie pytam gdzie o tym usłyszał. *On jest cieniem,* przypominam sobie. Słyszysz różne rzeczy. – Sądziłem, że miałaś dobry pomysł, Rose. Naprawdę. Wszystko by wyszło, ale nieważne czy nadal sprawiasz pozory, że nie podoba ci się ten nowy projekt, to on wolałby, żeby produkty w ogóle nie były dołączone do nazwiska *Calloway.*

Przełykam ciężko ślinę.

- To nic nowego – mówię gniewnie. – Mam seks taśmy. W jaki sposób wejście do sklepu erotycznego zmienia mój wygląd publiczny?

- Twoje seks taśmy nie są w tej chwili najnowszym tematem rozmów. Twoje bycie nową mamą i twój styl modowy... dzięki temu rada wierzy, że kobiety cię podziwiają i masz wielu fanów. On martwi się, że to zdjęcie zagrozi twojemu obecnemu wizerunkowi.

Uważa, że stracę fanów.

Cóż, jeśli moi fani kochają mnie za *mnie*, to nie odejdą po zobaczeniu tego zdjęcia. Nie jest wcale takie obciążające, ale oni twierdzą, że jest takie dla kogoś, kto projektuje dziecięce ubranka.

Theo mówi dalej:

- Reszta członków trzyma się swoich głosów. On jest bardziej konserwatywny i niestety... swoim głosem może zmienić decyzję.

Tłumaczenie: *Masz przejebane, Rose.*

Ale Theo nie zadzwonił do mnie bez przyczyny. Sądzi, że nadal mam czas na naprawienie tego problemu. Może jeśli podpiszemy umowę zanim zniszczy go jego asystent, to facet się podda. Loren powie mu, że to już koniec i musi się z tym pogodzić.

W taki sposób wygramy.

- Czy ty nie mieszkasz pięć minut od Hale Co.? – pytam szybko. – Idź do biura i prześlij mi tę umowę faksem. – Po chwili stwierdzam, że muszę dodać większą groźbę. – Jeżeli nie dotrzesz tam przed tym asystentem, jesteś zwolniony.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. – Jego szczerść uderza we mnie falą wyrzutów sumienia. *Nie*. Jestem wojowniczką, która musi ponosić straty w ludziach.

Oboje się rozłączamy.

Connor patrzy na mnie spod uniesionych brwi, kiedy przeglądam stronę *Celebrity Crush* na komórce.

- Jest obrzydliwie miły – mówię Connorowi. – Szczerze myślałam, że to tylko zagrywka. – Może nadal tak myślę.

- Mogłoby tak być – odpowiada Connor. Nie słyszę w jego głosie niepokoju i zastanawiam się czy próbuje mnie udobruchać. W jednym oddechu będąc szczerym, a w drugim próbując mnie nie martwić.

Potrzebuję mapy drogowej do prawdziwych zamiarów ludzi. Wszystko to jest za bardzo dezorientujące.

Na ekranie mojej komórki pojawiają się odpowiedzi.

Pierwszy nagłówek: *[EKSLUZYWNE ZDJĘCIA] Connor Cobalt & Rose Calloway widziani w Seks Shopie! Zobaczcie, co kupili!*

Oprócz zdjęcia, na którym wymachuję lukrecjowymi majtkami, Walter Aimes zrobił zdjęcia Connorowi, który im się przyglądał. Paparazzi twierdził, że skończył robić zdjęcia jeszcze przed tą sytuacją, ale najwyraźniej nie. Może miał nadzieję, że zrobimy coś niezwykłego.

Na szczęście Connor kupił jedynie wibrator w kształcie pocisku zamiast analnej zabawki, którą zakupi później. Podzielił się ze mną tym kawałkiem informacji, kiedy wyszliśmy ze sklepu. Na pewno po to, aby mnie przygotować.

Siadam oszołomiona na brzegu naszego łóżka, a Connor zajmuje miejsce przy mnie. Czyta artykuł nad moim ramieniem.

- Dzięki – mówię – za kupienie wibratora. – W życiu bym nie chciała, żeby świat dowiedział się o tym, że uprawiamy seks analny. Mogliśmy stracić większość naszej prywatności, ale istnieje kilka rzeczy, które chciałabym zatrzymać między nami.

Connor gładzi mnie po karku.

- Bien sur. – *Oczywiście.*

Wchodzę na Twittera i sprawdzam moje powiadomienia, bo jestem ciekawa jak świat zareagował na te wieści.

**@CeleryHair:** *@RoseCCobalt Czekam na wyjście Twojej kolekcji zabawek erotycznych. Na tym zdjęciu wyraźnie robiłaś obeznanie. Mam rację?*

**@PoPhilly4Life:** *@RoseCCobalt Jesteś boginią. Uwielbiam to, że nie obchodzi Cię, że zostaniesz przyłapana na kupowaniu seksownych ciuszków ze swoim ukochanym \*maślany wzrok\**

**@LilyHaleLOVE2:** *@RoseCCobalt Powinnaś poprosić Lily o porady dotyczące seks zabawek. Ona chyba wie, co w trawie piszczy. Tak tylko mówię.*

**@LindsayL453:** *@RoseCCobalt Jesteś dziwką szukającą sławy. Gorsza od wszystkich swoich sióstr.*

Uwielbiam ten ostatni tweet. Jeżeli mogę odwrócić uwagę od Lily i Daisy, chętnie wytrzymam obraźliwie wiadomości.

Wysłałam w świat tweeta: „*nie ma strachu w rozkoszy #Coballoway*”

Hashtag to nazwa, którą fani nadali Connorowi i mnie. Łatwiej używać tego wyrażenia zamiast Rose plus Connor i podoba mi się wydźwięk.

Przeglądam dalej Twittera i zauważam zalotną rozmowę Ryke’a i Daisy z wczoraj.

**@daisyonmeadows:** *Wiesz czyja blizna jest teraz tak wielka jak moja? \*oczko oczko\* @meadowsryke*

Jego blizna po operacji. I jej blizna po zamieszkach w Paryżu.

Jestem przyzwyczajona do takich rozmów, ponieważ już od dłuższego czasu wszyscy jesteśmy na Twitterze.

**@meadowsryke:** *@daisyonmeadows moja jest większa*

**@daisyonmeadows:** *@meadowsryke udowodnij ;)*

Wyobrażam sobie, że ich wiadomości tekstowe są dziesięć razy bardziej nieprzyzwoite. Szybko wchodzę na Instagrama, zauważając, że dziś rano Connor wrzucił zdjęcie.

Zawsze wrzucamy zdjęcia siebie nawzajem, więc nie jestem zaskoczona, że wstawił zdjęcie, na którym leżę w łóżku, moje usta zakrywa kołdra i widać jedynie iskrzące się oczy. Zrobił je tuż po tym jak zacytował Steinbecka. Spojrzałam na niego wściekle, a on uwiecznił tę chwilę.

Pośród tysięcy komentarzy, większość jest pozytywnych. Zerkam na parę negatywnych:

*„Twoja żona wygląda, jakby chciała Cię zabić”*

*„Nie chciałbym budzić się do takiego widoku #wariatka”*

*„Wtedy musisz wziąć siekiere do łóżka!!!”*

Dodali różne wersje noży i diabelskich emotikonów, które rozśmieszyłyby Lorena.

- Ludzie zawsze będą spekulować – odzywa się Connor, podnosząc się z łóżka i skupiając na sobie moją uwagę. Przypominam sobie taktyki manipulacji Connora. Których nigdy nie użyłam.

- Gdybyś był na moim miejscu, przespałbyś się z członkiem rady?

Przezesuje sobie mokre włosy, odgarniając je do tyłu.

- Nie – odpiera stanowczo. Otwiera szufladę komody. – Już tego nie robię. – Bo jesteśmy razem.

- Przede mną. – Inaczej formułuję pytanie.

Milczy chwilę.

- To by zależało od okoliczności i zmiennych w tym równaniu. Nigdy nie wskakiwałam na ślepo do łóżka. – A więc twierdzi, że *może*. To musiałaby być ścieżka z największymi korzyściami, żeby ją wybrał i mówi mi, że seks nie zawsze jest rozwiązaniem.

- Łatwo było? – pytam.

- Tak. – Głos ma opanowany, a wyraz twarzy jeszcze bardziej. Zrzuca ręcznik, dając mi widok na swój umięśniony tyłek zanim zakłada granatowe bokserki.

Patrzę jak idzie do szafy i znika w środku. Idę za nim, odwijając rękawy swetra.

- Czemu? – pytam, bo nagle chcę dostać wszystkie odpowiedzi. – Nie wyobrażam sobie, żebyś dobrowolnie padł na kolana i zrobił komuś loda, żeby to nie było trudne.

Mój mąż kocha władzę, dzięki niej się rozwija. Nie potrafię sobie wyobrazić, by został pozbawiony dominacji podczas seksu. Nawet kiedy skułam go w jego urodziny, to dalej był niewiarygodnym alfą.

Connor zakłada spodnie khaki.

- Padnięcie na kolana nie wymaga dużo wysiłku.

- Nie mówię o akcie fizycznym. – Ale on o tym wie, po prostu to przeciąga.

Zapina sobie spodnie i odwraca się do mnie.

- Wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć. Że to wywołało na mnie ogromne emocjonalne wrażenie. Że w środku jestem *skrzywdzony*. – Ostatnie słowo ocieka niechęcią.

- Nie chcę tego usłyszeć – odpowiadam łagodnie.

- Więc czego chcesz?

- Prawdy – odparowuję, nagle czując wrogość. – Czystej prawdy.

Kiwa głową.

- Szczerze mówiąc – mówi – to było łatwe, Rose. I wiem, że nie możesz tego pojąć, bo dla ciebie to nigdy nie byłoby łatwe. Ale dlatego właśnie nie wyszedłem za samego siebie. Gdybym chciał być z kimś bardziej podobnym do mnie, to nigdy nie byłibyśmy razem – przypomina mi.

Garbię ramiona, zdając sobie sprawę, że ma rację. Nie potrafię zrozumieć seksu pozbawionego emocji. Nie potrafię rozdzielić moich emocji, żeby dobrze to pojąć. Pewnie nigdy tak się nie stanie i muszę się z tym pogodzić.

- Dziękuję – mówię szczerze. Tym razem nie potrzebowaliśmy żadnych gier. Ja zapytałam, a on odpowiedział. Nie było przy tym takiej zabawy, ale było miło.

Na łóżku rozbrzmiewa mój telefon. Wybiegam z szafy, żeby odebrać. W chwili, kiedy włączam tryb głośnomówiący, Theo mówi:

- Wysłana. Musisz ją podpisać i odesłać mi z powrotem, kiedy jestem jeszcze w biurze. Jak najszybciej. – Zaraz potem się rozłącza.

Idę bardzo szybko do gabinetu na pierwszym piętrze i wyciągam umowę z maszyny, spinając kartki i podpisując się we wszystkich właściwych miejscach. Po podkreśleniu linijek, w których Loren musi się podpisać, obieram nową misję, żeby go odnaleźć.

Gdy tylko zdobędę jego podpis, mogę odesłać umowę do Theo i wygram.

Wspinam się po schodach na drugie piętro. Mój szybki krok zwalnia, kiedy zbliżam się do pokoju Lorena i Lily. Na korytarzu słyszeć stłumione jęki. – Tak... taktaktak!!

Nie. Nie, nie, *nie*.



Rose Cobalt

Lily sapie i nawołuje imię Lo w ekstazie. Nie pozwolę, żeby ich oszalały seks zrujnował mój cel.

Wpadam bez pukania do ich zaciemnionego pokoju, ciemnoczerwone zasłony są zasunięte i zmuszam się do spojrzenia na obiekt mojej misji. Staram się nie skupiać na Lorenie leżącym między nogami mojej siostry.

Będę musiała sobie potem odkazić oczy.

Mam przed sobą jego nagie pośladki, szarobura kołdra tkwi skopana na brzegu łóżka.

- Co, do chuja?! ROSE! – wrzeszczy wściekle Loren. Lily wydaje zażenowany okrzyk i zaczyna uderzać Lo, żeby z niej zszedł.

Pędzę przed siebie, udając, że są w pełni ubrani, a nie w trakcie seksu. Tak, wydułabym mu gałki oczne i przysmażyła je na ruszcie, gdyby zrobił coś takiego mnie. Ale nie mam czasu do stracenia, a oni dosłownie mogliby się pieprzyć przez następne cztery godziny. Nie będę czekać aż skończą.

Wyciągam rękę z umową i długopisem.

- Podpisz, proszę.

Twarz Lo zaostrza się i posyła mi popisowe śmiertelne spojrzenie Hale'ów, które próbuje zdeptać moją determinację. Nie kulę się ani przez chwilę. To ma dla mnie za duże znaczenie.

- Wypieprzaj – warczy. – Wracaj na swojej miotle tam skąd przyleciałaś.

Uderzam w jego nagie ramię umową.

- *Podpisz.* To nie jest żart. Mam minuty, może sekundy, zanim to stracę. – W moim głosie wyraźnie słychać rozpacz. Jego palący gniew maleje o jotę, przenosi bursztynowe oczy ze mnie na swoją żonę.

Lily zamarła pod nim, przyciskając dłonie do twarzy, jakby mogła się ukryć. Loren nareszcie zsuwa się z mojej siostry, która piszczy:

- LO!

Zarzuca na nią pobliski czerwony koc, ukrywając przed moimi oczami, po czym siada twarzą do mnie. Nadal całkowicie nagi. Próbuje wygonić mnie ze swojego pokoju czystym zażenowaniem. Biorę ostry wdech.

Nie poddam się.

Patrzę mu w oczy, nie opuszczając wzroku na jego genitalia. Nie nazwę jego penisa niczym innym jak właściwym naukowym terminem.

Wrywa mi dokumenty i przerzuca strony.

- Jezu Chryste, ile tutaj jest stron?

- Dziesięć – mówię. – Podpisz w podkreślonych miejscach.

Rzuca mi spojrzenie mówiące, żebym poszukała zagubionych komórek mózgowych.

- Nie podpiszę czegoś, czego nie przeczytałem. Właściwie to muszę zadzwonić po mojego prawnika, żeby także to przejrzał.

To zajmie wieczność.

- To standardowa umowa – tłumaczę.

- Nie nauczyłaś się po swoim ostatnim błędzie? – Chodzi mu o sytuację, kiedy żaden prawnik nie przejrzał umowy dotyczącej reality show i tym samym Scott legalnie posiada moje seks taśmy.

To coś innego.

- Pracowaliśmy nad nią od miesiący. Nawet pomogłam Danielowi w przygotowaniu jej. *Proszę*, nie bądź teraz odpowiedzialny.

Otwiera szeroko usta.

- Słyszysz samą siebie? Kurwa, kto ci zamienił ciało w środku nocy? – Potrząsa głową. – Nie wiem czemu jestem zdziwiony po tych wszystkich dziwnych rzeczach, które wyprawiasz. Tak jak wczoraj? – Rzuca mi kolejne spojrzenie „*co, do chuja?*”.

Sztywnieję.

- Widziałeś artykuł? – *Już?*

- Ummmm. – Lily zaczyna coś mówić, ale jej głos jest stłumiony przez koc. Powoli opuszcza materiał. Najpierw pojawiają się oczy, potem nos i usta. Patrzę na nią z wyrazem „*pospiesz się*”. A Lo spogląda na Lily, jakby zaraz znowu miał ją przelecieć.

- Istnieją sklepy internetowe, które sprzedają takie rzeczy – mówi mi Lily. – Nie musisz wychodzić do publicznego miejsca, żeby je kupić.

- Nie wstydzę się tego – mówię trochę zbyt natarczywie... to sugeruje, że Lily się wstydzi – a ja nie miałam na myśli...

Czerwieni się.

- Nie powinnaś się wstydzić. – Kiwa głową, jakby przyswajała sobie tę rzeczywistość, w której ona także chciałaby żyć. Nie chciałam sprawić, żeby poczuła się gorsza przez to, że robi zakupy w internecie. To świetna alternatywa.

Lily odchrząkuje.

- Ale chodziło mi o to, że im częściej Connor i ty robicie takie rzeczy w miejscach publicznych, to tym częściej media o was pytają. Zawsze myśleliśmy, że lubicie utrzymywać swój związek w prywatności. Nawet podczas nakręcania *Księżniczek Filadelfii* wszystko bardziej skupiało się na Lo i mnie.

Czuję się jak suka.

- Connor i ja radzimy sobie z uwagą najlepiej jak potrafimy.

Patrzy na mnie zmrużonymi oczami, zdezorientowana i podejrzliwa.

- Myślałam, że będziesz bardziej zdenerwowana.

- *Byłam* zdenerwowana. Dziesięć minut temu. Teraz staram się zająć moim biznesem. – Pstrykam palcami na Lo, ale wciąż czyta pierwszą stronę.

Lily patrzy przelotnie na jego krocze i wierci się trochę.

Ostatecznie Lo chwyta za poduszkę, kładąc sobie na kolanach. Przewraca stronę, patrząc wściekle na żargon prawniczy. Chociaż ciągle sobie dokuczamy, to mogę przyznać, że Lo nie jest głupi. Jest ostrożny wobec swojej firmy. Szuka pomocy w aspektach, w których nie jest zbyt dobry, co – według mojego męża – czyni z niego wspaniałego lidera.

Spoglądam na zegarek stojący na ich szafce nocnej. Dochodzi jedenasta godzina.

- Dlaczego dopiero teraz uprawiacie seks? – pytam. Pomyśleć można, że już dawno by to zrobili.

- Ponieważ twoje diabelskie dziecko nie dawało spać naszemu dziecku przez całą noc – odpiera Lo. – Co oznaczało, że byliśmy zbyt zmęczeni, żeby się kochać. A teraz *ty* nam przeszkadzasz. Jaka matka, taka córka. – Posyła mi gorzki uśmiech.

Nie trzeba było pytać. Splatam ramiona na piersiach.

- Przepraszam, Lily. Nie przepraszam, *Lorienie*. – Zamierzam pokazać mu, żeby czytał dalej, kiedy do pokoju wpada biała i futrzana *istota*. Omija mnie, rzucając się do materaca.

- Niech to szlag – przeklina Lo, próbując delikatnie odepchnąć syberyjskiego husky'ego. Pies szturcha jego gołe nogi, wymachując ogonem, po czym wskakuje na łóżko i kładzie się obok Lily. Robię parę kroków w tył. Nie boję się psów, ale wolę mniejsze zwierzęta. Które mogę podnieść. Ona ma dopiero osiem miesięcy i już waży piętnaście kilogramów.

Husky ociera się nosem o ramię Lily, dopóki ta nie reaguje. Wtedy Lily drapie ją po grubym, białym futrze. Moja siostra od razu się uśmiecha, ponieważ suczka jest profesjonalistką w uzyskiwaniu takich radosnych reakcji od ludzi.

Jest przeciwieństwem kotki Connora, a jednak przez to jeszcze bardziej zatęskniłam za Sadie. Teraz kiedy rzucający się, *śliniący* pies wędruje po naszym domu, poświęcenie naszego kota wydaje się niepotrzebne.

W zeszłym tygodniu Ryke kupił husky'ego na dwudzieste urodziny Daisy. Connor i Loren lubią żartować, że teraz Ryke i Daisy także są rodzicami, ponieważ ich husky jest zbliżony wiekiem do naszych dzieci. Ale wszyscy jesteśmy doskonale świadomi ukrytej prawdy.

To wykwalifikowany pies pomocnik dla stresu pourazowego i ataków paniki Daisy. Frederick zasugerował coś takiego, jako część planu pomocy Daisy i porozmawiała o tym z Rykiem, wykazując dość zainteresowania, że zaskoczył ją takim prezentem. Nigdy nie widziałam mojej siostry tak szczęśliwej.

- Jakiej komendy mamy użyć? – pyta mnie Lily, kiedy Lo próbuje skupić się na umowie.

- Idź do Daisy – mówię. Gdy tylko te słowa opuszczają moje usta, białutki husky zeskakuje z łóżka, nakierowując jasnoniebieskie ślepią na drzwi.

- O mój Boże! Tak *strasznie* przepraszam! – Daisy wbiega do pokoju. – Coconut! – Suczka obchodzi stopy Daisy. – Wciąż próbuje oswoić się z domem.

- Cholera – mamrocze Lo, odkładając dokumenty na łóżko i szuka swojej bielizny. To nawet interesujące jak inaczej reaguje na wejście moje i Daisy, dopiero teraz czuje się obnażony mimo poduszki. *Nie* ciekawe jest to, że porzucił umowę.

- Loren – warczę.

- Daj mi chwilę – mówi z napięciem, wyraźnie speszony.

Daisy krzywi się i staje bokiem, zasłaniając oczy.

- *Naprawdę* was przepraszam. – Kładzie rękę na głowie suczki, która w końcu staje obok niej. – Coconut, spokój. – To imię będzie skręcane na milion paskudnych sposobów, pomijając mój.

- Coco, nie wnoś do domu śniegu. – Po czym odgania ją machnięciem ręki.

- Królowa Rose już narzuca psu obowiązki – żartuje Lo. To nie był *obowiązek*, tylko rozkaz. Wiecie co? Jeżeli on ma czas, żeby pyskować, to ma też czas, żeby przeczytać umowę i podpisać.

Już mam to powiedzieć, gdy do pokoju *wbiega* Ryke. Uderza mnie ramieniem w drodze do Daisy.

- Kurwa – przeklina, zwalniając.

Zastanawiam się czy jego szwy...

- Nie powinienes biegać, Ryke – mówię.

Usłyszał to zdanie zbyt wiele razy po powrocie do domu, żeby się nim przejąć.

- Nie zrobiłaś mi krzywdy – odpowiada.

- Oczywiście, że nie, to ty wpadłeś na mnie. – Ale to brzmiało jędzowato.

Troska na jego twarzy wzbudza we mnie poczucie winy.

- Czy ja zrobiłem ci krzywdę? – pyta, obrzucając wzrokiem moje ciało. On nie jest swoim bratem. Mówienie wrednych rzeczy Lorenowi jest dziesięć razy łatwiejsze i zapominam obniżyć moją wrogość do niego.

- Nic mi nie jest – zapewniam i obracam się do Lorena. – Możesz się pospieszyć?

Wciąż próbuje znaleźć swoją bieliznę, przesuwając ręką wzdłuż materaca, a po Lily pozostała jedynie górka pod kocem, bo ukrywa się przed Rykiem.

Co za bałagan.

Loren wydaje zirytowany odgłos i podchodzę do jego komody, otwieram górną szufladę i rzucam mu pierwszą napotkaną parę bielizny.

Nie wygląda na choć odrobinę wdzięcznego. Po założeniu bokserek szuka Lily pod kocem zamiast zająć się umową. Niech mu będzie. Moja siostra przewyższa *wszystkie* rzeczy materialne.

- Co się tutaj, kurwa, dzieje? – pyta naprawdę skonsternowany Ryke.

Spod drzwi dobiega nas głos Connora.

- Najwyraźniej przerwaliście seks Lo i Lily.

- Tak *bardzo* przepraszam – mówi po raz piętnasty Daisy, a przynajmniej tak mi się wydaje, że już tyle razy przepraszała.

- Przestań przepraszać – odpowiada jej Lo.

Daisy kuca teraz przy Coco, a suczka wtula się w jej ciało. To zwierzę jest wytrenowane do czegoś więcej niż zapewniana komfortu. Miejmy nadzieję, że pomoże Daisy z jej nocnymi lękami i paniką.

- Myślałem, że suczka zdobyła już certyfikat – mówi Connor. – Dlaczego biega po pokojach?

- Nadal przyzwyczajają się do domu i jego mieszkańców – wyjaśnia Ryke. – Husky lubią zwiedzać. Nie kupiłem pieprzonego labradora, bo wydawało mi się, że Daisy spodoba się bardziej ta rasa.

Daisy podnosi na Ryke'a wzrok pełen najszczerzej miłości. Jak on dobrze zna moją siostrę.

- Jeszcze dwa tygodnie ćwiczeń w domu i przyzwyczai się do wszystkiego – dodaje Ryke.

- Nie możesz tutaj trenować Nutcake – odzywa się Loren. – Miałeś się nie przemęczać.

- Po pierwsze – zaczyna Ryke – nie myl cholernego psa. Już to przerabialiśmy: nazywamy ją Coconut albo Nutty. Nie inaczej.

Opieram ręce na biodrach.

- zaproponowałam Coco i pamiętam, że zdobyłam dwa głosy. – Wskazuję na Daisy i mojego męża.

- Każdy mógł zagłosować tylko raz – mówi Daisy z przeproszającym spojrzeniem. – Zaliczyli mój głos na Coconut z Lily, a potem Ryke i Loren wybrali Nutty.

Czy wszyscy oblali matematykę w drugiej klasie? Halo?

- Nadal mam *dwa* głosy. Jesteśmy dwójką ludzi. – Pokazuję na siebie i Connora, który zbliża się do mnie, obejmując w pasie.

- Twój mąż zmienił swój głos – mówi Lo, uśmiechając się ironicznie.

Connor nie wygląda na przerażonego moim miażdżącym wzrokiem. Powinien się bać. Sypia ze mną.

- Powiedz, że przynajmniej stanąłeś po stronie moich sióstr – mówię.

- Wtedy musiałbym skłamać.

Otwieram szeroko usta i zrzucam z siebie jego ramię.

Uśmiecha się szeroko.

- To nie było głosowanie w stylu mąż-żona, mąż-żona, chłopak-dziewczyna. – Wiem o co mu chodzi. Wszyscy mężczyźni zagłosowali tak samo, a ja oderwałam się od moich sióstr. Dobra.

- I po drugie – ciągnie Ryke, zwracając się do brata – nie przemęczam się od praktycznie dwóch miesięcy. Nie jestem jebanym inwalidą.

Przez następny miesiąc nie może poddać się pokusie wspinaczki i to go naprawdę boli. Daisy mówiła mi, że żaden inny sport nie zastąpi jego potrzeby wspinania się po skałach.

Connor przerywa krótką ciszę.

- Myślę, że najwyższa pora, żebyśmy mieli w tym domu wykwalifikowanego, wyuczonego załatwiania się psa. – Ryke i Loren prawie od razu się rozluźniają po czym Ryke pokazuje Connorowi środkowy palec, niemal się uśmiechając.

- Wyyyjćć. – Spod koca rozbrzmiewa wymamrotane słowo.

- Lil chce, żebyście wyszli. Ja też – mówi Lo.

- Jeszcze nie. – Podnoszę umowę z łóżka i wpycham Lo do rąk.

- Przepraszam – powtarza Daisy, wychodząc razem z Coco... nut. Krzywię się w duchu.

- Daisy. – Lo potrząsa głową na jej przeprosiny, które w jego oczach nie powinny w ogóle istnieć. Właściwie uwielbiam fakt, że wzmacnia z nią to zachowanie, tak jak zawsze robi Ryke. Ona przeprasza niemal za wszystko, to po prostu odruchowa reakcja po byciu wychowywanym przez naszą władczą matkę.

Daisy kiwa głową.

- Prze... okej... - Wyprowadza husky'ego na zewnątrz, Ryke idzie tuż za nimi.

Odchrząkuję.

- Daj mi minutę – mówi Loren, próbując odnaleźć się w umowie.

- Dałam ci ich *dziesięć*. To wiele dla mnie znaczy, proszę. – Nie cierpię własnego głosu. Teraz zaczęłam go błagać.

Drapie się po szyi.

- Nie mogę tego podpisać bez prawnika. – Wstaje z łóżka, zamierzając wziąć komórkę z komody. Loren nie ma we mnie wiary po moim załatwieniu umowy.

- Daj mi przeczytać – proponuje Connor, opuszczając mój bok, żeby przejrzeć papiery trzymane przez Lo.

Loren waha się chwilę po czym potakuje, oddając dokumenty najlepszemu przyjacielowi. Ufa Connorowi i może gdybym już kiedyś nie spieprzyła sprawy, to mnie także by ufał. Wstrzymuję oddech, czekając na werdykt i mam nadzieję, że szybko to załatwimy.

Connor czyta dziesięć razy szybciej od Lo, przerzucając strony beznamiętnie. Rzuca mi jedno spojrzenie, czytając piątą stronę, ale nie potrafię odczytać jego myśli, czy są dobre, czy złe. Tłumaczy Lorenowi:

- Ta umowa ma zapewnić nazwę marki, jako Calloway Couture Babies, a nie Hale Co. Babies, a główne logo będzie składać się z CCB i HC.

- Tyle to sam wyczytałem, dzięki – mówi zgorzkniale. Lily wзира spod koca i mówi coś do niego samym ruchem ust. On odpowiada tak samo, ale ja skupiam się na pokerowej minie Connora.

Chwilę później oddaje umowę Lo.

- Standardowa umowa bez niejasnych wyrażeń. Osobiście podpisałbym ją bez oddawania pod lupę komu innemu, ale to zależy od ciebie.

Lo waha się, *znowu* ją przekartkuje.

Będę musiała mocniej błagać.

- Proszę – mówię. – Mamy parę minut, może nawet mniej. – Moja kariera modowa wahała się tak mocno, że każdemu sukcesowi towarzyszyło denerwujące niepowodzenie. Chcę ujrzeć w sklepach moje projekty razem z moim nazwiskiem. Nie chcę kłamać ani popierać czegoś, w co nie wierzę, czego nawet nie stworzyłam.

Potrzebuję tego zwycięstwa.

Loren wraca do łóżka i moje serce drga nerwowo. Wsadza rękę w koc – chyba, żeby odnaleźć Lily. Ale omija górkę, która wyraźnie jest jego żoną. Sekundę później wyciąga zagubiony długopis.

*Zamierza ją podpisać.*

Znajduje odpowiednią stronę.

- Następnym razem najpierw wyślij mi wiadomość albo *zapukaj*. – Ledwo przetwarzam jego słowa, patrząc jak zapisuje swoje nazwisko. To mi przypomina, że Lo *od początku* był po mojej stronie z tym nowym przedsięwzięciem w Hale Co. Starał się dać mi wszystko, czego chciałam.

Dlatego kiedy oddaje mi umowę, mówię o wiele łagodniejszym tonem:

- Dziękuję. – To zaskakuje nawet jego. Odchyła się zszokowany, ale kiwa mi głową.

Nie tracę kolejnej sekundy. Wychodzę szybko na korytarz i zbiegam po schodach. Skręcam gwałtownie za rogiem i wchodzę do gabinetu. Wysyłając umowę faksem, dzwonię do Theo.

- Wysłane – odzywam się przed nim.

- Widzę. Nie mogę długo rozmawiać, ale to mi dobrze wygląda. – Słyszę szelest papieru. – Do zobaczenia w poniedziałek... mam nadzieję, że nadal będę mieć pracę.

- Oczywiście. – Wisi nade mną ta chmura wyrzutów sumienia za grożenie jego pracy. Rozłączamy się w tym samym czasie, ale nie wzdycham z ulgą.



Po paru sekundach odkrywam źródło mojego niepokoju. Podczas gdy pies włączy się po naszym domu, mała, pręgowana, ruda kotka, którą opuściliśmy, przechadza się po mieszkaniu terapeuty Connora. Nie mam pojęcia czy w ogóle regularnie sprząta jej kuwetę, czy nie zapomina, żeby ją nakarmić.

Nie mogę patrzeć na tego psa bez wspomnienia tego, co zrobiliśmy, dlatego podejmuję szybką decyzję. Dzisiaj jadę na Manhattan.

I odzyskam Sadie.

Rose Cobalt

Podrzucam Jane na moim biodrze i pukam do drzwi gabinetu, wpatrując się w plakietkę z brązu znajdującą się na wysokości mojego wzroku: *Dr. Frederick Cothrell*. Gdy tylko drzwi stają otworem, wbijam piorunujące spojrzenie w mój cel. Frederick jest tego samego wzrostu, co ja na szpilkach. Zauważam, że jego baczki posiwiały odkąd widziałam go po raz ostatni, najwyraźniej czas szybko mija. W kącikach oczu pojawiły mu się zmarszczki ze zmęczenia.

- Rose. – Nie jest nawet lekko zaskoczony. Frederick otwiera szerzej drzwi, zapraszając mnie do środka.

- Potrzebuję jej – mówię, nie wyjaśniając więcej. Wchodzę za nim do pokoju i zamykam drzwi kostką, trzymając Jane w pasie.

Frederick siada na swoim skórzanym fotelu, pokazując mi, żebym zajęła miejsca na kanapie dla pacjentów znajdującej się naprzeciwko. *Nie, dziękuję*.

- Nie jestem twoją pacjentką. Przyszłam tylko po mojego kota.

Uśmiecha się na pozór szczerze. A przynajmniej ten uśmiech wygląda szczerzej niż wszystkie uśmiechy Connora, które wytwarza dla ludzi.

- To kot Connora – przypomina.

Wciążam oddech. Sadie może i jest jego kotką, ale przez te ostatnie lata mnie także polubiła. To *mnie* zależy na tyle, żeby chcieć ją odzyskać. Z tego powodu jest tak samo moja, jak jego.

- Nadeszła pora, żeby wróciła do domu. – Przytulam trochę mocniej Jane, kładąc rękę na główce córki. Jane coś gaworzy po czym dość głośno mówi „hej” Frederickowi. Nawet do niego macha. Postawiłabym ją, ale nie będziemy tutaj długo.

Frederick odmachuje Jane.

- Chodzi już? – Sposób w jaki pyta sugeruje mi, że on już zna odpowiedź na to pytanie. Zastanawiam się czy Connor opisał to wydarzenie Frederickowi, to jak Jane wciąż próbowała się podnieść, ale ciągle upadła. Wszyscy siedzieliśmy w salonie na sobotnim maratonie filmowym, w telewizji leciał film wybrany przez Daisy: *Harriet szpieg*.

Moffy także próbował wstać, oboje starali się podejść do siebie. Nie ścigali się, ale po prostu chcieli dołączyć do swojego kuzyna znajdującego się po drugiej stronie dywanu. Daisy chwyciła za kamerę, kiedy Moffy dumnie wstał i zrobił pierwsze kroki. Godzinę później Jane poszła w jego ślady.

Nie wyobrażam sobie, żeby Connor zrelacjonował tę scenę Frederickowi, a na pewno nie czystą emocję, którą widziałam w jego oczach tamtego wieczora. Być może podał

Frederickowi same fakty, a jego terapeuta sam wydedukował uczucia mojego męża. To wydaje się bardziej prawdopodobne.

- Potrzebuję tej kotki. – Pomijam jego pytanie. Gdzie ona jest? Obrzucam wzrokiem manhattański apartament, obracając głowę na lewo i prawo. Jane sięga po mój wiszący, brylantowy kolczyk i ciągnie mocno. – *Auć. Kurwa* – przeklinam.

Dolna warga Jane dygocze, gdy szykuje się do płaczu.

- Nie twoja wina – mówię szybko, próbując złagodzić napięty ton. – Cóż, tak, twoja wina. Nie ciągnij za biżuterię mamusi. – Gładzę ją po brązowych włoskach, ściągając czarną opaskę. – No już, gremlinu. – Nie cierpię, kiedy niemowlęta płaczą, ale kiedy moja własna córka zaczyna szlochać, to mam wrażenie, że ktoś rozcina mi wnętrzności.

W jej oczach zbierają się łzy, ale zamyka usta, powoli się uspokajając. Pociąga nosem i wycieram śluz zbierający się pod jej noskiem. Czego ja nie robię dla tej małej. Całuję ją w gładki policzek, szepcząc:

- Tu es forte, ma farouche petite fille. – *Jesteś silna, moja mała wojowniczo.*

Nawet zapłakana wciąż jest silna. Siła pojawia się w różnych rozmiarach, opakowaniach i formach. Lily jest wystarczającym dowodem.

- A ty się bałaś, że nie będziesz dobrą matką – odzywa się Frederick, jakby mnie znał. Ton ma przyjazny, dlatego trudno jest się zdenerwować.

- Poznałeś moją matkę? – pytam i mój głos drży na samą myśl. Oczywiście, że byłam przerażona. Nie wiedziałam jak wychować drugiego człowieka. Nie wiedziałam czy uda mi się zrobić to lepiej od niej, a to mnie przerażało.

Dlatego sądziłam, że trzydzieści pięć lat to będzie odpowiedni wiek. Do tej pory osiągnęłabym wszystko, czego chciałam. Żadne dziecko nie hamowałoby mnie przed żadnymi celami, podróżami, przed *niczym*. Może w wieku trzydziestu pięciu lat odnalazłabym w sobie to ciepło, którego potrzebują dzieci. Taki był plan.

Zrujnowany plan. Zniszczony przez los.

Jane była wpadką epickich proporcji. Brałam tabletki antykoncepcyjne, a jednak i tak zaszłam w ciążę. Kocham Connora i zaczęłam wyobrażać sobie z nim rodzinę w *dalekiej* przyszłości. A że ta przyszłość miała zdarzyć się tak szybko... czułam trwogę.

Ludzie ciągle rozwijają się i uczą, i w ciągu tych dziewięciu miesięcy i po pojawieniu się Jane na świecie dowiedziałam się o sobie wiele rzeczy. Bałam się wychowywać chłopca. W niektóre dni bałam się wychowywać dziewczynkę. Przeważnie bałam się wychowywać cokolwiek. Gdy po raz pierwszy wzięłam ją w ramiona, kiedy dotknęłam palcami jej paluszków, które zacisnęły się na moich, jakby rozpoznając, kim jestem – wszystkie moje obawy zaczęły przygasać.

Stworzyłam tę piękną osóbkę z cudownym, jedynym w swoim rodzaju mężczyzną. Nie było możliwości, abym miała obawiać się trzymania jej, kochania czy podarowania jej wszystkiego, co było w moim zasięgu. Więc może i nie jestem doskonałą przedstawicielką mojej matki. Może i nie jestem *ciepła*, i moje uściski bardziej sprawiają krzywdę niż komfort, ale tak straszliwie kocham tę dziewczynkę, tak jak kocham samą siebie.

Ktokolwiek powie mi, że wykonuję kiepską robotę albo że ona zasługuje na kogoś lepszego ode mnie – *niech się pieprzy*.

- Poznałem Samanthę Calloway – odpowiada Frederick. – Chciała spotkać się z terapeutą swojej córki.

Przyznałabym mamie harcerskie punkty, gdyby nie fakt, że woli wszystkie swoje córki ponad Lily i do tej pory nie poznała jej terapeutki, a minęło kilka lat. Ale może się boi.

Nasza matka jest częściową przyczyną problemów Lily. Nieszczególnie źródłem problemów Daisy.

- I? – pytam.

- Samantha nie jest taka jak ty – mówi Frederick, odchylając się na fotelu.

Chcę mu wypomnieć, że próbuje mnie udobruchać, ale nie widzę dlaczego miałby mnie teraz pocieszać. Jestem tutaj po kotkę, która z nim mieszka. Jak już, to powinien chcieć się mnie pozbyć, a nie pocieszać.

- To prawda – dodaje, widząc moją minę.

Przestępuję z nogi na nogę, nie podoba mi się to jak łatwo mnie odczytuje, jak dobrze mnie zna z sesji terapeutycznych Connora.

- Przywieź tutaj Sadie jutro do południa. Przyjadę po nią.

Potrząsa głową.

- Connor kazał mi jej nie oddawać, nawet jeśli tutaj przyjedziesz i poprosisz.

- Ja nie *proszę* – odpieram. – Ja grożę.

- Mówił także, że będziesz grozić uszkodzeniem mojego ciała i powinienem mieć świadomość, iż lubisz używać hiperbol oraz przesadzać.

*Zabiję* mojego męża.

Zaciskam powieki. Tak, to jest pieprzona przesada. Gdy otwieram oczy, mam nadzieję zobaczyć, że Frederick wymachuje białą flagą. Nadal siedzi spokojnie, czekając na odprowadzenie mnie do drzwi, kiedy będę gotowa wyjść.

- Sadie może nie dogadać się z dziećmi albo huskym – dodaje.

- Zasluguje na szansę.

Przykłada palec do szczęki w zamyśleniu.

- Dlaczego chcesz ją odzyskać, Rose? – To drugie pytanie, na które na pewno zna już odpowiedź.

Porzuciłam Sadie.

Zrezygnowałam z niej, a nigdy tego nie robię.

- Jest bardzo do mnie podobna, wiesz – mówię. Sadie i ja... mamy takie same cechy. Obie jesteśmy agresywne i zdystansowane; atakujemy bez namysłu i mamy problem z okazaniem ludziom naszych miękkich stron.

- Connor oddał ją, ponieważ była mu zbędna – wyjaśnia Frederick. – Ty nie.

Tłumaczenie: *Ciebie nie porzuci*. To miłe, ale Connor i ja jesteśmy inni. On potrafi wyrzucić rzeczy, kiedy na mają dla niego już żadnego pożytku. Ja tak nie umiem.

- Co jeśli jest niezbędna w moim życiu? – pytam. – Czy teraz możesz mi ją oddać?

Kręci głową, milcząc.

Moje nozdrza drgają, a wtedy Jane znowu sięga do mojego kolczyka. Odsuwam głowę i wyrzuca z siebie donośny wrzask, który jest o wiele bardziej przerażający po prostym usłyszeniu „*nie*”. Dotykam jej pośladków, wyczuwając mokrą pieluchę.

- Jeszcze wrócę po Sadie. – Kierując się do wyjścia, celuję w niego palcem. – Twoja lojalność wobec mojego męża, chociaż godna podziwu, jest irytująca.

Uśmiecha się, kiedy opuszczam jego gabinet.

Rose Cobalt

Dopijam mój drugi limonkowy drink o nazwie zielone jabłuszko. Dzisiejszego wieczora do gry wchodzi pijana Rose, a trzymałam ją w ryzach od... cóż, nie *pamiętam* nawet ostatniego razu, kiedy za dużo wypiałam.

Dzisiaj jest inaczej.

W irlandzkim klubie w Nowym Jorku jakiś zespół odgrywa głośną, rockową piosenkę, której dźwięk wsiąka w ceglane ściany i potrząsa moim mózgiem. Gdy tylko tutaj przyszedliśmy, mała placówka zapełniła się ciałami odzianymi w zieleń i teraz mamy problem, żeby precyzyjnie się przez tłum.

Connor trzyma rękę na moich plecach i dopiero teraz orientuję się, że prowadzi mnie przez chmurę hałaśliwych ludzi, którzy noszą plastikowe, zdobione koralikami naszyjniki, na twarzach mają wymalowane czterolistne koniczyny, a na głowach tkwią brokatowe, zielone opaski.

Obniża dłoń na moje pośladki i rozgrzewam się w środku. *To przez alkohol*. Przyciąga mnie bliżej do siebie, aby ominąć nadchodzącego spitego mężczyznę. Patrzy na mnie pewnym, opiekuńczym wzrokiem i spinam mięśnie. *To przez jego pieprzoną dominację. To przez niego*.

Muska wargami moje ucho.

- Rumienisz się.

- Wcale nie – burczę.

Uśmiecha się i prowadzi mnie w nieokreślonym kierunku. Publiczne okazywanie uczuć z moim mężem jest głównym planem w dzień świętego Patryka. Pomoże w tym zastrzyk odwagi w postaci trunków, także publiczne upicie się także jest dla mnie obowiązkowe.

Jestem pewna, że prasa pokocha Pijaną Rose. Kocham ją z umiarem i przypuszczam, że nadszedł czas, żeby się pokazała.

To także pierwszy raz, kiedy Jane zostaje na noc u mojej matki. Niepokój samym tym faktem sprawia, że chce mi się napić. Przykładam szklankę do ust. Pusta. Racja...

Widząc z oddali zatłoczony bar, dociera do mnie, że to tam mnie prowadzi. Gdy mijamy grupkę facetów w błyszczących, zielonych cylindrach, każdy szczypie Connora w ramię albo bark. Ledwo się krzywi i nie zwraca uwagi na to, że jest dotykany.

- Connorze Cobaltie, dlaczego nie nosisz zieleni?! – woła ktoś, rozpoznając nas. Brzmi bardziej na fana niż dziennikarza.

Connor ma na sobie grafitowe spodnie, granatową bluzkę z długim rękawem założoną na białą koszulę i szary krawat. Kroczy niedbale i formalnie, emanując pewnością siebie nawet bez zieleni – a jego falowane brązowe włosy nigdy nie wyglądały lepiej. *Zamknij się, Pijana Rose.*

Przysięgam, że jeśli zacznę go komplementować na głos, to dzisiejszy wieczór zakończy się *bez publicznych pieszczot*. Pomaszeruję do hotelu i powstrzymam się zanim zdradzę samą siebie. *Nie będzie żadnego schlebiania jego ego.* To rozkaz.

Poprawiam rąbek mojej ciemnozielonej sukni wieczorowej, której ozdobiony koralikami haft oraz kolor sprawiają, że czuję się jak trujący bluszcz.

Aprobuję.

Ktoś inny szczypie Connora w ramię. Posyłam koleśowi miazdzące spojrzenie i ten lekko się kuli. *Tak, właśnie. Spadaj.* Opieram się o Connora... *prawie* chwiejąc się na szpilkach.

- Za co ty płacisz swojemu ochroniarzowi?

Jego duża dłoń zdaje się otaczać całe moje biodro.

- Za chronienie mojego życia – odpowiada z ustami blisko mojego ucha. Wyobrażam sobie, że leciutko je przygryza, a potem przytula mnie mocniej, bliżej. Znowu czuję przypływ gorąca. – A nie sądzę, żeby zagrażało mu jakieś tam uszczypnięcie.

- To dlatego, że jeszcze nie zostałeś uszczypnięty przeze *mnie* – odparowuję zimno, kończąc to oświadczenie łykiem... niczego. Serio, czy nie mogę zapamiętać, że mam pustą szklankę? *Weź się w garść zanim wypijesz czwartego drinka.*

Śmieje się krótko na moją groźbę, wyginając wargi w rozbawieniu.

- Kochanie, myślę, że przeżyję twoje ataki. – Mimochodem, niepostrzeżenie, przesuwam zębami po moim uchu i przygryza płatek uszny, szepcząc: - Jestem niezniszczalny. – Jeden raz ściska moje pośladki.

Wszędzie błyskają flesze, niektóre z komórek, reszta zza okien, dochodzi pierwsza w nocy – a paparazzi nigdy nie byli bardziej wygłodniali. Daisy, Ryke, Lily, Loren, Sam i Poppy też przebywają gdzieś w tym małym klubie, więc rozumiem dlaczego dzisiaj dostali takiego szału.

Docieramy do drewnianego baru, ale musimy poczekać aż barman nas obsłuży. Odwracam się do Connora, który taksuje moje ciało długim, zmysłowym spojrzeniem. Jego pożądanie połączone z pewnością siebie oraz dominacją jest bardziej odurzające niż moje jabłuszko.

Szczypię go w zębra tak mocno jak tylko potrafię.

Szczerzy się w uśmiechu.

Piorunuję go wzrokiem, chcąc spalić ten uśmieszek mówiący „*nigdy nie przegram*”.

- Chcę rozwodu – mówię znacząco. Jego usta wciąż się unoszą. No, to nie poszło po mojej myśli.

- ŻE CO?! – krzyczy Lily ponad muzyką, przepychając się do nas z szeroko otwartymi oczami. Loren zarzuca ramię na swoją żonę.

- Rozwodu – powtarzam, odkładając pustą szklankę na bar.

Connor obraca się do mnie i podchwycza mój wzrok, zmuszając, żebym *nie* odwróciła spojrzenia.

- Czy to kolejna z waszych dziwnych wojen kujonów? – pyta Loren.

Connor nie odrywa ode mnie uwagi.

- Na jakiej podstawie, kochanie?

- Na podstawie zirytowania. Irytujesz mnie.

Jego zarozumiały uśmiech jedynie narasta. Normalni ludzie *nie* zachowują się w taki sposób. Kiedy ich obrażam, to odpowiadają wściekłym spojrzeniem. Kiedy ich obrażam, zaczynają się kłócić. Zamiast tego na twarzy Connora widnieje ten podniecony wyraz mówiący „*zaraz cię obrócę i przelecę przy tym barze*”.

- O to mi chodzi – dodaję, czując krew napływającą do krocza. – To mnie irytuje. – *I podnieca*. Nie potrafię się zdecydować, ale myślę, że wkrótce jedno przebije drugie.

Jego uśmiech przygasa, ale tylko dlatego, że nachyla się do nas barman, żeby zapytać o nasze zamówienie. Podczas gdy zamawia mi następny koktajl, łapię Lily za nadgarstek i mówię:

- Cieszę się, że tu jesteś! – Jej obecność z pewnością obniży temperaturę ruchów Connora i publicznego obściskiwania.

Szczerze nie wiem ile zniosę. Mój umysł może wybuchnąć znakami „stop” i „koniec drogi” jeżeli zaczniesz patrzeć duża grupa ludzi, a obawiam się, że to później może zbudzić moją nerwicę natręctw.

Naprawdę chciałabym nie czuć takiego niepokoju, skoro same jego *włosy* przyspieszają moje krążenie. Apetyt seksualny? Jest. Blokady umysłowe? Są.

Lily staje na palcach, żeby być bliżej mnie.

- Ja też! – krzyczy. – Potrzywasz mi torebkę, kiedy potańczę z Lo?

Poprosiłabym, żeby została ze mną, ale wlepia pożądlive spojrzenie w swojego męża, który rozmawia z moim mężem. I tak to ja przekonałam ją do zabrania torebki, a moje powody, żeby trzymała się blisko mnie są lekko samolubne.



- W porządku. – Biorę jej małą, fioletową torebkę, dołączając do mojej złotej.

- Dziękidzięk! – belkocze i podbiega do Lorena. On klepie Connora po ramieniu na pożegnanie, po czym bierze Lily na barana, kierując się w stronę zespołu.

Connor znowu się do mnie obraca, a kiedy alkohol uderza mi do głowy, zdaję sobie sprawę, że coraz trudniej jest mi wytrzymać jego opanowany wzrok. Tak jakbym przestała być odporna na jego urok. *Pieprzyć to*. Staję prosto, odmawiając zostania zahipnotyzowaną jego pewnością siebie.

Ja też jestem pewna siebie, do diabła.

Chwieję się na szpilkach.

Podchodzi do mnie, łapiąc mnie mocno za biodra i przyciągając do swojego ciała.

Łapię się jego przedramienia.

- To było niepotrzebne, Richard. Nie *upadłabym*. – Krzywię się na to słowo. Upaść. Ja nie upadam.

Po raz kolejny ociera się ustami o moje ucho.

- Pamiętasz, co się dzisiaj liczy, Rose?

*Tak*. Musi mnie *wszędzie* dotykać. Przytakuje jednym skinięciem głowy i spogląda mi w oczy, upewniając się ostrożnie czy mi to nie przeszkadza.

Nie przeszkadza.

Taki jest nasz plan.

Lubię plany.

- Dlaczego nie nosisz zieleni?! – pyta barman Connora, przysuwając moje jabłuszko i wcinając się w naszą rozmowę. Biorę drinka z wdzięcznością.

W oczach Connora pojawia się cień rozdrażnienia, najprawdopodobniej widoczny tylko dla mnie. Odpowiada nonszalancko barmanowi.

- Tworzę własne szczęście, więc tak naprawdę w dzień świętego Patryka powinno się świętować mnie. – Milknie na chwilę. – I wolę kolor *niebieski*.

Zaciskam wargi, próbując się nie uśmiechnąć, chociaż bardzo chcę. Barman śmieje się rozbawiony. Nie skupiam uwagi na reszcie ich rozmowy, bo w mojej ręce wibruje komórka.

Sygnal dochodzi z torebki Lily. Wyciągam jej telefon, zbyt zaciekawiona i może gdybym nie była taka podchmielona, to miałabym większy szacunek. A przynajmniej tak sędzę.

Na ekranie widnieje wiadomość.

*Spójrz jaki uroczy – Mama*

Odblokowuję telefon Lily hasłem (urodziny Moffy’ego) i widzę zdjęcie, które matka dołączyła do wiadomości. Moffy jest otulony niebieskim kocykiem, śpiąc na kolanach mojej matki.

*Co?* Sprawdzam moją komórkę – zero wiadomości o Jane. Cieszę się, że matka i Lily ożywiły pewne części ich relacji, ale chciałabym dostać *coś* o Jane.

- Co się dzieje? – pyta Connor, masując mi dół pleców. Spogląda pomiędzy obydwoma telefonami w moim uścisku.

- Po prostu trudno mi było zostawiać ją tam na noc – przyznaję. Mam lekkie poczucie winy, że tak długo mnie przy niej nie ma, ale moja mama nakłaniała nas do wyjścia. Chciała „babcinego” czasu. Nigdy nie sądziłam, że będzie taka entuzjastyczna co do bycia babcią. Nie zachowywała się tak, kiedy Poppy urodziła córkę, ale może nadal gryzie ją puste gniazdo, odkąd nie ma Daisy.

- Jane nic nie będzie – uspokaja mnie Connor. – Jeżeli chcesz wracać do Fila...

- Nie – przerywam mu. Jeżeli wrócę do domu i zawałę nasze plany, to zawiodę. Czasami muszę sobie odpuścić. – Czuję się doskonale. – Udowadniam, biorąc łyk jabłuszka a on przygląda mi się z najbardziej obojętną, stoicką miną: pustą i nieczytelną, dlatego trochę przerażającą.

Connor obejmuje moją twarz, przesuwając wzrokiem po moich rysach, a kiedy przeciąga kciukiem po mojej dolnej wardze – odwracam głowę, szukając widowni. Dostrzegam zerkającego na nas barmana razem z *hordą* ludzi, którzy kierują na nas aparaty komórkowe... chociaż większość nagrywa tańczących Lily i Lorena.

Connor ściska mój podbródek, zwracając moją głowę w jego stronę.

- Concentre-toi sur moi. – *Skoncentruj się na mnie*. Jego ton jest częściowo pocieszający, a częściowo tak silny jak jego uścisk. Nigdy nie wrzuciłby mnie na głęboką wodę, gdyby sądził, że utonę.

Moje tętno przyspiesza. – Pocałujesz mnie? – pytam, słysząc niepokój w swoim głosie. Nie cierpię tego dźwięku. Wypijam jabłuszko do cna.

Gładzi mnie po głowie, moje włosy są zawiązane w ciasnego kucyka.

- Przestań tyle myśleć, Rose – nakłania.

To nie jest dla mnie takie proste, nie kiedy obserwuje nas tylu ludzi. Stawiam pustą szklankę na barze, a on znowu przywołuje barmana. Orientuję się, że wciąż *czepiam się* przedramienia Connora, jakbym inaczej miała upaść.

To nie jest dla mnie szczególnie normalne. *Bądź pieprzonym rekinem, Rose.*

Będę. Kłapnę szczęką na każdego znajdującego się tutaj człowieka.

- Rose. – To nie Connor. Przy moim boku staje Ryke, podczas gdy Daisy osuwa się przede mną na najbliższy wolny stół. Jej oczy zasłaniają okulary przeciwsłoneczne w kształcie czterolistnych koniczyn i ma na sobie koszulkę z napisem „*Potrząśnij Koniczynką*”. Siedzi do mnie plecami, dlatego nie widzę jej uśmiechu.

Obracam się do Ryke’a.

Ma większy zarost na szczęce, przez co zdaje się starszy. Cały zeszły tydzień spędził na obozowisku w górach z Daisy i ich huskym, wciąż nie dostał pozwolenia od lekarzy, żeby się wspinać. Daisy pomyślała, że biwakowanie pomoże mu w tym oczekiwaniu.

- Co? – pytam oszraniając to jedno słowo. Przynajmniej moja zgryzota jeszcze nie zniknęła. *Prawie* podnoszę pustą szklankę, żeby się napić. Upominam się, żeby tym razem nie robić z siebie pijanej idiotki.

Connor odrywa się ode mnie, tylko jego palce wciąż leciutko zahaczają o moje. Pochyla się nad barem, żeby porozmawiać z barmanem, a ciągła muzyka zagłusza ich pogawędkę.

Ryke kładzie rękę na moim ramieniu i nachyla się bliżej, żeby nie musieć podnosić głosu.

- Masz Advil albo Midol? – pyta.

Prostuję się gwałtownie, kierując spojrzenie na moją siostrę. Opiera stopy na stołku, przyciskając nogi do klatki piersiowej, siedząc w pozycji embrionalnej. Gdy obraca do mnie głowę, na jej twarzy odmalowuje się promienny, obezwładniający uśmiech. *Prawie* jej wierzę, ale słyszę jak mówi bezgłośnie „*nie chcę zepsuć wam zabawy*”.

- Jak silne są jej skurcze? – pytam, najpierw otwierając moją torebkę. Szminka, puderniczka, małe perfumy, puder, gumy miętowe, agrafki...

- Na tyle silne, że musiała usiąść. – Przeczesuje sobie włosy, przyglądając się mojemu szperaniu w torebce dwa razy większej od Lily. Wszystkie moje rzeczy są schludnie pochowane w kieszeniach i małych portfelach.

...mini komplet krawiecki, spinki do włosów, zmywacz, mała szczotka, prawo jazdy, karty kredytowe i debetowe, super klej (broń Boże, żeby połamiał mi się obcas) i...

- Advil – mówię, podając mu małą buteleczkę leku przeciwbólowego.

Otwiera buteleczkę.

- Pusta.

- Jak to? – Zabieram mu ją i potrząsam... żeby odkryć, że nic tam nie ma. – Może Lily coś ma. – Otwieram jej torebkę, znajdując jej dowód osobisty, pieniądze, komórkę i pełno prezerwatyw.

Przynajmniej nosi ze sobą zabezpieczenie.

- Nic? – pyta Ryke, widząc moją pochmurną minę. – Ja pierdolę – jęczy, patrząc na Daisy.

- Nic mi nie będzie! – krzyczy. – To nic takiego! – Obraca wesoło swoimi brokatowymi, zielonymi okularami i znowu je zakłada.

On tego nie kupuje i ja także.

- Poszukaj Poppy – mówię mu, czując skręcające się wnętrzności na myśl, że jestem tak bardzo nie pomocna, iż muszę oddać to zadanie komuś innemu. – Ona powinna coś mieć.

Kiwa głową z nadzieją w oczach.

- Popilnujesz dla mnie Daisy?

- Oczywiście. – Gdy on przeciska się przez tłum w poszukiwaniu Poppy, zamierzam całkowicie oderwać się od Connora i dołączyć do Daisy.

W efekcie nie tylko Connor trzyma mnie teraz za prawie całą rękę, ale telefon Lily zanosí się dzwonkiem. Kręci mi się w głowie od alkoholu i jestem na tyle rozkojarzona komórką, że wchodzę w wiadomości Lily.

*Lil. Ile zajmuje ci sikanie? – Lo*

Myślałam, że tańczyli? Alkohol musi mącić mi poczucie czasu. Już jest druga.

Obracam głowę na lewo i prawo, i w końcu dostrzegam Lorena przed drzwiami damskiej łazienki, w której są kabiny, dlatego nie wpada do środka ani nie puka do drzwi.

Zaciekawiona przeglądam starsze wiadomości mojej siostry. Trzeźwa Rose *nigdy* nie dokonałaby tak nielojalnego czynu, chyba że chodziłoby o pomoc Lily, ale moja moralność całkowicie odleciała.

Ich ostatnia dyskusja:

*Moffy właśnie powiedział „kupa”! Za dużo mówimy o kupie, Lo. – Lily*

Mięknę i czuję jak moje zmrożone stawy zaczynają się rozmrażać. Moja młodsza siostrzyczka jest szczególnie cenna i na szczęście pierwszym słowem jej syna nie była „kupa”, tylko „kuku”. Często bawią się z nim w „a kuku”.

Czytam dalej.

*Przynajmniej nie powiedział „gówno”. – Lo*

Wywracam oczami i pojawia się nowa wiadomość, a mój wypity wzrok chłonie każde słowo bez niczyjzego pozwolenia.

*Proszę, odpisz, żebym wiedział, że wszystko okej. – Lo*

Jestem pewna, że Lily nic nie jest, a gdyby Loren tak bardzo mnie nie drażnił, to może tak bym odpisała. Wykorzystuję wolną rękę do napisania takiej wiadomości szybkimi, niedbałymi palcami: *Zielone jabłuszko*.

To tak przypadkowe jak ja się czuję.

Wysyłam i obserwuję jak na jego twarzy pojawia się konsternacja. Odpisuje prędko.

??? – Lo

Prycham pod nosem, uśmiechając się szelmowsko. „*Przeleć kaktusa*” piszę i wysyłam... a kiedy czytam wiadomość, orientuję się, że napisałam: *Przejedź koalę*.

Serio, Rose?

Lo nie marnuje czasu, wpadając do łazienki. Znowu błyskają flesze, rozjaśniając tyły pubu. Po jakiejś minucie wychodzi z Lily u boku i patrzę jak rozgląda się ostrym wzrokiem.

Wbija spojrzenie we *mnie*. Lily pewnie mu powiedziała, że mam jej komórkę. Podnosi rękę w powietrzu i pokazuje mi wulgarny gest.

Unoszę moją rękę i... przypadkiem upuszczam telefon Lily. Nic nie idzie zgodnie z planem. Schylam się po resztki komórki. „*Nie bądź połamana*” powtarzam ze wściekłym warknięciem.

Odnajduję idealnie nietknięty telefon i odkładam go bezpiecznie do jej torebki, którą kładę na barze przy Daisy.

- Popilnujesz? – pytam, nadal ściskając rękę Connora.

Posyła mi uśmiech i unosi kciuk do góry, zielone okulary przeciwsłoneczne maskują jakiegokolwiek cierpienie, które może teraz odczuwać. Dosłownie brakuje mi paru sekund, żeby poprosić naszych ochroniarzy o pójście do apteki. Nawet wyszłabym razem z nimi.

- Mam Advil! – woła Poppy, przeciskając się przez tłum, a za nią idą Ryke i Sam. Moja opalona, starsza siostra jest bardziej przygotowana w najszcześniejszy dzień w roku niż ja. Jej długie, proste włosy opadają na zieloną tunikę, drewniane bransoletki dekorują jej przedramię.

Poppy jest „fajna” w porównaniu do mnie, jak kiedyś powiedział Loren. Nie jestem zaskoczona. Gdy byłam młodsza, zawsze znikła na naszym podwórku, żeby malować, odnajdując ciche miejsca z dala od naszej matki. W nastoletnich latach odkryła spokój, który zabrała ze sobą do tego czasu.

Mam dwadzieścia sześć lat i *spokój* wciąż omija mnie szerokim łukiem, nawet w podchmielonym stanie.

Może dlatego mam Connora. W chwili, kiedy o tym myślę, on kończy rozmawiać z barmanem. Przysuwam się bliżej do niego i szukam w jego dłoniach oraz na barze mojego drinku. Nigdzie go nie ma.

- Czy ty po prostu sobie z nim gadałeś przez cały ten czas? – pytam, powoli zaczynają boleć mnie nogi. Nie przez buty, ale ciągle naprężające się mięśnie.

*Nie zdradziły mnie własne szpilki.*

Connor chwyta mnie za biodra i troszkę mocniej przyciąga do swego ciała, tak mnie przesuwał, że napieram plecami na bar. Patrę przez ramię, licząc na to, że zobaczę barmana przygotowującego mi drinka, ale on obsługuje inną dziewczynę.

- Rose. – Connor wypowiada stanowczo moje imię i jednocześnie zwraca moją uwagę. Skupiam się na nim, jego ciemnoniebieskie oczy niemal mnie pożerają. Jego wzrok jest tak nieprzyzwoity jak to brzmi.

*Uwielbiasz to, Rose.*

Uwielbiam, ale ci ludzie...

Łapie mnie za twarz, posiadając mnie tym jednym silnym gestem.

- Nie jestem gotowa... - Te słowa mrowią moją skórę. – Potrzebuję jeszcze drinka, Richard.

Opuszcza głowę, muskając mnie ustami po czym szepcze coś po francusku. Nie potrafię tego przetłumaczyć, dopóki nie wypowie się wolniej. Alkohol płacze moje myśli i dostrzega konsternację na mojej twarzy.

- Skoncentruj się na mnie – powtarza.

Wysilam się na przyzwoite wściekłe spojrzenie.

- Koncentruję.

Spodziewam się, że teraz mnie pocałuje. *Będzie się z tobą obściskiwać przy barze, kiedy wszyscy będą patrzeć.* Zastanawiam się czy wyczuwa mój szybki puls, gwałtownie poruszając się klatkę piersiową, czuję zarówno niepokój, jak i pragnienie.

W mgnieniu oka łapie mnie w tali i podnosi na bar.

Co, do chuja.

Co, do chuja.

Moje pośladki dotykają drewnianej powierzchni i wszystkie kamery zwracają się w naszym kierunku. Moje nogi zwisają z krawędzi i ściskam jego przedramiona tak mocno, że moje paznokcie pewnie zostawią ślady.

- Connor...

Spodziewam się, że pocałuje mnie *teraz*.

Nie robi tego.

Zamiast tego bez problemu wspina się na bar i klęka po obu stronach moich ud. Tłum bije brawo i przyglądam się jego twarzy: rosnący uśmiech, oczy utkwione tylko we mnie, palce... palce *usuwiają* pierwszą warstwę jego ubrania... ściąga bluzkę z długim rękawem przez głowę, teraz jest w białej koszuli i krawacie, które nosił pod spodem.

Odrzuca granatową bluzkę na bok.

Zespół cichnie, pozostawiając tylko szum rozmów i tę scenę na barze oświetloną fleszami telefonów. *Wszyscy* na niego patrzą.

Bardziej na niego niż na mnie.

Ten fakt zaczyna zamieniać mój niepokój w seksualne przebudzenie, czuję przyspieszające tętno w kroczu. Mój mózg stara się zrozumieć obecne wydarzenie, kiedy rozluźnia sobie krawat.

Drugą ręką chwyta mnie za tył głowy. I bardzo powoli, żebym zrozumiała, szepcze:

- Przygotuj się, kochanie. – Jego oddech rozgrzewa moją szyję. – To może ci zakręcić w głowie.

Rose Cobalt

Moje ciało wibruje, a on przebiegle obwiązuje moje nadgarstki swoim krawatem, krępując je za moimi plecami. Oklaski w barze prawie wybudzają mnie z tego momentu, ale Connor kładzie rękę na moim policzku.

- Patrz tylko na mnie – przypomina.

Kiwam głową, ufając mu. Potem całuje mnie tak mocno, przygryzając moją dolną wargę po czym podnosi się z klęczek.

*Góruje* nade mną, moja głowa znajduje się na równi z jego kroczem.

O Boże.

Krzyżuję kostki, które zwisają z baru i ściskam uda, bo to pulsowanie zaczyna boleć. Moje ciało wrzeszczy, żeby wbił się we mnie, ta *potrzeba* narasta w wypełnionym po brzegi barze. To nie może dziać się naprawdę.

Ale dzieje.

Gładzi mnie ręką po głowie, znajdując się odległość ramienia ode mnie, nawet stojąc. Podnoszę na niego wzrok i odpina swoją koszulę z gorącym, zmysłowym spojrzeniem, które jest jak twarde pchnięcie.

- Zdejmij! Zdejmij! – woła tak wielu ludzi. Wśród nich znajdują się moje siostry i przyjaciele tłoczący się blisko baru.

Connor ciągnie mnie za kucyk, zmuszając, żebym skupiła się z powrotem na nim, nie na otoczeniu. „*Skup się*” mówią głośno i wyraźnie jego oczy.

Odpina ostatni guzik, a rozsuwająca się koszula ukazuje irytująco wyrzeźbiony zestaw mięśni brzucha i te umięśnione bicepsy. Mój mąż rozbiera się na barze, to show przeznaczone do poruszenia mediami, ale także dla mnie.

Jego pewność siebie zamienia akt, który mógłby być głupi i niedbały we władce, pobudzające doświadczenie, które niewątpliwie podnieciło moje ciało. Jestem kompletnie przemoczona. Jestem spragniona jego penisa. Nie wspominając o tym, że najbardziej napalona jestem parę dni przed okresem i to jest jeden z tych dni.

A jego ręka – ta opiekuńcza i zaborcza ręka trzymająca mnie za głowę naprawdę mi nie pomaga.

Odrzuca białą koszulę na bok, teraz na wpólnagi.

- ZDEJMIJ! – Okrzyki są coraz głośniejsze.



Jego spodnie... czy on...?

Odruchowo chcę użyć rąk, żeby zakryć buzię, która dosłownie wciąż się sama otwiera. Szarpnię nadgarstkami w opasce i Connor po raz kolejny ciągnie mnie za kucyka, dopóki nie spotykam jego intymnego wzroku, który we mnie wchodzi.

Biorę płytkie, krótkie wdechy.

Kąciki jego ust znowu zaczynają się unosić, szczególnie kiedy rozpina pasek, tuż przy mojej twarzy. Ja... pieprzę. Przysuwa się bliżej, tak że niemal napieram policzkiem na jego penisa, pomiędzy nami jest centymetr przestrzeni. Gdy odpina spodnie, ociera się knykciami o mój nos.

- ZDEJMIJ!

Wycia aprobaty tkwią gdzieś daleko z tyłu mojego umysłu. Moją skórę owiewa fala gorąca, jakbyśmy uprawiali seks na barze. Czy tak jest? *Czuję*, jakby mnie pieprzył, tu i teraz. Wszyscy się przyglądają.

Ani razu się nie waha. Nawet nie wzdryga. Zachowuje się, jakbyśmy byli tutaj we dwójkę, jakby to była najłatwiejsza przygoda w jego życiu.

- Connor... - mówię nie zbyt ostrzegawczo, ale w moim mózgu błyskają same wykrzykniki. Przekornie opuszcza rąbek spodni, centymetr po centymetrze, ukazując pasek granatowych bokserek.

Rzucam szybkie spojrzenie moim siostram i wszystkie przyciskają palce do szerokich uśmiechów. Oczy Lily wyglądają, jakby zaraz miały wyskoczyć z oczodołów.

Doświadczam wewnątrz to wszystko i pulsujące podniecenie, które wrzeszczy „*przeleć mnie, przeleć mnie, przeleć mnie!*”.

Connor zamienia ręce na mojej głowie, trzymając mnie lewą – dla Connora jego lewa dłoń to ta bardziej dominująca.

Loren staje za Connorem i ściąga mu spodnie razem z bokserkami na tyle, żeby pokazać goły tyłek. Connor uśmiecha się do *mnie*. Pewnie pokazuję na twarzy każdą emocję, która uderza we mnie ze wszystkich stron.

Lo szczypie go w pośladki.

- Szczęśliwego dnia świętego Patty’ego, skurczybyki! – Wszyscy wiwatują i podnoszą w toaście piwa oraz zielone drinki. Podnosi z powrotem bokserki Connora, ale jestem świadoma, że Connor całkowicie unieruchomił mi głowę na wysokości swojego penisa.

Ociera się o mój policzek trzy razy, moje ciało rozpala się od środka, a z gardła wyrывa jęk, który jest stłumiony przez otaczający nas rozentuzjasmowany tłum.

Udaje mi się uwolnić ręce spod krawata i jedną ręką chwytam go za udo, drugą kładę trochę wyżej. Jego tyłek napina się pod moim dotykiem.

Zamarłam.

Obniża się, znowu kucając nade mną i kiedy kręci mi się w głowie na milion różnych sposobów, on dotyka moich ust, siła – władza powracają. Choć nigdy nie odeszły. Po prostu wypełniają mnie ustnie, kiedy rozchyła językiem moje wargi, przyciąga mnie do swojego ciała.

Nie umiem dotrzymać mu kroku. Padam tam, gdzie mnie kieruje. W upajające uczucie, które mi zapewnia. Trzymam się jego bicepsów i schodzi z baru, biorąc mnie razem ze sobą, stawiając mnie na nogach.

Wciąż mnie całuje, wciąż przyciska do siebie. *Tak*, myślę. Trzyma mnie tak jak uwielbiam być trzymana i akceptuję go, każde działanie, każde muśnięcie językiem. Moje wargi stają się obolałe pod jego naciskiem, skóra oblewa rumieńcem, alkohol nigdy nie osiągnie na mnie takiego samego efektu, co Connor.

- ZRÓB TO JESZCZE RAZ, CONNORZE COBALCIE! – Pobliski wrzask włamuje się do moich działań i mrużę oczy w ostrym świetle fleszów, które po raz kolejny przychodzą falami. Mój mąż nadal nie ma na sobie koszuli, jego pasek i spodnie są rozpięte, ale przynajmniej zakrywają tyłek.

Connor trzyma czule moją twarz, uśmiechając się coraz szerzej.

- Podobało ci się.

Uderzam go po klatce piersiowej, nadal ciężko oddychając, a on prawie wcale nie dostał zadyszki. Chwyta moją dłoń i całuje moje knykcie. Uświadamiam sobie, że nie musiałam upić się do nieprzytomności, żeby osiągnąć większy publiczny pokaz niż większość ludzi w całym swoim życiu.

Sprawił, że poczułam się bezpieczna.

Nieskrępowana. Już kiedyś zrobił to samo, zajmując moje miejsce, abym nie wpadła w panikę. Jego pewność siebie potrafi wlać się we mnie i kocham tego człowieka przede mną... mężczyznę, z którym *zawsze* chcę być.

Rozkładałam ręce na jego nagim torsie, a on obejmuje mnie ramionami, nawet jeśli nie odwdzięczam się tym samym. Po prostu trzymam tam dłonie.

Podchmielona ja prawie chce mu powiedzieć *„jesteś taki seksowny. Chcę cię bzyknąć. Jesteś do bzyknięcia, wiesz? Masz idealne włosy. A usta jeszcze bardziej.”* Wciąż otwieram usta, ale sama myśl o wydukaniu nazbyt słodkiego komplementu smakuje dziwnie i niewłaściwie.

Dlatego pozostaję przy tym.

- Nienawidzę cię.

Uśmiecha się szerzej.

- Tak bardzo, że gdybym został tam trzy minuty dłużej, dostałabyś orgazmu.

Prycham.

- Nie... - urywam, przypominając sobie pulsowanie mojego ciała, które wspinało się na szczyt. *Dostałabyś orgazmu na barze, Rose. Przy wszystkich.*

Wierzę, ale unoszę rękę do jego twarzy, żeby go uciszyć.

Łapie mnie za nadgarstek i przysuwa usta do mojego ucha.

- Dzisiaj się tobą zajmę.

Tłumaczenie: *Jeśli chcesz pij dalej.*

Chcę.

A potem patrzę jak odrywa ode mnie oczy i podążam za jego wzrokiem do Ryke'a. Wszyscy śmieją się wokół niego. Nawet Daisy wygląda, jakby czuła się lepiej z radośniejszym, szczerzym uśmiechem. Jednakże on ma mroczne, pytające spojrzenie skierowane na nas.

Spojrzenie mówiące: *„dlaczego oni to, kurwa, robią? Przegrali jakiś zakład? To nie ma pierdolonego sensu...”*

Czego nie możemy odpowiedzieć: *„robimy to, żeby odwrócić uwagę od naszych dzieci”*

Być może nadeszła noc, kiedy Ryke nie pogodzi się z niejasnymi wymówkami i zawalczy o prawdziwą odpowiedź.

*Connor Cobalt*

Daisy i Rose idą chwiejnie hotelowym korytarzem, śmiejąc się pijacko i opierając się o siebie nawzajem. Obie popijały kieliszki tequili dopóki nie zamknięto pubu i śpiewały „My Heart Will Go On” Celine Dion, niesamowicie fałszując.

Cały ten scenariusz byłby dla mnie zabawniejszy, gdyby nie było przy mnie Ryke’a, który po cichu rozmyślał nad moim striptizem w pubie. Praktycznie wyczuwam jego pracujący umysł, kiedy idziemy za dziewczynami i rzuca mi powściągliwe, ostrożne spojrzenia, licząc na to, że spojrzę mu w oczy i wyznam wszystkie moje sekrety.

Nie jestem taki łatwy do złamania.

Dziewczyny potykają się o siebie przy naszym pokoju hotelowym i upadają na podłogę, *chichocząc*. Pocieram usta, próbując powstrzymać śmiech, ponieważ Rose nigdy nie wydaje takiego dźwięku. To rzadkość, którą zapamiętam – którą uwielbiam.

Zatrzymuję się przed nimi, a one patrzą na mnie z dołu.

- Dziewczęta – mówię, podając Ryke’owi kartę magnetyczną.

- Rose chce babeczkę. Nieprawdaż, Rose? – pyta Daisy z zaszklonymi oczami i poklepuje Rose po policzku.

Rose ma zadowolony uśmiech.

- Tak... poproszę babeczki. – Wyciąga rękę, jakby czekała aż ucałuję jej obrączkę albo przyniosę przysmak.

- Co powiesz na łóżko, kochanie?

Robi minę, jakbym zaproponował jej brud w siatce.

- Paskudny prezent, Richardzie.

Chwytam ją za przedramię i pomagam wstać, ale traci równowagę. Łatwiej mi zanieść moją żonę, dlatego biorę ją na ręce i otwieram szerzej drzwi kopniakiem zanim znowu się zamkną po czym Ryke pomaga Daisy tym samym sposobem.

- Dzisiaj śpimy razem – oświadczają za mną Daisy, obejmując Ryke’a za szyję, kiedy wnosi ją do pokoju z jednym wielkim łóżkiem.

Kładę Rose na łóżku hotelowym, gdzie przytula się do poduszki.

- Chłopcom wstęp wzbroniony – dodaje Rose, co tym bardziej pozostawia mnie sam na sam z Rykiem. Mamy *cztery* pokoje hotelowe i miałem nadzieję, że dziewczyny będą chciały pogadać jeszcze godzinę, a potem pozwolą się rozdzielić.

Najwyraźniej nic z tego nie będzie.

Ryke nie sprzeciwia się i rzuca Daisy na łóżko obok siostry. Ona wybucha śmiechem, a Rose rozkłada ramiona, jakby nagle znalazła się na morzu, tonąc na Titanicu. Jej gumka do włosów zatonała w głębi białej kołdry.

Pochyliłam się nad żoną i odsuwam włosy z jej twarzy, a ona patrzy na mnie zmrużonymi oczami, nawet oszklone wciąż zawierają żar. Krew napływa do mojego penisa. Zawsze potrafię wyczuć, kiedy zaczniesz miesiączkowanie, ponieważ moje ciało staje się bardziej prymitywne, przyciąga mnie jej każdy fizyczny ruch.

W tym okresie wydziela feromony, a te substancje chemiczne zwykle obezwładniają mnie do chwili, kiedy ją przelecę – ale dzisiaj jest inaczej.

Przygląda się uważnie moim ustom.

- Dlaczego cię kocham?

Drażnię ją.

- Jeżeli naprawdę chcesz, żebym wymienił wszystkie powody, zostanę tutaj całą noc.

Próbuje zakryć mi usta ręką i całkowicie nie trafia, uderzając w powietrze obok mojej głowy. Śmieję się.

Zauważam Ryke'a siedzącego na brzegu łóżka z Daisy rozpostartą na jego kolanach.

- Wielki, zły wilku... - Podnosi rękę, żeby dotknąć jego włosów, ale jej ramię opada bezwładnie obok. – Zjedz mnie.

To prowokujące, nietrzeźwe oświadczenie, które staram się zablokować.

Ryke opuszcza do niej głowę, całując Daisy raz... dwa razy po czym mówi:

- Każdego pieprzonego dnia, słońce.

- Gdzie Lily? – pyta mnie Rose.

- W swoim pokoju z Lo. – Pieprzą się, wolałbym to samo robić z Rose zamiast przebywać w towarzystwie Ryke'a.

- Gdzie Poppy?

- W swoim pokoju z Samem.

- Gdzie Willow... i jej chłopak? – Rose uderza dłonią w powietrze, pragnąc odpowiedzi. Chwytam jej rękę.

- Siostra Lo nie chciała wychodzić – przypominam Rose. Willow skończyła osiemnastkę w zeszłym tygodniu, ale Lo powiedział, że wolała spędzić noc w swoim mieszkaniu i poczytać komiks. – I nie ma chłopaka. – Wiem, że Rose pewnie miała na myśli Garrisona.

Rose prycha i próbuje zbyć mnie machnięciem ręki, ale mam ją w posiadaniu.

- Widziałam jak flirtują – mówi rzeczowo, jakby to był wystarczający dowód.

- Twoja logika nie jest mocna, kochanie. – Poprawiam jej sukienkę, kiedy podwija się do góry. Dałbym sobie spokój, ale jest tutaj też Ryke. – Flirtowaliśmy latami, a nigdy nie nazwałaś mnie swoim chłopakiem.

Otwiera szeroko usta i w jej oczach iskrzy się płomień.

- My nie *flirtowaliśmy*.

Unoszę brew.

- Kiedy miałem siedemnaście lat powiedziałaś, że chcesz wykonać na mnie sekcję zwłok, *rozłupać* mi żebra i ścisnąć moje serce dopóki nie wybuchnie w twoich palcach. - Co to niby jest, jeśli nie flirt?

Podnosi głowę z poduszki, żeby się do mnie zbliżyć, podpierając się na łokciach.

- To było okazywanie mojej nienawiści, Richard. Marzyłam o twojej *śmierci*.

- Marzyłaś o ściśnięciu mego serca – odpieram.

- O *zabiciu* cię – podkreśla.

Zbliżam się do niej, patrząc jej w oczy.

- Vous m'aimiez. – *Kochałaś mnie*.

Oddycha płytko i opada na materac, dość szybko się poddając, przeważnie z powodu alkoholu. Jej ciężkie powieki walczą o dłuższe pozostanie otwartymi, żeby tylko wściekle na mnie patrzeć.

Kiedy odwracam się, żeby spojrzeć na Ryke'a, patrzy pomiędzy Rose a mną z większą podejrzliwością niżbym tego chciał.

- Wiecie – mówi – przez tyle lat nigdy, kurwa, nie rozumiałem dlaczego oboje sporadycznie używacie „vous” zamiast „tu”.

Moje mięśnie pozostają naprężone, nawet jeśli to jest dla mnie bezsensowny temat.

Rose odpowiada przede mną.

- Tak jest oficjalnie. – Nie jesteśmy francuzami. Ponieważ zwykle rozmawiamy w tym języku tylko ze sobą, robimy co chcemy.

- Chodziliście ze sobą, a teraz jesteście pieprzonym małżeństwem – odparowuje Ryke. – Wasz związek nie jest oficjalny.

- Nie zawsze ze sobą chodziliśmy i nie zawsze byliśmy małżeństwem – wyjaśniam, odnosząc się subtelnie do naszego okresu w liceum, kiedy byliśmy rywalami. – Nasza początkowa relacja była oficjalna, dlatego teraz zmieniamy formę, kiedy tylko chcemy. Jesteśmy doskonale świadomi zasad. One po prostu nas nie dotyczą.

Rose uśmiecha się od ucha do ucha.

Twierdzi, że nienawidzi, kiedy jestem zarozumiały, ale jestem więcej niż pewien, że bierze rozkosz z prawdziwego mnie, nawet jeśli jestem aroganckim kutasem.

Ryke potrząsa głową, jakby żałował, że w ogóle zapytał i zsuwa Daisy ze swoich kolan, przybliżając ją do Rose i dziewczyny zaczynają szeptać między sobą.

Wstaję z łóżka jednocześnie z Rykiem i wymieniamy się porozumiewawczymi spojrzeniami.

Naprawdę musimy spędzić razem czas sam na sam, pomijając poranne mijanie się w korytarzu i sporadyczne, dziesięciominutowe rozmowy. Bez Daisy. Bez Lorena. Bez niczego, co by nas łączyło.

Cudownie.

*Connor Cobalt*

Kończę brać prysznic po Ryke'u. Wcześniej porozumieliśmy się kilkoma słowami, które potwierdziły, że spędzimy wspólnie tę noc w tym pokoju hotelowym. Nie żywimy do siebie takiej nienawiści, żeby dręczyć recepcjonistkę o czwartej nad ranem o dodatkowy pokój w dzień świętego Patryka. I nie jestem głupi, żeby wierzyć, iż Ryke porzuci podejrzenia, jeśli zostaniemy rozdzieleni.

W końcu poruszy ten temat, więc równie dobrze może to zrobić dzisiaj.

Po wyszorowaniu zębów i założeniu spodni od pidżamy, spod drzwi nadal wyziera światło. Przypuszczam, że nie poszedł spać, żeby mnie przepytac i tak naprawdę nie myślałem, że zaśnie bez tej rozmowy.

Wychodzę cicho, mijając garderobę wyslaną lustrami i wchodzę do głównej części nowoczesnego pokoju hotelowego: biurko, krzesło i wielkie łóżko, nic więcej. Jeszcze zanim Ryke mnie zauważy, widzę go siedzącego po swojej stronie łóżka ze zgiętymi kolanami, coś jest za nimi ukryte.

Ma na sobie szare, bawełniane dresy, na wplynagi z ciemnym tatuażem ciągnącym się od barku przez zebra do biodra. Gdy opuszcza jedno kolano, dostrzegam bliznę po przeszczepie. Zaczyna się tuż pod mostkiem, dokładnie po środku klatki piersiowej i zatrzymuje nad pępkiem, skręcając pod zebami, prawie przypomina literę L.

Teraz towarzyszy małej bliznie na jego brwi po zamieszkach w Paryżu.

Nigdy nie traktowałem ludzi, jako fizycznych obrazów ich życia, pokazujących czas i wspomnienia jak Ryke, czy to z wyboru, czy przez okoliczność. Ja mogę być pustym płótnem, ale nie wszyscy tacy są.

Podchodzę bliżej i obniża drugie kolano, podnosząc głowę. Wtedy zauważam w jego dłoni książkę. *On czyta*. O dziwo, nigdy wcześniej nie widziałem czytającego Ryke'a.

Wsadza książkę pod poduszkę.

- Muszę cię o coś spytać. – Próbuje odwrócić moją uwagę.

Moja ciekawość wzrosła i nie zamierzam odpuścić. Kieruję się do jego strony łóżka, a on natychmiast wstaje i blokuje mi przejście do swojej poduszki, jego szczęka twardnieje, a twarz zasnuwa mrok.

Nigdy mnie nie przerażał.

- Naprawdę, kurwa, muszę z tobą pogadać.

*Wiem.*



- Dlaczego tak się wstydzisz tego, co czytasz? – pytam, wiedząc, że nie chodzi o wstyd.

- Spieprzaj. – Patrzy na mnie spod byka. – Niczego się nie wstydzę, więc nie przekreślaj tego na swoją korzyść.

Przekreślam to na moją korzyść, ale jeszcze nie skończyłem.

- Jeżeli się nie wstydzisz, to nie powinieneś mieć problemu z pokazaniem mi książki.

Jego nozdrza drgają.

- Jakie to ma dla ciebie znaczenie czy czytam etykietkę szamponu, czy *Uliisses*?

- Cenię inteligencję – odpowiadam swobodnie. – Według mnie to oburzające, że ukrywasz swoją.

- No i proszę. – Pokazuje między mną a sobą. – Nie oceniam ludzi wyżej lub niżej od siebie opierając się na tym czy potrafią osiągnąć więcej punktów ode mnie na pieprzonym sprawdzianie z matmy.

A więc tak mnie widzi? Kręcę głową.

- Źle mnie oceniłeś. Nie mówię, że patrzę z góry na Lo czy Lily, ponieważ nie są tak inteligentni jak ja. Posiadają inne cechy, które podziwiam i cenię i których mnie brakuje, ale oni przed nikim nie ukrywają tych cech.

- Niczego nie ukrywam, do chuja.

- Twoja książka dosłownie leży pod poduszką, ukryta przede mną.

Napina szczękę.

- I mówię, że ta książka nie jest moja. Mogę tak przez cały jebany dzień, Cobalt.

- Jest pora nocna – poprawiam.

- Jakiś ty, kurwa, irytujący. – Krzywi się i wzdycha ciężko. Nie ruszam się i to drażni go na tyle mocno, że sięga po książkę. Wpycha mi ją w pierś.

Czytam hiszpański tytuł. *El cuento de la criada* autorstwa Margaret Atwood, obcojęzyczna wersja *Opowieści podręcznej*.

- Czytałeś ją wcześniej? – pytam. Czytałem jedynie angielską wersję, ale cieszy się dużą popularnością i właściwie należy do ulubionych powieści Rose, science fiction z feministycznymi tematami.

- Tak. – Zabiera mi ją. – Nie będę sobie z tobą urządzał klubu książkowego o czwartej nad pieprzonym ranem... ani kiedy indziej. – Chowa książkę do swojego plecaka.

Podchodzę do okna, bordowe zasłony odsłaniają błyskotliwy widok na Manhattan.

- Twoja inteligencja nie należy do twojej matki, wiesz o tym – mówię. – Należy do ciebie. Zasłużyłeś na nią, ona nie. – Patrę przez ramię i stoi sztywno przy łóżku, milcząc. W ciągu tych wszystkich lat, kiedy się znamy, mogę wyliczyć na palcach jednej ręki liczbę naszych szczerych rozmów. Nie wiem dlaczego teraz poruszam ten temat.

Może żeby opóźnić dyskusję o moim sekrecie z Rose.

Może dlatego, że naprawdę myślę, iż dzisiaj się otworzy.

Im dłużej na niego patrzę, tym bardziej jestem pewien, że uderzyłem w prawdziwy powód, dla którego tak często się zamyka. Widzę to, kiedy wpatruje się w przestrzeń, potrząsając głową.

- Dorastając robiłem *wszystko*, o co prosili rodzice. Każdą jebaną rzecz. Nie potrafię oddzielić uczenia się czterech języków od reszty gówna, w które wpakowała mnie mama.

Zebrałem większość z tych faktów poprzez obserwację, ale słyszenie bólu w jego głosie zaczyna przekręcać mi wnętrze. Opieram się ramieniem o okno, czując się lekko nieswojo i zdaję sobie sprawę, że wzbudza we mnie empatię, która rozciąga się tylko do tych ludzi, na których mi zależy.

Patrzy prosto na mnie.

- Chcesz poznać prawdę? Poszedłem na studia i chciałem być po prostu *sobą*. Nie miałem jebanego pojęcia kto to taki, ale pomyślałem, że to rozgryzę. – Wypuszcza gniewnie oddech. – Nie potrafiłem zdecydować czy uwielbiam hiszpański, włoski, francuski czy rosyjski, ponieważ ona chciała, żebym je uwielbiał, czy może naprawdę czułem te emocje. Zmieniałem kierunek *pięć* pieprzonych razy na pierwszym roku, więc śmieję się, kurwa, że wylądowałem na czymś takim jak dziennikarstwo, którego nigdy nie używałem, ale próbowałem niemal wszystkiego i nic mi nie pasowało.

Przetrawiam każde jego słowo i kryjące się za nim uczucie.

Nim zdążę się odezwać, on ciągnie dalej:

- Posłuchaj, ona mi cholernie utrudniła odnalezienie własnej tożsamości, ale gdybym zapytał ją czy mogę iść na wspinaczkę, to chociaż wcale jej się to nie podobało, to i tak by mnie puściła. Moi rodzice snuli kłamstwa i musiałem się do nich stosować, żeby zachować ich reputację. Kiedyś byłem mądrzejszy i uprawiałem sporty, żeby oni byli dumni, nie ja, ale teraz czytam dla *siebie*. Biegam dla *siebie*. Kurwa, odzywam się za *siebie*. Ale byłem szkolony tak bardzo, że wiem, iż niektóre rzeczy są powodowane moimi rodzicami, którzy wciąż tkwią mi w głowie. – Rozkłada ramiona. – Dlatego są pewne języki, których chciałbym zapomnieć.

- Które? – pytam.

- Rosyjski... francuski. – Dlatego próba namówienia go do rozmowy po francusku jest jak wyrywanie zęba.

Podchodzę do biurka i opieram się o nie, kładąc ręce na drewnianej powierzchni.

- Chyba nigdy tak długo ze mną nie rozmawiałeś – mówię - ...doceniam to, jakkolwiek wiele cię to kosztowało. – Moje życie było całkowicie inne.

Nigdy nie walczyłem ze swoją tożsamością tak jak on. Ale ktoś w naszej grupie również dorastał, jako „dziecko na tak”.

- Zawsze widziałeś siebie w Daisy, prawda?

Napina się i potakuje.

- Ta.

- No i wróciliśmy do jednosłownych odpowiedzi.

Przysiada na brzegu łóżka.

- Może powinieneś mi powiedzieć, co dzisiaj wyrabiałeś, do chuja.

Chyba właśnie dlatego wyznał więcej niż normalnie. Sądził, że odwdzięczę się tym samym.

- Już raz zrobiłem dla Rose taniec erotyczny przed wami wszystkimi. To niczym się nie różniło.

- *Rozebrałeś* się przez całym jebanym pubem, nie tylko przed naszą piątką i tamten taniec był częścią zakładu podczas reality show. I także nigdy nie pojawił się w pieprzonej telewizji – dodaje. – *To* było na żywo.

Nigdy nie pojawił się w telewizji, bo pokazałby chemię fizyczną, którą miałem z Rose, a Scott próbował zmontować show w taki sposób, żeby wyglądało, iż Rose czuje pociąg do niego, nie do mnie.

- No i? – pytam.

- No i po jakiego to było *chuja*? Staram się nadać sens temu wszystkiemu, co wyrabialiście, ale nie mogę... - Kręci głową. – Wiem, że coś się dzieje i proszę cię, jako przyjaciela, żebyś mi powiedział.

- Lepiej, żebyś nie wiedział.

Podnosi się z łóżka, co zmusza mnie do wyprostowania się.

- Dam ci w pieprzoną gębę.

- Dlatego właśnie nie mogę ci powiedzieć – mówię spokojnie, chociaż zbliża się do mnie wkurzony. – Reagowałbyś tak jak w tej chwili, a ja potrzebuję po swojej stronie racjonalnych, opanowanych ludzi.

- Przypuszczam, że Rose zna prawdę. Myślisz, że jest tak kurewsko racjonalna?

Czuję jak drżą mi mięśnie szczęki i pocieram usta, żeby ukryć irytację. Rose nie zawsze jest racjonalna, ale jest o wiele mniej denerwująca od Ryke'a. Mają wiele podobieństw, a cechy, które ich różnią sprawiają, że jestem o wiele bardziej zgodny z nią i o wiele mniej zgodny z nim.

Jestem o cal wyższy od Ryke'a, ale i tak jesteśmy niemal równi.

- Nie masz pojęcia jak cholernie bardzo chcę cię teraz uderzyć – warczy Ryke. – Musisz *przestać* mną manipulować, Connor. Zawsze wiem, kiedy to robisz.

Dałem mu podzielić się osobistymi informacjami i myślał, że odwdzięczę się tym samym.

A tego nie zrobiłem.

To co uderza mnie najbardziej ze wszystkiego, co powiedział... nie „*jak cholernie bardzo chcę cię teraz uderzyć*” ani „*musisz przestać*” ale jego użycie mojego imienia. Rzadko kiedy mówi mi po imieniu, a gdy tak robi to praktycznie smakuję powagę naszej przyjaźni, która drży na wadze pomiędzy złamaną, a całością.

Prawdziwa przyjaźń jest dwukierunkowa. Przechodziłem przez to z Lorenem. Pokazałem mu bezbronne części siebie, więcej tych części i on pozwolił mi ujrzeć swoją słabość. Ryke mógł być na początku murem, ale to *ja* jestem czynnikiem, który sprawia, iż ta przyjaźń tkwi w martwym punkcie.

- Zrób krok do tyłu i ci powiem – mówię nagle. Nie chcę manipulować moimi przyjaciółmi. Nie chcę go oszukiwać. Chcę czegoś prawdziwego.

Ryke waha się.

- Nie okłamuj mnie.

- Nie okłamię – zapewniam. – Obiecuję.

Po tym cofa się ode mnie parę kroków, umieszczając pomiędzy nami ponad metrową przestrzeń.

- Daj mi wszystko powiedzieć zanim się wtrącis. – Mój głos jest bezbarwny, nie posiadając irytacji ani porażki. Przez następnych parę minut opisuję szczegółowo wszystko, co zrobiłem z Rose, najpierw, żeby pomóc Moffy'emu i zakopać artykuł, potem o naszym sprawdzianie, by przekonać się czy uda nam się odwrócić światło reflektorów z naszych dzieci.

Gdy kończę, patrzę jak kilkakrotnie przeczesuje sobie gęste, brązowe włosy. Wpatruje się w dywan, przetrawiając całkowitą prawdę. Pierwsze, co mówi to:

- Mogłem wam pomóc, do cholery.

Gdyby ktoś poprosił mnie, żebym wymienił dwa pierwsze atrybuty Ryke'a Meadowsa, „agresywny” nie znalazłby się na tej liście. W sercu jego duszy leży dobroć otoczona bezinteresownością, którą widać w niemal każdym jego czynie.

Nieugięcie przyznaję, że nie podzielam jego współczucia wobec świata i tylu ludzi, ale część mnie pragnie to zrozumieć na głębszym, bardziej ludzkim poziomie.

- Łatwiej mi było, jeśli nie pomagałeś – mówię prawdę.

Wypuszcza szorstko powietrze.

- To *mój* pieprzony brat i jego dzieciak. Ta plotka była częściowo o *mnie*. Mogłem coś zrobić, żeby Rose nie musiała.

- Rose tego chciała – przypominam. Martwię się trochę, że podzieli się tymi informacjami z Lo. – Nie możesz mu powiedzieć, Ryke. Zdajesz sobie z tego sprawę? – Coś takiego posłałoby jego brata do mrocznego miejsca. Na barkach Lo spoczywa więcej poczucia winy niż *kiedykolwiek* ja odczułem, więc musimy utrzymywać w tajemnicy wszystko, co popchnęłoby go do alkoholu.

Ryke kładzie ręce na głowie i bierze parę głębokich wdechów.

- Proszę, potwierdź, że rozumiesz – mówię, nie potrafiąc nic odczytać poza frustracją i gniewem.

Opuszcza ręce.

- Nigdy mu nie powiem, do chuja. Do końca pozostanie to pomiędzy tobą, mną i Rose. – Słyszę w podświadomości Lo, który żartuje o *klubie starszaków*.

Istnieje w takich momentach.

- Chcę, kurwa, pomóc – mówi Ryke, robiąc krok do przodu.

- Nie musisz... - Widzę jak zaciska pięść i przekręca ciało. *Zaraz mnie uderzy*. Nie wywijam się.

Zadaje mi cios w szczękę, moje dziąsła wciskają się w zęby, wyczuwam metaliczny posmak krwi z języka. Nie dotykam twarzy, po prostu odwracam się do niego z powrotem, kiedy się uspokaja.

Czekał *latami*, żeby mnie uderzyć. Powstrzymywał się niezliczoną ilość razy. Jego twarz się rozluźnia, nie zaciska już tak szczęki. Jego mina nie wyraża żadnej złośliwości ani gniewu.

Cieszy się.

Ryke kiwa mi głową.

- Jutro możesz powiedzieć prasie, że cię uderzyłem i kurewsko się nienawidzimy, albo wymyśl inną historię. – Wraca do łóżka, podarowując mi nagłówek, którym mogę odsunąć uwagę mediów od mojej córki.

Parskam śmiechem, oszołomiony i rozbawiony.

- To jest twój sposób pomagania mi? – Idę za nim, moja szczęka pulsuje, ale nie narzekam. W całym moim życiu to dla Ryke'a byłem najtrudniejszy.

Ponieważ wiedziałem, że to zniesie.

Jednak to dodało cienką warstwę niechęci naszej przyjaźni – żarty na wpół rozbawione i na wpół rozdrażnione – i teraz czuję, że ta warstwa powoli zaczyna się odklejać.

- No – potwierdza. – Do tego dnia nigdy nie miałem cholernie lepszego powodu, żeby ci jebnąć. – Układa się na swojej stronie i okrywa kołdrą.

Dosłownie nie mógł mnie walnąć, dopóki nie pomogło to *mnie*.

- Jak miło z twojej strony. – Kładę się po mojej stronie łóżka.

- Powiedz tylko słowo, Cobalt, a znowu cię uderzę, kurwa. – Wyłącza swoje światło.

Unoszę brew.

- I jakie to słowo... *szczek*?

- Spieprzaj. – Jego głos jest bardziej rozluźniony niż wcześniej.

Wyginam kąciki ust i przed zgaszeniem mojej lampki, czuję się zmuszony do wyznania jeszcze jednej rzeczy. Zasługuje na tą odpowiedź w całości.

- Podczas świąt powiedziałem ci, że nie świętowałem Bożego Narodzenia, ponieważ moja matka tego nie robiła, ale nie wspomniałem, że spędzałem je w Fauście.

Przewraca się na plecy, marszcząc brwi w konsternacji i zdziwieniu.

- Ilu facetów spędzało tam święta?

- Niewielu i dla ciebie to wydaje się samotne...

- W jaki sposób to *nie* jest jebanie samotne?

- Spędzałem czas na kierowaniu się w stronę moich celów i ambicji. Nigdy nie zmarnowałem chwili na zastanowienie się nad otaczającą mnie samotnością i do dnia dzisiejszego widzę jedynie rzeczy, które osiągnąłem, a nie te, co straciłem. Więc nie potrafię się z tobą porównać, nieważne czy spróbowałbym bardziej.

Ryke patrzy przed siebie, myśląc o tym przez chwilę po czym śmieje się, coś sobie uświadamiając.

- Musimy być olejem i wodą.

Uśmiecham się.

- Przypuszczam, że w tym scenariuszu to ja jestem wodą.

Ryke pokazuje mi środkowy palec i znowu obraca się na bok, mamrocząc:

- Dobranoc, Cobalt.

Po tym wyłączam lampkę, otulając nas ciemnością.

\*\*\*

Po dziesięciu minutach obok mnie wibruje moja komórka. Patrzą spod przymrużonych powiek na rozświetlony ekran i podpieram się na łokciu.

*Daisy ma niski popepek dualny czy feed o tym wie?!?§4* – Rose

To jedna z najgorszych pijackich wiadomości jakie dostałem od mojej żony. Opieram się o wezłowie, kiedy przychodzi kolejna wiadomość.

*I potrzebuje dużo czasu, żeby dostać wiedziałś* – Rose

- Co jest? – pyta Ryke, siadając razem ze mną. Jego głos jest przytomny, skoro wyłączyliśmy światła dopiero parę minut temu.

- Rose wysłała mi pijackie wiadomości o Daisy. – Ledwo potrafię nadać sens pierwszej, ale druga brzmi tak, jakby mówiła o orgazmach. Podaję telefon Ryke'owi.

Po przeczytaniu ściska nasadę nosa.

- Przetłumacz – wypowiadam obce mi słowo.

- Daisy ma niski popęd seksualny. – Odrzuca mi telefon, zamierzając wrócić do snu.

Przy lepszym kontekście tłumaczę tą wiadomość na: *Daisy ma niski popęd seksualny, czy Frederick o tym wie?* Dziewczyny najwidoczniej wciąż rozmawiają i Rose martwi się, że Frederick nie posiada wszystkich informacji istotnych dla jej zdrowia.

- Mówiła swojemu terapeutce? – pytam.

Ugniata sobie poduszkę.

- Ta.

Zastanawiam się czy wie, co się dzieje z Daisy.

- Co wiesz?

- Nie będę rozmawiał z tobą o mojej pieprzonej dziewczynie. – Odwraca się do mnie plecami.

- Ona cierpi na depresję – zgaduję. Niski popęd seksualny i problemy ze szczytowaniem wskazują na to albo na skutki jej lekarstw. A może połączenie obu.

Obraca się z powrotem do mnie i nawet w ciemności widzę jego marszczące się czoło.

- Frederick ci powiedział?

- Nie – odpieram. – Po prostu zgadłem.

Przeczesuje włosy i kładzie się na plecach, patrząc w sufit.

- Chyba zawsze wiedziałem, tak jak ona... po prostu nigdy nie powiedzieliśmy tego na głos. – Wzdycha ciężko. – Chcę tylko, żeby była szczęśliwa w każdej jebanej chwili życia, a ilekroć się budzę, to jest coraz bardziej poza moim zasięgiem.

- Musisz być cierpliwy i miły – mówię spokojnie. – Rób to, co teraz i to będzie wystarczyc, nawet jeśli wcale się tak nie wydaje. – Zwykle dostarczam każdemu odpowiednie słowa, ale w tym przypadku takich nie ma. On rozumie, że nie naprawi Daisy i wszystko, co może jej dać to siebie, być w jej życiu.

Potakuje i po raz kolejny odwraca się ode mnie, układając na boku.

- Możesz teraz przestać się do mnie, kurwa, odzywać?

Kładę się na plecach i wygaszam ekran komórki.

Cenię sobie posiadanie szczegółów, ale nigdy nie brałem pod uwagi kryjących się za nimi emocji.



*Connor Cobalt*

Kłęczę po drugiej stronie kuchni, pomiędzy dziećmi, a mną stoją cztery wieże składające się z drewnianych klocków.

- Tatusiu! – woła Jane, przesuając zaciekawionymi błękitnymi oczami po każdej wieży: czerwonej, niebieskiej, żółtej i zielonej.

- Przewróćcie klocki – zachęcam, przywołując do siebie gestem dzieci. Prawie nie rozróżniam jej następnych słów, niewyraźnych dźwięków, którymi dzieli się z Maximoffem. Mały chłopczyk wskazuje na czerwoną wieżę, jakby tworzył jakiś plan z Jane.

W to szczególne wtorkowe popołudnie jestem wyznaczoną niańką, a chociaż jestem zavalony robotą papierkową z Cobalt Inc., to z radością wykorzystuję ten dzień na zabawę z moją córką i siostrzeńcem.

Opieram się kolanem o parkiet.

- Mam wam pokazać?

Jane patrzy na mnie zaintrygowana. Nie wiem czy rozumie połowę mojego pytania, ale to nie powstrzymuje mnie przed rozmawianiem z nią tak jak i ona będzie kiedyś mówić.

Zamierzam już wstać, ale Moffy wykonuje pierwszy krok. Czując się pewniej na nogach od Jane, wybiega naprzód i uderza w czerwoną wieżę. Śmieje się, kiedy wokół niego rozpadają się klocki.

- Bardzo dobrze, Moffy – chwałę, unosząc kąciki ust. – Wiesz jaki kolor mają te klocki? – Podnosi jeden drewniany bloczek, na którym po jednej stronie widnieje litera „O”, a po drugiej maluje się orzeł.

Mamrocze słowo, które jest bardzo podobne do „*ozieł*”.

Uśmiecham się.

- Prawie.

Jane pokazuje na żółtą wieżę.

- Tatusi!

- Ona sama się nie ruszy, Jane – mówię. – To ty musisz do niej przyjść. Możesz do niej podejść, skarbie. Musisz po prostu podnieść stopy. – Przemawiam trochę wolniej, ale normalnym tonem, mając nadzieję, że pojmie istotę moich słów.

Zaciska usta w niepewności i konsternacji. W mojej kieszeni wibruje komórka.

Wyciągam ją, widząc wiadomość. „*Mówilem, że mogę, kurwa, pomóc*” – Ryke

Nie wchodzę na Twittera, ale widziałem tweety po dniu świętego Patryka, cała ta podróż do Nowego Jorku była jakiś czas temu. Większość gazet spekulowała, że pobiłem się z Rykiem, zatem nasi fani też tak sądzili. W naszym kręgu przyjaciół wszyscy prócz Rose myślą, że Ryke uderzył mnie w gwałtownej awanturze. Nie jest to przypuszczenie oderwane od rzeczywistości skoro rzadko kiedy rozmawiamy serdecznie.

„*To się musiało stać*” powiedział mi tamtego ranka Lo, potrząsając głową. „*Już wam lepiej?*”

Potaknęliśmy i na tym się skończyło.

Podnoszę wzrok w chwili, kiedy Moffy wbiega w niebieską wieżę przed sobą, obsypując deski podłogowe kolejnymi klockami. Śmieje się i obraca, żeby spojrzeć na swoją kuzynkę, jej brązowe włosy sięgają do uszu i połowa jest spięta w wysokiego kucyka niebieską kokardką. Gaworzy coś brzmiącego jak „*Janie*”, niezbyt wyraźnie wychodzi mu to imię.

Jane chwieje się na każdym kroku w stronę żółtej wieży. Przykładam rękę do ust, czując ścisk w gardle. Za chwilę upadnie i instykt każe mi poderwać się na nogi, wziąć ją na rękę zanim uderzy w podłogę.

Zmuszam się do nieruchomej pozycji.

Nie może bać się chodzenia. Nadejdzie wiele, mnóstwo dni, kiedy będzie musiała robić to sama beze mnie i Rose, i musi odkryć, że to *ona* posiada siłę, żeby z powrotem wstać. Nie my.

Parę kroków przed klockami kiwa się do tyłu, jej ciężar zmienia kierunek i ląduje na pupie ze stukotem. Jej broda dygocze i szuka mnie szklistymi, niebieskimi oczkami.

- Jestem tuż obok, Jane – mówię.

Spotyka mój pocieszający wzrok i pociąga nosem.

- Nic ci nie jest, skarbie. – Uśmiecham się i kiwam do niej głową. – Jeżeli nie potrafisz się podnieść, zawsze możesz raczkować. Pamiętaj o tym.

Odzywa się do mnie nieskładnie. Potakuję, jakbym wszystko rozumiał, ale nie mam pojęcia, co tak naprawdę oznacza jej zbitek słów. A potem Moffy zanosz do Jane niebieski i czerwony klocek. Uderza nimi o siebie i mamrocze tak jak ona, dopóki Jane nie próbuje podnieść się z podłogi.

Wstaje i wbiega w żółtą wieżę, wyginając usta w szerokim uśmiechu, kiedy wokół niej padają klocki.

- Świetnie, Jane. – Zaczynam bić brawo, kiedy rozdzwania się moja komórka. Patrzą kto dzwoni i mój świat zdaje się wyciszyć, to martwa cisza, która jest tak łatwa do stawienia czoła, co plastikowy worek zaciśnięty wokół mojej głowy.

Henry Prinsloo.

Dzwoni do mnie jedynie w tragicznych sytuacjach, kiedy nieodłączny element mojego życia jest zagrożony rozpadem. Przed odebraniem natychmiast podchodzę do Jane i orientuję się, że płacze.

Znowu upadła i tym razem pojawiły się łzy, jej szloch zaczyna niepokoić Moffy'ego. Jego oczka robią się czerwone, kiedy na nią patrzy i jego usta zaczynają drżeć.

- Ciii – uspokajam, biorąc córkę na ręce. Szepczę jej do ucha, robiąc wszystko, co w mojej mocy, żeby ją uspokoić. Potem schylam się i podnoszę drugim ramieniem Moffy'ego. Szybko zanoszę ich do salonu, mój umysł przetwarza różne ścieżki. Próbuję uformować wnioski z maleńkich faktów.

W przeszłości telefony Henry'ego przeważnie dotyczyły Lorena i Lily. On jest moją wtyką wewnątrz głównych ujść medialnych. To on powiedział mi o artykule *Celebrity Crush* przed jego opublikowaniem – artykule, który wzbudziłby wątpliwości, który twierdził, że *prawdziwy* test na ojcostwo Moffy'ego był fałszywy.

Cokolwiek ma mi do powiedzenia, naprawię to. Tak jak tamten artykuł. Mam władzę, żeby zamknąć z powrotem cokolwiek zostało otwarte. *Ja* mam tę władzę.

Ja.

I poskładam każdego, kto tym razem się rozpadnie. Kawalek po kawałku. Wszyscy już przez to przechodziliśmy. Możemy to przetrwać znowu. Po prostu muszę szybko zareagować. Cokolwiek to jest, zwykle nie ma żadnego marginesu na błędy.

Mój telefon dzwoni bez ustanku. Wsadzam Moffy'ego i Jane do ich kojca przy fotelu Queen Anne, ich łzy tylko chwilowo zostały przerwane.

- Bawcie się. – *Po prostu się bawcie.* Próbuję odwrócić ich uwagę pluszowymi zwierzętami i wielokolorowymi piłeczkami porzucanymi w okrągłym kojcu. – Zaraz wrócę. – Podstawiam krzesło pod drzwi pomiędzy salonem i kuchnią, doskonale słysząc dzieci.

Odbieram telefon przy ostatnim dzwonku.

- Henry – witam się.

- Zadzwoniłem najszybciej jak mogłem – mówi i po jego stronie połączenia panuje cisza. – Musisz mi uwierzyć. Wszystkie redakcje milczały na ten temat aż do tej chwili.

- Możesz wysłać mi faksem artykuł? – Henry może dostać się do serwera brukowca i wysłać mi ich zaplanowany szkic. Jest zaledwie kierownikiem produkcji w GBA News, ale ma kontakty ze wszystkimi gazetami.

- To nie tylko artykuł...

Szukam w mózgu odpowiedzi, kierując się najbardziej logicznymi, sensownymi drogami.

- Co to za zdjęcie?

Mogę kupić fotografię.

Już to kiedyś robiłem.

Ponad rok temu Henry dał mi znać o fotografii z paryskiego tygodnia mody. Facet sprzedał trzy zdjęcia popularnemu magazynowi. Na wszystkich widniała Daisy rozbierająca się na backstage'u.

Była kompletnie naga.

Kupiłem je i niemal od razu zniszczyłem razem z Rose, dlatego nigdy nie wyszły na światło dzienne.

- To nie zdjęcie – odpiera Henry, mając problem z przekazaniem mi wiadomości.

Zachowuję spokój, ale potrzebuję więcej faktów.

- No to co? – pytam. – Filmik, artykuł, zdjęcie, pieprzona historyjka obrazowa... powiedz.

- Są wszędzie – mówi nieprecyzyjnie. Ściskam krawędź blatu kuchennego, chcąc, żeby już mi powiedział z czym mam się, kurwa, zmierzyć. – Niektóre artykuły zamieniły się w *filmiki*. – Ścisza głos. – GBA wypuści tę historię w wieczornych wiadomościach o dziewiętnastej.

Spoglądam na zegarek. To za pięć godzin, mnóstwo czasu.

- Zadzwoń do...

- Nic to nie da.

- Henry...

- Są *wszędzie* – podkreśla. Wciąż nie mówi co *to* jest. – Na *Celebrity Crush* pojawi się za godzinę. Inne brukowce mówią o opublikowaniu tego wcześniej. Nie masz na nic czasu.

Myli się.

- Wyślij mi historię.

- Nie mogę. Ja też nie mam czasu. Za pięć minut w GBA odbędzie się spotkanie.

Nie chce powiedzieć, co to jest.

Gdyby news skupiał się na Lily albo Lorenie, powiedziałby mi o tym na początku. Gdyby chodziło o kogoś innego, już dawno powiedziałby o kogo. Ale jeśli artykuł był o mnie... nie potrafił tego wykrztusić.

Zatem jeżeli posłucham najbardziej racjonalnych części mojego mózgu, to dowiem się, że zostanę rozerwany na strzępy.

- Wyślij mi smsem nazwy wszystkich czasopism i stacji telewizyjnych, które chcą wydać tę historię. – Słyszę w głowie głos Fredericka: „*Nie jesteś nadczłowiekiem, Connor. Świat nie zmieni się dla ciebie*”.

Zginam się dla świata, jeśli ten nie zegnije się dla mnie, a jednak jeśli chodzi tutaj o *mnie*, to czy w końcu będę musiał nagiąć się do punktu złamania?

- Już wysłałam – mówi Henry.

Czuję coraz większą pustkę w brzuchu.

- Powiedz, Henry – mówię – jakie są najczęstsze nagłówki? – Niemal nie chcę poznać prawdy, nie, kiedy to jej najbardziej potrzebuję.

Po chwili ciszy duka:

- Wszyscy nazywają twoje małżeństwo oszustwem.

Pocieram wargi.

- Jakie dowody...

- Mają źródła o byłych... chłopakach? Twoich. Jestem pewny w niemal osiemdziesięciu procentach, że jest ich trzech. GBA News nagrali z jednym wywiad. Twierdzi, że kilkanaście razy uprawialiście seks i nie jesteś heteroseksualny. Wszyscy mówią to samo: wzięłeś ślub z Rose, żeby ukryć przed prasą swoją orientację seksualną.

Mamy dziecko.

Mamy seks taśmy.

Powtarzam to na swoją obronę, a moje mięśnie naprężają się w ciasnych pasmach. Moje knykcie bieleją.

- Muszę zadzwonić do prawników. Wyślij mi wszystkich, którzy wypuszczą tę historię – przypominam, rozłączając się. Przez następne piętnaście minut rozmawiam z trzema prawnikami, wyliczając fakty. Ani razu nie tracę czasu na przyjęcie do siebie niepotrzebnych emocji.

Każę im powysłać listy zaprzestające do każdego pieprzonego kolesia, który zamierza zerwać umowę poufności. Każę im grozić procesom i grzywnom tak wielkim, że każdy pozostanie bez środków na życie. Każę im pracować nad złożeniem tymczasowych nakazów sądowych, aby zapobiec wydaniu historii przez stacje telewizyjne i brukowce.

- Nie dostaniemy nakazu sądowego na czas – mówi mój główny prawnik. – Listy zaprzestające są naszą najlepszą szansą. Zagrozimy im tak bardzo jak możemy i będziemy cię

o wszystkim informować. Włącz wiadomości. Nie odrywaj od nich wzroku dopóki nie powiemy ci, że wszystko zostało załatwione.

Zostało mi czterdzieści pięć minut, może mniej. Wpadam do salonu i włączam telewizję na kanale GBA News, wyciszając głos i otwieram w laptopie stronę *Celebrity Crush*. Stukot plastikowych piłeczek i odgłos bawiących się dzieci jest jedynym towarzyszącym mi dźwiękiem.

*Napraw to.*

Czterdzieści trzy minuty.

Moim prawnikom lepiej pójdzie grożenie tamtym facetom niż mnie, ale kiedy oni będą pracować nad nakazem sądowym, ja mogę wydzwaniać po stacjach telewizyjnych i redakcjach. Nie mam pojęcia *jak* to się stało. Dlaczego niektórzy mężczyźni nagle postanowili coś powiedzieć. Kto się złamał i pod jaką presją. Ale „*jak*” nie jest teraz takie ważne.

Koncentrowanie się na „*jak*” zrujnuje wszystkie moje szanse w ograniczenie strat.

Siedząc na kanapie przeglądam wiadomość od Henry’ego, w której znajduje się dwanaście nazw. Dzwonię na pierwszy numer; to drugi najbogatszy brukowiec, zaraz za *Celebrity Crush*.

- Opublikujemy historię bez względu na nakaz sądowy. *Celebrity Crush* nas ubiegnie, tak jak i wiele innych popularnych redakcji.

- Zostaniecie ukarani poważną grzywną – mówię surowo, mój głos jest ostry i suchy, nie defensywny.

- Jesteśmy skłonni zapłacić taką cenę. Odrobimy ją w prenumeratach.

Dzwonię do drugiego kontaktu.

Trzeciego.

Czwartego.

- Historia zostanie opublikowana za pół godziny.

Piątego i szóstego. Siódmego i ósmego.

Dziewiątego.

- Twoja umowa opierała się na zakopaniu artykułu o Moffym – wyjaśnia mi Andrea DelCorte z *Celebrity Crush*. – Nie mówiłeś nic o chronieniu samego siebie i nie mogę zawrzeć z tobą umowy, kiedy to nie jest ekskluzywna historia. Za piętnaście minut zostanie wydana przez nas albo kogoś innego.

*Nie jesteś nadczłowiekiem, Connor. Świat nie zmieni się dla ciebie.*

Nie mogę tego powstrzymać.

Nie mogę zapobiec atakom pytań oraz spekulacji. Nie dzwonię do dziesiątego, jedenastego i dwunastego brukowca. Rzucam się, żeby wykonać inne telefony.

Przyciskam komórkę mocno do ucha, ale moje serce bije szybciej, głośniej. Gdy tylko następuje połączenie, mówię:

- Rose... - Tracę myśli w jej imieniu. Pali mnie gardło i myślę... *opuściłem jedno ogniwo*. Czy to był Theo? Jonathan Hale? Frederick? Kurwa, blokuje pytanie „*jak*”. Muszę, ale wiem, że „*jak*” ucieka w popłochu przed prawdziwym bólem, przed gorszymi myślami.

Tymi, które próbują we mnie uderzyć.

Rose zostanie w to wciągnięta siłą, dusząc się pod narastającą falą kogoś innego i najlepsze, co mogę zrobić to trzymać ją, gdy zostaniemy zalani. Nigdy wcześniej nie wyobrażałem sobie tonącego siebie. Nie w taki sposób. I nigdy nie wyobrażałem sobie, że będę miał przed sobą takie dwa wybory: utonąć osobno czy utonąć razem.

*Razem.*

*Zawsze.*

Nigdy bym nie pozwolił, żeby Rose cierpiała w samotności.

- Wszystko dobrze z Jane? – pyta po dłuższej chwili ciszy z cieniem troski w głosie. Słyszę szelest kartek. Jestem pewien, że już wstała od biurka.

- Potrzebuję, żebyś wróciła do domu – mówię. – Szybko. – Paparazzi otoczą Hale Co., butik Rose, Superheroes & Scones, wynajdując wszystkie bliskie mi osoby.

- Co się dzieje?

- Jedź ostrożnie – odpieram stoicko i stanowczo. Mój głos należy do człowieka, który potrzebuje terapeuty, który powie mu, co czuje.

- Będę za piętnaście minut. – *Ona* rozłącza się ze mną, wyczuwając powagę sytuacji, chociaż mój głos prawie nic nie zdradza.

Wybieram drugi numer.

- Lo – mówię. – Potrzebuję, żebyś wrócił do domu. – „*Potrzebuję cię*” to zdanie, którego prawie nigdy nie używam, szczególnie wobec niego. On potrzebuje mnie.

*Wszyscy potrzebują mnie.*

- Mam spotkanie za dziesięć minut. Mam odwołać czy...

- Możesz zmienić harmonogram? To ważne.

Nie pyta dlaczego. Jego lojalność bierze się z prawdziwej i szczerzej przyjaźni, pierwszej takiej w moim życiu. I wiem – bez cienia wątpliwości – że moja przeszłość ją zniszczy.

- Jasne. – Słyszę jego kroki. – Muszę tylko wiedzieć czy chodzi o Lil.

- Nie – odpieram – chodzi o mnie. Do zobaczenia. – Rozłączam się, nawiązując kolejne połączenie.

- Cześć, Connor – wita się Lily ponad hałasem, który wydaje się pochodzić od jej pracowników w Superheroes & Scones. – Właśnie miałam dzwonić! Co u Moffy’ego?

- Możesz wrócić do domu? – pytam, wiedząc, że muszę jej to trochę wyjaśnić, a jeszcze bardziej będę musiał tłumaczyć przy następnym telefonie. – Niedługo pojawi się coś o mnie w wiadomościach i lepiej, żebyś nie była na mieście, kiedy to się zdarzy.

- Okej... - Niepokój pokrywa jej głos niczym kurtyna zamykająca sztukę komediową. – Ile mam czasu?

- Powinnaś już wyjść.

- Jestem w drodze.

Ostatni telefon. Rozbrzmiewają trzy sygnały zanim nawiązuje się połączenie.

- Hej – dyszy Ryke. Poszedł pobiegać razem z Daisy i ich huskym, ale „bieg” dla Ryke’a często zamienia się w całodniowe zajęcie, bo czas mija mu leniwie i spokojnie, dlatego wcześniej wysłał mi wiadomość.

- Gdzie jesteście? – pytam, odświeżając stronę *Celebrity Crush*. Nic nowego.

- Na naszej choliernej ulicy – odpowiada. – Wszystko dobrze? Coś z moim bratem?

- Nie. Nie chodzi o Lo ani Daisy. Ani o Lily. – Musi wiedzieć, że sytuacja dotyczy mnie albo Rose.

- Będę w domu za mniej niż dwie minuty. – Jego współczucie zaskakuje mnie i jednocześnie rozbudza. Nigdy w życiu nie potrzebowałem troski Ryke’a. Nawet przez chwilę.

Wygaszam telefon i czekam aż moi prawnicy dostarczą mi dobre wiadomości, które nawet nie dotrą. Moffy i Jane zasnęli na poduchach w swoim kojcu. Po raz pierwszy opieram się o kanapę. Pozostałem sam z ciszą i szalejącymi, obracającymi się myślami.

Pociągają mnie ludzie.

Ich słowa, działania, sposób zachowania i chód pełen emocji. Pociągają mnie *ludzie*. Żarliwe serca, które biją nierówno, serca, które gubią rytm, serca słyszane w cichych pomieszczeniach i jaskrawych przestrzeniach – pociągają mnie ludzie.



Nie ma żadnej innej prawdy, którą mógłbym tak głośno wykrzyknąć. I to wcale nie pomoże. Oni pragną etykiety, żeby mnie zrozumieć, a ja nigdy z żadną się nie identyfikowałem.

Nic tego nie naprawi, nic prócz kłamstwa.

Nie jest to kłamstwo dla jednej osoby, dlatego łatwiej to przełknąć. To deklaracja dla milionów ludzi. Potępienie przekonania, dzięki któremu żyłem, który jest podstawą mojego *jestestwa*.

Więc co ja mam teraz zrobić, do cholery?

Drzwi się otwierają i biały husky dyszy, drepzcząc ze zmęczeniem do wnęki okna, gdzie kładzie się na swojej wełnianej poduszce.

Ryke wchodzi do salonu razem z Daisy. Odrzuca na bok swój plecak.

- Śpią? – pyta cicho, pokazując na kojec.

Przytakuję i odświeżam laptopa, sprawdzam czy nie dostałem wiadomości na komórce. Jeszcze nic nie ma. Chyba zostało mi pięć minut. Niebo na zewnątrz zdaje się ściemnić, najprawdopodobniej chmury przesłoniły słońce.

Podnoszę się, kiedy Ryke zbliża się do mnie z Daisy. Otwieram usta, żeby zacząć wyjaśniać, ale nie potrafię, skręca mnie w żołądku.

- Przyniosę ci wodę – proponuje Daisy.

- Nie – odpieram.

Ryke przeciąga ręką po włosach, które są trochę mokre po biegu.

- Może powinieneś, kurwa, usiąść?

Daisy kiwa głową, kiwając się na piętach.

Ściągam brwi i przyglądam się jej nazbyt zatroskanej minie, która pasuje do wyrazu twarzy jej chłopaka, nie są wcale zdezorientowani.

- Czy wy mnie znacie? – zastanawiam się. To niejasne stwierdzenie, ale oboje są na tyle inteligentni, aby pojąć, co sugeruję. Wywnioskowałiby, o co tutaj chodzi, gdyby znali jeden fakt: spałem kiedyś z mężczyznami.

Ona potakuje.

*Nie rozumiem...*

- Oboje usiądźcie – rozkazuję.

Siadają razem na stoliku do kawy, zachowując ostrożność i szacunek wobec moich emocji. Stają nad nimi.

- Kto ci powiedział? – pytam.

Daisy przekręca rąbek swojej jasnozielonej podkoszulki, niespokojna.

- Ty.

Zakrywam oczy ręką.

- Nie. – Przecież lunatykowała. Istniała bardzo mała, bardzo słaba szansa, że po przebudzeniu przypomni sobie, co jej mówiłem.

Opuszczam dłoń, czując szczypanie w oczach. Może wewnątrz mnie było miejsce, które chciało, żeby zapamiętała, dlatego podjąłem to ryzyko.

- Przepraszam – szepcze Daisy, wykrzywając twarz w poczuciu winy. – To nie był mój sekret, ale ciążył na mnie... i wiedziałam, że Ryke go dotrzyma.

Siadam oszołomiony na kanapie, podnosząc wzrok na Ryke'a.

Przez cały ten czas wiedział, że sypiałem z facetami i nic nie powiedział. Nie zmienił wobec mnie zachowania. Nigdy nie zmuszał mnie do wyjaśnień. Nigdy nie czuł się nieswojo. Wracam myślami do dnia świętego Patryka. Spał w tym samym łóżku, co ja i nie zachowywał się inaczej.

Daisy podrywa się na nogi.

- Dam wam pogadać. Wezmę Moffy'ego i Jane do ich pokoi. – Ryke przygląda się jak wyciąga zmęczone dzieci z ich kojca i jego zwykle twarde spojrzenie łagodnieje im dłużej wpatruje się w swoją dziewczynę.

Drapie się po nieogolonej szczęce i obraca do mnie, kiedy Daisy znika na górze.

- Jak to się dostało do pieprzonych mediów? – *Jak*.

- Jeszcze się nie dostało...

Jego brwi podskakują.

- Więc wszystko jest w porządku? – Wie, że nie. W innym wypadku nie dzwoniłbym po niego.

Wzruszam ramionami.

- Ty mi powiedz. – Oczywiście odnoszę się do jego wiedzy na temat mojej przeszłości. Tkwienie w tej ciszy z ciężarem prawdy sprawia, iż czuję się jakby w moją pierś uderzało czterdziestotonowe wahadło.

Podtrzymuje mój wzrok.

- Byłem cholernie zaskoczony, gdy Daisy powiedziała mi o tym, co jej wyznałeś, ale to wszystko, co poczułem.

Trudno mi w to uwierzyć i ukazuję zwątpienie w kącikach oczu.

Ryke zauważa i wypuszcza głęboki oddech.

- Słuchaj, mogę mówić ostro, możemy więcej jebanych razy się nie zgadzać niż zgadzać, ale po latach... nie wiem jak to nazwać... *gówna* przez które razem przeszliśmy... zdałem sobie sprawę, że tobie tak samo zależy na innych ludziach, jak mnie. Możesz przekreślać to jak chcesz, ale prawda jest taka, że połowa z tego, co kiedykolwiek zrobiłeś miała na celu ochronę drugiej osoby. Jesteś dobry w słowach, więc jaka jest tego definicja, Connor?

*Bezinteresowność.*

Cecha, której nigdy wcześniej sobie nie przypisywałem. Wciąż trudno jest mi to zrobić.

- Kiedy Daisy mi powiedziała, że spałeś kiedyś z facetem – kontynuuje – byłem *zszokowany*, ale nie czułem pierdolonego obrzydzenia; nie czułem wstrętu. Nie zakwestionowałem twoich uczuć do mojego brata i do mnie. Potrafię odróżnić, kiedy komuś kurewsko na kimś *zależy*, a kiedy ktoś czuje pociąg seksualny do drugiej osoby. Byłem po prostu zdziwiony.

Pocieram usta, czując jak oczy zasnuwa mi mgła.

- Chciałbym powiedzieć, że przez cały ten czas uważałem cię za lepszego człowieka, ale szczerze sądziłem, że postawisz stumetrową barierę pomiędzy swoim bratem, a mną. – Żeby ochronić Lorena. Przede mną.

Coś takiego próbował zrobić Jonathan Hale i może to wszystko jego robota... może nareszcie osiągnął sukces. Lo wie o mnie. Akceptuje mnie, ale wyobrażam sobie, że reszta ludzi nie będzie już tak wyrozumiała w stosunku do naszej relacji.

Ryke potrząsa głową i opiera przedramiona na kolanach.

- Był okres czasu, kiedy ci nie ufałem, ale *nigdy* dlatego, iż sądziłem, że on cię interesuje w taki sposób. Jesteś cholernym manipulatorem, a on jest... kruchy.

- Wiem – odpieram. – Dlatego traktowałem łagodnie Lo, kiedy ty byłeś dla niego twardy.

Ryke potakuje, pojmując, że próbowałem jedynie uchronić Lo przed upadkiem ilekroć Ryke musiał go popchnąć. Byliśmy ze sobą niezgodni przez tak długi czas, kłócąc się, co do sposobu traktowania leczącego się alkoholika. Jego brata. Mojego najlepszego przyjaciela.

- Więc powiedz – mówię – gdybyś był na moim miejscu, co byś powiedział mediom?

- Żeby spierdalali.

- No oczywiście.

Prawie się uśmiecha.

- Daj spokój, Cobalt, nie słuchasz porad od pieprzonych psów. – To jego próba pocieszenia mnie... bo wyraźnie widzi, że tkwię po kolana w ruchomych piaskach i szybko tonę.

- Nie jesteś psem, przyjacielu. – Nachylam się, żeby odświeżyć stronę *Celebrity Crush*, mój laptop stoi obok Ryke'a.

- Nie zadzieraj ze statusem quo.

Status quo został już sto razy zdeptany przez ostatnie czterdzieści minut, to zwłoki tego czym kiedyś był. Nawet ja nie potrafię cofnąć czasu, żeby poskładać go na nowo.

Na głównej stronie *Celebrity Crush* pokazuje się nowiuteńki nagłówek i mój świat staje w miejscu, to niewymierny moment ze zmrożonym biciem serca.

Nagłówek: *Connor Cobalt sypiał z mężczyznami! Zakwestionowane małżeństwo z Rose Calloway!*

Moja komórka zaczyna się rozdzwaniać, jakby umarł mi ktoś bliski. Wyobrażam sobie, że telefony pochodzą od członków rady Cobalt Inc., mojego teścia i każdej innej osoby, która mnie zna, która pragnie cytatu albo odpowiedzi. „Dlaczego”, „jak” i „kto wie” pomieszczone razem.

Połowa nagłówka jest prawdziwa. Nie mogę zaprzeczyć własnej przeszłości, ale oni przedstawili ją w karygodny sposób, unieważniając jedną rzecz, która była dla mnie najważniejsza.

Nie umiem przeczytać tego artykułu, nie umiem zaakceptować trwałości tej sytuacji. Oddycham przez nos, napinając szczękę. *Przeczytaj pierdolony artykuł, Connor.* Wpatruję się bez mrugnięcia okiem w ekran laptopa. Patrzę przed siebie, nie widzę słów.

Muszę go przeczytać, ale boję się.

Kochanie drugiej osoby nie jest proste. To podwaja ból. Podwaja zmartwienie. Podwaja uczucia, których nie lubię w jednej dawce. Kochanie drugiej osoby jest złożoną pajęczyną emocji, która próbuje złapać mnie w sidła.

Już raz zostałem w nią schwytyany.

Gdy Rose zaczęła rodzić, naprawdę pomyślałem „dzisiaj mogę wszystko stracić”. Utknęliśmy w limuzynie na autostradzie i jej przetrwanie leżało w moich rękach. Byłem przerażony myślą, że stracę miłość. *Miłość* – ze wszystkich uczuć, ze wszystkich rzeczy. To była druzgocąca, niemal osłabiająca myśl i próbowałem ją odepchnąć, kiedy odebrałem poród naszej córeczki i kiedy Rose znosiła cierpienie.

Ludzie nazywali mnie bohaterem, ale nigdy nie czułem się bardziej ludzki.

Niespodziewanie czuję na ramieniu rękę i obok mnie pojawia się ciało. Patrzę w lewo i Rose zaciska palce na mojej dłoni. Przepraszam ją samym spojrzeniem, ale jej płomienne,

zmrużone oczy są utkwione w ekran laptopa, przygotowała się do walki z rzeczami, którym pozwoliłem po sobie przejechać.

- Czytałeś już? – pyta, zabierając komputer z moich kolan. Zauważam, że Ryke wstaje, żeby przywitać Lorena i Lily w foyer.

- Jeszcze nie – odpieram cicho.

- Więc przeczytamy wspólnie. – Jej głos drży, a żółtozielone oczy iskrzą się destrukcją.

Przytulam ją do swojego boku, obejmując jej sztywną sylwetkę. Po raz kolejny skupiam się na artykule i zbieram informacje, które wyjaśnił mi już Henry, nie wspomniano dokładnych imion moich byłych. Napisali jedynie o „źródle” i „podamy więcej informacji w najbliższym czasie” – co znaczy, że to jeszcze nie koniec.

Wbijam spojrzenie w słowa, które najbardziej mnie zaskakują. Rose wciąga ostro powietrze, także to czytając.

*Źródła twierdzą, iż Connor Cobalt wiedział, że wkrótce prawda wyjdzie na jaw. To tłumaczy dlaczego – przez ostatnie cztery miesiące – wzmacniał publiczne okazywanie uczuć swojej żonie. Wymieniając tylko parę: w styczniu zabawiał się ze swoją żoną na parkingu, w lutym odwiedzili sklep dla dorosłych, a w marcu wykonał striptiz.*

*Wszystko po to aby oszukać ludzi.*

*Wierzmy, że oni nie są w sobie zakochani. Ich małżeństwo to jedynie układ biznesowy. Celebrity Crush skontaktowało się z przedstawicielami Calloway’ów i Cobaltów, i nikt nie wydał jeszcze oświadczenia, ale jesteśmy pewni, że ktoś wkrótce się odezwie. A kiedy to zrobi, napiszemy o tym. Więc bądźcie czujni.*

Zamykam gwałtownie laptopa i wstaję, ściskając rękę Rose nim zdąży się odezwać. Wyprowadzam ją z salonu, jej zeszywniałe ciało porusza się automatycznie w oszołomieniu, przez które przedzierałem się przez ostatnie pięć minut.

Teraz jestem bardziej przebudzony. Oni wywracają *naszą* grę – wszystko, co zrobiliśmy w ciągu ostatnich czterech miesięcy, aby ochronić dzieci – przeciwko nam. Zmienili scenariusz, wrywając pistolety z naszych rąk i celując nimi w nasze głowy.

Nasz półroczny plan właśnie odniósł odwrotny skutek.

Znałem konsekwencje i ryzyko. Zawsze wiązała się z tym wszystkim cena. Nie jestem idiotą, by wierzyć, że to nie było skazane na porażkę. Naturalnie sprawdziany są przeznaczone do porażki albo sukcesu.

Po prostu nigdy nie sądziłem, że to będzie taka porażka.

Już nie wali we mnie czterdziestotonowe wahadło. Zmieniło się w dwustutonowy cement, który zakopuje mnie obok mojej żony.

- Gdzie idziecie? – pyta Lo, kiedy mijam jego, Lily i Ryke’a, ciągnąc za sobą Rose na górę.

- Potrzebujemy minuty. – Albo pięciu. Albo godziny.

Rose jest zakorzeniona w centrum mojego jestestwa i pragnę wrzasnąć – krzyknąć na każdego, kto spróbuje ją wykopać, pozostawiając we mnie pustkę. Pozostawiając mnie bez duszy i znaczenia.

Moje mury obronne kruszą się powoli w moim umyśle.

Mamy seks taśmy.

„*Ustawione*” powiedzą.

Mamy dziecko.

„*Układ biznesowy*” zaprzeczą.

Jestem w niej beznadziejnie zakochany.

*Kto to widzi prócz ciebie?*

Rose Cobalt

Connor zamyka drzwi naszej sypialni, a mój mózg płonie. *Ja* płonę, ramiona dygoczą mi od czegoś o wiele większego i gorętszego niż wściekłości. W mojej pięści wibruje komórka, ale ignoruję telefony i wiadomości od moich rodziców, odkładając ją na komodę.

Powoli obracam się do mojego męża, oddzielają nas jakieś trzy metry – napięcie przeniknęło w moje znieruchomiałe kości. Jego oczy są zaczerwienione od hamowania emocji, ale stoi dumnie wyprostowany, całe metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu. W jego wzroku tkwi akceptacja naszego losu, który dopiero co nienawistnie skonsumowałam.

Bada moją reakcję, sposób w jaki pocieram razem ręce i biorę krótkie wdechy.

- Lily już była w takiej sytuacji... - Przypominam sobie jak media obrzuciły wątpliwościami jej związek z Lorenem i pojawiły się plotki o trójkącie Lorena, Lily i Ryke'a. Wyszli z tego bez szwanku. My też możemy.

- I? – Jego beznamiętny głos odbija się od mego serca.

Moje nozdrza drgają i unoszę podbródek. Moje starania, żeby wpoić w siebie pewność siebie wydają się być bardziej źle dopasowaną maską.

- Opinie innych ludzi nie mają znaczenia... bo to mała plotka. – Zdradza mnie mój głos, który łamie się przy każdej sylabie. – Tak jej wtedy powiedziałam... że ludzie mogą wygadywać, co tylko chcą, ale ty znasz prawdę. *Kochasz go.*

Gdy słowa opuszczają moje usta, on skraca dzielącą nas przestrzeń, chwytając mnie za nadgarstek i przyciąga do swojej piersi. Nasze sztywne ciała dopasowują się do siebie i ściska mnie w mocnym, pocieszającym uścisku, ale dostrzegam napinające się mięśnie jego szczęki. Dusi w sobie tyle samo bolesnych emocji, co ja.

- Tak bardzo cię przepraszam, Rose – odzywa się tak miękko.

Krztuszę się wdechem. *Nie płacz.*

- Nie powinieneś za to przepraszać. – Ściskam w dłoni jego koszulę, wywiercając wzrokiem dziurę w jego czole. Patrzy na mnie niewzruszenie. Potrzebujemy zbroi bitewnej. Potrzebujemy pistoletów i armat. Musimy uderzyć w nich tak, jak oni w nas uderzyli. Zemsta... mroząca krew w żyłach, rozdzierająca duszę *zemsta* ryczy w moim zwęglonym umyśle.

Connor jest bardziej logiczny.

W przeciwieństwie do mnie on nie widzi wartości w zemście. Poczujemy się lepiej, kiedy się zemścimy, czy on tego nie widzi? Ktokolwiek go zdradził zapłaci za to i znowu będziemy górą.

Obejmuje moją twarz, pokrywając mój policzek dużą dłonią i jego ciemnoniebieskie oczy przelewają się przeze mnie niczym niewidzialny prąd odpływowy.

- To ma znaczenie – mówi, rzucając we mnie najzimniejszą prawdą i po moim karku przebiega gęsia skórka. Nigdy nie chował fałszywej nadziei. – Przykro mi, że tak jest. To nie jest jakaś bezpodstawna plotka, jak te dotyczące Lily, Lorena i Ryke’a. Prasa ma prawdziwe dowody, które dyskredytują nas, nasze małżeństwo i naszą miłość, i społeczne rozumowanie będzie zdecydowanie *przeciwko* nam, to nie jest podobne do tego, z czym oni się mierzyli. – Gładzi kciukiem mój policzek. – To nie jest nawet bliskie takiemu samemu kalibrowi.

Przełykam ciężko ślinę, po raz kolejny poruszając nozdrzami. *Nie płacz.*

- Nasze firmy przetrwają to uderzenie. – Calloway Couture jest teraz powiązana z Hale Co.. Posiada żelazną strukturę, która wytrzyma każdy miażdżący gest. Cobalt Inc. jest zwykle niezłomna i wcześniej prowadzona przez Katarinę Cobalt. Mogę się założyć, że tamtejsza rada jest tak postępowa, jak była ona. Nie powinni obrócić się przeciwko Connorowi.

- Nie martwię się o nasze firmy – odpięra.

Tłumaczenie: *Zależy mi tylko na naszej wspólnej przyszłości.*

Jane... i wszystkie dzieci, które myśleliśmy, że pojawią się po drodze.

Możemy zapomnieć o innych dzieciach, ale mamy Jane. To będzie miało na nią wpływ. Nie potrafię sobie wyobrazić jakiemu będzie musiała stawić czoła pośmiewisku i osądowi od swoich rówieśników. Wszyscy będą wierzyć, że została zrodzona z zimnego, bezdusznego układu przez zautomatyzowanych, nieczułych rodziców. Otulę ją moimi niesprawnymi ramionami, nieważne jaka jestem sztywna i jaka zdaję się być mechaniczna, i ochronię ją przed tą burzą niesprawiedliwości najlepiej jak będę mogła.

- Martwisz się o Jane – mówię.

- I o ciebie.

Przyciskam rękę do jego torsu, cofając się o krok.

- Dam sobie z tym radę, tak jak *ty*. Jesteśmy sobie równi.

- Nie. – Chwyta mnie za nadgarstki, powstrzymując od kolejnego potarcia dłońmi.

- Nie? Jak to *nie*?

- Nie chcę być z tobą równy – oświadcza okropnie pustym tonem.

Rozchylam wargi, czując ból rozrywający moje płuca.

- Nie mówisz poważnie.

Jego oczy robią się czerwone.



- Wszystko, co ci mówię, mówię poważnie.

Łzy grożą wezbraniem. *Do cholery, nie płacz, Rose.*

- Chcę, żebyś była lepsza ode mnie – deklaruje, przyciągając mnie z powrotem do siebie szarpnięciem za nadgarstki. *Damy sobie radę. Damy sobie radę. Damy sobie radę.* Będę powtarzać tę mantrę, dopóki nie stanie się prawdą, a nie drwiącym odgłosem w mojej głowie. Przytula dłoń do mojego policzka. – Spójrz na mnie, Rose.

Unikam jego klarowności, a on próbuje mnie do niej nakierować.

Gdy spotykam jego spojrzenie, mówi:

- To jest najgorzej.

W moim umyśle pojawia się cytata z *Króla Leara*: „*Nie jest najgorzej, póki mozem mówić: to jest najgorzej.*”

On tego nie naprawi.

*My* tego nie naprawimy.

- Nie. – Próbuję go odepchnąć, ale ściska mnie mocniej i zaczyna boleć mnie nadgarstek od jego ręki.

- *Tak* – naciska. – Nie możemy nic zrobić, tylko to znieść.

- Obronię moją miłość do ciebie – odparowuję, ogień wypala mi serce.

- Jak? – pyta.

Myślę o *Księżniczках Filadelfii*, o tym jak reality show pomogło urzeczywistnić romans Lorena i Lily. Potrzebowali sposobu na pokazanie i udowodnienie swojego związku. Ten plan powiódł się idealnie. Społeczeństwo zaczęło nad nimi naskakiwać po obejrzeniu *Księżniczek Filadelfii*. Ludzie dopingowali im i bronili ich uczuć. W każdym momencie programu ich pożądanie było boleśnie oczywiste.

Loren przyciskał moją młodszą siostrę do blatu kuchennego, całując się z nią, jakby czerpali z siebie powietrze. Ona czepiała się go desperacko, jakby tylko jego istnienie powstrzymywało ją od upadku, a kiedy płakała, to on czepiał się jej desperacko – scalając jej duszę i ona odwdzięczała mu się tym samym.

Ich miłość jest emocjonalna.

Ich miłość jest wyraźnie widoczna.

Myślę o naszym czasie spędzonym w *Księżniczках Filadelfii*. Connor nie został dobrze odebrany przez fanów. Ludzie lubili mnie bardziej ze Scottem Van Wrightem – człowiekiem, którym gardziłam – niż z mężczyzną, którego kocham.

Nasza miłość jest wewnętrzna i intelektualna.

Umysłowa i duchowa.

Kto to widzi prócz mnie?

Nigdy nie musiałam bronić swojego związku w tak wielkiej, masywnej skali i Connor wciąż mi powtarza, że to niemożliwe. Odtwarzam sobie cztery minione miesiące. Jeżeli będziemy się zachowywać jak Lily i Loren, znowu powiększając publiczne okazywanie uczuć – będziemy udawać.

Jeżeli będziemy zachowywać się jak my – będziemy sztywni i obojętni.

Zatem musimy znieść krytykę. Niech po nas spłynie, nieważne jak bardzo nas spali i okaleczy?

- Nie stoimy pod wulkanem, kiedy ten wybucha, Connor.

- Gdzie mamy według ciebie pójść?

Nie wiem. Potrząsam kilka razy głową. *Boję się.*

Przeraża mnie perspektywa naszej przyszłości. Oddech staje mi w gardle i unoszę palec, żeby dał mi chwilę. Stłumione uczucia grożą wzrostem i zawładnięciem nade mną.

- Zaraz wrócę – szepczę. – Muszę się przebrać... w coś lepszego. – Wyglądam sobie sukienkę.

- Rose – wypowiada moje imię z troską, ale zostawiam go i idę do szafy. Po tym nic mi nie będzie. Zniosę wszystko, tak jak on.

Wchodzę szybko, z napięciem do szafy, a on zostaje z tyłu, szukając czegoś. W środku zamykam drzwi i nie włączam światła. W ciemności wykorzystuję pamięć do odszukania mojego futra i ściągam z wieszaka miękki ubiór.

Uginają się pode mną nogi w chwili, kiedy przyciskam płaszcz do ciała. Uderzam kolanami o dywan, czuję ścisk w piersi, duszę się. Niespodziewanie słyszę zza ściany telewizor i narastający głos. Connor musiał szukać pilota.

- ...mają ze sobą dziecko, ale źródło bliskie rodziny Calloway'ów wierzy, że Rose urodziła *dla* Connora...

Wrzeszczę w płaszcz, tłumiąc gwałtowne, straszliwe dźwięki. Moje ciało dygocze w agonii na unieważnienie mojej miłości i teraz *mojej* córki, którą nosiłam w sobie przez dziewięć miesięcy. Którą kocham bardziej niż ktokolwiek widzi, wie czy w ogóle zdaje sobie z tego sprawę.

Wydamę kolejny krzyk, czując palenie i suchość w gardle.

- ...w *Księżniczkach Filadelfii* Rose wiele razy oświadcza, że nienawidzi dzieci. *Nigdy* ich nawet nie lubiła i jej starzy znajomi z Dalton Academy zaświadczyli o tym w GBA News.

Ludzie mogą się zmienić. Ludzie mogą dojrzeć. Ludzie mogą uświadomić sobie, że myśl o czymś jest bardziej przerażająca niż sama rzeczywistość.

Czy ja na to nie zasługuję? Mam być identyczna w wieku osiemnastu, dwudziestu dwóch, dwudziestu sześciu lat? Nie mogę postanowić inaczej ani myśleć w nowy sposób? Dlaczego muszę pozostać taka sama?

Obezwładnia mnie atak szaleńczych łez i krzyk zamienia się w szloch zrodzony z mojego wnętrza. Wyczuwam błysk światła w szafie, ale zaraz znowu jest ciemno, słyszę delikatne zamknięcie drzwi.

Nie potrafię pohamować wodospadu, choćbym próbowała. Wylewam z siebie emocje, w oddali słychać słabo telewizor i czuję jak Connor kuca za mną. Przywiera do mnie silną klatką piersiową, nachylając się nad moim zgarbionym kręgosłupem, żeby szepnąć:

- Vous etes en securite avec moi. – *Jesteś ze mną bezpieczna.*

Otacza mnie ramionami w biodrach, przytulając mnie z troską, której nie ujrzy nikt inny, takie chwile są zachowane dla ciemnych szaf. Krzyczę ostatni raz, rozrywając wszystkie rany, wykrwawiając się w środku.

Jego pierś unosi się i opada w głębszym wdechu i ściska mnie mocniej. Trzęsę się, pali mnie gardło i odwraca mnie do swojego ciała. Nasze kończyny zagubiły się w ciemności. Czuję jak wciąga mnie na swoje kolana, trzymam nogi na boku i kładzie jedną rękę na moich udach. Układa sobie na ramieniu moją głowę, moje ciche łzy moczą mu koszulę.

Nasze ciężkie oddechy wypełniają ciszę.

Całuje mnie w czoło, muska wargami mój policzek.

- Nie zamieniłbym naszej miłości na żadną inną.

Moim ciałem wstrząsa spazm i wyciągam rękę do góry, dotykając jego szyi, szczęki...

Chwyta moją dłoń, przykładając palce do swojego policzka, tam gdzie chciałam. Podnoszę głowę z jego piersi, wyczuwając jak jego usta zbliżają się do moich w mroku.

- Słyszę jak łamią się nasze serca – szepczę.

Łzy moczą koniuszki moich palców, jego łzy i obejmuje moją twarz drugą ręką w ten sam sposób, co ja jego. Prawie dotyka moich warg.

- Zakryję ci uszy przed dźwiękiem załamania.

Moje serce rośnie.

- A co się stanie, jeśli zapragnę usłyszeć twój głos?

- Mój szept zagłuszy wszystkie bolesne odgłosy. – Całuje mnie raz po czym mruczy: - Tu m'entendras toujours, ou que je sois. – *Zawsze mnie usłyszysz, nieważne co się stanie.*

Ukształtował moje życie, ukształtował *mnie* w całości i myślę o nim przy każdym działaniu, w każdej niezwykłej czy powszechnej czynności. Zastanawiam się, co by zrobił albo co by rzekł. Jestem niezależna, samowystarczalna i pojedyncza – posiadam wszystkie te cechy, jednocześnie nosząc, odczuwając i żyjąc miłością.

- A czy ty mnie słyszysz? – pytam, owiewając oddechem jego wargi.

- Toujours. – *Zawsze.*

Ocieram wilgoć z jego policzków, to najrzadsze łyżki jakich kiedykolwiek dotknęłam, ukryte w niewielkiej, ciemnej przestrzeni.

- Wspieram cię – przypominam mu. – Będę stać u twojego boku, cokolwiek zechcesz powiedzieć prasie. – To jego seksualność, jego wybór i jeżeli woli skłamać na temat przeszłości albo spróbować wyznać prawdę, będę wspierać go z takim samym zapalem.

Milczy długą chwilę, gładząc kciukiem moją twarz mokrą od łez. Obawiam się, iż myśli, że lepiej będzie dać mi odejść. Odseparować się ode mnie i Jane, i przeprowadzić samotną walkę.

Ciemność ukrywa odpowiedzi widoczne w rysach jego twarzy. Mogę opierać się jedynie na czuciu, na jego twardych mięśniach i wilgotnych oczach.

Dlatego pytam:

- Wolałbyś utonąć ze mną w rzece czy spłonąć ze mną w płomieniach?

- Ani to, ani to – szepcze.

Jesteśmy razem w tych wyborach, nieważne w jaki sposób upadniemy – jesteśmy razem. Nie rozumiem...

- Musisz coś wybrać. – Obciąża mnie ciężki, zimny ból.

Wsuwa palce w moje włosy, ściska w rękach moją twarz, jego wargi znajdują się tak blisko.

- Umrę z tobą, kiedy będziemy starzy, pomarszczeni i siwi, i przeżyję z tobą każdy prowadzący do tego dzień. *To* wybiorę zawsze.

Kiwam głową, rozluźniając ramiona, chociaż on tego nie widzi.

- A więc umrzesz *ze mną* – szepczę. To szekspirowska tragedia w najlepszym wydaniu i niemal wyczuwam jego leciutki uśmiech na tą myśl.

- Tak, kochanie. Umrę z tobą. – I całuje mnie władczo i mocno. Odsuwa się, żeby szepnąć: - Ale nie dziś.

Jednak sędzę, iż oboje zdajemy sobie sprawę, że to medialne zamieszanie zaczęło nas ranić o wiele bardziej niż cokolwiek do tej pory.

*Connor Cobalt*

- Nie mrugaj – mówi Rose, zakraplając mi oczy, kiedy siedzę na naszym łóżku. Zrobiłbym to sam, ale trzymam w rękach śpiącą Jane i ilekroć próbuję ją położyć, budzi się i płacze.

- Podoba ci się to. – Chodzi mi o to, że nade mną góruje.

Na jej czerwonych ustach nie pojawia się uśmiech.

- Wcale nie.

Wyciągam ramię i obejmuję ją w talii, ma na sobie dopasowaną, czarną sukienkę, a żółtozielone oczy są podkreślone tuszem do rzęs i kredką. Nikt by nie przypuszczał, że Rose płakała godzinę wcześniej – że moje oczy płonęły i tonęły we łzach, dołączając do niej. Ani tego, że wciąż gryzie mnie niekomfortowy, obcy ból.

- Mrugnij – mówi.

Mrugam kilka razy, krople działają łagodząco na moje piekące oczy i podnoszę się z Jane na ramieniu.

Rose dotyka maleńkich, delikatnych palców Jane, spomiędzy rozchylonych ust naszej córki wydobywają się głębokie oddechy. Jej kruchość oraz czystość przypomina mi, że tylko my możemy ją ochronić w tym czasie.

Nigdy nie myślałem o osłanianiu dziecka przed ciosami rzeczywistości. Moja matka nigdy mnie nie chroniła we wczesnym okresie dojrzewania. „*Dzięki temu jesteś mądrzejszy*” mawiała. Nauczyłem się blokować uczucia. Straciłem całkowitą empatię wobec innych. Potrzebowałem Fredericka, żeby przypominał mi, że jestem człowiekiem.

Zorientowałem się, że wolałbym, żeby Jane wierzyła we wróżki i magię niż podążyła moimi śladami. Wolałbym, żeby upodobniła się do swojej matki, nie do mnie.

Obawiam się, że paparazzi spowodują u niej uraz. Obawiam się, że jej niewinność zostanie roztrzaskana prędzej niż tak być powinno. Te obawy czaiły się w mojej podświadomości nawet kiedy wdrażaliśmy nasz półroczny sprawdzian. Teraz wycisnęły się na przód.

Moimi dwoma priorytetami są Rose i Jane. Już nie obchodzi mnie tak bardzo, co wydarzy się ze mną po drodze.

- Gotowy? – pyta Rose. Wszyscy czekają w salonie na dole, nasi publicyści, jej rodzice, trzy siostry, Sam, Ryke, Loren i jego syn. Nim zmierzę się ze światem, muszę zmierzyć się z naszymi bliskimi.

I powagę tej sytuacji podkreśla ten jeden fakt: to stało się sprawą dla całej rodziny.

- Poczekaj – mówię. Przekładam jej włosy przez jedno ramię.

Bierze gwałtownie wdech, sprawiając, że jej obojczyki stają się bardziej wyraźne.

Całuję ją w szyję i ściska mnie za ramiona. Obsypuję pocałunkami zarys jej szczęki oraz miękkość policzka. Może być niepewna i sztywna, ale ta rzeczywista kobieta jest tą samą kobietą w moich fantazjach. Nikt inny tego nie zrozumie, ale wielu ludzi nigdy mnie nie rozumiało.

- Kocham cię – szepczę po czym całuję ją w czoło, kładąc wolną rękę na jej policzku.

Jej żółtozielone oczy zwięzają się, wypalając we mnie dziurę. Wyginam usta w powolnym uśmiechu.

- Nie mogę znowu się rozplakać, Richard. – Obawia się takiej możliwości, a dopiero co nałożyła tusz do rzęs.

Uśmiecham się szerzej.

- Miłość doprowadza cię do płaczu?

- Nie każda.

- Tylko nasza – dopowiadam, jakby wkładając sobie do kieszeni nagrodę za pierwsze miejsce.

Zasłania mi usta ręką. Rose nie odsuwa się ode mnie. Przybliżamy się do siebie, pomiędzy nami znajduje się nasza córka. Gdy opuszcza dłoń, wciąż mam niepohamowany uśmiech.

- Dlaczego tak się szczerzysz? – Przenosi wzrok na moje wargi.

- Bo kocham całą ciebie. – *Teraz jestem gotowy.*

\*\*\*

Gdy schodzimy na dół i skręcamy za rogiem, wszyscy podnoszą się z różnych części umeblowania. Czasami jestem odbiorcą takiego królewskiego traktowania, moja pewność siebie skłania ludzi do powstania. Choć jestem całkiem opanowany – stoję prosto ze spokojnym wyrazem twarzy, trzymając Rose mocno za rękę, a drugą obejmując moją córkę – mam świadomość, że to jest bardziej postępowanie procesowe niż królewskie pozdrowienie.

Rose i ja nic nie mówimy. Siadamy na wolnej kanapie i reszta idzie za naszym przykładem. Nasi publicyści siedzą naprzeciwko nas na drewnianych krzesłach. Ten po lewej pracuje dla rodziny Calloway'ów: Corbin Nery, pięćdziesiąt parę lat, ekstremalnie skupiony i wystarczająco śmiały, żeby być rekinem w głośnych kryzysach, ale płaci mu się za chronienie reputacji Grega i Samantha, nawet kosztem mojej.

Publicystka po prawej pracuje dla mnie: Naomi Ando, zdumiewająco dyplomatyczna, racjonalna i obiektywna – wszystkie cenne atuty.

Corbin i Naomi zachowują się, jakby pracowali wspólnie – przyjaźni sprzymierzeńcy – ale nie są dla siebie większymi współnikami niż ja bym był z Jonathanem Halem... który podejrzliwie nie bierze udziału w tym formalnym spotkaniu.

Naomi ściska w rękę folder.

- Mamy wiele do omówienia, panie Cobalt.

Corbin otwiera swój notatnik.

- Najpierw musimy się dowiedzieć z czym się mierzymy. Niezależnie od tego jak zamierzamy podejść do prasy, musimy poznać prawdę.

Odpinam sobie marynarkę, trzymając na kolanach drzemiącą córkę i patrzę prosto na mojego teścia, który siedzi obok swojej żony na fotelach Queen Anne. W tak wielu słowach przekazuje mi, że chce poznać prawdę, wykorzystując do tego Corbina.

Greg Calloway może nie podnosić głosu i być dobrotliwym, ale kocha swoje córki *ponad* mężczyznami, z którymi one są. Doceniał mnie tylko ze względu na moje umiejętności biznesowe, zdolność do wazeliniarstwa i malowania sztucznego uśmiechu. Nie ma pojęcia, kim tak naprawdę jestem. Zawsze rozgrywałem grę budowania relacji, a nie ich niszczenia, a ta prawda wszystko zrujnuje.

Samantha dotyka raz swoich pereł.

- To musi być kłamstwo. – Wyczuwam jej osąd, a jeszcze nawet nie powiedziałem. Moja irytacja prawie ukazuje się w wyrazie twarzy, ale powstrzymuję wszystkie uczucia, pozostając obojętnym.

Rose gryzie się w język, gotowa zaatakować, ale nie ubiegnie mnie w tej odpowiedzi.

To ja muszę ją uwolnić.

- Podajcie więcej szczegółów – odzywam się wreszcie. – Co dokładnie jest o mnie mówione?

- GBA News i jedenaście innych brukowców sugeruje, że był pan w relacjach seksualnych z trzema mężczyznami – mówi otwarcie Naomi – dwójka z nich to absolwenci szkoły z internatem Faust dla chłopców.

- To prawda czy fałsz? – pyta Corbin.

W tym pokoju siedzi garstka ludzi nieświadomych mojej przeszłości: Sam, Poppy, Samantha, Greg i może nawet Lily, jeżeli Lo jej jeszcze nie poinformował.

Postanawiam spojrzeć w surowe oczy mojego teścia. Tym razem nie mogę się zawahać, nie tak jak zrobiłem z moimi przyjaciółmi. Chcę, żeby to zabrzmiało tak, jakby nic nie znaczyło, nawet jeśli może wszystko zmienić.



- Prawda – mówię tak swobodnie, jakbym stwierdzał temperaturę. Ściska mnie w żołądku, ale tylko ja to czuję.

Greg odwraca głowę, nie mogąc patrzeć mi w oczy. Praktycznie zgrzyta zębami. Uważam, że jego nienawiść bierze się od ojca starającego się ochronić córkę, zatem musiał uwierzyć w tę historyjkę – że stworzyłem układ biznesowy z Rose. Jeżeli ktoś w naszym wewnętrznym kręgu naprawdę wierzy w tę dramatycznie przekreśloną prawdę, to mamy tak szczerze przejebane, jak sądziłem.

- Rose – mówi karcącym tonem Samantha. – Wiedziałaś o tym?

- *Tak* – odpowiada silnie Rose. – I mam to gdzieś. Wszyscy mamy dawne związki... - urywa i spoglądam na nią kątem oka. Zrobiła pomyłkę, ponieważ przede mną nigdy nie była w żadnym związku.

Ściskam pocieszająco jej rękę, ale cała się spina.

Samantha pochyla się do przodu, przyciskając drżące palce do ust. Greg patrzy wściekle w ścianę i bardziej martwi mnie to, jak Rose radzi sobie z ich reakcjami. Chociaż wiele razy nie zgadzała się ze swoją matką i czasami nawet z ojcem, to żadna kłótnia nie była tak poważna.

Przyglądam się jej ostrym wdechom, zamierzając posunąć rozmowę dalej, ale wtrąca się starsza siostra Rose.

- Naprawdę ci to nie przeszkadza, Rose? – pyta Poppy, jakby próbowała nadać sens prawdzie.

- Na litość boską – odzywa się Lo – przespał się z paroma facetami, nie popełnił pieprzonego morderstwa.

Corbin zaznacza coś w swoim notatniku.

- Dobrze by było, gdybyś milczał, Lorenie – mówi. – Wszystko pogorszysz.

Moje wnętrzości skręcają się w sobie, ale czekałem aż Lo uświadomi sobie przez jaką niszczarkę zostanie przecięnięta nasza przyjaźń.

- Co takiego? – Lo posyła palące spojrzenie Corbinowi i podaje Moffy’ego Lily, całą rodziną tulą się do siebie na dwuosobowej sofie.

- To jeden z naszych tematów rozmowy – oświadcza Corbin. – Zaraz do niego dotrzemy. Nie wychodzimy poza porządek.

Lo zaciska zęby i odwraca się do mnie, szukając odpowiedzi, a jego pytający, skonsternowany wzrok mówi „wiedziałaś, że będziemy jebanym tematem rozmowy?”

Tak. Wiedziałem.

- Dlaczego miałyby mi przeszkadzać? – Rose odzywa się nagle do siostry. – Jestem jego żoną. Mamy ze sobą dziecko. Czy ciebie martwią wszyscy ludzie, których Sam przeleciał w przeszłości?

- Ej. – Sam unosi obronnie ręce. – Nie wciągaj mnie do tego.

- Nie – odpowiada spokojnie Poppy. – Nie martwią mnie jego byłe, ale to jest troszkę inna sytuacja, nie sądzisz?

Moja teściowa, Samantha, postanawia dodać swoje trzy grosze.

- Dlaczego *mi* nie powiedziałaś, skoro wiedziałaś o tym przez ten cały czas? Jestem twoją matką.

- Przepraszam, *matko* – odparowuje Rose. – Czy ty poinformowałaś mnie o każdej osobie, którą przeleciał twój mąż zanim przespał się z tobą?

- To nie jest to samo, Rose! – krzyczy Greg, podrywając się na nogi.

- A powinno! – Rose wstaje z takim samym gniewem. *A powinno*. Może pewnego dnia tak będzie, ale dzisiaj, w tej chwili, moje życie seksualne z kobietą i życie seksualne z mężczyzną nie posiada dla nich takich samych skojarzeń, co dla mnie i Rose.

Krzyki nie są rozwiązaniem, nawet jeśli chciałbym stanąć przy jej boku i wrzeszczeć równie głośno i namiętnie. Łapię ją za rękę, sadzając z powrotem obok siebie. Gładzę ją po plecach, szepcząc:

- Daj im czas na przetrawienie.

Patrzy na mnie płomiennym wzrokiem.

- Chcę tylko, żeby zrozumieli. – Jej niski głos jest słyszalny tylko dla mnie.

- Cierpliwości, kochanie.

Wypuszcza zirytowany oddech.

Greg pozostaje w tej samej pozycji, trzymając ręce na pasie i kilka razy przemierza drogę z okna do swojego fotela. Pokazuje Corbinowi, żeby kontynuował, nie potrafi wydusić słów, nie potrafi spojrzeć mi w oczy i sam zapytać.

Dlatego muszę rozmawiać z kimś, kto dla niego pracuje. Wyobrażam sobie jak śmieję się z frustracją, patrzę gniewnie w sufit, potrząsam głową – wyobrażam sobie każdą emocję, którą mogę tylko uwewnętrznić. Nie pokazuję niechęci, wściekłości ani irytacji – ale istnieje, kurwa, we mnie, drapie pazurami w mój mózg.

- Czy ożeniłeś się z Rose, żeby ukryć swoją seksualność? – pyta Corbin. – I czy ten układ jest dokonany za obopólną zgodą?

Czuję jak moje mięśnie próbują się naprężyć. *Za obopólną zgodą.* Tak jakbym zmusił ją do naszego małżeństwa.

- Ożeniłem się z Rose, ponieważ się kochamy – oświadczam prosto. Czeka ją aż wyleją się ze mnie emocje. Nie mam w sobie kopania, wrzeszczenia i padania na kolana. Rose myśli, że może mieć problem z przekonaniem świata, że mnie kocha, ale ja będę mieć o wiele większy problem z przekonaniem jej rodziców, że kocham ich córkę. – Nie mieliśmy ukrytych motywów – dodaję.

- Co jeśli ją zmanipulował? – pyta niespodziewanie Greg swojego publicystę. Marszczę brwi, zastanawiając się czy Jonathan nie szeptał mu do ucha.

Naomi nie daje dojść do słowa Corbinowi.

- Czymś takim powinien zająć się zespół prawników i nie powinniśmy badać pocisku, kiedy nikt nie pociągnął za spust.

Wstaję, trzymając w ramionach córkę i w pokoju nastaje cisza. Udaje mi się pochwycić spojrzenie Grega, chociaż chce odwrócić wzrok.

- Nie będę cię błagał, żebyś mi zaufała – mówię spokojnie. – Poproszę tylko, żebyś zaakceptowała inteligencję własnej córki. Nie została przeze mnie oszukana: tak naprawdę zostawiłaby mnie, gdyby zobaczyła chociaż ślad niewierności. Przeżyłem z nią o wiele więcej niż kiedykolwiek z tobą, dlatego wiedz, że ona wcale nie jest ślepa.

Milknę z większą ostrożnością, kiedy Samantha wbija spojrzenie w trzymaną przeze mnie Jane. Poprawiam sobie córkę, która prawie wybudza się z drzemki.

Greg ściska nasadę nosa.

- Chyba powinniśmy skoncentrować się na tym jak to zakopać, a nie na tym, co o tym myślimy.

Ciasny kok Samantha naciąga meszki jej linii włosów.

- Najlepiej by było, gdyby w tym czasie Jane zamieszkała z nami...

- Nie, jest bezpieczna przy nas – przerywam jej, a moje mury obronne zaczynają wzrastać wyżej niż kiedykolwiek. Czuję gotującą się obok Rose, która patrzy morderczo na swoją matkę za samą sugestią, że odbierze nam dziecko.

Znowu siadam i podaję Jane do Rose, która przytula opiekuńczo naszą córkę. Jane ściska ramię Rose, jakby trzymała swojego pluszowego misia.

Greg przygląda się Jane.

- Czy ona jest w kochającym środowisku? – Jego zwątpienie wylewa się z każdego pieprzonego słowa. Pocieram usta wkurzony, tak wkurzony, że mógłbym krzyczeć. Mógłbym

bić się po piersi i tupać stopą, ale nieważne jak bardzo chciałbym to zrobić, to nie widzę logiki w tych czynach.

Na twarzy Rose pojawia się grymas przeskakujący pomiędzy furią, a zranieniem.

- Jak możesz w ogóle o to pytać?

- Jestem zatroskanym dziadkiem. Kocham tę dziewczynkę.

Sugeruje, że jego miłość przewyższa naszą. Przypominam sobie jak odebrałem poród Jane. Jak Rose trzymała ją każdej nocy, kiedy płakała. Jak spędziliśmy kilka bezsennych miesięcy i nie narzekaliśmy. Jak staraliśmy się zminimalizować pojawianie się Jane w mediach, nakierowując uwagę na siebie. Jak ceniliśmy sobie jej każdy kamień milowy.

W jaki sposób mierzy się miłość?

Czy to poprzez rzeczy, które jesteśmy skłonni zrobić? Przez to, co jesteśmy skłonni poświęcić? Jeżeli tak... to szalenie kocham moją córkę, ponieważ zrujnowałbym swój świat, żeby podarować jej coś na czym mogłaby stać. Gdybym musiał, zbombardowałbym Cobalt Inc., durna decyzja. Ale pewna mądra kobieta powiedziała kiedyś, że miłość jest warta każdych głupich decyzji.

Czy Greg Calloway zburzyłby Fizzle dla swojej wnuczki? Nie ma mowy.

Rose jeszcze bardziej się prostuje.

- Najpierw bądź zatroskanym *rodzicem* i zaufaj mi, swojej córce.

- Proszę cię, Rose – mówi Greg, nie lubi podnosić głosu, chociaż już raz dzisiaj to zrobił.

Przytulam mocniej Rose, a ona bierze parę głębokich wdechów, próbując precyzyjnie się przez wątpliwości swojego ojca. Nie ma tutaj żadnego rozwiązania.

Zwracam się do Naomi, chcąc przyspieszyć wszystko i pominąć oskarżenia oraz obwinianie.

- Nasze małżeństwo jest prawdziwe i zostało zawarte za obopólną zgodą. Seks taśmy nie są ustawione – zapisuje notatki tak szybko jak mówię – i spłodziliśmy dziecko, żeby założyć rodzinę. Jedyna prawda znajduje się w przeszłości.

Rose przysuwa się na brzeg kanapy, trzymając mnie za rękę.

- Jaka jest nasza najlepsza obrona? – pyta Naomi.

- Państwa publiczne oświadczenie – odpowiada. – Istnieje wiele dowodów, że wasze małżeństwo to sztuczka. – Przegląda swój folder. – Panie Cobalt, na pana Instagramie jest pełno zdjęć z państwem, ale żona na każdym patrzy na pana wściekle.

Tak jak to lubię.

- Oni się kochają – odzywa się Lily. Rumieni się, kiedy wszyscy na nią patrzą. – Tak wygląda ich miłość.

Rose prawie się uśmiecha i w jej oczach wzbierają się łzy. Dziękuje bezgłośnie Lily.

- No cóż – wtrąca Corbin – to wygląda na nienawiść.

- Pierdol się – przeklina go Ryke ze swojego miejsca we wnęce okna, Daisy leży na jego kolanach.

Uśmiecham się lekko.

- Jestem tutaj, żeby stwierdzić to, co myśli społeczeństwo – przypomina mu Corbin.

- A ja po to, żeby obrócić to wszystko na pozytyw – oświadcza Naomi. – Proszę nie usuwać tych zdjęć, panie Cobalt. To byłoby przyznanie się do winy. Proszę spróbować dodawać różnorodne obrazy, może wieczorne wyjścia, zdjęcia obrączek i tak, proszę dalej dodawać to, co wcześniej. Istnieje cienka granica pomiędzy usprawiedliwianiem się, a staraniem się za bardzo, żeby wyglądać na kogoś, kim się nie jest.

Z tego ostatniego powodu wzmocnienie pokazywania uczuć w miejscach publicznych ugryzło nas w tyłki. Szanuję porady Naomi, dlatego pytam:

- Powinniśmy zwrócić uwagę na striptiz i wszystko inne, co media obróciły przeciwko nam? – Zwykle byłbym bardziej specyficzny i powiedział, że zabawiałem się z Rose, ale jest tutaj jej ojciec. Potrzebuje czasu, żeby się uspokoić i wolałbym nie utrudniać tego, żeby znowu mnie polubił.

- GBA News sprowadziło analityka od mowy ciała, żeby przyjrzał się tym zdjęciom – tłumaczy. – I zauważył uzasadnione zwątpienie w sztywnej postawie Rose. W niemal każdym zdjęciu, na którym jesteście w miejscu publicznym, gdzie pan ją całuje, i tak dalej, wygląda na skrzepowaną.

Nie była najlepszą aktorką, ale starała się i nie mogliśmy wiedzieć, że dojdzie do czegoś takiego.

- Ej – mówi Daisy, a jej husky leży zwinięta obok Ryke'a – to nie jej wina. Nie każdy lubi się całować w miejscu publicznym.

- Ale czemu przez te ostatnie cztery miesiące było więcej takich zachowań? – pyta Corbin. – Media czepią się tego okresu czasu.

Rose siada prosto.

- Chcieliśmy wypróbować coś nowego, nadać pikanterii naszemu związkowi odkąd urodziła się nasza córka.

Nigdy nie wyznamy prawdy: że celowo kusiliśmy prasę. Jeżeli chodzi o Rose i mnie, to jedyną osobą znającą nasz sekret pozostanie Ryke Meadows.

Naomi potakuje.

- To przyzwoita obrona i lepsza od milczenia. Dodamy to do waszego listu. Nie będziecie musieli tego mówić na spotkaniu dla dziennikarzy. – Ona napisze list. My przeczytamy i zaaprobowujemy. Tak to działa. – Wiem, że macie na Instagramie trochę rodzinnych zdjęć z Jane, ale powinniście wstawiać więcej. No i popracujcie nad tweetowaniem o rodzicielstwie. Ludzie lubią takie komentarze. Dzięki nim jesteście wiarygodni.

- *Kochające* komentarze – objaśnia Corbin – bez sarkazmu czy czegoś, co można wyjąć z kontekstu.

Rose fuka.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Czule przesuwa palcami po włoskach Jane. Dobrze wie o co mu chodzi. Nie cierpi o tym mówić. Widywałem w jej oczach żal po swoich komentarzach, kiedy trochę się zagalopowywała, a nie miała wcale tego na myśli.

Często wyraża swoje zdanie i jest karana za każde słowo, nawet te wypowiedziane w pośpiechu, te nawarstwione strachem, te wypełnione wściekłością. Uwielbiam wszystkie jej opinie, namiętne, dramatyczne i wszystko pomiędzy.

- *Do Connora Cobalta.* – Corbin czyta starego tweeta Rose ze swojego notatnika. – *Ilekrót ten gremlinek zaczyna wyć, moje jajniki zabijają jedno jajko. Wkrótce zostanę bezpłodna.*

Ludzie znający Rose wybuchają śmiechem. Jej rodzice zachowują milczenie.

- To był żart – mówi Rose i jej głos łamie się pod koniec. Patrzy ostro w sufit, bardziej zdenerwowana niżbym się tego spodziewał. Wyczuwam jej słabnącą pewność siebie.

Mój uśmiech znika. Rozmasowuję jej spięte barki i nachylam się, by szepnąć:

- To nie jest twoja wina, Rose. – Nic z tego nie jest jej winą. Wszystko jest przekręcane.

- Wolno jej być sobą – wtrąca się Ryke, prostując się we wnęce. Daisy zsuwa się z jego kolan i głaszcze ich suczkę.

- Nie ceną reputacji – odpowiada Samantha. – Nie zrozumiesz...

- Rozumiem. Rozumiem cholernie bardziej niż chcesz przyznać i chodzi tu tylko o to, aby zmienić ich w innych ludzi. – Wskazuje na mnie. – Pozwólcie im być tym, kim, kurwa, chcą, koniec historii.

*Gdyby to było takie proste, przyjacielu.*

- Żyjesz z funduszu powierniczego Hale Co. – odzywa się Sam, przypominając wszystkim o pieniądzach włączonych do mojej decyzji. – Próbujeśmy ochronić *firmy*, które mogą ponieść straty przez postrzeganie społeczeństwa. Nie sądzę, żebyś miał w tym zdanie.

- Pieprz się – wścieka się Ryke, wstając z wnęki okiennej.

Lo waha się z powstrzymaniem brata przed fizyczną sprzeczką, ale Ryke na razie nie rzucił się na Sama.

Naomi wykorzystuje krótką ciszę i zmienia temat.

- Seks taśmy są dobrą formą obrony, chociaż wszyscy próbują zamieść je pod dywan.

Corbin stuka długopisem o notatnik.

- Nigdzie ich nie zamiatają. Wszyscy wierzą, że taśmy są kolejnym występem, żeby zakryć ślady Connora. I szczerze mówiąc ja też bym to kupił.

- No to jesteś idiotą – mówi Lo.

- Nie – odpiera Corbin – społeczeństwo nie zna Connora tak osobiście jak wy. Wiedzą, to, co widzą, a widzą nawiązania do przeważnie dobrze skoordynowanych scenek. *Moją* sugestią, żeby wyczyścić wszystko łatwo i szybko, byłoby zaprzeczenie wszystkim oskarżeniom.

Rose jeszcze bardziej się spina. Nie odzywam się od razu, ale Corbin mówi dalej.

- Powiesz, że nigdy w życiu nie przespałeś się z mężczyzną. Powiesz, że ci faceci byli twoimi znajomymi i chcą zarobić szybką kasę dzięki gazetom. Powiesz, że jesteś *heteroseksualny* i żyjesz w zdrowym, kochającym małżeństwie ze swoją żoną.

Żeby to naprawić, muszę skłamać.

Wiem o tym. Wybiegam sto kroków przed nich i czekam aż Naomi zaproponuje mi inną wersję tego samego problemu.

- Pieprzcie się wszyscy. – Ryke mówi to, co czuję, ale nie mogę wypowiedzieć.

- Jeżeli nie masz nic konstruktywnego do dodania, to powinienesz wyjść – mówi mu Corbin.

Lo posyła mu miażdżące spojrzenie.

- Jesteś naszym przeklętym publicystą, a nie królem zamku, więc przestań udawać, że masz władzę, aby wyrzucić mojego brata do innego pokoju.

Naomi nagle wstaje.

- Mam alternatywę. – Wyciąga ze swojego folderu kartkę i podaje mi ją. Obrzucam wzrokiem długą listę typów seksualności: między innymi *biseksualista*, *panseksualista*, *poliseksualista*. – Proszę wybrać jedno – mówi.

Jakby to było tak łatwe, jak zamówienie przystawki z menu.

W pokoju nastaje cisza, wszyscy kierują na mnie spojrzenia. Ta kartka jest cięższa niż mogą sobie zdawać z tego sprawę. W trakcie dwudziestu siedmiu lat mojej egzystencji

wcisnąłem się do parametrów konstruowanych przez innych ludzi – żeby wmieszać się w tłum, żeby *uspokoić* mężczyzn i kobiet.

Dla mnie te terminy są następnym parametrem – i nigdy nie lubiłem wchodzić do tego pudła, udawać kogoś innego, kiedy to, co *czuję* jest tak proste, tak pierwotne. Podziwiam innych ludzi, którzy potrafią utożsamić się z tymi słowami, ale *ja* tego nie czuję.

Pociągają mnie ludzie, pociąga mnie obezwładniająca *pasja* duszy, ciała oraz umysłu.

Nie powinienem dostawać jakiejś etykiety, żeby inni mnie rozumieli. Moja seksualność powinna być priorytetem tylko dla mnie. Gdybym sypiał tylko z kobietami, to nikogo by to nie obchodziło, ale dowiedzieli się czegoś innego i teraz są zaniepokojeni, rozsierzeni – skonsternowani, pełni wątpliwości.

Zatem żeby ich uspokoić muszę wejść do tego ciasnego pudła. Żeby mogli mnie zrozumieć, muszę zadeklarować coś, czego nie odczuwam.

Wiem, kim, kurwa, jestem, ale niewielu ludzi tak naprawdę mnie zna. Teraz muszę zdecydować którego Connora Cobalta ujrzą miliony ludzi.

Ten fałszywy: nadam sobie etykietkę. Będę tym, kogo potrzebują. Tym samym pogodzę się z moim teściem i wyeliminuję wątpliwości, które rzucają cień na moją miłość do Rose i jej miłość do mnie.

Ten prawdziwy: nie powiem tak ani inaczej. Społeczeństwo będzie musiało się zastanawiać. Zrzuńnię relacje z Gregiem i Samanthą, najprawdopodobniej zaszkożdę przyjaźni z Lo. Moja miłość do Rose i jej do mnie już zawsze mogą być kwestionowane.

Dziewiętnastoletni ja nie przejąłby się tym ultimatum. Odgrywałbym fałszywą rolę przez resztę życia, resztę moich dni i straciłbym ostatnią resztkę człowieczeństwa, którą oddałem pod opiekę Rose.

*Bądź prawdziwy, Richard.*

Uspokajam ludzi. Zadowolam ich. Co się stanie, jeśli przestanę choć na chwilę, żeby pożyć w komforcie własnej skóry? Mogę wszystko stracić. Ale co jeśli to poświęcenie, które muszę zrobić dla Jane? Co jeśli muszę porzucić osobę, którą jestem, żyć kłamstwem, aby ona mogła żyć w spokoju?

Zmienne, ceny, korzyści, ciągnące się gdybania prowadzą mnie do dezorientacji – do czołowego zderzenia ze strachem.

Pocieram czoło, które zaczyna się pocić.

- To nie powinno być takie trudne – odzywa się Samantha.

- Musiałaś kiedyś zadeklarować światu, że jesteś heteroseksualna? – pytam. – Czy ktokolwiek spojrział przez to na ciebie inaczej?



Zaciska wargi.

- Nie sędę. – Składam kartkę na cztery części i wszyscy przyglądają mi się uważnie. – Heteroseksualność jest normą. Może kiedy będziesz musiała stanąć na podium z kamerami skierowanymi na twoją twarz i wypowiesz *jedno* słowo, które zmieni sposób, w jaki postrzegają cię ludzie... wtedy zrozumiałabyś, że to nie jest łatwe, nawet dla mnie.

Rose ściska moją rękę wspierająco, a kiedy na nią patrzę, zauważam w jej żółtozielonych tęczęwkach dumę. Twierdzi, że będzie stała u mojego boku bez względu na to, co wybiorę, ale Rose opowiada się za każdym elementem, który czyni ze mnie... *mnie*.

To żaden wyjątek.

- Więc powiedz wszystkim, że jesteś heteroseksualny – mówi Samantha – i nikt nie spojrzy na ciebie inaczej.

- Matko – warczy Rose.

- Nie rugaj mnie, Rose. Mówię to, co wszyscy myślą. Rozumiem, że wszyscy mamy swoje sekrety, ale o niektórych nie powinno mówić się na głos. – Zmieniłem się w jej oczach i pewnie schowałaby mnie w szafie, gdyby mogła, zatkała uszy i cofnęła czas, abym znowu był tą osobą, której chciała.

Zawsze taki byłem, nawet jeśli ona tego nie widziała.

Ryke występuje naprzód z pociemniałym wzrokiem i Daisy łapie go za nadgarstek, żeby zatrzymać w miejscu.

- Ta, nie powinien wyznawać pieprzonej prawdy, bo *ty* nie możesz jej znieść? Nie powinien być sobą, ponieważ to cię krępuje?

Ten temat drażni go bardziej niż innych. Nigdy wcześniej nie musiał być moim adwokatem, ale miło widzieć, że próbuje. Jestem za to wdzięczny.

- Dosyć – mówi Greg. – Chyba wszyscy wyraziliśmy swoje opinie i Connor ma ostateczne zdanie.

Oddaję kartkę Naomi.

- Napiszesz oficjalny list oświadczający, że kocham Rose, wszystko, co tutaj przedyskutowaliśmy, ale opuścisz informacje o tym czy spałem z tą trójką mężczyzn. Potrzebuję czasu, żeby postanowić, co chcę powiedzieć zanim zwołamy konferencję prasową.

Corbin wzdycha zirytowany.

- Milczenie potwierdza winę.

- Możecie rzucać aluzje o konferencji prasowej, żeby ludzie wiedzieli, że planuję dać oświadczenie.

Sprawdza swój kalendarz.

- Zaplanujemy ją na dziesiątego kwietnia.

Za tydzień.

- W połowie maja – odpieram. *Potrzebuję czasu.* – Nie wiecie o tym, ale ci faceci podpisali umowę poufności i jeśli będę twierdzić, że jestem heteroseksualny, a oni pokażą je *komukolwiek*, to idiotycznie złapię się w pułapkę. Dlatego potrzebuję czasu, żeby załatwić wszystkie sprawy prawne. – Nie mogę pozwać ich o zerwanie umowy, chyba że chcę przyznać, że z nimi spałem. To skomplikowane.

Corbin patrzy na Grega i mój teść potakuje w akceptacji wobec tego otwartego zakończenia.

Naomi zamyka swój folder i Corbin odchrząkuje.

- Jeszcze jedna sprawa... - Obraca długopisem w palcach i celuje nim w Lo. – Musimy to załatwić. – Pokazuje na mnie i na Lo.

- Niby co? – Lo zgrzyta zębami.

Corbin spogląda na swoje notatki.

- W zeszłym roku w Meksyku zostaliście nagrani jak się całowaliście...

- To było wyzwanie. – Głos Lo to ząbkowane ostrze. – Wszyscy o tym wiedzą.

- W marcu podczas dnia świętego Patryka zostałeś sfotografowany jak szczypiesz go w tyłek...

- To mój *przyjaciel*.

- Podczas *Księżniczek Filadelfii* obydwójce często rzucaliście sobie komentarze o „robieniu lodu”, „masturbowaniu” i „dochodzeniu”.

Lo przysiadła na brzegu kanapy, celując groźnie w Corbina.

- I wtedy *wszyscy* mieli to w dupie, więc przestań teraz robić z tego problem.

- Reprezentuję większość ludzi poza tym domem, którzy już zaczęli analizować waszą przyjaźń. Jeśli szybko nie zdusimy tego w zarodku, zaczną twierdzić, że z nim sypiasz i że Lily, twoja *żona*, tak naprawdę jest z Rykiem, twoim *bratem*, że twój syn nie jest tak naprawdę twoim dzieckiem. Ja tylko staram się zminimalizować konsekwencje.

Lo wpatruje się odległe w podłogę ze wzrokiem pytającym „*dlaczego? Jak to się mogło stać?*”

Stało się, ponieważ to piętno, którego nie mogę się pozbyć.

- Moja propozycja – dodaje Corbin – jest taka, żebyście nie spotykali się w miejscach publicznych. Nie rozmawiajcie. Nie dotykajcie się. Nie wysyłajcie sobie tweetów. Nawet nie patrzcie w swoim kierunku. Najlepiej by było, gdyby Connor czynił tak samo z Rykiem.

Niespodziewanie skręca mi się żołądek. Ściągam marynarkę, bo nagle zrobiło mi się gorąco.

- W tej chwili ludzie inaczej patrzą na waszą przyjaźń, Lorenie i nie chcesz, żeby odnieśli złe wrażenie.

Według publicysty Calloway'ów nie wolno mi posiadać heteroseksualnych, męskich przyjaciół. Nasze kawały nie są już odbierane na takich samych standardach. Cokolwiek powiem Lo lub Ryke'owi zostanie zakwestionowane i poddane wątpliwościom. „*Pociągają cię? Chcesz się z nimi przespać?*”

Nie.

Ale kto mi teraz uwierzy?

Ryke przeciąga ręką po włosach, roztrzepując gęste pasma. Jest tak wkurzony, że wychodzi z pokoju, trzaskając drzwiami do kuchni. Słyszę jak mówi coś w stylu „*nic się nie zmieniło, do chuja*”. A jednak zmieniło się wszystko.

Daisy i Nutty, ich biała husky, biegną za nim.

- Lo – mówię cicho.

Podnosi nieznacznie głowę, żeby na mnie spojrzeć i widzę jak poczerwieniały mu oczy. Widziałem go w najgorszych momentach jego życia. Obserwowałem jak trzeźwieje i obserwowałem jak dostaje nawrót. Niosłem go, ledwie żywego, we własnych ramionach. On widział jak wylałem łzy po narodzinach mojej córki. Ja widziałem jego uśmiech po narodzinach jego syna. Przeszliśmy przez dwa śluby, jego pięć urodzin, jeszcze więcej świąt i podróży wokół całego świata.

W towarzystwie Lorena Hale'a *nigdy* nie ma nudnej chwili.

Zmienianie granic naszej przyjaźni sprawia, iż zmienia ona kształt i nie jestem pewien czy kiedykolwiek będzie taka sama.

- Musisz zrobić to, co jest dla ciebie najlepsze – mówię mu, próbując mu to ułatwić.

Napina szczękę, hamując emocje.

- Ignorowanie cię każdego dnia poza tym domem jest dla mnie najlepsze? Udawanie, że nie istniejesz? Teraz nie możemy jeździć razem do roboty. Nie będziemy mogli odbierać wspólnie naszych dzieci z przedszkola ani jeść obiadu w tej samej restauracji. Nie mogę do ciebie dzwonić. Nie mogę do ciebie napisać. Nie mogę pokazać, że mi na tobie zależy... to jest cholerne przeciwieństwo tego, co jest dla mnie najlepsze.

Staram się odnaleźć lepsze słowa.

- Lo...

- Pomagałeś mi latami. – Ściąga mocno brwi. – Teraz nadeszła pora, żebym to ja ci pomógł i nie będę zachowywać się, jakbyś był trędowatym tylko dlatego, że tak mi każe ten koleś. Możesz być cholernie dziwaczny, kiedy zaczynasz spierać się słownie z Rose, ale jesteś *moim* dziwaczny, najlepszym przyjacielem. Nic tego nie zmieni.

Nim zdążę przyjąć jego deklarację, słyszę stukot butów o deski podłogowe. Nie słyszałem zamykanych drzwi, ale za moją kanapą staje wyprostowany Jonathan Hale, trzymając ręce w kieszeniach. Natychmiast się podnoszę – pytanie „*jak*” tego masywnego wycieku uderza mnie z całej siły w policzek. *Jak ci trzech faceci zostali zmuszeni do zerwania umów?*

- To się zmieni, Loren – mówi Jonathan. – Ochronisz swoją żonę, syna i firmę. Nie będziesz chronić *jego*.

Są tylko trzy osoby, które mogły mnie wykiwać:

Jonathan.

Theo.

Frederick.

Słyszając pogardę w głosie Jonathana, postawiłbym wszystko na niego.

Rose Cobalt

Wyraz twarzy Lorena Hale'a mógłby zabić, jego szczeka przypomina ostrze topora, a oczy są stalowe.

- Gdy cały przeklęty świat sądził, że mnie molestowałeś, nie zacząłem cię ignorować – odpowiada swojemu ojcu. – I zgadnij co? *Nadal* w to wierzą, a jednak jesteśmy tutaj razem.

- Nasza relacja nie ma wpływu na *twoją* rodzinę – mówi pogardliwie Jonathan. – A to tak. Nie bądź jebanym idiotą, Loren.

Co najmniej troje ludzi, w tym ja, przygotowuje się do włączenia do rozmowy, ale Lo nas ubiega.

- Nie masz prawa tak się do mnie odzywać: *nigdy*. – Wstaje z sofy i posyła Lily jedno spojrzenie mówiące „*zabierz stąd Moffy'ego*”. Ona przytakuje i wychodzi do kuchni.

Poczucie własnej wartości Lorena to piękny widok pośród tej zdrady, która zaczęła się od kryzysowej listy rzeczy do zrobienia, okrytej kłamstwami oraz wstydem, a teraz kończy się niemile widzianą wizytą Jonathana. Nie podoba mi się sposób, w jaki przygląda mu się Connor, każdy stoi zeszywniały po obu stronach kanapy.

Są tutaj odpowiedzi, których nikt nie chce usłyszeć. Znosiliśmy już nielojalność na większej, nieprzyjemniejszej skali i ta osoba została *wygnana* z naszej grupy.

Matka Ryke'a, Sara Hale, podała prasie informacje o seksholizmie Lily. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś powtórzył ten błąd oraz szkody, które ona wyrządziła.

Jane wierci się w moich ramionach i unoszę ją lekko, opierając sobie na piersi jej główkę. Chwyta się mojego złotego naszyjnika.

- Pomagam ci – odparowuje Jonathan, skupiając na sobie moją uwagę. – Jeżeli nie potrafisz tego dostrzec, to musisz otworzyć... - urywa, widząc palące spojrzenie Lo. Ja też takie wysyłam, ale nie jest efektowne, kiedy Jonathan koncentruje się tylko na swoim synu.

Mogę to przyznać: gdy byłem małą dziewczynką bałam się tego człowieka, który wślizgiwał się do naszego domu, przyprowadzając ze sobą dzieciaka, który niesamowicie mnie irytował. Jonathan zawsze był wytworny, ubrany w uszyte na miarę garnitury warte tysiąc dolarów, a w ręku trzymał jeszcze droższe trunki. Posiadał tyrańskie zachowanie, które rujnowało wszystkich ludzi stojących mu na drodze.

Był czarnym charakterem w klasycznych filmach Jamesa Bonda, ale im stawałam się starsza, tym więcej dostrzegałam jego wad, czułe punkty bestii. Jonathan był taki niepewny, tak udręczony myślą, iż jego syn odkryje jego zgnite wnętrze, a wtedy go zostawi. Zrobiłby *wszystko*, żeby utrzymać kontakt z Lo.

Nawet przeszedł dla niego na abstynencję.

Więc chociaż bałam się Jonathana *wiele* lat temu, to wydaje się bardziej ludzki, nie jest już takim dwuwymiarowym przestępcą. Teraz jest słabszy. Nie tylko przez wiek – jego baczki posiwiały i w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki – ale przez słowa osnute strachem.

Loren krzyżuje ramiona.

- Connor to mój najlepszy przyjaciel, więc twierdzisz, że gdyby Greg potrzebował pomocy, to byś mu nie pomógł? – Celuje w mojego ojca, który stoi przy fotelu Queen Anne.  
– To *twój* najlepszy kumpel.

- Gdybyś ty był tego kosztem, nie. Dałbym Gregowi spłonąć.

O Boże.

W oszołomieniu podnoszę rękę do ust. Mój ojciec zawsze był moim zabezpieczeniem pomiędzy Jonathanem i Connorem. Jeżeli Jonathan skrzywdziłby mojego męża, tym samym skrzywdziłby *mnie*, córkę swojego najlepszego przyjaciela. Jego słowa niszczą resztki naszej zbroi.

- Coś ty zrobił, Jonathanie? – pyta ojciec, ściskając palcami oparcie fotelu mojej matki.

- Lo prowadzi teraz moją firmę. Próbuję go prowadzić, a wtedy dowiaduję się o nim – wskazuje palcem w kierunku Connora – o rzeczach, które wyprawiał.

Connor w końcu się odzywa.

- *Wyprawiał*, czyli czas przeszły. Twoje zaokrąglone wykorzystanie „rzeczy” nie pomaga twojej sprawie, a ponieważ nie potrafisz się wysłowić, pozwól, że ci pomogę. Uprawiałem seks z mężczyznami i kobietami zanim jeszcze zacząłem chodzić z Rose. Mam nadzieję, że znasz przynajmniej różnicę anatomiczną „mężczyzn”, żeby nie musiał ci tego wyjaśniać.

Wszyscy czepiamy się każdego precyzyjnie skonstruowanego słowa, a moje serce traci rytm przy każdym krótkim wdechu Connora.

- To może być dla ciebie trudne do zrozumienia – ciągnie bez chwili przerwy Connor – ale osobiście praktykuję monogamię. Wierzę także w małżeńskie tradycje, obietnicę wierności. Zdaję sobie sprawę, że ten termin nie ma dla ciebie znaczenia, skoro wiele razy zdradzałeś swoją byłą żonę, ale nie powinieneś wykorzystywać swojego doświadczenia przeciwko mnie. To niedorzeczne, omylne i szczerze irytujące.

Jonathan otwiera usta, ale Connor nie daje mu dojść do słowa.

- Pomijając twoją czystą ignorancję, dobrze wiesz, że jestem wyjątkowo lojalny w stosunku do mojej *żony*, więc na jakiej podstawie kiedykolwiek miałbym spróbować przelecieć twojego syna?

Jonathan już się odzywa.

- To było pytanie retoryczne – przerywa mu Connor. – Nie ma *żadnych* racjonalnych powodów na to, co zrobiłeś. Więc kiedy powiesz, że skontaktowałeś się z tą trójką mężczyzn z mojej przeszłości i zmusiłeś ich, żeby powiedzieli o mnie prasie, to lepiej uwierz, że to była najgłupsza decyzja w całym twoim życiu. Mówiąc wprost: właśnie strzeliłeś sobie w pieprzoną mordę.

Staję przy Connorze, przytrzymując Jane na biodrze. Mój mózg strzela synapsami mówiącymi „*wydłub Jonathanowi gałki oczne, rozerwij go na strzępy*”. Wyobrażam sobie ohydne, krwawe morderstwo, ale moje nogi zmieniły się w krzepnącą magmę, nie potrafię zrobić choćby kroku w jego stronę.

- Je veux lui faire du mal – szepczę do Connora głosem drżącym z bólu i wściekłości. *Chcę mu zrobić krzywdę*. Przeraza mnie świadomość jak bardzo chcę zranić tego człowieka.

Connor obejmuje mnie w pasie, przykładając wargi do mojego ucha.

- To niczego nie rozwiąże, Rose. – Jest tak pozornie spokojny i ani przez chwilę nie wierzę, że tak samo dzieje się wewnątrz. Jego przemowa była pełna gniewu, nawet jeśli słowa trzymały całkiem inną emocję.

- Jonathanie? – powtarza mój ojciec z niedowierzeniem w głosie.

- Tato? – Lo marszczy brwi. – Powiedz, że nic nie zrobiłeś...

Ten piorunuje wzrokiem Connora, nie stawiając czoła ludziom, których nigdy nie chciał skrzywdzić.

Niespodziewanie wstaje moja matka.

- Jonathanie – karci go. – Wystawialiśmy się dla ciebie mnóstwo razy i jeżeli wiedziałeś coś o mężu Rose, miałeś obowiązek powiedzieć o tym najpierw nam, nie mediom.

Nie jestem zdziwiona lojalnością matki. Może posiadać wiele cech, ale kiedy chodzi o chronienie nazwiska Calloway, to zajmuje miejsce w pierwszym rzędzie. Mogę być prawnie Cobaltówną, ale dla prasy zawsze będę Rose Calloway.

Opiekuńczo trzymam dłoń na główce Jane, kiedy śpi.

- Wiesz w ogóle, co zrobiłeś? – pytam go.

Jonathan rozkłada ramiona.

- Zrobiłem to, co uważałem za słuszne. – Patrzy na Lo. – Nie wiesz do czego jest zdolny twój przyjaciel i jeżeli sam nie zamierzałeś się od niego odseparować, musiałem znaleźć sposób, żeby zrobić to za ciebie.

Jego wyznanie sprawia, że cofam się chwiejnie do tyłu, ale Connor obejmuje mnie mocniej, zaciskając rękę, jakby potrzebował mnie przy sobie tak bardzo jak ja jego.

Poczucie winy i ból roztrząskują twarz Lorena.

- Nie... - Lo kręci głową.

Moją twarz oblewa gorąco, a oczy palą i zwężają się w małe punkciki. Wciąż chcę powiedzieć: *Jeżeli kiedykolwiek zagroźysz mojej rodzinie...* albo *jeżeli kiedykolwiek spróbujesz skrzywdzić moją córkę...* albo *jeżeli zniszczysz moich bliskich...*

Lecz te groźby straciły już swoją ważność.

Jonathan gestykuje na Connora.

- Ciągłe patrzysz na mnie, jakbym był jebanym idiotą, ale *ty* wcale temu nie zapobiegłeś. – Jego ton jest mniej wrogi i patrzy przelotnie na Grega, dostrzegając zranienie na twarzy mojego ojca.

Jane budzi się z drzemki i wydaje głośny krzyk. Podrzucam ją leciutko na rękach i gładzę po główce. Rzucam szybkie spojrzenie Lorenowi, który wpatruje się udręczony w dywan. Słyszę zamieszanie w kuchni, w tym wycie psa i mogę tylko zgadywać, że Daisy i Lily próbują powstrzymać Ryke'a przed wparowaniem do salonu.

Connor przygląda się tym drzwiom tak uważnie jak przygląda się Lorenowi oraz Jane i mnie. On jest tą spokojną rzeką, ale po raz pierwszy ta sytuacja dotyczy bardziej *jego* niż kogokolwiek innego. Ten fakt musi zjadać go od środka, chociaż prawie wcale tego nie okazuje.

- Pracuję w obrębie dziedziny prawa – odpowiada Jonathanowi. – Nie grożę czyimś środkom do życia czy rodzinie, więc kiedy stawiam czoła komuś, kto pogrywa w bardziej niemoralną grę ode mnie, nie jestem ślepy na fakt, że nie mam przewagi. Ale to nie oznacza, że nie mogę wygrać.

Patrzę spod przymrużonych powiek na Jonathana.

- Skąd w ogóle wiedziałeś, z *kim* był Connor? – Nawet myśl o tym, że Frederick mógłby dobrowolnie przekazać Jonathanowi takie informacje skręca mnie w żołądku.

Coconut wyje po raz kolejny, drapiąc w drzwi, tak samo niezadowolona dzisiejszymi wydarzeniami. Lubię tę suczkę. Potrafi wyczuć obrzydliwy smród nieojalności. Słyszę z kuchni przekleństwa: grad „*kurw*” pomieszanych z „*uspokój się*” i „*zaczekaj*”.

Jonathan drapie się po szczęce, która jest pokryta lekkim zarostem.

- Miałem trochę czasu po przeszczepie wątroby... - Patrzy na Lorena, potem na Grega i konsekwencje tego, co zrobił uderzają w niego mocniej niż mój gniew. Przynajmniej odczuwa coś paskudnego. - ...i zadzwoniłem do Fausta. Szkoła podała mi listę wszystkich uczniów, który chodzili tam razem z Connorem. Kosztowało mnie to pięćdziesiąt tysięcy... - Chyba dopiero teraz orientuje się, że to go kosztowało więcej niż pieniądze.

Loren pociera oczy, powoli zbliżając się do drzwi kuchni.



- Dzwoniłeś do setek nazwisk? – pyta Connor. Tyle się natrudził tylko po to, żeby rozdzielić Lo i Connora?

- Miałem dużo czasu i byłbyś zaskoczony ile osób ugięło się pod ofertą sześciocyfrowej gotówki. Ludzie olewają umowy poufności, kiedy tylko mówisz im, że pokryjesz koszt grzywny. Zapamiętaj to sobie, Lor... enie. – Waha się na widok swojego syna pocierającego zaczerwienione oczy.

- Jesteś chory – odzywa się nagle Poppy. Obracam się do mojej siostry, która przeważnie milczała, Sam siedzi blisko niej. Na jej twarzy widnieje przerażenie.

Jonathan dotyka obronnie swojej piersi.

- Gdy chronisz swoje dziecko, zrobisz wszystko. – Patrzy na mnie. – Sama zobaczysz. – Przytulam mocniej córkę, która nie płacze już tak głośno.

- Nikt z nas nie zrobiłby czegoś takiego – oświadcza Lo. – Nigdy nie wzięlibyśmy tego pod uwagę.

- Więc jesteście słabi...

- Nie – przerywa mu Lo, wykrzywiając twarz w bólu. – Mam dwadzieścia pięć lat, tato. Nie potrzebuję, żebyś trzymał mnie za rękę i pokazywał, komu mam ufać. Nie potrzebuję, żebyś odzywał się za mnie albo mnie poniżał. Potrzebuję, żebyś mnie *kochał*. – Głos mu się łamie. – I najsmutniejsze jest to... zaczynam myśleć, że ty nawet nie wiesz, co to jest prawdziwa miłość.

Jonathan reaguje jakby pocisk przeszedł przez jego mózg powoli i nieznośnie. Jakby strzelił sobie w twarz.

Connor miał rację. „*Dla nikogo to nie jest zaskoczeniem*” powiedziałby.

Patrzę jak Loren kieruje się do kuchni, kiedy mój ojciec pyta:

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, Jonathan?

Jonathan przełyka ciężko ślinę. Teraz wydaje się mały i bezbronny. Do tego dnia nigdy nie widziałam, żeby Loren posiadał taką władzę nad swoim tatą.

- Connor przekonałby cię inaczej – odpowiada mu Jonathan.

- Nie dlatego, że jestem manipulatorem – mówi spokojnie Connor – ale dlatego, że miałbym rację. Nie odwrócisz już tego, co zrobiłeś.

Jonathan wzrusza napiętymi ramionami.

- Musiałem spróbować.

Moja krew wciąż się gotuje, moje ramiona dygoczą. Muszę wyjść razem z Lorenem i spojrzeć szybko na Connora, żeby go o tym powiadomić. Zamiast przytaknąć, zwraca się do Jonathana.

- Wyjdź.

- Zaczekam na mojego syna...

- Którego? – pyta Connor. – Widzisz te drzwi, które zaraz otworzy Lo? Po drugiej stronie znajduje się człowiek, który oddał swojemu ojcu część wątroby z nadzieją, że stanie się życzliwą i lepszą osobą niż kiedyś. Ten mężczyzna lubi także używać pięści na ludziach, którzy go skrzywdzili. Więc jeśli zostaniesz, to dostaniesz w gębę. Dlatego wyjdź.

Jonathan marszczy brwi.

- Nie chcesz zobaczyć jak dostaję? – O dziwo wygląda, jakby wolał zostać uderzonym niż wrócić do domu.

Krzywię się. Nie chcę mu współczuć. Chcę go *nienawidzić*. Wolałabym skupić się na jego cechach dwuwymiarowego czarnego charakteru niż na częściach, które czynią go człowiekiem przeżywającym trudności. Dzięki temu moja nienawiść zdaje się usprawiedliwiona, a nawet racjonalna.

- Nigdy nie miałem w życiu figury ojcowskiej ani wcale takiej nie chcę – oświadcza Connor. – Ale jestem świadom tego, co dla syna oznacza uderzenie własnego ojca i nie cieszy mnie widok czegoś takiego. Więc jeżeli jesteś mądry, wyjdiesz.

- Nie wiem jak ty to robisz – mówi prawie pod nosem Jonathan. Naprawdę kieruje się do foyer.

Zadaję pytanie, bo wiem, że Connor tego nie zrobi.

- Co robi?

Wbija wzrok w mojego męża.

- Sprawiasz, iż czuję, że przegrałem, kiedy powinienem był wygrać i sprawiasz wrażenie, że to ty wygrałeś, kiedy jest wręcz przeciwnie.

Musiał sobie planować zwycięski bieg wokół mojego salonu, wyrzucić ręce w powietrze i wyjść ze swoim synem, który byłby bezpieczny u jego boku.

Teraz wychodzi z podkulonym ogonem.

- Oboje przegraliśmy – przyznaje Connor, a ja blednę.

Nigdy nie przyznaje tego na głos, nawet kiedy to prawda. Zimne ostrze wbija się w mój brzuch, rzeczywistość łapie mnie z powrotem w objęcia burzy.

*Nie kochasz swojego męża.*

*Nie kochasz swojego dziecka.*

*To wszystko zagrywka. To wszystko jest fałszywe.*

„*Fałszywe*” prycham.

Fałszywe.

Co z naszym cierpieniem, wściekłością i żalem? Czy one też są fałszywe?

*Connor Cobalt*

Kilka minut zajmuje nam przedarcie się przez kuchenną barykadę Lily i Daisy, stoły i krzesła są poustawiane na sobie, żeby trzymać Ryke'a z daleka od salonu. Kiedy Lo i ja nareszcie otwieramy drzwi, Ryke próbuje przejść obok nas. Chwytam go za biceps i odpycham do tyłu, żeby Rose i Loren mogli mnie ominąć.

- Nie ma go, Ryke – mówię tak spokojnie jak tylko mogę. Moje gardło jest tak ściśnięte jak reszta mych mięśni. Ciężko mi skupić się na czekającej mnie przyszłości i nie stracić równowagi. Nigdy wcześniej nie miałem takiego problemu. Aby oszukać samego siebie, będę zamartwiać się teraźniejszością i zapomnę o jutrze.

- Nieprawda, kurwa – warczy Ryke. – Słyszę go... *cholernie* go słyszę. – Popycha mnie, by dojść do drzwi, ale znowu łapię go za ramię.

- Słyszysz Corbina, Samanthę, Poppy i Sama. – Powiedziałem Naomi, że może już iść, a potem Greg wyszedł, żeby porozmawiać z Jonathanem, pewnie na podjeździe. Nie powiem Ryke'owi jak naprawdę blisko znajduje się jego ojciec.

Niestety Jonathan jest związany z prawie nami wszystkimi, więc kiedy robi coś godnego pożałowania, niemal wszyscy są tym dotknięci. Theo miał tylko waziutkie powiązanie z Lorenem i Rose poprzez Hale Co.

Gdyby moja przeszłość kiedykolwiek miała zostać wyciągnięta na światło dzienne, to zemsta Theo byłaby o wiele lepsza od tego z czym teraz się mierzymy.

- Czy on naprawdę... - Ryke ma problem z mówieniem. Kątem oka zauważam, że Loren z zamglonym wzrokiem szepcze do Lily przy mikrofalówce, a Daisy szybko wypuszcza swojego husky'ego przez tylne drzwi, mamy ogrodzone podwórko.

Nigdzie nie widzę Rose i nie mam nawet czasu, żeby zastanowić się *gdzie* może być, czuję w kieszeni wibrujący telefon. Mój umysł jest albo zaporowany, albo przekręca się w różnych kierunkach.

- Connor – warczy moje imię Ryke. – Muszę wiedzieć czy to pierdolona prawda. – Przypuszczam, że słyszał tylko fragmenty naszej rozmowy przez ścianę.

Kładę rękę na jego ramieniu, obawiając się, że znowu może spróbować przebiec obok mnie, a drugą wyciągam komórkę. – Tak, to prawda. – Po czym dodaję szybko zanim zdąży poczuć wyrzuty sumienia. – A jeśli będziesz się o to obwiniać, to jesteś w oplakany stan, przyjacielu. Jego czyny nie są twoimi czynami, tak samo jak czyny twojej matki.

Daisy wsuwa się pomiędzy nas, kładąc dłonie na klatce piersiowej Ryke'a. Dzięki temu mogę go puścić.

- Hejka – odzywa się do niego.

Ryke wypuszcza spięty oddech. Jak można się było spodziewać, w jej towarzystwie odpręża się bardziej.

Sprawdzam mój telefon.

*Jesteś wolny? Musimy pogadać.* – Scott Van Wright

To ostatnia osoba, jaką chcę teraz widzieć, pokrywając jeden z najgorszych dni w moim życiu. Niezależnie od moich osobistych uczuć, muszę się z nim spotkać. Mam świadomość, że nie ufa mi jeszcze w stu procentach. Nie poruszaliśmy tematu naszej nienawiści podczas reality show. Więc jak miałyby uwierzyć, że niespodziewanie jestem jego prawdziwym kumplem? Ta rozmowa musi się odbyć.

Opieram ramię o barek, moje ciało boleśnie się napręża.

- Niedobrze mi – mówi Ryke do Daisy.

- Mogę ci przynieść wodę albo babeczkę.

Prawie się uśmiecha.

- Pieprzoną babeczkę?

Ona przytakuje. – Mamy też pieprzone babeczki. Słyszałam, że potrafiały wyleczyć wszystkie choroby.

- Czy to teoria, Calloway?

Potrząsa głową.

- Nie, czysta prawda.

Nim odpiszę Scottowi, muszę sprawdzić, co z moją żoną.

- Gdzie Rose? – pytam Daisy, która przytula się do niego, a on obejmuje ramionami jej barki.

- Tam. – Pokazuje łazienkę obok spiżarni.

Chowam telefon i spieszę się odnaleźć Rose.

Gdy wchodzę do maleńkiej łazienki, zauważam, że Rose szoruje energicznie ręce pod kranem. Jane siedzi blisko toalety, potrząsając bransoletką.

- Rose... - Zamykam drzwi i staję za żoną bardziej zatroskany niż okazuję.

- Zmieniłam Jane pieluchę – odpowiada spiętym tonem. Zwykle zmienia pieluchę, umyje raz ręce i na tym koniec. Cały dzisiejszy stres wszystko zagmatwał.

- Jak długo myjesz ręce?

- Wciąż śmierzdzą chusteczkami dla niemowląt. – Wącha wnętrze dłoni i krzywi się, dodając więcej mydła.

Otaczam ramionami jej ciało, ściskając jej nadgarstki.

- Richard – mówi ostrzegawczo.

- Spójrz na swoje ręce, Rose.

Jej oczy są przekrwione, a kiedy patrzę na siebie w lustrze dostrzegam, że moje też takie są. W końcu lustruje wzrokiem swoje obtarte dłonie i zaczerwienioną skórę, jeden paznokieć krwawi przy skórcie. Wciąga powietrze i wzdryga się na ten widok, uderzając w mój tors.

Chwytam za mały ręczniczek i obracam ją twarzą do siebie. Następnie biorę jej ręce i wycieram ręcznikiem, a ona wbija żółtozielone oczy w moje niebieskie.

- Nie zdawałam sobie sprawy – szepcze.

- To był długi dzień – odpieram. Jestem gotowy, żeby się zakończył, ale to jeszcze nie koniec.

Ona wie, że przed nami jest jeszcze dużo więcej. Jej obojczyki stają się bardziej wypukłe.

- Poradzę sobie z mediami społecznościowymi – mówi. – Zabiorę od ciebie część stresu, a ty będziesz mógł pomyśleć o tym, co chcesz powiedzieć na konferencji prasowej.

- To nie jest jednakowy podział pracy, kochanie. Powinniśmy podzielić się mediami społecznościowymi. – Przeciagam kciukiem po jej dolnej wardze, prawda zamiera mi w gardle. *Muszę spotkać się ze Scottem*. Mija dłuższa chwila, a ona czeka cierpliwie, chociaż jej oczy wypalają we mnie dziury.

- Muszę spotkać się ze Scottem.

- Co takiego? – Jej twarz tężeje i uwalnia rękę spod ręcznika.

- Dzisiaj.

Odpycha mojego kciuka.

- On może zaczekać.

- Nie może, Rose.

Spogląda na Jane, która jest teraz bardziej zainteresowana bransoletką.

- Już nie musisz tego robić, Connor.

- Muszę – odpieram. – Tak jak ty pragnę, żeby całkowicie usunął się z naszego życia, a to jest jedyny sposób. – Już słyszę jej w głowie jej odmowę. *„Nie dasz sobie rady”*. – Argument, którego chcesz użyć nie jest wystarczająco dobry, więc nawet tego nie mów.

Ściska w pięściach moją koszulę, a do jej oczu powraca ogień. Cieszę się na jego, choćby chwilowy, widok.

- Nie masz zielonego pojęcia, co chcę powiedzieć.

- Powiesz mi, że nie zdołam znieść Scotta i tej burzy medialnej jednocześnie.

Podnosi podbródek.

- A może tak twierdzi twoje sumienie.

*A może to Frederick szepcze ci w głowie.* Cały dzień ignoruję jego telefony. Zechce, żebym rozstrzygnął „emocje”, które są silniejsze niż zazwyczaj.

- Uczucia to tylko przeszkody – mówię. – Nie są dla mnie ograniczeniami, dopóki im na to nie pozwolę. – Potrafię nad nimi zapanować troszkę dłużej.

Wygląda na przerażoną moją deklaracją, a jej knykcie ściskające moją koszulę stają się zbielełe.

- Rose – mruczę – *n'ayez pas peur.* – *Nie bój się.* Przyciągam ją jeszcze bliżej, dopasowując do siebie nasze ciała. Obawia się, że zapomnę kim jestem: mężczyzną, który kocha i współczuje, ale wiem, że ona mi przypomni. Liczę na to.

Zaskakuje mnie pocałunkiem w szyję.

Uśmiecham się na jej niepewność i unoszę jej głowę, całując bardziej agresywnie w usta. Siła tego gestu przyciska jej plecy do umywalki. Mój umysł prawie zagłusza tuzin innych częstotliwości i biały szum, pozostawiając tylko jej wargi i żar.

Po czym nagle otwierają się drzwi.

Ryke rzuca się do toalety. Na szczęście Jane siedzi na uboczu, niespodziewane wejście Ryke'a odwraca jej uwagę od bransoletki.

On klęka. I wymiotuje.

Daisy szybko pojawia się u jego boku, masując mu plecy.

- Już pada przede mną na kolana – mówię, mając nadzieję, że lekki żart zmniejszy napięcie. Czuję mrowienie skóry na pewną zgrzytliwą świadomość. – Przypuszczam, że to ostatni żart, który mogę skierować w twoim kierunku. – Nie, żeby reagował czymkolwiek innym niż wulgarnym gestem i „*spieprzaj*”, ale i tak będę za tym tęsknić.

Ściska muszlę klozetową, oddychając ciężiej, gniewniej. Nim zdąży odpowiedzieć do łazienki wchodzi Lo razem z Lily, która podpira sobie Moffy'ego na biodrze. Lo zamyka za nimi drzwi i przyglądam mu się uważnie, szukając oznak, że jest w stabilnym stanie.

Ryke robi to samo z podłogi, ale on jest przy tym bardziej oczywisty.

Moim zdaniem – któremu powinno się ufać bardziej niż czemukolwiek innemu – oboje wyglądają na tak samo zestresowanych: blada skóra, opuchnięte oczy i naprężone mięśnie. Zbyt wiele włożyli emocji w ich ojca, żeby dobrze znieść te wiadomości.

- Nic mi nie jest – mówi Lo do starszego brata. – To ty wyglądasz jak siedem nieszczęść.

Ryke pokazuje mu środkowy palec i siada, opierając łokieć o toaletę. Szepcze coś Daisy, która potakuje i odszeptuje. Łatwo rozpoznać, co się dzieje pomiędzy Lily i Lorenem, ale druga para jest zbyt prywatna, żeby wywnioskować ich cichą rozmowę.

- Wiem, że trudno o tym mówić... - Lily pierwsza zabiera tutaj głos. Odstawia Moffy'ego na podłogę i chłopczyk podchodzi do Jane, siadając obok niej. – Ale kiedy jesteśmy wszyscy razem, powinniśmy pogadać. To może pomóc. – Kiwa głową, zapewne przypominając sobie własne doświadczenie z krytyką mediów.

Lo przytula ją do siebie.

- Świetny pomysł, skarbie.

Rose sztywnieje, opierając się o umywalkę, a ja obejmuję ją w pasie.

- Connor i ja zajmujemy się tym – mówi z napięciem. – Wasza czwórka nie musi się niczym martwić. – Nie chce obciążać swoich sióstr ciężkim brzemieniem, tak jak ja nie chcę tego robić Ryke'owi i Lo.

Ryke oddycha przez nos i potrząsa parę razy głową. Ale milczy.

- Co dokładnie oznacza „zajmowanie się tym”? – pyta ostrym tonem Lo.

Przekrzywiam głowę.

- Nie zadzwoniłem po moją publicystkę, żeby przez godzinę zabawiała mnie bezużytecznymi radami.

Daisy podpira brodę na ramieniu Ryke'a.

- Sądziłam, że cały sens bycia w mediach społecznych opierał się na byciu sobą?

- I na wyjaśnianiu kłamstw rozprzestrzenianych o nas przez prasę – dodaje Lo.

- I wspieraniu się nawzajem – mówi Lily, największa adwokatka internetowego związku Ryke'a i Daisy.

Daisy uśmiecha się.

- I na dobrej zabawie.

Rose splata ramiona na piersiach.

- Będziemy dobrze się bawić podczas realizowania listy zadań Naomi.



Lo patrzy na nią gniewnie.

- Więc niech lepiej zobaczę twój uśmiech, kiedy będziesz wstawiać takie tweety jak „mój aniołek tak spokojnie śpi, kiedy śpiewam jej kołysanki. Hashtag jestem kłamliwą kłamczuchą”.

Rose jest zbyt zmęczona, żeby odparować coś równie mocnego. Większość ciężaru ciała opiera o mnie i rzuca mu spojrzenie mówiące, żeby po prostu się uciszył.

- Wiem, że trudno wam to wszystko zaakceptować – mówię – ale jeśli nie postaramy się chociaż trochę, to wcale nie minie. Nie możemy po prostu *być* sobą w sieci, jeżeli ludzie nadal będą przekreślać nasz związek w coś... - *zimnego, bezdusznego i pustego*. Słowa otaczają mnie ze wszystkich stron, ale nie wypowiadam ich na głos.

- Dlaczego to nie jest dla was trudniejsze? – pyta mnie Lo, okazując na twarzy więcej emocji. Pokazuje na naszą dwójkę. – Stoicie sobie tutaj, jakby to był jakiś wybój, przez który możecie przejechać. – Jestem świadom, że to krater, którego nie można objechać. – Oni hańbią wasze *małżeństwo*... i wszystko, co was tworzy. – Może myśli, że powinniśmy być sparaliżowani.

Przypominam sobie wcześniejszy szloch Rose w szafie, *wrzeszczącą* w swój płaszcz, aby nikt nie usłyszał. Wyczuwałem jej narastający ból i czułem jak mój własny eksploduje. Wtedy dałem upust swoim emocjom, ale to nie znaczy, że zniknęły. Zostały głęboko zakopane, abym mógł ustać na nogach, abym nie stał się okaleczony i mały.

- Nie umiem rozpaczać – odpowiadam szczerze. – Może nie ma we mnie czegoś takiego, ale zapewniam cię, że odczuwam *żal*. – Nigdy nie będę kompletnie ekspresywny w moich uczuciach, ale liczy się fakt, że cokolwiek czuję.

Marszczy brwi, jakby próbował go wykryć po czym dostrzega jak Rose pociera ręce, jej skóra jest sucha i złuszczone. Biorę ją za dłoń i przestaje.

Lo kiwa parę razy głową do siebie.

- Wiemy, że się kochacie, dlatego teraz musimy tylko sprawić, żeby cały świat uświadomił sobie, że *wasza* miłość jest równa naszej.

To niemożliwe.

- Nie możesz zmusić ludzi do ujrzenia miłości. Ona jest nieuchwytna. Ludzie widzą uczucie, działania zakochanych ludzi, ale nasza miłość jest mniej fizyczna, bardziej psychiczna. – Plan Naomi jest najlepszy, niezależnie jak bardzo zawstydza nasz sposób kochania.

- Widziałam waszą miłość – oznajmia nam Lily.

Rose ściąga brwi.

- Co?

Lily najpierw uśmiecha się oczami, dopiero po chwili wygina usta.

- Pierwszy raz, kiedy widziałam was razem w moim mieszkaniu z Lo. Wyglądało, jakbyście się kłócili, ale zawsze wierzyłam, że to flirtowanie.

Czuję własny uśmiech. *Flirtowanie* – to samo powiedziałem Rose podczas dnia świętego Patryka.

- Wyczułam też mnóstwo... seksualnego napięcia. – Rumieni się. – Nie mogę być jedyną, która tak myślała. Prawda? – Zwraca się do Lo. On też był tam tego dnia, dawno temu.

- Myślałem, że są dziwni – przyznaje. – Patrząc na to z perspektywy czasu to chyba tak, to było flirtowanie. – Nikogo nie przekonał, a już na pewno nie Rose.

Wypuszcza urywany oddech.

- Zrobimy to, co mówi Naomi.

W pokoju panuje napięcie i Ryke w końcu się odzywa.

- Jak ja tego, kurwa, nienawidzę.

- Nie tak bardzo jak ludzie nienawidzą moich tweetów – marudzi Rose.

Ryke rzuca jej spojrzenie.

- Są cholernie śmieszne, Rose.

- Najwyraźniej niewrażliwe.

- Ja wrzucałem bardziej niewrażliwe bzdury i nikt się mnie nie czepia – odpiera.

Lo unosi brwi.

- Raz napisał tweeta, że ktokolwiek modli się o kolejny deszcz musi zamknąć pierdoloną gębę.

Daisy uśmiecha się, sprawiając, że pokój rozjaśnia się o jeden stopień.

-I ktokolwiek odgrywa taniec w deszczu musi usiąść na jebanej dupie.

Lo śmieje się, ale ten odgłos szybko przygasa w narastającym stresie.

Rose przerywa ciszę.

- To małe poświęcenie.

- Nie lubię, kiedy musimy poświęcać to kim jesteśmy... - Ryke urywa, przenosząc twarde spojrzenie na dzieci siedzące obok niego. Jane nawet się do niego uśmiecha i mamrocze zbitek odgłosów, które chcą stać się słowami.

- Nigdy nie uciekałam od osoby, którą jestem – mówi Rose – nawet kiedy ludzie prosili, żebym była łagodniejsza, cichsza albo cieplejsza. Dumnie pozostałam *sobą*. Ale jestem skłonna być osobą, której ode mnie chcą *dla* Jane. – Odwraca się do mnie i odczytuje jej spojrzenie mówiące „*tak jak ty bylibyś skłonny zrobić to poświęcenie*”.

Jeżeli okłamię świat i wybiorę sobie etykietkę, ona nie chce, żebym sam niósł ten ciężar.

Jej lojalność jest godna podziwu, ale jej przemówienie uderza mnie w nowy sposób, wywołuje nową świadomość.

Wolałbym, żeby Rose uczyła Jane, żeby *nigdy* nie ustępować i kulić się, żeby nigdy nie udawać kogoś innego, tak jak ja to zawsze robiłem.

Żeby być prawdziwą.

Żeby być sobą, kochać każdą cząstkę własnej duszy, nieważne czy pragnie tego ktoś inny.

Taką kobietę kocham.

Nie chcę, żeby była kimś gorszym.

Otwieram usta, żeby jej się sprzeciwić, ale mówi dalej:

- Daj mi spróbować. Jeżeli Jane ma być dręczona przez swoich rówieśników, to chcę przynajmniej wiedzieć, że zrobiłam coś, by zmienić wynik.

- Uczysz Jane, żeby nigdy nie bała się wyrażać własnego zdania poprzez własny brak strachu – szepczę do Rose. – Dajesz jej narzędzia do pokonania ich słów poprzez pewność siebie i szacunek do samej siebie.

- A ty? – pyta. – To niesprawiedliwe, że musisz to nieść... - Wywraca oczami, kiedy wypełniają się łzami. Przesuwam pod nimi kciukiem.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. – Nie mówię, że skłaniam się ku opcji, która pomoże Jane. Ku fałszywemu mnie. Zabrzmieć jak hipokryta i może w tym przypadku nim jestem. Wolałbym ochronić ducha Rose, nawet jeśli oznacza to powstrzymanie jej przed ochroną mojego ducha.

- Będę was wspierać bez względu na wszystko – odzywa się nagle Lily.

Rose pociąga nosem, a wtedy Daisy podaje jej kawałek papieru toaletowego, którym Rose ociera ostrożnie oczy.

- Ja też – mówi Daisy. – Cokolwiek powiecie, będę stać u waszego boku. – Posyła mi uśmiech, odnosząc się subtelnie do mojego wyboru i konferencji prasowej w maju.

- Muszę cię ignorować – mówi Lo. – Prawda?

- To zależy od ciebie – odpowiadam.

- Jak długo? – zastanawia się.

- Nie wiem. – To prawda.

Odruchowo potrząsa głową.

- Nie, nie zrobię tego. Nie dam mojemu tacie tego, czego pragnął. Wtedy ciągle będzie powtarzał to gównu i do diabła, jeżeli *ktokolwiek* musi dostać nauczkę, to on.

Moje usta wyginają się w kącikach.

Ryke przytakuje, zaciskając szczękę.

- Oddałem mu część wątroby, a on robi coś takiego? – Podnosi na mnie zrozpaczony wzrok, szukając zrozumienia, czegokolwiek, co polepszy tę sytuację.

Posiadam więcej wiedzy od nich, ale ona nie złagodzi jego cierpienia. To czego nie wie nikt inny może oprócz Rose i to co sam Jonathan może nie całkiem rozumieć: jego dzisiejsza reakcja opierała się na strachu przed porzuceniem. Może sobie zarzucać takimi powodami jak „*próbuję powstrzymać Connora przed uwiedzeniem mojego syna*”, ale chodzi o coś więcej.

Chodzi o Jonathana odczuwającego, że zająłem jego miejsce w życiu Lo. Lo przychodzi do mnie po wskazówki, kontakty, pieniądze. Gdy jestem w pobliżu, Jonathan jest niepotrzebny. Nie ma nic gorszego od bycia bezużytecznym, kiedy napędza cię bycie pożytecznym.

Czuł się gorszy i bezsilny, prawdopodobnie pierwszy raz w swoim życiu.

Greg, jego najlepszy przyjaciel, jest życzliwy i plastyczny. Ja jestem wykalkulowany i stoicki.

Gdy spotykam ludzi takich jak Jonathan, zwykle robię krok w tył i staram się wydawać niegroźny. Udaję, ponieważ nie potrafię wytrzymać tego kim normalnie jestem, ale nigdy nie miałem powodu, żeby zachowywać się tak wobec ojca Lo. On nie miał dla mnie żadnej wartości. Niczego od niego nie potrzebowałem. Nie chciałem mieć go w swoich kontaktach. Jeżeli byliśmy niezgodni, to nie miało to dla mnie żadnej różnicy.

Nie postrzegalem Jonathana Hale'a, jako zmienną w moim życiu. Był niczym. I to *nic*, które zlekceważyłem okazało się być czymś, czemu powinienem był poświęcić więcej uwagi.

Dlatego to się wydarzyło. Nie istnieje żaden inny powód.

Gdy spoglądam na Ryke'a, zdaję sobie sprawę, że mam okazję, aby rzucić światło na tę sytuację albo zostawić ją taką jaka jest. Mogą wierzyć, że ich ojciec jest większym homofobem i dupkiem – albo mogę im pokazać, że po prostu jest niedoskonały.

Nie lubię Jonathana. Właściwie to go nienawidzę, ale bardziej jest mi go żal – i może to ten żal mnie przekonał. A może po prostu nie widzę sensu w zemście.

Tak czy inaczej, zaczynam dzielić się swoimi myślami, które nie wymażą cierpienia, które spowodował, ale przynajmniej nie będzie w ich oczach takim czarnym charakterem.

*Connor Cobalt*

Zaciągam się nonszalancko papierosem, wdychając głęboko. Scott przygląda się barwie dymu wydobywającego się spomiędzy moich ust: przejrzystej szarości, a nie smudze bieli.

Wciąż się upewniam, że go nie oszukuję. Przypominam sobie jego niezwykle pewny siebie komentarz sprzed miesiąca: „*prawdziwi faceci nie zatrzymują dymu w ustach*”. I niestety muszę się zastosować.

- Zdajesz sobie sprawę, że na wschodnim balkonie tamtego apartamentowca jest dwóch fotografów. – Strzepuję popiół do popielniczki i biorę łyk whisky, żeby przełknąć smak papierosa.

Scott bierze większy łyk burbonu, ledwo zwracając uwagę na apartamentowicę wznoszący się nad Saturn Bridges, filadelfijskim barem, który jest pełen ludzi odkąd przyszliśmy tutaj o pierwszej w nocy. Postanowił wyjść na patio baru, rośliny w doniczkach częściowo przesłaniają nam widok na ulicę.

Scott chciał się spotkać w miejscu publicznym tego samego dnia, kiedy pojawiły się o mnie newsy, tym bardziej mi przypominając, że kocha pieniądze tylko stopień wyżej ponad złą sławą.

Jestem świadom, że to nie jest mój najlepszy wizerunek: „*Connor Cobalt widziany bez swojej żony w miejskim barze tego samego dnia, kiedy ujawniono, że jego małżeństwo to oszustwo!*”. Rose zamierza mnie odebrać, więc przynajmniej zniknie komentarz „bez żony”.

Nie pomaga fakt, iż świat bierze Scotta za byłego chłopaka Rose. Nie wiem, co społeczeństwo pomyśli o tym, że się z nim spotykam. To miałoby większy sens, gdyby znali prawdę: był producentem *Księżniczek Filadelfii*.

- Jestem pewien swojej seksualności – przypomina mi po raz drugi. Wkłada papierosa do ust i opieram się przedramieniem o żelazne ogrodzenie, ocierając się dłonią o paproć. – A więc kto rozniósł te kłamstwa? – pyta zaciekawiony.

Dlatego chciał się dzisiaj spotkać. Z ciekawości.

Sądzi również, że te oskarżenia są całkowicie bezpodstawne. Utkął wystarczająco fałszywych sieci dla społeczeństwa, dlatego nie wierzy we wszystko, co mówią brukowce.

Po kolejnym łyku trunku pali mnie w gardle.

- Zamierzasz ucisnąć mu rękę? – pytam z rosnącym uśmiechem, przybierając wesoły ton głosu, chociaż moje uczucia są dalekie od wesołości.

Scott wzrusza ramionami z zadowolonym uśmieszkiem. *Uśmiechaj się dalej, durniu.*

- Po prostu nie chcę wkurzyć tego, kogo ty wnerwiłeś. – Podnosi szklankę w toaście. Robię to samo i pijemy równocześnie. Potem oblizuje wargi, kiwając głową. – No więc... znam go?

Pozwalam, żeby żar wyjadł mojego papierosa.

- Nie i zaufaj mi, nie chcesz zostać wciągnięty w ten bałagan. – „*Zaufaj mi*” to deklaracja, której będzie się czepiał, kwestionował, dopóki nie zapyta...

- Po co spędzasz ze mną czas? – Przeczesuje palcami przylizane, ciemnoblonde włosy, marszcząc ze z wątpieniem brwi. – Po co próbujesz mi pomóc w przekonaniu swoich przyjaciół do drugiego sezonu?

Po raz kolejny zaciągam się papierosem i wypuszczam dym w powietrze, moja postawa przypomina bardziej Lorena Hale'a – zgarbionego i apatycznego – niż mnie: władczego i zbyt pewnego siebie.

- Szczerze myślałem, że podoba ci się Rose – zaczynam przemowę rozluźnionym tonem. – No naprawdę. Byłem zazdrosny o to, co miałaś, a czego ja nie, o to co mogłeś jej zaoferować, a ja nie. I był okres czasu, kiedy myślałem, że ona lubiła cię o *wiele* bardziej ode mnie, stary. – Oczywiście to wszystko kłamstwo.

Na jego twarzy pojawia się wyniosły uśmiech, jakby gromadziły się wokół niego kobiety i karmiły go winogronem.

- Mógłbym ci powiedzieć w *pierwszy dzień*, że chciała mnie przelecieć. – Próbuje mi dopieprzyć, ale to on jest idiotą z opiniami, które nie pasują do faktów.

Rose nigdy nie chciała go przelecieć, nawet przez chwilę.

Chichocze w szklankę.

Zawsze próbuję odszukać inną drogę zanim wpakuję się do takiej sytuacji, ale potrzebuję jego zaufania i nie istnieje żadna inna ścieżka. Nie widzę żadnej innej *legalnej* ścieżki na osiągnięcie mojego celu.

Śmieję się.

- Gdybyś powiedział mi o tym w pierwszy dzień, to znienawidziłbym cię milion razy bardziej, kurwa. – Tak jakbyśmy wspominali nasz głęboko zakorzeniony wstręt do siebie nawzajem, a właśnie tego chcę.

On też się śmieje i poklepuje mnie po ramieniu.

- Ja też bym siebie znienawidził.

Znowu wypuszczam dym.

- Słuchaj, nie mam do ciebie urazy. Gdy pojąłem, że nie jesteś zainteresowany Rose, miałem to w dupie.

- Seks taśmy...

- Genialne – mówię, wyginając usta w radośniejszym uśmiechu. „*Jeżeli nie masz nic prawdziwego do powiedzenia, Richardzie, to po co w ogóle się odzywasz?*” Słyszę w głowie porywczy głos Rose. „*Musi tak być*” myślę, po czym podejmuję dalej rozmowę. – Te filmiki dały mi nagłośnienie, którego potrzebowałem w mojej firmie z brylantami. *Ty mi pomogłeś, stary.* – Te słowa mnie rozrywają i wiem, że nie będą najgorsze. – Rose może się wściekać, ale ona się nie liczy. – „*Kompletna bzdura, Richard*”. Mój żołądek wykręca się nienaturalnie. – Musiałem cię uderzyć, żeby potem nie dostała napadu złości, pytając „*dla czego się za mną nie wstawiłeś*”, wiesz. – Przewracam oczami, jakby irytowało mnie wszystko, co robi Rose. Jakbym codziennie nie potrafił z nią wytrzymać.

„*Skąd mam wiedzieć kim jest prawdziwy Connor Cobalt?*” pyta. „*Zachowujesz się inaczej przy pewnych ludziach*”.

„*Nigdy nie opuszczaj mojej głowy*” proszę w myślach. Potrzebuję tego ciągłego przypomnienia. Potrzebuję odczuwać wyrzuty sumienia, żal, każde ludzkie uczucie, które kiedyś odrzucałem. Gdy wszystkie emocje znikną, gdy pozostanę pusty i obojętny, wtedy stracę zbyt dużo.

Scott rozchyła usta w uświadomieniu, jakbym podarował mu zagubiony kawałek układanki, który tworzy cały obrazek.

- Więc gdybym poprosił cię, żebyś pomógł mi ustawić kamery do filmików...

- Pomógłbym ci w mgnieniu oka, stary – odpieram. – To był świetny pomysł. Cholera, żałuję, że pierwszy na to nie wpadłem. – Szturcham go w ramię. „*Zepchnij go z tarasu, Richard*”.

*Cierpliwości, kochanie.*

Śmieje się.

- Rzeczywiście genialne, nie? – Dopija swój trunek z usatysfakcjonowanym uśmiechem. – Gdybym wiedział, że to ci nie przeszkadzało, to poprosiłbym, żebyś sam podstawił kamery. Moja ekipa musiała próbować pięć razy, żeby zamontować je w waszym pokoju, kiedy was nie było.

Gaszę papierosa w popielniczce.

- Bez jaj?

- Sucza sprawa – mówi – ale ty masz prawdziwą sukę, co nie? – Obserwuje moją twarz, czekając aż zmizernieje mi mina, ale wysilam się na kolejny uśmiech. Jedyne, co powstrzymuje mnie przed wyłamaniem się z roli i publicznym ośmieszeniem go wśród aparatów komórkowych i klientów baru to myśl, że na koniec tego wszystkiego będzie zrujnowany.



- Jest niesforna – odpowiadam i klepię go po piersi. – Skoro o tym mowa, zaczyna oswajać się z myślą o drugim sezonie, ale ma mnóstwo wymogów. – Nikt nie potrafi kłamać tak jak ja.

Prycha pod nosem.

- No pewnie.

- Wyślę ci je mailem. – Spoglądam na mój zegarek. Powinna już być... po czym rozbrzmiewa mój telefon.

*Właśnie zaparkowałam. Wchodzę, żeby rozdrapać ci twarz – nie tę, którą kocham, tę fałszywą.* – Rose

Lubię, kiedy razem pracujemy, ale nie chcę, żeby zobaczyła się ze Scottem i vice versa. Ściskam jego bark na pożegnanie, wzbudzając błysk fleszy. Scott prawie się z nich śmieje.

- Muszę lecieć – mówię – ale dzięki. – Opróżniam szklankę i odstawiam szklankę na drewniany stół na patio.

- Wiedziałem, że tego właśnie potrzebowałeś. – Ściska moją dłoń, po raz pierwszy zaferował taki gest. To przyjaźniejszy uścisk, przyciąga mnie do siebie i klepie po plecach. – Informuj mnie o wszystkim.

- Jasne. – Odczytuję go lepiej niż kiedykolwiek. Ma ten nerwowy wyraz oczu ilekroć gdzieś wychodzimy, boi się, że go nabiorę i spieprzę mu umowę z GBA. Posiadam więcej kart i potrzebuję, aby Scott uwierzył, że nie zrobiłbym mu krzywdy.

Spodziewam się, że wkrótce mnie sprawdzi. Jeden test. Żeby przekonać się czy byłem szczerzy we wszystkim, co mu powiedziałem. Spotykamy się co weekend i jestem pewien, że wybierze jedno moje zdanie, zwrot lub komentarz, żeby zobaczyć czy zaprzeczę samemu sobie.

Jeżeli zdam test, ujrzy mnie jako prawdziwego przyjaciela.

\*\*\*

Opuszczam bar, korzystając ze schodów na zewnątrz, za mną idzie mój ochroniarz, mijamy tłumy ludzi, niektórzy to dziennikarze, których rozpoznaję z *Celebrity Crush*. Jest wśród nich Wendy Collins. Gdy stawiam stopy na chodniku, nie mogę przedrzeć się przez paparazzi. Chociaż mój ochroniarz wrzeszczy ostrzegawczo „cofnąć się”, rozkładając ramię, oni napierają na mnie pchani przez innych kamerzystów.

- Spałeś z mężczyznami, Connor?

- Jesteś gejem?

- Kochasz Rose?

- Kim jest twój partner i czy Jane jest uważana za jego dziecko?

Milczę i szukam Rose przy wejściu do baru, bramkarze instruuja wszystkich, żeby pozostali w kolejce.

Wybieram numer i przykładam komórkę do ucha.

- Gdzie jesteś?! – krzyczę ponad hałasem, próbując przedrzeć się do przodu.

- Utknęłam na parkingu... *sio, odsuń się.* – Chaos po jej stronie połączenia jest o wiele głośniejszy. – Zrób mi miejsce, bo inaczej wsadzę ci do dupy moją dziesięciocentymetrową szpilkę.

Przepychem się przez paparazzi niezdolny do biegu, ale odpycham ich na bok, przyspieszając tempo. Kilku mężczyzn upada na chodnik. Ochroniarz kładzie rękę na moim barku, żeby dotrzymać mi kroku, a kiedy mam wystarczająco przestrzeni biegnę wokół ceglaneanego budynku, wchodząc na parking.

Kiedy tylko zauważam ilość kamer i ludzi otaczających Rose, biegnę do niej tak szybko jak mogę, wszystkie nic nieznaczące myśli wyparowują z mojej głowy.

Jej ochroniarz Vic próbuje wyprowadzić ją z tłumu, a po jej lewej stronie stoi druga ochroniarka Heidi, którą zatrudniła po narodzinach Jane.

- Rose! – krzyczę, jestem na tyle wysoki, że widzę ponad hordą ludzi.

Obraca głowę w moim kierunku, ale nie widzi nic oprócz kamer.

- Connor!

Znajduję się jakieś trzy metry od niej, blokuje mnie trójka ludzi. Muszę pozbyć się swojego ochroniarza, żeby przepchnąć się między sylwetkami, a moja obecność wzmaga pytania i krzyki.

- Rose, jestem tutaj! – wołam, kiedy wyciąga szyję. Sięgam ręką przez czyjeś ramię, próbując ją dotknąć.

- Czy wasze małżeństwo jest oszustwem?!

- Czy wy się w ogóle kochacie?!

Rose może w końcu pochwycić moją dłoń i ciągnie mnie w swoją stronę, Heidi jej pomaga poprzez ściśnięcie mojego nadgarstka. Obie ciągną i przechodzę przez ostatni rząd kamer.

Przytulam Rose do siebie i kładę ręce na jej twarzy. Żar w jej oczach skrywa panikę, ale obejmuje mnie mocno, obawiając się, że znowu zostaniemy rozdzieleni.

Czuję moje mocno bijące serce i całuję ją w czoło, flesze znowu szaleją.

- Dlaczego nie pocałowaliście się w usta?! – krzyczy ktoś.

*Bo przeanalizujecie jej sztywną postawę i powiecie, że to sztuczka, tak jak wszystko inne.*

Szeptę jej do ucha:

- Ca va? – *Wszystko dobrze?*

- Jestem wkurzona na niego. – Pokazuje na starszego mężczyznę z brodą. Odrywa jedną rękę od kamery w kapitulacji, kiedy spotykam jego spojrzenie. – Nie udawaj niewiniątka – warczy, wsadzając sobie torebkę pod ramię. – Wszyscy słyszeli, co powiedziałaś!

Reszta paparazzi odsuwa się od niego, odcinając się od jego zachowania. Przyciągam Rose bliżej do siebie, nie wiedząc, co powiedział. Żeby była tak wkurzona komentarzem, to musiałoby być coś gorszego od reszty.

Bierze głęboki wdech, a wokół nas narastają krzyki paparazzi. Opuszczam głowę do jej ust, aby móc usłyszeć jej odpowiedź.

- Powiedział, że opieka społeczna powinna odebrać nam córkę...

Mało brakowało, a kamera uderzyłaby ją w głowę, ale zamiast tego trafia w Escalade. W jej oczach pojawia się niepokój i ciągnę ją do drzwi kierowcy.

- Musimy jechać – mówię do niej.

Przytakuje.

- Heidi – mówi głośno. – Możesz pojechać za nami z Vikiem i Stephenem? – Mój ochroniarz już siedzi w drugiej półciężarówce z Vikiem.

Przed odejściem Heidi krzyczy:

- Spróbujemy odseparować od was paparazzi!

Staję opiekuńczo za Rose, kiedy otwiera drzwi od strony kierowcy. Czekam aż wsiądzie. O moje plecy uderzają obiektywy, kiedy paparazzi przepychają się w pośpiechu.

- Wsiadaj na miejsce pasażera – mówi do mnie. Otwieram usta, żeby odmówić, ale dodaje: - Piłeś.

Zapomniałem. Ostatnie dziesięć minut wygasilo jakiegokolwiek podchmielenie, które odczuwałem. Przysuwam usta do jej ucha.

- Trzymaj się blisko mnie. – Obchodzę ją, trzymając ją w taliu tak długo jak mogę. Muszę przeczołgać się przez miejsce kierowcy, a to nie jest takie łatwe dla kogoś o moim wzroście.

Radzę sobie dość dobrze i szybko, a kiedy siadam, Rose jest już za kierownicą, trzaskając drzwiami. Odpala silnik i włącza światła.

- Mam nadzieję, że oślepną – mamrocze.

Opieram ramię na jej zagłówku, patrząc jak paparazzi rozpraszają się do swoich aut, niektórzy pozostali w miejscu, a inni przystawiają kamery do naszych okien.

- Jedź powoli – mówię.

Zawsze była agresywnym kierowcą i w takich sytuacjach potrzeba osoby, która tkwi na granicy ostrożności oraz asertywności.

- Powinniśmy ich przejechać. – Dociska dłoń do klaksonu, warcząc z frustracją.

- Przyjmuję, że oblałaś jazdę defensywną. – Opuszczam ramię na jej barki.

Rozluźnia się trochę, ale jej głos pozostaje spięty.

- *Zdałam* z idealnym wynikiem.

Nie umiem w to uwierzyć. Jestem przekonany, że robiła kurs. Rose lubi zajęcia bezpieczeństwa i naukę bardziej niż wszyscy, których znam, ale wścieka się, kiedy ludzie wyjeżdżają z kolejki na skrzyżowaniu z czterema wjazdami.

- Czy to był kurs zdaj-lub-nie-zdaj? – ciekawię się.

Posyła mi piorunujące spojrzenie po czym skupia się na drodze, podjeżdżając do przodu, dopóki nie docieramy do krawężnika.

- Wnioskując po twoim milczeniu przypuszczam, że *tak*.

- Zdanie jest idealnym wynikiem – odparowuje.

Nie mogę ukryć uśmiechu.

- W takim razie procent ludzi, którzy mają idealne wyniki jest wysoki, dzięki czemu nie masz prawa się chełpić.

Wywraca dramatycznie oczami.

- To jest *osobiste* zwycięstwo. Moje osiągnięcia nie muszą być mierzone przez osiągnięcia innych.

*Moje zwykle takie są*, zdaję sobie sprawę. Lubię konkurencje. Lubię być najlepszy. To mnie zawsze napędzało, ale jej słowa mają sens...

- Stój – mówię nagle i naciska hamulce.

Właśnie wyjechał przed nami sedan paparaziego. Escalade hamuje przy chodniku, tuż przed wyjazdem na zatłoczoną drogę.

Rose uderza kilka razy w kierownicę i warczy.

Otwieram okno i proszę fotografa z Canonem, żeby pomógł odepchnąć ludzi, którzy stoją za blisko. Wyświadcza mi tę przysługę i oczyszcza drogę. Niektórzy paparazzi wiedzą, że jeśli będą dla nas miłsi, to my odwdzięczymy się tym samym.

Przed nami otwiera się przestrzeń i Rose wyjeżdża na ulicę, za nami jedzie samochód naszych ochroniarzy. Bez dodatkowego hałasu w samochodzie panuje cisza, jedyne dźwięki wydają pojazdy pędzące ulicą.

Rose zaciska palce na kierownicy, a to mi przypomina gdzie właśnie byłem, z kim rozmawiałem – wszystko, co powiedziałem.

- Powiedz, że przynajmniej nie użyłeś słowa „koles” – Krzywi się na tą myśl.

Znowu unoszę usta.

- Tym razem obyło się bez „kolesi”.

Podnosi na mnie wzrok, który łagodnie nieznacznie, by zapytać „wszystko w porządku?” Nie musi pytać na głos.

- Byłaś ze mną dzisiejszego wieczora. – Mój głos jest prawie szeptem.

- Czy kazałam ci wykastrować Scotta tęym nożem do steków?

- Żadnej kastracji, ale choć raz wspomniałaś o uszkodzeniu ciała.

- A więc pewnie byłam z tobą tylko częściowo. Zawsze znajduję sposoby na odrąbanie mu kutasa. – Zatrzymuje się na czerwonym świetle i pociąga nosem, ściągając brwi. Wącha swoją sukienkę, smród po papierosach pozostał bardziej na mnie... ale przytulałem się do Rose, więc istnieje mała szansa, że zapach przeszedł i na nią.

- Światło jest zielone – mówię.

Rusza do przodu, ale próbuje skupić się na mnie i na drodze, coraz bardziej mrużąc oczy z każdym spojrzeniem i wdechem nosa.

- Czy ty... nie mogłeś... *zrobileś* to. Richard!

Staram się pohamować śmiech.

- Zrobiłem wiele rzeczy. Masz rację.

- Zdejmij koszulę – żąda.

- Mmm. – Udamę zastanowienie. – Nie.

- Muszę powąchać twoją koszulę. – Wyraża się inaczej, wymachując do mnie teatralnie ręką, żebym pozbawił się koszuli i wpatruje się w drogę żółtozielonymi oczami.

- Czy to jakiś nowy fetysz, kochanie? – Uśmiecham się szerzej na jej spojrzenie. – Potrafię wymyślić kilka innych rzeczy wartych powąchania przed moją koszulą – mówię, przeciągając dłonią po jej szyi. – Moje włosy, moje...

- Moje auto *śmierdzi* twoim ego.

- Moje ego pachnie sukcesem, więc nie krępuj się i zabierz się do odkażania samochodu. Wiem, że zatęsknisz za tym zapachem.

Prycha.

- A jak pachnie sukces, Richard?

Odchylam się, gładząc dłonią jej szyję i barki. Jej ciało rozpływa się pod moim dotykiem i patrzę jak ściska nogi.

- Jak świeżo wyprasowany garnitur, skórzane paski i Oxfordy z domieszką kremu do golenia i sandałowca. – Nie ośmielam się ukrywać uśmiechu. – Leżysz ze mną każdej nocy, Rose. Miałem nadzieję, że wiesz jak pachnę.

Jej szyja rozgrzewa się pod moją ręką.

- Zapach sukcesu zdaje się być nastawiony do *ciebie*.

To zagadka, którą już dawno rozwiązała, ale daję głośne oświadczenie, nawet jeśli ona nie może tego zrobić.

- Ja jestem sukcesem, kochanie.

Obraca głowę, żeby rzucić mi jedno spojrzenie.

- Przynajmniej twoja arogancja pozostała nietknięta. – Powaga jej tonu szarpie za głębszą część mojej duszy.

Przeciągam dłonią po jej włosach.

- Sprawiasz, że zapominam o swoich najgorszych cechach.

Uśmiecha się szczerze, skupiając się z powrotem na ulicy.

- I jaki jest na to termin?

Myślę chwilę. Osoba, która przykrywa bolesne momenty, która spiskuje, aby stworzyć radosne. Która eliminuje wszystkie przyziemne cienie na korzyść żarliwych barw i sprawia, że palisz się żywcem. Czy istnieje słowo określające tak rzadką osobę w czymś życiu?

Sądzę, że tak.

- Bratnia dusza – odpowiadam.

Rozchyła usta ze zdziwieniem.

- Że co?

- Jeżeli wolisz inne terminy, to mam też takie: moja żona, czasem rywalka, zawsze współniczka, przyjaciółka, matka mojego dziecka...

- Cofnij się. – Macha na mnie ręką. – Do części o bratniej duszy.

Uśmiecham się.

- Kocham cię, Rose.

Napięcie całkowicie opuszcza jej ciało. Otwiera usta, chyba żeby mnie komplementować, ale potem wciąga do nosa papierosowy smród i po raz kolejny zwęża oczy.

- Możesz wziąć ze mną prysznic, kiedy wrócimy do domu. – Zsuwam rękę po jej ramieniu na udo. – Powoli cię umyję... każdą partię ciała. – Wsadzam dłoń pod jej sukienkę.

Łapie mnie za nadgarstek, powstrzymując mnie przed dotknięciem swojego krocza.

- To był długi dzień – mówi.

Marszczę brwi. Rzeczywiście i chcę spędzić resztę nocy spleciony z nią, trzymając ją...

- Więc wolałabym wziąć z tobą kąpiel.

- Podoba mi się ten plan. – Całuję jej rękę i odkładam z powrotem na kierownicę. Nie jestem pewien, co wydarzy się w przyszłości ani co postanowię w maju, lecz przypominam sobie, że Rose opiekuje się wszystkimi prawdziwymi elementami mojej osoby.

Jeżeli kiedykolwiek się zagubię, muszę ją tylko znaleźć.

- Rose! – Naszą drogę zajeżdża furgonetka, ledwo unikając zderzenia z naszymi reflektorami. Zamiast uderzyć po hamulcach, ona szybko zmienia pas i wyprzedza furgonetkę.

W otwartych oknach widnieją skierowane na nas kamery.

- Zabiją nas – odzywa się Rose z ogniem tłącym się w oczach, ale panika powróciła do jej spiętych ramion i oddech stał się ciężki.

- Dojedziemy. – Próbuję ją zapewnić, chociaż mrozi mnie lodowata rzeczywistość.

To bardzo burzliwy dzień. Od tej pory będzie tylko gorzej.

*Connor Cobalt*

*„Zauważeni! Loren Hale i Connor Cobalt jedzą wspólny lunch. Czy to oznacza, że deklarują społeczeństwu swój związek? Może jest bardziej niż platoniczny. Wiemy tylko, że LoCo to GORAÇA para, nawet jeśli zdradzają swoje żony.”*

Lo trzyma swoją komórkę przed moją twarzą, dając mi przeczytać opis pod zdjęciem sprzed dziesięciu minut, na którym jesteśmy razem w restauracji i jemy taco, zachowując się cywilizowanie.

- Jest cholernie wszędzie – mówi niedowierzając Lo. – Dopiero co tam byliśmy. Czy ci ludzie nie mają przekłętą życia?

Podpieram kostkę na kolanie i siadam prosto w skórzanym fotelu. Poszedłem za Lo do jego biura, żeby przedyskutować parę finansowych kontraktów. Ceni sobie moją poradę, szczególnie kiedy wie, że nie wszyscy członkowie rady są po jego stronie. Dlatego nie może po prostu opowiedzieć się za pomysłami Rose i ich przekonać. Stosunki biznesowe buduje się z czasem.

- Mówiłem ci, że tak będzie – przypominam. Teraz nie ma odwrotu.

Podnosi na mnie wzrok.

- I nic mnie to nie obchodzi. – Jego telefon rozbrzmiewa po raz dwunasty odkąd przybyliśmy do tego biura. Jęczy pod nosem. – Corbin wciąż wysyła mi wiadomości o tym jak wszystko spieprzyłem. – Jego szczęka się zaostrza i zaczyna odpisywać. – *Udław się padliną*. Wysłane. – Naciska guzik i odrzuca komórkę na szklane biurko, mając morderczy wzrok. Patrzy wściekle na każdą osobę, która choćby zerknie w jego kierunku.

Gdy jego spojrzenie wraca do mnie, ledwo łagodnieje, ale to dlatego, że cały dzień był zestresowany.

- Nie mogę uwierzyć, że nie spojrzales wściekle na żadną osobę. – Potrząsa głową. – Nawet kiedy nazwali cię... - Nie potrafi powtórzyć tych słów. Nie podjąłem jeszcze decyzji. Nie rozmawiałem z prasą ani nie wyznałem prawdy. Milczę, co niektórzy uważają za coś gorszego od przyznania się do oskarżeń. Nie przeszkadza mi czekanie z przemową do konferencji prasowej. Potrzebuję czasu.

- Twoje wściekle spojrzenia są o wiele bardziej efektywniejsze, kochanie – mówię mu z uśmiechem.

Kiwa głową, odwzajemniając gest, choć każdemu mojemu żartowi towarzyszy cienka warstwa napięcia. Oboje wiemy, że to one powodują zewnętrzny chaos.

Lo obraca swoją obrączką – oznaka, że pragnie alkoholu.



- Proszę, powiedz mi, że przynajmniej wrzeszczałeś, płakałeś czy coś.

Przypominam sobie jak załamałem się, trzymając w ramionach Rose, ale nie chcę o tym wspominać. Duża część mnie łaknie sposobu, w jaki Lo na mnie patrzy. Jakbym był nieśmiertelny. Nieprzenikalny. Bogiem pośród ludzi. Ten wzrok zmieniał się tylko kilka razy przez minione lata i nie chcę dodawać do tej liczby dzisiejszego dnia. Dlatego zmieniam temat.

- Co u Lily?

Potrząsa raz głową. Szturchnąłem bolesne miejsce.

- Tak źle?

Pociera się po skroniach ogarnięty niepokojem. To ja jestem tego powodem. *Ja*. Moja przeszłość. Ta myśl chwilowo więzi mój oddech.

- Uch... kurde. Nie chciałaby, żebym o niej gadał. – Stuka palcami o biurko, wyraźnie chcąc podzielić się informacjami. Zrzucić to z piersi.

- Nie powiem.

- Rose? – pyta. – Bo pewnie poczuje potrzebę omówienia tego z Lily, a wtedy będę miał przesrane, że ci powiedziałem.

- Obiecuję.

Garbi ramiona i przestaje przekręcać obręczkę.

- Naprawdę denerwuje się nową nazwą, którą dziennikarze wymyślili dla niej i Ryke'a. *Celebrity Crush* wszędzie o tym pisze. – Kiedy pojawiły się plotki o mnie i Lo, powróciły te o Lily i Ryke'u. – Twierdzi, że nie denerwuje się *samymi* plotkami. Po prostu przez cały ostatni rok promowała cholerne *Raisy*, a teraz wymyślili *Rily*. Powiedziała, że niedobrze jej od tego.

Lo wygląda na zdruzgotanego, dobija go cierpienie Lily. Taki rodzaj miłości najbardziej mnie przeraża. Odczuwanie tak ogromnej ilości empatii jest przygniatające.

- Może to wszystko z czasem minie – mówię, wypuszczając w świat ułamek nadziei. Może być fałszywa, ale postanawiam widzieć ją, jako prawdziwą.

Jego oczy są zaczerwienione i opuszcza głowę, żeby nie widzieli go ludzie na korytarzu, jego biuro składa się głównie ze szklanych ścian.

- Przykro mi, Lo – mówię. Skrzywdziłem go, nieważne czy wierzy w to, czy nie. Nieważne czy chce to zakopać wściekłymi spojrzeniami i „*mam to w dupie*”. Cierpienie, przez które przechodzi jest rezultatem mojej historii.

Kręci głową.

- To nie twoja wina. Jak już, to Lil i ja powinniśmy cię przeproszać. To my to zaczęliśmy.  
– Mówi o sławie. Wszystko zaczęło się od Lily i Lo. Od ich uzależnień i sprośnych nagłówków.

- Miło z twojej strony, że bierzesz na siebie winę, ale to niepotrzebne – odpieram. –  
Wszyscy znajdujemy się tak daleko od początku, że nikt nie może rościć sobie prawa do zakończenia.

Wpatruje się we mnie dłuższą chwilę po czym mówi:

- Całkiem to, kurwa, głębokie, skarbie.

- Znajdowałem się głębiej.

Aluzja doprowadza go do śmiechu. Przenosi spojrzenie ze mnie na drzwi.

- Mówiąc o tym, gdzie byłeś – mówi.

Podążam za jego spojrzeniem, odwracając lekko głowę. Widzę nadchodzącą Rose, która trzyma w ręku segregator. Obok niej znajduje się ktoś, kogo nie widziałem od wielu lat. Wiem, że Lo nie miał na myśli Theo, biorąc pod uwagę, iż nie ma pojęcia o tym, że przespałem się z pracownikiem Hale Co., ale jestem doskonale świadom ironii.

\*\*\*

- Muszę przepłukać sobie buzię wodą z mydłem. – Rose zajmuje miejsce naprzeciw mnie. Słowa, które z niej wyszły były *plugawe*. Theo stoi po boku, trzymając folder i czekając aż Lo zwróci na niego uwagę.

Lo koncentruje się na Rose. Marszczy brwi.

- Nie wyzwałaś nikogo od ogra, prawda?

- Nie otwarcie. – Przygląda swoją ołówkową spódnicę i ostrożnie kładzie segregator na szklanym stoliku. – Ale to nie przez to mam gęsią skórkę.

Przyciskam palce do ust, rozmyślając i jednocześnie mam na oku swojego byłego, który stoi w kącie. Jest cichy, spostrzegawczy, wtapia się w ścianę, jakby był stworzony z przezroczystego szkła. Theo Balentine wcale się nie zmienił. Nie musiałem go zobaczyć, by o tym wiedzieć.

Nie on powiedział prasie o mojej przeszłości. Sam ten fakt mówi mi, że jest tym samym moralnym gościem, którego poznałem w szkole z internatem.

Rose bierze duży wdech i wyjaśnia.

- Musiałam powiedzieć radzie, że *uwielbiam* wzory małpek zajadających się bananami. – Rzuca mi spojrzenie i mówi bezgłośnie „*fuj*”. Uśmiecham się. – A potem pokazali mi takie z trzmielami. – Przeszywa wzrokiem Lorena, jakby to on wymierzył jej tę karę. – *Trzmielami*.

- Przypuszczam, że wszystko poszło gładko – odzywam się, znając jej taktykę.
- Powiedzieli, że zastanowią się nad wzorami – odpowiada, wyginając kąciki ust. – Wtedy nazwałam jednego z nich ogrem.

Loren wzdycha zirytowany.

- Świetnie. Po prostu świetnie. Wiesz, nawet ja potrafię ugryźć się w język przy radzie.
- To wszystko było na pokaz, *Lorienie*.

Lo został poinformowany o jej nowej strategii, by udawać, że podobają jej się wszystkie pomysły członków rady, kiedy tak naprawdę nimi gardzi i ilekroć się z nimi zgadza, oni zmieniają zdanie. Prowadzi ich w stronę jej stylu oraz projektów, a oni nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Jak do tej pory jej plan zdaje się działać na jej korzyść.

Lo spogląda na Theo w kącie.

- Masz zamienne projekty?
- Mam... - Kaszle w dłoń i kładzie folder na stole. Przybliża się do mnie, patrząc na mnie przelotnie.

Lo patrzy pomiędzy nami.

- Znacie się, prawda?
- Ze szkoły – odpieram spokojnie. Patrzymy sobie w oczy i kiwam mu głową, nie oferując uścisku dłoni, nie wstając z miejsca. Po prostu mi na tym nie zależy.

Moja komórka wibruje i wyciągam ją z kieszeni.

- Z Fausta – przytakuje Theo, wyglądając nieznacznie nieswojo.
- Czy Connor był wtedy tak zabawny jak teraz? – pyta Lo z półuśmiechem, biorąc z tego scenariusza więcej radości niż ja.

*Kiedy miałaś ostatnią miesięczkę?* – Frederick

Prawie wybucham śmiechem. Mój terapeuta coś szwankuje. Odpisuję: *Niech zgadnę, Cobalt i Calloway znajdują się zbyt blisko w Twojej książce telefonicznej czy może po prostu piszesz do nas częściej niż do innych?*

Podnoszę wzrok i Rose posyła mi dziwne spojrzenia okryte połową zaciekawienia i połową zdezorientowania.

Odpowiadam bezgłośnie „później”.

Fuka cicho, o wiele bardziej zniecierpliwiona ode mnie w oczekiwaniu na szczegóły, ale uwielbiam sposób, w jaki krzyżuje kostki i ramiona, a jej piersi unoszą się w głębokim wdechu.

Theo odpowiada Lo:

- Było interesująco. Ilekroć przyłapywał mnie na paleniu, mawiał, że duszę własną ambicję.

- Nie myliłem się. – Odzywam się do niego po raz pierwszy od lat. Spoglądam na telefon, kiedy wibruje.

*Zignoruj to.* – Frederick

Rzeczywiście ignoruję jego wiadomości, ponieważ Theo patrzy na mnie spod zmarszczonego czoła i Lo gwizdże na moje oświadczenie, przerywając napięcie.

Spotykam ognisty, rozszerzony wzrok Rose, która pyta bezgłośnie „*kto to?*” Nie przejmuję się Theo, tylko moimi wiadomościami, ponieważ razem pracujemy nad poradzeniem sobie z tym medialnym bałaganem.

Głównie martwię się, że włączy się jej nerwica natręctw, dlatego podaję jej telefon.

Czyta szybko i oddaje mi komórkę, rozluźniając ramiona, pewnie cieszy się, że to nie Scott. Po raz kolejny patrzy mi w oczy swoimi iskrzącymi się tęczówkami.

Pamiętam chwilę, kiedy zapytałam ją, co myśli o Theo. Nazwała go „gupikiem w naszym oceanie” – *naszym* oceanie. Kocham Rose i łatwo mi być życzliwym wobec Theo, kiedy znajduje się tak daleko w mojej przeszłości, której nie trzymam się tak, jak wszyscy inni.

Ciągle daję odejść ludziom, a on odpłynął tysiąc lig za mną. Nie zależy mi na tyle, żeby za nim popłynąć. Nie zrobiłbym tego i nie zrobię. Ale całym sercem doceniam jego moralność. To jedna z cech, którą cenię, ale wiem, że sam często jej nie posiadam.

- Wciąż mam ambicję. Nie widzisz, gdzie się znajduję? – pyta mnie Theo, odrywając moje spojrzenie od żony. Rose raczej się nie przejmuje. Mamy tak wielką pewność w nasz związek, że niemożliwym byłoby, aby wcisnęła się pomiędzy nas jakaś osoba i wzbudziła wątpliwości w naszym małżeństwie.

„*Nie widzisz, gdzie się znajduję?*” powtarzają jego szare oczy.

Znajduje się w firmie tkwiącej na liście Fortune 500. Jest w wyżej opłacalnej pracy niż większość absolwentów Fausta. Toruje sobie drogę na szczyt.

- Nie tego pragnąłeś – odpowiadam. Marzył o pisaniu poezji, o życiu gdzieś tam na polu z najniezbędniejszymi rzeczami. Marzył o staniu w półnagim na pustkowiu i wyrzucaniu ramion w powietrze, gdzie obcowałby z naturą i poznawałby wielkie, nienaruszone znaczenia życia.

Teraz ma na sobie garnitur, mieszka w mieście i tkwi wewnątrz wieżowca, gdzie poezja na nic się nie zda poza granicami jego umysłu.

- Marzenia się zmieniają – mówi Theo i widzę, że zaakceptował swoje terażniejsze życie. Może tego właśnie chce.

*Marzenia się zmieniają.*

Myślę, że istnieje dobra zmiana, w której widzimy przed sobą rozdroże i własnowolnie idziemy nową drogą. I istnieje wymuszona zmiana, w której na naszej drodze znajduje się gruzowisko i desperacko szukamy drogi powrotnej do zaplanowanego celu.

Marzenie, którego zawsze pragnąłem – żeby stworzyć rodzinę z Rose – jest zmuszone do zmiany.

I nie widzę żadnego objazdu tego gruzowiska.

Rose Cobalt

Jane drze się w niebogłosość, koncentrując się na sylwetkach napierających na okna limuzyny Connora. Chcę zarżnąć *każdą osobę*, która sprawia, że tak płacze. Nie wiem czy już zaparkowaliśmy przed budynkiem pediatrycznym, ale chcę już dotrzeć do naszego celu i przyprowadzić Jane na czas na jej regularne badania.

W czerwcu będzie mieć pierwsze urodziny. Chciałabym myśleć, że do tej pory wszystko ucichnie, ale to zapewne pobożne życzenia.

Trzymam Jane na kolanach, szybko ocierając jej łzy.

- Mamusia skopie każdego, kto spróbuje cię tknąć.

- A tatuś wyciągnie mamusię z więzienia – odzywa się Connor, wkładając mi do ręki małe, niebieskie zatyczki do uszu.

Rzucam mu spojrzenie.

- Mamusia będzie miała wszelkie *prawo* zabić każdą podłą istotę, która zrobi krzywdę jej dziecku.

Gładzi mnie knykciami po policzku, taki właśnie nacisk lubię.

- Nic się nie stanie naszemu dziecku.

Próbuje mnie udobruchać. Connor nie potrafi przewidzieć przyszłości. Dobrze o tym wie i istnieje uzasadnione prawdopodobieństwo, że *coś* pójdzie nie tak.

- Wszystko może się zdarzyć – odpowiadam. Prawie zaczynam się zastanawiać czy powinniśmy zawrócić i przełożyć jej wizytę. Staraliśmy się zgubić paparazzi, ale przez cały zeszły tydzień przesiadywali przed naszą zamkniętą dzielnicą, czekając aż wyjedziemy. Nasi sąsiedzi złożyli już skargi i Connor uważa, że do końca miesiąca pojawi się nowy dom na sprzedaż.

Bardzo prawdopodobne, że na początku maja wzrośnie liczba mediów, dlatego trudno jest wracać do domu ze świadomością, że jutro, następny tydzień i kolejny mogą być gorsze albo takie same.

- Nie opuszczę cię – przypomina Connor. Wymyśliliśmy plan, że przedrzemy się przez paparazzi tak, żeby Jane nie została skrzywdzona czy choćby poczuła na sobie czyjś zły oddech.

Kiwam głową, pławiąc się w jego pewności siebie i wsadzam miękkie zatyczki do uszu Jane.

Gilligan, kierowca Connora, ogląda się przez ramię.

- Jesteśmy. – Prawie nie zauważyłam zatrzymującej się limuzyny, ponieważ poruszaliśmy się zółwim tempem.

- Gdzie Heidi? – pytam Connora.

Wyciągnął komórkę, żeby wysłać naszym ochroniarzom instrukcje.

- Wszyscy zaparkowali obok nas.

Wyglądam przez jego okno, gdzie do szyby dosłownie przyciskają się obiektywy.

- Nie widzę ich. – I gdy tylko to mówię, nasi ochroniarze odpychają paparazzi na bok, robiąc miejsce przy drzwiach Connora.

Sadzam sobie Jane na biodrze, która zaczęła płakać jeszcze mocniej, kiedy wsadziłam jej do uszu obce przedmioty. Na zewnątrz jest za głośno, żebym je wyciągnęła. – Ciii – szepczę. – Bądź odważna, gremlinku i przyrzekam, że oni wszyscy znikną. – Jej łzy szczerze mnie ranią, ściskają w piersi. Rozkładałam wełniany, morski kocyk na części mojego barku i jej główce, przez cały czas pocierając ją po plecach.

Troszeczkę się uspokaja.

Wypuszczam spięty oddech. Nigdy nie sądziłam, że dziecko zdoła wzbudzić we mnie takie emocje, ale zamieniam jej strach w motywację, przygotowana na ominięcie każdego obiektywu i osoby stojącej nam na drodze.

*Jesteś pieprzonym huraganem piątego stopnia, Rose. Oni wszyscy powinni obawiać się twojej destrukcji.*

Cholerna racja.

Connor chwyta moją wolną rękę, splatając ze mną palce.

- Gotowa?

Unoszę podbródek i potakuję.

Otwiera swoje drzwi, gdzie zaczynają błyskać flesze. Dźwięki i jaskrawe migawki chwilowo mnie oślepiają, prawie odrzucając mnie do tyłu. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego, nawet kiedy media po raz pierwszy zainteresowały się moją rodziną.

Biorę się w garść gdzieś w tym samym czasie, co Connor wysiada z samochodu. Przesuwam się wzdłuż siedzenia i wychodzę za nim, ani razu nie puszczając jego dłoni.

- Czy wasze małżeństwo jest fałszywe?!

- Wiedziałaś, że Connor był z mężczyznami?!

- Seks taśmy są prawdziwe?!

Connor ściska moją rękę i nie mogę zamknąć za sobą drzwi. Vic się tym zajmuje, zostając z tyłu, podczas gdy Heidi i Stephen torują nam drogę.

- Zróbcie im miejsce! – wrzeszczą nasi ochroniarze.

Wtulam się w plecy Connora, kiedy prowadzi mnie do przodu, Jane jest bezpieczna pomiędzy moją piersią, a jego górującą sylwetką metr dziewięćdziesiąt trzy.

Chciałabym rzucać każdemu groźne spojrzenia, bardziej terytorialna wobec mojego dziecka niż kiedykolwiek wcześniej, ale ilekroć odwracam głowę, wybuchają flesze, które mnie oślepiają.

Dlatego pochylam głowę i skupiam się na Jane. Ceglany budynek mieszczący klinikę pediatryczną nie jest daleko stąd.

- Czyim pomysłem był układ biznesowy?!

- Connor, masz chłopaka?!

- Powinniście się wstydzić!

Niemal potykam się na ostatni krzyk. Już wcześniej słyszałam coś takiego, ale tym razem to twardszy cios od innych. Te słowa ożywiają części mnie, które pragną *wrzasnąć* w odpowiedzi, sprzecząc się słownie, dopóki nie stracę głosu.

- Dziecko potrzebuje miłości! Dziecko potrzebuje miłości! – skanduje więcej niż parę osób. To nie są paparazzi, ale hejterzy, którzy lubią pikietować *nas*.

Zgrzytam zębami. Parę dni temu już raz krzyknęłam przed Hale Co.: „*kim jesteście, żeby osądzać czy kocham moją córkę? Nie znacie mnie!*” Wyzwano mnie od „bezwzględnej, jędzowatej i agresywnej” bo się broniłam. Mogłabym krzyczeć, że kocham Jane, dopóki nie posiniałabym na twarzy, ale nikt nie chce moich słów.

To najbardziej frustrująca, denerwująca bitwa, w której brałam udział. Moim naturalnym odruchem zawsze będzie mówienie głośniej, jeżeli ktoś mi powie, żebym się zamknęła.

Napierają na mnie ciała. Przyciskam Jane mocniej do piersi i wyczuwam jej szybkie bicie serduszka.

*Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało. Nigdy.*

A wtem bolesna siła szarpie za kawałek moich włosów na skroni. Nie wiem o co zaczepiłam: biżuterię, wyposażenie kamery czy zamek kurtki... coś, czym teraz gardzę.

Robię krok do przodu i wciąż jestem ciągnięta. To coś szarpie mnie do tyłu i chwieję się na szpilkach.

Od razu puszczam rękę Connora, obawiając się, że jeśli upadnę, ściskając jego dłoń, to przechylili się do tyłu i zmiążdży Jane.



- Dajcie mi przestrzeń! – krzyczę do otaczających mnie ludzi.

- Rose! – woła Connor. Pomiędzy nas wcisnęły się dwie osoby i jesteśmy rozdzieleni. – ROSE! – Stara się do mnie dotrzeć, podczas gdy próbuję uwolnić włosy jedną ręką. Nie umiem ich odczepić i zaraz zostanę powalona na beton.

Podejmuję błyskawiczną decyzję.

Nie mogę upaść, trzymając Jane w ramionach, na pewno nie w tłumie ludzi z ciężkimi kamerami, dlatego nabieram mocnego tchu, przytulam córkę do siebie i wyrывam się do przodu z agresywnym szarpnięciem. Ból parzy skórę mojej skroni i przywołuje do oczu łzy.

Ale jestem wolna.

Connor dociera do mnie, obejmując mnie szybko w talii władcym ramieniem. Prowadzi mnie szybciej do budynku. Nie oglądam się za siebie, aby ujrzeć kawałek pozostawionych włosów. Pamiętam tylko, co się mogło wydarzyć – gromadę ludzi duszącą Jane.

*To się nie stało.*

I tak trzęsę się, jakby to miało miejsce. Potem uderza we mnie cisza i orientuję się, że stoję w korytarzu biurowca, wszyscy obcy zostali zamknięci na zewnątrz.

- Rose – mówi stanowczo Connor, uderzając mnie lekko po policzku, żebym skupiła się na nim. – Jesteś w szoku... - Chwyta mnie opiekuńczo za tył głowy, sprawiając, że chaos wydaje się do opanowania, jakby nie mógł nas obalić, choć prawie tak zrobił.

- Nie... - odpieram, chociaż jestem - ...co z nią? – Oglądam Jane pod kocem i przestała płakać, przyciskając głowę do mojej klatki piersiowej z zadowoleniem wypisanym na twarzy. Przygląda się rudemu, prądkowemu kotu na swoim kocyku.

- Gdzieś ty był?! – krzyczy Connor na Vika, nie wypuszczając mnie z objęć. – Miałeś być tuż za nią.

- Utknąłem w tłumie.

Szczęka Connora wyraźnie dygocze.

- Przed naszym wyjściem musisz oczyścić nam drogę i zadzwonię po większą liczbę ochroniarzy, skoro nie umiesz sobie sam poradzić.

On potakuje i przeprosza nas kilka razy.

Po tym dochodzę do siebie. *Wszyscy są bezpieczni.* Tylko to się liczy.

- Chodźmy, Connor – mówię do niego i obejmuje mnie ramieniem, częściowo prowadząc do gabinetu pediatrycznego. Moje kroki nadal zdają się trochę chwiejne ale kiedy tylko wchodzimy do pustej poczekalni, odsuwam się od niego i siadam na krześle przy stole magazynów, krzyżując nogi w kostkach.

Tutaj czuję się bezpiecznie. Connor idzie zarejestrować Jane przy recepcji.

Moja skroń pali i pulsuje bólem. Podmuch zimnego powietrza z wentylacji wywołuje klucie mojej rany. Ignoruję ból i sadzam Jane na moich udach, otulając ją kocem. Od razu ciągnie za mój naszyjnik... a potem, oczywiście, za włosy.

Krzywię się.

- Nie, nie dotykaj włosów mamusi. – Odrywam jej paluszki od kosmyków włosów i wyciągam z torebki jej wypchanego lwa. Moje myśli są lekko zamglone, ledwo wierzę, że moja krucha, delikatna córeczka przeszła przez takie *piekło*. Nie mogę i nie zamknę jej w wieży, usuwając ją ze społeczeństwa tylko dlatego, że nikt nie potrafi się odpowiednio zachować.

Muszą istnieć jakieś granice... ponieważ żadne dziecko nie może znosić czegoś takiego.

- Lew... - mówi wyraźnie, a reszta słów jest niezrozumiała i towarzyszy im ślina. Ocieram jej usta brzegiem kocyka.

Czuję pieczenie w oczach.

- Mam nadzieję, że nigdy nie zakwestionujesz tego jak bardzo cię Kocham, Jane.

Mruga do mnie i uśmiecha się, odpowiadając różnorodnością odgłosów, które biorę za „*zawsze będę cię kochać, mamusiu*”. Nawet jeśli wcale jej o to nie chodziło – mam to gdzieś. Ja tak wierzę. I w tej chwili wierzę także, że nigdy nie zwątpi w moją miłość.

Gdy podnoszę wzrok, zauważam, że recepcjonistka podaje Connorowi jakiś przedmiot, a jego usta wypowiadają „*dziękuję*” po czym odwraca się do mnie.

- Lekarz jest gotowy? – pytam. Spóźniliśmy się, ale nie dużo.

- Za pięć minut zważy ją pielęgniarka. – Siada przy mnie z obcym spojrzeniem. – Odwróć do mnie głowę, kochanie.

- Co czujesz? – zastanawiam się, zwracając do niego twarzą.

Delikatnie odsuwa moje włosy i sięga do mojej torebki po gumkę do włosów, związując mi włosy w niskiego kucyka.

- Troskę – odpowiada.

A więc musi być na innym poziomie istnienia, bo jest tak obfita, że przyciemnia jego niebieskie oczy.

- Zrobiłam, co musiałam – mówię. Wbijam wzrok w rząd przekrzywionych krzeseł pod ścianą obok Connora, w kącie wisi telewizor. Trzy z ośmiu krzeseł są zbyt wysunięte do przodu, dwa przesunięte za bardzo na lewo – to irytujące. Czy nikt nie może poprawić tych krzeseł?

- Rose, spójrz na mnie – mówi Connor.

- Ta poczekalnia to wielki bałagan. – Obracam głowę, żeby ujrzeć przewrócone krzeselko dla dzieci. Mam nagłą chęć, żeby je podnieść i im dłużej pozostaje w takim stanie, tym mocniejszy czuję ucisk żeber na płucach.

Connor ściska moją brodę, zmuszając, żebym na niego spojrzała i jego poważna mina pozbawia mnie tchu.

- Skoncentruj się na mnie, *proszę* – wydusza to słowo. – Jesteś przy mnie w całkowitej kontroli. Jesteś w najczystszyim pomieszczeniu, w jakim kiedykolwiek byłeś z najbystrzejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałeś i nie istnieje *nic* czego nie moglibyśmy dokonać. Powtórz.

Prycham i tym samym wypuszczam głębszy oddech.

- Chciałbyś, żebym powtórzyła to wszystko tylko po to, żeby schlebić twojemu ego. – Jednak trzymam się pierwszego zdania. *Jesteś przy mnie w całkowitej kontroli.*

Wydecham kolejny krótki oddech. Kiedy podnoszę na niego wzrok, spodziewam się, że się uśmiechnie albo odpowie żartem, ale nie robi żadnej z tych rzeczy.

Zauważam białą gazę w jego ręce, to ten tajemniczy przedmiot, który dostał od recepcjonistki. Obejmuje dłonią bok mojej twarzy, unieruchamiając mnie.

*Jesteś przy mnie w całkowitej kontroli.*

- Możesz przysunąć się bliżej? – pytam. Rozluźniam się bardziej, kiedy wyczuwam jego stoicką, nieugiętą obecność, która wchodzi w kontakt z moją. Wysuwa się tak daleko jak pozwalają na to podłokietniki krzesel i przez chwilę trzyma rękę na mojej szyi, gdy ściskam Jane.

Wciągam do płuc opanowanie Connora, ciszę panującą w pokoju i tym razem się nie rozglądam. Skupiam się tylko na nim.

- Teraz poczujesz nacisk na skroni – mówi cicho. – Bierz głębokie wdechy. – Po tym przyciska gazę do obtartej skóry i nabieram gwałtownie powietrza.

*O Boże.* Jak to cholernie boli.

Jednym ramieniem trzymam Jane, a drugim chwytam za biceps Connora. Patrzy pod gazę i pod jego męstwem dostrzegam przebłysk bolesnej reakcji, na jego czole pojawiają się zmarszczki.

- Krwawi? – pytam. Nie miałby *takiej* reakcji, gdyby nie było krwi. – Daj mi zobaczyć. – Sięga do mojej torebki. On jest dosłownie jedynym mężczyzną, któremu pozwolę w niej grzebać i po chwili znajduje moją puderniczkę, którą podnosi przede mną.

Powoli badam szkodę. Przez gazę przesiąka krew. Connor stopniowo ją odsuwa. Tuż obok linii włosów na skroni brakuje dwóch kępek włosów wielkości dwudziestopięciocentówek, pozostał po nich zaczerwieniony, oskalpowany bałagan. A choć wygląda to okropnie i nie wiadomo ile będzie się leczyć, wiem, że zrobiłabym to znowu.

Connor przygląda mi się ostrożnie, najprawdopodobniej martwiąc się, że nie będę spała z powodu włosów, które zawsze pielęgnowałam w dzieciństwie, ale one nie są moim dzieckiem. To tylko klocek budujący moje zorganizowane życie i choć wydaje się, że wytrącenie jednego przewali całą wieżę, to *muszę* sobie przypominać, że to *ja* mam kontrolę.

To nie niszczy wszystkiego. Najważniejsze, że ona jest bezpieczna.

*Jesteś przy mnie w całkowitej kontroli.*

- Włosy odrastają – mówię.

Connor potakuje.

- I jeśli będziesz chciała, możesz zrobić sobie taką fryzurę, żeby to zakryć. – Ta myśl powinna mnie pocieszyć, ale coś sobie uświadamiam...

- Nie – odpieram, kiedy zamyka lusterko. – *Wszyscy* muszą to zobaczyć, może wtedy przestaną narażać życie Jane.

Całuje mnie w czoło i mruczy po francusku, zbyt cicho, żeby przetłumaczył to mój dudniący mózg. Potem całuje główkę Jane, która uśmiecha się, czując spokój w cichej poczekalni.

Connor przykłada gazę z powrotem do mojej skroni, zajmując się moją raną wojenną. Chcę zmniejszyć gromadzące się pomiędzy nami napięcie. Chciałabym przenieść się do miejsca, gdzie on uśmiecha się arogancko, a ja przewracam oczami, desperacko próbując powstrzymać uśmiech.

Unoszę lekko podbródek, pokazując mu, że czuję się lepiej i przepytuję go.

- O którym szesnastowiecznym naukowcu często się mówi, że „zatrzymał słońce i ruszył ziemię”? Masz trzydzieści sekund, taka sama stawka. – Będę musiała ignorować go przez dwadzieścia cztery godziny, jeśli źle odpowie.

Ale wiem, że zna na to odpowiedź.

Znowu odsuwa gazę, która jest prawie cała czerwona i przewraca mi się w żołądku. Składa ją, żeby znaleźć białe miejsce (nie ma żadnego) ale i tak ostrożnie przykłada ją z powrotem. Wyłapuję w jego oczach gniew, frustrację, zranienie – wir emocji, które bardzo rzadko tak wyraźnie pokazuje.

- Richard – mówię gniewnie, nie chcąc, żeby się zamartwiał, tylko skupił na quizie. – Dziesięć sekund.

- Galileo – odpowiada... źle.

Rozchylam usta.

- Co? – Przecież znał odpowiedź. *Wiedziała*, że ją znał. Nie próbowałabym go oszukać, nie teraz.

Zaciska powieki w grymasie.

- Kopernik. – Ściska nasadę nosa i potrząsa raz głową. – Nie pomyślałem.

- Najwyraźniej – mamroczę. Chwila... więc teraz nie mogę się do niego odzywać? Czy jednak mogę? Przygryzam wnętrze policzka. – Możemy ustalić warunek albo wyjątek dla... przytłaczających wydarzeń. – Krzywię się i piorunuję wzrokiem sufit, wypowiadając te słowa.

Gdy zrobimy wyjątek tak wielki jak „*nie przegrywasz, kiedy powinieneś przegrać*” to stawka nie będzie już miała tego samego znaczenia. Nie będziemy brać na poważnie gry.

Unosi brwi.

- Wiesz, że nie możemy. Wstawimy realistyczną poprawkę: zaczniesz mnie ignorować, kiedy będziemy znowu w limuzynie, jadąc bezpiecznie do domu.

Przytakuję w zgodzie i uśmiecham się na pewną myśl.

- Jesteś przygotowany, żeby być przeze mnie lekceważonym? – Już wcześniej to robiłam, kiedy kłóciliśmy się na temat filozofii albo teorii naukowych i to go doprowadza do szału. Niewiele rzeczy wytrąca Connora z równowagi, ale ciche dni zawsze.

- To moja najmniej ulubiona tortura.

- Masz ulubione tortury? – pytam.

Uśmiecha się lekko.

- Czy ty będziesz w stanie mnie ignorować, kochanie?

Posyłam mu miażdżące spojrzenie.

- Proszę cię, już wyłączam się na połowę tego, co mówisz. – Nie jestem do końca szczerą. Słucham prawie wszystkich jego słów, chyba że zasłonię mu usta ręką i blokuję im wyjście.

- Co za kłamstwa – odpira, wciąż unosząc kąćki ust. – Zapominasz o tym jak dużo rozmawiamy i piszemy do siebie w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Czyżby?

- Nawet kiedy twierdziłaś, że zerwaliśmy na studiach, to i tak do siebie dzwoniliśmy – przypomina.

Tak było. Codziennie.

- Daj mi się nacieszyć wyobrażeniem twojego dąsania się przez przynajmniej *pięć minut* zanim zaczniesz twierdzić, że ja też będę się dąsać.

Na jego twarzy prawie pojawia się pełny uśmiech.

- Przekonamy się.

Żebyś wiedział.

Rose Cobalt

Minęły dopiero cztery godziny od powrotu do domu i wciąż odblokowuję komórkę, bliska wysłania Connorowi wiadomości z grą Pieprzyć, Poślubić, Zabić albo przypadkową myśl, która płacze mi się po głowie.

Okazuje się, że jego kara jest denerwującą konsekwencją dla nas obojga. A więc miał rację. Skrywam udrękę najlepiej jak mogę.

Jeżeli ją ujrzy to będzie się tylko chełpić.

I to on powinien być tutaj *przegranym*, nie ja.

Przegranii nie mogą się chełpić. Takie jest moje prawo.

- Powinniśmy zamienić zapaśnika na Connora – mówi Lo z gorzkim półuśmiechem. Zajmuje stołek kuchenny, *przyglądając* mi się jak wałkuję ciasto do pizzy na blacie. Mąka unosi się w powietrzu za każdym razem, kiedy używam wałka i wycieram bałagan oraz ugniatam ciasto jednocześnie. To zabiera mi nieznośnie dużo czasu, ale w tej chwili mój nastrój potrafi znieść tylko czyste, wysprzątane miejsca.

To wieczór pizzy i wyciągnęliśmy trzy imiona z czapki kucharskiej. Niestety zostałam sparowana z Lorenem i jego starszym bratem, żadna z moich siostr nie dotrzymuje mi towarzystwa.

I nikt nie był bardziej niezadowolony widokiem mojego imienia. No może tylko Loren.

- Zamienić zapaśnika? – odpieram gniewnie. - Przepraszam, czy ja się z tobą wrestlinguję, Lorenie?

- Samo stanie półtora metra od ciebie wydaje się być tolerowaniem katorgi, więc tak. – Posyła mi kolejny ironiczny uśmiezek i bierze łyk Fizz Life. Jego zaostrzony wzrok prawie łagodnieje, kiedy patrzy na moją zabandażowaną skroń.

- Zrobiłbyś więcej postępu, gdybyś patrzył na pepperoni, a nie moją twarz.

Udaje zainteresowanie krojeniem kiełbasy, lecz na jego desce znajdują się tylko *dwa* plastry.

- Nie chcesz mieć tu dzisiaj Connora – mówi Ryke swojemu bratu, siekając papryki po drugiej stronie zlewu. – Jest cholernie markotny. Minąłem się z nim na korytarzu i nie zdążyłem otworzyć buzi, a on kazał mi iść zaszczekać na mojego właściciela.

Loren zajada pepperoni. Nigdy nie skończymy tej pizzy.

- Huh – duma. – Myślałem, że Connor jest twoim właścicielem.

Ryke rzuca w niego papryką. Boże, nie. Nie chcę znaleźć na podłodze przypadkowych kawałków jedzenia.

- Mówię serio – odpiera Lo.

- Ja też, kurwa. Nie wiem, co z nim jest... pomijając gównianą burzę. – *Gównianą burzę*. Tak oficjalnie nazywamy tę rundę inwazyjności mediów.

Loren pokazuje na moją twarz.

- Może dlatego, że jego żona jest poturbowana, a on nie mógł temu zapobiec.

Celuję wałkiem w stronę Lo.

- To *nie* jest wina Connora. Dobrze o tym wie. – Mój mąż myśli logicznie i wiedziałby, że nie było żadnego wyobraźnego sposobu, by zmienić wynik tej sytuacji. Ja uważam to za los. On twierdzi, że to beznadziejna okoliczność narzucona przez otaczających mnie ludzi.

- Mimo wszystko pewnie dalej jest wkurzony na paparazzi – mówi do mnie Lo.

Nie wątpię. Gdy wcześniej się mijaliśmy, rozmawiał przez telefon i wyglądał na zirytowanego. Przypuszczam, że dzwoni po dodatkową ochronę, żeby zmniejszyć zagrażające nam ryzyko, kiedy wychodzimy z domu.

Oboje jesteśmy zamknięci w pomieszczeniach o wiele za długo. Nie tak jak Daisy i Ryke, którzy szukają przygód poprzez przerażające aktywności. Zabrać mi pracę w biurze i lubię chodzić na zakupy, robić sobie manicure, chodzić na eleganckie obiady i lubię wszystkie powody, żeby ubierać się stylowo. Connor zawsze jest ze mną w ruchu, a kiedy zwalniamy, to zwykle, żeby spędzić więcej czasu z naszą córką, moimi siostrami, Lorenem i Rykiem.

Connorowi i mnie udało się utrzymać nasze style życia w stanie nietkniętym, nawet przy zainteresowaniu mediów, ale teraz jest nam coraz trudniej. Zabieranie córki do pediatry nie powinno być zatrwającym przeżyciem. I to *zanim* jeszcze przeszliśmy przez pieprzone drzwi.

Ryke oblizuje palec po czym dotyka następnej papryki.

Wytrzeszczam oczy przerażona.

- Ryke!

- Co? – Rozgląda się. – Co się stało? – Zauważa moje piorunujące spojrzenie. – Co *ja* takiego, kurwa, zrobiłem?

- Wymyj ręce – mówię. *Tymi* dłońmi dotyka mojej najmłodszej siostry. *Nie myśl o tym gdzie i skąd wędrują, Rose*. Wstrząsa mną dreszcz.

Wywraca oczami, ale nie protestuje, co Loren zrobiłby na pewno. Ponieważ jest miły i naprawdę myje dłonie pod kranem, postanawiam rzucić światło na ich dyskusję.



- Connor jest markotny, bo go ignoruję – wyjaśniam.

Loren marszczy brwi.

- Dlaczego go ignorujesz?

Wycieram blat.

- Przegrał quiz.

Ryke zakręca kran, oboje milczą.

- Czekaj, i tyle? – Loren patrzy niedowierzająco. – Ty tak na serio?

- Czy wyglądam jakbym żartowała? – Wbijam w niego płonące oczy.

- Wyglądasz jakby chciało ci się srać.

Warczę.

- Jesteś obrzydliwy.

- A ty dezorientująca – odparowuje. – Myślałem, że to wy jesteście najbardziej dojrzałymi osobami z naszej szóstki, a wy sobie pogrywacie w *ciche dni*, jak jakieś dziesięciolatki. – Śmieje się. – Chyba właśnie postarzałem się w rankingu władzy.

- Ledwo – mówię. – Nadal jesteś na dole.

Opiera łokcie o blat barku.

- Teoretycznie... jestem twoim szefem.

Wiedziałam, że któregoś dnia wyrzuci to w wszechświat.

- Obiecałeś, że nigdy tego nie powiesz, jeżeli dołączę do Calloway Couture Babies.

- Nie dotrzymuję trzech czwartych moich obietnic, Rose. – Najwyraźniej. To nie jest mój mąż.

Wypuszczam oddech, otrzepując ręce po raz nie wiem który.

- Muszę ignorować Connora tylko przez dobę. Przeżyje.

Ryke rzuca mi spojrzenie.

- Nie sądzimy, że od tego cholernie umrze. Po prostu nie jest sobą. – Wzrusza ramionami. – Zwykle spędza pięć jebanych minut na próbie podtrzymania ze mną rozmowy i przekonania do odpyskowania, a nie ucisza mnie zanim cokolwiek powiem.

- Wyślij mu wiadomość – odpiera Loren.

- Skup się na pepperoni, Loren – mówię lodowato.

Ryke zauważa, że *po raz kolejny* szoruję blat.

- Zamieńmy się. – Odstawia swój nóż i paprykę.

- Poradzę sobie – klóczę się.

- Nie mówię, że nie, ale w takim tempie nie zjemy kolacji do jutrzejszego poranka, a jestem kurewsko głodny.

Ciężko mi oddać zadanie, choćby tak proste jak to. Wciąż czepiam się rzeczy, które mogę osiągnąć, kontrolować i opanować, kiedy paparazzi mi to utrudnili.

- Nie wkraczam na twoje terytorium – dodaje Ryke. – Daj mi rozwałkować pierdolone ciasto.

Z wahaniem oddaję to zajęcie, jeszcze raz wycierając ręcznikiem ręce. Nie jestem jedną z tych osób, które mogą rozsmarować mąkę na fartuchu. Mój jest za ładny na plamy.

Zamieniamy się miejscami i Lo mówi:

- Muszę cię o coś poprosić. – Wydaje mi się, że mówi do swojego brata, ale kiedy podnoszę wzrok on patrzy na mnie.

Jego zaostrome kości policzkowe stają się wyraźniejsze, jakby to było coś poważnego.

- I...? – Czekam na bombę. *Niech Lily nie będzie w ciąży. Niech Lily nie będzie w ciąży.* Nie potrafię sobie teraz wyobrazić ciężarnej siostry w tej gównianej burzy. Przy każdym wyjściu z domu dostawałabym ataku serca, zamartwiając się, że ktoś za mocno ją szturchnie albo potrafi. Jestem pewna, że jej stan psychiczny nie byłby wcale lepszy.

- Prasa wciąż wypytuje Willow w Superheroes & Scones – mówi. – Myślą, że jest moją kuzynką, dlatego ścigają każdą choć trochę bliską osobę tobie i Connorowi.

Jego przyrodnia siostra jest osiągalna, a przynajmniej bardziej niż nasza reszta ukrywająca się za ochroniarzami i murami.

- Wczoraj śledzono ją do jej mieszkania – dodaje Loren.

Opada mi szczęka. To nie do przyjęcia.

- Kto? – pytam, gotowa wytropić tego kogoś widłami. Mogę nie być najbliższą przyjaciółką Willow, ale jest rodziną poprzez więzi z Lorenem. Wykorzystałabym każde narzędzie w moim arsenale, żeby ją ochronić, tak jak i jego.

- Możesz schować szpony. Już wyszedłem tego gościa i zagroziłem, że aresztują go za prześladowanie.

- *My* – poprawia Ryke. On też przy tym był.

Lo kiwa głową.

- Naprawdę uważam, że nie jest tam teraz bezpieczna.

Istnieje oczywiste rozwiązanie.

- Mamy trzy wolne pokoje gościnne we wschodnim skrzydle. Może wybrać sobie któryś.  
– Kupiliśmy rezydencję z ośmioma sypialniami nie bez powodu. Wiedzieliśmy, że te pokoje będą się zapełniać. Może coraz bardziej przez nasze dzieci, ale kiedy pojawia się twoja niedawno odnaleziona przyrodnia siostra, to jeden pokój zawsze powinien być dostępny.

- Jesteś pewna? Możesz się zastanowić. – Jest uprzejmy ze względu na moją „poobijaną” twarz i stres spowodowany mediami. Wątpię, żeby zapytał w innym wypadku.

- Ona jest twoją rodziną. Nad czym się tutaj zastanawiać? – Wycinam środek papryki i wyskrobuję ziarna do śmietnika.

- Dzięki. – Potakuje parę razy. – Poproszę ją, żeby jutro się wprowadziła. Jestem pewien, że tym razem się zgodzi. – Na początku postanowiła z nim nie mieszkać, ale teraz powinna czuć się bardziej komfortowo po poznaniu jego i nas.

Rozcinam paprykę idealnie równo.

- Nie wiem dlaczego Lily nazywa nas wybuchową trójką – mówię im. – Wszyscy jesteśmy teraz cywilizowani, a mamy broń.

Ryke podnosi *puste* dłonie. Przy tym naprężają się jego bicepsy, które są odkryte w szarym bezrękawniku.

- Twoją bronią są mięśnie – odpieram. To brzmi głupio, chociaż logicznie. Ma smukłą sylwetkę od biegania i wspinaczek, ale jego mięśnie są tak wyrzeźbione, że ciężko sobie wyobrazić, żeby miał gdzieś tłuszcz.

- Jezu Chryste, nie chwal jego mięśni – odzywa się Lo. – On jest nienaturalny.

Connor jest mu bliski, ale to jego mózg jest seksowniejszy od reszty ciała.

- Jestem pieprzonym sportowcem – mówi Ryke. – I twoja żona wymyśliła nam durną nazwę.

- Hej – tym razem to Loren celuje nożem w Ryke’a – nie obrażaj Lily.

- Wybuchowa... chuj wie co. Nie umiem nawet tego dokończyć.

- Nie bądź dupkiem – upominam Ryke’a.

Wyciąga do mnie ramiona.

- Kurwa, dopiero co się ze mną zgadzałaś, czyż nie?

- Zmieniłam zdanie – odpowiadam. – Mam do tego prawo. – *Zawsze* stanę po stronie moich siostr... chyba że staną przeciwko mojej córce. Wtedy będę wspierać Jane, ale ona jest za młoda by brać udział w tych zagrywkach.

Czekam z podekscytowaniem na dzień, kiedy odkryje swój głos. Nie zabronię jej posiadać własnych opinii i wyborów – i wiem, że to nie wydaje się takie ważne, ale nie mogę się doczekać by zobaczyć, ku jakiej modzie będzie się skłaniać, by zobaczyć czy jej gust będzie różnił się od mojego.

Myślę, że cieszyłabym się, gdyby wyrosła na własną osobę bez mojego ciągłego wpływu na jej decyzje. Moja matka nigdy nie lubiła u nas czegoś takiego.

Kończę kroić ostatnią paprykę i podaję Ryke'owi słoik sosu marinara.

- Skoro mowa o moich siostrach...

Patrzy mi w oczy.

- Mówiliśmy tylko o Lily, nie o wszystkich twoich siostrach. – Zamierzam zabrać słoik, ale wrywa mi go z rąk i odkręca nakrętkę.

Nie mogę się teraz wycofać.

- Co u ciebie i Daisy?

- Wszystko kurewsko dobrze. – Wzrusza ramionami i szuka szpatułki. To ten gest, to *wzruszenie ramion* sprawia, że krzyżuję ramiona.

- Tylko dobrze? – zastanawiam się. Mogłabym zapytać Daisy, ale ona zawsze odpowiada to samo.

Wydaje sfrustrowany pomruk, zamykając z trzaskiem szufladę. Potem przeczesuje włosy. Wypuszcza oddech i mówi:

- Ostatnim razem, kiedy mówiłem o moim związku, dostałem dwudziestominutowy wykład o tym, żebym zrobił sobie od niej przerwę. Więc nie jestem zbyt gadatliwy na ten temat, do chuja.

Mrużę oczy.

- Poppy? – Jestem świadoma dezaprobaty mojej siostry wobec związku Daisy z Rykiem poprzez „wycucie czasu”, tak mi powiedziała.

Przytakuje.

Loren sięga przez barek i wyciąga szpatułkę z pojemnika na przyrządy kuchenne. Stoi tuż przed Rykiem. Podaje ją starszemu bratu.

- Jaki ma problem? – pyta Lo.

- Najwyraźniej wzięła sobie roczną przerwę od Sama podczas ich pierwszego roku studiów i powiedziała, że dzięki temu nabrała dystansu do tego, czego chciała od pierdolonego życia. Poppy chce, żebym dał Daisy szansę na „odnalezienie samej siebie” nim wejdzie w poważny związek. – Rozsmarowuje sos na ciście. – Rzecz w tym, że Daisy i ja... oboje byliśmy dłużej samotni niż *ktokolwiek* w tym pieprzonym domu i gdybym szczerze myślał, że Daisy tego pragnie, to zerwałbym z nią jutro, żeby mogła być szczęśliwa. Nawet jeśli ja byłbym cholernie zdruzgotany.

- Rose była dziewicą do dwudziestego trzeciego roku życia – wtrąca Loren. – Chyba ona przebija cię w tej *samotności*, brachu.

- On nie mówi o seksie, Loren.

Lo ignoruje mnie i skupia się na swym bracie.

- Jesteś pewien, że ona nie chce zerwać?

- Mówię ci, że wciąż ją wypyuję, do punktu irytacji, żeby się upewnić, a ona ciągle odpowiada, że nie. – Daisy nie rozmawiała ze mną na ten temat, ale nie wyobrażam sobie, żeby moja najmłodsza siostra okłamywała Ryke’a tylko po to, żeby go udobruchać.

- Jak wygląda zirytowana Daisy? – Lo wrzuca kolejne pepperoni do ust. Ja też nigdy nie widziałam tej emocji u siostry.

- Zmordowanie. Próbuje zwieść mnie z tematu, a kiedy w końcu się poddaje mówi „*blagam, przestań*” tym naprawdę bolesnym głosem, jakbym rozgniatł w jej uszach szkło. Cholernie do dupy.

Przypominam sobie, że jest z nią od półtora roku.

- Nie musicie robić sobie przerwy tylko dlatego, że moja starsza siostra twierdzi, że to właściwe – mówię. – To było właściwe dla Poppy i Sama, ale nie musi być tak samo dla ciebie i Daisy. Każdy związek jest inny.

Łatwo jest porównywać osobiste doświadczenia ze związkami innych ludzi, ale nie widzimy tajników oraz zawilości innych par w sposób, w jaki rozumiemy i przeżywamy własny.

Ryke kiwa głową.

- Wiem, ale któregoś dnia chcę poślubić tę dziewczynę. I to jest strasznie chujowe, bo jutro bym przed nią uklęknął, gdyby jej rodzina nie nienawidziła naszego związku.

Otwieram szeroko usta, nie potrafiąc się powstrzymać. *On chce ożenić się z Daisy. Chce ożenić się z moją maleńką siostrzyczką.* Nie byłam pewna czy w ogóle ceni małżeństwo, skoro nigdy o tym z nikim nie rozmawia.

Ale teraz jego opinia ma dla mnie sens. Nigdy nie widziałam go tak obezwładniająco zakochanego, jak jest w Daisy. I pragnie rodzinnego towarzystwa, którego nie miał w dzieciństwie. Więc łatwo uwierzyć, że któregoś dnia zapragnie własnej rodziny.

Moje zimne serce zaczyna się roztopiać – oczywiście zanim głos Lo na powrót je zamroza.

- Kiedy niby powstrzymały cię czyjeś opinie? – pyta Lo. *Właściwie to nie było takie złe.*

Ryke kieruje się do lodówki.

- Daisy się przejmuje, a jeśli ona się przejmuje, to ja też, kurwa. – Bierze torebkę mozzarelli i wraca do pizzy. – Śluby i zaręczyny... to powinny być *szczęśliwe* przeżycia. Nie chcę, żeby zrujnowały je czyjeś osądy. Daisy zasługuje na jeden dzień, który będzie należał do niej, bez żadnej dramy, a nie mogę jeszcze jej tego dać. – Potrząsa głową. – Wszystko to po prostu cholernie złe wycucie czasu. Ze wszystkim.

Przez gównianą burzę.

Nie ma pojęcia czy kiedykolwiek zdoła jej się oświadczyć.

- Los pójdzie po twojej myśli – mówię mu.

- Rose uważa, że potrafi przewidywać przyszłość – drwi Lo.

- Po prostu mam nadzieję, Loren – odpieram. – A gdzie twoja?

Lo uśmiecha się i tym razem w tym geście nie ma śladu zgorzkniałości.

- Jeżeli potrafię utrzymać trzeźwość i wychować dziecko, to wszystko jest możliwe.

Ryke wskazuje na deskę Lo, gdzie leżą tylko cztery grubo pokrojone plastry pepperoni. – Co ty wyprawiasz, do chuja?

- Nie spieszę się – odpowiada Lo. – I w duchu złego wycucia czasu myślę, że powinniśmy zwołać spotkanie domowe. Muszę jeszcze coś przedyskutować.

Marszczę brwi.

- W tej chwili?

- Skoro wszyscy są tacy skłonni do dzielenia się uczuciami, to tak, w tej chwili. – Unosi brwi. – Potrzebujesz, żebym wysłał za ciebie wiadomość do twojego męża?

Wywracam oczami, ale nie odpowiadam.

- Wezmę twoje milczenie za „*tak, oczywiście, kocham cię, Lorenie Hale'u*”.

- Nie zmuszaj mnie, żebym użyła na tobie tego noża. – Wymachuję nim groźnie, ale jest zbyt zajęty swoją komórką, żeby odpyskować. O czymkolwiek chce pogadać... sędzę, że to może być coś poważnego.

Rose Cobalt

- Czy możecie odłożyć broń nim zaczniemy spotkanie? – Lily podrzuca Moffy’ego na swoim biodrze, patrząc pomiędzy mną i Lo.

Dzierzę nóż bardziej jak część artylerii niż przyrząd kuchenny. Nie pomaga fakt, że znajduje się tu teraz Connor, który sadza Jane w wysokim krzeselku. Spoglądam przebiegle w jego stronę, spodziewając się, że zerknie w moim kierunku.

Nie robi tego.

Ignorowanie go wymaga więcej wysiłku niżbym pomyślała.

Coconut wyjada karmę ze swojej miski przy stole śniadaniowym, a Daisy zajmuje taboret obok Lorena. Wszyscy się tutaj zebraliśmy, pizza piecze się w piekarniku, wysyłając w powietrze zapach pepperoni i sera. Dopiero po dłuższej chwili Loren opuszcza swój nóż i zdaje sobie sprawę, że mój uchwyt jest równie mocny, co wcześniej.

- Ty też, Rose – mówi Lily.

No dobra. Delikatnie odkładam nóż do stojaka. Potem biorę jedzenie Jane. Wcześniej pokroiłam kiwi na kwadratowe kawałki, dlatego teraz wyciągam je z lodówki i dodaję trochę jogurtu do miseczki. Najtrudniejsze jest podejście do krzeselka Jane, kiedy Connor jest tak blisko.

Ogląda się na mnie przez ramię i obracam głowę w drugim kierunku, ledwo zauważając wykrzywienie jego warg. Uda mi się go ignorować. *Dasz radę, Rose.*

Przysuwam kiwi z jogurtem do Daisy.

- Daj to Connorowi – instruuje. Po czym dodaję zdawkowo: - *Proszę.* – Choć moje prośby nigdy nie brzmią tak miękko i zapraszająco, jak innych.

Daisy zeskakuje ze stołka bez wahania.

- Wciąż go ignorujesz? – Wcześniej poinformowałam siostry o moim zadaniu.

- Do dziesiątej rano dnia jutrzejszego – odpowiadam.

- To jakiś absurd – wtrąca Loren, patrząc jak moja młodsza siostra oddaje jedzenie Jane mojemu mężowi. Gdy rzucam mu kolejne spojrzenie, jego ciemnoniebieskie oczy są białe we mnie i jego uśmiech rośnie za *każdym* razem, kiedy nawiązujemy kontakt. Wyraz jego twarzy mówi „*nie potrafisz odwrócić wzroku, prawda, Rose?*”

Potrafię.

Przekona się. Skupiam wzrok na Lorenie, jego ostro zarysowanej szczęce i lekkim grymasie, który praktycznie pyta „*fuj, czemu się na mnie gapisz, do diabła?*”

- Musi być następstwo przegranej – mówię mojemu szwagrowi. – Więc to żaden absurd, *Lorien*. To cena porażki.

- Żadna to porażka, kiedy byłem rozproszony – odzywa się Connor.

Prycham.

- Loren, powiedz Richardowi, że jedno złe pytanie wciąż oznacza, że przegrał i to on sam twierdzi, że „rozproszenie” jest słowem, którego używają „przegrani” aby polepszyć sobie samopoczucie. – Muszę stać odwrócona plecami do Connora, chociaż chciałabym się obrócić i spiorunować go wzrokiem.

Loren otwiera usta, ale Connor uniemożliwia mu powtórzenie moich słów.

- Moja ranna żona zdecydowanie mieści się wyżej w rankingu niż konkurent kichający podczas turnieju.

Nie mogę temu zaprzeczyć. Czyjaś sezonowa alergia rzeczywiście spieprzyła mi koncentrację podczas naukowych turniejów na studiach i on nigdy nie da mi o tym zapomnieć.

Warczę.

- Loren, powiedz Connorowi, iż wiem, że jego wygórowane ego nie potrafi znieść słowa „*porażka*”, ale wciąż jest realne przez swoją definicję.

- Na litość boską – marudzi Lo. – Oboje się zamknijcie.

Słucham się tylko dlatego, że wzdycha ciężko i przypominam sobie, że to *on* zwołał spotkanie i zebrał wszystkich razem.

Lily wsadza Moffy’ego do krzeselka stojącego obok Jane i patrząc na jej minę nie potrafię zdecydować czy jest świadoma czego będzie dotyczyć temat rozmowy.

Lo opiera łokcie na blacie, pochylając się do przodu.

- Dzieci niedługo skończą roczek, a my nadal nie wybraliśmy rodziców chrzestnych.

Atmosfera się zagęszcza.

*Rodzice chrzestni*. Chcę spojrzeć na Connora i zobaczyć czy jego samozadowolenie choć na chwilę zostało przełamane.

- Chcecie to teraz robić? – pyta Ryke. Przegapiłam chwilę, kiedy Daisy wskoczyła na blat obok niego, siedząc przy mikrofonie. Wymachuje nogami i obiera pomarańczę, podczas gdy on subtelnie zarzuca na nią ramię.



- Nie ma lepszej pory – odpiera Lo. – Ciągłe pomijamy ten temat.

Lily przytakuje.

- Wkrótce musimy podjąć decyzję. – A więc wiedziała, co on kombinuje.

- Na zewnątrz dzieje się jakieś szaleństwo – dodaje Lo. – Nigdy nie myślałem, że ktoś zdoła skrzywdzić *ciebie* ze wszystkich ludzi. – Pokazuje na mnie, a jego kości policzkowe przypominają ostrza, gdy po raz kolejny spogląda na moją zabandażowaną ranę.

Moja skroń pulsuje bólem.

- Jeżeli to się znowu wydarzy, to zapewniam cię, że ktoś straci wszystkie palce u rąk i stóp.

- To już się nie zdarzy – oświadcza Connor i jego surowy ton wzbudza mrowienie na skórze mojego karku. *Nie obracaj się, Rose.* Stoję sztywno w miejscu.

Lo koncentruje się na Connorze.

- Nieważne czy stanie się to wam, czy Lily i mnie, musimy pomyśleć o najgorszym. Nie pozwolę, żeby Samantha albo mój ojciec sprawowali opiekę nad Moffym.

W kuchni nastaje cisza i napięcie zagęszcza się z każdą kolejną minutą. Wszyscy ukrywaliśmy nasze przemyślenia, co do rodziców chrzestnych, przeważnie dlatego, że w tym procesie ktoś zostanie pokrzywdzony. Nikt z nas nie jest całkowicie religijny, ale rozpatrujemy tę decyzję wyłącznie ze względu na opiekę. Rodzice chrzestni będą odpowiedzialni za nasze dzieci, gdyby coś się nam stało.

Coconut przeżuwa głośno suchą karmę, ten odgłos wypełnia martwą ciszę. Jane siorbie jogurt, a Moffy uderza rączkami o tackę swojego krzeselka.

- Kurwa, kto umiera? – pyta Ryke, ledwo łagodząc napięcie.

- Ciągłe dzieją się niespodziewane, gówniane rzeczy – odparowuje Loren. – Chyba wszyscy możemy się z tym zgodzić. – Patrzy przelotnie na twarz Daisy, długą bliznę przecinającą jej policzek. A potem na moją.

Lily podnosi rękę.

- Mam coś do dodania. – Odchrząkuje. – Wiem, że nikt nie chce nic powiedzieć z obawy przed odrzuceniem innej osoby. Ale czy możemy wyciągnąć z tego emocje i podjąć teraz decyzję? *Proszę.* – Jej „proszę” jest druzgocąco rozpaczliwe, przez co przypominam sobie, że muszę popracować nad moim.

- Mówi jedna z najbardziej uczuciowych osób w tym jebanym pomieszczeniu – mamrocze pod nosem Ryke.

Rzucam mu jadownicę spojrzenie.

- Hej – burczy Lo.

- Właśnie, *hej*. – Lily marszczy twarz, starając się o piorunujące spojrzenie.

Na twarzy Ryke'a pojawia się grymas wyrzutów sumienia i sfrustrowany przeczesuje sobie włosy.

- Ja też jestem uczuciowy, Lil. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Przepraszam.

Lily przyjmuje przeprosiny z uśmiechem.

Daisy dzieli się pomarańczą z Rykiem, rozrywając kawałki na pół.

- Czy Connor i Rose nie będą mieć z milion dzieci? – pyta.

Przypadkiem znowu spoglądam na Connora, który ma nieodgadnioną minę, kiedy mi się przygląda. Nie rozmawialiśmy o dzieciach odkąd nasz test odniósł odwrotne skutki, lecz według parametrów naszych zasad chyba oboje zgadzamy się w tym, że możemy mieć tylko Jane.

*Nie myśl o tym, Rose.*

Nie lubię rozmyślać o tej nowej przyszłości.

- Bo tego potrzebuje świat, armii Coballoway – mówi Loren, o dziwo, bez popisowego sarkazmu.

- Możemy mieć tylko Jane. – Prostuję się, próbując zaakceptować ten nowy wniosek, nawet jeśli wydaje się oderwany od rzeczywistości, jakby życie było niezrównoważone.

Lo marszczy mocno brwi.

- Co? Od kiedy?

Lily wygląda ponuro.

- Chodzi o wydarzenie z paparazzi?

Jedyny Ryke wie o naszym teście, ale powód za tym wszystkim pozostaje taki sam: jak mamy ochronić nasze dzieci? One nie mają wyboru czy chcą być w czasopiśmie, czy chcą być śledzone i dręczone przez kamery.

- Tak – odpowiada Connor. – Chodzi o media.

- Jeśli chcecie mieć więcej dzieci – mówi Lo – to powinniście je mieć, nie pozwalajcie, żeby jacyś zasnani, jebani dziennikarze dyktowali wam życie. – Kiwa głową Ryke'owi. – Ciebie to też się tyczy, brachu. Lepiej, żebym pewnego dnia ujrzał mini-ciebie, bo wiem z cholernego faktu, że chcesz dziecko.

Daisy uśmiecha się, wgrzyzając w pomarańczę.

Ryke wywraca oczami. Od samego początku był w naszym obozie, obawiając się sprowadzenia dziecka do tego środowiska.

Daisy łagodzi napięcie radośniejszym uśmiechem.

- Załóżmy, że Rose i Connor być może będą mieć więcej dzieci. Ile planowaliście?

- Ósemkę. – Wysłałam tę liczbę w próżnię. Gdy Connor po raz pierwszy zaproponował tę ilość, pomyślałam, że zwariował, ale im dłużej przekomarzaliśmy się słowami „*osiem dzieci to*” i „*osiem dzieci tamto*” – tym mniej stawało się to szaloną koncepcją splodzoną z werbalnej bitwy i egoistycznych pojęć. Teraz stało się uroczym planem. Dziesięcioosobową rodziną. „*Brzmi silnie*” powiedział mi.

Rzeczywiście.

Ale przypuszczam, że po raz kolejny ten pomysł powrócił do bycia zaledwie fantazją.

Lily dłubie sobie w paznokciach.

- Ósemkę? – Wydaje się zaniepokojona tą liczbą, niepewna czy zdoła zapanować nad tyloma dziećmi.

Odnajduję mój nóż i celuję nim w moje siostry.

- Którakolwiek zechce zostać matką chrzestną Jane musi zawrzeć ze mną pakt krwi.

Wymieniają się spojrzeniami, jakby zastanawiały się nad *wywiniciem się* z tej pozycji.

Opieram rękę na biodrze.

- Dobra, pakt krwi jest opcjonalny, ale część z matką chrzestną nadal obowiązuje.

- Ryke i Daisy powinni zostać chrzestnymi. – To nie Lily ogłasza tę opinię.

Tylko Loren.

- Niby dlaczego? – pytam trochę zawiedziona. Czy to zmierza ku temu, o czym myślałam? Lo i Lily także wybiorą Ryke'a i Daisy. Wiem, że nie jestem przytulna. Na pierwszy rzut oka jestem chłodna. Wiem, iż media sądzą, że nie kocham własnej córki. W przeszłości mówiłam rzeczy, które potępiają mnie zanim moje czyny pokażą rzeczywistą prawdę.

Ale chciałabym wierzyć, iż Lily widzi jak bardzo kocham Jane i jej syna. Podarowałabym mu cały świat, tak jak zrobiłabym to dla mojej córki. Przypuszczam, że po cichu pragnęłam zostać matką chrzestną dzieci Lily. Zawsze byliśmy sobie najbliższe pośród naszych sióstr i gdyby Lily opuściła świat z Lo, to chciałabym mieć przy sobie jej pozostałe części.

Nie jestem tak zabawowa ani śmiała jak Daisy, ale *naprawdę* postarałabym się być tak współczująca oraz kochająca jak Lily – dla niej.

Wpatruję się w mój nóż, unikając wszystkich spojrzeń.

- Dzieci są stresujące – wyjaśnia Lo. – Ósemka brzmi koszmarnie. Nie wiem czy zdołalibyśmy zaopiekować się nimi bez... - W powietrzu unosi się niewypowiedziane słowo „*nawrotu*”.

- To zrozumiałe – mówi Connor. – Ryke i Daisy i tak byli naszym pierwszym wyborem.

Patrzę wściekle na ścianę.

- Ryke, możesz powiedzieć Connorowi, że nie trzeba było dzielić się tą informacją z Lorenem i Lily?

Ryke patrzy ponad moim ramieniem.

- Zrozumiałeś, kurwa? – pyta mojego męża.

Nim zdąży cokolwiek odpowiedzieć, Lily wyrzuca ręce w powietrze.

- Nie jesteśmy urażeni. Naprawdę się cieszę, że podjęliśmy jedną decyzję. Pozostały jeszcze dwie.

Daisy sapie drwiąco.

- Czy Coconut także znajduje się w menu? Przydaliby jej się rodzice chrzestni. Mogę z dumą powiedzieć, że nie sika do łóżka. – Obejmuje usta dłońmi i szepcze: - Ale chrapie.

Ryke targa szorstko włosy Daisy i mruczy jej do ucha i prawie udaje mi się rozróżnić te słowa, jako „*kocham cię, słońce*”.

Loren rzuca spojrzenie Lily.

- Chrzestni psa?

Lily przytakuje.

- Nie możemy jej porzucić.

Skręca mnie w żołądku. *Nie myśl o Sadie.*

Ryke i Daisy po cichu dyskutują na temat swojej decyzji, co zabiera im zaledwie kilka sekund, a potem wbijają spojrzenia w Lorena i Lily. Daisy oznajmia:

- Chcemy, żebyście się nią zaopiekowali, skoro wy lubicie psy bardziej niż Connor i Rose.

To prawda.

A mimo to jeszcze bardziej czuję się, jakbym została pominięta. Powinnam była wiedzieć od początku, że tak będzie. Mogę być bardziej odpowiedzialna od moich sióstr, ale ludzie

pragną, żeby ich dzieci znajdowały się z kimś, kto będzie je przytulał tak czule, tak ciepło, że na ich buźkach pojawią się uśmiechy.

To ja będę punktualnie odbierać dzieci ze szkoły, to ja będę pisać karteczki o północy, z których będą mogły uczyć się do sprawdzianów, to ja będę zawsze pamiętać o zapakowaniu im drugiego śniadania i utuleniu ich do snu. Może będę je nękać o szorowanie zębów. Może nawet będę im ciągle przypominać o ściąganiu brudnych butów przed wejściem do domu. Ale kibicowałam im. Walczyłabym o nie.

Mam nadzieję, że to ma znaczenie.

- Spotkanie odroczone – ogłaszam nagle, nie chcąc słuchać jak wybierają *Raisy*. Tak, to hipokryzja, skoro my nie planowaliśmy wybierać Lily i Lo. Ale nie umiem zmienić moich odczuć.

Zamierzam otworzyć piekarnik, kiedy Loren rzuca gniewnie:

- My też mamy dziecko. Czy może Jane jest tutaj wyjątkową śnieżynką?

Wciążam powietrze, czując ucisk na piersi. – No to wybierz swojego brata i skończmy to już.

Parska ironicznym, gorzkim śmiechem.

- Oczywiście musisz mi to utrudniać. – Potrząsa głową. – Jeżeli skończy się na tym, że będziesz wychowywać Moffy'ego to mam nadzieję, że nauczy się bycia twardym od ciebie.

Ściągam brwi. *Co?* Patrzę na Lily, szukając potwierdzenia. Ma głupkowaty uśmiech na twarzy, kiwając szybko głową.

- Czy ty i Connor zostaniecie rodzicami chrzestnymi Maximoffa?

Coś mokrego spływa po moim policzku. *Nie, nie, nie*. Obracam się prędko, ścierając łzy spod zdradzieckich oczu. Gdy podnoszę wzrok, orientuję się, że obróciłam się *do* Connora.

On unosi na mnie brew. Patrzę wściekle na jego szeroki uśmiech i bardzo chcę powiedzieć bezgłośnie „*zamknij się*”, ale nie mogę się do niego odezwać. Mam nadzieję, że moje oczy przekazują tą wiadomość. Lepiej, żeby to nie było uważane za oszukiwanie.

Loren śmieje się za mną.

- Czy ty właśnie się popłakałaś, Rose?

- Nie, *Lorienie* – odpieram, odwracając się z powrotem. – Coś mi wpadło do oka.

- Jasne – mówi z uśmiechem w głosie. – Coś ci wpadło. – Przekrzywia głowę. – Wiesz, że jesteś zaręczoną mamą, prawda?

On chyba próbuje doprowadzić mnie do płaczu.

- Jestem pewien, że dla mojego syna też wyrwałabyś sobie włosy.

*Znowu* muszę wytrzeć oczy.

- Tak – szepczę cichutko. *Zrobiłabym to za każdym razem.*

- Wiem, że pokochalibyście Moffy’ego tak mocno, jak kochacie Jane – dodaje Lily. Ociera policzki, po których ściekają jej łzy i pociąga nosem. – A my spoczywalibyśmy w spokoju ze świadomością, że on jest z wami.

Muszę wytrzeć oczy kawałkiem papieru. W końcu mówię to, co pragnęłam od dłuższej chwili.

- Dziękuję.

Przeżywam moje życie zdecydowanie, ale macierzyństwo zawsze było dla mnie „postępowe”. Po urodzeniu Jane poczułam większą pewność siebie, ale wciąż mam w sercu obawy. Moja dojrzałość pozostaje pusta w oczach innych. Poza ludźmi znajdującymi się w tej kuchni. Oni mnie widzą. I zdają sobie sprawę, że tylko tyle potrzebuję.

Minutnik piekarnika zaczyna pipceć i oglądam się przez ramię na Connora. Po raz kolejny patrzymy sobie w oczy.

Milczenie to okrutna kara pomiędzy ludźmi, których się kocha.

*Nigdy więcej*, myślę.

Nie wyobrażam sobie jak to pójdzie dzisiejszej nocy. Ignorowanie siebie. W łóżku.

Coś mi mówi, że poduszkowa barykada nie powstrzyma mojego ambitnego męża przed dostaniem tego, czego pragnie.

Jednakże nie jestem oszustką i zasady nadal obowiązują.

Rose Cobalt

Myję zęby przed pójściem do łóżka i staram się, *najlepiej* jak potrafię, ignorować dominującą obecność mojego męża. Chyba specjalnie sięga powoli przez blat, żeby chwycić cholerną *pastę do zębów*.

To wszystko jest denerwujące. Jego wzrost. Pewna siebie postawa. Czysta zdolność wyssania całego tlenu poprzez samo wzięcie przedmiotu. Taki rodzaj pewności siebie odurza powietrze i wdycham te trujące opary każdym płytkim oddechem.

Przekładam włosy na prawe ramię, podtrzymując, kiedy wypluwam pastę do umywalki i płuczę usta. Nie patrzę w lustro, unikając jego przywołującego wzroku i szukam mojej szczotki. Nie ulegnę mu tak łatwo.

Przegrał.

A to są tego konsekwencje.

- Rose, leżysz z doskonale uniesionymi w górze pośladkami - mówi głęboko. Staram się pozostać niewzruszona. *Zignoruj go*. – Jedną ręką oplatom twoją szyję. – Wyczuwam jak się do mnie zbliża. Jeden krok. Drugi. – Zsuwam majtki z twojego tyłka, powoli przesuwając je po nogach i kostkach. – Kładzie rękę obok mojej na blacie i zamykam z trzaskiem szufladę. *Zignoruj go, Rose*.

- Właśnie upadłaś na łóżko – ciągnie.

„*Wcale nie*” prawie odparowuję. Dosłownie gryzę się w język.

- Jeszcze nie wsunąłem w ciebie mojej erekcji, ale zamierzam... - Jego głos zdaje się być bliżej niczym ochryply szept w moim uchu. – Zamierzam wypełnić cię do cna, Rose. Wbiję się cały w ciebie, znajdę pomiędzy twoimi nogami... w tym miejscu... - Czekam aż dotknie mnie w *tych miejscach*. Chociaż tego nie robi i jestem pozostawiona z zimnym powietrzem, czuję ścisk w kroczu. *Ja pierdolę*.

*Nie, Rose*. Rezygnuję z poszukiwań szczotki, która zniknęła w najbardziej nieodpowiednim momencie. Potem odwracam się plecami do Connora. Wychodząc z łazienki, *wyłączam światło*, zostawiając go w ciemności, jakby wcale nie istniał.

Czuję za sobą jego sfrustrowanie, jego ciało spina się i napręża na mój brak reakcji.

Connor rzadko się wkurza. Nasze droczenie się ze sobą uwalnia jego tłumioną przemądrzałość oraz narcyzm, który *potrzebuje* uwagi i napędzenia, a bez mojej odpowiedzi jego irytacja tylko wzrasta.

Obawiam się, że moja pochwa nie rozumie dzisiejszej misji.

*Zignoruj męża.*

Delikatnie ustawiam każdą ozdobną poduszkę pośrodku łóżka. Już przebrana w czarną, zmysłową halkę, która ma rozcięcie na udzie, jestem przygotowana na sek... *sen*.

Boże. Nie mogę dzisiaj uprawiać seksu. *Wracaj do gry, Rose*.

Chyba zaplątałam się w jej sidła.

Wsuwam się pod puszystą kołdrę w tym samym czasie, co Connor opuszcza łazienkę, ubrany jedynie w czarne spodnie od garnituru. Staram się nie patrzeć długo na jego ciało ani ułożone, falowane brązowe włosy.

Kątem oka dostrzegam, że przygląda się zirytowany poduszkom na naszym łóżku po czym odpina pasek spodni, jego ruchy są szorstkie, kontrolowane i ekstremalnie słyszalne. Stukot metalowej klamry. Szmer skóry wysuwanej ze szlufek spodni.

Przykładam policzek do poduszki i sięgam do mojej szafki, wyłączając lampkę. Wsuwam rękę pod kołdrę, rozkładając ją na udzie. Pragnę przesunąć ją trochę wyżej, trochę bliżej majtek, żeby się pobudzić...

Słucham go nazbyt uważnie, słyszę jak występuje ze spodni. Tym samym wyobrażam sobie Connora w samych bokserkach, widoczne wybrzuszenie, może nawet jest już pod nimi twardy.

Przeciągam palcami po nagim udzie, zanurzając się pod jedwab halki. Chcę dotknąć lechtaczki, ale boję się, że mnie usłyszy. Nawet jako mężatka wciąż się masturbuję, ale nie tak często i *nigdy* przy Connorze. Nigdy nie widział, żebym to robiła. Moją skórę oblewa gorąco im dłużej drażnię się z samą sobą, trzymam rękę tak blisko majtek...

Łóżko ugina się pod jego ciężarem i słyszę jak każda poduszka uderza o podłogę. Normalnie ułożyłabym je *delikatnie* na szezlongu przed naszym łóżkiem z baldachimem. Nie mogę nawet go wykłąć za maltretowanie moich poduszek.

Mogłabym wyjść z łóżka i położyć je na miejscu, ale moje ściśnięte uda i wewnętrzne pulsowanie mają nieczyste, cielesne żądze.

Jestem dosłownie zbyt napalona, żeby się ruszyć.

Skupiam wzrok na ścianie, odwrócona do niego plecami i czekam aż wyłączy swoją lampkę. Musiała minąć wieczność i szczerze zaczynam się zastanawiać czy czyta książkę, żeby tylko mnie zirytować. Jest druga w nocy – oboje potrzebujemy snu. *Albo seksu*.

To też – ale dziś wieczorem mogę tylko ugasić swoje pragnienie.

*Zignoruj męża.*

Mając to w myślach, powoli się odwracam i orientuję, że faktycznie siedzi przy wezglowiu z książką w ręku. Ale nie po to, aby mnie zirytować. Marszczy brwi z frustracją,



kiedy przewraca stronę, skupiając się na treści. Czytanie to jego próba pobudzenia swojego mózgu w sposób, w który ja tego nie robię.

Ale to nie działa. Zatrzaszkuje szorstko książkę i podchwytuje moje spojrzenie, unosząc kącki ust. – *Venez a moi. – Chodź do mnie.*

O nie. *Nie ma mowy.* A przynajmniej nie tak jak on tego chce. Zamierzam zgasić mu światło. Zrywam kontakt wzrokowy i przysuwam się bliżej, wyciągając ponad jego kolanami, by dotrzeć do jego szafki nocnej. Nabieram powietrze, kiedy łapie mnie za pośladki, szybko wsuwając palce pomiędzy moje uda i przesuwał nimi po majtkach.

Prędko wyłączam jego lampkę, otaczając nas półmrokiem i zaczynam wracać na moją stronę łóżka.

Gdy go mijam, chwyta moją twarz i całuje mnie mocno, kradnąc mi powietrze. Jestem obolała i podniecona po czym nagle trzeźwieję, odsuwając się od niego i przykładając rękę do jego ust.

- Istnieją pewne zasady – dyszę, próbując złapać oddech. – Nie zadzieraj z nimi.

Moje oczy już przyzwyczyły się do ciemności. Na jego twarzy migocze niezadowolenie. Dałam mu rozkaz. W łóżku nigdy nie dzierżę tej roli. Nie podoba mi się, a chociaż nie jest to idealne dla żadnego z nas – nie możemy pomniejszać stawek naszej gry. On dobrze o tym wie.

Po prostu nie jest przyzwyczajony do przegrywania.

Odrywam rękę od jego warg, zabieram krnąbrne palce ze swoich majtek i wracam na moją stronę. Ubijam sobie poduszkę, czekając aż się odezwie.

- Wiesz w ogóle jaka jesteś teraz mokra? – pyta.

Zamieram.

- Masz przemoczone majtki, Rose.

Nie wątpię. Mam nadzieję, że dostrzeżę moje płomiennie spojrzenie, nawet jeśli nie jest skierowane w jego stronę. Kładę się na plecach, okrywając się całą kołdrą. Jestem sztywną deską, niczym mumia. Jeżeli będę wystarczająco bezwstydna, to mogę być także zaspokojoną kobietą.

Zamykam oczy, żeby nie widzieć Connora kątem oka, ale jego dominująca aura wciąż mi ciąży. Wyczuwam, że siedzi w takiej samej pozycji: oparty o wezglowie z nogą zgiętą w kolanie. Jego umysł nie przestaje pracować i szuka rozwiązania, żeby osiągnąć swoje pragnienia.

- Nigdy ci nie powiedziałem, co poczułem, kiedy pierwszy raz w ciebie wszedłem.

Moja klatka piersiowa opada w głębokim wdechu. Próbuje mnie pobudzić na tyle, abym mu uległa i pozwoliła zdominować każdy centymetr mojego ciała.

Nie jestem taka łatwa do złamania.

Częściowo dlatego ze mną jest. Uwielbia wyzwanie i sądzi, że nie będę się masturbować leżąc obok niego. Ale jestem równie uparta, co on dominujący.

- Gdy się w ciebie wsunąłem, Rose, byłaś taka ciasna, że mój penis napuchł z nacisku.

Za pierwszym razem, kiedy uprawiałam seks. Nigdy nie zapytałam czy byłam taka ciasna, ale usłyszenie, że to jakoś na niego wpłynęło powiększa pulsowanie mojego ciała. Zaczyna poboлеwać, prosząc o twarde, szybkie wejście. Lewą ręką ugniatam sobie pierś, a drugą zsuwam do majtek.

Waham się tylko, gdy na moment wpadam do umysłu, zastanawiając się czy mnie obserwuje, czy może koncentruje się na innych rzeczach. *Na przykład na jakich, Rose – na suficie, podłodze?*

Kiedy znowu się odzywa, to prowokuje mnie do kontynuowania ścieżki ku mojej lechtaczce, bo wydaje mi się, że bardziej skupia się na swoich słowach.

- Byłaś przyzwyczajona do zabawek, ale nie do ciepła czy długości mojej erekcji, która doskonale się w ciebie wpasowała, gładko wsuwała i wysuwała... Wsuwała i wysuwała.

Przełykam ślinę, pocierając palcami wrażliwy pączek. Zwijam palce u stóp w oczekiwaniu, a wilgoć tworzy łatwiejsze tarcie.

Pragnę go. *Wsuwającego się i wysuwającego... wsuwającego i wysuwającego.*

Poruszam raz biodrami po czym zamieram. Cisza sprawia, że nieruchomieję. Jeśli nic nie mówi, to obserwuje. Czy to coś złego?

To coś częściowo niepokojącego, częściowo podniecającego i częściowo nie-wiem-kurwa-co.

Muszę zobaczyć, co robi. Nie mogę sobie pozwolić na wyciąganie irracjonalnych wniosków, dlatego powoli obracam głowę. Siedzi w takiej samej pozycji przy wezglowiu, opierając ramię na zgiętym kolanie i *tak*, wpatruje się we mnie.

Odruchowo piorunuję go wzrokiem, ogień powraca do moich diabelskich oczu. „*Odwróć wzrok, Richard*” mówię przez nie.

- Nie. – Jego pojedyncze słowo zawiera więcej wagi niż kogokolwiek innego.

Mam trzy opcje.

1] Zasnąć w pobudzonym stanie.

2] Masturbować się dalej pod okiem Connora.

3] *Zbyt* łatwo ulec pragnieniom mojego męża i pozwolić, żeby mnie przeleciał.

Druga opcja jest najlepsza, choć trudna. Patrzę na żyrandol nad naszym łóżkiem i przyspieszam tempo palców. *Tak cholernie bardzo chcę dojść*. Próbuję leżeć nieruchomo, ale trzęsą mi się nogi od obezwładniających sensacji, a skórę pokrywa pot.

*Wsuwając i wysuwając...* wyobrażam sobie Connora poruszającego się między moimi nogami, rozkładającego je szerzej...

Kołdra zostaje odrzucona z mojego ciała, odkrywając źródło mojej rozkoszy, rękę ukrytą pod majtkami, halkę podwiniętą do piersi oraz sutki odsłonięte przez obsunięte ramię. Jestem tak bliska szczytu.

- Richard. – Na wpół dyszę w żądzę do niego, żeby znalazł się we mnie i na wpół ostrzegam, żeby trzymał się ode mnie z daleka. Znajduję się po dwóch biegunowych krańcach *tak i nie*. To zbyt skomplikowane dla zwyczajnego mężczyzny.

Dzięki Bogu, że mam Connora, inteligentnego mężczyznę, który potrafi zająć się moimi dwubiegunowymi pragnieniami.

Nakrywa ręką moje krocze tam, gdzie tkwi moja dłoń i wwiercam w niego wzrok. Działa szybko. Wsuwa się za mnie, rozkładając nogi po obu stronach mojego ciała, a następnie *przyciąga* mnie do siebie, przykładając moje plecy do swojego torsu.

Jego pewne ruchy, każdy z osobna, pozbawiają mnie tchu. Ściskam kolana, nie zamierzając z nim współpracować.

Łapie mnie za nogę i znowu ją rozwiera, rozciągając tak, abym zetknęła się z jego nogą, która zdaje się o wiele za daleko. Jestem wpasowana w niego, każda kończyna dotyka jego kończyny. Wyczuwam na plecach kształt jego twardego penisa. Dygoczę.

- Oszukujesz. – Mój ochrypły głos drapie mnie w gardle.

Muska ustami moje ucho. – Ignoruj mnie, kochanie. – Te słowa brzmią na pełne seksu. Przygryza mi ucho, podgryza szyję, ściska palcami sutek...

- Graj... według... zasad... Richard – dyszę.

- Przestań się do mnie odzywać i będę. – Zsuwa moje majtki po czym nakierowuje moje dłonie na swoje uda, narzucając mi ruchy.

Waham się, ponieważ mój mózg nie działa teraz prawidłowo, żeby go zrozumieć.

On to zauważa i nakrywa dłonią moją twarz, dotykając wargami mojego policzka, szczęki i ucha.

- Widzę alternatywną drogę. – Słucham. – Widzę nas stosujących się do zasad. – Tak. – I mnie pieprzącego się z tobą tak jak tego *oboje* chcemy. Więc ignoruj mnie. Milcz. Siedź nieruchomo. Nic nie rób.

*Nic nie rób.*

Odnalazł lukę poprzez przeanalizowanie każdego słowa odnoszącego się do naszych zasad. Ignoruję go przez całą dobę, przeżywam *ciche* dni. To nie znaczy, że on musi mnie ignorować i jeśli nie możemy pobudzać się mentalnie, to przynajmniej fizycznie.

On dostanie tego, czego pragnie.

I zdaję sobie sprawę, że ja również.

Oboje zwyciężamy.

Gdy o tym myślę, on podnosi mnie w biodrach. Trzymając jedną ręką swój wzwód obniża mnie na swojego penisa i odczuwalna przeze mnie pełność oślepia mój umysł. *Zaraz dojdę*. Jego niski oddech ogrzewa moje ucho.

- Nie ruszaj się, kochanie.

A potem porusza biodrami do góry – *och, Connor*. Głęboki rytm nie ustaje, tarcie zawija się w ogromną piłkę... i zapalam się.

Spomiędzy moich warg wydobywa się krzyk oraz jęk, które powodują, że przyspiesza energiczne tempo. Moje ciało napręża się i zaciskam się wokół niego, rozrywając się od środka. Nie widzę za sobą Connora, ale czuję pot jego skóry, poruszenie mięśni, silną dłoń podtrzymującą moją twarz, kiedy głowa zaczyna mi opadać.

Szepcze ochryple po francusku, seks spływa z każdej sylaby, ale mój mózg jest zbyt usmażony, żeby przetłumaczyć słowa. Opuszczam wzrok na jego penisa, który zanurza się we mnie szybko. *Wsuwając i wysuwając*. Moje komórki nerwowe znowu się elektryzują gotowe na kolejne gorące, otumaniające doświadczenie z Connorem przy sterze.

Nic nie robię.

Minuty lecą i jego palce ocierają się o moją łechtaczkę. Sapię głośno, spinam się i rozchyłam wargi, wykrztuszając dźwięk rozkoszy.

Daje mi klapsa w bok pośladków.

Wyginam plecy w łuk i kiedy wbija się we mnie mocno, on także dosięga szczytu, a jego niski pomruk wzbudza w wibracje całe moje ciało.

Właśnie we mnie doszedł... i część mnie chce wziąć prysznic i może nawet zmienić pościel, to nerwiczny odruch. Ale jestem zbyt zmęczona fizycznie, aby zrealizować ten plan.

Gdy oboje próbujemy złapać oddech, ostrożnie podnosi mnie z siebie i układa na boku. Moje powieki opadają i nie potrafię zmusić się do otwarcia oczu. Teraz jego ciało znajduje się o wiele bliżej mojego i czule nakrywa ramieniem moją talię. Przyciska usta do mojego karku – to ostatnie, co czuję przed zaśnięciem.

\*\*\*

Budzę się do uczucia wypełnienia, do wbijającego się we mnie Connora. Jęczę cicho w pościel, wciąż leżąc na boku. Moje ciało porusza się z każdym jego ruchem, kiedy jego penis zachodzi głębiej i trzyma rękę na zarzysie mojego biodra.

Uwielbiam te improwizowane chwile zrodzone z jego podniecenia. Moje kolana są lekko ugięte, co pewnie musiało dać mu do mnie dostęp, nawet kiedy leżę na boku ze ściśniętymi udami.

Patrzę przelotnie na zegarek. 9:59.

Dał mi dłużej pospać i chcę zapytać o Jane - czy zajął się nią wcześniej, chociaż jestem pewna, że to zrobił. Ale jego kara trwa jeszcze minutę...

Niespodziewanie obejmuje ręką moją brodę, szczękę i usta, odchylając mi szyję do tyłu, żebym na niego spojrziała. Jest splątany w moje mokre włosy, a intensywność jego błękitnych oczu wwierca się we mnie równie mocno, co jego erekcja. Zsuwa rękę z mojego biodra na tyłek, ściskając skórę.

Jęczę w jego rękę, a ten odgłos łaskocze mnie w usta.

- Pierwsze słowo, które przychodzi ci do głowy – sprawdza mnie, pewnie równo o dziesiątej, ani minutę później. Zabiera rękę z moich ust, jego ciało i umysł stykają się ze mną jednocześnie. – Rose.

- Miłość – odpieram na jednym wydechu.

Całuje mnie do góry nogami, nie przestając się poruszać i pierwsza przerywam pocałunek, gdy moje ciało osiąga najwyższy punkt. Zaciskam pięści na kołdrze i praktycznie krzyczę w materac, odczuwając o wiele bardziej wzmocniony orgazm. Czuję, że on też doszedł, spowalniając swoje ruchy

Gdy się ze mnie wysuwa, obraca mnie na plecy. Jest w na wpół siedzącej pozycji, trzymając rękę obok mojego ramienia i patrząc na mnie z góry.

- Dzień dobry, kochanie.

Miałam tak mnóstwo myśli, którymi chciałam się z nim podzielić przez ostatnią dobę, lecz wszystkie zdradziecko mnie opuściły, pozostawiając z terazniejszą chwilą. Pulsuję, jakby wciąż się we mnie znajdował.

Potrzebuję prysznic, po wnętrzu moich ud ścieka wilgoć.

- Tak jakbyś próbował mnie zapłodnić. – Przeszywam go żółtozielonymi tęczęwkami. Jego sperma już raz pokonała moją antykoncepcję. Częściowo pragnę, aby powiedział: „*Bo próbuję*”.

Obrzuca wzrokiem moją twarz. –

- Podoba mi się zabawa z nauką...

- Losem – poprawiam. Lubi bawić się w rosyjską ruletkę z moimi jajnikami.

- Gdy moja sperma zapracowuje się, żeby dotrzeć do twojego jajeczka, to się nazywa *rozmnażaniem*. Nauką.

- Teraźniejsze prawdopodobieństwo, że twoja sperma dotrze do mojego jajeczka to ryzyko powodzenia. *Los*.

- Prawdopodobieństwa też są naukowe.

Ugh. Warczę zirytowana, zamierzając go odepchnąć, ale chwyta mnie za nadgarstek. Na chwilę zapanowuje pomiędzy nami powaga. Muszę zapytać.

- Czy widzisz alternatywną ścieżkę, żebyśmy mieli więcej dzieci?

Jego ciało nieruchomieje, wyraz twarzy spowija w twardym postanowieniu, którego nie chcę rozumieć. I odpowiada:

- Nie.

To jedno słowo boli. Uświadamiam sobie *jak bardzo* chcę mieć więcej dzieci. Jak bardzo oboje ich chcemy.

- Ça ne peut pas être comment ça se termine. – *To nie może się tak skończyć*. To wydaje się jak zakończenie naszej przyszłości. Widzę jedynie ogromne wrota, które próbują się zamknąć na nasze marzenia. Które razem zbudowaliśmy. Wychowywanie ósemki dzieci *razem*.

- C'est vrai. – *Ale tak się kończy*.

Cztery, jeszcze bardziej miażdżące słowa.

- W takim razie może następnym razem powinienes założyć prezerwatywę.

Przeciąga kciukiem po mojej dolnej wardze, ale dostrzegam jego napinającą się szczękę. Nie jest zadowolony tym werdyktem. Spodziewam się, że powie „*jeszcze nie*”. Przewiduję, że nie jest gotów zaakceptować tego wyniku.

Całuje mnie w usta.

I mówi:

- Tak zrobię.

Tłumaczenie: *Nie będziemy mieć więcej dzieci*.

*Connor Cobalt*

- Źle cię osądziłem podczas *Księżniczek Filadelfii* – mówi Scott Van Wright. – Naprawdę jesteś fajny, Connor.

Kieruję się do drzwi, kiwając parę razy głową.

- Nawzajem, stary. – Blokuje głos Rose w myślach, niezdolny do słuchania jej prawdy i radzenia sobie z tym, co się właśnie wydarzyło w domu Scotta.

To była cena, którą miałem zapłacić, żeby osiągnąć większą korzyść. Towar sprzedawany po promocyjnej cenie. W faktach nie ma miejsca na emocje.

Obracam się i ściskam mu rękę, klepię go po plecach i żegnam się.

- Jutro powinniśmy zjeść razem obiad – dodaje Scott, gdy schodzę z jego ganku.

Macham mu nonszalancko w geście „*no pewnie*”, a wtedy się uśmiecha, całkowicie akceptując naszą przyjaźń – bez śladu wątpliwości czy wahania – a *dokładnie* tego chciałem. Zamyka drzwi i kieruję się jego podjazdem, mój dom znajduje się na ukos po drugiej stronie ulicy.

W drodze do domu dzwonię do Fredericka.

Odbiera po drugim dzwonku.

- Nie będę z tobą rozmawiać o Daisy. – Nigdy nie chce dzielić się ze mną informacjami o jej postępie, ale nie po to dzwonię.

- Przypomnij mi, Rick, dlaczego ludzie decydują się czuć? – „*Ponieważ, Richardzie, to...*” wyciszam przekonania Rose. Już nie są pomocne. Zdołałem przejść dzisiejszy test Scotta *tylko* dlatego, że odciąłem się od jej głosu. W moim umyśle ona powstrzymuje mnie przed osiągnięciem celu. Utrudnia to bardziej niż trzeba.

- Wiesz dlaczego – odpowiada.

- Emocje mnie duszą. Są kaftanem bezpieczeństwa, którego nadrzędni ludzie *wiedzą*, żeby nie ubierać.

Słyszę po jego stronie szelest kartek, jakby odsuwał je na bok, żeby się skoncentrować.

- Co się stało, Connor?

- Nie masz na to odpowiedzi, prawda? – uświadamiam sobie. – Bo wiesz, że mam rację.

- Emocje czynią z ciebie człowieka.

- Zatem jestem czymś więcej niż człowiekiem. – W ten sposób jestem niezniszczalny.

- Nie – mówi. – Kiedy nie czujesz, jesteś czymś *mniej* niż człowiekiem.

Przełykam obrzydzenie.

- Nie. Osiągam więcej od ludzi.

- Kochasz mniej.

- W miłości jest *ból* – mówię nagle, czując narastające i puchnące zranienie w klatce piersiowej. Chowam to wszystko, nic nie czując. „*Richard...*” nie, Rose. Nie chcę jej słyszeć. Nie chcę czuć tego, czego ona ode mnie chce. – Nie chcę mieć z tym do czynienia.

- Więksi ludzie doświadczaliby bólu tylko po to, by kochać.

Docieram do mojej skrzynki pocztowej i zaciskam rękę na komórce.

- Próbujesz mnie podburzyć, Rick?

- Czujesz, Connor. Emocje znajdują się w twoim wnętrzu. Po prostu się boisz.

- Nie. – Lecz nie mam żadnej innej obrony.

Boję się.

Boję się odczuć rozdzierającą mękę i wolałbym wrócić do okresu, kiedy moje wybory były napędzane samolubnymi pościgami, kiedy moje decyzje nigdy nie miały na mnie emocjonalnego efektu. Kiedy mogłem obudzić się następnego poranka i nie czuć słabości. *Nigdy* nie poczułbym usychającej duszy.

- Dzisiaj wygrałem – mówię. – Nie chcę czuć się, jakbym przegrał. – *Nigdy więcej.* Wchodzę na mój ganek i otwieram kluczem drzwi wejściowe.

- Skoncentruj się na tym, co posiadasz...

Wyciszam jego głos, kiedy Rose wbiega boso do foyer, nie ma ani skarpet, ani czystych szpilek, które zwykle nosi w domu. Widząc moje spojrzenie, wyjaśnia:

- Byłam w pokoju Jane i zobaczyłam, że wracasz. Jak ci poszło z diabłem?

Żegnam się krótko z Frederickiem i rozłączam.

- Łatwo – odpowiadam Rose, zamykając za sobą drzwi. Po czym mijam ją w drodze do kuchni.

Nie mam trudności z byciem tym, kogo wymagają ode mnie inni ludzie, żeby być tym opanowanym – spokojem w obliczu oszalałej, niegasnącej burzy. Lubię być potrzebnym, użytecznym. Rose wie o tym, ale wie także – równie dobrze, co ja – że Scott jest inny.

Nigdy w życiu nie gardziłem człowiekiem tak bardzo i bycie czymkolwiek innym niż wrogami jest dalekie od łatwości.



Ona podąża za mną piekielnym tempem.

- Tydzień temu po rozgrywce golfa twierdziłeś, że ciężko ci było nie wyzwąć go od ciula i nie rąbnąć go w łeb kijem.

Otwieram lodówkę.

- Tydzień temu myślałem irracjonalnie. – Lustruję wzrokiem butelki wody i resztki burgerów z Lucky's. Nie wiem czego szukam.

- Richard – burczy Rose.

- Rose – odpowiadam spokojnie, zamykając lodówkę i odwracam się do niej.

Im dłużej mi się przypatruje, tym bardziej drgają jej nozdrza, a na wierzch wychodzą wściekle, duszące uczucia. To piękny widok... którym osobiście nie chcę się dzielić.

- Co się wydarzyło w jego domu? – pyta.

To tylko słowa.

Powiniennem móc je wypowiedzieć bez zająknięcia. Właśnie w taki sposób jestem lepszy.

- Wiedziałem, że zechce się przekonać czy zaprzeczę samemu sobie, że zechce mnie przetestować. – Robię krok bliżej Rose, górując nad nią. Unosi podbródek, żeby sprawiać wrażenie wyższej, chociaż wcale nie jest. – I wybrał coś, co powiedziałem w Saturn Bridges. – W barze, z którego odebrała mnie Rose. – Tamtej nocy powiedziałem mu, że miałem gdzieś seks taśmy, ale ty nie.

Nigdy w życiu nie krytykowałem Rose - nie, żeby wspiąć się po drabinie społecznej, nie, żeby fałszywie utorować sobie drogę przez świat korporacji i tamtej nocy w Saturn Bridges po raz pierwszy ją poniżyłem. Dzisiejsze słowa były gorsze. Są niewybaczalne, tak ohydne, że mam problem z cofnięciem się o godzinę do domu Scotta i przypomnieniem ich sobie.

Jeśli skupię się tylko na moich celach, na tym, co osiągnąłem i nie będę patrzył jej w oczy – wtedy mogę uwolnić się od tych paraliżujących uczuć.

Trudno uniknąć Rose, która gotuje się przede mną ze złości.

Patrzę na nią i jej żarliwy wzrok wypala we mnie dziury. *Nic jej nie jest. Nie zraniłem jej.*

Opiera dłonie na biodrach.

- Niełatwo ci było powiedzieć mu to kłamstwo.

- Skąd wiesz?

- Widziałam twoją minę w aucie tamtej nocy i wyglądałeś na zrozpaczonego.

*Zrozpaczonego?*

- Nie – mówię beznamiętnie.

- *Tak* – warczy. – Dostrzegłam w kącikach twoich oczu.

Unoszę brwi.

- W kącikach moich oczu? – Pocieram usta, zastanawiając się czy chce mi się śmiać, czy krzyżeć. Może po prostu jestem odrętwiały na wszystko. – A co teraz znajduje się w kącikach moich oczu? – Noszę najbardziej pusty wyraz twarzy, jaki posiadam.

- Brzydota – ripostuje.

- Jesteś jedyną osobą na tej Ziemi, która kiedykolwiek nazwała mnie brzydkim – dumam.  
– Wiesz o tym, Rose?

- Zatem nabrałeś wszystkich oprócz mnie. – Idzie do stołu śniadaniowego, głośno tupiąc. Nie rozumiem, co zamierza zrobić, ale przeciąga drewniane krzesło na drugą stronę wyspy kuchennej, gdzie ja stoję.

- Rysujesz deski – wytykam.

- Mam gdzieś podłogę – odpiera, stawiając krzesło naprzeciwko mnie. A potem staje na nim, zyskując nade mną dwa cale wysokości. To komiczne, jeśli nie całkowicie absurdałne.

- Lepiej ci? – pytam.

- Przestań chrzanić – mówi. – Znam cię i możesz być arogancki, kompletnie zarozumiały i niezawstydzony do milionowego stopnia, ale *nie* jesteś zimny. Nie jesteś nieczuły, więc przestań takiego udawać.

- Nie mogę być tobą – przypominam. – Nie mogę tupać nóżką, *wrzeszczeć* i krzyżeć. To do niczego mnie nie doprowadzi.

- Nie każe ci tego robić. – Jej żółtozielone oczy popychają mnie do uwięzionych części mojej duszy i próbuje zwalić się na mnie czterdziestotonowy ciężar. Dlaczego ktokolwiek chciałby czuć coś takiego? Przez wiele lat patrzyłem z boku jak ból Lo wpływał na Lily, a ból Lily na Lo. Nigdy nie sądziłem, że dotrę do własnego punktu cierpienia biorącego się z miłości.

Nigdy nie sądziłem, że to będzie dla mnie zbyt przytłaczające.

Patrzę na Rose.

- Więc czego chcesz?

- Prawdy – odpowiada. – Nie tylko faktów.

- Nie zniesiesz prawdy, Rose.

Niemal wygląda na zranioną. *Nic jej nie jest*. Po czym jej oczy znowu iskrzą się wzburzonym gniewem. Wbija idealnego paznokcia w moją klatkę piersiową.

- *Ty nie możesz jej znieść, Richard. Gdybyś potrafił, powiedziałbyś mi o wszystkim, co się wydarzyło.*

Nie chcę się z nią konfrontować ani wyznawać prawdy. Zobaczę jej ból. Poczuję jak zakłębi się we mnie i nie chcę... nie *mogę* znieść tego ciężaru. Jestem silniejszy w pojedynkę.

- Daj mi żyć z tą wiedzą. Ty jej nie potrzebujesz.

Ściska moją koszulę w pięściach.

- Nie pozwolę, żebyś okłamywał samego siebie. Złożyłam ci tę obietnicę i dotrzymuję jej. – Wpatruje się we mnie z góry, prawie przyciskając do mnie czoło. Mój oddech dopasowuje się do rytmu jej ciężkich, zirytowanych wdechów.

- Wszyscy prócz ciebie kochają tę wersję mnie, więc może to ty się mylisz.

- Wszyscy kochają paskudne, tchórzliwie *falszywe* wersje ciebie. – W jej oczach wzbiera się pasja. – Kochają *gorszego* ciebie, ponieważ nie znają prawdziwego.

Moja ręka drży.

- Rose – mruczę, czując palenie w piersi im dłużej na nią patrzę. Ona podsyca ogień w mojej duszy, ten żar powoli gaśnie, a ona gorączkowo próbuje mnie rozbudzić.

Otwieram usta, żeby wyznać prawdę – co się stało... słowa kleją się do mojego gardła.

Kładę rękę na jej dłoniach zaciskających się na mojej koszuli, jakby była bliska przeciągnięcia mnie siłą do jej płaszczyzny istnienia – gdzie świat jest wymalowany jaskrawymi odcieniami smutku, wściekłości i rozpacz. To ja żyję w wygaszonych tonach beznamiętności oraz pustki, potrzebuję, aby inni ludzie namalowali dla mnie krajobrazy.

Po jej policzkach spływają łzy, ale zapał w jej oczach nie gaśnie ani przez chwilę.

- Zaczekam, aż nabierzesz dość siły, żeby mi powiedzieć.

*Sila*. Skonfrontowanie się z emocjami wymaga większej kontroli niż pozbycie się ich.

Jedną ręką obejmuję jej smukłą szczękę, ocierając kciukiem łzy, a drugą łapię ją za biodro, przysuwając się bliżej do jej ciała, aż stajemy się stykającymi się ze sobą dwiema pionowymi liniami. Ona przewyższa mnie o parę centymetrów.

Placze bezgłośnie.

Daleko jej do bycia obojętną. A jednak jest lepsza ode mnie.

Prosiłem, żeby taka była, żeby postawiła mnie z powrotem do pionu, kiedy wszystko się na mnie zawali.

- Fakty – szepczę.
- Prawda – odpiera, uparta i nieugięta.

Ściska mnie w gardle. Co to za idiom – prawda cię wyzwoli? Napawający optymizmem zwrot, który niedostatecznie opisuje udrękę szerzenia prawdy.

- Zaczekam – przypomina.

Potrząsam raz głową.

*Sila.*

Przytulam ją ciaśniej i zmieniam trasę myśli, cofając się w czasie. Na drugą stronę ulicy. Do domu Scotta.

- Chciał zobaczyć czy naprawdę obchodziły mnie seks taśmy... skoro temu zaprzeczyłem. – Zamiast unikać jej wzroku, patrzę jej prosto w oczy, robiąc to tak jak trzeba. – Posadził mnie na swojej kanapie, trzymając w ręku pilota i wtedy domyśliłem się, co zamierza mi pokazać.

Patrzę jak jej twarz zaczyna się wykrzywiać, kiedy próbuje pojąć tę sytuację.

- Musiałem wyrzucić cię ze swojej głowy... nie potrafiłem zrobić tego, czego ode mnie chciał i mieć cię ciągle przy sobie.

Nabiera gwałtownie powietrza.

- Zmusił cię... czy ty...?

- Poprosił, żebym obejrzał jedną z naszych seks taśm... z nim – urywam. – I obejrzałem.

Czekam aż wypuści moją koszulę i mnie spoliczkuje, ale trzyma mnie jeszcze mocniej, jakby mówiąc „*nie zostawię cię*”. Przez jej rysy przewija się rollercoaster ponurych emocji. Obezwładniające, obce uczucie rozszarpuje moje narządy, taran przebija się przez istotne, niezbędne części mojego ciała.

*Skrzywdziłem ją.*

Otwieram usta, żeby wyjaśnić więcej... że to był film, który nie został jeszcze wydany. Na którym przywiązałem nadgarstki Rose do naszego łóżka i całowałem ją – kochałem się z nią i musiałem tam siedzieć obok Scotta Van Wrighta, znenawidzonego przeze mnie człowieka i drwić z kobiety, którą *wielbię*.

Musiałem być ordynarny i bezduszny – musiałem mówić rzeczy, które wzbudziłyby jej obrzydzenie, które sprawiłyby, że krzyczałyby do utraty głosu, które kazałyby jej czuć do mnie odrazę... które sprawiają, że *ja* czuję odrazę do *siebie*.

Akt oglądania filmu ze Scottem niesie własne profanacje, ale moje słowa nigdy nie przestaną mnie dręczyć.

- Obrzydziłbym cię – mówię. – To co mówiłem...

- Nie... *on* mnie obrzydza. – Potrząsa moją koszulą, kiedy poczucie winy obciąża moje barki. Przemieszczam się przez palący cykl cierpienia, które jest niemal nieznośne.

Po moich policzkach spływa wilgoć, a ona obejmuje moją twarz, która wciąż się załamuje. Jestem sparaliżowany własnymi czynami, nieważne jak wiele osiągnąłem, nieważne jak wielkie osiągnięcia sobie zachowałem – miłość do Rose przewyższa te zwycięstwa.

- Wybaczam ci – mówi cicho, walcząc ze łzami. Jej przebaczenie powinno mnie odciążyć, lecz czuję się tak samo. Czuję odrazę i wstyd.

- Nienawidzę się za to, co tam zrobiłem – szepczę. Chcę odseparować mężczyznę, który obrażał własną żonę od tego, który padłby przed nią na kolana. Gdybym tylko mógł ich rozdzielić, wtedy byłbym wolny.

Ale jestem jedną osobą z jedną duszą i brodzę w każdym złośliwie wypowiedzianym słowie oraz bezdusznym śmiechu. Brodzę w moim zanieczyszczonym duchu i nigdy nie czułem się tak *podle*.

Jej łzy mieszają się z moimi.

- Musisz sobie przebaczyć, Connor.

*Przebaczyć sobie*. Jak mam sobie wybaczyć, że zadałem ból komuś, kto jest czymś więcej niż przedłużeniem mojej osoby? Komuś, kogo latami wyszukiwałem podczas naszego okresu dojrzewania, tylko na parę minut, tylko na godzinę – na choćby trochę więcej czasu. Ona może mi wybaczyć, ale nie usłyszała tego, co mówiłem.

Nigdy tego nie powtórzę.

Nigdy o tym nie pomyślę.

To za wiele – nawet dla mnie.

Łapię ją za tył głowy, wplatając palce w gęste włosy.

- Nie jestem pewien czy kiedykolwiek zdołam to zrobić, Rose. – To ciężar, który niemal powala mnie do tyłu, zaciskając żebra na moim sercu.

Trzymając małe ręce na mojej szczęce, mówi:

- Nigdy nie powinieneś nienawidzić lepszej wersji siebie, tej która *kocha*, która *cierpi*, ponieważ mężczyzna, który stoi przede mną jest *nadzwyczajny*.

Jej słowa zalewają mnie, duszą, ściskają i *palą*.

Jej słowa rozpalają mnie w śmiertelnym płomieniu i dławią mnie gorące uczucia, które szarpią mnie i błagają, abym krzyczał. Przytulam ją mocniej, ciaśniej, przyciskając do niej czoło.

Płonę w całości.

Nie chcę być kimś gorszym od człowieka. Może to te wrodzone wyrzuty sumienia czynią ze mnie takiego samego człowieka jak wszyscy inni i może to nasza wieczna, trudna w odbiorze miłość czyni ze mnie kogoś więcej.

Moje mięśnie palą, oddech utkwiał w gardle, ale trzymam tutaj Rose, ból odsuwa moje wargi od jej, napięcie rozszarpuje moje ciało. To przytłaczające. Okropne oraz oślepiające i przyciskam się do niej, kiedy moje własne poczucie winy i wstyd wciąż okładają mnie z prędkością światła.

- Nie zostawię cię – szepcze łamiącym się głosem, jeszcze bardziej powiększając ten miażdżący ból.

*Pocałuj ją.*

- Je t'aime – wyduszam, obejmując jej mokry policzek. *Kocham cię.* – Je t'aime. Je t'aime.

Płonę żywcem.

Zaczyna głośniej płakać i całuję ją, nasze wargi łączą się w zagorzałym, udreńczonym pocałunku. Wdycham razem z nią powietrze i zwalням ruchy warg, czując nasze lejące się łzy i robi się z tego pełen duszy, namiętny pocałunek, który pobudza mój umysł.

Przytulam do siebie Rose, ściągając ją z krzesła, moje usta pieką od soli i silnej potrzeby. Przyciskam Rose tak mocno, że nie dotyka stopami podłogi. Zamiast tego znajdujemy się oko w oko. Na doskonałej, równej wysokości.

Zostałem rozdarty na pół. Zostałem całkowicie obnażony. Pozwoliłem, żeby jej duch przelał się do mojego wnętrza – żeby mi przypomnieć, *żeby mi przypomnieć...* dlaczego kocham.

Ledwo mogę złapać oddech, tłąc się przy niej.

I pyta bardzo cicho:

- Czego jeszcze potrzebujesz?

*Czego ja potrzebuję?* Nikt nigdy mnie o to nie zapytał. Odpowiedź przychodzi do mnie natychmiast.

- Przerwy. – Potrzebuję więcej czasu z dala od tego wszystkiego.

- Zajmę się tym – zapewnia, opuszczając dłonie na moją pierś. Wpatruję się w jej żółtozielone oczy i wyczuwam, że czuje szybkie bicie mojego serca.

- Kim ja byłbym bez ciebie? – Mrugam i jedna łza spływa po moim policzku. Oboje znamy na to odpowiedź, oboje zdajemy sobie sprawę, co ona dla mnie robi. *Przypominaj mi. Spalaj mnie. Kochaj mnie.*

Całuję ją w czoło, moja klatka piersiowa pali się od namiętności i bólu.

- Ensemble – szepcze po francusku. *Razem.*

- Ensemble – mruczę.

*Razem.*

Rose Cobalt

*Przyjdźcie proszę na niedzielne śniadanie. Obiecuję, że Jonathana nie będzie, ale naprawdę chcielibyśmy Was wszystkich zobaczyć z dziećmi. – Mama*

Usuwa piątą wiadomość, którą wysłała w tym tygodniu. Unikamy niedzielnych śniadań od początku medialnej burzy. Wszystkie rozmowy dotyczyłyby konferencji prasowej, która odbędzie się za dziewięć dni. Mogę sobie wyobrazić siebie siedzącą przy stole i wymachującą widelcem na matkę albo nawet ojca za naciskanie na mojego męża, by okłamał miliard ludzi i zrobił to, czego *oni* pragną.

- Czy to znowu mama? – pyta Lily, trzymając ręce na kierownicy. Prowadzi mojego Escalade, kiedy ja nią kieruję. Mój samochód jest zapełniony na maksa. Zamieniamy się miejscami, co trzy godziny, bo to długa droga, ale obecnie Connor siedzi w tylnym rzędzie, otoczony dziećmi posadzonymi w fotelikach samochodowych odwróconych tyłem do kierunku jazdy. Loren i jego przyrodnia siostra Willow są pośrodku, a oddziela ich całe przejście.

Willow niedawno wprowadziła się do naszego domu i kiedy poprosiłam, żeby dołączyła do naszych mini-wakacji martwiłam się, że odmówi. Nie jesteśmy najcichszą grupą ludzi i pomyślałam, że może potrzebować przerwy od *nas*, kiedy – o ironio – my potrzebowaliśmy przerwy od wszystkich innych.

Cieszyłam się, że powiedziała *tak*, szczególnie że musi spędzić dwunastogodzinną jazdę w towarzystwie Lorena. On tonuje swoje dupkowate komentarze w jej pobliżu. Zastanawiam się jak bardzo byłby inny, gdyby dorastał z młodszą siostrą zamiast spotkać ją później w swoim życiu.

- Rose? – pyta Lily, przenosząc spojrzenie z drogi na moją komórkę.

- Chce, żebyśmy przyszli w przyszłą niedzielę – odpieram – *nie* ma szans. – Wybieramy się w tygodniową, sekretną podróż i wykluczamy z planu niedzielne śniadania.

Zrównuje się z nami białe ferrari, a z otwartego okna wystaje łeb Coconut. Widzę rękę Ryke'a ściskającą ramę okna, gdy siedzi na miejscu pasażera.

Daisy musiała mocno nacisnąć na gaz. Chwilę później ferrari przyspiesza z sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę do jakichś stu sześćdziesięciu na spokojnej, niemal opuszczonej drodze.

Wyprzedzają nas.

- Uch... - Lily wytrzeszcza oczy. – Nie powinnam ich naśladować, prawda?

Popieram z całych sił koleżeństwo, ale *nie* chcę dołączać do ich brygady śmierci.



- Nie ma mowy – mówi Lo swojej żonie. – Nie zjedziemy z klifu razem z Thelmą i Louise.

Willow grzebie w swoim plecaku Jansport i wyciąga butelkę wody.

- Wiedzą, gdzie jadą?

- Nie – odpowiada Lo. – Mam nadzieję, że się zgubią.

Mieli jechać za nami, żebyśmy nie znaleźli ich martwych ciał w gruzie metalu jakieś osiemdziesiąt kilometrów stąd. Poszliśmy nawet tak daleko, że nie podaliśmy im adresu.

- Znając Ryke'a i Daisy, to pewnie jest ich cel – odzywa się Connor.

Oglądam się przez ramię, zauważając, że Connor potrząsa zabawką nad fotelikiem Jane. Ledwo zauważam jej wyciągnięte, maleńkie rączki. Connor uśmiecha się, bardziej zrelaksowany niż ostatnio, a to powoduje, że moje usta wyginają się w kącikach i *mam nadzieję*, że nasz cel podróży będzie służyć jako nieodzowny azyl.

- Chryste – krzywi się Lo. – Przysięgam, że ilekroć tak się uśmiechasz, demon zapuszcza skrzydła. To nienaturalne.

Connor podnosi wzrok i dostrzega mój częściowy uśmiech nim zmienia się w miażdżące, piorunujące spojrzenie. Mój mąż uśmiecha się szerzej, ale kieruję wrogość na Lorena.

- Wiesz, co jeszcze jest nienaturalne? Twoja *twarz*.

Lo wygląda na bardziej rozbawionego i obraca się do Connora.

- Słyszałeś to, skarbie? Twoja żona myśli, że jestem ładny.

Warknęłabym, ale obietnica kryjąca się pod żartem Lorena skierowanym do Connora przełamuje moją irytację, obietnica mówiąca: „*Zawsze będę cię wspierać. Jesteś moim cholernym najlepszym przyjacielem i nikt tego nie zmieni*”.

Connor pociera usta, ale wszyscy doskonale widzą jego uśmiech.

- Raczej się nie myli.

Lo odwraca się z powrotem do mnie, uśmiechając półgębkiem.

Wyciągam ramię i unoszę rękę w geście „*przymknij się*”, ale mam problem z dostatecznym uniesieniem ramienia, dlatego nie jest to zbyt groźne.

- Chcesz przybić piątkę, Rose? – drwi Lo.

Tym razem warczę, zamierzając pokazać mu środkowy palec, ale w moim telefonie pipczy GPS. Szybko obracam się, żeby skupić na moim głównym zadaniu.

- Za trzy kilometry skręć w prawo – instruuje Lily.

Wietrzne drogi zakręcają się wokół gór i tworzą dziwne rozwidlenia połączone ze skrzyżowaniami na cztery wjazdy, które powodują, że Loren zaczyna drapać się po głowie. Lily jest lepszym kierowcą od niego, dlatego mam wiarę.

Brzozy i klony wznoszą się ku krystalicznie niebieskiemu niebu, jesteśmy jedynym pojazdem na tej drodze. Gdy wszyscy milczymy, niemal słyszymy jak wiatr szeleści liśćmi. Ten bezruch kontrastuje z normalną atmosferą naszego miasta i chaotyczną obecnością mediów.

- Jak tu cicho. – Lily mówi na głos to, co chodzi mi po głowie.

- Jeśli tylko nie byliśmy śledzeni – mamroczę.

- Nie byliśmy – zapewnia mnie Connor. Jego pewność przypomina mi, że *oboje* pracowaliśmy nad zapewnieniem nam wakacji bez paparazzi. Gdy opuściliśmy naszą dzielnicę, nasi ochroniarze pojechali w jednym kierunku, a my w drugim. Connor i ja nakreśliśmy postoje, obliczając najmniej znane, niezatłoczone obszary. Śledzono nas tylko przez godzinę za granicami Filadelfii.

- Willow? – pytam.

Sprawdza swoją komórkę.

- Od wczoraj nie ma waszych zdjęć na Instagramie i Twitterze.

Poprosiłam, żeby tego pilnowała, chcąc włączyć ją do naszej grupy, chociaż Lo nazwał mnie „*frajerką*”.

- Oto i oni – woła Lily, zwalnając Escalade przy punkcie widokowym na zboczu, gdzie stoi zaparkowane ferrari. Ryke i Daisy stoją na metalowej poręczy, by podziwiać ciągnący się, zielony krajobraz, a po drugiej stronie znajduje się ogromny dół. Ich spuszczone ze smyczy suczka węża trawę obok nich.

- Jezu – przeklina Loren.

Opuszczam okno w tym samym czasie, co Lo.

On mnie ubiega o ledwie sekundę.

- Hej! – krzyczy. – Zbikowane Raisins! – Ryke i Daisy równocześnie patrzą w naszym kierunku.

Lily mruczy pod nosem „*Szaleję za Raisy*”, żeby poprawić jego niewłaściwe wykorzystanie nazwy ich pary. Jej drogocенność sprawia, że ich bunt nie jest już taki ciężki. Z całej duszy popieram wyrażanie samej siebie, ale nie chcę znaleźć mojej najmłodszej siostry w szpitalu, razem ze swoim chłopakiem. Nigdy.

Ponieważ nadal stoją na poręczy, dodaję:

- Jedźcie za nami, proszę! Daisy, nie musisz jeździć po ciemku! – Kupiła ferrari dwa tygodnie temu, to jej pierwsze auto.

- Ile razy prowadziła samochód? – pyta Connor z tylnego siedzenia, ton ma opanowany.

Tak naprawdę nigdy nie prowadziła przed otrzymaniem prawa jazdy na motocykl i nie przypominam sobie ani jednego razu, kiedy siedziała za kółkiem. Wychyłam się bardziej przez okno.

- Daisy, ile razy prowadziłaś jakiegokolwiek auto?!

Zeskakuje z poręczy razem z Rykiem, a on przytula ją w talii, wtulając twarz w jej szyję. Coś obcego wbija się pomiędzy moje zębra. Zazdrość? Nie, nie całkiem. Ich miłość nie jest tak oślepiająca jak Lily i Lo, ale to jaskrawy promień cukierkowego słońca, który dostrzegają prawie wszyscy.

Daisy odpowiada:

- Cuatro! – Wymachuje czterema palcami.

O Boże.

- Brachu, dlaczego jedziesz wozem śmierci?! – woła Lo.

Ryke pokazuje mu wulgarny gest.

- Nic nam, kurwa, nie jest!

Daisy uśmiecha się tak szeroko, że trudno jej odmówić albo wypytywać ją dalej. Może żartuje. Wierzę, że Ryke zna prawdę. Loren i ja zamykamy okna gdzieś w tym samym czasie, mając więcej nadziei, że będą trzymać się blisko nas.

\*\*\*

- Mógłby być większy – mówi żartem Loren. Nasza siódemka wpatruje się w czteropiętrowy dom nad jeziorem znajdujący się osiemdziesiąt kilometrów od ulicy, doprowadziły nas tutaj zakręcające, żwirowe dróżki. Budynek z dwoma panoramicznymi gankami znajduje się w gąszczu cudownie wyrosniętych klonów, a gont dachu ma kolor czerwonej wiśni. Nasz pośrednik (który zna mnie tylko z fałszywego nazwiska) powiedział, że przy zmianie pory roku liście będą pasować do barwy domu.

Mieści się w pobliżu trawiastego brzegu, budynek odbija się w marszczącej powierzchni jeziora znajdującego się przy Smoky Mountains. Gołym okiem nie dostrzeżesz nigdzie żadnego innego domu.

Wszyscy się zrzuciliśmy i nie kupiliśmy tylko tej posiadłości. Zainwestowaliśmy w wiele otaczających ją akrów, zapewniając, żeby nikt się przy nas nie wybudował.

- Jest celowo wielki – przypominam Lo, opierając ręce na biodrach w triumfie. To będzie azyl dla nas wszystkich, gdzie będziemy mogli uciec, kiedy nasze życie stanie się gorączkowe i nie do zniesienia. Jane i ktokolwiek inny może potrzebować tego równie mocno, co my.

- Wróciłaś do rodzenia ośmiorga dzieci, bogini płodności? – droczy się Lo.

Rzucam mu spojrzenie.

- Tylko Jane, *Lorienie*. I jest tutaj więcej rodzin poza Connorem i mną. – Splątam ramiona. – Na przykład ty. – Po narodzinach Maximoffa zmienił się jego pogląd na dzieci i zdaje sobie sprawę, że jest trochę podobny do mnie w tym aspekcie.

Obawiał się, że okaże się być własnym ojcem.

Ja obawiałam się, że zostanę moją matką.

Oboje jesteśmy zbyt świadomi ich wad, jak i naszych, i przypuszczam, że to zarówno nasza zguba i zaleta. Przez to jesteśmy przestraszeni, ale dzięki temu mieliśmy możliwość wybrać inną drogę od naszych rodziców i uczyć się po ich błędach.

- No, no – śmieje się krótko. Jego złociste oczy iskrzą się w wieczornym świetle, kiedy wpatruje się w dom, jakby wyobrażał sobie rozrost jego trzyosobowej rodziny.

- Może kiedyś.

Daisy i Ryke idą ręką w rękę na bok domu, a Coconut zbiega po wzgórzu. Ryke zatrzymuje się na szczycie zbocza, pewnie, żeby popatrzeć na długi, drewniany pomost. Ma zdumiony, przytłoczony wyraz twarzy, który widziałam u niego tylko kiedy przebywa z Daisy albo po zdobyciu góry. Wrócił do sportu w kwietniu po pozwoleniu od lekarzy.

Wszyscy czuliśmy dumę, że poczekał ze wspinaczką do momentu zgody.

Connor staje przy mnie, trzymając na ramieniu śpiącą Jane.

- Doskonały, kochanie. – Splątam palce z jego wolną dłonią. Całuje moje knykcie.

- Ma dobrą energię – stwierdzam rzeczowo.

- Zapakowałaś świece, prawda? – Unosi brew.

Rzeczywiście pomyślałam o oczyszczeniu tego domu ze złych duchów, ale nie dlatego zabrałam świece. Równie dobrze mogę go ostrzec.

- Chcę zorganizować koedukacyjną imprezę pidżamową i będą pewne tradycje, których nie można zignorować.

- Na przykład?

- Seans spirytystyczny, „lekki jak piórko, sztywny jak deska”, maseczki do twarzy, desery i może nawet Ouija, jeśli do tej pory Lily nie będzie wystraszona. – Zanim wyrazi

swoje przekonanie o duchach, dodaję moje rozumowanie. – Najwyraźniej, kiedy byliśmy młodsze, zawsze zapominałyśmy o Daisy podczas takich imprez z nocowaniem. Była tam, ale jakoś ją opuszczaliśmy.

Boli mnie sama myśl, że *zapomniałam* o mojej siostrze, ale byłam o wiele bliżej z Lily, a różnica wieku osłabiła moje stosunki z Daisy. Powinnam być bardziej świadoma...

- Ona ci to powiedziała? – Connor wygląda na zszokowanego.

- Nie. – Daisy nigdy nie wyrządziłaby mi krzywdy swoimi zranionymi uczuciami. – Ryke mi to wypomniał parę tygodni temu. – Wiedział, że chcę odrobić stracony czas z siostrą.

Connor wzdycha.

- Możemy wyeliminować seans spirytystyczny na rzecz intelektualnego? To przyniesie korzyść lepszemu społeczeństwu i *nam*.

- Wezmę pod uwagę twoją prośbę i z radością zignoruję twój docinek do mojej imprezy – odpieram i jego uśmiech się powiększa.

- A więc mam taką teorię... - Daisy zwraca się do nas, nadal ściskając rękę swojego chłopaka. – Jeśli kupimy małą świnkę i zobaczymy, który niedźwiedź nawiąże z nią przyjaźń, to odkryjemy Kubusia Puchatka. – Rozkłada ramiona i kłoni się teatralnie.

Pytam Connora:

- Wyobrażasz sobie niedźwiedzia zjadającego świnkę? – Ta krwawa scena prawie nakłania mnie do kibicowania słabszej jednostce, ale miniaturowa świnka ma zero szans na przetrwanie.

- Tak, ale moje wyobrażenie jest pewnie mniej krwawe od twojego.

- A więc jest nieprawidłowe.

- Niedźwiedź zjadłby coś tak małego za jednym zamachem – odparowuje. – Bez rozlewu krwi, Rose.

Wywracam oczami, przyjmując tę porażkę. Ma rację. Właśnie całkowicie niepotrzebnie skonstruowałam sobie groteskową rzeźnię.

Loren patrzy na Daisy z miną, którą można podsumować jako jedynie „*co, do chuja?*”

- Czyś ty się czegoś naćpała w drodze tutaj?

Daisy porusza brwiami.

- Czy się naćpałam? – Obraca się do Ryke'a. – Możesz mnie obszukać. Lubię ukrywać rzeczy w...

- Okej – przerywa jej Lo. – Już żałuję, że zapytałem.

Lily podnosi rękę, drugim ramieniem podtrzymując Moffy'ego na biodrze.

- Czy ktoś jeszcze boi się niedźwiedzi?

- Łosie są straszniejsze – oświadcza Willow, poprawiając sobie okulary na nosie.

- Tutaj są łosie?! – Lily wytrzeszcza oczy. – Dlaczego nikt mi nie powiedział o łosiach?!  
Lo, wiedziałeś o łosiach?

Nie potrafię wziąć jej na poważnie, kiedy wciąż powtarza o łosiach tym swoim piskliwym głosem.

- Nie, nie – mówi szybko Willow. – Mówiłam ogólnie. W Maine było wiele łosi, ale nigdy tutaj nie byłam, więc nie wiem.

- Nie ma tu łosi. – Connor rozdmuchuje wszelkie wątpliwości.

Ryke jęczy.

- Czy możemy, kurwa, zabronić używania słowa „łoś” od tej chwili?

- Zgadzam się – przytakuję.

- Łoś z rana jak śmietana – mówi Loren, żeby tylko nas wkurzyć.

- Ale na serio – wtrąca Lily zanim opieprzę jej męża – są tutaj niedźwiedzie... więc nikt nie jest przerażony oprócz mnie? – Wszyscy milczymy.

- Cooo... naprawdę? – Marszczy brwi.

- Obronię cię – mówię Lily, całkiem pewna siebie.

Loren prychna.

- Niby czym? Kopniesz niedźwiedzia w jaja?

Piorunuję go wzrokiem.

- Mam pistolet.

Blednie.

- Chwila... mówisz poważnie? Zawsze myślałam, że żartujesz, kiedy twierdziłaś, że masz broń. – Parę razy rzuciłam bezceremonialne żarty o wykorzystaniu pistoletu, dlatego rozumiem dlaczego pomyślał, że po raz kolejny przesadzam.

- Wyraźnie musimy omówić pierdolone zasady odnośnie niedźwiedzi – odzywa się Ryke.  
– Jeśli to nie sezon łowiecki ani niedźwiedź cię nie atakuje, nie możesz go postrzelić.

- Kto tak twierdzi? – odparowuję. Obracam się do Connora po potwierdzenie i kiwa głową, jakby to było coś więcej niż przypadkowa zasada wymyślona przez Ryke'a.

- Jebane prawo – odpiera Ryke. – Nie do wiary, że byłem z tobą na biwaku i nie rozmawialiśmy o tym. – Był zbyt zajęty pieprzeniem mojej siostry w namiocie. Zagryzam wnętrze policzka, nie chcąc zawstydzić tym Daisy. – Posłuchajcie, kupiłem wszystkim spray na niedźwiedzie, więc to nie podlega cholernej dyskusji.

- Zaczniemy się rozpakowywać przed zmrokiem – wtrąca się do rozmowy Connor, spoglądając na swój zegarek i zachodzące słońce.

- Powinniście najpierw obejrzeć dom – oświadcza Willow. – Ja zacznę rozpakowywać torby.

- Nie jesteś tutaj, żeby pracować fizycznie – mówi Loren, łagodząc ostrość głosu. – Więc chodź przejść się z nami.

Willow odchrząkuje speszona.

- Ja... - Patrzy przelotnie na Escalade... jakby coś ukrywała.

Jednak nie mogę sobie wyobrazić, co by miała ukrywać i patrzę na Connora, żeby zobaczyć co myśli. Wciąż się jej przygląda.

Ona bierze głęboki wdech.

- Chciałam zadzwonić do mojej mamy... znaczy, *naszej* mamy. Czy... no wiesz, kimkolwiek ona jest. Potrzebowałam chwili na osobności.

Atmosfera gęstnieje i wszyscy patrzymy na Lo.

Kiwa głową bez zawahania.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że utrzymujesz z nią kontakt, ale... pewnie, dopóki nie powiesz jej gdzie jesteś...

- Nie ma mowy – odpiera. – Nie zrobiłabym tego.

- Musiałem się tylko upewnić – mówi Lo, drapiąc się po karku, a potem celuje we mnie palcem. – Musimy pogadać o tym pistolecie. Gdzie on jest?

Wchodzę po schodach domu i wszyscy do mnie dołączają, nie licząc Willow.

- W schowku samochodowym – odpowiadam. Moja komórka wibruje, kiedy tylko wchodzę na ganek.

*Zarezerwowaliśmy samolot na koniec tygodnia, więc pojawimy się za parę dni. Nie bawcie się za dobrze bez nas.* – Poppy

Moja starsza siostra, Sam i ich ośmioletnia córka również zostali zaproszeni, ale Maria ma szkołę, więc przyjadą na weekend.

- Czy jest w tym schowku cały czas czy tylko tutaj? – dopytuje Lo.

- Cały czas – mówię, obchodząc ganek, żeby zbadać taras i obejrzeć widok z góry przed wejściem do środka. Mijam wielorakie bujane fotele i zestaw szachów.

Idą za mną tylko Lo, Ryke, Daisy i jej husky, bo Connor i Lily wchodzą do środka z dziećmi.

- Mamy jakąś zasadę zabraniającą trzymania pistoletów w domu? – pyta Ryke brata.

Lo odwraca się do niego z ostrym wyrazem twarzy.

- Masz pistolet – przypuszcza. – *W* domu?

- Nie sądziłem, że to ci będzie przeszkadzać – mówi Ryke, wyglądając na szczerze skruszonego, że mu nie powiedział. Dochodzimy na przód tarasu i są zbyt skupieni na sobie, żeby dostrzec rozciągający się widok na jezioro. Nigdy nie miałam słabości do natury, bo w sercu jestem miastową dziewczyną, ale już się zakochałam w tym miejscu.

- Nie przeszkadzałoby rok temu – tłumaczy Lo. – Ale mamy dwójkę dzieci w tamtym domu. Proszę, powiedz, że trzymasz go w jakimś zamkniętym miejscu.

- Jest w pieprzonym sejfie, przyrzekam – mówi. – Mogę trzymać go w samochodzie... jeśli *naprawdę* tego potrzebujesz. – Spogląda w kierunku Daisy, jakby sprawdzając czy pasuje jej ten plan.

I zdaję sobie sprawę – ten pistolet musi być ze względu na nią, żeby ją uspokoić, kiedy boi się nocami.

Daisy drapie Coconut za uszami.

- Nic się nie stanie, jeśli będzie poza domem, Ryke – mówi, nie unikając tematu, jak to zwykle robi. Potem zaczyna wyć, co skłania Coconut do zawtórowania jej.

Nie cierpię, kiedy to robi, skoro nieszczególnie lubię psy, ale jakimś sposobem jest to bardziej ujmujące na pustkowiu.

- W porządku, Calloway – przytakuje.

- Możesz zatrzymać go w sejfie – oświadcza nagle Loren. – Nie wiedziałem... - Rzuca szybkie spojrzenie Daisy. – Przepraszam...

Trudno zdobyć przeprosiny od Lorena Hale'a.

- Nic się nie stało – odpiera prędko Daisy, nie chcąc wywoływać u nikogo żalu. – Szczerze, Lo, powinniśmy byli najpierw zapytać.

Klaszczę w ręce.

- Chodźmy się rozpakować. – Wszyscy skupiają się na mnie, przerywając napięcie. Kroczę dumnie do przesuwanych, szklanych drzwi, a moje szpilki stukoczą na tarasie.



- Tak, wasza wysokość! – woła Lo, gdy wchodzę do środka.

Jesteśmy tutaj – bez paparazzi, bezpieczni i na wyjeździe. To ma być okres spokoju, ale mam przeczucie, że niektórzy z nas mogą pozabijać się nawzajem.

*Rose Cobalt*

- Są zasady – ogłaszam całemu salonowi, trzymając w rękach świeczkę i paczkę zapalek. Dzisiejszego wieczora na zewnątrz leje gwałtowny deszcz, co wydaje się trafne dla naszej strasznej imprezy pidżamowej. Odsunęliśmy ogromne skórzane meble pod szerokie, wysokie okna, dekoracja tego domu jest dość wiejska z kołdrami i czerwonymi dywanikami ze wzorami w niedźwiedzie.

- Oczywiście – mówi Loren, wnosząc do pokoju miski popcornu razem z Rykiem i Connorem. Lily opatulona w najgrubszą kołdrę rozkłada swój śpiwór z Daisy i Willow.

Odpalam zapalną, licząc na groźniejszy wygląd. Mając w posiadaniu ogień, zdecydowanie czuję się bardziej destrukcyjnie.

- Po pierwsze: przewrócenie świeczki oznacza dwadzieścia lat nieszczęścia. Dlatego bądźcie świadomi ich umiejscowienia.

Connor kieruje się do mnie.

- Rozważyłbym twoją zasadę, gdyby nie była całkowicie bezsensowna.

Patrzę wilkiem na uśmiech wyginający jego usta.

- Nigdy nie słyszałeś, że jak rozbijesz lustro, dostajesz siedem lat nieszczęścia? To ta sama koncepcja, Richard.

- Tak, słyszałem takie samo zmyślane powiedzenie. – Zdmuchuje moją płonąca zapalną.

Zamierzam go zaatakować, kiedy zdaję sobie sprawę, że zaraz poparzyłaby mi palce. No dobra.

- Po drugie. – Mówię bardziej do Connora niż do reszty. – Bez drwin. – Mrużę oczy. – Albo zostaniesz poważnie skrzywdzony ogniem.

- Wielka szkoda dla ciebie – mówi.

Próbuję trzymać się przy swoim, nie pokazując po sobie zakłopotania.

-Niby czemu?

- Jestem zbyt mądry, żeby samemu spłonąć, dlatego trzeba cię będzie podpalić razem ze mną.

Myślę, że już raz zostaliśmy razem podpaleni...

Loren omija Connora i rzuca w niego popcornem.

-Skończyliście flirtować?

- My nie *flirtujemy*, Loren – pry cham, wyczuwając powiększające się ego Connora.

Connor wbija we mnie wzrok, skupiając na mnie sto procent swojej uwagi. Twoje znaczenie dla Connora zależy bezpośrednio od czasu, który ci poświęca – i jeśli cofnę się do naszych nastoletnich lat, zdaję sobie sprawę, że zawsze znajdowałam się prawie na szczycie jego listy.

Podtrzymuje moje spojrzenie po czym zabiera ode mnie zapalki, odstawiając miskę popcornu. Pomaga rozpałić pozostałe świeczki otaczające pokój. Zauważam, że ciągle rzuca mi spojrzenia, wciąż się uśmiechając.

Czuję, że moje zdradzieckie usta przedrzeźniają jego minę.

Uśmiecha się szerzej, ale – o dziwo – podoba mi się ten widok.

- Czy to ostatnia zasada? – pyta Daisy, związując włosy w wysokiego kucyka.

Miałam więcej, ale wydają się zbyt ciężkie. Chcę tylko, żeby wszyscy się dobrze bawili.

-To wszystko – deklaruje, siadając na moim ciemnoniebieskim śpiworze, kiedy Connor zapala ostatnią świeczkę. A wtedy dzwoni telefon.

Wszyscy zaczynamy sprawdzać swoje...

- To mój – oświadcza Connor. Sztynnieję, patrząc jak odkłada zapalki na stół. Zamierza odebrać. Nie mogę odczytać jego miny, więc martwię się, że to...

- Czy to Scott? – pytam.

W pokoju nastaje spięta cisza. Wszyscy wiedzą, że próbuje zaprzyjaźnić się ze Scottem, ale nikt prócz mnie nie wie, z czym to się wiąże. Nawet nie znając szczegółów każdy widzi ile przybyło mu stresu. Może nie pokazywać tego w mimice, ale nad Connorem wisi bezgłośnie stężenie, którego wcześniej tam nie było.

- Nie – odpowiada, mijając mnie. – Frederick. – Pokazuje mi ekran komórki, żeby złagodzić mój niepokój. – Wrócę za kilka minut. Możecie zacząć wzywać cząsteczki powietrza beze mnie.

- Nikt nie lubi sceptyków – odpieram.

- Przeciwnie, kochanie, wszyscy mnie *kochają*. – Uśmiecha się, jakby był jakimś wyjątkiem. Jest nim na wiele sposobów, ale przecież mu tego nie przyznam. Przykłada komórkę do ucha, znikając w łazience dla prywatności.

Wszyscy stoimy w szerokim kręgu, a podłogę pokrywają śpiwory.

Lily przytula do siebie miskę popcornu.

- Czy ktoś jeszcze boi się duchów?

Uśmiech Lo pokazuje dołeczki w jego policzkach i obejmuje ramieniem swoją żonę.

- Ochronię cię przed siłami nadprzyrodzonymi, skarbie.

- A co jeśli Rose wywoła demona? – sprzeciwia się.

- Nie wywołam żadnego demona.

- Bo ona jest demonem. – Lo próbuje wyszeptać to do Lily, ale jego głos odbija się echem od sklepionego sufitu.

- Wracaj do piekła, Loren – rzucam.

- Nie, jeśli ty tam jesteś.

Zastanawiam się nad pochwyleniem spray'u na niedźwiedzie i skierowaniem wylotu na jego twarz.

- Co pierwsze? – wtrąca Daisy i tym samym przerywa naszą małą sprzeczkę, która mogła zamienić się w kłótnię.

Ta impreza pidzamowa ma się opierać na przypomnieniu starych, wspólnych czasów i wprowadzeniu nowych rzeczy, wszystkich facetów i Willow.

- Najpierw „lekki jak piórko”.

Daisy porusza brwiami do swojego chłopaka.

- Myślę, że najpierw powinniśmy zrobić Ryke'owi.

Wychodzi to jako podtekst seksualny.

- Oceniam tę imprezę, jako obrzydliwą – mówi lekkim tonem Lo, nie mając na myśli nic innego jak żartu.

Daisy uśmiecha się.

- Ja daję jej wskaźnik ZC od lat osiemnastu do dwudziestu siedmiu. – Rozkłada dramatycznie ramiona. – Zero Ciasta dla nas. – Przykłada rękę do czoła, udając omdlenie. – Co za *horror*.

Wszyscy się śmieją, nawet ja. Gdy cichniemy, pokazuję na Ryke'a.

- Musisz położyć się w okręgu. – Robi, co mu każę bez marudzenia.

Lo wyjada popcorn z miski Lily.

- Powodzenia, brachu. Niech twoja ofiara przyniesie nam dwadzieścia dni dobrych żniw.

Lily szturcha go w pierś.

- Gramy w „lekki jak piórko”, a nie oddajemy go w ofierze. – Obraca gwałtownie głowę w moją stronę. – Prawda?

Nie ma możliwości, żebym skrzywdziła jednego z naszych ludzi.

- Nikogo nie oddajemy w ofierze – deklaruję.

- Dziewczyny, możecie nie dać rady mnie unieść – ostrzega nas Ryke.

Śmieję się krótko. *Zwyciężymy.*

- Jesteśmy siostrami Calloway – ogłasza Daisy, szturchając najpierw moje ramię, potem Lily. – Możemy wszystko, racja?

- Zdecydowanie – mówię razem z Lily.

- No i Willow – dodaje Daisy i podnosi dłoń do osiemnastolatki. Willow przybija jej piątkę z rosnącym uśmiechem i uświadamiam sobie, że Daisy jest chyba lepsza w integrowaniu ludzi na skraju grup niż ja.

Lo gasi światło i wraca do swojego popcornu.

- Zamierzasz brać udział? – pytam go.

- Będę swobodnie przyglądał się jak grupka dziewczyn podnosi mojego brata na pidżamowej imprezie. – Parska śmiechem, jakby nie mógł tego przegapić i zjada więcej popcornu.

- Słyszę twój jebany chichot – mówi Ryke do Lorena, zamierzając obrócić głowę, ale pstrykam palcami i znowu patrzy w sufit.

- Czy ofiara powinna się odzywać? – pyta mnie Lo.

Ignoruję Lorena i siadam po jednej stronie Ryke’a z Willow, a Lily i Daisy po drugiej stronie jego ciała. Po krótkiej instrukcji wszystkie wsuwamy pod niego nie więcej jak dwa palce. Ja jestem blisko jego łopatek.

Zaczynam pierwsza.

- Lekki jak piórko, sztywny jak deska. – Wtedy dziewczyny zaczynają skandować razem ze mną.

- *Lekki jak piórko, sztywny jak deska.*

- *Lekki jak piórko, sztywny jak...*

- Kutas. – Lo powoduje, że Daisy wybucha śmiechem, rujnując koncentrację na rytuale. Lily prawdopodobnie przybrała nowy odcień czerwieni, ale nie widzę tego w mroku, świece dodały jedynie słabego, pomarańczowego blasku.

Żałuję, że nie zaczęliśmy od Lorena – wtedy celowo mogłabym upuścić go na tyłek.

Moje wściekle spojrzenie powinno zmiotnąć Lorena, ale on patrzy na mnie niewzruszony.

- No co? – pyta. – Wiedziałaś, że to zrobię. – Gdy miałam imprezy pidżamowe z Lily i koleżankami, on *zawsze* je rozbijał i ilekroć docieraliśmy do tej części, to rzucał ten sam infantylny komentarz.

- Z jakiegoś szalonego powodu sądziłam, że jesteś dojrzały od dziesięciolatka.

- Mam dwadzieścia pięć lat. Zachowuję się na swój wiek. To dziesięcioletni ja wybiegał swoją wiedzą naprzód.

Macham na niego ręką, przekazując by się zamknął. Jednakże moje serce być może się uśmiecha – jeśli serce potrafi to robić. To jak stare czasy, ale lepiej... Patrzę na Daisy.

- Zacznijmy jeszcze raz.

Daisy pokazuje mi uniesione kciuki, a Willow i Lily kiwają głowami.

Rozpoczynamy skandowanie ściszonymi głosami.

- *Lekki jak piórko, sztywny jak deska.*

- *Lekki jak piórko, sztywny jak deska.* – Powoli zaczynamy podnosić Ryke'a samymi palcami. Jego ciało zdaje się być bardziej wazkie im wyżej idziemy i zmieniamy pozycje siedzące na klęczące.

- *Lekki jak piórko, sztywny jak deska.* – Zadanie staje się łatwiejsze, jego ciało zawisa nad podłogą dzięki naszemu skupieniu oraz pracy zespołowej.

- *Lekki jak piórko, sztywny jak deska.* – Wstajemy i teraz Ryke znajduje się ponad metr nad ziemią.

- *Lekki jak piórko.* – Jest na wysokości moich barków. – *Sztywny jak deska.* – Nasze głosy rosną w oktawie, a skandowanie przyspiesza. On unosi się coraz wyżej, jest ponad moją szyją, ponad głową.

- Cholera jasna – przeklina zaskoczona Lily.

Natychmiastowo jego ciało zdaje się ważyć tonę i mam wrażenie, że zaraz połamię mi palce. Lily sapie i puszcza pierwsza, potem słabnie Willow i Ryke *spada*.

Prosto na *mnie*.

Podłoga przyjmuje mocne uderzenie moich pośladków, może to karma za diabelskie myśli skierowane do Lorena Hale'a. Lewy łokieć Ryke'a wbija się w moje żebra, jestem miażdżona jego ciężarem. Niezbyt idealna sytuacja.

- Kurwa – klnie Ryke. – Rose, nic ci nie jest? – Jego szczerłość i troska są wielce doceniane.

- Jakaś nowa zabawa. – Głos Connora poraża prądem moje wnętrze. Nie widzę go ponad wielką głową Ryke'a. Ryke schodzi ze mnie tak szybko jak może i przeprasza *mnie*, nie Connora. Skoro to mnie przywoździł do podłogi.

- Już wkurzyłaś ducha? – pyta Connor, przechodząc nad miskami, żeby dotrzeć do mnie pośrodku części sypialnej. Lustruje mnie wzrokiem w poszukiwaniu jakichkolwiek urazów. Jestem w jednym kawałku i moje wściekłe spojrzenie musiało go dostatecznie uspokoić, bo nie wspomina o workach lodu ani wizytach do szpitala.

- Nie – odpowiadam, poprawiając sobie czarny top od pidżamy.

Connor stawia stopy po obu stronach moich nóg i kuca przede mną, wszystko to jest pokryte dominacją i całkowicie zamieram.

- Graliśmy w twistera bez maty? – pyta i zauważam w jego ręce lampkę wina. Nie widziałam, żeby wychodził z łazienki do kuchni, ale jeśli tak było, to widział naszą zabawę.

Po prostu zachowuje się jak dupek. Uśmiecha się lekko, biorąc nieznośnie wolny łyk. Irytujący, atrakcyjny dupek.

- „Lekki jak piórko, sztywny jak deska” – odpowiada Lily. – Podnosiłyśmy Ryke'a.

„*On wie*” chcę powiedzieć, ale walczę na spojrzenia z moim mężem. Nie mrugnę, żeby przegrać.

- Nie mogę uwierzyć, że zadziałało – cieszy się Daisy i Ryke targa jej włosy. To jej pierwsza taka młodzieńcza zabawa. Kiedy *nareszcie* osiągnęła wiek na „pidżamowe imprezy”, była traktowana na o wiele starszą. Nasza matka postarzała ją do naszego wieku, ale tym samym Daisy przegapiła te młodzieńcze, zabawowe lata.

- Ta, działało dopóki Ryke nie spadł na Rose – mówi Lo. – Dosłownie jak w scenie z *Czarnoksiężnika Oz*.

Obracam do niego głowę, zamierzając coś mu powiedzieć, ale Connor łapie mnie za rękę. Przegrałam bitwę. Wzdycham, gdy pomaga mi wstać.

Kładę rękę na jego torsie.

- Przyszedłeś w samą porę.

- W porę na co, kochanie?

- Na seans spirytystyczny albo jak ty go nazywasz: *rozmawianie z cząsteczkami powietrza*. – Samo powtarzanie tych słów pozostawia śmieszny posmak w moich ustach.

- A więc nie skończyliśmy bawić się w udawanie?

- To magia – wtrąca Lily. – Nie udawanie.

- Żadna magia – odpiera Connor. – Tylko nauka. Podzieliliście się po równo wokół Ryke’a i tym sposobem *każdego* można łatwiej podnieść.

- A co ze skandowaniem? – pyta.

- Pomaga każdemu się dopasować, dlatego wasze ruchy były zsynchronizowane.

Jestem poślubiona z największym na świecie niedowiarkiem i, dziwne, nie chciałabym niczego innego. Znowu zasiadam w kręgu z Connorem u boku, który popija wino. Może woli się na to odurzyć.

- Oooch – sapie Lily. Marszczy lekko brwi i obraca się do Lorena. Słyszę jej szept. – Więc nie jesteśmy magiczni?

- Zdecydowanie jesteśmy magiczni – odpowiada jej szeptem i kiwa głową.

- A czym są oni? – Patrzy na Connora i mnie, przyłapując nas na przyglądaniu im się.

Lo celowo podnosi głos, żebyśmy usłyszeli.

- Nieśmiertelny bóg, który ożenił się z nieśmiertelnym demonem. – Uśmiecha się ironicznie. – Para stworzona w czyścú.

O dziwo, czuję się teraz tak jakbym była z Connorem w czyścú, kiedy nasza przyszłość podlega ciągłej zmianie ze zbliżającą się konferencją prasową i Scottem, który wciąż dręczy mojego męża o drugi sezon.

- Skoro o czyścú mowa... - Wstaję i zbieram kilka świec, układając je na środku po czym znowu siadam.

- Och, chwila, to już się dzieje? – Lily ścisną w ręce elektroniczną niańkę, a następnie narzuca na głowę kołdrę. Lo opatula ją ramionami.

- Próbujesz mieszać się z innymi duchami, skarbie? – szepcze do niej.

- Uhm – odszeptuje przerażona.

Daisy przesuwając dłonią przez płomień, za szybko, żeby się poparzyć, więc nikt nic nie mówi.

- Możemy wezwać starą ciotkę Margot i zapytać ją, co sądziła o pierwszej butelce Fizz taty?

- Pewnie smakowała jak gówno – mówi Lo. – Czy on nie zrobił jej w piwnicy?

- W garażu – poprawiam. Był nastolatkiem ze wzniosłymi ambicjami, przypuszczam, że trochę takim jak ja. Tyle, że on zaczął od niczego. Ja zaczęłam z wysokiej platformy, którą on mi подарował – byłam bardziej uprzywilejowana od większości.



Im bardziej odnoszę Fizzle do jego marzenia, a marzenie do obawy przed stratą tego wszystkiego – mogę zrozumieć jego stanowisko w sprawie konferencji prasowej. Po prostu chciałabym, żebyśmy tym razem byli po tej samej stronie.

- Nie wiedziałem, że mieliście ciotki i wujków – mówi Ryke, trochę zaskoczony i zraniony tym faktem... może dlatego, iż Loren nie jest wcale zszokowany. Jest tak bliski naszej dalekiej rodzinie, co my.

- Wszyscy znajdują się w różnych częściach Stanów – mówi mu Daisy – ale stara ciotka Margot mieszkała ze swoją siostrą, czyli mamą naszego taty. – Babcia Pearl przebywa na emeryturze w Palm Beach na Florydzie, mieszkając w „raju”, jak to mówi, dzięki hojności swojego syna.

Connor pociera usta i widzę, że jest lekko zirytowany.

- Więc to babcia cioteczna Margot?

- Stara ciotka Margot – odpowiadam jednocześnie z moimi siostrami.

- Kiedy „babcia cioteczna” i „stara ciotka” stały się synonimicznymi wyrażeniami? – Szuka u mnie odpowiedzi, skoro wyraźnie jest naszą babcią cioteczną.

- Nikt nigdy nie nazywał jej *babką*... - urywam, orientując się jak to brzmi. – Lubiała być nazywana starą. – O Boże, to jeszcze gorsze, prawda? – To był jej wybór. – Kończę na tym, a lepiej nie będzie.

- Szkoda, że nie mogę jej poznać – mówi Connor z uśmiechem. – Wydaje się interesująca.

Już mam mu powiedzieć, że zaraz ją pozna, ale odzywa się Loren.

- Śmierdziała zgnitymi oliwkami, więc uważaj się za szczęściarza.

Patrzę spod byka.

- Pożałujesz, że ją obraziłeś.

- Już ją uraziłem? Gdzie ona jest? – Drwiąco ogląda się przez ramię.

- Właśnie złamałeś drugą zasadę.

- I nadal żyję. – Kiwa głową Connorowi. – Jak to nazwiesz, skarbie?

- Faworyzmem – odpiera.

Krztuszę się.

- On nie jest *zadnym* moim ulubieńcem.

Niespodziewanie Coconut wyje z kuchni, stukając łapami o deski podłogowe. Daisy sztywnieje i szybko rozgląda się po pokoju. Wszyscy milkniemy i Ryke przyciąga Daisy

bliżej siebie, trzymając usta przy jej uchu, kiedy najprawdopodobniej szepcze słowa pocieszenia.

- Oto ciotka Margot – mówię, próbując odwrócić uwagę od siostry. – Złapmy się za ręce. – Chwytam dłoń Connora i Willow. Daisy bierze głęboki wdech, szczególnie, kiedy Coconut się uspokaja.

- Zamknijcie oczy – instruuję.

Czekam aż wszyscy to zrobią, ale głównie na Connora, który uparcie na mnie patrzy. Unosi brew. „*Panie przodem*”, zdaje się mówić.

Ufam, że on także zamknie oczy. Dlatego pierwsza je zamykam.

- Ciociu Margot – zaczynam... i muszę zerknąć na Connora, by zobaczyć czy dołączył. Chociaż dla niego to nie jest prawdziwe, to dla mnie tak.

Jego oczy są zaskakująco zamknięte.

Za to kocham go jeszcze bardziej.

- Wzywamy cię, ciociu Margot – mówię. Deszcz leje jeszcze mocniej i słysząc świszczenie wiatru. – Tęsknimy za twoją piękną, zagubioną duszą. Proszę, przyjdź do nas.

Lo parska śmiechem i wyczuwam, że Connor także próbuje powstrzymać się od śmiechu.

*Zignoruj ich, Rose.*

- Przebij się przez barierę życia pozagrobowego, żebyśmy mogli z tobą pomówić.

*Skrrrrrrrrzzzzzzyp!*

Lily wydaje przerażony pisk spod kołdry.

- Co to było, kurwa? – pyta Ryke. Patrzy przez wysokie okno, dlatego sędzę, że naprawdę przejmują się uszkodzeniem budowlanym przez burzę.

- Wyładowanie elektrostatyczne – odpowiada mu Connor. – Znane również, jako piorun.

Światła samoistnie włączają się i wyłączają, dopóki nie spala się żarówka i wszystkie wysiadają. Czujnik telewizora gaśnie razem z nimi, więc straciliśmy zasilanie.

- Omójboże – bełkocze spanikowana Lily.

- Stara ciociu Margot? – woła Daisy, tylko ona nadal ma zamknięte oczy. – Słyszysz nas? – Pomimo jej żartobliwego głosu widzę, że udaje odważną, jej obojczyki stają się wyraźne, kiedy wstrzymuje oddech. Ścisła mocno kolana i obawiam się, że ten cały seans mógł być okropnym pomysłem.

*Grzmoooot!*

Lily wrzeszczy na nowy odgłos, który dochodzi z góry. Coconut wpada zdeterminowana do salonu, sprawdzając zasuwane drzwi... i suczka blokuje zamek szturchnięciem nosa.

Widziałam, że Ryke trenował husky'ego w pierwszy dzień tutaj, pokazując jej zatraski drzwi oraz wszystkie wyjścia, więc nie jestem zdziwiona jej talentem do zamykania drzwi – jestem zaniepokojona faktem, że te drzwi były w ogóle otwarte.

- Co to był za dźwięk? – pyta Lily, nie widząc czujnej rutyny Coconut. – Connor?

Wpatruje się w sufit.

- Przedmiot spadł.

- Przez ducha?

*Buuuum!* A za tym idzie długi, ostry jęk... być może ludzki. *Nie*. Nie ma absolutnie żadnej szansy. Jesteśmy pośrodku niczego. Nikogo innego tutaj nie ma. Upewniłam się tego.

Zwierzęta.

Na górze są żywe zwierzęta.

*Zarżnę jakiegokolwiek gryzonia, który postanowił zamieszkać w naszym domu.* Pewnie myszy. I do tego cała plaga.

Ryke od razu kładzie rękę na głowie Daisy, której czoło jest pokryte potem i oddycha płytko, nie mogąc złapać powietrza.

Ryke gwizdże i widzę za rogiem białe futro Coconut.

- Połóż się, Dais. – Pomaga mojej siostrze ułożyć się na plecach, żeby zwalczyć początek ataku paniki i suczka zwija się na klatce piersiowej Daisy, zastosowany ciężar działa, jako terapia głębokiego ucisku: już raz widziałam jak jej pomogła.

Na piętrze stukają kroki. Wstaję i chwytam za moją elektroniczną niańkę, słuchając odgłosów Jane. Słyszę jej ciche pochrapywanie, co trochę mnie uspokaja, ale zamierzam sprawdzić...

Jeszcze więcej kroków. *To nie osoba, tylko zwierzę.*

Lily zrzuca z siebie kołdrę.

- Moffy – mówi, rzucając się do schodów, nadal ściskając elektroniczną nianię.

- Lily, zaczekaj... - Lo biegnie za nią, a wtedy Willow biegnie w całkowicie przeciwnym kierunku, do ciemnego korytarza.

Bez namysłu pędzę za Willow, czując za sobą Connora. Gdy szybko wbiega po kolejnych schodach, Connor mnie dogania i wymija, muskając moje ramię ręką w geście „wszystko dobrze”. On wie... o czymś, czego ja nie.

Korytarz na drugim piętrze jest okryty mrokiem. Próbuję zapalić światło, ale nic się nie dzieje. Connor wyciąga swój telefon i włącza latarkę, niebieski blask rozświetla Willow, która próbuje przekreślić klamkę pewnych drzwi.

Uderza w drewno.

- Nic ci nie jest?

Docieram do niej chwilę po Connorze, który pyta:

- Czy on tam jest?

- Nie miał gdzie się podziać – odpowiada szybko Willow. – Miał zasłonięte oczy przez całą jazdę tutaj. Przrzekam, że nie ma *zielonego* pojęcia, gdzie jesteśmy.

Unoszę podbródek w trybie bitewnym z Connorem. Przyciągam Willow bliżej do siebie, żeby on mógł otworzyć drzwi. Gdy to robi, celuje latarką w pomieszczenie, oświetlając pościelone łóżko. Na jego brzegu siedzi osiemnastoletni chłopak, a na podłodze leży roztrzaskana lampka. On trzyma się za bosą stopę, jakby próbował obejrzeć podeszwę... z której cieknie krew – kawałek szkła wbił się w piętę.

- Nic ci nie jest? – Willow próbuje podejść bliżej, ale szarpie ją do tyłu.

- Ty też nie masz butów, Willow – mówię.

On zwiesza głowę chyba bardziej w poczuciu winy niż bólu i włosy przesłaniają mu oczy.

- Próbowałem zapalić z powrotem lampkę. Skończyło się na tym, że ją przewróciłem i...  
- *wszedł na szkło*. Krzywi się, starając się wyciągnąć szkło w niemal całkowitej ciemności.

- Nie rób tego – ostrzega Connor. – Rose, możesz przynieść apteczkę i zobaczyć, co z Jane?

- Zaraz wrócę – mówię.

Przyrodnia siostra Lorena sprowadziła do domu swojego przyjaciela. Jestem pewna, że miała do tego powód, ale to nie zagłusza faktu, że osiemnastoletni gnojek koczował sobie na górze, a na dole jest moja przerażona najmłodsza siostra.

I patrząc po wyrazie zwykle stoickiej twarzy Connora, on też nie jest zadowolony.

*Connor Cobalt*

Dowiaduję się, że Garrison nie ma przy sobie telefonu. Oddał komórkę Willow podczas podróży na gapę w bagażniku Escalade, chcąc pokazać przyjaciółce, że nie miał zamiaru jej oszukać. Gdy po raz pierwszy obejrzelśmy ten dom, Willow została z tyłu i „zadzwoiła do mamy”, żeby Garrison mógł wkraść się do środka.

Zasadniczo to wszystkie informacje, które zbieram nim Rose wraca z apteczką, Jane na ramieniu i parą butów.

- Chcę pogadać z Daisy i Lily – mówi mi. Wbija spojrzenie w Willow.

- Przepraszam, Rose...

- Rozumiem, co oznacza bycie lojalnym – odpowiada Rose – ale nie powinnaś była przed nami tego ukrywać. Jeśli chciałaś zabrać ze sobą chłopaka, mogliśmy coś wymyślić.

- Przyjaciela – poprawia ją Willow, blednąc i unikając wzroku „przyjaciela”.

Garrison patrzy na Rose.

- Byłoby lepiej, gdybyśmy ze sobą chodzili?

- Byłoby o wiele gorzej – odpowiadam.

Zamyka się i znowu opuszcza głowę, bardziej przybity własnymi wyrzutami sumienia.

Willow stoi niepewnie przy drzwiach i skupia się na Rose.

- Czy mogę się wytłumaczyć... chciałabym też przeprosić Daisy...?

Rose kiwa głową.

- Chodź za mną. – Dziewczęta znikają.

Jakąś minutę później do pokoju wchodzi Loren ze świecami, a po nim Ryke z miotłą, oboje poinformowani o wszystkim przez Rose. Ponieważ wszystkie dziewczyny chcą być razem, nasza trójka postanawia zająć się bałaganem na górze.

Loren rozpala świece wokół pokoju gościnnego, podczas gdy Ryke zamiata szkło. Siadam na łóżku obok Garrisona z apteczką pierwszej pomocy.

- Sam mogę to zrobić – odzywa się, kiedy wyciągam pincetę.

Podaję mu ją.

- Potrzebujesz szwów, a najbliższy szpital znajduje się więcej niż dwie godziny drogi stąd.

Ryke zamiata mocniej, wkurzony, ponieważ Garrison po raz drugi przestraszył Daisy, ale nie powie: „*Nie zawiozę go, kurwa*”. Zawiózłby Garrisona. Zawiózłby każdego do szpitala, bo za bardzo zależy mu na ludzkim życiu.

Nie jestem taki wobec każdego, ale doceniam, kiedy inni ludzie wypełniają tę rolę.

Garrison zdaje się zgrzytać zębami, jego oczy robią się pochmurne i rzuca mi szybkie spojrzenie.

- Możesz przestać mnie obserwować? – Jego głos jest tak ostry, jak u Lorena Hale’a.

- Mógłbym, ale czekam na twoją odpowiedź.

Nerwowo przygląda się swojej stopie, zawieszając pincetę nad szkłem. Mówi coś pod nosem, czego nie dosłyszę.

- Co mówiłeś? – pytam, łagodząc dla niego ton głosu.

Jego nozdrza drgają i krzyczy:

- Nie pojedę do szpitala! – Celuje pincetą w stronę drzwi. – Obiecałem jej, że nie zrujnuję stosunków, które z *wami* nawiązała... a jeśli pójdę do szpitala, ludzie was zobaczą, zrobią głupie zdjęcia i wszyscy się dowiedzą w jakim jesteśmy stanie, gdziekolwiek to jest. Więc *nie*, nie jadę. – Bierze spięty wdech i koncentruje się z powrotem na stopie, zaciskając szczękę.

On ma serce. I może dostał nauczkę po swoich błędach. Wystarczającą, żebym wybaczył mu minione wykroczenia? Może minąć więcej czasu zanim *zechcę* poświęcać mu czas, ale mogę przebaczyć. Mogę mu to dać.

- Rozluźnij się – burczy Lo. – Nie będziemy cię zmuszać do zrobienia czegoś, czego nie chcesz, ale chciałbym wiedzieć *dlaczego* tu jesteś.

Ryke klęka, żeby zamieść szkło do szufelki i jego twarz pochmurnieje.

- Jeśli po to, żeby zaliczyć...

- Co? – krzywi się Garrison. – Nie. – Wzdryga się na wściekłe spojrzenie Lo. – Nie, żeby Willow mi się nie podobała.

Ryke dołącza do wściekłego patrzenia, dlatego szuka pocieszenia u mnie. Moja twarz jest mile widziana wśród twardych i szorstkich krawędzi Ryke’a Meadowsa oraz ostrych i poszarpanych Lorena Hale’a.

- Jakiś kujonowaty kosmiczny kawalerzysta zaprosił ją na bal, okej? – mówi z przekąsem Garrison.

- Declan – odpiera Lo. – Wiesz kto to. Lily mówiła, że pokazuje się w Superheroes & Scones co najmniej cztery razy w tygodniu.

- Żeby spróbować pogadać z Willow – narzeka Garrison. – I co to za chujowe imię Declan?

- Co to za chujowe imię Garrison? – ripostuje Lo.

Garrison przewraca oczami i wzdycha ciężko.

- Nieważne.

Garrison ukrywał się w worku marynarskim w bagażniku przez dwanaście godzin i nie wygląda na typa, który zrobiłby coś takiego tylko dla dziewczyny. Dlatego mówię:

- Choć wszystko to jest bardzo zabawne, nadal nie jesteśmy bliscy odpowiedzi i chciałbym je dostać w ciągu następnych paru minut.

Ryke wsypuje szkło do worka na śmieci i znika w łazience. Lo klęka przy łóżku i pokazuje gestem Garrisonowi, żeby podał mu pincetę.

On waha się chwilę po czym mu ją oddaje.

- Jest tam cokolwiek, co moglibyśmy użyć do zaszycia rany? – Lo kiwa głową na apteczkę.

Garrison jeszcze bardziej odpręża się na myśl, że nie jedziemy do szpitala.

- Możemy znaleźć alternatywę, jeśli tego naprawdę chce – mówię. Jestem pewien, że zdołamy sami zszyć ranę, ale nie będzie przyjemnie.

Garrison potakuje.

- Chcę.

Ryke wraca ze szklanką wody i daje ją Garrisonowi. Podaję mu saszetkę Advil – najlepsze co mamy, żeby powstrzymać ból.

Garrison patrzy to na mnie i na niego i, o dziwo, wygląda jakby miał się rozplakać, może jest po prostu przytłoczony.

- Myślałem, że się nienawidzicie? – Wskazuje z Ryke'a na mnie. Opierając się na prasie, można byłoby tak pomyśleć.

Ryke odpowiada przede mną.

- Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. – Opisałbym nas w podobny sposób. To przyjaciel, na którego mogę liczyć, na którym mogę się opierać, osoba, której potrzebuję w życiu.

Garrison milknie, wbijając wzrok w dywan.

- Co jest? – pytam, nie potrafiąc odczytać jego emocji.

Potrząsa głową i rozrywa saszetkę.

- Tak sobie myślałem... nie wiem nawet gdzie mam znaleźć taką przyjaźń, jaką ma wasza trójka. Moi przyjaciele są kutasami. – Parska krótkim, bolesnym śmiechem. – Ja też nim jestem...

Spoglądam na Ryke'a i Lo. Poprzez lata wzlotów i upadków, kłótni i poróżnień między sobą, staliśmy się sobie bliżsi i obaj nauczyli mnie cennych rzeczy: jak być bezinteresownym i jak znieść ból w miłości.

Nie żyję już dla samych pieniędzy, tytułów czy osiągnięć.

Żyję dla ludzi.

Nie ma nic wspanialszego.

- Wszyscy jesteście dupkami – mówi Lo do Garrisona. – Ale pewnego dnia spotkasz dupka, który nakłoni cię do bycia lepszą osobą. Tacy właśnie ludzie zostają z tobą do końca.

Garrison pociera sobie oczy, próbując to ukryć. Potem popija tabletki haustem wody.

- Przekraczamy mój pięciominutowy limit czasowy – odzywam się.

Przełyka ciężko ślinę.

- Potrzebowałem noclegu... przez ostatni miesiąc sypiałem w Superheroes & Scones. Ale dowiedziałem się, że Lily zaplanowała zainstalowanie większej ilości kamer w sklepie... ja po prostu... sam nie wiem. Nie wiedziałem gdzie indziej się podziać.

Sporządziłem listę pięciu miejsc, które pozornie powinny przewyższać stopniem miejsce, w którym znajduje się teraz.

- Dom twoich rodziców – sugeruję.

Oblizuje spierzchnięte wargi.

- Myślę, że jestem w Fauście. Chodziłeś tam, prawda?

Potakuję.

- A dlaczego cię tam nie ma? – Za szybą uderza piorun, burza wciąż szaleje.

- Wyleciałem w kwietniu... - Ciągnie za sznurek swojej bluzy. – Większość zajęć dla ostatnich klas jest na poziomie college'u, wiesz o tym?

Znowu kiwam głową. *Wiem.*

- Tak bardzo oblałem, że nie pozwolili mi nawet na przystąpienie do drugiego egzaminu ani spróbować zaliczyć zajęcia w maju. – Zarzuca kaptur na głowę. – I wiesz co, to wina moich rodziców. – Patrzy na mnie przekrwionymi oczami. – Dlaczego musieli mnie posłać do nowej szkoły w środku roku? Wiem... wiem, że spieprzyłem, ale nawet gdybym chciał



zdobyć świadectwo ukończenia liceum, to zostałem *wstrzymany*. Wiesz w ogóle, co to za uczucie?

Nie.

- Co z twoimi przyjaciółmi? Przypuszczam, że mają domy.

- Chodzi ci o tych wszystkich przyjaciół, którzy włamali się do waszego domu, żeby was wystraszyć? O tych?

- Nie – odpieram, wiedząc, co się z nimi stało. Data ich rozprawy minęła w kwietniu i wszyscy byli sądzeni, jako dorośli. Zostali skazani na rok więzienia.

- O innych przyjaciół.

- Nie mam innych – mówi. – Nikt nie chce być kojarzony ze złym facetem, ani w Daltonie, a już na pewno nie w Fauście. – Wzrusza ramionami. – Nie miałem gdzie pójść, okej? Miałem Superheroes & Scones i Willow, i tyle.

Gdyby Lily i Lo nie byli dla niego sympatyczni – gdzie by wtedy poszedł? Wszedłem do życia Lorena początkowo bez żadnych altruistycznych motywów, ale takie małe przypadki - kiedy stykamy się z życiem innej osoby, gdy ona potrzebuje tego najbardziej – mogą być decydującym czynnikiem o tym czy ta osoba postanowi obudzić się następnego poranka.

- Spaliłem list od Fausta do rodziców zanim go dostali. Ten, w którym napisano, że zostałem wylany. I wiecie... - Chwilowo traci głos. – Nigdy nie byłem dobrym człowiekiem. Nie wiem nawet, co niektórzy z was we mnie widzą... bo jestem gównem.

Jeżeli dostrzeża swoje wady i straszliwie przez nie cierpi, to myślę, że nic mu nie będzie, szczególnie przy boku kogoś takiego jak Lo.

- *Nie* jesteś gównem – mówi mu Lo tak silnie, jak zrobiłby to Ryke. – Chcesz pozbyć się tego szkła?

Rozbite dusze są naprawiane każdego dnia przez naprawione dusze, które kiedyś były rozbite.

- No. – Garrison w końcu wypuszcza głębszy oddech. – Chcę się go pozbyć.

Rose Cobalt

Poppy przyjechała dzisiejszego popołudnia razem z mężem i córką, przegapiając przerwę w dostawie prądu, niespodziankę w postaci Garrisona oraz mały atak paniki Daisy. Nie mam siły, żeby o wszystkim jej opowiadać, więc Lily i ja zachowujemy się, jakby urlop przemijał bez problemów i słuchamy newsów naszej starszej siostry.

- To istny chaos – mówi Poppy, ściągając z kuchenki gwizdzący czajnik. – Zawsze co najmniej czterech fotografów śledzi Marię do szkoły i uciekłam się do eskortowania jej razem z trzema ochroniarzami.

Lily stawia trzy filiżanki na blacie kuchennym.

- Nie ma aż tak wielkiej różnicy, prawda? – To próba Lily podniesienia mnie na duchu. Jestem bardziej wkurzona na paparazzi niż ponura i dręczona poczuciem winy, ale rozumiem, że jestem winna wzrostu zainteresowania mediów. Historia warta opublikowania skupia się na Connorze i mnie, ale wolałabym planować strategie zemsty, które najprawdopodobniej nigdy się nie ziszczą, niż uzalać się nad sobą.

- Prawda. Zwykle krążyło wokół nas maksymalnie dwóch paparazzi. – Drewniane bransolety na przedramionach Poppy brzękają o siebie, kiedy nalewa gorącej wody do trzech kubków.

Lily wrzuca do nich torebki herbaty.

Moje stawy wydają się sztywne i bezużyteczne, kiedy stoję pośrodku kuchni.

- Żadna z was nie musi marnować czasu na rozweselanie mnie. Zacznijmy od tego, że *nigdy* nie jestem wesoła. – Mój głos jest chłodny. Postanawiam założyć brylantowe kolczyki. – Nie pamiętacie? Jestem stworzona z cierni. – Gdy byłam w liceum i zachowywałam się szczególnie złośliwie i zimno, Poppy często mnie upominała: „*nie wszyscy jesteśmy stworzeni z cierni, wiesz?*”

Poppy posyła mi przepaszające spojrzenie, licząc się z moimi uczuciami, chociaż mówię jej, że nie mam *żadnych*. Mogę wymachiwać przed nią moim poczerwiałym sercem, a ona i tak powie, że bije tak jak każde inne.

- Obecna sytuacja jest okropna – mówi Poppy – i nie chciałam obrócić kota ogonem, robiąc z siebie ofiarę. – Podaje mi filiżankę, jako znak pokoju. – Wciąż mówię mamie, tacie i nawet Samowi, żeby trzymali się z daleka od waszych spraw. To jest pomiędzy tobą i twoim mężem, i nikt z nas nie ma prawa wam rozkazywać. Gdybym była na waszym miejscu z Samem, oczekiwałabym tego...

Gardłowy wrzask z zewnątrz przerywa Poppy w połowie zdania.

*Daisy.*

Filizanka wysuwa się z mojej dłoni i prawie nie słyszę jej trzasku, kiedy podbiegam do przesuwanych drzwi i je otwieram. Gdy docieram do balustrady tarasu, Poppy i Lily doganiają mnie.

Pod nami, przy jeziorze, Daisy stoi na długim, drewnianym pomoście z Rykiem u boku, ich husky siedzi przy jego stopach. Moja młodsza siostra po prostu *krzyczy* w przestrzeń, zaciskając ręce w pięści. Na moich ramionach pojawia się gęsia skórka, jej przeraźliwy, bolesny wrzask przeszywa zbocze góry.

Ryke uważa, żeby nie dotykać swojej dziewczyny, przyglądając się ostrożnie jak wyrzuca z siebie cały ciężar. Zmuszam się do stania nieruchomo, bardzo chcąc pomóc siostrze, ale nie będę im tak szybko przerywać.

*Daj im dwadzieścia minut, Rose. Krzywię się. Albo dziesięć.*

- Co się stało? – pyta cicho Lily.

- Co się *nie* stało? – Mój napięty głos pali mnie w gardle. Co jeśli to coś nowego, a nie tylko atak paniki po seansie spirytystycznym?

Poppy przykładła palce do ust.

- Myślę, że z nią zerwał.

Lily wykrzywia twarz w przerażeniu.

- Nie. – Potrząsa gwałtownie głową.

Chciałabym myśleć, że znam Daisy i nie mogę sobie wyobrazić, żeby *krzyczała*, bo jakiś facet zakończył ich związek, nawet jeśli tym facetem jest Ryke. A jeśli rzeczywiście chciałyby wrzeszczeć, to nie zrobiłyby tego stojąc przy nim. To co potrafię sobie wyobrazić: Ryke'a mówiącego „*robimy sobie przerwę*” i Daisy chowającą się w pokoju, gdzie płakałaby w samotności.

I *dlaczego*, na wszystkie świętości, Ryke miałby zdeptać serce mojej siostry podczas podróży? Podróży, która wiąże się z dwunastogodzinną drogą do *domu*?

Nie zrobiliby tego.

- Nie zerwał z nią – mówię im.

- Jesteś pewna? – pyta Poppy.

Lily wygląda, jakby zbierało jej się na płacz. Przypominam sobie deklarację Ryke'a sprzed paru dni w kuchni. Na temat małżeństwa. Nie skończyłby z nią, ale zawsze istnieje mikroskopijna szansa, iż coś się wydarzyło – coś, czego nie zauważyłam w ich związku. Oni są tacy... prywatni.

- Nie na sto procent, ale nie wierzę, żeby to zrobił, nie *tutaj*. – Splatam ramiona, walcząc z pragnieniem pobiegnięcia do Daisy.

- Nie wierzę, żeby zrobił to kiedykolwiek – mówi Lily. – On ją *kocha*.

Poppy przekręca niespokojnie swoją bransoletę.

- Niedawno mówiłam Ryke'owi jak ważny był dla mnie rok przerwy od Sama. Może zastanowił się, żeby zrobić to samo dla Daisy.

Zaciskam usta, wiedząc już o jej rozmowie z Rykiem. Poppy właśnie mówiła o tym, że nie wtrąciłaby się do mojego związku, ale jest skłonna mieszać w stosunkach Ryke'a i Daisy. Jednak rozumiem, że Poppy ma doświadczenie z byciem młodą i zakochaną, dlatego czuje większe powiązanie do *ich* związku niż mojego.

Spoglądam na Poppy.

- Ryke mówił mi o waszej rozmowie i był mocno wkurzony.

Poppy marszczy brwi.

- Na pewno?

Daisy po raz kolejny wydaje krzyk z głębi siebie, który potrząsa całym jej ciałem. Włosy mi się jeżą. *Nie płacz, Rose*. Jestem stoicką, srogą siostrą, która może wszędzie je ponieść i *nie może* być tą siostrą, zalewając się łzami.

Próbuję wypuścić duszące się we mnie powietrze. Jestem zaznajomiona z wibrującym wrzaskiem Daisy, tyle że ja wolę krzyczeć w płaszcz. Moje myśli przepływają przez dzieciństwo i okres dojrzewania, i wciąż natrafiam na blokadę, którą dzielę razem z Daisy: naszą matkę, która lubi mieszać się do naszych związków.

Powoli odwracam się do Poppy.

- Rozmawiałaś z kimś jeszcze oprócz Ryke'a o tym pomysle „przerwy”?

Poppy otwiera i zamyka usta jak jakaś zdychająca ryba.

- Wspomniałam mimochodem matce i ojcu, i...

Moje oczy płoną.

- I co?

- Ona zwróciła mi uwagę, że miałam mało światowych doświadczeń w wieku osiemnastu lat, dlatego to miało sens, że chciałam być niezależna od Sama po skończeniu liceum. Ale Daisy podróżowała po niemal każdym kontynencie od czternastego roku życia. Dopóki o tym nie wspomniała, nie przyszło mi to do głowy.

Zamieram.

- Nie zgodziła się z tobą?

Poppy potakuje.

- Właściwie to bardzo. Odkąd wsadziła Ryke'a do więzienia czuje wyrzuty sumienia. I sądzę, że poczuła się *zbyt* podobna do Sary Hale'a, jak na jej gust. – Nasza matka nienawidzi mamy Ryke'a, więc jakiegokolwiek porównywanie ich do siebie musiało wywołać u niej furję.

Trudno mi uwierzyć, że *ja* zgadzam się w czymś z moją matką, ale wolałabym, żeby była po mojej stronie niż działać na własną rękę.

Lily pociąga nosem, z którego cieknie śluz.

- A tata?

- Powiedział, iż są sobie tak bardzo oddani, że bezsensu byłoby, żeby robili sobie przerwę, chyba że Daisy chce iść na studia, ale tego nie chce.

Pomimo naszych rodziców, to opinia Daisy ma największe znaczenie.

- Rozmawiałaś już z Daisy? – pytam Poppy.

- Nie, ciągle o tym zapominam, kiedy się z nią widuję. – Poppy zakrywa usta zdenerwowana i słyszę jak przeklina po cichu.

- Nie wpłynęłaś na jego decyzję – mówię.

- Nie wiem czemu jesteś tego taka pewna – szepcze.

Lily przestaje podgryzać paznokcie i odpowiada przede mną.

- Ryke to jeden z najbardziej niezależnych myślicieli, jakich znam, a jeśli to zrobił... to zrobił to sam z siebie... prawda, Rose? – W oczach Lily wzbierają się łzy.

- Jeszcze nie płacz. To jak płkanie na tytule filmu.

Pociąga nosem i ociera oczy.

- Ty rozplakałaś się na tytule Titanica.

- Byłam ciężarna i pełna hormonów – odparowuję, fukając. – I *wiedziałam* jaka stanie się tragedia. Nie wiemy nawet o co tutaj chodzi. – To moja obrona przed wodospadem łez i dzielę się nią z Lily tak bardzo jak tylko mogę. Bo jeśli zaczniesz szlochać to to będzie niczym efekt domina.

Prostuję się, skupiając na pomoście. Milknę, kiedy Daisy chwieje się wyczerpana, wydobywając z siebie ostatni krzyk. Wybucho płaczem i uginają się pod nią kolana.

Ryke łapie Daisy w talii, przytulając ją do siebie i pada na kolana, trzymając ją w ramionach. Daisy płacze w jego ramię, a on wsuwa dłoń w jej włosy, szepcząc jej do ucha. Jego głos jest niedosłyszalny, ale obserwuję dygoczące ciało Daisy przy każdym szlochu.

Zaciskam ręce na balustradzie, żeby powstrzymać się od zejścia tam. A wtedy on podnosi wzrok na taras, zauważając moje siostry i mnie. Pokazuje nam gestem, żebyśmy podeszły.

Dlatego właśnie lubię Ryke'a Meadowsa.

Pędzę szybko w szpilkach, uważając, żeby nie zlecieć ze schodów. Opuszczam ostatni schodek i schodzę po zboczu, Lily prędko ociera policzki pokryte krostami. Poppy podnosi artystyczną spódnicę nad mokrą trawą, a ja idę na czele grupy, chociaż jeden z obcasów próbuje zaklinować się w wilgotnej ziemi.

Ryke odrywa się od Daisy, zaciskając szczękę z troską. Ona ma problem z utrzymaniem swoich ciężkich kończyn, przytłoczona smutkiem i widzę, że nie chce jej zostawiać choćby na sekundę. Klęka przed Daisy i całuje ją w czubek głowy, mówi coś poza zasięgiem naszego słuchu i wstaje.

Kieruje się do nas.

Gdy docieramy do pomostu, Ryke znajduje się parę metrów dalej, walcząc z własnymi łzami. Omija nas, mówiąc ściszonego głosem:

- Ona potrzebuje sióstr.

*Nie płacz, Rose.* Oddycham przez nos.

Lily nie czeka, aby usłyszeć, co się stało. Biegnie niezręcznie na tych patykowatych nogach, tak szybko jak może, do naszej najmłodszej siostry.

- Robicie sobie przerwę? – pyta Poppy.

- Co? – Ściąga brwi, wyglądając na oszołomionego. – Nie. Kurwa, nie. – Przeciąga dłonią po włosach.

Nie mogę się zdecydować czy chcę zaczekać na więcej informacji, czy pocieszyć siostrę, ale wiem, że Lily świetnie przytula. O wiele lepiej ode mnie.

- Co się stało? – pytam i czuję jakby ktoś dziobał mnie w żołądek widelcami i igłami.

Ryke potrząsa głową.

- Nie mogę być tym, który wam powie. Musicie to usłyszeć od niej.

- To coś złego? – dopytuję.

Potakuje.

- Chodźmy – mówi Poppy, łapiąc mnie za rękę. Idziemy razem na koniec pomostu. Lily trzyma Daisy na swoich kolanach, a ona opiera policzek na ramieniu Lily, łzy spływają po ich zaczerwienionych twarzach. Patrzę w oczy Lily, szukając odpowiedzi, ale kręci głową, odpowiadając bezgłośnie, że nie ma żadnych. Jest po prostu bardzo wrażliwa.

Poppy siada przy nich i zajmują miejsce przed trójką dziewcząt, zamykając nasz krąg. Klony szeleszczą od podmuchu wiatru, jezioro marszczy się pod nami w tej spokojnej, odległej atmosferze. Splatam palce z najmłodszą siostrą, a Poppy gładzi szatynowe włosy Daisy, odsuwając kosmyki z jej mokrych policzków.

Mój umysł nie konstruuje drastycznych wniosków. Tkwię po kolana w obecnym momencie, patrząc jak jej urywany oddech spowalnia do głębszych wdechów. Wpatruje się odległe w deski pomostu, zatracona we własnej głowie.

Ściskam jej rękę. Na razie wszystko, co możemy zrobić, to być przy niej.

Musiało minąć kilka minut, kiedy nareszcie się odzywa.

- Mam taką teorię... że jeśli kocha się kogoś tak mocno, tak przytłaczająco, tak straszliwie, to jakaś siła natury ukarze cię za straszliwą miłość i już nigdy nie będziesz taka sama. – Jej głos łamie się i drży jej broda.

Przełykam gulę.

- Bardziej podobała mi się teoria o śwince i niedźwiedziu.

Wydaje z siebie słaby śmiech, który zamienia się w ból. Poppy ociera policzki Daisy bawełnianą tkaniną spodnicy.

Wtedy Daisy odwraca głowę, wbijając we mnie zmęczone oczy.

- Od początku miałam nieregularne miesiączki, ale wszystkie o tym wiecie.

Lily i Poppy potakują. Ja nie potrafię odmrozić mięśni szyi.

- Nigdy... nie odżywiałam się zdrowo, kiedy byłam modelką – ciągnie z nierównym oddechem. – I niektóre modelki w ogóle nie miały okresów, bo tak malutko jadły i to wydawało się normalne. Wiecie? – Roni kilka łez.

Nie potrafię pojąć świata, w którym dorastała – w którym wierzyła, że to normalne, iż zaczęła miesiączkować w wieku szesnastu lat i dostawała okres dwa razy w roku. „Przepraszam” chcę powiedzieć, ale jaki sens mają teraz przeprosiny? Stało się i najlepsze, co mogę uczynić, to trzymać w kupie moją siostrę tak długo jak tego potrzebuje.

- Po zakończeniu modelingu nadal miałam nieregularne okresy – przypominam sobie, ciężko wykryć drżenie mojego głosu.

Lily patrzy na mnie.

- Ale są *lepsze* niż wtedy. Daisy tak mi powiedziała.

- Bo są – potwierdza cicho Daisy – ale wspominałam też, że wciąż są nieregularne.

- Ginekolog stwierdził, że to ze stresu. – Dobrze to pamiętam. To było w okresie mojej ciąży z Jane i Daisy miała okropne skurcze. Jej miesiączka trwała za długo, dlatego

powiedziałam, że zabiorę ją do lekarza, żeby upewnić się, że wszystko jest w porządku. Byłam *tam*, kiedy pieprzony lekarz powiedział, że powodem był *stres*, nic innego.

*Niech to nie będzie nic innego.*

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale na razie nie wydobywają się z niej żadne słowa. Poppy nadal rozczesuje jej włosy, co zdaje się odprężyć Daisy.

A wtedy Daisy ściska *moją* rękę i zdają sobie sprawę, że patrzy na mnie. Chyba wiem, jaki wyciągnie wniosek i to już miażdży moją duszę, ponieważ wiem, że musi miażdżyć jej duszę.

- Przez parę tygodni w marcu nie brałam tabletek antykoncepcyjnych – wyjaśnia niebu po czym wraca do mnie wzrokiem – i to było tak bolesne; myślałam, że to jakieś potworne skurcze czy coś. – Śmieje się smutno, by po chwili zmarszczyć mocno brwi. – Powiedziałam Frederickowi o moim miesiączkowaniu i antykoncepcji, skoro one wpływają na mój nastrój, a on powiedział, że natychmiast muszę zrobić USG.

Pali mnie gardło.

- Dlaczego nic nie mówiłaś?

- Przechodziłaś to wszystko z Connorem, Lily była w dobrym miejscu w życiu... Poppy, ty masz własną rodzinę. Nie chciałam was obciążać. Myślałam, że to może nic takiego, a jeśli tak rzeczywiście by było, to bym was nie zmartwiła, ale jeśli to było coś... - Krztusi się łzami i przysuwam się bliżej, żeby chwycić ją za obie ręce.

- Czy był z tobą przynajmniej Ryke? – Nikt nie chce wyobrazać sobie jej samej.

Przytakuje.

- Był naprawdę wspaniały. – Milknie na chwilę, jej głos łamie się przy każdym słowie. – Potem byłam zbyt smutna, żeby wrócić moim motocyklem do domu, dlatego pojechałam z nim i woził mnie przez godzinę po mieście. Poczulałam się lepiej. – Po raz kolejny kiwa głową, tym razem bardziej do siebie. – W gabinecie nie dali mi pełnych wyników. Powiedzieli tylko, że mam jakieś... torbiele na obu jajnikach, co powodowało ból i mieszało mój cykl. Powiedzieli, że mogą być nieszkodliwe, ale chcieli przeprowadzić badanie krwi przed ustaleniem, co to za rodzaj torbieli.

*„Na obu jajnikach”* wyłapuję i nieruchomieję.

Wiatr znowu porusza drzewami, gdzieś w oddali ćwierka ptaszek, co jest bardzo błuźniercze. Świat powinien rozpaczać razem z naszą czwórką, powinna nastąpić kolejna burza z ulewą i piorunami. Zamiast tego spomiędzy obłoków wyziera słońce, a ziemia porusza się dalej w swym leniwym tempie.

- Dzisiaj rano zadzwonił do mnie lekarz – mówi miękko. – Powiedział, że wróciły moje wyniki i muszę przyjść do jego gabinetu. – Wypuszcza ciężki oddech. – Poprosiłam, żeby powiedział mi teraz. Po prostu... nie chciałam czekać do końca podróży, nie wiedząc.



- Co to za torbiele? – muszę zapytać.

Po kolejnym głębokim wydechu, odpowiada:

- Endometrialne. – Ma torbiele endometrialne. To nie nowotwór, ale nie są wcale dobre.  
– Powiedział, że z powodu wielkości torbieli i stanu lewego jajnika oraz jego szyjki, najlepszym działaniem byłoby usunięcie obu.

Dawałam radę do tego momentu. Mrugam i po moich policzkach leją się łzy.

Daisy płacze cicho.

Lily przytula ją mocniej i przenosi na mnie czerwone oczy, szukając rozwiązania.

- Muszą być inne możliwości.

Kiwam głową, chociaż czuję się bezradna. Podnoszę brodę i ocieram policzki po czym znowu łapię Daisy za rękę.

- Daisy – mówię silnie. – Zabierzemy cię do innych lekarzy, żeby zaczerpnąć ich profesjonalnej opinii. Potrzebujesz różnych opinii przed taką operacją.

Daisy potakuje, ale głos ma tak samo przygnębiony.

- Trzeba było widzieć ich miny, kiedy zobaczyli USG... już wtedy wiedzieli, co to jest. Wiem o tym.

- Co z prawym jajnikiem? – pytam. Tańczymy wokół prawdziwych konsekwencji tego wszystkiego i zabieram się za nią do tego tematu. – Wciąż możesz mieć dzieci z jednym jajnikiem, Daisy.

- On powiedział, że... lada chwila torbiel może pęknąć i wtedy będę musiała go usunąć. Laparoscopia mogłaby ulepszyć jajnik, ale nie ma żadnej pewności, że coś by to pomogło ani czy by przetrwało. – Patrzy na mnie zaszklonymi oczami. – Prawdopodobniejszy jest fakt, że nigdy nie będę mieć dzieci.

W nieokreślonym czasie zawsze wyobrażałam sobie ten pomost zatłoczony od dzieci i nastolatków, ich śmiechy i krzyki wznosiłyby się w powietrze.

I byłoby sobie takie dziecko Daisy, które wspinałoby się po pobliskim klonie, chybocząc się na poskręcanej, wystającej gałęzi. Byłoby sobie takie dziecko Daisy, które skakałoby jak oszalałe i rzucało się do jeziora.

- Ciii – uspokaja Poppy. – Wszystko dobrze, Daisy.

Nie jest dobrze. To zła talia kart, ciemniejszy los, którego nigdy nie chciałam dla mojej siostry. *To się nie może tak skończyć.*

- Bycie tutaj było trudne – wyznaje przez łzy, trzęsąc się. – Wiem, co ten dom znaczy dla wszystkich i dla mnie znaczył to samo. – Wciąga ostro powietrze. – Chciałam dzieci. Wiem...

wiem, że wciąż jestem młoda, ale pewnego dnia pragnęłam je mieć. Pragnęłam tego doświadczenia; początku, środka, tego co dzieje się potem. – Urywa. – I wiecie, co jest naprawdę smutne? Autentycznie zaczęłam sobie wyobrażać przyszłość dalszą niż jutro... wymarzyłam sobie własne dzieci.

- Będziesz miała własne dzieci – mówię zdecydowanie.

Opuszcza głowę ze zwątpieniem.

- Mogłabym pójść na operację lewego jajnika i mogliby stwierdzić, że prawy też trzeba usunąć.

Nie zamierzam siedzieć beczynnie z tym smutkiem, tym samotnym zakończeniem dla mojej siostry. Chcę dać jej lepsze zakończenie. *Dam* jej takie. Potrząsam jej dłońmi.

- Spójrz na mnie, Daisy.

Kiedy podnosi głowę, w jej oczach znajduje się więcej łez. Mrugam i czuję własne.

Splątam z nią palce.

- *Będziesz* mieć dzieci. Możesz zachować swoje jajeczka, a jeśli coś się wydarzy, doniosę twoje dziecko, *tylko* dzieci ile zechcesz. – Wszystkie teraz płaczemy i przytulam do siebie te obietnice. Wiem, że to niedokładnie to samo, co doświadczenie porodu przez samą siebie, ale to jest temu bardzo bliskie. – Będą miały twoje rysy. Będziesz trzymać je w ramionach i będziesz patrzeć jak dorastają na silnych ludzi.

Daisy znajduje się gdzieś pomiędzy kolejnym szlochem, a załamany uśmiechem.

- Jesteś pewna, Rose?

Poppy pociera oczy. Nie będzie mieć drugiego dziecka, nawet jako surogatka. Jej poranne mdłości sprawiły, że wyładowała w szpitalu na kilka tygodni. Po narodzinach Marii powiedziała, że nigdy nie będzie mieć drugiego dziecka. Przez to, że ciąża ma niekorzystne oddziaływanie na uzależnienie Lily, Daisy nie chciałaby, aby ona nosiła dla niej dziecko.

Nawet gdybym nie była jedyną możliwością to i tak zgłosiłabym się pierwsza.

- Moja macica jest do twojej dyspozycji – mówię. – Kiedy tylko zechcesz mieć dziecko, jestem gotowa. – Zawsze byłam dobra w dzieleniu się z siostrami. To niczym się dla mnie nie różni.

Daisy puszcza moje ręce i przytula mnie. Moje ramiona są sztywne, ale próbuję odwzajemnić uścisk tak, jak zrobiłaby to Lily.

- Dziękuję – szepcze.

- Kocham cię – odpieram, przeczesując palcami jej włosy. Lily i Poppy dołączają do naszego uścisku, wyrażając to samo uczucie i po chwili leżymy splecione ze sobą zalane

łzami, tusz nam się rozmazał, a ścieżki naszego życia zmieniają lekko kierunek, żeby podążyć za naszą siostrą. I już nigdy nie zostawić jej samej.

Rose Cobalt

Zostajemy na pomoście, mocząc stopy w wodzie i gawędząc o wszystkim i o niczym. Daisy śmieje się, kiedy Lily opisuje przytulanie się ze spray'em na niedźwiedzie po tym jak Loren odrzucił jej pomysł o barykadzie przed niedźwiedziami.

Lily wytrzeszcza komicznie oczy.

- Jeśli niedźwiedź potrafi przedrzeć się przez stos krzeseł, to *nikt* z nas nie jest bezpieczny. Pomyśl o tym.

- Mam w pokoju siekierę – mówię Lily. – Odcięłabym głowę temu jebanemu niedźwiedziowi.

Daisy wymachuje nogami w wodzie, wyginając usta w uśmiechu. – W moim pokoju są dwa wilki, więc jestem bezpieczna.

Poppy unosi ręce w kapitulacji.

- Nie skrzywdzę niedźwiedzia. Jeśli jakimś sposobem jakiś wpadnie do mojego pokoju, Sam pomoże mi go wypędzić.

Prycham.

- Niby czym?

- Miodem – wtrąca Daisy.

Lily kiwa głową.

- Puchatek. – Rumieni się. – To znaczy Miś Puchatek... - Wykrzywia twarz. – Chwila... nie chodziło mi o to. To znaczy...

- Wiemy – przerywam tę kraksę. – Kubuś Puchatek.

Znowu przytakuje, tym razem bardziej zdecydowanie.

- Tak. Miś Puchatek. On lubi miód, więc jeśli porozstawiamy słoiki pięćdziesiąt kilometrów stąd, to może żaden się do nas nie zbliży.

Chcę zauważyć, że *nikt* jeszcze nawet nie widział niedźwiedzia, ale Poppy wyciąga się, żeby spojrzeć na siedzącą obok mnie Daisy.

- Daisy?

- Tak? – Daisy posyła jej uśmiech, żeby pokazać, że czuje się lepiej. Nie potrafię stwierdzić czy jest wymuszony, ale chciałabym sądzić, iż naprawdę nie jest już taka ponura.

- Myślałaś kiedyś o zrobieniu sobie przerwy... tak jak ja to zrobiłam z Samem? – zastanawia się. – Po prostu chciałam poznać twoje zdanie.

Przed odpowiedzią Daisy słyszę *świs*t przesuwanych szklanych drzwi. Wszystkie obracamy głowy w tym samym czasie, zauważając naszych mężów i chłopaka Daisy wychodzących na taras na drugim piętrze. Loren otwiera grilla i nikt nam na razie nie przeszkadza, po prostu zajmują się swoimi sprawami, gawędząc między sobą.

- Wyobrażałam to sobie – przyznaje Daisy – ale nie jest tak jak myślisz. – Pluska wodą. – Ilekroć wyobrażam sobie bycie samą, to cofam się do miejsca, w którym kiedyś byłam. Nie byłam wtedy szczęśliwa.

- Kiedy byłaś najszczęśliwsza? – pyta Poppy.

Daisy uśmiecha się w pełni, myśląc o tym.

- Kiedy tylko zaczęłam spędzać z nim czas. Już nie robiłam tych fajnych rzeczy sama. On surfował ze mną. Nurkował ze mną. Skakał ze mną z klifów. Miałam przyjaciela. *Prawdziwego* przyjaciela. Dowiedziałam się więcej o sobie, o moich upodobaniach, uprzedzeniach, ograniczeniach i oczekiwaniach, w towarzystwie Ryke'a niż przez te wszystkie lata spędzone w samotności. I nie chcę do tego wracać.

Obejmuję ją ramieniem w pasie.

- Nigdzie nie jest napisane, że kiedy nabywasz przyjaciela, chłopaka czy męża, tracisz swą niezależność. To nie wyklucza się wzajemnie i wszyscy powinniśmy mieć prawo do obojga. – Bez względu na wiek.

Poppy potakuje, bardziej rozumiejąc to pojęcie.

- Zgadza się.

Daisy bierze głęboki wdech, wpatrując się w niebo.

- W niektóre dni nie widzę siebie rok starszej, a kiedy indziej dostrzegam tylko daleką przyszłość.

- Lepiej, żebym w tej twojej przyszłości nadal miała gust – mówię. – Jeżeli mam na sobie za duże poncho, świat naprawdę zszedł na psy.

Wszystkie się śmieją i chwilę potem wstajemy razem. Daisy ściska moją rękę, kiedy wspinamy się po wzgórzu, wyczuwając zapach hamburgerów. Wchodzimy po stopniach na taras, gdzie wszyscy się zebrali. Willow i Garrison siedzą obok siebie na bujanych fotelach, trzymając puszki Fizz Life.

Zamierzam do nich podejść, kiedy Connor staje mi na drodze, podpierając sobie na biodrze Jane.

- Ça a été? – *Jak poszło?*

Zgaduję, że Ryke go poinformował. Kątem oka widzę Daisy i Ryke'a przy grillu. On przytula ją z ogromną ilością wsparcia oraz uczucia, jego miłość jest bardzo wyraźna.

Connor próbuje otrzeć kciukiem mój rozmazany tusz. Skupiam się z powrotem na nim.

- Urodzę jej dziecko, kiedy sama nie będzie mogła.

Nie jest wcale zaskoczony ani odrzucony tym pomysłem. Zgadza się z moim planem. Widzę to w jego szczerym uśmiechu. I kiedy mówi:

- Silna z ciebie kobieta.

Dostałam pełniejszą talię kart niż Lily i Daisy. One są równie silne, jeśli nie silniejsze. Zawsze byłam tutaj, jako dodatkowe wzmocnienie i nieważne jak się postarzejemy, nieważne jak posiwiejemy, to nigdy się nie zmieni.

Rose Cobalt

- Respirez profondément – szepcze mi do ucha Connor. *Głębokie wdechy.*

Uwięziłam tlen w płucach. Mój mózg jest *wysoce* świadom tego, co zamierza uczynić mózg Connora. Jutro opuszczamy dom nad jeziorem, dlatego to nie takie szalone, że chce przekroczyć tę naszą granicę. Myślę o tym, że we wszystkich naszych wspólnych podróżach, to zawsze pod koniec robimy coś „niezwykłego”.

Jak w Alpach. Straciłam dziewictwo przed wyjazdem.

Jak na miesiącu miodowym na Bora Bora. Uprawialiśmy seks w kabinie plażowej dzień przed powrotem do domu.

*I uwielbiałaś obie te przygody i wszystkie inne, Rose.*

Ta świadomość ledwie łagodzi mój niepokój.

Leżę na brzuchu, a on pochyla się do przodu, układając moje mokre włosy na ramieniu i ma dostęp do mojego karku. Całuje wrażliwą skórę, moje ciało zawodzi od godzinnej gry wstępnej – już jestem mokra, już gotowa na kolejny orgazm. Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę, ale... pomimo używania zabawek analnych od tygodni, wątpię, żeby Connor znajdujący się w moim tyłku wywołał jakiegokolwiek inne uczucie od strasznego.

- Przestań myśleć, Rose. – Daje mi klapsa w pośladki i wypuszczam bardziej spięty oddech. Wtedy podnosi się ze mnie.

Patrzę przez ramię. Równie nagi, co ja, siedzi okrakiem na moich udach, które są ściśnięte, leżę na wznak jakbym po prostu spała sobie spokojnie na brzuchu. Wkłada poduszkę pod moje kości biodrowe, podpierając mój tyłek do własnych zamiarów.

- Odpręż się.

Mam się odprężyć. To nie takie proste dla mojego neurotycznego mózgu. Staram się skupić na nim: jego pewności siebie, która pochłania cały pokój i mówi: „*to będzie dla ciebie przyjemne, Rose*”; jego zarysowanych bicepsach i irytująco wyrzeźbionym brzuchu, mięśniach kierujących mnie do jego penisa.

I jego kolana znajdują się po bokach *mojego* ciała – do takiego obrazka masturbowałam się, jako nastolatka. Nie mogę temu zaprzeczyć, ale w mojej fantazji nie odgrywaliś seksu analnego.

- Ciii – szepcze, wyginając usta w uśmiechu.

- Uciszenie mnie wcale nie pomoże, Richard – mamrocę.

- Je connais toutes les façons de vous aider. Croyez-moi. – *Znam wszystkie sposoby jak ci pomóc. Uwierz mi.*

Uwierzyć mu? Zaufać? Patrzę jak taksuje moje ciało wzrokiem i wolną, pożądliwą dłonią, obrysowując moją sylwetkę. Moje komórki nerwowe iskrzą się pod jego dotykiem i leciutko drżą mi nogi.

Przełykam pewne zastrzeżenia, wiedząc, że wysunąłby się ze mnie, gdybym tylko zaczęła się szarpać.

*Jesteś pieprzoną lwicą, Rose. Pozwól, żeby cię dosiadł.*

Coś zimnego i delikatnego przesuwają się po moich kostkach. Wyciągam szyję ponad ramię, chcąc odwrócić się na plecy i usiąść. Kładzie stanowczo rękę na moim tyłku, unieruchamiając mnie.

- Nie ruszaj się – rozkazuje.

- Co robisz?

Obraca się do mnie, trzymając przedmiot w pięści. Mogę się założyć, że to duplikat tego, co otacza moje kostki. Jest tak cienkie, że pewnie mogłabym to ściągnąć i unieść palcami stóp, wszystko to bez obrócenia się na plecy. Jednakże, kiedy tylko podnoszę jedną stopę, Connor chwytając moją nogę, więźąc mnie.

- Nie chcesz tego zrobić, Rose.

Piorunuję go wzrokiem.

- Czemu nie?

A wtedy nachyla się, by dosięgnąć moich nadgarstków. Podnosi je wyżej, ściskając je razem jednym silnym uchwytem.

- Bo jeśli się poruszysz, rozerwiesz to. – Ukazuje niekończący się, kuszący sznurek brylantów, łańcuszek kruchy i słaby jak szept do ucha. Ostrożnie okręca go dwa razy wokół moich nadgarstków i zapina malusieńki zatrzask.

Zastanawiam się czy to nowe produkty Cobalt Diamonds. Nawet gdyby nimi nie były, nie chciałabym roztrzaskać biżuterii – szczególnie taką, która jest w moim stylu i guście, idealnie do mnie dopasowana.

- Czy ty mnie przekupujesz? – pytam.

- Nie – odpięła stanowczo. – Potrzebuję, żebyś się *nie* wierciła, nie podskakiwała ani nie rozkładała nóg. Za bardzo przywykłaś do kajdanek.

I tak oglądam się przez ramię, żeby na niego spojrzeć. Siedzi w tej samej pozycji, trzymając ręce na moich lędźwiach.



- Zamknij oczy.

- Nie.

Daje mi klapsa. Dygoczę i zagryzam poduszkę, moje ciało pragnie większego pobudzenia. Jego palce odpowiadają na moje pragnienie, masując moją łechtaczkę przez dwie okrutne sekundy.

- Musisz być całkowicie zrelaksowana.

Już wcześniej mi wspominał, że jeśli się napręzę, poczuję ból, więc stara się jak może, żeby mnie uspokoić zanim cokolwiek zrobi.

- Zrobię to powoli – informuje, wiedząc, że nie mogę być pozostawiona z tym w nieświadomości. – Nie wejdę cały od razu, przyrzekam.

Tłumaczenie: *Znam twoje ciało. Znam twoje ograniczenia. Zaufaj mi.*

*Ufam.* Zamykam oczy i opieram policzek na miękkiej poduszce, próbując się odprężyć. Odczuwam nową temperaturę, zimną, ale trochę ciepłą. Przypuszczam, że to nawilżacz. Niedługo potem Connor stopniowo we mnie wchodzi. Gdy rozszerzenie zaczyna szczypać, jego palce zaczynają mnie naciskać i masować, tworząc gorące tarcie.

Mój umysł rzuca cień na ból, kiedy wyższe, rozkoszne sensacje błyskają w pełnym kolorze. Sapię w poduszkę, rozchylając wargi w urywanym oddechu. Zabiera palce i porusza się głębiej, coraz głębiej we mnie. Uczucie pełności (jestem pełna jego – *O Boże*) jest niepodobne do niczego...

Gdy jestem rozciągnięta do jego rozmiaru, wbija się we mnie, co chwilę, nie za szorstko, ale to pewne ruchy. Pulsowanie w moim kroczu narasta i zdaje się zrównać z jego poruszaniem w moim odbycie.

Otwieram oczy i spoglądam na niego. Ściskając mocno moje pośladki, jego ciało napręża się przy każdym pchnięciu. Nie przestaję go obserwować. To jak klęczy, jak wchodzi we mnie, jak koncentruje się na mnie. Podniecenie w jego ciemnoniebieskich oczach wznosi mnie na wyżyny odurzenia.

- Connor – sapię, nie potrafiąc zamknąć buzi. Jęczę w koldrę, kładąc wirującą głowę na poduszce.

Kolejny jęk urywa się w moim gardle, a on odchyła się, żeby odpiąć brylantowy sznurek z moich kostek, nie tracąc rytmu. Niespodziewanie chwyta mnie za kostkę i unosi ją wyżej, nie przestając się poruszać i mając teraz możliwość na pełniejszą, głębszą penetrację.

- Nie ruszaj się...

Ostrzega za późno. Jego potężna siła powoduje, że poruszam ramieniem, żeby lepiej się podeprzeć. Brylantowy łańcuszek rozrywa się na pół. On nie przestaje, żebym mogła skupić się na tym, co zrobiłam.

Gdy podpieram się dłonią o łóżko, łapie drugą ręką za mój zgięty łokieć, trzymając mnie w leciutko zmienionej pozycji. Bierze mnie mocniej od tyłu.

Posiada moje kończyny w swoim uchwycie. I ani razu nie przerywa rytmu. Jestem bardziej świadoma obecności jego penisa niż kiedykolwiek. Jestem wypełniona Connorem Cobaltem, a to jest...

Wywracam oczy do tyłu. Zwijam palce u stóp.

*Dosiadaj mnie do woli.*

Nie mogę uwierzyć, że to mi się podoba.

Ale z drugiej strony mogę. Polubiłam wiele rzeczy, których się nie spodziewałam.

\*\*\*

Jeżeli Connor jest bogiem podczas seksu, to z pewnością jest też bogiem po wszystkim. Tak bardzo dba o potrzeby mojego ciała, które musi być traktowane dziwną mieszanką szorstkiej i czulej opieki. Rozmasowuje na mojej obolałej i zaczerwienionej skórze po klapsach ciepły, gładki balsam.

Wiem, że podobało mu się tak bardzo jak mnie – jego ciężki oddech i uśmiech to wystarczający znak. Pomaga mi wstać i bierzemy razem prysznic, potem zakładamy nowe pidżamy i wsuwam się pod czystą kołdrę. Obracam się do niego i zakłada mi za ucho mokry kosmyk włosów.

- Zaraz powiesz „*a nie mówiłem*” i że wszystkie moje ograniczenia tkwią w głowie – przewiduję. Miał rację. Podobało mi się.

- Nie. – Zaskakuje mnie. – Każdy ma ograniczenia i jestem pewien, że część twoich nie jest stworzonych przez sam strach.

Mój umysł jest na powolnym, zmęczonym zejściu z wyżyn, dlatego próbuję sobie wyobrazić, jakie w ogóle mam ograniczenia.

- Nie będziesz ssał mi palców stóp – oświadczam.

Wyczuwam jego uśmiech w ciemności.

- Nie będę.

*Co jeszcze?*

Zdaję sobie sprawę, że zapytałam na głos, bo odpowiada:

- Wsadzanie pięści do odbytu.

Wzdrygam się.

- Nie.

- Ja też tego nie chcę – szepcze mi do ucha, przyciągając mnie bliżej. Czasami tulimy się (cóż za miękkie słowo) po seksie i przez jakiś czas pozwalam mu się trzymać, zasypiając w bezpieczeństwie jego silnych ramion.

Rose Cobalt

Trzymam w ręce kubek kawy, siedząc na łóżku z Connorem, a pomiędzy nami Jane bawi się książeczką z obrazkami. Przywieźliśmy tutaj gazetę i ściskam jeden koniec, podczas gdy Connor ma drugi. Moje oczy szklą się przy niektórych słowach, ciężar naszego ostatniego dnia tutaj wisi w mojej podświadomości.

Muszę poruszyć ten temat.

- Będę przemawiać po tobie na konferencji prasowej – oświadczam. – Dlatego jeśli zmienisz zdanie w ostatniej chwili, zgodzę się ze wszystkim, co postanowisz.

Connor spina się i Jane uderza w guzik w książce, głośniki wydają odgłos owcy „beeee”. Mam nadzieję, że nie czuje ironii. Los jest okrutny. Dlaczego książeczka nie mogła wydać lwiego ryku albo wilczego wycia? Nie, to musiała być owca.

Opuszcza swoją stronę gazety. Robię to samo i obejmuję kubek obiema dłońmi.

- To bardzo uprzejme, Rose – mówi – ale nie pozwolę, żebyś wyszła tam na ślepo i była zaskoczona razem z resztą świata. – Przekrzywia ciało przy wezglowiu, żeby być bardziej zwróconym w moją stronę.

- Zatem podjąłeś decyzję? – Biorę łyk kawy.

Jego spokojna mina nie słabnie, nawet jeśli robi to umysł. Connor przeciąga kciukiem po mojej dolnej wardze i dostrzegam jego wirujące myśli.

Dlatego pytam:

- Rozebrać się przed tłumem czy wyznać prawdę, kiedy nikt cię nie rozumie...

- Rozebrałbym się – wybiera nim zdążę skończyć.

Kiwam głową, czując ból w piersi z jego powodu.

- Skłaniam się ku terminowi „*nie-heteroseksualny*” – mówi. Zamierza się zdefiniować. – To obszerne, szerokie pojęcie, które dobrze się kojarzy. Podoba mi się jak inni ludzie dumnie identyfikują się jako nie-heteroseksualiści i uważam, że to bezpieczny kompromis dla mnie.

Wszystko, co mówi brzmi na wyćwiczone, jakby przerzucał sobie w głowie te zdania od tygodni. Koncentruję się na tym jak powiedział „*ludzie dumnie identyfikują się*”. Nie powiedział „*ja się identyfikuję*”. Pomiął siebie.

Siadam prosto.

- Jeśli tego właśnie chcesz, nie mam nic przeciwko, ale chcę, żebyś wiedział, że tak czy inaczej nie skrzywdzisz mnie. I nie powinieneś przejmować się, że swoją decyzją skrzywdzisz mojego ojca, matkę ani *kogokolwiek* innego.

Podnosi moją brodę dwoma palcami.

- Uwierz, przemyślałem wszystkie możliwe strony tego wyboru. – Gładzi kciukiem mój policzek. – Ważyłem każdą cenę, każde przekonanie i wszystko wskazuje na to.

Patrzę prosto na niego, moje oczy żarzą się bardziej niżbym tego chciała. Chcę, żeby były dla niego miękkie. Bo tego potrzebuje, prawda? Nie mam nawet jedwabistego głosu. Jest ostry i lodowaty.

- Na jakiej wadze je ważyłeś?

- Mojej wadze. – Uśmiecha się.

Wywracam oczami.

- Cóż, na *mojej* wadze cena twojej duszy przeciąża wszystko inne.

- Jak bardzo będę samolubny, Rose? – pyta mnie.

*Beeee!* Jane wciska ten sam guzik. Chichocze, a Connor nachyla się i przewraca stronę na zabę siedzącą na wodnej lili.

- Los twierdzi, że powinieneś być tak samolubny, jak chcesz.

- Nie mogę słuchać twojego losu ani owieczek w książeczkach dla dzieci. Muszę wysłuchać faktów.

- Nie możesz wysłuchać swojego serca? – Po raz kolejny wywracam oczami na te banalne słowa.

- Gdybym posłuchał serca, powiedziałyby tylko, żebym chronił moje dziewczyny, nic więcej.

- Gdybyś posłuchał serca, zapytałoby czy nadal żyjesz – odparowuję. – Czy naprawdę będziesz żywy po tej konferencji prasowej? Nie mówię dosłownie, Connor, więc nie waz się gadać o anatomii i naczyniach krwionośnych.

Na jego twarzy pojawia się ślad uśmiechu, a potem powraca głębokie zamyślenie.

- Nie wiem, Rose.

*Nie wiem.* Connor rzadko kiedy wyraża takie zdanie. Porusza mnie to.

- Zróbmy sobie krzyżówkę – mówię, odkładając kubek na bok i podnoszę gazetę. – Pozwolę ci wybrać temat.

Unosi brew.

- Pozwolisz mi? – Prawie się uśmiecha, a to wystarczy, żeby odepchnąć konferencję prasową w dalekie zakamarki umysłu, raz jeszcze odrzucając temat.

*Connor Cobalt*

Pomagam Lo w opróżnieniu lodówki przed wjazdem z domku nad jeziorem. Wyrzucamy do worka na śmieci wszystko, co może się zepsuć. Mój umysł zawsze działa na najwyższych obrotach, ale dzisiaj pracuje szybciej, przewijając się przez setki myśli.

- Nic ci nie jest? – pyta po raz kolejny Lo, wyrzucając resztki jajecznicy.

Mam to odległe spojrzenie, którego nie całkiem mogę się pozbyć.

- Pamiętasz swój ślub? – Wkładam dodatkową paczkę hamburgerów do zamrażarki.

- Myślisz teraz o moim ślubie?

*Myślę o wszystkim.*

- Zajmuje ułamek mojego mózgu – odpieram spokojnie. Prowadziłem jego ślub, dlatego miałem przygotowaną przemowę otwierającą. Przez tamtych dniem podzieliłem się nią tylko z Rose i dziewczyna, która rzadko kiedy roni łzy, zaczęła szlochać w naszej sypialni. Wiedziałem, że przemowa była odpowiednia, ale po wszystkim, co ostatnio osobiście przeszedłem, jej znaczenie ma dla mnie większą moc.

- Nie mogę zapomnieć o dniu mojego ślubu, nie żebym kiedykolwiek próbował – odpowiada z uśmiechem, otwierając szerzej worek, kiedy wyrzucam mleko.

Podtrzymuję jego spojrzenie.

- Gdy powiedziałem, że ty i Lily byliście najsilniejszymi ludźmi, jakich miałem zaszczyt poznać, miałem na myśli każde słowo. – Nie potrafię sobie wyobrazić zwalczania takich demonów, które oni spotykają *każdego dnia* swojego życia, które wpływają na ich ukochaną osobę, które tak samo ich rozrywają. To męka, której ledwo doświadczyłem i czuję podziw, że wyszli z tego żywi, razem.

Lo kiwa parę razy głową, przyglądając mi się, żeby odnaleźć źródło moich myśli.

- Ty i Rose... w sumie jesteście superbohaterami w moim świecie, wiesz? Jeśli ktoś ma na końcu wygrać, to tylko wy.

Mam problem z uwierzeniem w słowa, które zawsze uważałem za prawdę.

Moje zwątpienie jest nowe, ale utrzymuje się na przedzie mojego umysłu. Wiem, że za parę dni je odepchnę. To zwykła niepewność, szarawa przyszłość bez wykrywalnych dróg, która zaćmiewa mój zazwyczaj rozsądny i pewny osąd.

- Lo! – woła Lily ze szczytu schodów. – Wsadziłeś już torbę Moffy'ego do samochodu?!

- Kurde – przeklina, wahając się.

- Idź – mówię, zabierając od niego worek.

- Dzięki, skarbie – odpiera. – Zawsze wiesz jak mocno zakończyć.

Uśmiecham się, kiedy wychodzi. Spędzam kilka minut na wyrzucaniu przeważnie pustych i do połowy zjedzonych rzeczy. Nie mamy wystarczająco miejsca w bagażniku na zapakowanie zamrażarek i oszczędzanie łatwo psującego się jedzenia. Wyciągam częściowo pełen karton soku pomarańczowego.

- Hej, nie wyrzucaj tego, kurwa. – Podchodzi do mnie Ryke i wykrada mi karton. Odkręca nakrętkę i wypija sok duszkiem. Pijąc, wpycha mi coś twardego w pierś.

Biorę w ręce przedmiot... sporą *książkę*. Tytuł i kawałek okładki są przesłonięte samoprzylepną kartką. Odczytuję jego charakter pisma mówiący „*Wesołych Jebanych Świąt*”.

Nie potrafię ukryć zdziwienia, nie dzisiaj.

Wyciera usta wierzchem dłoni.

- Zamierzałem dać ci ją na następne święta, ale nie mogłem czekać. – Jego głos jest mniej szorstki niż zwykle. Kiwa mi głową. – Strona dwieście sześćdziesiąta.

Naprawdę jestem oniemiały, ale on nie czeka na reakcję. Wyrzuca teraz pusty karton soku, zostawiając mnie samego.

Odklejam lepką kartkę i obrzucam wzrokiem okładkę, pomarańczowożółty ogień piekielny wznoszący się wokół gargulców, jakby mościli się w kwiatach zrobionych z płomieni.

To „*Człowiek i nadczłowiek*”, edycja wydana przez Penguin Classics, dramat składający się ze czterech aktów autorstwa George’a Bernarda Shaw. Już ją kiedyś czytałem, ale w żaden sposób nie potrafię sobie przypomnieć co jest na stronie dwieście sześćdziesiątej. Dlatego robię, co polecił i znajduję odpowiednią stronę.

Sztuka kończy się na dwieście czterdziestej dziewiątej i zaczynają się *Maksymy dla rewolucjonistów* Shaw. W dziale zatytułowanym „Rozsądek” Ryke zaznaczył pewien cytat na żółto.

Czytam po cichu słowa.

„*Rozsądny człowiek przystosowuje się do świata: nierozsądny upiera się w próbie przystosowania świata do siebie. Dlatego postęp zależy od nierozsądnego człowieka*”.

Opieram przedramię na blacie i wypada mi z rąk worek na śmieci. Ten fragment uderza we mnie bardziej niżbym przypuszczał.

Zawsze byłem rozsądnym człowiekiem. Tak jest łatwiej. Mam skłonność do wybierania cięższych wyzwań, ale nie kiedy mam wrażenie, że to jest jak walenie głową o mur.

Żeby być po raz pierwszy w życiu *nierozsądnym* – potrafię to zrobić?



*Connor Cobalt*

- Państwo Cobalt nie będą przyjmować pytań, więc jeżeli macie jakieś zaplanowane, to sugeruję, żebyście o nich zapomnieli. – Naomi radzi grupie dziennikarzy i fotografów zebranych na konferencję prasową. Stoję na backstage’u z Rose, naszą córką, jej rodzicami i naszymi przyjaciółmi, czekając na mój znak, żeby powitać media.

Lily szepcze:

- To już leci na żywo w GBA News. – Trzyma w dłoniach komórkę Lo i pokazuje nam ekran. Faktycznie moja publicystka stoi za podium, do którego podłączono z dziesięć mikrofonów, każdy ma logo innej stacji.

Za parę sekund to ja będę tam stać.

Nie potrafię zdecydować, co czuję w tej chwili. Nie mam czasu, żeby zadzwonić do Fredericka i zapytać. Rose poprawia sobie Jane na biodrze, która mówi:

- Tatus! – Jej krzyk odbija się echem w głośniku komórki Lily, co oznacza, że mikrofony wylapały jej głos.

Kładę rękę na plecach Rose i całuję Jane w policzek. Dotyka mojej szczęki z szerokim uśmiechem i mówię cicho, żeby usłyszały tylko Rose i Jane.

- Jedyne przeprosiny, jakie dzisiaj złożę będą skierowane do was. – Moja decyzja wpłynie najbardziej na nie.

- Nie są potrzebne – odpowiada Rose, stojąc wyprostowana z uniesionym podbródkiem, gotowa na wojnę. Za to ją kocham. – A więc schowaj do kieszeni niepotrzebne przeprosiny.

Uśmiecham się na pasję w jej głosie.

- Mam pełne kieszenie, kochanie.

Wywraca oczami.

- Od czego?

- Od miłości.

Zaciska usta, żeby pohamować uśmiech, ale nie wychodzi jej to.

- Uśmiecha się dla mnie – dumam. – To owacje na stojąco, a przemowa jeszcze się nie zaczęła.

Opanowuje swój wyraz twarzy i piorunuje mnie wzrokiem.

Uśmiecham się szeroko.

- Rose, Rose, Rose – udaję zastanowienie – zawsze każesz mi zapracować na wygraną. – Tak jak to lubię.

- Richard, Richard, *Richard* – praktycznie bije moje imię. Milczy chwilę, wwiercając we mnie oczy. – Idź wygrać.

To przywraca mnie do chwili obecnej i Naomi przechodzi przez czarną zasłonę na backstage.

- Czeka ją na pana – mówi mi.

Całuję policzek Rose, a potem znów Jane. Opuszczam je.

Corbin stoi przy wejściu na scenę.

- Gdzie twoja przemowa? – Obrzuca wzrokiem mój garnitur.

- W głowie – odpieram spokojnie.

Przeklina, jakby to wszystko szło paskudnie.

- Czy ty mnie znasz? – pytam. Nigdy się nie kulę, nie garbię ani jednego centymetra mojej sylwetki metr dziewięćdziesiąt trzy. Z każdym gramem pewności siebie, którą posiadam, pozostaję wyprostowany, pewny i wysoki.

Odpowiedź zajmuje mu zbyt długo, dlatego wyciągam ramię, żeby uścisnąć mu dłoń, jakbyśmy spotykali się pierwszy raz w życiu. Dzięki przebiegłości mojego asertywnego zachowania, on naprawdę podaje mi rękę.

- Nazywam się Richard Connor Cobalt – mówię. – Jestem człowiekiem, którego IQ jest dwa razy większe od twojego. Zasugerowałbym scenariusze tobie, takie zapisane linijka pod linijką i wielką czcionką, ale ja nigdy takiego nie będę potrzebować. – Klepię go po ramieniu. – Powiedziałbym, żebyś to zapamiętał, ale mnie naprawdę jest trudno zapamiętać.

Omijam jego oszołomione ciało i wychodzę na główną scenę. Flesze błyskają w szybkiej serii, dziennikarze siedzą w około ośmiu rzędach z trójnogami porozstawianymi na obrzeżach sali, nagrywając konferencję. Staję za szklanym podium.

Bez kartek.

Bez wyświetlacza tekstu.

Nie przygotowywałem godzinami przejmującej mowy. Nie recytowałem niczego przed Rose ani przed lustrem. Tworzę to, co muszę powiedzieć w jednej chwili i całkowicie powierzam sobie osiągnięcie tego na moich wysokich, niemożliwych standardach.

Przywykłem do jaskrawych fleszy i nawet nie mrugam, kiedy zalewają mnie falą. Wszyscy dziennikarze siedzą wyprostowani, pragnąc odpowiedzi: „*Czy naprawdę spałeś z tymi facetami? Uprawiałeś seks z Lorenem? Naprawdę kochasz Rose? Jak Jane wpasowuje się do tego wszystkiego?*”

Gdy aparaty się uspokajają i nie jestem już zalany oślepiającym blaskiem fleszy, nareszcie się odzywam.

- Żadne słowa mediów nie usprawiedliwią sposobu, w jaki się zachowywali. Możecie mnie nękać. Możecie śledzić *mnie*, ale nie macie prawa straszyć bliskich mi ludzi. Skrzywdzenie mojej *żony* i potencjalnie mojej córki nie ma żadnego usprawiedliwienia, które mogłoby was postawić po właściwej stronie moralności.

Powraca do mnie dzień, kiedy Rose niemal upadła w hordzie fotografów. Wiele stacji telewizyjnych potępiło paparazzi za obleganie nas, za spowodowanie sytuacji, w której Rose musiała wyrwać sobie włosy, żeby tylko ochronić naszą córkę, ale od tamtej pory niewiele się zmieniło.

- Czy ona jest twoją żoną tylko w sensie prawnym?! – krzyczy reporter. Ochrona przeciska się przez rzędy, żeby go wyprowadzić, ale on próbuje zostać, czepiając się oparcia swojego plastikowego krzesła.

Nie zwracam na niego uwagi.

- Poznałem Rose, kiedy ja miałem piętnaście lat, a ona czternaście i przez coś, co ona nazwałaby losem, a ja okolicznością naszych hobby, nasze drogi krzyżowały się wiele razy przez dekadę.

Otwieram prywatną książkę historii dla milionów ludzi i może nadal nie rozumieją miłości, którą dzielię z Rose, ale przynajmniej dowiedzą się jak bardzo jej pragnę.

- W wieku siedemnastu lat brałem udział w tej samej krajowej konferencji Model UN, co Rose i delegat Grenlandii zamknął nas w schowku na miotły. Zabrał też nasze komórki.

Dziennikarze chichoczą na ten obrazek.

- Musiał pokonać nas w haniebny sposób, bo nie potrafił inaczej. – Rozglądam się po pomieszczeniu, patrząc na nich wszystkich, którzy milkną na to oświadczenie. – Rose powiedziała, że bycie zamkniętą ze mną w ciasnej przestrzeni było najgorszymi dwiema godzinami w jej życiu.

Wyglądają na speszonych, marszczą brwi. Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- Jesteście zdezorientowani, ponieważ nie wiecie czy tylko przesadzała, czy mówiła szczerze. Lecz prawda jest taka, że jesteśmy skomplikowanymi ludźmi ze zdolnością kochania i nienawidzenia równocześnie, i nie zamieniłbym jej na żadną inną osobę.

Zapisują notatki, po raz kolejny błyskają flesze.

- Więc tamtego dnia, tkwiąc w otoczeniu mopów i brudnych ręczników, mogłem otworzyć zamek po pięciu minutach i ją wypuścić. Zamiast tego specjalnie spędziłem dwie godziny z dziewczyną, która nosiła pasję jak suknię zrobioną z brylantów i włosy stworzone z płomieni. Każdego dnia mojego życia jestem zachwycony. Każdego dnia jestem oczarowany. I każdy dzień spędzam z *nią*.

Moja pierś puchnie od większej siły, unosząc mnie wyżej.

- Spałem z różnymi typami ludźmi i tak, ta trójka, która rozmawiała z prasą znajduje się w tym kręgu.

Flesze wzmagają na sile, razem z pomrukami, ale nie waham się.

- Rose jest jedyną osobą, którą kiedykolwiek kochałem i dzięki tej miłości wzięliśmy ślub i założyliśmy rodzinę. Nie ma za tym żadnego innego znaczenia, a wasze wymyślanie niestworzonych rzeczy to nic innego jak złośliwy atak wobec mojego małżeństwa i dziecka.

Milknę i znowu czekają uważnie na moje słowa. Tak jakbym miał uderzyć młotkiem sędziego po ogłoszeniu kim jestem. Po wejściu do ich pudełka, żeby mogli lepiej zrozumieć.

- *Cokolwiek* innego nie ma żadnego znaczenia. Nie mogę być tym, kogo ode mnie potrzebujecie. Dlatego będziecie musieli zaakceptować tę wersję albo marnować czas na kwestionowanie czegoś, co nie ma odpowiedzi. Wiem, że akceptacja nie jest prosta, kiedy nie jesteście pewni, co akceptujecie, ale wszystko, co mogę powiedzieć to, że akceptujecie mnie, jako *mnie*.

Przechodzą z konsternacji do świadomości, że to może zakończyć się na niewyjaśnionym wątku.

W moich oczach wszystko jest wyjaśnione.

Opieram ręce na podium. Obrzucam wzrokiem dziennikarzy, obiektywy kamer i godzę się dumnie oraz komfortowo z moją decyzją.

Zostawiam ich z cytatem od Sylvii Plath.

- „Głęboko nabrałem powietrza w płuca i wsłuchiwałem się w znajomy rytm mojego serca”. – Unoszę wyżej kąciki ust, uśmiechając się żywiej. – „Je-stem, je-stem, je-stem”.

Po tym oddalam się od podium i opuszczam kakofonię dziennikarzy, którzy wołają, żebym wyjaśnił.

*Dostosujcie się do mnie.*

Jestem usatysfakcjonowany bardziej niż przewidywałem.

Niektórzy będą przewijać sobie tę konferencję w telewizorach, żeby posłuchać uważnie i spróbować mnie zrozumieć. Ja nie potrzebuję ich zrozumienia, ale moja córka będzie potrzebować – i mam nadzieję, że umysły jej rówieśników są szeroko otwarte z żywymi odcieniami namiętności.

Mam nadzieję, że oni wszyscy wymalują ten świat kolorem.

Rose Cobalt

Jest trzecia nad ranem i ledwo dojechałam niepostrzeżenie do Manhattanu. Gdy wchodzę do bogatego apartamentowca, podnoszę na głowę za duże okulary słoneczne. Przesłaniały mi widok w mroku nocy, ale potrzebowałam odpowiedniego przebrania. Od południowego przejmującego przemówienia Connora, media nie straciły wściekłego zapachu. Próbowali wyssać z nas wszystkich bardziej zdecydowaną odpowiedź.

Mogę z dumą powiedzieć, iż żadne z nas nie daje za wygraną. Nie potrafiłam odgadnąć reakcji moich rodziców na backstage'u, ale zapytani o seksualność Connora, tańczą wokół tematu.

Moja komórka wibruje. *Napisz, kiedy bezpiecznie dotrzesz.* – Connor

Wie o moim planie i gdyby Jane nie była dzisiaj taka marudna, wiem, że dołączyłby do mnie. *Już jestem* – odpisuję.

Po przejściu wyłożonym dywanem korytarzem, zatrzymuję się przy drzwiach i pukam mocno, nie raz ale trzy razy, słysząc kroki. Otwierają się drzwi, ukazując terapeutę mojego męża. Frederick pociera zmęczone oczy, stojąc jedynie w niebieskich bokserkach.

- Rose? – Mruży oczy w ostrym świetle. – Co ty tutaj robisz?

- Czy naprawdę w taki sposób witasz gości, Fredericku? – zastanawiam się.

Dopiero teraz zauważa swój brak ubrania, ale zamiast się zakryć, wychyla się przez drzwi, obrzucając wzrokiem pusty korytarz.

- Nie ma ze mną Connora – oświadczam. – A ochrona tego budynku jest okropna. Powiedziałam im, że mieszka tutaj moja chora, zniedołężniała babcia i po prostu mnie wpuścili.

Frederick drapie się po potarganych brązowych włosach.

- Przyszłaś po kota – zgaduje.

- Przyszłam po *mojego* kota – potwierdzam. – Connor i ja uzgodniliśmy, że nadeszła pora, by wróciła do domu.

Spodziewam się kłótni. Jestem na nią przygotowana, trzymając swoją torebkę niczym broń.

O dziwo, otwiera szerzej drzwi, zapraszając mnie do środka. Próbuję ukryć zaskoczenie i wchodzę do jego kawalerki: wyposażonej w skórzane meble, puste ściany bez żadnego koloru, srebrne urządzenia kuchenne.

- Sadie! – wołam. – Przyszłam zabrać cię do domu. – Słyszę jej dzwoneczek na obroży, ale nigdzie jej nie widzę.

- Oglądałem konferencję prasową – mówi Frederick, siadając ospale na skórzanym stołku barowym. Nie zamierza pomóc mi jej znaleźć.

- I? – Opieram się biodrem o kanapę i grzebię w torebce w poszukiwaniu kocich smakołyków.

- Przypomniała mi jak daleko zaszedł.

Nieruchomieję, nie spodziewając się takiej odpowiedzi i patrzę w oczy Frederickowi. Tak naprawdę nigdy nic mi nie mówił o Connorze. Zawsze sądziłam, że zabraniają temu przywileje klienta-pacjenta, ale może także ich przyjaźń.

- Poznałem go, kiedy miał dwanaście lat – wyjaśnia – i uważałem go za geniusza. Wypowiadał się, jakby żył od wielu dekad, a nie od dwunastu lat. Trochę czasu zajęło mu otwarcie się przede mną, ale kiedy to się stało, zdałem sobie sprawę, że brakowało mu mnóstwa empatii dla rasy ludzkiej. Myślał o ludziach, jak o kładkach prowadzących do większych osiągnięć. Widzisz, narcyz jest niezdolny do miłości i nigdy nie sądziłem, że on pokocha jakąkolwiek duszę, dopóki nie poznał ciebie.

Ta deklaracja niemal odpycha mnie do tyłu. Wiem, że Connor mnie kocha, ale Frederick to człowiek, który widział Connora przy wielu aspektach w jego życiu. Znał go przede mną. Słyszenie, że *Frederick* wierzył, iż Connor mnie pokocha – to ma większe znaczenie, większą siłę i większą prawdę.

- Skąd wiedziałeś? – pytam.

- Nie tylko go fascynowałaś, Rose. Sprawiałaś, iż nie myślał już tylko o sobie. Zależało mu na tobie, a nie miałaś żadnego większego celu w jego życiu oprócz istnienia. – Potrząsa głową z niedowierzającym uśmiechem. – Nigdy bym nie pomyślał, że tamten dwunastoletni chłopiec stanie się tym mężczyzną. To dość nadzwyczajne.

*To prawda.* Moje serce bije z dumą dla Connora. Wracam wzrokiem do Fredericka, ignorując fakt, że jest w obwisłych, pogniecionych bokserkach.

- Chcę ci podziękować – mówię – za wszystko, co do tej pory zrobiłaś dla mojej najmłodszej siostry. – Pomógł jej odnaleźć zdrowe metody na zwalczanie stresu pourazowego i ataków paniki, i to on poradził jej, żeby zrobiła USG.

Nie umknęło to mojej uwadze.

Frederick uśmiecha się.

- Cieszę się, iż Daisy pozwala mi sobie pomóc. Chyba wszyscy się zgadzamy, że zasługuje na trochę spokoju.

- Tak. – Nie potrafię wydusić więcej, bo puchnie mi gardło. *Czy ty zaczniesz ryczeć, Rose? Przed Frederickiem w jego obwisłych, pogniecionych bokserkach?* Boże, nie. *Weź się w garść.* Dalej przeszukuję torebkę i znajduję smakołyki o smaku łososia.

Potrząsam plastikową paczką i spod kanapy wyskakuje ruda, prążkowana kotka. Chwytam ją w pasie i dziwię się, że daje mi się trzymać. Wyczuwam jej żebra.

- Ma niedowagę. – Piorunuję go wzrokiem.

- Miała nadwagę, kiedy Connor ją przywiózł.

Odrzucam włosy z ramienia.

- Była doskonała. – Drapię ją za uszami i wydaje głośne mruczenie traktora. Nadal jest doskonała. – Masz jej transporter? – Boję się, że wyskoczy mi z ramion, jeśli spróbuję wsadzić ją do samochodu.

Potakuje i kieruje się do szafy.

- Ty i Connor tworzycie dobrą drużynę.

Zdaję sobie sprawę, że Connor musiał uprzedzić Fredericka, może nie dzisiaj, bo był zaskoczony moją wizytą, ale jakiś czas temu i namówił Fredericka, żeby oddał nam Sadie. I mój przyjazd potwierdził tę decyzję, więc zabieram ją do domu.

Gdyby tylko reszta naszych problemów była tak łatwa do naprawienia. To mi przypomina o Scotcie. O ciągłym, nieugiętym obserwowaniu Jane przez media. O nieobecności Jonathana Hale'a w naszym życiu od tygodni. O Lorenie i Connorze, którzy są duszeni przez paparazzi, ilekroć gdziekolwiek razem wyjdą.

To wszystko ogromna sterta gówna. Bałagan, który może nigdy nie będzie wysprzątnięty do połysku i nieskazitelnie czysty, ale jeśli będziemy szorować trochę mocniej, możliwe, że stanie się wystarczająco czysty.

*Connor Cobalt*

- Czy Rose lepiej obciąga po tych ponad dwóch latach czy może nadal ssie? – pyta Scott ze złośliwym uśmieszkiem. – Gra słów niezamierzona. – Widział pierwszy raz, kiedy robiła mi loda, to był generalnie jej pierwszy raz, ponieważ nagrano to w łazience.

„Spal mu kutasa”.

Do mojej głowy wraca wrogi głos Rose.

Uśmiecham się w duchu. Znowu mogę mieć ją za swoje sumienie i robić to właściwie. Jestem teraz tego pewien.

- Szybko się uczy – mówię tylko.

Patrzę jak zajada niechlujnie hamburgera w przyciemnionej łoży w Saturn Bridges. Siedzimy daleko z tyłu, gdzie nikt nas nie widzi, ani fani, ani dziennikarze.

Oblizuje palce.

- Daisy pewnie mogłaby nauczyć ją paru sztuczek.

Czekam na zdawkowy śmiech, ale nie ma miejsca. On mówi poważnie.

Odchylam się odprężony i biorę łyk piwa. Wewnątrz gotuje się we mnie krew i koncentruję się na rozluźnieniu uchwytu na butelce.

- Wiesz z doświadczenia? – pytam z beztroskim śmiechem. Gra właśnie się troszkę zmieniła i przypominam sobie, żeby potem obrócić moją strategię.

Scott znowu chwyta za burgera.

- Powiem krótko; zapłaciłbym jej teraz dziesięć tysięcy, żeby mi obciągnęła, ale jej psychotyczny chłopak nigdy by nie pozwolił, żebym się do niej zbliżył. – Bierze wielki kęs.

Ryke jest psychotyczny, ponieważ ceni i szanuje kobiety. Lo nazwał wczoraj Scotta „ludzkim gównem”, ale szczerze sędzę, że to za miłe określenie.

- A podczas *Księżniczek Filadelfii*? Ryke nie był wtedy z Daisy.

Przeżuwa i popija hamburgera piwem.

- I tak ciągle byli razem. Żałuję, że nie zostawił jej ze mną na dziesięć minut. Szybko bym sprawił, żeby ta blond dziwka padła przede mną na kolana. – Po raz kolejny oblizuje palce.

Uśmiecham się i staram się strawić to kłamstwo.



- Zawsze myślałem, że lubi obciągać. – „Richard, fuj”. Wiem, Rose. Równie dobrze mógłbym żuć zgniłe mięso, niesmak spływa po moim gardle.

Przytakuje po czym celuje we mnie burgerem, a z bułki wypada sałata.

- Tak w ogóle, powinieneś wylać swoją osobę od PR. – Macza hamburgera w musztardzie. – Fakt, że kazała ci skłamać o sypianiu z garstką mężczyzn jest cholernie zjebany. Potrafię wymyślić dwadzieścia innych chwytów reklamowych, które są lepsze od tego.

Myśli, że to Naomi poradziła mi wyznanie, że spałem z trzema mężczyznami, ale żeby zostawić otwarte zakończenie, abym zyskał więcej uwagi. Dla mnie zainteresowanie medialne było efektem ubocznym mojej mowy, konsekwencją, której się spodziewałem. Dla Scotta to korzyść.

- Możliwe – kłamię, odchylając się i biorę następny łyk piwa. – Masz publicystę?

Scott wrzuca frytkę do ust.

- Nie, nie potrzebuję. – Rose warczy w mojej głowie „Mam nadzieję, że się nią udławi”.

Udaję troskę, przykładając palce do ust i marszcząc brwi.

- Co? – Przeżuwa wolniej.

- Wczoraj zatrzymałem się w biurze GBA, żeby porozmawiać o reklamowaniu Cobalt Inc. nic nie wspominałem o *Księżniczkach Filadelfii*. – Faktycznie spotkałem się wczoraj z kierownikiem reklamy w GBA, żeby celowo zakryć moje ślady. – Nie zrobiłbym czegoś bez twojej zgody z produkcją drugiego sezonu.

- No lepiej, żebyś tego nie robił, kutasie – żartuje ze śmiechem. Wyciera usta serwetką i odchyła się na oparcie, tak jak ja, skupiając na mnie całą uwagę. To jak złapanie ryby na haczyk. Patrzę jak podnosi swoje piwo. – I?

- Podśluchałem parę rzeczy. – Nie usłyszałem nic niezwykłego, ale pogłoska jest ledwie potwierdzalna tak czy inaczej. Drapię się po karku, jakby trudno mi było o tym mówić. – Mówię ci o tym, bo myślę, że ta wiedza byłaby w twoim najlepszym interesie. W innym wypadku olałbym to. – Gestykułuję do niego moim piwem. – Mimochodem padł temat *Księżniczek Filadelfii* i zapytałem czy cię znają, skoro byłeś odpowiedzialny za pierwszy sezon. Ci kierownicy... - krzywię się.

- Co powiedzieli? – pyta gniewnie, zaciskając pięść na butelce.

- Drwiąco nazywali cię *facetem od porno* i chyba nie brali cię na poważnie.

Równie dobrze mogłaby mu wylatywać para z pieprzonych uszu i mam szczerą nadzieję, że polubi te uczucia. Za kilka tygodni będzie nimi duszony.

- Wiem, że czeka na ciebie wysoka pozycja w GBA, jeżeli podpiszemy kontrakt na drugi sezon programu i mam wiele doświadczenia w świecie korporacji. Reputacja może cię ponieść albo zniszczyć, a bycie *facetem od porno* utrudni ci zdobycie szacunku od ludzi, którzy się liczą. Obietnica przez GBA dwudziestoletniej pracy z wysokim obrotem to jedno, a co innego fakt, że będziesz miał tam swój cel. Mogliby posadzić cię w boksie biurowym i kazać siedzieć cicho.

Mamrocze parę przekleństw i patrzy wściekle na ścianę. Nawet nie kwestionuje prawdziwości mojego stwierdzenia. Pewnie jestem teraz jego najlepszym przyjacielem w Filadelfii, więc czemu miałby to robić?

A potem wskazuje na mnie swoją butelką piwa.

- Jak myślisz, co powinienem zrobić?

*Jak myślisz, co powinienem zrobić?* Nazwałbym go idiotą, ale jestem większym geniuszem, kiedy kładę pistolet pośrodku stołu, mówiąc mu, żeby go podniósł i zastrzelił kogokolwiek zechce. W tym wypadku powiem, żeby wycelował nim w siebie i pociągnął za spust.

- Musisz w jakiś sposób odsunąć się od dystrybucji seks taśm. – Zostawiam otwartą decyzję Scottowi, żeby poczuł, że to jego pomysł, a nie mój. – Zapytam cię o coś: czego pragniesz bardziej, zbierać zyski z pozostałych, niewydanych filmików czy zdobyć kierowniczą pozycję w GBA, będąc kimś pożyteczniejszym od zszywacza albo faksu?

Wiem, co jest dla niego ważniejsze, dlatego właśnie da mi to, czego pragnę i nikt nie będzie zraniony.

W taki sposób nigdy nie napytasz sobie wrogów.

- GBA – odpowiada. Wypuszcza zirytowany oddech. – Oddałbym Rose te seks taśmy, gdyby po prostu, kurwa, zgodziła się na drugi sezon.

- Ona nie chce zawierać z tobą umowy – mówię. – Ale znajduje korzyści w odnowieniu reality show. Przekonałem ją, że nagłośnienie pomogłoby Calloway Couture Babies, więc sądzę, że za miesiąc zmieni zdanie. – Nieprawda. Wszyscy nadal są stanowczo przeciwni drugiemu sezonowi. Nigdy się nie wydarzy.

- Nie chcę oddawać tych filmików bez niczego w zamian i nie chcę, żeby prasa wciąż zgadywała *komu* je sprzedałem, do chuja. – *Celebrity Crush* lubi śledzić dystrybucję seks taśm i zawsze cytują w artykułach Scotta Van Wrighta.

Choć raz nietaktowne dziennikarstwo *Celebrity Crush* może obrócić się na naszą korzyść.

Czekam aż rozłoży sobie w głowie inne scenariusze i wgryzam się w mojego hamburgera z serem pleśniowym. Po pełnej minucie wbija we mnie wzrok.

- Chciałbyś je ode mnie odkupić? – pyta. – To byłaby cicha transakcja. W ten sposób zdobyłbym trochę kasy, a ty możesz sobie do nich walić konia czy cokolwiek, kurwa, zechcesz.

Wzruszam niechętnie ramionami.

- Zależy ile za nie chcesz.

- Wezmę pięćdziesiąt tysięcy za resztę. – To nic. Wcześniej otrzymał ponad milion za jeden filmik.

- Ile zostało nieopublikowanych filmów? – pytam.

- Pokażę ci – odpowiada. – Zadzwoń do mojego prawnika, ty zadzwoń do swojego i jutro odprzedam ci wszystkie prawa. – To on jest tutaj tym chętnym, gotów załatać swoją skalaną reputację zanim w ogóle zaczął oficjalną pracę w GBA.

Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, nigdy nie będzie tam pracować.

Kiwam parę razy głową.

- Spoko – mówię. – Chyba coś wymyślimy.

Rose Cobalt

Scott Van Wright (skretyniały skurwysyn) 0 – Rose & Connor Cobaltowie (genialni) 1.

Używając żelaznego pogrzebacza, wzniecę płomień w palenisku na naszym podwórku, dym unosi się do nieba obsianego gwiazdami. Ogień i majowy żar zbierają pot pod moją bluzką. Ale to najlepszy pot w moim życiu.

- Jestem gotowa – mówię do Connora, wstając i odrzucając pogrzebacz na bok.

Trzyma karton pełen płyt DVD i pendrive'ów, wszystko na co Scott zgrał filmy. Po ich dzisiejszym popołudniowym spotkaniu składającym się z transakcji finansowej i podpisanej umowy, Connor posiada teraz prawa do materiałów filmowych *Księżniczek Filadelfii*. Powiedział, iż upewnił się, że umowa jest określona. Connor pragnął *tylko* własności do materiału filmowego zawierającego nasze wizerunki – nasze sypialniane działania.

Wszystko inne wciąż należy prawnie do Scotta, ale chodziło nam tylko o seks taśmy i teraz je mamy.

Connor podaje mi opakowanie DVD i stawia karton u naszych stóp.

- Piętnaście filmów – mówi, wciąż lekko niedowierzając, że Scott mógłby zbierać z nas kasę jeszcze piętnaście razy.

Myślałam, że zostały najwyżej dwa.

To wielkie zwycięstwo i zdaję sobie sprawę, co Connor musiał zrobić, żeby je osiągnąć. Otwieram usta, żeby mu podziękować, ale przykładam palec do moich ust, żeby mnie uciszyć.

- Zrobiliśmy to razem.

Mówił, że znowu byłam w jego głowie, dzięki czemu twardo stąpał po ziemi. Staram się nie uśmiechać na to stwierdzenie, ale na pewno wyczuwa jak moje usta się unoszą.

Uśmiecha się lekko po czym prawie wybucha śmiechem, kiedy wbijam w niego porządne wściekłe spojrzenie. Zsuwa palce na moją brodę.

Opieram rękę na biodrze.

- Odwracasz moją uwagę od naszego wyzwolenia.

- Już zostaliśmy wyzwoleni. Twój ogień to tylko ceremonia.

- *Nasz* ogień – poprawiam.

Jego uśmieszek zamienia się w pełen uśmiech.

- *Nasz* ogień – zgadza się.

Otwieram plastikowe opakowanie, widząc podpisaną markerem płytę DVD: *Pokój Rose. 4/23/13 – przywiązana do krzesła, 43 minuty*. Przewraca mi się w żołądku. Od razu wrzucam ją do ogniska, wydając z siebie warknięcie.

Zatrzymuję się.

Przez chwilę wsłuchuję się w satysfakcjonujące trzaski roztapiającego się plastiku, moja dusza rozpala się z każdym wybuchem iskier, pomarańczowy żar błyszczący niczym radosne fajerwerki.

Nareszcie. Niszczę rzeczy, którymi Scott nas krzywdził.

Connor obejmuje mnie w pasie, kiedy płomienie pochłaniają te filmy.

- Teraz ty. – Podaję mu opakowanie DVD, nie chcąc zaglądać do środka.

Bez chwili zawahania wrzuca pudełko do ogniska i po niecałych pięciu minutach dorzuciliśmy do skwierczącej sterty każde urządzenie, a na dodatek karton.

Rozkładam na trawie koc polarny i siadamy na miękkiej tkaninie, obserwując jak najmroczniejsza część naszego życia spala się na popiół.

Rozumiem, że filmy znajdujące się w sieci nigdy nie znikną, ale odzyskaliśmy piętnaście intymnych chwil i one na zawsze pozostaną nasze. Wdycham przecyszczające powietrze, wypuszczając z siebie brzydotę, która ciągnęła się za mną tyle czasu.

Wdycham i wydycham. Silne ramię Connora obejmuje mnie niczym dodatkowy koc bezpieczeństwa i ciepło. Orientuję się, że opieram się o niego i niedługo potem odrywamy wzrok od ognia i patrzymy na siebie.

Connor zawsze miał te ciemnoniebieskie, ascetyczne oczy, które przemieszczają się pomiędzy spokojem, a twardymi prawdami. Tak jakby posiadał całą wiedzę i historię świata, mroczne czasy i te radosne. Za jego własnym prawem znajdują się te wszystkie ponure i cudowne fakty o tysiącletniach ludzkości: pierwszych podróżnikach, pierwszych filozofach, pierwszych naukowcach.

Gdy teraz patrzę w jego oczy, tysiąc ludzi kurczy się do dwójki. Dwójki ludzi. Tylko nas. Fakty są zamiecione z prawdą i historia dzieje się w tej chwili. Obok ogniska.

Obejmuje moją szczękę, nabierając tchu w płuca, jego oddech łączy się z moim.

- „Marzenia są prawdziwe, kiedy trwają” – recytuje szeptem – „a czyż my nie żyjemy marzeniami?”

Słyszę jego serce pod tymi słowami.

- Tennyson – odpowiadam, biorąc mocny wdech.

Przez jego zwykle pozbawioną wyrazu twarz przechodzi cała gama uczuć, oczy robią się zaczerwienione, marszczy czoło. Przyciąga mnie bliżej i wszystkie sentymenty towarzyszące miłości ciągną mnie do niego, a jego do mnie.

Cytuje:

- „Nie mogę wrócić do dnia wczorajszego, ponieważ byłem wtedy zupełnie inną osobą”.

- Lewis Carroll – mówię cicho. – „*Alicja w Krainie Czarów*”. – Łapię go za ramiona, nie spuszczaając z niego rozpalonego wzroku.

Czuję się z nim szalona, tak ogarnięta miłością, że nie potrafię rozwikłać moich pomieszanych, obciążonych myśli.

Przesuwa wzrokiem po mojej twarzy, jakby chciał przedłużyć swój pobyt o jedną minutę, jedną godzinę – cokolwiek dostanie od czasu, weźmie to. Dotykam jego dłoni na moim policzku, nasze wargi boleśnie pragną się zetknąć.

- „Łez moich krople w iskry ognia zamienię”.

Przytulamy się jeszcze mocniej.

- Szekspir – odpowiadam. – „*Henryk VIII*”.

Odchyła mnie do tyłu, kładąc na kocu. Unosi się nade mną, trzymając przedramiona po bokach mojej głowy, jego usta znajdują się tak blisko moich. Moje wnętrze rozgrzewa się im dłużej otacza nas cisza, im dłużej trzaska ogień i palą się nasze błędy.

Connor odczesuje moje włosy i pochyla się, by szepnąć:

- Tak długo jak będę żyć, będę żyć z tobą.

Tracę opanowanie po tych słowach, czując wzbierające się łzy. Nie dlatego, że są one z mojej ulubionej sztuki albo ulubionej książki, lecz dlatego, że należą wyłącznie do niego.

Stałam w sukni ślubnej.

Stałam naprzeciw niego, naprzeciw tego narastającego uśmiechu i wyszeptał: „*Tak długo jak będę żyć, będę żyć z tobą*”. Siła jego przysięgi bije mocno w moich żyłach.

Odpowiadam to, co niemal trzy lata temu.

- W duchu i umyśle, żyję z tobą.

Ociera kciukiem moje łzy, znajdując się jeden pocałunek od moich ust i szepcze:

- Żyję z tobą.

Splata ze mną palce, jego oczy są zaszkłone i całuje mnie tak uczuciowo, że moje ciało podnosi się, aby spotkać się z nim.

Siła *naszych* przysięg bije mocno w moich żyłach.

Przerywa pocałunek tylko raz, sunąc wargami do mojego ucha i wpatruję się w nocne niebo, płonąć żywcem od tej miłości.

- Wieczność nie jest wystarczająco długa – mruczy kolejny wers, który należy do niego.

*Wieczność nie jest wystarczająco długa.*

Gorąco, niewątpliwie się z tym zgadzam.

*Connor Cobalt*

W sobotnie popołudnie na siłowni są zajęte wszystkie maszyny. Pewnie powinniśmy byli zostać w domu, ale Ryke i ja zbyt długo byliśmy uwięzieni w środku, żeby ćwiczyć w piwnicy. Nie pomógł fakt, że kiedy opuściliśmy naszą dzielnicę, pojechały za nami trzy wozy paparazzi i poinformowały o naszej lokalizacji media.

- OŻEŃ SIĘ ZE MNA, RYKE'U MEADOWSIE! – Słysząc przez szklane ściany. Mężczyźni stojący przy ciężarkach rzucają nam niezadowolone spojrzenia za zamieszanie.

Ryke próbuje to zignorować, robiąc pompki w wolnej przestrzeni. Loren ćwiczy przy nim brzuszki, a ja stoję na czubkach jego butów, żeby utrzymał równowagę.

Popijam wodę i dostrzegam na zewnątrz plakaty, tak jak i piszczący tłum dziewczyn i facetów. Wyliczam napisy dotyczące „Drużyny Ryke'a”.

- Pięć propozycji małżeństwa, trzy rozmnażania i jedna pieprzenia – mówię. – Ktoś powinien im powiedzieć, że psy nie potrafią czytać.

Ryke podnosi rękę z podłogi, żeby pokazać mi wulgarny gest za nazwanie go zwierzęciem. Po czym kontynuuje robienie pompek na jednej ręce. Właśnie skończyłem ćwiczenia krążeniowe, dlatego nie dołączam do Ryke'a, żeby się z nim prześcigać.

Po prostu góruję nad jego smukłą sylwetką.

- Siad, piesku – żartuję.

Kąciki jego ust unoszą się w miniaturowym uśmiechu. Ledwo da się to dostrzec i może nie zajrzałem pod wszystkie warstwy Ryke'a Meadowsa, ale wiem jedno: jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Zrobiłbym dla niego wszystko i jestem pewien, że on odwzajemniłby się tym samym.

Lo odpręża się po ostatnim brzuszku, rozkładając za sobą ręce. Schodzę z jego butów, ale wciąż stoję. Patrzę jak jego uśmiech ustępuje miejsca zadręczonej minie i marszczy brwi.

- Co jest? – pytam.

Podnosi wzrok z jeszcze większymi wyrzutami sumienia. On nosi na swoich barkach więcej niż trzeba, obwiniając się, mimo że nigdy bym nie pomyślał o skrzywdzeniu go.

Unoszę brew.

- Nigdy w życiu nie zdołałbyś zastąpić mnie inteligentniejszą, bardziej dowcipną i przystojniejszą istotą ludzką – ponieważ żadna taka nie istnieje – więc cokolwiek zrobiłeś, nie wkurzę się.

Wzdycha ciężko.



- Znowu zacząłem rozmawiać z tatą. Tylko przez telefon – przyznaje. – Czuję tak cholerny konflikt, bo czuję, że jeśli w ogóle o nim *pomyślę* to biorę jego stronę, nie twoją. A to wcale nie tak, to co zrobił było złe, ale on po prostu jest zagubiony...

Ryke zatrzymuje się w połowie pompki i siada. Milczy, oddychając ciężiej, ale przypuszczam, że bardziej z nagłej zmiany tematu niż ćwiczeń.

- Nie mam nic przeciwko – odpowiadam szczerze. – Jonathan nigdy nie będzie moją ulubioną osobą, ale ciężko mi chować urazę do człowieka, który popełnił kretyński błąd z pośpiechu, strachu i miłości. – Złośliwe zamiary zmusiłyby mnie do refleksji, ale nie czuję do niego czegoś takiego. – Więc proszę – mówię Lo – nie obwiniaj się ze względu na mnie.

Lo kiwa parę razy głową, przetrawiając to. Patrzy na swojego brata, który nic nie powiedział.

- On musi dostać nauczkę, Lo – przypomina mu Ryke. – Sam to powiedziałaś, pamiętasz? Nie możesz tak łatwo mu wybaczać, kurwa. Pomyśli sobie, że w przyszłości może nam robić więcej takiego gówna. Chcesz, żeby Moffy dorastał w takiej atmosferze? Masz pieprzone dziecko...

- Okej – przerywa mu Lo. – Rozumiem. – Wypuszcza kolejny ciężki oddech, podpierając się z tyłu rękoma i patrzy z powrotem na mnie. – Wracaj do moich stóp, skarbie.

- To nie całkiem moja ulubiona pozycja, ale dla ciebie zrobię wyjątek, kochanie.

Zamierzam stanąć na jego stopach, kiedy czterdziestokilkuletni mężczyzna stojący przy półce z ciężarkami kaszle pod nosem:

- Pedaly.

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, Loren Hale właśnie zmasakrowałby całą siłownię w ciągu dwóch sekund.

- Co mówiłeś? – pyta gniewnie, nie musząc krzyczeć, skoro facet stoi dosłownie trzy metry dalej.

Mężczyzna podnosi osiemnastokilogramową sztangielkę i milczy.

Nie mam żadnego poczucia winy wobec decyzji wyznania prawdy. Że w przeszłości sypiałem z mężczyznami. Jestem dumny z moich życiowych wyborów i nie pozwolę, żeby inni zachodzili mi za skórę i zmuszali do wstydu, kim jestem.

W moim ciele nie ma ani jednej kości, która by się kulila. Moja sylwetka metr dziewięćdziesiąt trzy zawsze będzie wyprostowana.

- Nie mogę znieść ludzi – mruczy pod nosem Ryke.

- Następnym razem pójdziemy do parku dla psów – odpieram żartobliwie.

- Kurewsko przeza...

Niespodziewanie, nie wiadomo skąd, tamten facet *upuszcza* osiemnastokilogramową sztangielkę na rękę Lorena, która opierała się na betonowej podłodze. Lo wydaje zduszony, bolesny odgłos i Ryke podrywa się na nogi.

Odruchowo klękam przy Lo, żeby sprawdzić uszkodzenie jego dłoni.

- Co ci, kurwa, odbiło?! – krzyczy Ryke na koleś, który dyszy w głębokiej wściekłości.

- Nic mi nie jest – mówi do mnie Lo, zaciskając zęby i podpierając sobie prawą rękę. Trzy knykcie są wyraźnie zmiążdżone i przypuszczam, że z resztą kości jest tak samo.

- Nikt *tutaj* nie chce tego oglądać! – Mężczyzna wskazuje z obrzydzeniem na Lo i mnie.

Już wcześniej, dokładnie w tej samej siłowni, stałem na stopach Lo. Żartowaliśmy bez niczyich sprzeciwów. Jednak to wszystko się zmieniło po tym, co wyznałem i nigdy tego nie cofnę. Ale wolałbym, żeby ten facet rzucił pieprzonym ciężarkiem we *mnie* niż krzywdził mojego przyjaciela.

- Mów za siebie! – To nie mówi Ryke. Ani ja. Ani Loren. To jakiś przypadkowy facet siedzący na ławeczce do ćwiczeń.

- Tak! – woła ktoś inny z drugiego końca pomieszczenia.

- To *ciebie* tutaj nie chcemy, koleś! – Te słowa są skierowane do faceta ze sztangielkami. W naszym kierunku zaczynają iść pracownicy siłowni w koszulkach z czerwonymi kołnierzami.

- Wy tak na serio? – Z głosu faceta cieknie pogarda. – Oni *flirtowali!*

- Buuuuuu! – Odgłos dochodzi z bieżni.

Ryke uspokaja się dzięki wsparciu od ponad połowy siłowni i kuca przed młodszym bratem, oglądając jego szybko puchnącą dłoń. Lo patrzy na mnie z wyrazem „*dasz wiarę?*”. Nie chodzi mu o jego ranę. W jego oczach widać więcej zdziwienia oraz podziwu niż bólu.

Chyba podzielam część tego podziwu – jestem dumny, że nietolerancja może spotkać się z taką reakcją. Pracownicy mówią cicho do mężczyzny.

- Nie wywalacie mnie. Ja *wychodzę* – prycha. – I powiem wszystkim pieprzonym znajomym, żeby nie przychodzili do tej pedalskiej siłowni.

Gdy tylko kieruje się do drzwi, niemal wszyscy zaprzestają ćwiczeń i zaczynają bić brawo na jego wyjście, równie zadowoleni, co my.

- Przyłączyłbym się, ale... - Lo krzywi się, próbując zacisnąć rękę.

- Potrzebujesz jebanego gipsu.

- Potrzebuję drinka.

Ryke patrzy na niego miazdząco.

Lo unosi brwi.

- Żartowałem. – Po chwili dodaje: - Obiecuję.

Ryke potakuje, wierząc mu i sięgam po lewą rękę Lo, pomagając mu się podnieść.

Lo po raz kolejny wykrzywia twarz.

- Najpierw chcę pojechać do domu i obłożyć ją lodem...

- To nie jest pieprzone skręcenie – odparowuje Ryke.

Patrzę ze zmarszczonymi brwiami na Lo.

- Zwykle to twój brat unika szpitali, nie ty.

- Kiedy tylko zaparkujemy w pobliżu ostrego dyżuru, wszystko pojawi się w wiadomościach i wolałbym pojechać do domu, przez godzinę trzymać rękę w lodzie i powiedzieć Lily. W ten sposób dowie się o tym ode mnie.

Gdybym musiał wybrać, kto spośród nas ma najwyższy próg bólu, to zdecydowanie byłby to Loren Hale.

\*\*\*

- Proszę cię, Lil. Nic mi nie jest. Wszystko dobrze... - Lo stara się uspokoić żonę uściskiem, a ona w kółko ociera mokre policzki, próbując opanować się dla niego. On uważa na prawą rękę, wszyscy stłoczyliśmy się razem w kuchni.

- Wiem... ja tylko... widzę, że cię boli. – Pociera policzki obsypane plamami, czując wyrzuty sumienia, że płacze w obliczu jego urazu.

Razem z Rose szukamy w kuchni jakichkolwiek środków przeciwbólowych. A Daisy zapina plastikową torebkę pełną kostek lodu i przekazuje ją Lily, która podaje ją Lo.

Szturcham się ramionami z Rykiem, kiedy idzie do lodówki i rzucamy sobie spojrzenia mówiące „*ty pierwszy stałeś mi na drodze*” po czym wracamy do naszych celów.

- Ręka prawie mnie nie boli – mówi do niej Lo, próbując zacisnąć palce w pięść, ale ma problem z poruszeniem stawami.

- Nie rób tak! – Lily ściska jego ramię, otwierając szeroko oczy. – Nie musisz mi niczego udowadniać, Lo.

Lo kiwa raz głową.

Naprawdę chcę go zawieźć do szpitala. Logiczna część mnie – czyli prawie cały ja – sprzeciwia się jego decyzji, żeby zostać w domu.

Rose i ja kończymy przy tej samej niższej szufladzie, kucamy i przegrzebujemy plastikowe pojemniki, szukając czegokolwiek, co mogłoby mu pomóc.

- Nie chciałem wam przerywać filmu na tak długo – mówi Lo. Obraca się do Willow, która siedzi spokojnie na stołku barowym, przyglądając się wszystkiemu nieśmiało, pełnymi szacunku spojrzeniami. – Masz gówniany dzień.

Willow poprawia sobie okulary w czarnych oprawkach. – Bycie rzuconą w dzień balu maturalnego nie jest tak złe, co złamanie ręki.

Kości policzkowe Lo zaostrzają się, kiedy zgrzyta zębami.

- To zależy. – Dla Lo cierpienie emocjonalne zawsze będzie przewyższać cierpienie fizyczne.

Rose podaje mi nowy koszyk i szybko przeglądam lekarstwa na alergię sezonową oraz środki udroźniające górne drogi oddechowe, nie znajdując nic silniejszego od Advil. Rose warczy cicho i ogląda się przez ramię na Lo.

Ja też.

- Zawiozę go za dwadzieścia minut – mówi pod nosem.

Powiedziałbym, że ja zawiozę go za dziesięć, ale sposób w jaki Lily trzyma rękę na jego pasie, powoli prowadząc go do drzwi garażu – myślę, że bardziej za pięć minut będzie się kierował do szpitala.

Rose i ja wstajemy razem, trzymając jedynie buteleczkę Advil. Wysypuję parę tabletek i podaję mu. Daisy szybko przynosi szklankę wody.

- Czy wszyscy możecie przestać svirować?

- Nic nie powiedziałem – zauważam.

- No właśnie – odpiera.

Ryke jest zajęty robieniem kanapki z indykiem, kładąc plasterki sałaty na mięsie i nie wierzę ani przez chwilę, że to samolubny akt zaspokojenia własnego głodu.

Daisy wskakuje na blat obok niego, wymachując nogami.

- Oglądaliście kiedyś *Młodą Wiktorię*? – pyta Ryke'a, Lo i mnie, wykorzystując łatwe rozproszenie uwagi do złagodzenia napięcia.

- Oglądacie to teraz? – pyta Lo z grymasem na twarzy. Patrzy na Willow. – Pozwoliłaś, żeby Rose namówiła cię do obejrzenia nudnego, historycznego filmu?

W mojej kieszeni wibruje komórka.

- Sama nie wiem... komiksy sprawiały, że myślałam o Declanie, dlatego Rose zaproponowała coś innego. Jak na razie mi się podoba.

Twarz Lo robi się surowsza.

- Nie pozwól, żeby zrujnował ci czytanie komiksów, Willow. To gówniane z jego strony. Okej?

Willow przytakuje, ale wpatruje się ponuro w blat, a ja nie mogę dłużej ignorować mojego telefonu. Sprawdzam wiadomość.

*„Jesteś wolny? Przyjdź za pięć minut. Przyjechali moi dwaj kumple z L.A. i będziemy się dobrze bawić”* – Scott

Muszę się zgodzić.

Podnoszę wzrok i życie nadal porusza się tym samym tempem. Ryke przekraja swoją kanapkę na pół i przechodzi przez kuchnię, żeby dać ją Lo.

- Dzięki, brachu. – Lo przyjmuje jedzenie lewą ręką.

Gdy Ryke wraca, raz jeszcze przekraja połówkę kanapki i podaje ćwiartkę Daisy. Wspina się na blat przy jej boku, zjadając resztkę. Często dzielą się jedzeniem, ale ten dzisiejszy gest przypomina mi jak stali się sobie bliscy i jak są podobni do siebie.

- Twoja komórka – mówi do mnie Rose.

Po raz kolejny wibruje i zauważa wiadomość na moim ekranie.

*„Zacniemy bez Ciebie”* – Scott

Nie wiem, co oznacza „zacniemy”, ale wiem, że muszę tam być. Mogę posiadać seks taśmy, ale brakuje mi pewnego, obezwładniającego zwycięstwa, które wyrzuci Scotta z naszego życia, zapewniając, że już *nigdy* więcej go nie ujrzymy.

To delikatny proces, który możliwe, że dzisiaj może stanąć na ostrzu noża. Jeżeli przyjechali jego kumple z L.A., to może będzie skłonny zrobić coś nielegalnego, żeby ich zabawić, a ja oczywiście jestem zaproszony.

Jestem jego najlepszym przyjacielem.

- Muszę iść – szepczę do Rose.

Kiwa głową, stojąc wyprostowana i jej oczy płoną, jakby zamierzała pokonać Scotta, który siedzi sobie po drugiej stronie ulicy w domu tak bliskim naszego. *Muszę iść*, myślę.

Nie chcę się od niej odrywać. Wolałbym zostać tutaj i palić się żywcem, ale opierając się na faktach – opierając się na przyjeździe jego przyjaciół – wyczuwam, że to jest *to*. Ostatni raz, kiedy muszę znieść jego obecność.

- Będę tutaj dla ciebie. – Przekazuje, że będzie w tym domu.

Będzie o wiele bliżej mnie. Nie mam wątpliwości, że będzie siedzieć w moim umyśle, tuż obok mnie, nawet jeśli będzie boleć. Tego właśnie potrzebuję.

Przechodzę przez foyer i otwieram drzwi. Schodząc podjazdem do ulicy, zauważam znajomą twarz idącą w tym kierunku. Gdy się zbliża, widzę formalne, czarne spodnie, białą koszulę oraz bukiet wiosennych kwiatów.

Garrison Abbey.

Kiedy wróciliśmy do Filadelfii po pobycie w domku nad jeziorem, podrzuciliśmy Garrisona pod dom jego rodziców, żeby musiał zmierzyć się z wyrzuceniem z Fausta. Willow mówiła, że zamierza zapisać się na następny rok do Maybelwood Preparatory, szkoła znajduje się godzinę drogi stąd i ironicznie jest tą samą, do której uczęszczał Ryke.

Spotykamy się przy podjeździe Scotta i, o dziwo, zatrzymuje się zamiast mnie ominąć, tak jakby czekał, aż powiem mu, że dokonuje właściwej decyzji.

- Gdzie idziesz? – pytam Garrisona, chociaż jestem stuprocentowo pewien jego celu i planów. Kwiaty. Formalny strój. Pora. Wszystko to wskazuje na bal.

Przeczesuje sobie brązowe włosy.

- Jakiś kretyn porzucił Willow, dlatego postanowiłem ją zaprosić... - urywa, szukając w mojej pustej twarzy reakcji.

Nie pokazuję żadnej. Zaczyna zachodzić słońce.

- Masz parę godzin przed rozpoczęciem balu.

Garrison celuje we mnie kwiatami, wykrzywiając twarz w zdezorientowaniu.

- Wiesz... ludzie w Fauście wciąż o tobie gadają. Starszoklasiści mówili, że miałeś na wszystko odpowiedź, że byłeś jakimś cudem.

*Cudem.* Prawie się śmieję. Jestem usatysfakcjonowany wiedzą, że ta nieśmiertelna, boska wersja mnie nadal krąży po dormitoriach i korytarzach Fausta. Jestem jeszcze bardziej usatysfakcjonowany wiedzą, że bezbronny mężczyzna pozostaje w ramionach Rose, mojej pełnej pasji, wspaniałej żony.

- Oto, jaką mam odpowiedź dla ciebie – mówię. – Zaproś swoją przyjaciółkę na bal bez żadnych samolubnych powodów, bez próżnych motywów, tylko dlatego, że ją podziwiasz i wolałbyś spędzić dwie minuty siedząc obok niej na tańcach niż pięć godzin w towarzystwie *kogokolwiek* innego.

Ściąga brwi w zastanowieniu, jakby to do niego dotarło. „*Bardzo ją lubię. Robię dobrze*”.

Garrison i Willow pozornie nigdy nie zostaliby przyjaciółmi. Ona siedzi w środku w spranych ogrodniczkach, niebieskiej bluzce z wzorami nietoperzy i przekrzywionymi okularami na nosie. Jest zamknięta w sobie i dużo czyta. On jest buntownikiem i wygnańcem.

Ich unikalne zainteresowania mogą się ze sobą nie łączyć, ale robi to coś wewnątrz ich serc – a to robi różnicę.

Czas mi ucieka, więc zaczynam kierować się stromym podjazdem.

- A ty gdzie idziesz? – pyta zaciekawiony Garrison.

Spoglądam raz przez ramię.

- Naprostować coś.

Kiwa mi głową.

- Powodzenia.

Uśmiecham się.

- Doceniam sentyment, ale ja nie potrzebuję powodzenia. – Odwracam się i idę niewzruszenie do mojego celu.

*Pieprzyć powodzenie.* Przygotowywałem się na to miesiącami, żeby postawić się w tej pozycji na szachownicy i jednym ciosem mogę nareszcie przewrócić najbardziej odrażającego przeciwnika, z jakim kiedykolwiek się mierzyłem.

W moich ostatnich ruchach nie ma żadnego szczęścia.

Wyrazy uznania należą się tylko mnie.

*Connor Cobalt*

Biorę piwo od Scotta i siadam na kanapie obok Trenta. To trzydziestoletni modny fotograf z L.A., czarne spodnie na szelkach i wąsy podkręcone do góry to wystarczający opis jego osoby. Znam go tylko z ciągłego, irytującego wspomnienia Scotta o tym, że Trent wiele lat temu przespał się z Daisy po sesji zdjęciowej.

- Scott mówi, że jesteś spoko – odzywa się do mnie Trent, przygryzając końcówkę wykałaczki.

- W jakim sensie? – Popijam piwo.

- Pisziesz się na wszystko, nie bierzesz życia zbyt poważnie, w tym sensie.

Moje życie jest dla mnie poważne. Ma znaczenie. Siedzę w klatce pajaców, zachowując się tak jak oni, ponieważ nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Scott egzystował w moim świecie przez niewymierną ilość czasu. Daję mu dodatkowe pół godziny, a potem zniknie.

- Wszystko się zgadza – odpieram z uśmiechem, biorąc kolejny łyk piwa.

Scott wchodzi do salonu z pilotem w ręku.

- Simon dalej sra? – pyta.

Najlepszy kumpel Trenta wymiotuje w łazience odkąd przyszedłem.

- Wciągnął za dużo koki przed lotem – mówi Trent. – Mówiłem mu, że masz zapas, ale był przekonany, że spędzi bez niej dwa dni.

- Idiota. – Scott zasiada w kwadratowym, nowoczesnym fotelu. Przełącza telewizor na wtyczkę łączącą ekran z jego komputerem. – Wybierzcie jedną cyfrę z siedmiu.

- Ja czy Connor? – pyta Trent.

- Obojętne. – Przewija listę odtwarzania filmów, każdy opisany jednocyfrową liczbą i obserwuję jak jego kursor rozświetla każdy po kolei.

1

2

3

4

5

6



I znowu zaczyna od początku, czekając aż wybierzemy. Patrzę na Trenta i nie wydaje się zmieszany tymi filmami. Przypuszczam, że oglądał niektóre, jeśli nie wszystkie.

Dlatego mówię:

- Ty wybierz.

Trent patrzy spod zmrużonych powiek na numery.

- ...nie pamiętam filmu, w którym każe jej się rozebrać.

- Jest naga w czterech z siedmiu – odpowiada Scott, kursor rozjaśnia te cyfry.

4

5

6

7

Rozkładam ramię na oparciu kanapy, ale ściskam mocniej komórkę. Już domyślam się, co to jest i muszę wymyślić nie podejrzliwą wymówkę, żeby szybko wyjść. Przykładam telefon do ust w drwiącym zastanowieniu.

- Czy wy zawsze to robicie w wolnym czasie? – pytam z beztróskim uśmiechem.

Miałem nadzieję, że ich nielegalne aktywności złączą się i skończą na narkotykach. Odpowiedź, która dobija się do mojego mózgu ma wstrząsające konsekwencje, a jeśli choć raz postawię zły krok, wszystko się dla mnie niedobrze skończy.

- Koleś, kiedy zobaczysz, co ma Scott, pożałujesz, że nie pokazał ci tego szybciej – mówi mi Trent. – Ale to nie przebija realnego doświadczenia. – Śmieje się i klepie mnie po ramieniu, popijając swoje piwo i potwierdzając, że przeleciał tego kogoś, kto jest na filmie.

- Cholerny farciarz – mamrocze Scott.

*Daisy.*

Jestem pewien na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Byłem pewny tylko na dwadzieścia procent, kiedy Scott wspomniał o niej w kontekście seksu oralnego w Saturn Bridges i ta pewność wzrosła do siedemdziesięciu procent, gdy pokazał ponumerowane filmy. Ale teraz już wiem.

Daisy znajduje się na wszystkich siedmiu. Istnieje tak wiele powodów, dlaczego *nigdy* bym ich nie obejrzał. Dlaczego nie mogę. Dlaczego robi mi się niedobrze, kiedy choćby wyobrażam sobie Scotta, Trenta i kogokolwiek innego, którzy oglądają je w kółko.

- Ten – mówi Trent.

Udaję, że dostałem wiadomość.

- Cholera – przeklinam, czytając starego smsa i podrywam się na nogi.

- Co? – Scott zatrzymuje kursor na numerze szóstym.

- Jane spadła z pieprzonego krzesła. – Przeczesauję sobie włosy, wyglądając na zaniepokojonego. – Zaraz wrócę... możecie zacząć beze mnie.

- Pewnie nic jej nie jest – odpiera Scott. – Nie chcesz tego przegapić. – Włącza film.

- Jak długo trwa? – pytam.

- Ten jakieś pół godziny – mówi, machając do mnie pilotem, żebym wrócił i do nich dołączył. Waham się, żeby dać wrażenie, iż naprawdę chcę to obejrzeć. Naprężam mięśnie, zmuszając się do pozostania w sztucznym zaciekawieniu.

Na ekranie pojawia się piwnica domu na przedmieściach, w dolnym prawym rogu jest znacznik czasu pokazujący datę okresu nagrywania *Księżniczek Filadelfii*. Kamera obejmuje mały pokój z łóżkiem i drewnianą komodą. Na brzegu łóżka siedzi były chłopak Daisy, podczas gdy ona jest wpólnaga i zaczyna ściągać majtki.

*Nie patrz.*

*Za późno.*

Moje serce dudni mocno, zółć podchodzi do gardła i wciąż spoglądam na komórkę, udając, że Rose nie przestaje do mnie wypisywać.

Scott twierdził, że zniszczył nagrania z Daisy, ale wyraźnie zatrzymał trochę z tego, co sfilmował podczas *Księżniczek Filadelfii*. Tak jak reszta, nie miała pojęcia, że w sypialniach były umieszczone kamery. Dlatego rozbierała się i sypiała ze swoim tamtejszym chłopakiem bez obaw, że zostanie nakręcona.

Daisy miała wtedy tylko siedemnaście lat.

- Zdejmij je, mała. – Trent śmieje się i patrzy na mnie. – Obciąga mu przy piętnastej minucie.

Staram się wyglądać tak jak tego oczekuje – na podekscytowanego, lecz przygnębionego, iż muszę iść do domu i to przegapić. Spoglądam na komórkę i jęczę.

- Cholera.

- Co? – pyta Scott.

- Rose myśli, że Jane zraniła sobie ramię. Zaraz wracam. – Po tym wybiegam przez drzwi, a oni nie będą kwestionować moich motywów.

Gdy biegnę w dół podjazdu, wszystkie fakty uderzają we mnie jednocześnie – fakty, które wyszukałem po Saturn Bridges, aby potwierdzić, co już wiedziałem.

*Prawo stanowe Pensylwanii zakazuje fotografowania i nagrywania stosunków seksualnych dotyczących dzieci poniżej osiemnastego roku życia.*

Biegnę szybciej.

*Prawo stanowe Pensylwanii karze dobrowolne oglądanie lub posiadanie dziecięcej pornografii w domu osoby.*

Jestem tak bliski dołączenia do niego w złamaniu prawa, ale nie dlatego pędzę, nie dlatego przyspieszam tempo po dotarciu do skrzynki pocztowej.

Istnieje tylko mała szansa, żeby zrobić Scotta w chuja. Nie mogę ryzykować czekania kolejnej godziny czy tygodnia. To jest koniec.

Gdy wpadam do domu, wbiegam po schodach na górę, nie zwracając uwagi na Lo, Garrisona i Ryke'a siedzących w salonie.

- Connor?! – woła Lo z niepokojem w głosie.

Idę pewnie korytarzem, słuchając grupki głosów dobiegających... z mojego pokoju. Obracam się gwałtownie i otwieram drzwi, zauważając dziewczęta nachylające się nad toaletką i Willow. W kilka sekund odgaduję, że zgodziła się pójść na bal z przyjacielem, a Rose, Lily i Daisy pomagają jej w przygotowaniu.

Wszystkie cztery głowy odwracają się do mnie równocześnie.

- Potrzebuję ciebie i ciebie – rzucam, wskazując na Daisy i Rose. Pokazuję im, żeby poszły do łazienki.

- Co się dzieje? – pyta Lily, nie wiedząc, czemu ją opuściłem.

- Connor? – Rose prostuje się i podchodzi do mnie, podczas gdy Daisy niepewnie kieruje się do łazienki.

Chwytam Rose za tył głowy i szepczę szybko do jej ucha, wyjaśniając wszystko w paru zdaniach. Czuję jak jej ciało sztywnieje.

- Co się, kurwa, dzieje? – pyta Ryke z progu, który przyszedł za mną razem z Lorenem. Wyciągam rękę, przekazując mu aby przez chwilę się nie wtrącał.

- Chce porozmawiać z Daisy – tłumaczy Lily.

Gdy kończę opowiadać wszystko Rose, przez jedną sekundę wygląda na przerażoną po czym przybiera wściekły, wrogi wyraz twarzy, a z jej żółtozielonych oczu wylewa się jad.

- Będziemy za pięć minut – mówi Rose, biorąc mnie za rękę i podąża za mną do łazienki.

- Cobalt! – krzyczy Ryke.

Rose zamyka przed nim drzwi i Daisy wskakuje na blat umywalki, wymachując nogami.

- Co tam, koledzy?

Stoję ramie w ramie z Rose, przygotowując się do zrzucenia granatu na dziewczynę, która już zbyt wiele wycierpiała. Zwykle zawsze posiadam właściwe słowa, ale trudno jest wyrazić ciężar, który zaraz wyzwolę – i co on oznacza dla jej życia.

Rose również milczy. Jak powiedzieć młodej dziewczynie, że została zbezczeszczona? Pamiętam, kiedy kupiłem i zniszczyłem zdjęcia, w których rozbierała się na backstage'u – od fotografa – żeby oszczędzić czegoś takiego Daisy i dzięki dziwnej pętli zaraz i tak doświadczy pewną wersję tamtego.

- Kochani? – Jej uśmiech słabnie. – Co się dzieje?

Po moich plecach i ramionach przechodzi gęsia skórka.

- Właśnie się dowiedziałem, że Scott nadal posiada materiały filmowe z *Księżniczek Filadelfii*, w których jesteś ty. W swojej sypialni.

Jej mina rzędzie.

- Co... jak...

- Nie są w sieci. Nie mogą być. – Próbuję złagodzić jej niepokój. – To dziecięca pornografia, Daisy. Jego nagrywanie czegoś takiego to zbrodnia, nie wspominając o oglądaniu.

Wpatruje się w sufit tak przerażona, jak była Rose.

- Zapłaci za to – mówi stanowczo Rose. – Okej? *Nie* ujdzie mu to na sucho, ale potrzebujemy twojego pozwolenia, żeby zadzwonić na policję.

Daisy potrząsa głową oszołomiona.

- Dlaczego potrzebujecie mojego pozwolenia? To nielegalne...

- Daisy... - Rose puszcza moją dłoń i kuca przed siostrą, łapiąc za ręce siostry. – On ma twoje nagrania, które będą podstawą sprawy przeciwko niemu. Być może będziesz musiała iść do sądu i zeznawać... lub przynajmniej dać oświadczenie.

- On skrzywdził *ciebie* – mówi Daisy ze wzbierającym się łzami, jest prawie tak wkurzona jak siostra. – Skrzywdził *mnie*. Kogo jeszcze zrani? – Nabiera mocnego tchu i wyciąga do mnie rękę.

Marszczę brwi, nie rozumiejąc.

- Chcę zadzwonić na policję.

Myślę, że dwa lata temu Daisy miałyby problem ze staniem we własnej obronie, nawet w sytuacji tak groteskowej i fatalnej, jak ta. Poprosiłaby mnie, żebym zadzwonił na policję. Poprosiłaby swoją siostrę, żeby to zakończyła. Kogokolwiek innego, byleby nie była to ona.

Rose staje prosto i pokazuje mi, żebym podał Daisy komórkę i w oczach Rose widnieje duma. Nawet *przytula* siostrę do swojego boku.

- Na jak długo pójdzie do więzienia? – pyta Daisy, gdy przekazuję jej telefon. Dla Rose, wsadzenie Scotta na wieczność do więzienia byłoby łatwe. Dla mnie byłoby to niewinne działanie. Dla kogoś takiego jak Daisy to trudne, ale nie słyszę w jej głosie żalu.

Unosi wysoko podbródek tak jak Rose, naśladując potężne, pewne siebie nastawienie starszej siostry.

- Może na pięć lat – odpowiadam – i zostanie zarejestrowany, jako przestępca seksualny. – Może zmierzyć się także z sądem federalnym, ale w tej chwili patrzę na prawo stanowe i samo to zniszczy mu życie.

To nie szantaż ani niesprawiedliwość. Scott idzie do więzienia za przestępstwa, którym umykał i które przekręcał od lat. Gdybym nigdy nie został jego przyjacielem, nigdy bym się nie dowiedział, co trzymał w domu. Nigdy by nawet nie *pomyślał*, żeby mi to pokazać albo mi zaufać.

Nigdy bym nie dotarł do tego miejsca.

Daisy przykłada telefon do ucha.

- Dzień dobry, chciałabym zgłosić przestępstwo...

Rose Cobalt

Dwa radiowozy stoją zaparkowane przy krawężniku, jeden przy domu Scotta i jeden przy naszym. Wywiercam dziury w skrzynce pocztowej Scotta, czekając aż ten obrzydliwy nieszczęśnik pokaże się w kajdankach.

- On współpracuje – informuje nas funkcjonariusz. – Zabieramy jego komputer, jako dowód, a z tego co do tej pory widzieliśmy uzyskamy nakaz przeszukania jego domu.

*Doskonale.*

Connor stoi razem ze mną na krańcu naszego podjazdu, spokojny i opanowany, podczas gdy ja *gotuję się ze złości*, jestem rekinem z szeroko otwartą paszczą, lwicą przykucniętą i gotową do ataku z obnażonymi pazurami.

- Jeżeli potrzebujecie zapisów z mojej komórki, możecie je wziąć – mówi Connor. – Napisał mi dzisiaj, żebym tam przyszedł, a kiedy zobaczyłem, co zamierzał obejrzeć, natychmiast wróciłem do domu, żeby zadzwonić na policję.

Funkcjonariusz zapisuje te informacje w swoim notatniku.

- To będzie pomocne, dziękuję.

Rozweselałam się, kiedy tylko dostrzegam drugiego policjanta po drugiej stronie ulicy, trochę na ukos od nas. Wyprowadza z tamtego domu trzech facetów. Connor powiedział, że dwóch nazywa się Trent i Simon, i oczywiście rozpoznaję wśród nich Scotta, który nie szczerzy się już z samozadowoleniem. Patrzy wilkiem na radiowóz, wszyscy trzej mężczyźni są skuci w kajdanki.

„*Obróć się*” rozkazuję mentalnie Scottowi, ale wciąż wpatruje się w pojazd. Znajdują się poza zasięgiem naszego słuchu i patrzę jak Trent i Simon wsiadają do samochodu, a drugi funkcjonariusz zamyka za nimi drzwi. Kładzie rękę na ramieniu Scotta i prowadzi go do radiowozu przed nami.

- Proszę mi wybaczyć – mówi policjant, opuszczając nas, żeby porozmawiać ze swoim partnerem.

Scott Van Wright jest skuty w kajdanki.

Scott Van Wright idzie do więzienia.

Scott Van Wright już nigdy więcej nie uzyska *niczego*, co pragnął.

- Było tak wiele dni – mówię do Connora – kiedy myślałam, że zawsze będzie chodził sobie wolno, podróżował swoim *jachtem*. – Wykrzywiam się w zdegustowaniu. – Będzie się

opalał, ćpał i najwyraźniej oglądał moją najmłodszą siostrę... - Nawet nie potrafię dokończyć tej prawdy.

Oglądanie mnie to jedno, ale świadomość, że przez cały ten czas, bez naszej wiedzy, walił sobie konia do *Daisy*... to naprawdę karygodne.

Connor obejmuje mnie ramieniem w pasie.

- Te dni minęły – ogłasza najlepszą istniejącą prawdę.

Dwaj policjanci rozmawiają na boku, pozostawiając Scotta przy drzwiach samochodu, który znajduje się bliżej nas niż ich. Słyszę słowo „kokaina”, dlatego przypuszczam, że zostanie skazany za coś więcej niż samo nagrywanie i oglądanie dziecięcej pornografii.

Scott przeważnie stał do nas plecami, ale nareszcie się odwraca, opierając się biodrem o drzwi samochodu. Złośliwa furia zamienia się w odpychającą pogardę, kiedy patrzy na mojego męża i mnie.

Connor spleta ze mną palce. Jestem jeszcze wyższa u boku mojego męża, moje dwunastocentymetrowe szpilki wydają się potężne.

Nie posiadam żadnych wyświechtanych drwin dla Scotta, typu „*przyjemne kajdanki?*” czy „*baw się dobrze w piekle?*”.

Jego czyny były tak nikczemne, tak obrzydliwe, że w moim słowniku nie ma *żadnego* słowa wartego przyczepienia się do niego. Pozwalam, żeby moje piorunujące spojrzenie paliło go dziesięciokrotnie mocniej.

Scott parska krótkim, rozsierdzonym śmiechem.

- Ty jebana suko...

- Nie – odzywa się Connor, uciszając Scotta. – Następny raz, kiedy powiesz cokolwiek uwłaszczającego na temat mojej żony albo innej kobiety, nastąpi w więzieniu.

W duchu robię boszo zwycięskie okrążenia wokół mojego podjazdu z uniesioną w górę pięścią i wyję do słońca. Coś takiego zrobiłyby moje siostry. Wyobrażam sobie dumnie, że są tutaj razem ze mną, odczuwając ten triumf.

Scott wbija morderczy wzrok w Connora.

- Ani razu nie byłeś ze mną szczery, prawda? Nie tylko ta jedna rzecz zmusiła cię do zmiany nastawienia. A może jednak?

W najbardziej opanowanym tonie, na jaki go stać, Connor odpowiada:

- Wiesz, co to wąż eskulapa? Nie. – Patrzy na mnie. – Rose?

Wiem do czego z tym zmierza.

- Gatunek niejadowitego węża – odpieram z wysoko uniesioną głową.

- W którym znajduje się także wąż zwany szczurem. – Connor po raz kolejny skupia się na Scotcie. – Wężę szczurze są jak normalne węże, oprócz chwili, w której są pochwycone. Gdy łapiasz w pułapkę węża szczurzego, ten spróbuje pożreć własne ciało. – Po chwili dodaje: - *Ty jesteś wężem szczurzym i powoli zjadałeś się na śmierć odkąd przeprowadziłeś się na drugą stronę ulicy.*

Mina Scotta – mieszanka wstrząsu, furii i przerażenia – jest bezcenna. Wygląda jakby chciało mu się rzygać i teraz bardziej wspiera się o wóz. Wpatruje się w przestrzeń, jakby dodawał sobie wszystkie miesiące, kiedy Connor go oszukiwał. Komentarze Connora pod moim adresem, adresem jedynej osoby, którą kiedykolwiek kochał. Żeby osiągnąć to, co osiągnął Connor i nadal posiadać duszę – to wymaga rzadko spotykanej siły i mocy, której nie dorówna żaden inny człowiek, nie do tak niezbadanego stopnia.

Scott powoli podnosi wzrok na mojego męża.

- Jesteś psychopata.

- Nie – mówi Connor. – Po prostu naprawdę cię, kurwa, nienawidzę.

Wtedy funkcjonariusze wracają do samochodu. Connor i ja żegnamy się z nimi krótko i wracamy w górę naszego podjazdu, dystansując się od Scotta.

Connor całuje moją dłoń.

- On a gagné. – *Wygraliśmy.*

Słyszę trzask drzwi samochodowych. I wypuszczam z siebie *ostatni* zraniony oddech, który uwięził we mnie Scott.

- On a gagné – powtarzam z rosnącym uśmiechem.

*Wygraliśmy.*



Rose Cobalt

Przeładam wieszaki z dziecięcymi ubrankami w jednym z największych dziecięcych domów towarowych. Plisowane sukienki, tiulowe spódniczki, bluzki z kołnierzykami w stylu Piotrusia Pana – wszystko w szerokim wachlarzu pastelowych kolorów wiosny i lata. Chłopięca kolekcja jest natchniona żeglarstwem, zawierając koszulki w paski, spodnie khaki oraz dżinsowe tkaniny.

Moje usta unoszą się na widok kwiecistej sukienki koloru morskiego z białym kołnierzykiem. Bez wzorów w zebry, żab oblizujących muchy i małpek zajadających się bananami. Prostota i kobiecość – to mój styl. Ściągam sukienkę ze stojaka i przyglądam się metce.

No i proszę: *CCB* z małą wstawką *HC*.

Loren zbliża się do mnie i podaje mi lemoniadę.

- Faj. – Lo udaje grymas i zasłania oczy ręką. – Powrócił ten uśmiech.

Ten szczególny dom towarowy jest dzisiaj zamknięty ze względu na przyjęcie, obecni są wszyscy pracownicy Hale Co. i zamiast zabawiać mężczyzn, który woleliby robić wszystko na opak temu, co im mówię, dołączam do towarzystwa mojej największej nagrody.

Te ciuchy. Ta kolekcja. W domu towarowym.

- Przyzwyczaj się, Loren – odparowuję.

Przekrzywia do mnie głowę.

- Już się przyzwyczailem. – To mały, naprawdę *miły* moment pomiędzy nami i zdałam sobie sprawę, że ostatecznie współpraca z nim nie jest taka zła. To znaczy nie jest idealna, ale też nie okropna. Boże, prawienie komplementów Lo zawsze będzie wielkim wyczynem.

Kiwa głową w stronę Marka i Theo oraz wszystkich innych pracowników, którzy tłoczą się przy chłopięcych ubrankach.

- Ale jeśli go utrzymasz, to pomyślą, że dostałaś, co chciałaś.

- Bo dostałam – mówię. – To moje zwycięskie okrążenie. – Odwieszam sukienkę. – Może za jakiś czas nie będę musiała udawać gardzenia wszystkimi rzeczami, które mi się podobają, żeby zostać usłyszaną.

- Ja też tego dla ciebie chcę, wiesz.

- Czy to twój sposób wyznania, że *zawsze* jesteś po mojej stronie?

Parska śmiechem.

- Nie przesadzajmy, Angeliko.

Mrużę oczy.

- Sam ten komentarz czyni z ciebie większą Angelikę ode mnie – odpieram jak zawsze. Rzuca mi ironiczny uśmiezek, nie zaprzeczając. Oboje od czasu do czasu zamieniamy się we wrogie bachory. Popijam moją lemoniadę, unikając gadki o pracy wśród moich kochanych współpracowników.

- Sprawdzałaś ostatnio Twittera? – pyta mnie Lo.

- Nie. Nie wchodziłam tam od konferencji prasowej. – Nie chciałam, żeby ktokolwiek zrujnował mi przemowę Connora. Zachował się odważnie, a czytanie komentarzy takich jak „*on nie kocha tej suki! Wykorzystują siebie nawzajem! To wszystko jest takie sztuczne!*” zniszczyłoby coś pięknego.

Lo niespodziewanie sięga do mojej czarnej torby i odskakuje od niego z oszalałym wzrokiem.

- Przepraszam? – warczę.

Posyła mi cierpkie spojrzenie.

- Próbuję wyciągnąć twoją komórkę.

- Nie możesz tak po prostu grzebać w damskiej torebce. – Zaciskam wargi. Nie nauczył się tego, skoro Lily nie cierpi nosić torebek.

Po raz kolejny sięga do mojej torby i odtrącam jego palce. Nachyla się bliżej i mówi pod nosem:

- Właśnie *uderzyłaś* swojego szefa, Rose.

Wbijam palec w jego pierś.

- Och, spójrzcie, przypadkiem *szturchnęłam* mojego szefa paznokciem.

- Raczej szponem. – Odtrąca *moją* rękę i kończy się na tym, że wyciąga własny telefon, obracając go do mnie.

Nie rozumiem.

- Co to jest?

- To co próbowałam ci pokazać... schowaj to wściekłe spojrzenie, Angelika. Przeczytaj.

- No dobra – burczę, biorąc jego telefon. To tweet od Lily.

*#RCC To jest miłość.*

RCC to inicjały moje i Connora. Lily dołączyła do tweeta zdjęcie Connora i mnie sprzed roku z Meksyku. Jestem w ciąży, siedzimy blisko siebie na jachtowych leżakach. Moje żółtozielone oczy przeszywają Connora na wskroś, a jego uśmiech skierowany do mnie jest równie rażący. Ogień przy wodzie.

4800 osób podało dalej tego tweeta a 12000 polubiło. Przeglądam Twittera Lily i przekonuję się, że pełno na nim podobnych zdjęć ukazujących moją dynamikę z Connorem. Niektóre zrobiła nam bez ostrzeżenia. Na przykład na pidżamowej imprezie w domku nad jeziorem, gdzie Connor i ja wpatrywaliśmy się w siebie bardzo długą chwilę, aby zobaczyć, kto pierwszy przegra.

Napisała: *#RCC To jest miłość. #kujonowategwiazdy*

Moje serce rośnie.

- Robi to od kilku tygodni – wyjaśnia Loren. – Spójrz, co jest trendowane.

Wychodzę z profilu Lily i widzę więcej tweetów z podobnym hashtagem.

**@morningside32:** *#RCCtojestmiłość kiedy inteligencja jest seksowniejsza od sześciopaka.*

**@heatherveronica:** *#RCCtojestmiłość kiedy grasz ze mną w szachy i nie pozwalamy sobie wygrać*

**@fashionpleeeaze:** *#RCCtojestmiłość kiedy patrzysz na mnie z miłością, nieważne w jakim jestem humorze*

**@neverneverland:** *#RCCtojestmiłość kiedy dzielimy się sekretami za gazetą <3*

**@hearmeroar29:** *#RCCtojestmiłość kiedy wyrwałabym sobie włosy, żeby ochronić córkę & Ty zawstydzilbyś media za zawstydzanie nas.*

Trzymam odrętwiałe palce przy wargach, przytłoczona. Kwestionowałabym skąd ci wszyscy ludzie wiedzą o pewnych drobniejszych szczegółach mojego związku z Connorem, gdyby Lily nie zrobiła nam tylu zdjęć. Wrzuciła tak wiele szczerych momentów pomiędzy Connorem i mną – rzeczy, których nigdy bym nie utrwałała, którymi nigdy bym nie pomyślała, żeby się podzielić.

Dzięki temu orientuję się ile miłości widzi między nami moja młodsza siostra, a teraz jak wielu ludzi zaczyna ją także dostrzegać.

Świat trendujący hashtag: *#RCCtojestmiłość*

- Oszalała – mówię otępiale. – Oszalała i kocham ją.

Loren śmieje się.

- Przekażę jej.

- Sama jej to powiem – mówię stanowczo. Tysiąc razy wyznałabym mojej siostrze, że ją kocham. Zanim sprawiła, że moja miłość jest znana światu. I zdecydowanie po tym.

## Rose Cobalt

Moja matka *caluje w powietrzu* moje policzki, kiedy tylko wychodzę na oszkloną werandę, nigdy nie widziałam, żeby coś takiego robiła. Jeżeli to jej sposób na rozpoczęcie nowego rozdziału w życiu, w porządku.

- Witaj, solenizantko – mówi wysokim tonem matka, klepiąc moją córkę po głowie. Trudno mi sobie wyobrazić, aby zachowywała się tak wobec własnych niemowląt, ale może wnuczęta to co innego. Czuje się bardziej zobowiązana do bycia nazbyt słodką i mniej dyscyplinarną. Jednak z drugiej strony nie była taka w stosunku do córki Poppy, więc może czas także jest tutaj czynnikiem.

Poprawiam sobie Jane na rękach, która gaworzy w odpowiedzi do babci, jedyne rozpoznawalne słowa to „*cześć!*” i „*niebieski*”.

Nie wiem skąd „niebieski” wylądował w jej maleńkim słowniku, ale nie kwestionuję tego tak często.

- Czy to teraz twój ulubiony kolor, Jane? – pytam normalnym głosem.

Jane uśmiecha się, jakby świat właśnie nabrał dla niej niebieskich barw.

Nie jest niebieski. Właściwie to różowy.

Różowe ciastka, różowe róże, pastelowo różowy obrus. Stawiam Jane na ziemi i trzymam ją za rękę, kiedy zaciekawiona przygląda się obrusowi, ściskając swojego wypchanego lwa.

- Ładnie – mówię do matki, pokazując udekorowany stół. Przez szyby prześwituje poranne słońce, a nad nami leniwie wirują wiatraki. Nic tu nie jest przesadzone. Myślałam, że wynajmie kwartet smyczkowy i zorganizuje na zewnątrz spotkanie towarzyskie przy herbatce.

Powiedziałam matce, że jednoroczne dzieci nie będą pamiętać swoich urodzin i żeby zachowała rozrzutne przyjęcia na okres, kiedy będą rozróżniać podwórkowy karnawał od dziesięciodolarowej torebki serpentyn z Party City.

- Postawiłam na prostotę, tak jak mówiłaś – odpowiada i patrzę jak bezgłośnie liczy krzesła przy długim stole.

- Wszyscy przyjdą – zapewniam. Jane ciągnie za moją sukienkę i biorę ją z powrotem na rękę. Opiera policzek na moim barku.

Matka wypuszcza miękki oddech.

- Wiesz, przez chwilę sądziłam, że nie pozwolisz mi urządzić przyjęcia urodzinowego dla Jane.

- Dziwisz się? – pytam. Już nie siedziała po mojej stronie podczas jednego z najbardziej wstrząsających momentów w moim życiu. Potrzebowałam, żeby wsparła Connora i moją miłość do niego, nawet jeśli nie rozumiała jej w pełni.

- Nie, nie dziwię. – Dotyka swojego naszyjnika, który nie jest sznurkiem pereł. Tym razem to srebrny łańcuszek. – Rozpędziłam się z osądem... ja i twój ojciec. – Nim zdąży powiedzieć więcej, otwierają się drzwi werandy i pojawiają się Connor z moim ojcem.

Oboje wyglądają na rozluźnionych i Connor ma swój zwykły, zadowolony wyraz twarzy, niewiele pokazując. Zbliży się do nas, łaskocząc ramię Jane, która chichocze i wierci się na moim biodrze.

- Twój ojciec przeprosił – wyjaśnia, patrząc przelotnie na mojego tatę.

Ojciec kiwa parę razy głową i odchrząkuje.

- Łatwo mi przybrać ofensywę, kiedy czuję, że moje córki i firma są zagrożone jednocześnie. To było niewłaściwe, ale... jedyne, co widziałem to czerwień. Przepraszam.

Miło wrócić do tych samych stosunków i mam szczerą nadzieję, że wytrwają.

- Doceniam przeprosiny – mówię.

- Słyszeliście, że Scott nie wy dostał się za kaucją? – pyta nas tata.

Nim zdążymy powiedzieć *tak*, matka mówi:

- Powinien dostać dożywocie za to, co zrobił. – Zauważam furię w jej sztywnej postawie. Przypuszczam, że potrafi być opiekuńczą kwoką. Po prostu potrzeba odpowiedniego pocisku skierowanego do nas, żeby wyrosły jej rogi i chuchała ogniem jak ja.

- Connor nie sądzi, że on stanie przed sądem – oznajmiam.

Scott utknął w więzieniu, ponieważ sędzia odmówił mu wypuszczenia za kaucją, dlatego musi tam siedzieć i czekać możliwie miesiącami. Jego sprawę rozpatruje sąd federalny, więc prawdopodobnie spróbuje *wyślizgnąć się* poprzez ugodę obrońcą.

Moja matka wygląda na przerażoną czymś takim.

- Ława przysięgłych musi uznać go za winnego.

- Jeżeli przyzna się do winy – odpowiada Connor – i pójdzie na ugodę, to pewnie nie będzie wcale lepsze od procesu. – Scotta Van Wrighta czeka od pięciu do dziesięciu lat więzienia.

I jego nazwisko *nie* zmaćmi radosnej atmosfery pierwszych urodzin Jane, więc postanawiam zmienić temat.

- Matka mówi, że jesteś na diecie – mówię do ojca, stosując wyraźną dygresję, ale nigdy nie byłam subtelna.

Śmieje się krótko.

- Mam wysoki cholesterol.

- Gdzie ten urodzinowy króliczek?! Przychodzimy z prezentami! – woła Daisy jeszcze przed otwarciem drzwi. Rodzice odwracają się, żeby przywitać dużą grupkę ludzi wpychającą się na werandę, a ja przechodzę z Connorem do drugiego krańca stołu, zasiadając na wiklinowym krześle na czele z Jane na kolanach. On siada przyległe do mnie.

Wygrałam sobie prawo, żeby tutaj siedzieć po półgodzinnej rozgrywce Scrabble tego poranka. Pokonałam go dwoma punktami.

- Zwycięzcy siedzą na czele stołu, Jane – mówię jej.

Wymachuje swoim lwem i patrzy na mnie wielkimi niebieskimi oczami.

- Mamusiu... - Nie potrafię zrozumieć reszty słów. Czasami wydaje mi się, że potrafię, ale wtedy zdaję sobie sprawę, że *chcę* usłyszeć normalne zdania i to mój umysł udaje, że jej odgłosy są zrozumiałymi słowami.

- Promieniejesz – stwierdza Connor. Opiera szczękę na palcach, uśmiechając się szerzej, kiedy patrzę mu w oczy.

- Nie jestem w ciąży, jeżeli tak sądzi twój ogromny mózg. – Wzmianka o ciąży pogarsza mój nastrój. *Jane ma być jedynaczką, Rose*. Jakikolwiek inne dzieci, które urodzą będą należeć do Daisy.

- Nie sądziłem, ale ty najwyraźniej tak – odpiera spokojnie, jakby ten temat go nie zadreślał. Nie pojmuję tego.

Prawie codziennie myślę o naszym ostatnim marzeniu i ani razu nie zaczynam się uśmiechać na tą myśl.

*Szczęśliwe myśli, Rose*. To pierwsze urodziny Jane, doniosła, radosna okazja dziesiątego czerwca. Smucenie się tym, że nie mogę mieć więcej własnych dzieci w urodziny mojego *realnego* dziecka jest wręcz nieuprzejme i prawie świętokradzkie.

Staram się poprawić. Może życie zawsze takie jest.

Connor przysuwa się do mnie krzesłem.

- Czy ty oszukujesz, Richardzie? – Próbuje zasiąść na czele stołu ze *mną*.

- Kochałabyś mnie, gdybym był oszustem? – pyta. Kątem oka zauważam, że nasi przyjaciele i rodzina zaczynają zajmować miejsca.

- Dlaczego zadajesz mi pytania, na które znasz odpowiedź?

Pomija mój komentarz.

- Kochasz mnie, dlatego nie mógłbym być oszustem.

Umysłowe gierki. Zagadki. Paradoxy. Moje serce bije w rytmie tego wszystkiego. I wracam wspomnieniami do okresu, kiedy mieliśmy po szesnaście i siedemnaście lat, kiedy byliśmy zamknięci w schowku na miotły na Model UN. Nigdy nie wiedziałam, że posiadał środki, żeby nas wypuścić, dopóki nie przyznał się do tego podczas konferencji prasowej.

- Opowiedziałeś wszystkim nasze wspomnienie – mówię, przeskakując na nową stronę naszej książki i podąża za mną.

- Nie sądziłem, że będziesz mieć coś przeciwko.

- Nie mam – odpieram cicho. – Ale zapomniałeś powiedzieć im o tym jak nachyliłeś się, żeby mnie pocałować, a ja zasłoniłam ci usta.

Rzuca mi spojrzenie, potrząsając głową.

- To nie było tak.

Piorunuję go wzrokiem.

- Było. Mam *doskonałą* pamięć, Richard.

Przysuwa się jeszcze bliżej, aż styka się ze mną barkiem.

- Moi aussi. – *Ja także*. Unosi mój podbródek dwoma palcami. – Tamtego dnia patrzyłaś na mnie tak jak w tej chwili.

- Niby jak?

- Z namiętnością – odpowiada z własną ilością namiętności. – Spojrzałaś na moje usta, a ja na twoje.

Już mnie zahipnotyzował i przysuwam się do niego, nasze kolana zderzają się o siebie.

- Nie dotknęliśmy się, ale kochałem się z twoim umysłem. Gdy miałaś już dosyć, *wtedy* zasłoniłaś mi usta.

*Kochałem się z twoim umysłem*. Nigdy wcześniej nie wypowiedział takich słów, ale chyba się w nich zakochałam.

- Hmm – rzucam.

Unosi brwi.

- Hmm?

- Twoja pamięć nie jest taka straszna.

Śmieje się, uśmiechając lekko.

- Naprawdę mnie kochasz.



- A ty kochasz stwierdzać oczywiste – zauważam. Nie patrzę na niego, żeby oglądać jak jego twarz ogarnia pełen uśmiech. Rzadko kiedy przyznaję mu rację, iż kocham go tak mocno jak sam twierdzi, nawet jeśli to zawsze prawda. Ktoś stuka o lampkę wina i skupiam uwagę na pełnym stole, wszystkich członkach rodziny i przyjaciółach.

Wszyscy tutaj jesteśmy, w tym Willow, Sam, Poppy... i Jonathan. Siedzi pomiędzy moim ojcem i Samem, jego włosy widocznie przeredły, jakby walczył ze stresem.

Jestem zdziwiona, że milczy i może targają nim tak wielkie wyrzuty sumienia, jak twierdził Connor.

Loren podnosi się z miejsca, trzymając w lewej ręce wodę, prawą ma w czarnym gipsie. Gdy rozmowy przy stole cichną, napawam się tą chwilą, uśmiechami na twarzach moich sióstr, moimi rodzicami trzymającymi się za ręce przy kubku kawy, cichym porankiem w moim rodzinnym domu, Connorem siedzącym tak blisko, że trzyma ramię na moim oparciu oraz moją córką na kolanach, przytulającą swojego lwa.

- Wiem, że to urodziny Janie, ale po tym wszystkim, co przytrafiło się waszej dwójce – wskazuje szklanką na Connora i mnie – mam coś do powiedzenia.

To może pójść bardzo źle albo bardzo dobrze, ale mam o wiele więcej wiary w Lorena Hale'a, że zmierzy w kierunku, który nie spowoduje III Wojny Światowej, w której będę prowadzić przeciwko niemu pluton.

- Mogę ciągle gadać, że Rose jest zimna jak lód i Lily może ciągle gadać, że Connor musi być planetarnym kosmitą – zaczyna Lo, a obok niego Lily przytakuje głową, podrzucając Maximoffa na swoich kolanach – ale oboje posiadacie serca astronomicznych wielkości, wiecie o tym?

Patrzę na Connora, który znowu trzyma palce na szczęce w zamyśleniu. *Posiadamy serca*. Nie jest to żadna wstrząsająca świadomość. Wiem, że mam serce. Wiem, że Connor także je posiada, ale żeby inni ludzie przyjęli to do wiedzy – to rzadkość. Nasze serca są zakopane pod najgrubszą, najmocniejszą zbroją, przez którą przepuszczamy bardzo niewielu ludzi.

Loren kontynuuje:

- Nigdy nie osądziście mnie za bycie nałogowcem, a nawet kiedy miliony ludzi osądzali i kwestionowali was, wy im *przebaczyliście*. – Potrząsa niedowierzająco głową na myśl, że koniec końców wszyscy zebraliśmy się tu w spokoju. – Ten stół jest zapełniony dzięki waszemu współczuciu i chcę być wam wdzięczny, że ja je dostrzegam. – Zwraca się do moich rodziców, swojego ojca, Sama i Poppy. – I cała reszta niech lepiej też je dostrzeże, do diabła.

Po tym mój ojciec wstaje, trzymając w ręku mimozę, a matka solidarnie idzie za jego przykładem. Gdy Jonathan podnosi się ze szklanką wody, napięcie dziwnie się rozplywa. Jeszcze wiele przed nim, żeby naprawić relacje ze swoimi synami, ale bycie tutaj i nie zachowywanie się jak dupek to jakiś początek.

Obserwuję jak dołącza do nich Poppy, potem Sam i ich córka Maria.

Kiedy Lily staje u boku Lo, odchrząkuje, przybierając barwę szkarłatu. Patrzę jak triumfalnie unosi podbródek i prostuje się dumnie. *Naprzód, Lily*. Po czym mówi zdecydowanie:

- Myślę, że jeśli potrafimy zjednoczyć się po tym wszystkim, naszym dzieciom będzie wieść się lepiej. – Przytakuje samej sobie.

Oddycham przez nos, powstrzymując emocję, która narasta w mojej piersi. Nie podoba mi się, kiedy ludzie nade mną górują, dlatego wstaję, podpierając Jane na biodrze. Connor szybko podąża za mną.

Tylko Ryke i Daisy wciąż siedzą przy stole, co nie jest wcale zaskakujące. To oni doświadczyli największej niezgody od rodziny.

Ryke odchyła się na krześle i potrząsa głową.

- To tak na serio? – pyta. – Bo ja nie będę się podnosić, jeśli za trzy miesiące ta część stołu – pokazuje na naszych rodziców – zrobi nam z życia piekło, bo bardziej uwierzycie pieprzonej plotce niż *nam*.

Mój ojciec odchrząkuje i milknie, próbując odnaleźć właściwe słowa na wyrażenie swoich uczuć.

- ...wiem, że wątpilem niektórym zebranych tutaj mężczyznom w związku z moimi córkami. – Przenosi wzrok z Sama na Ryke'a, a potem na Connora, któremu wątpił dość niedawno. – Nie będę przeproszać za troskę o moje dziewczynki, ale przeproszę za psucie waszych związków i sprawianie wrażenia, że musieliście wybierać pomiędzy waszymi ukochanymi, a rodziną. – Urywa. – Nadeszła pora, żeby to się zmieniło.

Ryke powoli rozchyła usta w niedowierzeniu. Wiedziałam, że w ciągu ostatniego roku ojciec przekonał się do związku Ryke'a i Daisy, ale nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek wyraził to otwarcie Ryke'owi.

Moja matka prostuje się, wiedząc, że połowa oświadczenia Ryke'a była skierowana do niej.

- Przeszedłeś operację przeszczepu wątroby dla swojego ojca i chcesz wiedzieć, co powiedziałam Jonathanowi? Że nigdy tego nie zrobisz. – Rozluźnia uchwyt na swojej szklance mimozy. To subtelne potwierdzenie, że także źle osądziła Ryke'a. – Nie chcę żyć tak jakby każdy chciał zaszkodzić mojej rodzinie i zacząć od ufania ludziom, którym *powinniśmy* zaufać. I ufam tobie – dodaje.

Zamieram na *o wiele* większą deklarację niż spodziewałam się usłyszeć. Pomyślałabym, że ktoś wsypał coś do wszystkich napojów, ale nikt jeszcze się nie napił.

Ryke patrzy na Daisy, w której oczach zebrały się łzy. Szepcze mu do ucha i on kiwa głową.

Oboje wstają razem.

Gdyby ktoś mnie zapytał, co sprawia, że ja – wulkaniczny, iskrzący się płomień piekła – ronię łzy i szlocham, jakbym była żalonym, dwuminutowym opadem deszczu, odparłabym, że moje dorastające siostry, mój mąż w rzadkim pokazie słabości, moje dziecko w przypadkowych, niezmiernych chwilach oraz tytuł *Titanica*.

Gdzieś pomiędzy tymi wszystkimi chwilami znajduje się ten szczególny okres czasu i mocno we mnie uderza. Unosząc wysoko szklanki, zjednoczeni wokół udekorowanego stołu, na którego środku stoi tort – przyjmuję tę potężną, nieugiętą świadomość, jako ciepłą, gorącą prawdę.

Wszystkie nasze dzieci zostaną wychowane bez nienawiści. Waśnie zostaną zmyte, a spory odsunięte na bok. Będą posiadały najostrzejsze, najmocniejsze narzędzia do walki z wrogami, którzy *nie* będą znajdować się w ich domach, a daleko, daleko stąd.

Nasze dzieci będą miały najlepszą szansę na życie, bo stoimy razem. Bo wszyscy posiadamy zdolność kochania, nieważne w jakiej formie czy kształcie się pojawia. Bo ostatecznie każdy z nas pozostaje niezłomny, żeby ich życia mogły się rozpocząć.

Biorę potężny wdech i Connor obejmuje mnie ramieniem.

Loren podnosi wyżej swoją szklankę.

- Za Rose i Connora, którzy pomogli nam zdać sobie sprawę ze znaczenia rodziny i różnicy, jakiej potrafi dokonać dobry przyjaciel. – Ludzie nieczęsto mówią nam coś takiego, że wywarliśmy na nich wpływ. Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- Za Rose i Connora – mówią wszyscy jednym głosem.

Connor podchwycza mój wzrok głębokimi, iskrzącymi się niebieskimi oczami i pijemy za nas.

*Connor Cobalt*

- To był malutki upadek, gremlinku. – Rose kuca w dziesięciocentymetrowych szpilkach i dmucha na zaczerwienione rączki Jane. Próbuje uspokoić naszą córkę, która płacze w ogrodzie Claude’a Moneta, jednym z najpiękniejszych miejsc, jakie odwiedziłem we Francji. W moim umyśle ten bujny, kwiecisty pejzaż nie jest zakłócony płaczem Jane. Patrząc jak Rose ociera rumiane policzki naszej córki i Jane pociąga nosem, zdając sobie sprawę, że potknięcie na chodniku nie bolało tak mocno, jak początkowo sądziła.

Jane wyciąga rękę do Rose, żeby ją podniosła, ale po chwili obraca gwałtownie głowę, nie zauważając, że góruję nad nią.

- Tatuś! – Znowu wybucha płaczem.

Rose wywraca oczami.

- Twój tatuś składa się z metr dziewięćdziesiąt trzy wyższości i jego głowa pogrążyła się w chmurach.

Schylam się obok Rose.

- Wręcz przeciwnie, kochanie, moja głowa znajduje się w gwiazdach. – Nasza córka odpręża się, kiedy tylko znowu ma mnie na widoku.

Rose wwierca we mnie żółtozielone oczy, przyspieszając rytm mojego serca.

- Mamy dzień.

- To meta...

Zakrywa mi usta ręką i przez jej palce przebija się mój rosnący uśmiech. „*Wiem czym jest metafora, Richard*” wyczytuję z jej twarzy. Fuka, obrzucając płonącym wzrokiem moje rysy, oddychając głębiej. Jakim sposobem ktoś może tak bardzo ożywiać się słowami – dzięki temu pobudzam się razem z nią.

Jane mamrocze głośno i odrywamy od siebie spojrzenia. Ocieram ślady łez z policzka Jane, która po raz kolejny pociąga nosem.

- Myślisz, że pora kończyć wycieczkę? – pyta mnie Rose. Poprawia biały, przeciwsloneczny kapelusz Jane, który spadł jej podczas upadku.

- Może pochodzimy jeszcze piętnaście minut i wtedy będzie mieć już dosyć. – Przez większość popołudnia podróżowaliśmy po północnej Francji. Mamy dwudziestego drugiego czerwca, dlatego zamierzamy spędzić resztę naszej rocznicy w hotelu z Jane.

Rose wypuszcza palce Jane, pytając ją:

- Przez kogo chcesz być noszona?

Nasza córka patrzy pomiędzy nami po czym wyciąga rękę do mamy.

- Dobry wybór – mówię Jane.

Rose uśmiecha się lekko, biorąc Jane na rękę i oboje się podnosimy. Słyszę *klik klik* aparatów, ale staram się lekceważyć je.

Ludzie się gapią. Ludzie robią zdjęcia, a nasza ekipa ochroniarzy stoi sześć metrów za nami. Nie przeszkadzają mi ciągle, niewzruszone spojrzenia gapiów, jeśli tylko możemy przeżywać taki dzień – bez obaw przed dręczeniem czy bycia otoczonym przez paparazzi.

Kładę rękę na plecach Rose i idziemy powolnym krokiem w stronę drewnianego mostku przechodzącego nad stawem z liliami. Balustrady oplatają korzenie zwisających fioletowych glicynii, a obfite, zielone rośliny wspinają się i tworzą baldachim nad mostem. To jak wejście do obrazu Moneta, doświadczanie sztuki z bliska.

Gdy zatrzymujemy się pośrodku mostku, obracam do siebie Rose i patrzymy na siebie, nasza córka znajduje się pomiędzy nami. Cicho tutaj, spokój napędza moją głowę pragnieniami i oczyszcza ze wszystkich wątpliwości.

- Przestań tak na mnie patrzeć – odzywa się, ale odruchowo przysuwa się bliżej. Wyczuwam jej dudniące serce w piersi.

- Przeraza cię to, co zamierzam powiedzieć? – pytam. Nie potrafi czytać mi w myślach, ale pewnie okazuję pragnienia na twarzy. A pragnę jej i Jane. I pragnę więcej dzieci.

- A co zamierzasz powiedzieć? – pyta wprost.

- Gdy patrzę ci głęboko w oczy, dostrzegam więcej niż trzy lata wspólnego małżeństwa – wyznaję. – Widzę dziesięć, trzydzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat z tobą i widzę nas powracających do tego miejsca. Widzę nas starych i u krańca żywota, stojących na tym moście, wpatrujących się w ten staw, tak pochłoniętych miłością, jak jesteśmy nią tragicznie pochłonięci w tej chwili.

Ściska mój biceps, częściowo grożąc, a częściowo ukrywając fakt, że brakuje jej tchu.

- Widzę nasze dzieci – mówię. – O wiele więcej dzieci, Rose.

- Istnieją zasady – odpiera znacząco. – Przegraliśmy naszą grę i inwazyjność mediów... mówiłaś, że nie ma alternatywnych ścieżek. – Nie byłem ślepy na jej rozczarowanie. Codziennie je widzę, kiedy myśli o naszej rozrastającej się rodzinie. Chowam przed nią własne rozczarowanie, ale porażka wzmaga na sile, nienaruszone marzenie pragnie zostać spełnione.

Nigdy nie przerwałem gry.

Znajdowałem pewne luki, ale ta nie ma żadnej.

Albo sprzeciwimy się temu, co zaplanowaliśmy, albo będziemy żyć *niespełnionym* życiem.

Nie nałożę na siebie żadnych ograniczeń. Rozrywam każde z osobna, choć oznacza to dla nas skok na głęboką wodę – który wydaje się podobny do ześlizgnięcia po zboczu bez żadnego uchwytu ani drogi powrotu. Chociaż oznacza to, że *raz* złamane zasady na zawsze zmieniają sposób rozgrywania naszych gier.

Musi być jeden wyjątek. Zawsze.

I to jest ten wyjątek.

- Możemy złamać zasady dla naszych dzieci – mówię. – Żyliśmy według pojęcia, iż posiadanie większej liczby dzieci byłoby samolubne, ale rozejrzyj się, Rose, spójrz na *nią* i powiedz mi, jaka część tego świata jest tak bardzo nieznośna, że nie powinniśmy dać życia kolejnemu dziecku?

Rose obserwuje Jane, która pochyla się do fioletowej glicynii, z jej wielkich, błękitnych oczu wylewa się dziecięcy zachwyt, a potem nasza córka pokazuje z ciekawością na roślinny baldachim. Gaworzy zbitek odgłosów brzmiący jak „*co to jest?*”

- Uciekające marzenie, Jane – wypowiadam te słowa do Rose, przykuwając jej uwagę i wzrok. Nie jest stuprocentowo przekonana, że to najlepszy plan. – Życie zasadą, która wpływa na inne życie jest samolubne z naszej strony.

- Ale media – odpowiada. – Niby co się z nimi zmieniło? – Prawdziwym sprawdzianem nie była nasza zagrywka wobec mediów. Prawdziwy sprawdzian rozpoczął się potem, to jak znieśliśmy negatywny efekt, trzymając córkę w ramionach i według mnie odnieśliśmy sukces.

- Nasza miłość przebija każdą cenę, którą mogą nas kosztować media – wyjaśniam. – Rose, może przez cały ten czas to wszystko było bezpieczne i potrzeba było *naszej* wiary, iż potrafimy zapewnić dziecku *miłość*, że *odczuwamy* pełnią naszych serc, byśmy nareszcie sami to dostrzegli.

Walczy ze łzami i przyciągam ją tak blisko, jak mogę, obejmując dłonią jej szczękę i gładząc kciukiem policzek. Oto ja przekonujący Rose o miłości, kiedy ona poświęciła tyle czasu na otwieranie mojego umysłu na jej prawdziwe znaczenie. Codziennie będę jej przypominać jak wiele miłości znajduje się w nas obojgu.

- Nie ma więcej wątpliwości – dodaję. – Jakkolwiek złe kroki postawią nasze dzieci czy jakie błędy popełnimy, ich życia będą pełne miłości oraz *pasji* i nasze dzieci, *nasze*, spiją soki życia i wymalują ten cholernie szary świat kolorem. – Patrzę głęboko w te ogniste, żółtozielone oczy, moje serce bije w rytmie z jej. – Nasze dzieci będą równie niezapomniane, co my. Poczekaj i sama się przekonasz.

Rose podnosi rękę na mój bark.

- W tym miejscu oboje potraciliśmy zmysły. – Odwraca leciutko głowę, spoglądając na lilie wodne. – Na Boga, kto chciałby się z tobą rozmnażać? *Osiem* razy? – Zauważa mój rosnący, zarozumiały uśmiech. – Muszę być szalona.

Odpowiada gromkim, poruszającym ziemią „*tak*”.

Obejmuję ją w talii. Wygrana i przegrana zawsze były jedynie stanem umysłu i wyczuwam, że nasze umysły znowu stają się zaspokojone.

Opieram dłoń na jej podbrzuszu, spodziewając się, że mnie odtrąci, ale nie narzeka. Jej usta próbują wygiąć się w kącikach, chociaż nie cierpi walczyć z moim uśmiechem, podobnym gestem.

Przed narodzinami Jane uwielbiałem widzieć ją ciężarną, patrzeć jak jej ciało rośnie razem z naszym dzieckiem – częścią mnie i częścią jej. Rose miała mnóstwo obaw, co do macierzyństwa, ale cieszyła się większością ciąży. Gdyby było inaczej, nigdy nie wzięłaby pod uwagi kolejnej.

- Nie możemy mieć więcej bez zapowiedzi – przypomina. – Muszę rozplanować to z Daisy na wypadek, gdyby nie mogła mieć dziecka.

- Wiem. – Przypuszczam, iż to oznacza, że Ryke także będzie przy tej dyskusji. Po wszystkich przeszkodach, które pokonał z Daisy, po wszystkich górach, które zdobyli w przenośni i dosłownie, bardziej prawdopodobne by było, że wzięliby dzisiaj ślub niż jutro zerwali.

Rose poprawia na rękach Jane, nie umie tak długo trzymać jej ciężaru.

- Wezmę ją – mówię.

Rose podaje mi naszą córkę i z łatwością trzymam ją pod pośladkami, opierając o swoje ramię. Jane przykładła policzek do mojego kołnierza, z trudem utrzymując otwarte oczy.

Patrzę na Rose.

- Ile chcesz mieć dzieci? – Ósemka była moją liczbą. Przywykła do niej, ponieważ często ją powtarzam, ale nie jest wykuta w kamieniu.

Rose zdejmuje przekrzywiony kapelusz Jane i wkłada do torby na pieluchy od Chanel, która bardziej wygląda na wielką torebkę.

- Chcę tylko, żeby Jane miała siostrę. Moglibyśmy mieć dwójkę dzieci i byłabym szczęśliwa albo moglibyśmy mieć ich dziesięć, jeśli tylko będą dwie dziewczynki.

Nie możemy rozplanować dokładnej liczby, nie kiedy istnieje zbyt wiele nieprzewidywalnych przeszkód po drodze, ale możemy spróbować to osiągnąć.

Dwie dziewczynki Cobalt.

Siostry.

- Zatem jak tylko urodzisz dziewczynkę, *naszą* dziewczynkę – muszę dodać – przestaniemy i taka będzie wielkość naszej rodziny. – Czekam aż to oświadczenie dotrze do niej w pełni i Rose otwiera szerzej oczy. Niemal cofa się do tyłu, ale łapie ją za biodro, trzymając blisko.

- Richardzie Connorze Cobalt, pozostawiasz to losowi. – Uśmiech rozświetla jej oczy, w których widać rozbawienie. Jestem więcej niż zadowolony pozostawieniem liczby naszych dzieci nauce i tak, przypadkowi.

- Twój los będzie dla mnie miły – odpowiadam. – Potrafię każdego skłonić do pokochania mnie.

Rose przewraca oczami.

- *Twój* los jest *moim* losem. – Wierzę. – I oni wcale cię nie kochają, Connor. Kochają osobę, którą im pokazujesz. – Po chwili dodaje: - Kocham *ciebie*. Jestem z *ciebie* dumna. I nie potrafię sobie wyobrazić bycia gdziekolwiek indziej prócz *twojego* boku.

Nasze serca znowu biją razem.

Podnoszę jej podbródek, jej spojrzenie wypala we mnie wszystkie te prawdy. Istnieją rzadcy ludzie, którzy podsycą w tobie ogień, przebudzą drzemającą namiętność, będą stawiać ci wyzwania, którzy będą cię popychać i zrobią z ciebie lepszą osobę. *Ona* jedyna jest moją rzadkością.

- Zawsze jestem kimkolwiek lub czymkolwiek ludzie ode mnie potrzebują – mówię mocno – ale tylko ty potrzebowałaś, żebym był sobą.

Przytakuje ze łzami w oczach.

- Słyszę bicie twojego serca.

Unoszę wyżej kąciki ust i zakładam jej za ucho kosmyk włosów.

- Biję w tym samym rytmie, co twoje. – Całuję wgłębienie jej szyi i szepczę: - *Toujours*.

*Zawsze*.



## [Epilog]

Rose Cobalt

Miesiąc później

- Gdzieś tutaj są – mówi ukryta w głębi garderoby Lily. Przesuwa wieszaki, oczekując znalezienia moich dwóch futer, które mi zarekwirowała w ciągu ostatnich lat.

Kucam przy półce z butami, udając, że ich szukam.

- Możesz zatrzymać płaszcze...

- Nie – odpiera stanowczo po raz piąty.

- Chcę, żebyś je zachowała – powtarzam, także po raz piąty.

- Nie słyszę cię – kłamie po czym znika w mroku czarnych koszul Lorena Hale'a. Zdecydowanie może je zachować, jeżeli pomieszkowały sobie zdradziecko w jego bluzkach.

Wzdycham ciężko i szukam pod stertą ciuchów, odrzucając na bok jej podkoszulek, a potem... *fuj!*

- Lily! – wrzeszczę, podrywając się niczym dziki kot.

Lily wysuwa głowę spomiędzy koszul.

- Cooo...

Pokazuję na stos ubrań na podłodze i coś, co wygląda na męskie bokserki na górze. – Czy to są brudy?

Mamrocze coś brzmiącego na „*może*” i wraca do mroku. Ja pierdołę, *fuj* - właśnie dotknęłam brudnej bielizny Lorena Hale'a. Wychodzę z szafy, tupiąc głośno i wchodzę do łazienki, szorując zażarcie ręce w umywalce.

Wyciskam więcej mydła i namydlam dłonie. Trzy minuty później wycieram ręce w szary ręcznik.

- Znalazłam – dyszy Lily, podtrzymując moje dwa płaszcze.

Mina mi rzednie. Miałam szczerą nadzieję, że ich nie znajdzie.

- Na pewno ich nie chcesz? – pytam.

- Nosisz je częściej ode mnie – wyznaje. – Chcę mieć pewność, że będziesz mieć wszystko, co zapewnia ci komfort.

To ostatnia cząstka mnie w tym domu. Zostałam wykorzeniona.

*Sama to wybrałaś, Rose.* Wiem. Przeprowadzam się kilka domów dalej razem z Connorem i Jane. Zamierzaliśmy poczekać dłużej, może kilka lat przed spakowaniem rzeczy i zostawieniem Lily i Lo oraz Ryke'a i Daisy. Ale kiedy wróciliśmy z Francji – do zagorzałych paparazzi oskarżających nas o kazirodcze stosunki, które są wręcz diabelskie – chyba oboje wiedzieliśmy, że dystans wszystkim pomoże.

Nadeszła pora.

Ruszenie do przodu to gorzko-słodkie uczucie. To pożegnanie ery z moimi siostrami i przywitanie ery z moim mężem. Nigdy nie byłam do tego gotowa ani przygotowana, ale już jestem.

Po prostu chciałabym, żeby małe cząstki mnie wciąż pozostały w szafach moich sióstr. Na przykład futra. Na przykład szpilki albo naszyjniki, które im pożyczyłam. Nie chcę zostać wykorzeniona. Chcę zostać zapamiętana.

- Przeprowadzasz się tylko kilkanaście metrów dalej – mówi Lily, gdy milczę.

Wywracam oczami.

- To zasada. – Przerzucam włosy przez ramię i niechętnie zabieram dwa płaszcze, wymaszerowując z pokoju z Lily u boku.

- Zatrzymam jeden – mówi. – Miałabyś coś przeciwko...

- Który? – Ukrywam uśmiech, chociaż czuję, że we mnie rośnie.

- Ten brązowy.

Podaję jej miękki płaszcz, który przytula do piersi.

- Spotkamy się na dworze! – Wraca biegiem do swojego pokoju, żeby odłożyć futro.

Schodzę do salonu i przesuwam dłoń po oparciu kanapy, tak jakby się żegnając. Zatrzymuję się tuż przed foyer i odciskam sobie to miejsce w umyśle. Nie jest puste.

Po prostu brakuje w nim mnie.

Spędziłam tutaj ponad rok, po raz pierwszy mieszkałam wspólnie z Daisy i Lily. Moja córka postawiła pierwsze kroki w tym salonie. Wypowiedziała pierwsze słowo w tej kuchni. Zakończenia czynią mnie równie sentymentalną, co nowe początki i przypuszczam, że jeśli przyjrę się bliżej, to są one tym samym.

Lily zbiega po schodach w czapce Wampy, brązowe włosy do ramion wyglądają czysto. Porusza szybko patykowatymi nogami i nabieram mocno tchu, chowając dziwne wzruszenie.

- Wszystko? – pyta Lily, pokazując mój płaszcz.

- Tak – odpieram – to ostatnia cząstka mnie.

Lily marszczy brwi.

- Nie mów tak. Robi mi się smutno.

- Bo to *jest* smutne. Wciąż czekam aż rozplączesz się za mną. – Otwieram drzwi wejściowe.

Lily ciągnie za klapy swojej czapki.

- Mówiłaś, że nie powinnam płakać, jeśli nie umierasz.

Nie wątpię. Po prostu chciałabym zobaczyć dzisiaj *małą* emocję od kogoś innego niż mnie. Chyba nie tylko ja przeżywam ten gorzko-słodki koktajl, prawda?

- Beep beep! – Daisy robi kółka w wózku golfowym na końcu podjazdu, uśmiechając się szeroko.

Tak, kurwa, tylko ja lamentuję nad sobą.

Daisy kieruje wózek w stronę domu i skręca gwałtownie, jakby była na przesłuchaniu do reklamy samochodowej.

- Witam, ślicznotki. Chcecie przejechać się moją bryką? – Porusza brwiami i przejeżdża dłonią po kierownicy.

Lily śmieje się, a ja wywracam oczami, postanawiając usiąść obok niej, kiedy Lily zajmuje tyły. Zakupiliśmy wózek golfowy gdzieś w tym samym czasie, co dom. To lepsze od wykorzystywania auta – i chodzenia oczywiście.

- Widać twoją malinkę – mówię do niej i poprawiam sobie włosy w najmniejszym samochodowym lusterku, jakie kiedykolwiek widziałam.

- To ugryzienie wilka. – Kłapie zębami i uśmiecha się szerzej, na jej szyi wyraźnie widać czerwony ślad. Poza malinką ma na sobie odwróconą tyłem czapkę baseballową Ryke'a i koszulkę bez boków z napisem „*Hola, piracie. Pragnę twego skarbu*”.

- Jeśli tobie nie przeszkadza, mnie też nie – odpowiadam nieobecnie, opierając się o siedzenie i zawraca wózek na ulicę. Przytrzymuję się na wypadek, jeśli Daisy znowu gwałtownie skręci i oglądam się na Lily. Ścisza kurczowo swoje białe siedzenie, obawiając się, że wypadnie z wózka.

„*Boję się*” mówi do mnie bezgłośnie.

Jedziemy mniej niż trzydzieści kilometrów na godzinę, ale widziała rano jak Ryke przypadkiem wyrzucił Lorena. On też robił kółka.

Ale Daisy jedzie teraz prosto.

Zanim Lily zdąży wygłosić chęć przejścia się do mojego nowego domu, chwytam ją za ramię, przekazując bezgłośnie, że *nie* wypadnie. A jeśli tak, to ja wypadnę razem z nią.

- Wstrzymajcie oddech – mówi szybko Daisy, kiedy wózek golfowy omija znajomą posiadłość po drugiej stronie ulicy, brakuje żółtej taśmy i radiowozów. Natychmiast wciągam powietrze, nawyk, który zapoczątkowała Daisy, kiedy wywieziono Scotta z dzielnicy i ludzie odpowiedzialni za przeprowadzki spakowali jego badziewie.

Dom nadal jest na sprzedaż, ale żadne z nas go nie kupi, ponieważ tę posiadłość praktycznie otacza mroczna aura.

Już nigdy więcej nie ujrzemy Scotta Van Wrighta. Przyznał się do winy, żeby uniknąć ostrzejszego wyroku. I tak wiedział, że ława przysięgłych będzie miała pełno dowodów, żeby go skazać. Główne stacje informacyjne przeprowadziły reportaż o tym jak *kierownik produkcji* (nareszcie powiedziano o tym publicznie) *Księżniczka Filadelfii* stanął przed sądem federalnym za nagrywanie i oglądanie pornografii dziecięcej z udziałem Daisy Calloway.

Świat postrzega moją młodszą siostrę, jako śmiałą, beztroską dziecinę i fakt, że on wykorzystał ją w jakikolwiek sposób rzucił światło na jego prawdziwą sylwetkę obrzydliwego szczerzego węża. Nikczemnej istoty, która *zasługuje* na więzienie.

Sędzia się z tym zgodził.

Scott został skazany na dziewięć lat więzienia i pięć lat w zawieszeniu. Ponieważ sprawa była bardzo nagłośniona, sędzia chciał zrobić z niego przykład i potraktował go ostrzej niż wszyscy się spodziewali.

Przejeżdżamy obok posiadłości i razem wypuszczamy oddech.

- Czy Willow nadal pracuje? – pytam Lily. Siostra Lorena chce oszczędzać na studia i wszyscy oferują, że opłacą jej szkołę, ale ona nie chce jałmużny. Myślę, iż pragnie udowodnić, że jest tutaj, by naprawdę uczestniczyć w życiu brata, a nie dla pieniędzy czy sławy. I jedynym na to sposobem jest bycie tak samowystarczalną, jak tylko się da.

- No – odpiera Lily. – Próbowałam dodać jej trochę pieniędzy do wypłaty, ale zorientowała się i nie chce przyjąć więcej niż dostaje reszta pracowników.

Willow jest szlachetna i ma tutaj wielkie wsparcie niezależnie od tego, co zrobi. Proszę tylko, żeby jej „przyjaciół” dobrze ją traktował. Garrison dalej z nią pracuje, ale ona twierdzi, że bal zakończył się bez pocałunku i obietnic na coś więcej.

Lily ściska moją rękę.

- Więc... co będzie, jeśli będę chciała zapytać cię o książkę albo gwiazdozbiór, albo... zabawną postać z telewizji, która wygląda jak prezydent, ale nie wiem który... czy mam po prostu... do ciebie zadzwonić? Czy mam przyjść do twojego domu, czy to wygooglować...

- *Nie* zastąpisz mnie Google. – Przeszywam ją wzrokiem.

Lily kiwa głową.

- Więc mam zadzwonić?

- Albo możesz przyjść. Ja też będę do was wpadać.

Lily po raz kolejny kiwa głową, tym razem bardziej zdecydowanie.

- Dobrze.

- Jesteśmy – ogłasza Daisy, przejeżdżając po krawężniku na podjazd. Po obu stronach betonowej dróżki znajdują się różowe tulipanowce, jestem doskonale świadoma tego piękna, nieważne jak wiele razy tędy chodzimy. Milkniemy, wsłuchując się w tryskającą, królewską fontannę. Gdy mijamy ostatniego tulipanowca, naszym oczom ukazuje się fontanna stojąca przed posiadłością, która jakby oznajmiała królewską obecność budynku.

Biała okładzina zewnętrznych ścian, cudowne gzymsy, okazałe, podwójne drzwi wejściowe – dom, który myślałam, że nigdy nie pójdzie na sprzedaż. Oburzenie medialne spowodowało wdowę do wyprowadzki i odkupiliśmy od niej tę dziesięciopokojową posiadłość. Jest tylko troszkę większa od naszego poprzedniego domu i w zależności od losu może być za duża, za mała albo idealna dla rodziny Cobaltów.

Daisy objeżdża fontannę i parkuje przed nią.

- Wsiadka.

Zabieram moje futro i torebkę po czym wchodzimy do mojego nowego domu. Pierwsze witają nas sklepiiony sufit oraz kryształowy żyrandol.

- Zawsze gdy tutaj wchodzę czuję się jak Kopciuszek – szepcze za mną Lily.

- Dlaczego szepczesz? – pytam.

- Mam wrażenie, że to jedno z takich miejsc, w którym się szepcze – *odszeptuje* i czerwieni się. – Prawda?

- To nie muzeum ani cmentarz – mówię, mając nadzieję, że szybko przywyknę do mojego domu.

- Chyba po prostu jest inaczej – mówi łagodnie. – Nigdy nie odwiedzałam cię na studiach. Ty odwiedzałaś mnie, a kiedy w końcu poszłam do twojego domu, mieszkałam razem z tobą... więc on był też mój.

Po raz pierwszy wchodzi do czegoś, czego nie dzielimy.

- Masz rację – dodaje po chwili. – Nie powinnam szeptać. – Wypuszcza spięty oddech i obie podążamy za Daisy do ogromnego salonu, w którym znajdują się już zamszowe kanapy, ale pozostało mnóstwo nierozpakowanych kartonów. Szklane, francuskie drzwi prowadzą do basenu i ogniska...

- ...mam gdzieś, jeśli nigdy tego nie zrobimy, kurwa. – Wyłapuję głos Ryke'a w połowie rozmowy.

- Zapominasz jak tam ciasno – mówi nonszalancko Loren. *Jak ciasno...* Loren. Ugh. Przypuszczam, że rozmawiają o seksie i moich siostrach.

Uderzam szpilem o deski podłogowe i obaj milkną, kiedy przechodzę pod łukiem drzwiowym z Daisy i Lily.

- Kurwa – przeklina Ryke, podczas gdy Loren Hale nie wygląda na minimalnie skruszonego. Wylegają się na białym dywanie, robiąc sobie przerwę od przenoszenia ciężkich przedmiotów. Na kartonach stoją puszki Fizz Life, a Moffy i Jane ganiają się chwiejnie wokół nowych mebli.

Connor popija wino na stojąco, bardziej pilnując dzieci od tej dwójki.

- Możesz następnym razem chodzić głośniejsze? – pyta Lo z półuśmiechem, jego prawa ręka nadal jest w gipsie. – Dzięki.

- Może nie powinniście gadać o seksie analnym za naszymi plecami – odparowuję, odgadując temat ich rozmowy.

- Dobra, będę gadać o nim przy tobie – prowokuje Lo. – Słyszałem, że lubisz to od tyłu. – Unosi do mnie puszkę Fizz Life. – Na zdrowie.

Patrzę zwężonymi oczami na męża.

- Richard.

Wygląda równie niewinnie, co Loren.

- Rose – odpiera i bierze łyk wina, uśmiechając się.

Lily nachyla się do mnie.

- Jakies pół godziny temu rozmawialiśmy o analu. – To prawda. Daisy wspomniała o tym w swobodnej rozmowie i przyznałam, że próbowałam i tak, podobało mi się.

Więc to żadna różnica, że faceci robili to samo. Po prostu chodzi o *Lorena* wiedzącego o tym... Wzdrygam się, ale nie wygląda na zachwyconego tą wiedzą. *Bardzo dobrze.*

Rozkładam płaszcz na kanapie, zauważając na poduszkach śpiącego husky'ego, a na jej brzuchu leży zwinięta ruda, prążkowana kotka. Stwierdziliśmy, że to najdziwniejsza przyjaźń w naszym gronie. Sadie i Coconut powinny być śmiertelnymi wrogami, ale to była przyjaźń od pierwszego wejrzenia.

Jednakże Sadie nie polubiła dzieci, niecałkowicie, lecz tylko Jane próbuje się do niej przytulać, nawet kiedy kotka jest wredna. Cały czas je obserwuję, żeby uniknąć zadrapania.

- To wszystko? – pyta Ryke, wstając z Lorenem. Obaj patrzą na płaszcz, ostatnią rzecz, której potrzebowałam.

Potakuję, wiedząc, że są gotowi wrócić do domu. Lo podnosi Moffy'ego i przerzuca go przez ramię, chłopczyk śmieje się do łez.

- Ciesz się lotem, mały.

- Co jeśli przegapię miesięczkę? – pyta mnie nagle Lily. W pokoju nastaje cisza i mężczyźni patrzą po sobie zmartwieni. – Hipotetycznie – dodaje, czerwieniąc się. – Mam do ciebie zadzwonić, przyjechać tutaj czy...

- Przyjdiesz się ze mną zobaczyć. – Łapię ją za rękę, a potem Daisy, która była podejrzliwie cicha odkąd weszliśmy do domu. Brakuje uśmiechu, który towarzyszył jej w wózku golfowym.

- A co jeśli... co jeśli będę miała zły dzień i będę potrzebować, żebyś weszła do mojego pokoju... wtedy robisz coś takiego, że rozsuwasz bardzo szybko zasłony i do środka wpada światło... - Wybucha płaczem.

To sprawia, że Daisy też zaczyna płakać.

Kurwa, ja też szlocham.

- Każdy może rozsunąć twoje zasłony.

- Nie tak jak ty. – Wodospad łez Lily nie ustaje. Dlaczego się o to prosiłam? Moje oczy okropnie pieką i nieważne jak wiele biorę wdychów, wciąż czuję ciężar na piersi. *To nie pożegnanie, Rose.*

Daisy dodaje łzawo:

- Będzie mi brakować dźwięku twoich obcasów o poranku.

- I tego jak zawsze wkładasz nam do tosterka Pop Tarty, chociaż ich nie cierpisz – płacze Lily.

Wszystkie jesteśmy bałaganem. Ściskam ich ręce, ale to tylko nasila pozostałe między nami emocje, ukryte pożegnanie, nawet jeśli nie jest ono na stałe. To *jest* pożegnanie naszego wspólnego mieszkania w jednym domu.

- Kocham was obie – mówię im mocno – i zawsze tutaj będę, jeśli będziecie mnie potrzebować.

- Kiedy – poprawia mnie Daisy. – *Kiedy* będziemy cię potrzebować.

Po moich policzkach spływają łzy i przytulają mnie jednocześnie. Jestem z nich najstarsza, ale uważam Daisy i Lily za całkowicie równe sobie, słodsze i bardziej kochające strony sióstr Calloway, kiedy ja jestem zagorzałą ćwiartką.

Gdy odsuwamy się od siebie, obracamy się do mężczyzn, którzy wyglądają na lekko oniemiałych. Loren trzyma teraz syna na biodrze.

- Ona nie umiera. – Loren upomina Lily. – I ja mogę ci wkładać Pop Tarty.

- To nie to samo. – Lily pociąga nosem, niepewnie opuszczając mój bok. – Ty lubisz Pop Tarty i zjadasz moje.

On wzdycha, chcąc poradzić coś na jej smutek, ale wie, że nie może. Najlepsze, co robi to przytula Moffy'ego do piersi, a wtedy Lily wskakuje mu na plecy, oplatając go nogami w pasie. W taki sposób wychodzą z salonu, kierując się do drzwi.

Ryke wygląda prawie tak samo jak Loren, przeczesując sobie gęste włosy. Czeką cierpliwie na Daisy.

- Moffy! – woła Jane, jednak nie tak zrozumiale.

Connor bierze ją na ręce zanim zacznie pogoń za swoim kuzynem. Odwraca jej uwagę lampką wina po czym znajduje wypchanego lwa.

- Będziesz codziennie do mnie dzwonić, tak jak wcześniej? – pyta Daisy, a blizna na jej policzku jest bardziej zaczerwieniona od płaczu. Gdy byłam w college'u, z dala od wszystkich, zwykłam codziennie do niej dzwonić, tak jak do Lily i Poppy. Chciałam zawsze być w kontakcie, nawet jeśli stałam się niedogodnością.

- Pewnie będę częściej cię odwiedzać niż dzwonić – odpowiadam. – Obiecuję.

- Pójdiesz ze mną na wizytę lekarską? – Po raz pierwszy zapytała o to na głos. – Wszystko to jest dezorientujące i... myślę, że zrozumiałabyś leczenie bezpłodności i wszystkie inne możliwości, którymi mnie zarzucają.

Przytakuję, powstrzymując tyle łez, ile mogę.

- Oczywiście. – Ocieram jej policzek. Odkłada jakiegokolwiek operacje jajnika, dopóki nie będzie wiedzieć więcej na temat długoterminowych skutków.

- Okej, starsza siostrzyczko – mówi Daisy ze szczerym uśmiechem. – No to do zobaczenia jutro. – Puszczamy ręce i podchodzi do Ryke'a.

- Hola, piracie – mówi na wpół ze śmiechem, na wpół ze łzami, nie potrafiąc ukryć swojego smutku, jak to zwykle robi. Zakrywa twarz rękoma.

Ryke przytula ją do siebie i całuje w czubek głowy. Daisy pociera się po twarzy i gwizdże. Coconut zeskakuje z kanapy i podbiega do jej boku. Potem wszyscy wychodzą w milczeniu, Ryke kiwa mi głową po drodze.

Podwójne drzwi zamykają się z trzaskiem.

Oszołomiona siadam obok Sadie na kanapie.

- To było brutalne – oznajmiam jej rzeczowo.



Mruczy w zgodzie, rozciągając się – po czym znowu zapada w sen. Kanapa zapada się, kiedy Connor zajmuje miejsce obok mnie, trzymając Jane. Podaje mi moją lampkę wina i zrzucam szpilki, opierając stopy na kanapie.

Przyciąga mnie bliżej do siebie, dopóki nie opieram się o niego całym ciałem i kładzie dłoń na moim udzie. Popijam wino, a on przeczesuje palcami moje włosy.

- Jest tu dla ciebie cicho? – pytam.

- Nie, kochanie – odpiera.

- Co słyszysz? – Biorę kolejny łyk i wyciągam rękę, żeby Jane pobawiła się bransoletką na moim nadgarstku. Od razu się nią interesuje.

- Odgłosy budzików w trakcie roku szkolnego, dobiegające z wielu pokoi – opowiada Connor. – Dzwonią w różnych odstępach.

Uśmiecham się, wyobrażając sobie nastolatki naciskające na drzemkę.

- Kto ich budzi, ja czy ty?

- Zmieniamy się. – Oczywiście.

- Co jeszcze?

- Trzaski drzwi łazienek i odkręcane krany. Muzykę z pokoi i śmiech... zawsze śmiech.

Opieram brodę na jego barku.

- Pewnie śmieję się z twojego uśmiechu.

Natychmiast unosi usta w pełnym uśmiechu.

- Nie żartowałam, Richardzie. – Patrzą wściekle.

- Ty się nie *śmiejesz* z mojego uśmiechu, tylko robisz to. – Ściska mój podbródek, żebym podniosła głowę z jego barku. Wydrążam zaostrozonym wzrokiem swoje imię w jego czole. – Wiesz, co to „śmiech”?

Posyłam mu spojrzenie zawierające *zero* rozbawienia.

- Wyrwę ci język.

Jego uśmiech robi się szerszy.

- Wtedy ten dom będzie cichy dosłownie i w przenośni.

Przykładam rękę do jego twarzy, którą on całuje... a potem całuje mnie, wstrzymuję oddech i niemal wypuszczam z palców lampkę wina.

Czując na sobie jego wargi, odwzajemniam pocałunek.

I słyszę odgłos budzików, śmiech w kuchni, krzyki przy basenie. Słucham energicznego tętna naszej przyszłości huczącej życiem.